

Krytycy okrzyknęli Petera Buwaldę holenderskim Jonathanem Franzenem,
jednak jego talent jest zupełnie wyjątkowy.

„The Times”



BONITA AVENUE

PETER BUWALDA





Peter Buwalda

BONITA AVENUE

przełożyła Maja Porczyńska-Szarapa



Tytuł oryginału: *Bonita Avenue*

Copyright © 2010 Peter Buwalda. Originally published with De Bezige Bij, Amsterdam

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Maja Porczyńska-Szarapa, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

[21](#)

[Przypisy](#)

„Mam wrodzony talent. Dobrze wiem, że kto się chwali, ten się gani, ale taka jest prawda. Judo to twardy, bezwzględny sport. Wiele razy dałem się w życiu oszukać i jestem naiwny, ale na macie wygląda to zupełnie inaczej. Wtedy wszystko dokładnie kalkuluję”.

Wim Ruska¹

„Wiecie, jestem dla was tym, kim dla rzymskiego obywatela był gladiator”.

Sasha Grey²

Kiedy któregoś niedzielnego popołudnia w 1996 roku Joni Sigerius zaciągnęła Aarona do wiejskiego domu rodziców w celu oficjalnego przedstawienia, jej ojciec uściśnął jego dłoń z siłą, która sprawiła mu ból.

– To ty zrobiłeś tamto zdjęcie – powiedział Sigerius. A może to było pytanie?

Siem Sigerius był krępy, ciemnowłosym mężczyzną o uszach, które natychmiast przykuwały uwagę, były bowiem mięsiste, jakby uprażone, a ponieważ Aaron uprawiał judo, wiedział, że były to uszy kalafiorowate. Powstają od nieustannego ocierania o rękawy judogi z surowej bawełny, od ciągłego tarcia małżowin o twarde ciała i szorstkie maty – krew i ropa zbierają się wtedy między chrząstką a miękką skórą. Ci, którzy nic z nimi nie robią, mają stwardniałe obrzęki i zgrubienia. Uszy Aarona były zwyczajne, dziewicze i gładkie jak skórka brzoskwini, natomiast uszy kalafiorowate były zarezerwowane dla mistrzów, monomaniaków sunących co wieczór po tatami. Trzeba sobie zasłużyć na takie głowiaste ucho, stracić wiele osobolat. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec Joni obnosił się z nimi jak z orderami, bo dowodziły pracowitości i męskości. Dawniej, kiedy Aaron stawał podczas turniejów przed tak oznaczonym zwierzęciem, oblatywał go strach – jawiące się na horyzoncie ucho kalafiorowate oznaczało dla niego kłopoty, bo był beznadziejnym judoką turniejowym. Chcąc ukryć, że jest pod wrażeniem, odpowiedział:

– Robię zdjęcia taśmowo.

Uszy Sigeriusa poruszyły się nieznacznie. Krótko obcięte, kręcone włosy przylegały ściśle do jego płaskiej, szerokiej głowy jak filcowa czapka. Chociaż nosił garnitury albo sztruksowe spodnie i koszulki polo Ralphi Laurena (był to mundurek służbowy pracodawcy, strój człowieka sukcesu), sądząc po uszach i mocnej budowie ciała, nikt nie powiedziałby o nim, że kieruje uniwersytetem, a już z pewnością nikt nie uwierzyłby, że jest uznawany za największego holenderskiego matematyka od czasów Luitzena Brouwera. Mężczyzna jego postury powinien raczej pracować na budowie albo nocą, w kamizelce odblaskowej, pchać pojemnik z asfaltem poboczem autostrady.

– Dobrze wiesz, o którym zdjęciu myślę – powiedział.

Joni, jej młodsza siostra Janis oraz żona Sigeriusa, Tineke, zgromadzone w przestronnym saloniku, wiedziały, które zdjęcie miał na myśli. Chodziło

o dużą fotografię wydrukowaną niecały rok wcześniej w piśmie uczelnianym Tubantia University, położonego w lasach między Hengelo a Enschede małego uniwersytetu, którego Sigerius był rektorem. Na zdjęciu widać, jak stoi w rozkroku z gołymi stopami w błotnistej, wydeptanej trawie nad brzegiem Kanału Amsterdam–Ren, bez ubrania, nie licząc krawatu, z wyraźnie widocznymi genitaliami pod delikatnie zaokrąglającym się brzuchem pięcioletka. W następnych dniach zdjęcie przedrukowały prawie wszystkie krajowe gazety codzienne, od „NRC” po „De Telegraaf”, a nawet „Bild” i jedna z gazet w Grecji.

– Domyślam się – przyznał Aaron, zastanawiając się, czy ojciec Joni rozpytywał o niego, czy po prostu rozpoznał wysokiego, łysego fotoreportera „Tubantia Weekly”, który w czasie publicznych wystąpień latał wokół rektora jak końska mucha z lustrzanką. Uznał, że druga możliwość bardziej mu pochlebia, tak jak każdemu w kampusie schlebiałoby, iż został zauważony przez charyzmatycznego mężczyznę, który właśnie zgniatał jego dłoń.

Od objęcia funkcji w 1993 roku Siem Sigerius był świetlistym centrum Tubantii, gorącym słońcem, wokół którego spokojnie krążyło osiem tysięcy studentów i ciężko pracujących nauczycieli akademickich, zaskoczonych, ale wdzięcznych, że ogrzewał ich kampus, a nie Binnenhof³, gdzie porzucił stanowisko sekretarza stanu, czy jeden z wielkich amerykańskich uniwersytetów zabiegających o jego względy. Aaron po raz pierwszy zobaczył ojca Joni wiele lat temu w telewizji, mieszkał wtedy jeszcze z rodzicami w Venlo. Tamtego pomaturalnego sierpnia coś skłoniło Aarona i jego starszego brata do fanatycznego oglądania programu *Zomergasten*. W trakcie jednego z tych podniecających i pouczających niedzielnych wieczorów naprzeciwko prowadzącego, Petera van Ingena, zasiadł matematyk-judoka, a może uprawiający judo matematyk – w każdym razie mężczyzna, który fragmenty wideo z Wimem Ruską, dynamicznym jazzem, Letnimi Igrzyskami Olimpijskimi w Tokio z 1964 roku i występami komika André van Duina przeplatał filmami dokumentalnymi o liczbach pierwszych i wielkim twierdzeniu Fermata. Aaron przypomniał sobie filmik, w którym pewnemu rozgadanemu fizykowi udało się wywołać w nim i jego bracie – zatwardziałychem humanistach – poczucie, że rozumieją co nieco z mechaniki kwantowej. („Richard Feynman – powiedział później Sigerius – wtedy właśnie go pochowaliśmy”). Sigerius przetarł dłonią szczeciniastą szczękę i opowiedział o komputerach, o wszechświecie, o Mauritsie Escherze w taki sposób, jakby rozmowa na inne tematy była kompletną stratą czasu. Okazało się, że kiedyś walczył na macie z Geesinkiem i Ruską, ale Letnim Gościem

został głównie dlatego, że otrzymał Medal Fieldsa, wyróżnienie nazwane przez van Ingena Nagrodą Nobla w dziedzinie matematyki.

Odtąd Sigerius był ulubionym naukowcem całego narodu. Po pracy na uczelni regularnie pojawiał się w wiadomościach lub programie *Barend & Van Dorp*, udzielając naukowych komentarzy na temat aktualnych wydarzeń. Z jednej strony błyszczał inteligencją, z drugiej posługiwał się zaskakująco potocznym językiem. Mówił prosto z mostu. Jako fotoreporter „Tubantia Weekly” Aaron był tuż obok, kiedy Sigerius obejmował stanowisko rektora, i to, co uchwycił jego aparat, dostrzegał każdy: oto człowiek, którego Tubantia potrzebuje. To, kim był, wystarczyło, aby uwolnić ich od piętna zaściankowego, zapyziałego prowincjonalnego uniwersytetu z kompleksem niższości. Już podczas mowy inauguracyjnej obiecał zrobić z Tubantii najlepszy ośrodek naukowo-badawczy w Holandii – zdanie to jeszcze tego samego wieczoru zacytował dziennik telewizyjny *NOS Journaal*. Sigerius przyciągał media jak magnes: jeśli gdzieś padało słowo „uniwersytet”, na ekranie pojawiały się uszy kalafiorowate, a „ich” rektor wygłaszał w imieniu „ich” uniwersytetu swoją opinię o konkurencyjności holenderskich ośrodków badawczych, o dziewczętach i technice, o przyszłości internetu, wszystko jedno o czym. Z równą łatwością Sigerius przyciągał czołowych zagranicznych naukowców. Trochę szkoda, że Medal Fieldsa nie był prawdziwą Nagrodą Nobla, oczywiście, że szkoda, mimo to aura matematycznego geniuszu Sigeriusa oczarowywała inwestorów naukowych, nieumiejących liczyć parlamentarzystów zarządzających portfelami wiedzy, gigantów telefonii i producentów mikroczipów, którzy otwierali swoje laboratoria blisko kampusu. Może nawet uczniów – oni też znali zarośniętą gębę Sigeriusa z telewizji. Nie zapominajmy o złotej młodzieży, każdego roku od nowa trzeba ich przyciągać do pipidówki w Twente. Kto omami te dzieci, kto rzuci na nie czar?

Szczurołap z Tubantii z kutasem na wierzchu.

– Dobra robota – powiedział i puścił dłoń Aarona.

Zdjęcie zostało zrobione w pewne niedzielne popołudnie w Houten, tuż po zakończeniu Varsity, regat studenckich o długiej tradycji, w których brały udział łodzie ze wszystkich uniwersytetów. Blaauwbroek, redaktor naczelny „Tubantia Weekly”, przysięgał Aaronowi, że coś wisi w powietrzu: w osadzie Tubantii znajdował się wioślarski jedynek i chłopak, który miał reprezentować Holandię w ósemce na igrzyskach w Atlancie. Mimo wszystko to zadziwiające, że rektor poświęcił swój wolny dzień, żeby przejechać się autokarem pełnym zapijaczonych korporantów nad Kanał Amsterdam–Ren.

Podczas mało ważnych wyścigów Aaron obserwował kątem oka Sigeriusa, który stał na wilgotnej trawie terenu zalewowego, między barem a drewnianą trybuną, otoczony przez grupkę zawodowych studentów, piewców Siema – klasyczny typ studentów gotowych na wszystko, byle tylko zaskarbić sobie przychylność rektora. Sigerius zdawał się czerpać przyjemność z przebywania wśród tych chłopców. Wyrywał ich z domów w mieście, zlatywali się całymi chmarami do kampusu, marzyli o posadzie w rektoracie lub biurze informacji i szpanowali otrzymanym od Sigeriusa zaproszeniem na corocznego grilla w ogrodzie jego domu na wsi. Aaron poczuł ukłucie zazdrości. Czy ten mężczyzna udawał, czy naprawdę dobrze się bawił?

Blaauwbroek miał dobre przeczucie: to niedzielne popołudnie miało dla Tubantii epokowe znaczenie, bo po raz pierwszy w studwunastoletniej historii regat wygrała czwórka z Enschede. Aaron stał na wietrznej trybunie, gdy wokół niego wybuchła radość, eksplozja zachrypniętych okrzyków i trzaskających plastikowych kubków z piwem, a ponieważ korporanci zachowują się wyłącznie tak, jak nakazują zwyczaje, grupka fanatyków stojących przy brzegu w jednej chwili zdjęła ubrania i popłynęła na golasa do łodzi – w tym momencie Aaron spojrzał na rektora, który zrobił coś, co wcale zwyczajne nie było: Sigerius cisnął na trawę kubek wypełniony w połowie piwem i brodząc w błocie, skierował się na brzeg. Aaron zszedł z trybuny i kręcąc obiektywem, ruszył zarektorem, który z uśmiechem na ustach zrzucił już garnitur, zdejmował resztę, koszulę, skarpetki, majtki – wszystko oprócz krawatu, krawatu wioślarskiego, oczywiście dał go sobie wcisnąć, był honorowym członkiem każdego lokalu z koncesją na sprzedaż alkoholu – i zanim pobiegł w kierunku kanału, aby razem z chłopakami do niego wskoczyć, Aaron zawołał go po nazwisku – „Sigerius!” – i sfotografował w pełnej krasie z odległości mniej więcej czterech metrów.

Tata Joni miał rację, to była dobra robota i fantastyczne zdjęcie. Miało w sobie dynamikę: mężczyzna zapełniający sobą cały kadr opierał się na śródstopiu, wyrzucając w górę ręce, i chociaż wydawało się, że jego tułów właśnie rzuca się w błyszczący pas wody w tle, patrzył prosto w obiektyw z otwartymi ustami i złością w oczach. Popołudniowe słońce rzucało ostre refleksy na nagą skórę. Cała kompozycja wyglądała na dokładnie przemyślaną: wyciągnięta lewa ręka Sigeriusa zdawała się wskazywać łódź wiosłową na kanale w oddali, jak na stylizowanej fotografii sportowej, pobrzmiwały podobieństwa do igrzysk w starożytnej Grecji – ale to wszystko to pieprzenie fotografów, wiadomo przecież, dlaczego gazety musiały mieć to zdjęcie. Jeszcze w Houten Aaron przez kwadrans wykłócał się z dziewczyną

zajmującą się na Tubantii PR-em o to, że jego zdjęcie musi dostać akceptację biura informacji, do czego oczywiście nigdy nie doszło. Wręcz przeciwnie, następnego ranka w redakcji powitano go uroczyście, jakby był samym Robertem Capą.

– Jasne, że umieszczę to zdjęcie – wysapał Blaauwbroek. – Pojedzie w opancerzonym wozie do drukarni i w razie konieczności położę się na prasie obok.

Od tego czasu goły rektor zaczął pojawiać się wszędzie: w powiększeniu nad barem w stołówce wioślarzy, na T-shirtach studenckich klubów dyskusyjnych w mieście, na plakacie informującym o dużej imprezie letniej organizowanej w kampusie uniwersyteckim. Aaron widział je na drzwiach toalet w akademikach. I, przypadkowo lub nie, coraz częściej Sigerius stawał się tematem gorączkowych spekulacji w pubach na Starym Rynku i na imprezach w akademikach. Podobno w czasie podróży z Ruską do Japonii przez Związek Radziecki i Chiny po drodze strzaskał w drzazgi kilka rosyjskich restauracji; ponoć po wielkim sukcesie matematycznym został poddany terapii elektrowstrząsami w amerykańskim wariatkowie; miał rzekomo dzieci z poprzedniego małżeństwa, które wyrosły na przestępców. Wystarczyło dokładniej przyjrzeć się zdjęciu, a dezorientacja spływała z papieru wprost na kolana. Wszyscy dostrzegali, że uszy Sigeriusa są zwykłym przedłużeniem tego, co znajduje się i intensyfikuje pod eleganckimi dwurzędowymi garniturami, najczęściej w nudnym odcieniu granatu, czasem jasnoszarym lub w prążki, w ciele, które zostało odślonięte w tak nieelegancki sposób i wyglądało na szokująco mocne i umięśnione, „suche”, by użyć żargonu sportowego. To ciało wymagało wyrobienia sobie opinii, podobnie jak wyraźne tatuaże na lewej piersi: serce Sigeriusa zdobiły wykonane tanim tuszem marynarskim dwa japońskie znaki układające się według Aarona w słowo „judo”. Robiły piorunujące wrażenie, w 1995 roku tatuaże stanowiły rzadkość, w dodatku były po prostu ordynarne. A jednocześnie doskonale uzupełniały fizyczność Sigeriusa, tego małpoluda, który na posiedzeniach rady uniwersyteckiej lubił bujać się na tylnych nogach krzesła, dopóki nie musiał złapać się krawędzi stołu; który w przerwach na kawę niczym trapezista rozluźniał ramiona, rozglądając się na boki, jakby jeszcze przed wznowieniem rozmów chciał spuścić manto swoim interlokutorom – to były ciemne dziurki od klucza, przez które kampus podpatrywał dawnego Sigeriusa, łobuza, nieułamka, który rozpoczął karierę młodzieżową od dwóch tytułów mistrza Europy w judo, zabijakę, dla którego igrzyska olimpijskie w Monachium miały stać się największym

sukcesem życiowym.

W wywiadach czytali, że w 1972 roku „ich” rektor, podobnie jak Ruska, miał szansę na złoto, ale niecały miesiąc przed olimpiadą dopadł go zły los: Sigerius przechodził na drugą stronę Biltstraat w Utrechcie, żeby kupić bułkę z budyniem, i kiedy czuł już smak sosu angielskiego w ustach, najechał na niego skuter, rozcinając mu łydkę żelaznym progiem: trach i po karierze sportowej. Zgodnie z teorią, która nigdy nie znudziła się żadnemu dziennikarzowi, studentowi czy naukowcowi, bez tej niezjedzonej bułki z budyniem nie ziściłby się fenomen kariery zawodowej Sigeriusa. On sam określał to jako cud na Antonius Matthaeuslaan, ulicy w Utrechcie, gdzie w małym mieszkaniu na najwyższym piętrze przez osiem miesięcy leżał przykuty do łóżka, z gipsem aż do pachwiny. Pochmurnej zimy po igrzyskach w 1972 roku poturbowany i połamany ojciec Joni wyciągnął z pudła z „Panoramami” i „Libelle’ami” zapomniany zeszyt z zadaniami Holenderskiej Olimpiady Matematycznej, książeczkę pełną wyjątkowo trudnych zagadnień przeznaczonych dla wyjątkowo utalentowanych licealistów, i z nudów zaczął mocować się z zadaniami, kreśląc ołówkiem obliczenia na marginesach. Skończył nad ranem.

Pozostaje tylko zgadywać, co dokładnie stało się tamtego dnia, jakie drzwi otworzyły się w dotkniętej traumą głowie sportowca, ale fakty mówiły same za siebie: w ciągu trzech lat Sigerius ukończył z najwyższym wyróżnieniem wydział matematyczny utrechckiego uniwersytetu, wstrząsająco genialnie obronił doktorat i na początku lat osiemdziesiątych wyjechał z rodziną do Berkeley w Kalifornii. A tam wybił się na olimpijski szczyt. Ramanujan z Tuinwijkku dokonał przełomu w teorii węzłów, dziale matematyki analizującym to, na ile różnych sposobów można zrobić węzeł z kawałka sznurka (nie da się krócej i łatwiej opisać jego dorobku matematycznego), za co w 1986 roku otrzymał wspomniany już Medal Fieldsa na odbywającym się co cztery lata kongresie Międzynarodowej Unii Matematycznej.

To wszystko przemknęło przez głowę Aarona, kiedy rozpoznał siedzącą naprzeciw niego kobietę. Mimo jej metamorfozy od razu wiedział, kim jest. Na miejscu po przekątnej, obok dziewczyny w ceglastym kostiumie z którejś z sieciówek, siedziała matka Joni. Oślepiło go białe, stroboskopowe światło prerażenia.

Gwałtownie obudził się z drzemki bez snów i choć wciąż jechał pociągiem pospiesznym do Brukseli, minęli już Liège, w ciągu pół godziny, które przespał, jego sytuacja drastycznie się zmieniła. W pociągu panował tłok,

padające przez okna przedziału światło niedzielного wieczoru, typowe belgijskie światło, złamane i zamazane przez pagórkowaty krajobraz, wydawało się ciężkie jak ołów. Kiedy przelotnie na nią spojrział, Tineke Sigerius opierała skroń o okno przedziału i patrzyła niewidzącym wzrokiem na znikające walońskie wzniesienia i okolnice. Jego pierwszą reakcją była chęć ucieczki, rejterada, ale na korytarzu tłoczyli się podróżni – wstanie i przejście na drugi koniec pociągu było praktycznie niemożliwe. Jego ciało zachowywało się tak, jakby zaślepione paniką wbiegało na stromy pagórek. W oczekiwaniu na konfrontację wiele minut spędził w bezruchu, pocił się obficie, miał przyspieszony oddech, zmuszał się do zachowania spokoju.

Nic się nie działo. Kiedy jakaś nierówność lub niespodziewany hałas odrywały Tineke Sigerius od widoku za oknem, czuł, jak jej wzrok prześlizguje się po jego niespokojnej sylwetce. *Udawała, że go nie zna.* Zdał sobie sprawę, że ona też znalazła się w pułapce, ona też tego nie chciała. Przez przypadek usiadła naprzeciw niego, ciesząc się z wolnego miejsca w przepelnionym pociągu w niedzielny wieczór, i dopiero kiedy wcisnęła się w kąt, odkryła, że to on. Musiała poczuć ulgę, że on śpi, szczęście w nieszczęściu, które pozwoliło jej uspokoić oddech i obrać strategię. Wsiadła w Liège, ale bardziej zdziwiło go, że jedzie do Brukseli. Po co Tineke Sigerius była w Liège? Nie widział jej i nie rozmawiał z nią od ośmiu lat, jej życie mogło się oczywiście bardzo zmienić. Może ona i Sigerius wyprowadzili się z Enschede, może został w międzyczasie komisarzem europejskim i mieszkają teraz w Belgii? Oszłołomiał go ten zbieg okoliczności, wydał mu się niesprawiedliwy. Może się rozstali i mieszka tam sama? Na pewno ma innego zięcia, bogatego i odnoszącego sukcesy. Użalając się nad sobą, wyobrażał sobie, że Tineke nie jedzie do Brukseli, tylko do Paryża, do miasta jej wnucząt, gdzie od lat mieszka i pracuje Joni (według niego jej amerykańska przygoda nie trwała dłużej niż kilka lat), ma rodzinę i męża pierdołę, faceta o szerokiej twarzy, z czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami i platynowymi spinkami do mankietów. Oczami wyobraźni widział, jak otwiera lakierowane drzwi wejściowe i wyciąga ręce do teściowej, stojąc na granitowych schodach ganku.

A może się mylił? Spojrział w okno, mając nadzieję, że sumienie robi go w konia. Nie, tam siedziała matka Joni. Ależ ona chuda, wyglądała, jakby zmniejszyła się o połowę; na niewyobrażalnie wąskich biodrach wisiały brązowe spodnie z eleganckim prążkiem, miała na sobie taliowaną marynarkę, a pod spodem kremową bluzkę, na nogach kozaki na cienkich, eleganckich obcasach, które dawną Tineke Sigerius przygwoździłyby do

podłogi pociągu. Półdługie włosy, upięte w wystudiowany kok, siwiały z dystynkcją na jej zaskakująco obkurczonej głowie. Biło z niej coś, co większość ludzi określiłaby jako stanowczość, niezależność i prawdopodobnie nawet życzliwość, a w co powątpiewał już wtedy, kiedy była jego teściową: była fałszywa, a może po prostu wybuchowa. A teraz wyszło szydło z worka: wraz z fałdami tłuszczu wytopiły się resztki łagodności, wydawało się, że na zawsze. Chociaż zyskała na kobiecości, efekt został zniszczony przez nadmiar wiszącej skóry na policzkach i brodzie wraz z obwisłymi, pomalowanymi różowym cieniem powiekami z rezygnacją opadającymi na rzęsy. Miała jędzowaty wygląd.

Sigeriusowie nie powinni jeździć belgijskimi pociągami, ich miejsce jest w Twente, gdzie zostawił ich osiem lat temu. Właśnie po to, żeby uniknąć takich spotkań, odtrąbił odwrót. To nie dla dobrego jedzenia przeprowadził się do Linkebeek, osady leżącej niecałe pięć kilometrów na południe od Brukseli, gdzie, jak wydawało mu się jeszcze kilka minut temu, człowiek mógł zacząć wszystko od nowa równie niespostrzeżenie jak w Asunción czy Montevideo. Ubzdurał sobie, że będzie tu bezpieczny i nikt nie będzie go śledził, wszak Linkebeek to wieś, która ma więcej drzew niż mieszkańców, a wszystko, co niedbale i krzywo skleciły ludzkie ręce, pozostaje ukryte za szumiącym, trzeszczącym, stukającym drewnem.

Ukradkiem przeniósł wzrok na dłonie Tineke. Trzymała je na kolanach, były zaskakująco drobne i kościste, z wyraźnie zarysowanymi paliczkami. Ile stołów, ile krzesel, ile szaf wyszło spod tych rąk? Matka Joni robiła meble w warsztacie za domem, przynajmniej w tamtym czasie, designerskie elementy wyposażenia wnętrz, które za grube pieniądze trafiały do willi, biur i kamienic w całej Holandii. Teraz jedna dłoń wciąż chwyciła palce drugiej dłoni i szarpała je zawzięcie – przynajmniej tak mu się wydawało.

On i ta kobieta nigdy za sobą nie przepadali. Nie mieli dobrych relacji. Pomyślał o dniu, w którym nocował z Joni w domu na wsi i jak zwykle godzinami leżał, nie mogąc zasnąć, marząc o Sigeriusowej piwniczce z winami, aż w końcu zwałóknął się z wąskiego łóżka dla gości, chyłkiem zszedł po schodach i przez zimny korytarz dotarł do salonu. Z kuchni zszedł zwinnie po skrzypiących schodach do piwnicy i zdjął z regału z kutego żelaza jedną z butelek osobiście zakorkowanych przez Sigeriusa, zdecydowany, by otworzyć ją na kuchennym blacie i wychylić łąpczywie chociaż część jej zawartości – w nadziei, że to pomoże mu się wyłączyć. Ale gdy wspinał się po schodach na górę, usłyszał kroki w salonie i szybko dał nura z powrotem do piwnicy. Ktoś wszedł do kuchni, słychać było dźwięk otwierania i zamykania

szafek. Na palcach wyjrzał zza krawędzi schodów, ale to, co zobaczył, było szokujące i nieprzyjemne: patrzył na odrażające plecy, łańcuch górski z filmów przyrodniczych o Afryce Południowej lub preriach Arizony, lecz ten masyw był górą mięsa. To była Tineke. Naliczył sześć głębokich fałd tłuszczu od pach do tyłka, z którego od połowy zwisał jakiś pomarańczowy okap, bo „majteczkami” nie można było tego w żadnym razie nazwać.

Matka Joni rozerwała kartonowe opakowanie i wysypała prosto w otwarte usta jego zawartość – połowa wylądowała na gresie deszczem hagelslagu⁴. Opróżniła opakowanie, przeżuła jego zawartość, po czym zgmiotła je i wcisnęła głęboko do kubła na śmieci. Przestraszył się ciężkiego mlaśnięcia, z którym opadła na kolana. Zebrała rozsypany hagelslag oślinionymi opuszkami palców i wewnętrzną stroną dłoni. Z tego wszystkiego zapomniał o swojej kryjówce i kiedy oblizywała dłonie, nagle nieznacznie odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Cześć – powiedział, kiedy minął pierwszy szok. – Chciało mi się pić.

Nie odpowiedziała, mogła chociaż powiedzieć, że „była głodna”, zamiast tego wstała i bez słowa wyszła ociężała z kuchni. Dopiero gdy usłyszał na korytarzu trzask zamykanych drzwi do jej sypialni, wrócił do łóżka.

A teraz? Co mogliby sobie teraz powiedzieć? Wmawiał sobie, że pociąg jest zbyt zatłoczony, żeby mogła zrobić scenę, dlatego wyobraźnia podsunęła mu neutralną alternatywę. Co u ciebie słyhać, Aaronie? Boże, nie miał najmniejszej ochoty odpowiadać na to pytanie. Wolałby kontynuować podróż na dachu pociągu intercity niż szczerze na nie odpowiedzieć. Spędził weekend u rodziców w Venlo – comiesięczna musztra, zgodnie z zaleceniem lekarza, tak jak wszystko, co robił. Przerazała go świadomość, że jest chory, dobijało go, że neuroleptyki i antydepresanty trzymają go na krótkiej smyczy. Jak powiedzieć komuś, że jest się wariatem z antenką? Jak ma powiedzieć tej kobiecie, że jest chory umysłowo? Tineke, to ja jestem zaleceniem lekarza.

Po katastrofie w Enschede przez krótki czas pracował dla poważnych pism brukselskich, ale kiedy zimą 2002 roku druga ciężka psychoza prawie skończyła się dla niego tragicznie, on sam i lekarze orzecznicy uznali, że wystarczy tego dobrego. Od tamtej pory jeździł przerobionym na studio fotograficzne volkswagenem busem po szkołach podstawowych w Brukseli, Beersel, Ukkel i Waterloo, robiąc zdjęcia legitymacyjne i klasowe. Każdą fotografię klasową obrysowywał na podświetlaczu, oznaczając numerami poszczególne sylwetki uczniów. Na starannie uaktualnianej stronie internetowej ojcowie i matki, dziadkowie i babcie mogli zaznaczać różne formaty, ramki i napisy na zamówienie. Resztę czasu – godziny, dni, tygodnie

i miesiące, które jego rówieśnicy poświęcali na rozmnażanie się, zdobywanie pozycji, być może nawet szturmowanie nieba – spędzał na próżnowaniu, w godzinach pracy niczym bogaty emeryt wchodził po omszałych schodach na rynek, kupował gazetę w księgarni noszącej trafną nazwę *Once Upon a Time*, wykupywał lekarstwa w aptece naprzeciwko wiekowego platanu. Czasami jadł *saté* w barze przy rynku, po czym włókł się za niewidzialnym balkonikiem na zbocze pagórka, gdzie jego ogromny, nieobciążony kredytem hipotecznym dom połykał go w całości.

Według lekarzy był pacjentem, który „rozpoznawał i uznawał” swój stan, co oznaczało, że łykał kapsułki z własnej woli i dlatego mógł mieszkać samodzielnie. Ale to wszystko. Jego egzystencja była całkowicie pozbawiona ambicji. Bodźcem do życia stało się unikanie – unikanie pobudzenia, unikanie podniet, unikanie samych bodźców.

Spojrzał na swoje kolana. A jakby tutaj, w tym przeładowanym przedziale, wyjawiał swój mroczny sekret? Ze szczegółami, w skupieniu, bez owijania w bawełnę wygłosił monolog o strachu towarzyszącym psychozie? Wykład, krótką historię, wiersz o charakterze epickim o niezmiernych, irracjonalnych lękach, które pokonał? Podróżni stali ściśnięci obok siebie, trzymając się uchwytów, nikt nie mógłby się oddalić. Jeśli się postara, jeśli będzie umiejętnie operował słowem, może opisywany przez niego strach przejdzie na słuchaczy, najpierw na Tineke i dziewczynę w za ciasnym kostiumie, następnie na wszystkich podróżnych tłoczących się w przedziałach i na korytarzach. A potem wszystkich ogarnęłoby przerażenie. Jego strach udzieliłby się innym. Wybuchłaby dzika panika, jakby w jego mózgowicy eksplodował semteks.

Relacje między nim a Sigeriusem były za to znakomite. Zimą 1995 roku Aaron zakręcił się wokół inteligentnej, upartej, pięknej dziewczyny o imieniu Joni, która była Sigeriusówną z krwi i kości. Dwa miesiące później, ku własnemu zdziwieniu, wylądował na herbatce u tego gościa i jego rodziny. I stała się rzecz niemożliwa: mężczyzna, do którego łąsił się cały kampus, mężczyzna, którego obraz Aaron chłonał przed telewizorem, gdy był maturzystą z Venlo – ten mężczyzna wyciągnął do niego na powitanie zrogowaciałą rękę judoki. A on uściśnął ją zachłannie, nieco zaskoczony. Zostali przyjaciółmi, wołał nie zastanawiać się dlaczego.

Przynajmniej raz w miesiącu Joni i Aaron zjawiali się na obiedzie w wiejskim domu na obrzeżach kampusu, bielonym i kompletnie przebudowanym budynku, który był tak zachwycający, że przechodnie

spontanicznie wrzucali liściki „jeśli państwo kiedyś się wyprowadzą” do otworu na listy w ciemnozielonych drzwiach wejściowych. Chociaż nabijał się z więzi łączącej Joni z rodzicami („Tylko nie dzwoń od razu do tatusia” – mówił, kiedy musiała poradzić sobie ze spięciem elektrycznym w nagle pograżonym w ciemnościach, opuszczonym akademiku przy De Heurne), zawsze chętnie ich odwiedzał. Gdy jechali z Joni do domu na wsi, pod kołami ich rowerów centrum Enschede przechodziło w lasy Drienerlo, które niepostrzeżenie stapiały się z kampusem, stanowiącym przez cztery lata tło ich związku. W te soboty Tubantia wyglądała jak kobieta w zaawansowanej ciąży. Brzęczące pastwiska wydawały się bujniejsze niż w tygodniu, w jego wspomnieniach leśne ścieżki opadały, jechali przez pagórkowaty teren pachnący pyłkami, gdzie stawy były prawdziwymi stawami. Błyszcząca woda zbierała się w zagłębieniach terenu, podobnie jak setki uczonych i tysiące studentów napływały do tego miejsca, żeby rozbłysnąć pełnym blaskiem. Słysząc było ciche trzaski wyładowań w ich mózgach, wydawało się, że pola, drzewa i zieleń zostały naładowane statycznie przez miliardy bitów i bajtów, które pod ich stopami Aarona i Joni przelatowały przez sieć informatyczną kampusu. Gdy wracali późnym wieczorem do domu, wokół panowała prehistoryczna ciemność, a łagodne pagórki stawały się płytkimi dolinami, gazony i lasy – armią strzegącą śpiących budynków wydziałowych. Matematyka Stosowana leżała w stawie niczym brontozaur, tyranozaur Fizyki Technicznej rozciągał się nad najwyższymi koronami drzew, z łbem zatopionym w głębokim śnie wśród spiczastych gwiazd.

Czasem zostawali w wiejskim domu na noc i następnego ranka jedli gorące croissanty z marmoladą, pili z wysokich szklanek sok pomarańczowy, który Sigerius wyciskał po przepłynięciu żabką czterdziestu długości basenu w kampusie, a w tle grali Bill Evans Trio, The Modern Jazz Quartet i Dave Brubeck, łagodny jazz na niedzielny poranek, muzyka, która, jak twierdził Sigerius, działała jak balsam na zły humor od rana.

– Ścisz trochę ten balsam – narzekała Joni, ale ojciec ją ignorował. Podnosił palec wskazujący, zamykał jedno oko i krzyczał z pełnymi ustami:

– Słuchajcie!

Jego żona i dwie córki milkły, grzecznie przestawały przeżuwać i na odczepnego koncentrowały się na czymś, co ich nie interesowało, i dopiero po jakichś dziesięciu sekundach Sigerius zwalniał je z tego przykrego obowiązku, mówiąc:

– Piękna rzecz, jak Scott LaFaro gra przez Evansa. Słyszycie to? Przez niego. Tak, teraz, to, ten meandrujący bas, posłuchajcie.

- Tato, nienawidzę jazzu – mówiła wtedy Janis albo Joni, albo obie naraz.
- To! Niewiarygodne. To jednocześnie pierwszy plan i tło, pomocniczo, z wirtuozerią. Nie mogę tego ściszyć. Nie wolno.

Właśnie w tym momencie Aaron – i to stanowiło podstawę ich sojuszu, ten fakt, że był chłopcem, a nie dziewczynką, chociaż istnieją męskie klany, które mogą się obyć bez jazzu, a nawet takie, którym jazz gra na nerwach – wspominał o tragedii, którą była śmierć Scotta LaFaro w wypadku samochodowym w 1961 roku, i że Bill Evans po tej dramatycznej stracie już nigdy nie znalazł basisty tej klasy, aczkolwiek Chuckowi Israelsowi udało się zbliżyć do ideału, szczególnie w utworze *How My Heart Sings!*. I zanim skończył mówić, coś poruszało inne serce – serce jego teścia. Sigerius dzielił świat na miłośników jazzu i ignorantów, wielokrotnie powtarzał, także w towarzystwie, że nigdy nie spotkał człowieka młodszego od siebie, który wiedziałby tak wiele jak Aaron na temat jazzu, Aaron zaś nie tylko nigdy nie zaprzeczał komplementowi, ale od czasu do czasu w tajemnicy przed innymi wciąż go rozpamiętywał.

Sobotnie wieczory najczęściej zaczynali na oszklonej werandzie, która była wtedy nowa i – po całkowitej przebudowie domu rok wcześniej – przechodziła w kuchnię z wyspą, gdzie Tineke przyrządzała proste, ale smaczne posiłki, a po nich w dobrych humorach albo zatopieni w rozmowie przenosili się do dawnego saloniku. Tineke szła za nimi z tacą, na której leżały kawałki posmarowanego masłem chleba z rodzynkami i z której prawie ześlizgiwały się filiżanki z kawą, Joni otwierała drzwi szafy kryjącej tak zwany nieważny telewizor, Sigerius zaś, zgodnie z obietnicą, przez godzinę nie odbierał telefonu komórkowego. Jeśli Janis (najczęściej tuż po odcinku *Frasiera*, którego końcówkę oglądała już w kurtce) wychodziła z przyjaciółmi do pubów w rynku, a Tineke z Joni koło dziesiątej chciały obejrzeć sobotni seans filmowy, Sigerius pytał: „Może jakaś muzyczka?”, Aaron nie odmawiał i jak dwaj uczniacy znikali z butelką whisky w „pokoju muzycznym”, pomieszczeniu na parterze, które skrywało dwa bordowe fotele w stylu chesterfield, arcydrogi wzmacniacz NAD z odtwarzaczem płyt kompaktowych, gramofon Thorensa i dwa wysokie głośniki B&W na cienkich nogach, a także kawałki pianki NASA, które Sigerius zwinął z Wydziału Fizyki Technicznej – to tam, między oprawionymi zdjęciami Buda Powella, Theloniousa Monka i Billa Evansa, słuchali demokratycznie, z obustronnym prawem weta wybranych płyt, oryginalnych amerykańskich winyli przechowywanych przez Sigeriusa w wąskich, wysokich szafach z litego drewna bukowego zaprojektowanych i wykonanych przez jego żonę.

Męskie sprawy, tak jak to ich judo. W holu wiejskiego domu wisiało powiększone zdjęcie przedstawiające pięciu mężczyzn z gołymi, masywnymi klatkami piersiowymi dźwigających pień drzewa na wzgórze: Geesink, Ruska, Gouweleeuw, Snijders – powiedział mu Sigerius – a drugi z lewej, ten z napreżonymi mięśniami piersiowymi i przystrzyżonymi ciemnymi kędziorami wijącymi się nad płaską twarzą, to on sam. Narodowa kadra judo trenująca przed mistrzostwami świata, sześćdziesiąty piąty albo szósty rok. Geesink, trener biorący czynny udział w zawodach, wysłał swoją drużynę w lasy pod Marsylią i według Sigeriusa był katem, ale kiedy trzeba było wnieść pień na górę, siedł jako pierwszy. Na szczycie, gdy wszyscy dogorywali, Geesink chwycił pień za jeden koniec i podciągał go drżącymi z wysiłku rękoma jakieś dziesięć razy, zdejmował ubranie z parującego ciała i wskakiwał do górskiego potoku.

– Jeśli podawaliśmy mu potem butelkę wody, odmawiał, bo szkoda mu było gasić pragnienie – powiedział Sigerius, który szybko się zorientował, że do dziewiętnastego roku życia Aaron trenował judo, a kiedy dowiedział się, że ma nawet czarny pas, namówił go do wznowienia treningów, najpierw w grupie seniorów w ośrodku sportowym, w którym Sigerius udzielał lekcji w czwartkowe wieczory, a gdy po pół roku, jak to się mówi, Aaronowi wróciło „dawne czucie”, Sigerius zapytał go, czy nie chciałby przystąpić z nim do egzaminu na kolejny stopień dan.

Judo jest zadziwiająco intymnym sportem. Przez ponad dwa lata kilka razy w tygodniu leżeli w uścisku na macie w salce, którą przez intensywne, skoncentrowane godziny mieli praktycznie tylko dla siebie, prawie ze sobą nie rozmawiając. Dali sobie rok, żeby udoskonalić przerzuty i pracę nóg, Sigerius chciał zdobyć czwarty dan, a Aaron drugi. Każdy trening kończyli fanatycznymi walkami, które nawet teraz często wspominał. A po każdym treningu, czasem w pokoju gościnnym w wiejskim domu Sigeriusa, wchodził do łóżka, w którym leżała już Joni, wychowana z wielką troskliwością, oczko w głowie Sigeriusa, i wówczas już z daleka czuł, że dziewczyna pachnie tak jak jej ojciec – może to przez proszek do prania kupowany przez Tineke, nie był pewien. I kiedy mieszał feromony – był posłańcem zapachów ciała, trzmielcem migrującym między dwoma ciałami tej samej marki – czuł, jak wzmagają się w nim dziwne poczucie szczęścia, gdy niespiesznie uprawiali miłość, wydając przytłumione jęki w łóżku gościnnym Sigeriusa, z ręką Aarona zaciśniętą na gorących ustach Joni, aby nie obudzić śpiącego piętro niżej nierealnego przyjaciela.

Przejeżdżali przez Leuven. Tineke zamknęła oczy, udając, że śpi, by mogli przestać dla siebie istnieć. Podziwiał jej zimną krew. Nie widział żadnego z Sigeriusów od listopada 2000 roku, tego roku, w którym wszystko się posypało. Mimo to wciąż pojawiali się w jego podświadomości, wciąż nieustająco śnił o Enschede i najczęściej były to koszmary.

Zapadał zmierzch, niebo przybrało barwę purpury, delikatnie srebrząc się na krawędziach rozciągniętych chmur. W oknie zobaczył odbicie swojej łysej głowy. Poczuł, że się uspokaja i jednocześnie wpada w ponury nastrój. Wzdłuż kanału wyrosła wioska, zadziwiająco wcześniej ukazał się na niebie chudy sierp księżyca. Za chwilę pojawią się stęchłe ciemności Linkebeek, pokona je pieszo w drodze do pustego domu, gdzie czeka go osamotnienie w wysokich, zimnych pokojach, za którymi tęsknił już w Venlo. Był wdzięczny losowi, że to Tineke go ignorowała, a nie Sigerius.

Nigdy nie był całkowicie rozluźniony. Zdarzało się, że w obecności Sigeriusa zastygał w bezruchu, wręcz kamieniał: szczęki zaciskały się i tworzyły niemożliwe do opanowania napięcie fizyczne, rozprzestrzeniające się od kręgów szyjnych przez ramiona na całe ciało. Zamieniając się w posąg, godzinami walczył, żeby nie zastygnąć całkowicie, w międzyczasie rozpaczliwie kontynuował rozmowę, modląc się, żeby nie zawiódł go głos. Gdyby w takim momencie Sigerius go przewrócił, rozbiłby się na kawałki jak wazon z chińskiej porcelany.

W odczuciu Aarona ich przyjaźń była magiczna – zanim przyjechał do kampusu, żeby studiować fotografię, oblał egzaminy na niderlandystyce w Utrechcie, jego własne miasto studenckie go odtrąciło, a tutaj, ot tak, przedarł się do samego przedsionka akademickiego serca – ale była też kłamstwem. Udawał kogoś lepszego, niż był w rzeczywistości. Zaczęło się od jazzu. Którejś niedzieli w wiejskim domu, niedługo po ich pierwszym spotkaniu, siorbali gorącą kawę z filiżanek z uszkiem. Nieobecny duchem, zamyślony Sigerius wstał, podszedł do ultranowoczesnej stalowej szafy, w której znajdował się gramofon, i włączył winyl. Jazz. Zanim Sigerius usiadł obok żony na długiej sofie w kolorze pudrowego różu, Aaron rozpoznał muzykę. Odczekał chwilę, aby się upewnić, ale miał rację: kompozycja, pełny, nieco zalotny dźwięk pianina – to był Sonny Clark, a płyta nosiła tytuł *Cool Struttin'*. Wydobył z pamięci klasyczną okładkę wytwórni Blue Note z parą damskich nóg idących nowojorskim (tak sądził) chodnikiem. Ponad głowami Joni i Tineke rzucił:

– Ładna płyta, *Cool Struttin'*.

Brązowe oczy Sigeriusa w twarzy pokrytej porannym zarostem, jaki Aaron

musiałby hodować przez tydzień, nagle się powiększyły.

– *Cool Struttin'* to fantastyczna płyta – powiedział ostrzejszym, wyższym tonem, jakby jego głosem zajął się stroiciel pianina. – A więc ją znasz. *Cool Struttin'* to chyba najlepszy longplay Clarka Terry'ego.

Clarka Terry'ego? Aaron od razu zrozumiał, że Sigerius się myli, że pomylił Sonny'ego Clarka z Clarkiem Terryem – cóż za śmieszna pomyłka – postanowił jednak nie wytykać mu błędu. Z taktycznego punktu widzenia nie powinien dawać lekcji swemu nowemu teściowi niczym domorosły belfer, ale był zbyt ambitny, żeby udawać głupiego.

– Zgadzam się – powiedział. – To był najlepszy zespół Sonny'ego Clarka z niezłym perkusistą Phyllym Joem Jonesem. Chociaż raz nie walił w talerze jak oszalały.

Przez chwilę Sigerius miał oczy jak spodki, potem nagle je zamknął i rzekł:

– Terry. To Clark Terry.

– Na pianinie gra Sonny Clark – odparł Aaron zbyt stanowczo. – Terry jest trębaczem.

– Jesteś pewien? – zapytała Joni.

Sigerius poderwał się z miejsca, ominął żonę i stukając obcasami po posadzce, podszedł do ogromnej szafy, zrobionej, o czym Aaron dowiedział się później, przez Tineke. Wyjął okładkę, rzucił okiem na jej przód i tył, odstawił pionowo obok gramofonu i zamknął szafę. Z nadmiernym ociąganiem się wrócił na sofę i usiadł.

– Masz rację. Oczywiście, że masz rację. Kurde, przecież widziałem Terry'ego w Kurhausie. A później w Bostonie. Moje panie, na przyszłość muszę uważać na słowa.

Dokładnie to samo robił Aaron przez następny kwadrans: Sigerius nie odkrył, że Aaron wcale nie wiedział zbyt wiele o jazzie, że płyta Sonny'ego Clarka to był przypadek. To przez te nogi tak dobrze znał *Cool Struttin'*. Kupił tę płytę kiedyś na pchlim targu w Dniu Królowej, potem okładka kilka lat wisiała przylepiona taśmą klejącą na drzwiach szafy, sam winyl zaś kurzył się na gramofonie. Lubił jazz, ale jeśli miał być szczery, kochał bluesa i rock and rolla.

Szczerłość nie była jednak jego specjalnością. Ponieważ Sigerius nazwał go znawcą jazzu, kimś o bezkresnej, encyklopedycznej wiedzy, w dodatku z jego dziedziny, pokrewną duszą, Aaron jak nakrecony zabrał się do pracy. Jeszcze w tym samym tygodniu nerwowo chłopak w czarnym golfie z księgarni Broekhuis namówił go na *Penguin Guide to Jazz on CD*, liczącą tysiąc pięćset stron biblię jazzu, w której zdaniem „golfa” można było nie tylko znaleźć całą

historię jazzu, lecz także oddzielić ziarno od plew dzięki poręcznemu systemowi gwiazdek. W antykwariacie De Slegte naprzeciwko Broekhuysa kupił biografię Milesa Davisa, poradnik *Jazz dla bystrzaków* i książkę zatytułowaną *Billie i prezydent*. W portfelu od kilku lat trzymał wizytówkę emerytowanego dentysty z Boekelo, siwego mężczyzny w czerwonych spodniach, który stał za nim w kampusowej fonotece i zauważył, że Aaron właśnie wypożyczył płytę Buda Powella. Mężczyzna zagadnął go i powiedział, że w domu ma osiemset oryginalnych jazzowych longplayów, amerykańskie tłoczenie, gruby, czarny jak smoła winyl, okładki z twardego kartonu.

– Mogę ci je sprzedać po guldenie za sztukę – oznajmił, a pęczniejące pragnienie uniosło Aarona prawie na wysokość lamperii. – Zadzwoń do mnie – dodał i Aaron zrobił to jeszcze tego samego dnia.

Wciąż do niego dzwonił, najpierw dwa razy w tygodniu, potem dwa razy w miesiącu. To były krótkie, grzeczne, zdawkowe rozmowy, mężczyzna mówił, że jest bardzo zajęty albo właśnie wybiera się do Stanów, że jest chory albo wkrótce się rozchoruje, więc „zadzwoń do mnie innym razem”, ale „inny raz” wciąż odsuwał się w czasie, rozmowy stawały się nerwowe, aż w końcu Aaron przestał mu wierzyć. Wsadź sobie te płyty w swoją sędziwą dupę. Wreszcie jednak postanowił zaryzykować i pokonał rowerem spory kawałek do Boekelo. Na końcu wsi znalazł adres z postrzępionej wizytówki i zadzwonił do drzwi domu seniora. W drzwiach stanął jakiś Turek.

Tym sposobem splądrował płytotekę i kiedy nie było przy nim Joni, studiował historię jazzu, jakby układał program letniego festiwalu North Sea. W skupieniu badał zawzięcie hasła związane z artystami – najpierw sławy, którym poświęcono najwięcej stron: Parkerom, Ellingtonom, Monkom, Coltrane’om, Davisom, potem pozostałym znakomitościom złotych lat pięćdziesiątych: Fitzgeraldom, Evansowi, Rollinsowi, Jazz Messengersom, Powellowi, Gillespie’em, Getzom. Słuchał ich płyt, notował w zeszycie szczegóły biograficzne, zapamiętywał nazwy wytwórni: Blue Note, Riverside, Impulse!, Verve, Prestige. Dokładnie tak samo jak ze studiami, tyle że zapoznanie się z pieprzoną *Drogą z kapliczką* zajęło mu trzy tygodnie, a z *Giant Steps* trzydzieści siedem minut i trzy sekundy. Książki zdominowały mu pierwszą połowę lat dziewięćdziesiątych, czytał obsesyjnie, całymi wieczorami, na przystankach autobusowych i w poczekalniach, w bezsenne noce: odhaczał tytuły, mocował się z dorobkiem literackim pisarzy, to były pięcioletnie roboty przymusowe, dzięki którym chciał zatrzeć złe wrażenie z Utrechtu – teraz uwinął się z zadaniem w pięć tygodni. Wiedział, że jest

dobrze przygotowany. Po kolejnych pięciu tygodniach stał obok Sigeriusa i słuchał kwartetu Pieta Noordijka, sącząc whisky i licząc na smykałkę do jazzu.

Oszustwo? Jasne. Ale w domu na wsi wszyscy kłamali. To była rodzina skrytych wojowników. Chociaż wiedział, że to kiepskie wytłumaczenie, wmawiał sobie, iż w tym domu każdy miał swoje tajemnice: Sigerius, Tineke, Joni, on – każdy coś ukrywał. Jak długo żył w nieświadomości, że Janis i Joni nie są biologicznymi córkami Sigeriusa? Długo. I najchętniej nigdy by mu tego nie powiedzieli. O rzeczywistych więzach rodzinnych się nie rozmawiało. Czasem można było odnieść wrażenie, że sami o nich zapomnieli.

Musiał minąć ponad rok, nim Joni powiedziała mu podczas weekendu w lasach Drenthe, że jej rodzice rozeszli się, gdy miała pięć lat. Bardziej niż sama wiadomość zaskoczyło go, że dopiero po tak długim czasie ujawniła stosunkowo zwyczajny fakt bycia dzieckiem rozwiedzionych rodziców, ale ponieważ mówiła o tym z trudem i ze śmiertelną powagą, nie dał niczego po sobie poznać. Nocowali na uboczu, w domku letniskowym z malowanego drewna, około dwudziestu kilometrów na południe od Assen i najwyraźniej grubo zarysowany romantyzm odosobnienia wraz z płonącym kominkiem przyczynił się do jej wylewności. Podczas mroźnego zimowego spaceru po lesie musiał zgadnąć, kto jest jej prawdziwym rodzicem.

– Powiedz no, Siem czy Tineke?

– Dobre pytanie – odpowiedział, chociaż tak naprawdę uważał, że jest łatwe. – Oczywiście, że Sigerius.

– Dlaczego tak myślisz?

– Tak myślę, po prostu. To strzał w ciemno. Nie jesteś do niego podobna fizycznie, ale do matki też nie. Obydwoje lubicie sport. Jesteście wysportowani.

Prawda była taka, że fizycznie w ogóle nie byli do siebie podobni. Sigerius miał ciemną karnację, oczy koloru wystygłej kawy i wyglądał jak Cygan, niemal groźnie. Na widok jego zarostu biolodzy ewolucyjni dostawali ślinotoku. Joni miała jasną karnację i blond włosy, była delikatna jak motyl, miała gładką i symetryczną twarz, z którą Sigerius nie mógł mieć nic wspólnego. Mimo to Aaron dostrzegał wspólny mianownik między nimi: werwę – ojciec i córka charakteryzowali się bowiem tym samym imperatywem działania, irytowały ich wahanie i opieszałość, nie rozumieli pogodzenia się z losem, szczególnie u kogoś innego, na przykład u Aarona.

Podobnie jak Sigerius, Joni była mądra, twarda i przedsiębiorcza. Może miała to w genach.

– A więc dlatego, że nie jestem gruba, myślisz, że Siem jest moim biologicznym ojcem?

Zdał sobie sprawę, że właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiał, nie miał zbyt wielu powodów, żeby coś podejrzewać.

– Tak – powiedział. – Nie... Chodzi też o to, jak się do siebie odnosicie. Ty i Siem jesteście pokrewnymi duszami, to widać od razu. Janis to córeczka mamusi. Ciebie ciągnie do ojca.

– Ale Janis i ja jesteśmy rodzonymi siostrami. To niczego nie dowodzi.

– To po prostu powiedz.

– Więc myślisz, że to Siem?

– Tak, tak właśnie myślę.

– Pudło! – krzyknęła, po czym zaniosała się śmiechem, kopnęła bukowe gałęzie i zdeptała resztki zbutwiałych liści, jakby w jednej chwili wyparowała powaga jej wyznania, ponieważ się pomylił. Nie powiedziała tego, ale z jej dziwnego podniecenia wynikało, że cieszyła się, iż wskazał Sigeriusa, podejrzewał ją nawet o to, że najchętniej pozwoliłaby mu dalej żyć w słodkiej niewiedzy. Musiał przyznać sam przed sobą, że poczuł się rozczarowany i rozgoryczony, geny nie miały tutaj nic do rzeczy, ale to oczywiście również przemilczał. Możliwe, że pomyśleli o tym samym, bo kiedy wrócili do zawilgoconego bungalowu, radosny nastrój Joni ustąpił miejsca opanowaniu, o jakie Aaron jej nie podejrzewał.

Kiedy na dwupalnikowej kuchence przygotowywał gorącą czekoladę, a Joni oglądała panczenistów, siedząc na przeżartej przez mole kanapie ze starym numerem „Panoramy” na kolanach, rozmyślał nad łatwością, z jaką ona i jej młodsza siostra nazywały Sigeriusa „tata”. Mówiły do niego „tato” z zadziornym lub pełnym podziwu uśmiechem. Gdy chciały coś uzyskać, przymilały się do niego: „Mogę, tatku?”. Rozdrażnione, przeciągały słowo „taaato”, gdy je zdenerwował. Kiedy zapytał ją o to, Joni, nie kryjąc dumy, powiedziała mu, że tak było od pierwszego dnia: mówiła do ojczyma „tato” od tamtego dnia w 1979 roku, kiedy Siem Sigerius i Tineke Profijt pobrali się w utrechtckim ratuszu, bez fanfar, strojów ślubnych, rollsa czy bentleya. Miała wtedy sześć lat, a Janis trzy. Od ślubu matki Joni przedstawiała się jako Joni Sigerius. Swoje prawdziwe nazwisko, Beers, które niechętnie mu zdradziła, zalała betonem i zatopiła w Vechcie.

Później pokazała mu w mieszkaniu studenckim ochrowe polaroidy przedstawiające malutką Joni z dwoma jasnymi kucykami, dziewczynkę

wyjatkowo pospolitą, prawie brzydką sześciolatkę z wystawionym językiem, wiszącą na nodze młodego Sigeriusa – nodze jej nowego ojca, który zapuścił bujną brodę. Jej matka, wtedy wyjątkowo szczupła, nie chuda tak jak teraz, ale szczupła, ubrana była w ciemnozielony kostium, na rękach trzymała zasmarkaną Jonis, a na nosie miała duże, brązowe okulary przeciwsłoneczne, ponieważ tydzień wcześniej lekarz usunął jej skalpelem opryszczkę z lewego oka.

Chcąc raz na zawsze odciąć się od przeszłości, matka podążyła z córkami za nowym przywódcą do Ameryki, do Berkeley, gdzie Sigerius został *assistant professorem* na Wydziale Matematyki. Ani tam, ani w żadnym innym kampusie Joni Sigerius nigdy sama z siebie nie opowiadała o biologicznym ojcu. Aaron musiał nalegać, żeby podała jego imię.

– Theun.

– Theun – powtórzył. – Theun Beers. Okej. A czym się zajmował?

Jej ojciec biologiczny był przedstawicielem handlowym importera artykułów tytoniowych, pod tabliczką z nazwiskiem na drzwiach ich mieszkania widniał napis „wyroby tytoniowe”, a za podwójnymi drzwiami komody kryły się kartony papierosów posegregowane według marek, zdobywane przez Beersa w niejasnych okolicznościach i sprzedawane bez akcyzy cuchnącym nikotyną tytkom, którzy o różnych porach składali ochryple zamówienia w ich pokoju stołowym, ale najczęściej wtedy, kiedy Joni była już w łóżku. Jej ojciec często wracał do domu po dziewiątej, mielone czy sznycle jadał w knajpach dla przedstawicieli handlowych lub w przydrożnych restauracjach. Powiedziała, że w weekendy też rzadko go widywały, bo albo miał próbę, albo występował z odnoszącym niewielkie sukcesy zespołem bluesowym, w którym był wokalistą i gitarzystą.

– Grał bluesa? Nagrywał też płyty?

– A bo ja wiem. Chyba tak.

(Bluesa? Najchętniej w te pędy udałby się na Vluchtestraat, żeby w trzynomowej *Encyklopedii popu* wydanej przez czasopismo muzyczne „Oor” znaleźć Theuna Beersa. Kapela bluesowa, Jezu, dopiero teraz o tym wspomniała. I, cholera, następnego dnia w najstarszej encyklopedii popu pod hasłem „nederblues” znalazł trzywersową wzmiankę o Beersie i jego zespole Mojo Mama: „formacja bluesowo-rockowa z frontmanem i gitarzystą Theunem Beersem, który przez krótki czas był otoczony lokalnym kultem”, niegdysiejsza „odpowiedź Utrechtu na Cuby + Blizzards”, nagrał „trzy płyty długogrające nierówne pod względem jakości”, był „szczególnie ceniony za występy na żywo”. Po przeczytaniu tych słów wyobraził sobie Tineke, matkę

Joni, jako grupie, ważącą mniej więcej tyle co teraz, z kwiatami we włosach i w butach na koturnach, siedzącą za kulisami na kolanach wielkiego Theuna).

Chociaż na przyjęciach urodzinowych wujkowie lubili żartować, że przynajmniej Theun nie wyszedł po papierosy, tak naprawdę zniknął z ich życia na długo przed rozwodem z ciężarną Tineke, jak kot, który ucieka z domu. W jej wspomnieniach mężczyzna ten nigdy nie spał z nią pod jednym dachem, co oczywiście nie mogło być prawdą, ale niech jej będzie.

– Myślisz czasem o nim?

– Nigdy. Tylko przy okazji rozmów takich jak ta. Dopiero jak ktoś pyta, czy myślę o swoim prawdziwym ojcu, naprawdę zacznam o nim myśleć.

Kiedy powtarzał jak mantrę te wszystkie „dlaczego”, kiedy pytał „dlaczego nigdy nie myślisz o Theunie Beersie?”, na przykład gdy siedzieli u niego w mieszkaniu przy Vluchtestraat i oglądali *Spoorloos*⁵, zapewniała go, że nie ma do niego urazy, nie czuje chęci odwetu za coś, co jej zrobił, że się go nie wyparła, nie, jej ojciec po prostu zniknął z jej życia i nie odcisnął w nim żadnego śladu, tylko tyle.

Dopiero w niedzielę podczas wspólnego weekendu w Drenthe, właściwie trochę poniewczasie, bo pytanie nasuwało się samo, zapytał ją, czy Sigerius był wcześniej żonaty.

– Tak – odpowiedziała zdawkowo.

W dobrych humorach wracali z muzeum dolmenów i jechali obok siebie ścieżką rowerową biegnącą równoległe do głównej drogi. Wcisnął do oporu hamulce bębnowe w wynajętym rowerze.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Dlaczego tak mało mi mówisz?

– Przecież teraz ci o tym mówię! – krzyknęła, nie zatrzymując się. – Ma jeszcze syna.

– Co mówisz?

– Że ma syna. – Bez schodzenia z roweru zawróciła chybotliwie i zbliżyła się do niego. – Syna o imieniu Wilbert. Wilbert Sigerius.

– Więc macie przybranego brata.

– Można tak powiedzieć. Nie widzimy się. On żyje swoim życiem. Tak jak my.

Zasypał ją pytaniami, ale albo nie mogła, albo nie chciała mu zbyt wiele opowiedzieć o Wilbercie, chociaż w najwcześniejszym okresie życia była jego sąsiadką z dołu. („Sąsiadką z dołu? – zawołał. – Wyjaśnij mi to, proszę”). Opowiedziała mu skomplikowaną historię, potrzebował chwili, żeby ją zrozumieć. Na początku lat siedemdziesiątych przy Antonius Matthaeslaan

w Utrechcie mieszkały dwie rodziny: Sigerius ze swoją pierwszą żoną, Margriet, i synkiem o imieniu Wilbert, we trójkę, w mieszkaniu numer pięćdziesiąt dziewięć bis, na górze, natomiast niżej, pod numerem pięćdziesiąt dziewięć, mieszkała Tineke z Theunem i dwiema córeczkami.

Joni pamiętała odgłosy kłótni Sigeriusa i Margriet na górze, awantury, z których rozumiała każde słowo, kiedy siedząc na krzeselku przy długim blacie z Tineke i Janis, jadła jogurt z cukrem, wspominała złowieszcze ryki Wilberta, histeryczne odgłosy tupania, przenikliwy głos zapłakanej Margriet. Po kilku latach zakończyło się to klasycznym dramatem rozwodowym: Tineke i Siem, sąsiadka z dołu i sąsiad z góry, zakochali się w sobie i zostali przyłapani na gorącym uczynku przez matkę Wilberta, tę Margriet, chociaż Joni nie знаła pikantnych szczegółów.

– Cudzołożne świnię – powiedział Aaron.

Zanim sprawa wybuchła, rozrabiaka z góry regularnie przetaczał się przez ich mieszkanie na parterze w drodze do wyłożonego płytami ogródka, gdzie deptał sadzonki truskawek i rozbijał donice. Pachniał słodkim mydłem. Z tego, co Joni pamiętała, po rozwodzie Wilbert raz u nich nocował. Gdy Sigerius zabrał ich ze sobą do Ameryki, jego wizyty oczywiście się skończyły.

W albumie ze zdjęciami z tamtego okresu Aaron zobaczył wyrośniętego kobolda⁶ o kruczoczarnych włosach, z szeroko rozstawionymi, czarnymi jak smoła oczami ojca i obleśnymi, pełnymi ustami – bezczelnego typu już na pierwszy rzut oka. Dopiero później Joni dowiedziała się, że był postrachem okolicy, z łatwością terroryzował dzieci starsze od siebie, każąc im zjadać złapane przez siebie ropuchy. Konstruował bomby benzynowe, wykorzystując paliwo spuszczone z zaparkowanych samochodów, sikał do skrzynek na listy w domach dla seniorów. Zmusił córkę dalszych sąsiadów do kradzieży pieniędzy z matczynej portmonetki. Jedyne żywe wspomnienie Joni o nadpobudliwości Wilberta dotyczyło pewnego ciepłego wieczoru, kiedy niespodziewanie znalazł się w jej pokoju z kompanem z tej samej ulicy, prawdopodobnie tuż po tym, jak dzięki łutowi szczęścia weszli przez otwarte drzwi mieszkania na parterze. Taszczyli we dwóch ogromne, zielone gumowce, prawdopodobnie kalosze Sigeriusa, wówczas zwykłego sąsiada z góry, które wypełnili po brzegi piaskiem z piaskownicy. Chłopcy wkładali żółtą rurę z PCW między sztachetki jej łóżeczka, doprowadzając ją do płaczu, a kiedy rozdziawiła buzię trzylatki, wysypali jej piasek na twarz. Miał ziarnisty smak, wcisnął się jej w gardło jak pięść, był wilgotny i zimny, zatkał jej nos i oczy, prawie się udusiła, jak powiedziała.

Na równoległym torze zadudnił przejeżdżający pociąg towarowy. Przestraszona Tineke otworzyła oczy i wpatrywała się w niego przez dwie ogłuszające sekundy. W Venlo łykał oksazepam, ale czuł, że musi ponownie naciągnąć troczki kaftanika bezpieczeństwa, którymi skrępowany był jego mięsień sercowy. Z jej szalonych, niebieskich źrenic można było wiele wyczytać: dezaprobatę, pogardę, rozczarowanie. Arogancję. Zadrżała, zakryła się kłapami marynarki i ponownie zamknęła oczy. Zgromadził ślinę w ustach i z tylnej kieszeni wyszarpał portfel. Spoglądając na zamknięte oczy Tineke, wyjął srebrny listek oksazepamu i wycisnął dwie tabletki. Dziewczyna w czerwonym kostiumie obserwowała go, po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę, na chwilę przestała żuć. Jej usta były obrysowane czarną kredką, wulgarnie, staroświecko – „wary obciągary”, jak nazywała je Joni w ubiegłym wieku. Włożył tabletki do ust, skąd w bańce ze śliny powędrowały prosto do żołądka.

Niedługo po wyznaniu Joni siedział z Sigeriusem na końcu długiego baru kantyny w centrum sportowym; mieli zaróżowione policzki od gorącego prysznicza po kolejnym czwartkowym treningu, Aaron nad szklanką piwa i z papierosem, a Sigerius nad tonikiem, ponieważ musiał jeszcze popracować. Jego teść w codziennym ubraniu: nienaganny błękitny sweter z owczej wełny, a pod spodem koszula, do tego sztruksowe spodnie podkreślające jego mocne łydki, szerokie stopy w mokasynach oparte na podnóżku stołka barowego, przy którym niczym rozleniwione zwierzę leżała jego pękata skórzana torba sportowa. Co kilka minut Sigerius podnosił rękę, pozdrawiając znajomych. Aaron czuł się lekko zakłopotany, przebywając z rektorem w miejscu publicznym.

Kantyna była szeroka i szara, typowa dla stylu lat osiemdziesiątych, przypominała planszę Pac-Mana, między niewysokimi ściankami z betonu komórkowego stały wysokie aralie, które miały za mało światła, na środku znajdował się stół bilardowy i piłkarzyki. Niskie pluszowe sofy były o tej porze puste, opary chloru ulatniające się z basenu gdzieś w brzuchu budynku mieszały się z zapachem frytury i linoleum. Analizowali przebieg treningu, rozmawiali trochę o uniwersytecie, o radzie studenckiej, która była solą w oku Sigeriusa, co chwila wtrącał, że „to poza protokołem”. Przez kilka tygodni Aaron krążył wokół tematu, a teraz zapytał:

– Tak przy okazji, Siem, wiesz, że nie wiedziałem, że masz syna?

Sigerius właśnie upił łyk toniku. Postawił szklankę na barze, otarł usta i milczał przez parę sekund.

– No proszę – stwierdził – powiedziała ci. To było nieuniknione.

– Naprawdę zdębiałem. Nie miałem pojęcia.

– Przestraszyłeś się?

– Trochę. Trochę tak. Byłem zaskoczony, to zrozumiałe. Jesteście taką szczęśliwą rodziną. To spora niespodzianka.

– Dobrze to rozumiem. Nawet bardzo dobrze. Cholera, to w końcu nie byle co.

Ponieważ poważny ton zrobił na Aaronie wrażenie, Sigerius ostrożnie dobierał słowa.

– Cóż – odpowiedział – takie rzeczy się zdarzają. Statystyki nie kłamią. Właściwie to ciągle się o tym słyszy.

Sigerius potarł dłonią szczecinę, wziął głęboki oddech i wypuścił nosem powietrze.

– To miło z twojej strony – powiedział – ale myślę, że to nieprawda.

– Rozwód? – zapytał Aaron zaskoczony.

– Rozwód?!

Sigerius spojrzał na niego i skrzywił się, z zaskoczenia jego uszy się poruszyły, ale w oczach pojawiło się ogromne zmęczenie, w jednej chwili się postarzał. Uśmiechając się szyderczo, zdjął włos ze swetra i pozwolił, aby niespiesznie opadł na wymalowany na podłodze żagiel. Wtedy zapatrzył się przed siebie, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Aaronie – zaczął – nie wiem dokładnie, do czego zmierzasz, ale ja mówię o zabójstwie. O brutalnym morderstwie, które władza ustawodawcza każe nam nazywać zabójstwem. Ten drań kogoś sprzątnął. Siedzi już od czterech lat. Tego też nie wiedziałeś?

Dochodziła jedenasta wieczorem. Wysoki jak brzoza student, który stał przy barze jakieś dziesięć metrów od nich, z podwiniętymi rękawami koszuli pukał szklanki. Poza dwoma mężczyznami w dresach, rozmawiającymi szeptem przy stole bilardowym, w kantine nie było nikogo. Wszystko, o czym Sigerius i Aaron mówili, wnikało głęboko w pory betonu komórkowego. Cisza, której Aaron pozwolił zapaść, była ciężka jak jakiś masywny przedmiot. Morderca? Rumieniąc się, powiedział:

– Zmyślasz, Siem. Żartujesz sobie.

– Chciałbym, żeby to był żart.

Próbując wypowiadać się lakonicznie na temat faktów ze swojego życia, Sigerius opowiedział mu o jedynym potomku, obecnie chłopaku mniej więcej w wieku Aarona. Nie było czym się chwalić. Życie pełne wykroczeń, narkotyki, recydywa. Ten sam Wilbercik, o którego istnieniu Joni poinformowała go w bardzo neutralny sposób, w wersji Sigeriusa stał się

kryminalistą, który sam wkręcił się w nieszczęście jak korkociąg w korek od wina. Wilbert sięgnął dna pewnego zwykłego roboczego dnia w 1993 roku, gdy zakatował na śmierć pięćdziesięciodwuletniego mężczyznę.

– Holandia to piękny kraj – powiedział Sigerius. – Jeśli nie chcesz się dostosować, masz do dyspozycji liczną grupę wyspecjalizowanych przyjaciół. Kto nie ma jaj, żeby zająć się uczciwą pracą, ale ma przeszłość kryminalną, dostanie od nas dotowaną posadę.

Jego wypowiedź była zaskakująco gorzka, bardziej prawicowa niż zwykle; to była wycieczka osobista, bo ta sprawa zachwiała jego socjaldemokratycznymi zasadami. Aaron był wdzięczny, że Sigerius nie patrzy na niego – może czuł się zażenowany, może chciał, aby opadły z niego emocje, to często pomaga. Aarona ogarnęło dziwne podniecenie, częściowo składała się na nie wdzięczność, że Siem obdarzył go zaufaniem, a po części uczucie dyskomfortu z powodu tej nagłej zażyłości. Czuł się tak, jakby w tej kantynie ze sobą tańczyli.

– Dali mu kombinezon i godziwą pensję, żeby miał się gdzie rano zameldować z drugim śniadaniem. Po wielu kłopotach, o których nie będziemy teraz rozmawiać, mógł zacząć wszystko od nowa. Czego chcieć więcej? W dodatku w Hoogovens. Wspaniałe przedsiębiorstwo, od stu lat dziesiątki tysięcy Holendrów uczciwie pracują tam na chleb. Można powiedzieć, że to była szansa. Po pierwszej lepszej sprzeczce chłopak chwycił za młot kowalski i piętnastoma uderzeniami zrobił marmoladę ze swojego bezpośredniego przełożonego, brygadzysty, który chciał dostać kiedyś złoty zegarek od firmy za wysługę lat. Siedziałem w ławce dla publiczności, kiedy prokurator opisywał to, co widzieli różni świadkowie. Co się dzieje z człowiekiem, który otrzymał cios czterokilowym metalowym młotem.

Sigerius zwilżył wąsy, wysuwając dolną wargę, i przyglądał je kciukiem i palcem wskazującym. Aaron nie wiedział, co powiedzieć. To już nie było wyznanie. Dowiedział się o fatum. Myślał, że co nieco wie o Sigeriusie, myślał, że rozumie, czym przez całe życie zajmował się mężczyzna, którego nieustannie podziwiał mimo podejmowania rozpaczliwych prób, by tego nie robić, że wie, jakimi ścieżkami sukcesu podążał, co stanowiło esencję jego życia, ale teraz zdał sobie sprawę, że nie wie nic. (Później zrozumiał, że niewiedza, do której powinien był się od razu przyzwyczaić, będzie go cały czas prześladować w Enschede. Nigdy nic nie wiedział).

– Osiem lat – powiedział Sigerius głośno; barman nieco się do nich przysunął podczas szorowania rusztu. – Prokurator żądał dziesięciu lat i przymusowego leczenia. Ale nieźle sobie radził w Pieter Baanie⁷, tam był –

tutaj zniżył nieco głos – całkowicie poczytalny. Mój syn nie jest taki głupi.

Przyłożył tonik do ust, jakby to była wódka, i wychylił resztki napoju. Bezgłośnie odstawił pustą szklanę na szeroki bar z drewna wiśniowego.

Pociąg zwolnił, pojawiły się przedmieścia Brukseli, pasażerowie w korytarzu patrzyli z pochylonymi głowami na szarobure, niedbale rozrzucone budynki. Tineke, która miała znów otwarte oczy, wyjęła z czerwonej skórzanej torebki lusterko i szminkę, zdecydowanymi ruchami pomalowała pomarszczone usta na bordowo, schowała kosmetyki i zapatrzyła się ze zmarszczonym czołem w punkt między Aaronem a mężczyzną obok niego.

Wilbert Sigerius. Nigdy go nie spotkał, po tylu latach nie był już nim zafascynowany. Mimo to uświadomił sobie, że wszystko, czego dowiedział się o jej przybranym synu w czasie, kiedy mieszkał w Enschede, musiało być dla niej równie przykre jak dla Sigeriusa. Ona wniosła do małżeństwa dwie zdrowe córki, wspólnie wychowali je z oddaniem – żeby nie powiedzieć: z przesadnym zaangażowaniem – dzięki czemu Joni i Janis, każda na swój sposób, wyrosły na wesołe, stabilne, czasem aż do znudzenia racjonalne osoby. W zamian Sigerius obarczył ją diabelskim pomiotem.

Pociąg wjechał na stację Bruksela Centralna i zatrzymał się gwałtownie. Tłuszcza w korytarzu posuwała się powoli w kierunku wciąż zamkniętych drzwi: milczące oczekiwanie, setki wyciszonych umysłów wyznających wiarę w izolację. Tineke jeszcze nie ruszyła się z miejsca. Aaron powinien wysiąść dopiero na stacji Bruksela Południowa, chociaż z Centralnego też odchodził pociąg do Linkebeek. Dziewczyna wyjęła gumę do żucia z obrysowanych czarną kredką ust i wyciągnęła rękę nad kolanami Tineke do stalowego pojemnika na śmieci. Potem wstała, otarła się o jego lewe kolano i dołączyła do szybko przesuwającej się kolejki wysiadających. Matka Joni też wstała i odwróciwszy się do niego plecami, wyjęła z półki na bagaże małą walizkę na kółkach. Gdyby patrzył na nią od tyłu, na jej wystające kości bioder, nigdy by jej nie rozpoznał.

Pod wpływem impulsu postanowił wysiąść, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Czy miał pozwolić temu zrządzeniu losu rozpląnąć się w nicości?

Gdyby siedział na dupie, nigdy nie doszłoby do tego spotkania. Opuścił pociąg z przyspieszonym biciem serca, kamienne powietrze na peronie wypełniło mu płuca. Podążył jej śladem i zachowując odstęp pięciu stopni, wszedł po marmurowych schodach do hali dworca. Chociaż nie chciał, śledził Tineke, która szybko wspinała się na górę z bagażem w ręce. W hali wyłożonej ponurym brązowym marmurem postawiła na kółkach kraciatą

walizkę i ciągnąc ją za sobą, weszła w tłum. Przed głównym wyjściem wyjęła z kieszeni bordowego płaszcza telefon komórkowy, wystukała numer i zaczęła rozmowę. Kiedy zobaczył, jak wychodzi na miasto i znika, znów ogarnęły go wątpliwości.

Zamiast odwrócić się na pięcie i pójść na właściwy peron, zamiast przestać żyć, pobiegł za nią na zewnątrz. Przeczesał wzrokiem cienie miasta oświetlonego sztucznym światłem. Nie stała w tłumie na skrzyżowaniu, za którym czekał brukselski Wielki Rynek. Podszedł do krawędzi schodzącego w dół chodnika, rozejrzał się wokół. Była tam, skręciła w prawo na Putterij. Przyspieszonym krokiem pokonał dwudziestometrową ciemność i nim zdał sobie sprawę z tego, co robi, położył dłoń na grubym materiale jej płaszcza. Zatrzymała się i odwróciła. Patrzyła zaskoczona i wystraszona. Starannie umalowana twarz wyglądała jak kartka pomarszczonego papieru rozciągnięta na kościach policzkowych i szczękach.

– Tineke – wymamrotał – ja...

– Co pan mówi? – zapytała przyjaźnie.

– Tineke – powiedział tym razem głośniej – nie wiem, czy to mądre z mojej strony...

Dopiero teraz naprawdę mu się przyjrzała, dostrzegł jej skupienie. Wyciągnęła rękę, która przelotnie dotknęła jego ramienia, jakby chciała zaangażować dodatkowy zmysł.

– Czy to nie pan siedział przed chwilą naprzeciwko...? – Wyraz jej twarzy znów się zmienił, uniosła obwisłe powieki najwyżej, jak się dało, a jej usta ułożyły się w zaskoczone, bordowe „o”. – Aaron! Teraz poznaję! Aaron Bever. Ale chłopcze, co...

Puściła rączkę walizki, przez co ta się przewróciła. Tineke zrobiła krok w jego kierunku, złapała go za ramiona i ucałowała dwa razy. Ponad jej wątłym ramieniem zauważył zatrzymujące się przy krawężniku granatowe sportowe bmw, które dwa razy błysnęło reflektorami. Odwróciła się i uniosła dłoń. Kiedy znów na niego patrzyła, powiedziała:

– Spieszmy się. Muszę wsiadać. Chłopcze, nie poznałam cię. Zmieniłeś się... Od dawna nie bywam już w Enschede. – Wzięła go za łokieć i popatrzyła mu prosto w oczy. – Mój chłopcze, co u ciebie słyhać? Kiepsko się to wszystko ułożyło...

Był zbyt zaskoczony, żeby wydusić z siebie chociaż słowo. W każdej chwili drzwi bmw mogły się otworzyć i podszedłby do nich Sigerius. Wziął głęboki oddech, kręciło mu się w głowie. Ponieważ nie przychodziło mu nic innego na myśl, wydukał:

– Tineke, powiedz mi, jak się miewa Siem? Siedzi tam? – Wskazał głupkowato na zniecierpliwione auto.

Puściła go równie niespodziewanie, jak przed chwilą złapała. Zrobiła krok do tyłu, jej twarz zamknęła się jak żelazne wrota.

– Co ty wygadujesz? – odezwała się ostro. – Robisz ze mnie idiotkę?

– Nie – odpowiedział. – Jak to? – Poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

– Ty draniu. Czego chcesz ode mnie? Co tu robisz? Dlaczego mnie śledzisz?

Drzwi samochodu się otworzyły. Wsiadł z niego niski mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, jego falujące, czarne włosy i przyszyżona bródka lśniły w sztucznym świetle. Popatrzyli na siebie. Mężczyzna, który z porażającą i całkowitą pewnością nie był Sigeriusem, uśmiechnął się uprzejmie. Jakiś samochód zatrąbił i zmienił pas ruchu, stojący za bmw minibus włączył światła awaryjne.

Tineke wymacała klamkę przy drzwiach od strony pasażera.

– To ty nic nie wiesz? – zapytała. – Ty naprawdę nic nie wiesz, prawda? – Zaśmiała się nerwowo, jej wychudzoną twarz wykrzywił grymas niedowierzania. – Siem nie żyje. – Żeby przebić się przez uliczny zgiełk, krzyknęła: – Już osiem lat. Pochowaliśmy go na początku 2001 roku. Czy próbujesz sprawić mi ból?

– Nie – odpowiedział.

Wtedy wsiadła do samochodu.

Zgodnie ze swoim CV zna się na przypadkach. W czasach Berkeley, a potem w Bostonie prowadził dla studentów pierwszego roku matematyki i fizyki seminaria z rachunku prawdopodobieństwa i optymalizacji stochastycznej. Płacono mu, by zaprowadził matematyczny porządek w chaosie panującym w klasach diabłów liczbowych⁸ z zahamowaniami emocjonalnymi. To byli szachiści, spece od ZX Spectrum, magicy kostki Rubika, z których żaden nie chciał stać się częścią kadry uniwersyteckiej, żaden nie chciał dołączyć do zespołu koszykarzy czy baseballistów; przybyli do Berkeley, by służyć fizyce kwantowej, by rozpętać rewolucję cyfrową. Nim zasypał chłopaków i jedyną w ich gronie dziewczynę zmiennymi losowymi, przestrzeniami probabilistycznymi i teorią Bayesa, zapytał ich o najbardziej spektakularny przypadek w ich życiu. Czy zdarzyło wam się kiedykolwiek coś takiego? Żeby zbudować odpowiedni nastrój, przeprowadził na tablicy analizę prawdopodobieństwa najbardziej zdumiewających anegdot.

O tym, że ma do czynienia ze sprytnymi młodymi dorosłymi, przekonał się, kiedy gdzieś w ostatnich rzędach sali wykładowej jakiś chłopak podniósł rękę i wspomniał o podróży poślubnej swoich dziadków. Błady, zasadniczy młodzieniec opowiedział, że w latach trzydziestych jego dziadkowie odbyli rejs statkiem do Ameryki Południowej. U wybrzeży Chile babcia upuściła do oceanu obrączkę ślubną. Sześćdziesiąt lat później, z okazji diamentowych godów, małżonkowie odbyli rejs jeszcze raz. Obserwowali, jak wędkarz sportowy wciąga tuńczyka na pokład. Dziadek uparł się, żeby rozciąć rybę. I jak myślicie? (Chociaż minęło ponad piętnaście, prawie dwadzieścia lat od czasu, kiedy prowadził seminaria, na dźwięk pytania „jak myślicie?” i wspominając powagę, z jaką chłopak patrzył na salę, poczuł w powietrzu unoszący się zapach kredy. W jego pamięci zasłony, które zawsze po lunchu zaciągał do połowy szeroko otwartych okien, wybrzuszały się od wiatru. Duszna sala mieściła się na dziewiętnastym piętrze Evansa, lato trwało około sześciu, siedmiu miesięcy).

No i? Ani śladu obrączki ślubnej.

Kiedy niedawno opowiedział ten żart Aaronowi Beverowi, tamten skinął głową, wstał, zdjął z regału książkę i pokazał mu, w którym miejscu Nabokow pół wieku wcześniej zrobił ten sam kawał.

Przypadek robi największe wrażenie jako kat – co do tego on i jego studenci byli zgodni. Gdy ucichł stłumiony chichot, ten sam przezroczysty chłopak opowiedział o innej wycieczce. O swoim bracie, który postanowił z dziewczyną odbyć trzymiesięczną podróż po Europie, wyruszając z najbardziej wysuniętego na północ punktu Skandynawii do Gibraltaru. Polecili do Kirkenes, małej miejscowości na krańcu Norwegii, wynajęli samochód i ruszyli długą, płaską dwupasmówką do Szwecji. W trakcie tej cichej zaśnieżonej podróży widzieli tylko jeden pojazd nadjeżdżający z naprzeciwka: powiewającą na wietrze duńską scanię z ciężką przyczepą. W momencie, kiedy ją mijali – a raczej kilka sekund wcześniej, właściwie może przypadek zadziałał nawet kilka minut wcześniej, nie, prawdopodobnie od lat uszkodzenie torowało sobie drogę przez zardzewiałe śruby i gwinty – przyczepa odłączyła się od ciężarówki. Puścił dyszel. Zamrożony dyszel, umieszczony prostopadle nad skrętnymi przednimi kołami, obrócił się jak lanca rycerza podczas turnieju wprost na wynajęty samochód i wbił się w przednią szybę. Przyczepa przewróciła się na bok, a samochodem rzuciło na zaśnieżone pobocze, jakby był pustą puszką po piwie. Dziewczyna została zdekapitowana. Siedzący za kierownicą brat wyszedł z wypadku ze stłuczonym nadgarstkiem.

Chłopak był opanowany, kiedy o tym opowiadał. Siedział w ławce wyprostowany jak struna. Stojący przy tablicy Siem spojrzał na niego: miał na sobie koszulę z dużymi narożnikami do kołnierzyka, mówiąc, wciąż prostował tę samą zapełnioną obliczeniami kartkę w zeszyte w kratkę.

– Przypadek, co nie? – powiedział.

Nie pojawił się już na uczelni. Przy automacie z kawą spekulowano, że tym bratem był on sam.

Czego Sigerius chciał ich nauczyć? A teraz co chce udowodnić sobie samemu? Że prawdopodobieństwo nieprawdopodobieństwa jest ogromne? Że tak zwane dziwne zbiegi okoliczności zdarzają się bardzo często? Od matematyka oczekuje się, że na podstawie obliczeń będzie w stanie określić ich „dziwność”, to znaczy rozbierze przypadkowość do gołego prawdopodobieństwa, zamiast nadawać jej jakieś magiczne znaczenie. Patrzy na deszcz spływający po szybach restauracji, gdzie odbywa się narada oddziału specjalnego. Jaskrawo oświetlone pomieszczenie jest wąskie i przypomina autobus miejski w automatycznej myjni samochodowej. Kraby i raki w akwariach, tworzące nieapetyczną ścianę przy wejściu, mają cichą nadzieję, że nastąpi potop, który zmieni układ sił. Ich szczypcy pokryte są

rdzawymi plamkami, czasem któryś z nich porusza się, jakby go coś swędziało.

Próbuje skoncentrować się na rozmowie z Hiro Obayashim, sąsiadem po lewej stronie stołu pokrytego formiką, przy którym siedzi i spożywa obiad jedenastu uczonych. Od wielu lat w każdy sobotni wieczór po całodziennych obradach jedzą przy tym stole w restauracji przy Huaihai Zgong Lu. Zwykle sprawia mu to radość, podobnie jak cieszy się z wycieczek do Szanghaju, bo tym przecież są – krótkimi wypadami. Został członkiem Asian Internet Society na długo przed tym, zanim objął funkcję rektora, i jednym z warunków przystąpienia do stowarzyszenia było utrzymywanie „wartościowych kontaktów z Azją”. O wielkim znaczeniu dla pozycji Tubantii – argumentował, przytaczając inne slogany. Oczywiście, że to rozumieją, to się rozumie samo przez się. Jak sobie życzy. Pieprzenie, nic więcej, ale już wtedy wiedział, że będzie potrzebował tych wyjazdów do Szanghaju. Żeby wyrwać się na chwilę z kampusu, z dala od szklanego domu.

– Jeśli mam być szczery – mówi – uważam, że łamigłówki były trochę... jakby to określić... trochę nudne.

Oczy Obayashiego, profesora technologii informatycznej Uniwersytetu Tokijskiego, powiększają się, skóra napina się na szerokiej czaszce niczym jajecznożółta maska.

– Ale może nie jestem odpowiednią osobą, żeby to oceniać – dodaje Sigerius.

Wyciera usta w serwetkę i rozgląda się wokoło, próbując uniknąć wzroku Obayashiego. Podobnie jak każdy elegancki lokal w Chinach, ten też jest brzydki jak noc. Oświetlenie jest bezlitośnie jaskrawe, szczególnie że ktoś właśnie przykrył Szanghaj kołdrą, mrugające i brzęczące świetlówki błyskają światłem rentgenowskim na parujące półmiski z fantastycznym, swoją drogą, jedzeniem, a wystrój wnętrza jest nieprzemyślany: każdy stół ma inny kształt i inną wysokość, w dodatku wszystkie pochodzą z różnych państwowych fabryk z różnych okresów. Przy stole obok siedzi głośnie towarzystwo pałaszujących Chińczyków, bez wątpienia biznesmenów: koszule z plamami potu, poluzowane krawaty, mlaskanie, bekanie, kość rzucona za siebie, gardłowe okrzyki.

Obayashi kiwa potakująco głową. Kładzie pałeczki na stole i w milczeniu wbija wzrok w plastikową miseczkę ryżu.

– Chodzi mi o to – precyzuje Sigerius – że bardzo możliwe, że łamigłówki spodobają się innym Holendrom, więc i pozostałym Europejczykom.

Jego sąsiad podnosi ogoloną głowę, patrzy na drugi kraniec stołu, gdzie

siedzi John Tyronne i rozmawia z Pingiem.

– Ale masz wydawcę? – pyta Obayashi rozwlekle. – Skontaktuj mnie z wydawcą, Siem. Mam wysokie oczekiwania.

Na poprzednim zebraniu Asian Internet Society w 1999 roku Japończyk wziął go po prezentacji na stronę, mówiąc, że to „prywatna sprawa”. Okazało się, że zięć Obayashiego jest dyrektorem sprzedaży w Nippon Fun, japońskiej firmie z powodzeniem wydającej w kraju pismo z łamigłówkami. Jedną z gier, Number Place, łamigłówka liczbowa, była od kilku lat bardzo popularna w Nowej Zelandii, gdzie ktoś napisał program komputerowy, dzięki któremu można było szybko tworzyć nowe łamigłówki, na przykład dla czasopism. Niestety Obayashi nie miał ich przy sobie, ale chętnie przesłał Sigeriusowi kilka książeczek z Number Place, żeby je ocenił fachowym okiem. Wierzył nawet bardziej niż zięć, że świat jest gotowy na Number Place. Niedługo potem przez otwór na listy w Enschede wpadła koperta z Tokio: dwie japońskie książeczki, każda z sześćdziesięcioma łamigłówkami, wraz z napisanym dziecięcą angielszczyzną listem przewodnim, w którym mężczyzna wyjaśnił, że łamigłówka z pięcioma papryczkami nazywana jest „kamikadze”, a on przekona się dlaczego.

Dopiero w samolocie do Szanghaju, gdy prawie zwariował od przygnębiających teorii i myśli, wyjął zeszyty z bagażu podręcznego i zatopił się w lekturze. Od razu zauważył, że tak jak wiele innych łamigłówek liczbowych, te także zostały oparte na kwadracie Eulera. Każda łamigłówka składała się z macierzy dziewięć na dziewięć pól i kilku wpisanych liczb pierwszych od zera do dziesięciu. Zadanie polegało na tym, aby uzupełnić pozostałe pola w taki sposób, żeby w każdym rzędzie i w każdej kolumnie liczby od jednego do dziewięciu pojawiły się tylko raz. Dodatkowo łamigłówka była podzielona na dziewięć kwadratów trzy na trzy, z których każdy musiał zawierać cyfry od jednego do dziewięciu.

Możliwe – myśli teraz – że zachował się nieuprzejmie, mówiąc prawdę Obayashiemu.

– Została mi jeszcze jedna książeczka – mówi nagle łagodnym tonem. – Dam ją żonie.

Prawda jest taka, że uporał się z nimi w samolocie w ciągu kwadransa, bo po pięciu czy sześciu zadaniach poszło z górki. Jego myśli zboczyły na inne tory. Jak działają te rastry? Czy Number Place staje się trudniejszy, jeśli ma się do dyspozycji mniej liczb? Według niego tak, ale niekoniecznie. Bardziej decydujące jest to, jakie liczby są już podane, chociaż domniemywał, że potrzeba przynajmniej osiemnastu liczb. A może siedemnastu? Przeprowadził

dowód nie wprost, opierając się na łamigłówce z szesnastoma podanymi pozycjami. Zrobił kilka obliczeń i stwierdził, że potrzeba przynajmniej ośmiu różnych liczb. Później próbował obliczyć całkowitą liczbę prawidłowo wypełnionych łamigłówek – interesujący problem, który niepostrzeżenie bardzo go wciągnął. (Wyszła mu liczba między sześć a siedem i dwadzieścia jeden zer, ale w jakim stopniu tryliardy łamigłówek naprawdę się od siebie różniły? W rastrze zdarzały się symetrie, lustrzane odbicia). Kiedy bowiem kobiecy szept tuż przy jego uchu na śmierć go wystraszył, w klasie biznes było ciemno. Czy chciałby się czegoś napić? Wokół niego biznesmeni spali z opaskami na oczach.

To było wspaniałe uczucie, tych parę godzin, kiedy nie był świadomy niczego poza czystą matematyką zamkniętą w łamigłówkach. Jakby leciał małym prywatnym samolotem nad boeingiem 747 Singapore Airlines na obrzeżach atmosfery. Matematyka nadal była lekarstwem na całe zło. Ale zanim stewardesa wróciła z whisky, znów ogarnął go ponury niepokój.

– Jeśli pomożesz mi znaleźć wydawcę – mówi Obayashi – porozmawiamy o procentach. Na rynek holenderski, oczywiście. Ale dzięki temu ty też staniesz się bogaty, Siem, obiecuję ci to.

Kiedy Tineke wysadziła go na dworcu w Enschede, kiedy opadło z niego napięcie wywołane tygodniowymi obchodami kolejnego lustrum⁹ uczelni, zaczął rozmyślać nad tym, co zobaczył. W drodze na lotnisko Schiphol zadawał sobie śmieszne pytania (Czy były tego samego wzrostu? Czy były równolatkami? Czy były tak samo szczupłe?), po czym przywołał się do porządku (to niemożliwe, to zbyt duży zbieg okoliczności, właśnie to mają na myśli psychiatrzy, mówiąc o paranoi), uspokojony odprawił się i bez spięcia wziął do ręki i ponownie odłożył bestsellery sieci księgarni AKO. Podczas boardingu złapał się na jeszcze głębszych pytaniach (Czy jest do tego zdolna? Czy ma to w sobie? W genach?) – były jak systematyczne pływy morskie, panika i spokój, panika i spokój, od trzech dni pozostawał w ich władaniu.

Ósme lustrum Tubantii minęło w sposób, w jaki zwykle przeżywał tego typu wydarzenia publiczne: te dni zdawały się być snem – podobnie jak we śnie nie mógł wrócić wspomnieniami do przeszłych wydarzeń ani zajrzeć w przyszłość. Zabawianie doktorów honoris causa i ich żon, pisanie, poprawianie, powtarzanie i wygłoszenie przemówienia rocznicowego na nieco niejasny temat nanotechnologii, śniadania, obiady i kolacje z gośćmi, nieustanne pogawędki, pieprzenie w bambosz, jeszcze kiedyś padnie trupem w trakcie przemowy.

Wszystko posypało się w czwartkowe popołudnie podczas przyjęcia kończącego obchody. Po dekoracji czterech sław odznaczeniami Tubantii w kościele Świętego Jakuba cały cyrk przeniósł się do teatru w Enschede. We foyer Sigerius stanął na podwyższeniu pokrytym czarnym aksamitem z Tineke i doktorami honoris causa oraz ich małżonkami, pozwalając, by setki hałaśliwych gości, którzy zgarniali kieliszki z winem i luksusowe przekąski ze srebrnych tac, zabawiały ich rozmową, albo ustawiały się w odstrasząco długiej kolejce. Tkwił tam grubo ponad trzy godziny, ściskając dłonie, dowcipkując, a długa wstęga cierpliwości odbijała się w jego eleganckich półbutach.

Po niecałej godzinie spostrzegł Wijn. Menno Wijna, byłego szwagra i kumpla od treningów, którego głowa i ramiona górowały nad setkami studentów i prawie wszystkimi ubranymi w togi nauczycielami akademickimi. Na początku trzymał się na uboczu, rozglądał się wokół ze szklanką wody gazowanej w dłoni i wydawało się, że lada chwila opuści przyjęcie. Kiedy po pięciu minutach Sigerius znów się rozejrzył, zobaczył Wijnę stojącego w kolejce niczym golem.

– Spójrz, na drugiej godzinie – powiedział do Tineke. Wypuściła rękę zaprzyjaźnionej żony nauczyciela akademickiego z pulchnych dłoni i odwróciła się do niego. – Po lewej.

Jej lekko rozbawione spojrzenie przesunęło się po stojących w kolejce ludziach i zamarło.

– Cholera jasna. – Uniosła ramiona i pokręciła świeżo ufryzowaną głowę, pachnącą papierosami i sosnowymi igłami.

Wijn patrzył przed siebie jak w poczekalni u dentysty. Zanim wszedł do budynku, sala robiła wrażenie tłocznej, tylu różnych ludzi, tyle narodowości, ale gdy Sigerius zdał sobie sprawę z obecności byłego szwagra, uzmysłowił sobie, że wszyscy naukowcy są do siebie podobni. Dawniej, kiedy obydwaj byli dwudziestolatkami, Wijn miał wyciosaną, rumianą twarz, która często się śmiała, najchętniej i najgłośniej z błędów innych, do czasu, aż błędy te zaczęły się do niego zbliżać i go osaczać. Tymi „innymi”, popełniającymi wciąż kolejne błędy, byli jego siostra Margriet i jej syn Wilbert, ale to głównie przez niego, Siema Sigeriusa, tego zdrajcę, Margriet stoczyła się na samo dno. Zdaniem Wijna. Czego tu szukał? Sigerius nie zaprosił go, musiał gdzieś przeczytać o przyjęciu. Czy specjalnie w tym celu przyjechał z Culemborga?

Kiedy Sigerius całował upudrowane damskie policzki i słuchał komplementów, czuł, że brat jego zmarłej byłej żony przejmuje kontrolę nad

salą. Foyer wypełniło się oparami nienawiści i urazy. Do cholery, to było dwadzieścia pięć lat temu. Przez pierwszych kilka miesięcy od rozvodu z Margriet jego dawny kumpel go ignorował, ale po tym, jak Margriet i Wilbert wprowadzili się na poddasze nad siłownią Wijna w Culemborgu, atmosfera stała się nie do wytrzymania. Wroga. Całymi latami Margriet wyciągała kasztany z ognia rękami zrównoważonego, ale złego brata: siostrzyczka chce pieniędzy, musi iść do sklepu monopolowego. Dla Wijna, który szybko poczuł się gospodarzem, adwokatem i ojcem zastępczym w jednym, tych kilka trudnych rozmów telefonicznych w ogóle nie stanowiło problemu. Sigerius był z żoną i dziewczynkami w Ameryce, kiedy kilka dni przed urodzinami Wilberta znalazł w skrzynce kopertę. W środku była kartka z życzeniami z napisem: „Gratulacje z okazji urodzin syna”, dołączono do niej arkusz z wypisanymi na maszynie wydatkami: rachunki od szklarzy, mandaty, koszty leczenia, konsultacje psychiatry dziecięcego i tak dalej, a na samym dole numer rachunku bankowego siłowni Menno Wijna. To było preludium do kilku rozmów telefonicznych rocznie, oczywiście na koszt rozmówcy, pełnych pretensji tyrad, w których Wijn potocznym językiem informował Siema o tym, co ta „łajza” znów nabroiła, z której szkoły go wywalili i dlaczego, o zmielonych dropsach lukrecjowych, które ten „skurwiel” sprzedawał jako haszysz, o tym, jak Menno wyrzucił „przygłupów”, którzy przyszli do siłowni z pretensjami, o bijatykach na jarmarku, kradzieżach sklepowych – kiedy wrócisz wreszcie do Holandii, ojcze? Menno nie podobała się ta cała Ameryka. Kiedy Sigerius sam dzwonił, było na odwrót: Wijn izolował go, w wyrafinowany sposób dawał odczuć wykluczonemu, że nie jest już częścią ich życia, i drażnił go rozwlekłymi monologami, twierdząc, że Wilbert wdał się w sumiennego wujka.

– Na swój sposób to dobry chłopok, tera hoduje dwajścia cztery kanarki na strychu. Uważa, że som pienkne. Do tego szczurki, chomiki, prawie jak w Artisie¹⁰.

Sigerius puścił to mimo uszu, chociaż oczywiście się martwił.

– Teraz jesteś tutaj – powiedziała Tineke. – Mieszkamy w Kalifornii.

Dopiero po śmierci Margriet jej brat z tym skończył. Od tamtego czasu kilka razy rozmawiali ze sobą przez telefon, jęczący i stękający Menno w roli opiekuna, Sigerius jako rozczarowany ojciec, który chciałby uwolnić się od obowiązku alimentacyjnego. Rzeczowe rozmowy, skrywany latami gniew drzemający na linii światłowodu.

A oto i on. Jego były szwagier wszedł szerokimi schodami na podwyższenie, mając za plecami światło wpadające przez wysokie okna

teatru, i stanął przed nim. Po kimś takim można się co najwyżej spodziewać listu przewozowego w dłoni albo zastanawiać się, czyim jest kierowcą, dlaczego śledzi swojego szefa. Stał wyprostowany jak struna, z rękoma wzdłuż grubokościstego tułowia, ciężar ciała przeniósł na śródstopie, w ten sam sposób, w jaki kiedyś wchodził na matę: oto jestem, spróbuj mi podskoczyć. Nie podali sobie rąk.

– Menno – powiedział Sigerius.

Wijn wskazał na niego brodą.

– Widzę, że dobrze ci się powodzi – powiedział z akcentem, którym czterdzieści lat temu mówiono w dzielnicy C. – Byłem w pobliżu. Przyszłem ci powiedzieć, że twój syn wyszedł.

Sigerius chrząknął.

– Co mówisz?

– Skrócenie kary. Za dobre sprawowanie się. Znów jest na wolności.

Czasem język oddziałuje na Sigeriusa fizycznie jak ściana lodowatej wody spływająca z wysokości kilku metrów prosto na niego.

– No nie – powiedział Sigerius stłumionym głosem. – A to ci nowiny. Złe nowiny.

Wijn podrapał się po strupie wielkości pięciogroszówki na policzku, bez wątplenia po odparzeniu od maty podczas treningów judo, i na chwilę gestem tym, zdradzającym niepewność, upodobnił się do swej zmarłej siostry. Zszedł mu paznokiec ze środkowego palca. Ślepy palec.

– Pomyślałem, że ci to przekażę. I chcę ci też pedzieć, że umywow od tego rękę.

– Miał siedzieć do 2002 roku – odezwała się Tineke. Jej oczy celowały w Wijnę jak lufy pistoletów, ale ją zignorował, tak jak robił to przez ostatnich dwadzieścia pięć lat.

– Gdzie będzie mieszkał? – zapytał Sigerius.

– Ni mom pojęcia. I nic mię to nie łobchodzi.

Spojrzeli na siebie milcząco – rektor i właściciel siłowni. Dwóch pięćdziesięciolatek, którzy przez wiele lat trzy razy w tygodniu stali pod tym samym prysznicem i zmywali z siebie pot wylewany w dojo po całym Randstad¹¹. Wszystko na nic. Nagle, zupełnie bez powodu, Wijn dotknął czoła Sigeriusa i stuknął go mocno krecim palcem.

– Ty psie – powiedział.

Zanim Sigerius zdążył pomyśleć, że nie powinien reagować, zanim zdał sobie sprawę, że nie może złapać go za poliestrowy garnitur i z całą siłą rzucić z podestu, a potem z dzikim rykiem znów podnieść – udusić go na

miejscu, tę zwalistą, fałszywą kreaturę – Wijn się oddalił. Nie patrząc nikomu w oczy, minął rzędek laureatów i w wiszącym, za dużym garniturze zszedł z podium z głuchym hukiem.

Później Sigerius pomyślał, że może to wszystko wina Wijna. To przez tę kość, ten brudny, śmierdzący paluch, to dlatego Sigerius zaczął inaczej patrzeć na świat. Mięśny kij, który oddziaływał na jego postrzeganie.

Niecałą minutę później zobaczył w kolejce Joni i Aarona: jego córka stała bokiem i z podziwem oraz uwagą słuchała swojego łysego chłopaka. Co przykuło uwagę Sigeriusa? W pierwszej chwili nic. To, że miała piękny profil. Że dokładnie wiedziała, jak powinna się zaprezentować, kiedy jej ojciec udawał wielkiego pana. Miała na sobie biały wełniany sweterek z golfem, obcisły, ale jednocześnie klasyczny, jej uszy skrzyły się białym złotem, podobnie jak przeguby rąk. Znów rzuciło mu się w oczy, jak szykownie potrafiła się ubrać, nosiła droższe ubrania i była bardziej zadbana niż inne studentki – Joni nie dało się wcisnąć w niemodne fatałaszki, nawet gdyby obsypać ją perłami, wciąż zachowywały klasę, byłyby lepsza. Zauważył, że ukryła wymodelowaną fryzurę pod czapką, coś à la rosyjska uszanka Nikity, i tylko tył jej głowy zdradzał, że była jasną blondynką.

W następnej sekundzie pochylił się do przodu, by usłyszeć, co mówi żona dawnego rektora, srebrnowłosa kobieta o cichym głosie. Wytrzeszczając oczy, trzymał głowę koło jej rozciągniętego ucha i całkiem przypadkiem popatrzył na Joni, puścił do niej oko i uśmiechnął się, ale ona go nie widziała. Jej piękna twarz skupiła się na czymś innym, prawdopodobnie na stojącej obok niego matce.

I wtedy to dostrzegł. Ciemnobrązowa, syberyjska czapeczka na głowie Joni odblokowuje coś w jego pamięci. Jego usta chyba wydają jakiś dźwięk, westchnienie lub jęk albo jeszcze coś innego, ponieważ kobieta, która to słyszy, robi krok do tyłu. Prostuje się, patrzy na nią niewidzącym wzrokiem, otwiera szeroko usta i na powrót je zamyka. Podobieństwo, które wydaje mu się, że zobaczył, wdziera się do jego podświadomości niczym gorąca ciecz, próbując go unicestwić. Wrzący ołów. Kręci mu się w głowie. Zawsze fascynowała go fenomenalna zdolność mózgu do rozpoznawania twarzy, bez wysiłku lub zakłóceń, ale teraz go dobija. To nawet nie jest rozpoznanie, to pod każdym względem coś więcej. To, czego doświadcza, to... *identyfikacja*. Skupione spojrzenie Joni jakieś pięć, sześć metrów od niego, ciemna futrzana czapka zasłaniająca jej gładkie czoło, przez co po raz pierwszy widzi ją jako *brunetkę*. Mocniejszy niż zwykle makijaż, umalowane, nieco nieobecne usta.

Czyste rysy jej silnej, stanowczej twarzy, wszystko to, co decyduje o wyglądzie jego córki, nakłada się na inną twarz, twarz, która w pewnym sensie wyryła mu się w pamięci – aż zaskakują tryby w pocących się z wysiłku zwojach mózgowych Sigeriusa. *To ona.*

– Siem, kochanie, wszystko w porządku?

Tineke złapała go zimną dłonią za rękę, próbując spojrzeć mu w oczy. Nie skupił wzroku i dostrzegł ziarnistą konsystencję jej fioletowego cienia do powiek, słyszał, jak mówi, że jest blady, że w ostatnich tygodniach mało spał. Uszczypnęła go w ramię, zrobiła krok do przodu i powiedziała coś do kobiety stojącej naprzeciw niego. Gapił się na szerokie plecy Tineke przykryte purpurową szatą uszytą specjalnie na dzisiejsze popołudnie.

– Jutro lecisz do Szanghaju – szepnęła, gdy znów stanęła obok niego. – Już prawie koniec. Bardzo dobrze sobie radzisz. Dotknęła cię wiadomość o Wilbercie. Widzę to po tobie.

Jego opiekunka grająca z czułością drugie skrzypce – tę rolę Tineke przyjęła w czasie, kiedy dawno temu był wrakiem człowieka w domu przy Antonius Matthaeuslaan, a ona przychodziła do niego rano na kawę. Już wtedy zagadywała jego depresję, pocieszała niepokieszonego z radosną wyrozumiałością. Teraz podobnie, pociesza go niewyczerpanym zrozumieniem, chociaż dzięki Bogu tym razem nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Tak – wybąkał. – To mnie martwi. Nienawidzę tego człowieka. I nienawidzę syna.

– Jak ja cię dobrze znam – powiedziała. – Zapomnij o nim. Zapomnij o nich. Menno to sto kilo chodzącego żalu. Przyszedł tu po to, żeby zepsuć ci humor. Wypuścili Wilberta na wolność, ponieważ jest gotowy na powrót do społeczeństwa.

Naturalnie, że lustro Tubantii było ważniejsze niż on – galion jest przytwierdzony do dziobu, a dziób do statku. Tamtego czwartku wszystko szło zgodnie z planem, począwszy od uroczystej kolacji w Koetshuis Schutterveld, gdzie zaskoczył sam siebie, siedząc u szczytu stołu z uśmiechem na twarzy. Uspokój się! – zalecał mu niespokojny głos w głowie, kiedy wznosił toast za akademię, pochłaniał karmazyna, wygłaszał mowę przy stole. Myślał: to niemożliwe. Niemożliwe ze statystycznego, moralnego i praktycznego punktu widzenia. Pił jedną lampkę wina za drugą, żeby zagłuszyć chóralny lament w głowie. O wpół do drugiej w nocy, zataczając się, dotarli do domu i kiedy opadł na łóżko odwrócony plecami do Tineke, usnął jak dziecko. Przez cały wieczór nawet nie pomyślał o wyjściu syna na

wolność. Myślał tylko o Joni.

Nie miał okazji zweryfikować swoich podejrzeń. Nazajutrz wczesnym rankiem Tineke zawiozła go na dworzec w Enschede. Pierwsze komputery zobaczył w zaanektowanej przez backpackerów kafejce internetowej na Schipholu, przed którą czekał niezdecydowany. Ale zanim zwolniło się miejsce, poszedł dalej. Nie miał odwagi. Na niedawno otwartym lotnisku Szanghaj-Pudong nie było w ogóle kafejki internetowej, o czym przekonał się jedenaście godzin później.

Po tym, jak pędzący na złamanie karku taksówkarz wiózł go w ulewnym deszczu przez mizernie wyglądające przedmieścia do serca metropolii i wysadził bez mała w samym lobby Okura Garden, a jeszcze przed rozpakowaniem bagaży, wyjął ze ściany kabel telefoniczny i próbował połączyć się z internetem przez modem w laptopie. Gdy to się nie udało, ogolił się, założył czystą, choć pogniecioną koszulę, i zjechał windą do holu. Przeszedł przez mauzoleum wyłożone marmurem ze złotymi żyłkami, położył klucz na ladzie w recepcji i poprosił o piętnaście minut dostępu do internetu. Ubrana w służbowy mundur dziewczyna zaprowadziła go do niszy oświetlonej kolorowymi lampkami, gdzie stały trzy komunistyczne pecety osłonięte ściankami ze szkła mlecznego w ramach z drzewa orzechowego. Usiadł przy najodleglejszym komputerze. Dziewczyna pokazała mu na migi, że musi poczekać, pochyliła się nad nim (poczuł zapach potu i czegoś słodkiego) i ustawiła cyfrowy minutnik. Obok klawiatury, która była irytująco odmienna od qwerty, leżał długopis na łańcuszku i pudełko w kształcie sześcianu z kartkami do notowania. Nie bez wysiłku znalazł działającą wyszukiwarkę, po czym natrafił na coś, co zyskiwało międzynarodową złą sławę jako Great Firewall China. Zaklął na głos. Gdy w przyływie niekontrolowanej złości złapał za krawędź stołu, długopis pozostał na swoim miejscu, ale plastikowy sześcian przewrócił się z łoskotem na bok. Nawet nie wszedł na stronę i chociaż nie umknęła mu ironia całej sytuacji (wezвано go do tej idiotycznej dyktatury, żeby opowiedział stosującym represję żółtym przyjaciom, w jaki sposób mogą wzmocnić swój zbrodniczy firewall; chcieli wiedzieć wszystko o szerokopasmowym internecie, o ruchomych obrazach w przyszłości, żeby potem to storpedować – do tego to się sprowadzało), nieznośna zwłoka doprowadzała go do białej gorączki, kiedy w kucki zbierał kartki do notowania z marmurowej podłogi.

– Drogi Hiro, nie potrzebuję pieniędzy – mówi. – Mam pieniądze. – Może wyładowuje swoją frustrację na Obayashim dlatego, że w ciągu dwóch dni od

przyjęcia nie posunął się nawet o krok do przodu. Nieco spokojniej, z wymuszonym uśmiechem, dodaje: – I szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby wasze łamigłówki odniosły sukces w Holandii. Pamiętasz grę go? My już o niej zapomnieliśmy. Szalenie ekscytująca gra planszowa go. U nas można ją teraz dostać tylko na pchlim targu.

Nie wie, czy to prawda, ale jeśli nie będzie mówił otwarcie, latem zajmie się turystyką łamigłówkową. Japończyk jakby przez kilka chwil wątpi w swoją znajomość angielskiego, po czym mówi:

– Nippon Fun ma wersję komputerową go. Mogę ci ją przesłać. To dwa CD-ROM-y.

Kelnerka chodzi wokół sąsiedniego stolika i z pewnej odległości nalewa do czarek herbatę z dzbanka, którego zakrzywiony, wąski i długi dzióbek przypomina dziób jakiegoś tropikalnego ptaka. John Tyronne, młody profesor ze Stanforda, kiwa na nią, robiąc szeroki łuk ręką. Tyronne, utalentowany, lecz trochę naiwny chłopak, dostał się do grupy specjalnej, głównie dzięki swoim wczesnym, dobrze podbudowanym technicznie pracom na temat pluskwy milenijnej, ale go poniosło i zaszkodził sobie coraz bardziej apokaliptycznymi artykułami na temat Y2K, które w zeszłym roku ukazały się w prasie amerykańskiej i w których przewidywał koniec świata. Ponieważ Tyronne nie chciał postawić nogi na pokładzie samolotu tuż po trzydziestym pierwszym grudnia 1999 roku, musieli przesunąć pierwsze spotkanie w nowym tysiącleciu.

– A oto i nasz czarnowidz – uśmiechnął się przewodniczący grupy specjalnej, Gao Jian, witając go na tym niezmiennym świecie. – Wciąż żywi się pan konserwami?

Tego popołudnia Sigerius wygłosił krótki referat na temat tak zwanej hapytyki i stwierdził przekornie, że Tyronne już nigdy nie będzie musiał latać.

– Johnie, niedługo podłączymy do twojego laptopa gumową rękę i jeśli uściśniesz ją w domu, twój pecet wyśle odcisk do specjalnej gumowej ręki Johnny’ego Tyronne’a, członka grupy specjalnej tutaj w Szanghaju. *Shake hands through cyberspace*. Jest tylko mały problem z różnicą czasu – i to mówiąc, podał siedzącemu z przodu Tyronne’owi „zdechłą rybę”. – Okropne, co?

Sekundę później ścisnął mu rękę o wiele za mocno.

– Czy nie lepszym pomysłem byłaby nazwa japońska? – mówi, żeby zrobić Obayashiemu przyjemność. – Zamiast Number Place.

Obayashi bąka w odpowiedzi coś, co umyka Sigeriusowi. Przez chwilę nic nie słyszy, wcześniejsza idiotyczna uwaga o CD-ROM-ach z go opóźnia

reakcje fosforu w jego mózgu. Siedzi tutaj, jedząc kaczkę, a na łóżku hotelowym leży jego laptop. *Może masz tę płytkę w torbie na laptopa. Może masz przy sobie zdjęcia.* Zmusza się, żeby nie skoczyć na równe nogi i nie odejść od stołu, nie sforsować ściany wody morskiej z rakami i nie wyjść na zewnątrz, kierując się prosto do Okury. Zamiast tego uśmiecha się do Obayashiego, wyciera zatłuszczone palce w papierową serwetkę i zamyka oczy. *Zastanów się. Czy ta płyta z wypalonymi zdjęciami jest w torbie na laptopa?* Nie ma zielonego pojęcia. Wyobraża sobie, że jest w swoim gabinecie, czuje swojski zapach opadłego kurzu i papieru, spokój celi mnicha. Widzi przed sobą swoje biurko. Może być też w zamykanej stalowej szufladzie.

Spogląda na zegarek, z wewnętrznej kieszeni wyjmując telefon komórkowy. Nie patrząc na Obayashiego, odblokowuje klawiaturę i przez kilka sekund gapi się na podświetlony ekran.

– *Excuse me* – szepcze i kładzie dłoń na tłustej ręce Japończyka. Chociaż wymówka nabiera dopiero kształtów, wstaje i zapina guzik marynarki. Przez głowę przemyka mu błysk obrazu, w którym policja dzwoni do niego do Szanghaju z wiadomością, że Wilbert ma obciętą głowę. Dyszel odłączonej naczepy. Śmierć na miejscu. Nie kończąc myśli, chrząka i mówi: – Panowie... przepraszam, że przerywam... ale niestety muszę was opuścić. Muszę się zbierać. Właśnie dostałem informację, że... w Enschede dzieją się niepokojące rzeczy...

– Anskjede? – woła Tyronne, któremu dzisiejszego popołudnia chyba za bardzo dokuczał. – Anskjede... Sigerius, czy ten twój uniwersytet jest na Nowej Ziemi?

Gao Jian gasi papierosa i zapala nowego, wypuszcza dym kącikiem ust i patrzy na Sigeriusa badawczo.

– Kolego – mówi poważnym tonem – co się stało? Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Obawiam się, że nie – słyszy swój głos i myśląc o deszczu, w którym będzie musiał iść, mówi: – Właśnie się dowiedziałem, że kampus w Enschede został zalany. Burze nad Holandią, ulewne deszcze, tak jak tutaj, ale gorsze.

– Ominie cię wieczorny program.

– Jutro też jest dzień. W Enschede oczekują, że wydam oświadczenie na temat... rozmiaru szkód.

Ciepłe strugi ulewnego deszczu przecinają ciemne niebo nad Szanghajem. Spieniona deszczówka toruje sobie drogę do studzienek i kanałów ściekowych i podchodzi pod chodniki na Huaihai Zhong Lu, po której pospiesznie drobia

setki Chińczyków, chroniąc proste fryzury pod parasolami lub aktówkami. Koła taksówek z pasażerami wzbijają fontanny wody, w przedsiionkach i pod markizami chronią się sprzedawcy uliczni, trzymają towar w wyciągniętych rękach, patrzą przed siebie albo rozmawiają w tylko dla nich zrozumiałym języku. Tradycyjnie rozświetlona, drgająca, tętniąca życiem aleja z niezliczoną liczbą sklepów, galerii handlowych, hoteli i restauracji wygląda, jakby była czymś przykryta, bo jest tak ciemno.

Przechodzi na czerwonym świetle przez sparaliżowane skrzyżowanie, uciekając przed ostro ruszającymi taksówkami i riksami. Ma przemoczoną marynarkę, ciepła deszczówka zmoczyła noski jego butów. Robi duże kroki, dziwne podenerwowanie pcha go do hotelu. Z jednej strony wierzy, że podejrzenie mówi więcej o nim samym niż o Joni, że to, co widział, jest projekcją jego lęków, z drugiej strony nazbyt dobrze wie, czym jest porażka, dlatego nie ma stuprocentowej pewności. Bez względu na to, jak różne są jego córki, nigdy nie zadał sobie pytania, czy są coś warte – ojciec syna odsiadującego wyrok w więzieniu w Scheveningen nie ma czasu na takie pytania. Za córki Tineke, które traktuje jak własne, dałby sobie uciąć obie ręce, lewą za Janis, a prawą za Joni – starszą, tę, która rozdaje karty, której życie będzie usłane różami, chwytającą wszystko w lot, błyskotliwą, ambitną, uroczą, szczególnie to ostatnie; „przyłącz się do mnie” – ma to wypisane złotymi literami na czole; dodajmy do tego cholerną urodę, rzadko spotykane piękno. Nie, ojciec syna przestępcy nie martwi się o taką córkę jak Joni. Jeśli w wiejskim domu ktokolwiek martwi się o potomstwo Tineke, to tylko o Janis. Z młodszej córki emanuje coś zupełnie innego: Janis robi wszystko, żeby nie zjednywać sobie ludzi, pała zaprogramowaną nieznośną nienawiścią do wszystkiego, co według niej jest niesprawiedliwe, prowadzi jednoosobową partyzantkę przeciwko temu, co fałszywe, nieprawdziwe, nieszczerze. To dlatego się nie odchudza, nosi chłopięce ubrania, dlatego tak wiele rzeczy darzy pełną poświęcenia nienawiścią: pieniądze, mięsożerców, filmy hollywoodzkie, osiodłane konie, uniwersytety, wakacje. Drze kartki świąteczne od ciotek i wujów. Dezodorant – Tineke musiała ją zmusić, żeby zaczęła go używać, bo jako nastolatka Janis uważała, że ukrywanie własnego zapachu jest kłamstwem, dezodorant jest fałszywy, nieprawdziwy, jest drobnomieszczkański. Przynajmniej jest *szczera* – mówili sobie Tineke i Sigerius.

Następuje oberwanie chmury, ulewa zamienia się w gradobicie, huk jest tak potężny, że ruch uliczny wydaje się bezgłośny. Sigeriusowi nie pozostaje nic innego jak skryć się pod ociekającą deszczem markizą. Ściśnięty między

innymi pieszymi, czuje zapach przypominający mu przesiąknięte potem maty do judo sprzed lat. Jeden z mężczyzn wskazuje na spadające bryłki – może nigdy nie widział gradu, w każdym razie nie trzynastego maja.

Przez jakieś dwa lata był trenerem biegów w grupie gimnastycznej Joni – od powrotu ze Stanów trenowała gimnastykę w klubie sportowym Sportlust w Enschede i któregoś dnia przysłała do niego z pytaniem, czy nie chciałby zostać ich trenerem biegania.

– Fajny pomysł – odpowiedział.

I tak też było: raz w tygodniu robił rundkę wokół lasu Drienerlo z grupą trzynastu trzynastolatek. Na krótko przed przerwą wakacyjną prezes klubu i trener usiedli w jego salonie, by wszystko omówić, i niedługo potem w środowe wieczory dom na wsi zapełniał się szczupłymi nastolatkami z aparatami ortodontycznymi i w dresach. Joni szybko pożałowała tych nieoficjalnych treningów, ponieważ dziewczynki czasem wymawiały się nauką, chorobą, osłabieniem i nudnościami, a jej było trudniej się wymigać. Ułożył dość wymagającą czterokilometrową trasę. Biegli wzdłuż Langekampweg na południe, zahaczając o kampus, w tym o wydnię klub motorowego („o nie, proszę pana, tylko nie po sypkim piachu!”), następnie przez las do domu, gdzie Tineke częstowała ich wodą z sokiem z czarnego bzu.

Joni była jeszcze na tyle młoda, żeby czuć dumę z wysportowanego ojca, i on sam też z przyjemnością wspominałby treningi, gdyby nie ten incydent. Tak jak co roku Sportlust brał udział w zbiórce pieniędzy na walkę z rakiem i Joni z Mirjam, małą, ale charakterystyczną dziewczynką, która podczas biegania ujarzmiła swoje blond loki przepaską, przez dwa dni chodziła z puszką po domach i blokach w Boddenkamp.

– Okolica, po której można się spodziewać, że będą dawać hojne datki, jak w poprzednich latach – stwierdziła prezes, kiedy zadzwonił do niej wieczorem po tym, jak Joni wróciła z treningu i najpierw jękając się, a potem z płaczem, opowiedziała, że oskarżono ją o kradzież pieniędzy z puszeki.

W trakcie liczenia zebranych pieniędzy – mówiła kobieta – skarbnik Sportlustu zauważył, że puszeki Mirjam i Joni nie zawierały żadnych banknotów pięcio- i dziesięcioguldenowych i że suma zebranych przez nie środków nie tylko wyniosła mniej niż jedną czwartą kwoty z poprzedniej zbiórki, ale była też najmniejsza ze wszystkich puszek, mniejsza nawet od kwot z nędznych dzielnic, jak je nazwała. Mirjam należała do grupy, która trenowała we wtorkowe wieczory; wzięta na stronę przyznała się w ciągu dziesięciu sekund. Według niej udało im się wraz z Joni wyłowić banknoty

z zaplombowanej puszką przy użyciu ekierki, po czym podzieliły się łupem – nieco ponad sto pięćdziesięcioma guldenami.

Joni była wściekła. To pomówienia! Nie ma z tym nic wspólnego. Jak ktoś mógł być tak podły? Nienawidzi tej Mirjam, zawsze wiedziała, że jest podła, nie powinna była jej ufać. Po kweście – powiedziała mu cała we łzach – zrobiło się już ciemno i zbliżała się pora kolacji, Mirjam zaproponowała, że zanieś obydwie puszkę do skarbnika, do centrali, niedaleko jej miejsca zamieszkania.

On też gotował się ze złości.

– Moja córka szlocha w salonie – powiedział do prezes. – Znam Joni jak własną kieszeń, pani oskarżenia są surowe i przedwczesne. Mogę panią zapewnić, że moja córka nie plądruje puszek na datki.

Uzgodnili, że przyjdzie z Joni opowiedzieć jej wersję zdarzeń. Joni z niezadowoleniem przyjęła ten pomysł. W wieczór poprzedzający wizytę w sali gimnastycznej stwierdziła, że boi się, iż się rozpłaczę. Albo wścieknę. Dlatego poszedł sam. To była ciężka rozmowa, kobieta uparcie twierdziła, że to słowo Mirjam przeciwko słowu Joni, a on upierał się, że Joni jest niewinna. Kiedy o wpół do jedenastej wrócił do domu, powiedział córce, że postawił im ultimatum: albo uwierzą jej na słowo, albo on skończy z treningiem biegowym, zobaczymy też, czy Joni nadal będzie członkiem klubu.

Dokładnie pamięta, gdzie wtedy stali: w holu, on jeszcze w kurtce, z prawą stopą na spiralnych schodach, Joni w połowie schodów, w rękę trzymała szczoteczkę do zębów z wyciśniętą pastą. Długo nie zapomni momentu, w którym pękła. Po tym, jak zdał relację, przez chwilę milczała. Klapnęła pupą na schodek, z ręki wypadła jej szczoteczka do zębów, która potoczyła się po kafelkach: pac, pac, bęc. Joni schowała twarz w piżamie i odezwała się z długim westchnieniem:

– Tato...

Uniósł brwi.

– Wiesz, tato, nie gniewaj się. Ja... tego... No, właściwie to, co mówi Mirjam, to prawda.

Pod kapiącymi platanami kieruje się do Okury. Umyślnie szturcha dzwoniącego biznesmena w ramię, omija stragany z warzywami na zapadającym się chodniku i worki na śmieci rozerwane przez bezdomne psy. Z bocznej uliczki wyłania się pięciu szybkich jak błyskawica Chińczyków, którzy rozkładają dużą fioletową płachtę na wciąż zalanych płytach

chodnikowych. W ułamku sekundy łądują na niej torby z lakierowanej skóry, raybany, bluzki Gucciego, koszulki Adidasa, płyty CD, płyty DVD, gry. Podróbki. Zatrzymuje się na chwilę, ponieważ czuje kłucie w nodze, masuje ścięgno podkolanowe. Jeden ze sprzedawców, chłopak o aroganckiej gębą, zagaduje do niego opryskliwie po mandaryńsku.

– Spierdalaj – odpowiada Sigerius z uśmiechem.

Co jest gorsze: sprzedaż podrabianych torebek czy obrobienie puszki z datkami? Jak to w ogóle jest z tymi odcieniami szarości? Czy warto i należy rozmyślać o Joni, o hipotetycznym problemie – dopóki nie wie nic na pewno, problem nie istnieje – skoro dowiedział się, że Wilbert jest na wolności? Lawirując między samochodami, przechodzi na drugą stronę czteropasmowej Huaihai Zhong Lu, po czterdziestu metrach skręca w lewo i mija Cathay Theatre ze zdewastowaną fasadą w stylu art déco, kino, przed którym stoi tłum Chińczyków czekających na seans *Mission: Impossible 2*. Co się teraz wydarzy, skoro jest na wolności? Co robi sześć lat paki z człowiekiem takim jak Wilbert Sigerius?

– Wiedział to nawet Hitler – odpowiedział mu Rufus Koperslager w czasach, kiedy wciąż zadawał to samo, najczęściej zawołane, pytanie osobom, od których spodziewał się usłyszeć przemyślaną odpowiedź. – Hitler uważał, że więzienie to uniwersytet dla przestępców. Nie wiedziałeś o tym? Zamknięty rynsztok, w którym młodzież uczy się fachu od starych wyjadaczy.

Przypomina sobie pierwszą rozmowę w cztery oczy z dziwnym Rufusem, spotkanie, o którym wolałby zapomnieć.

– Znasz rozmowy Hitlera przy stole?

Nie, jeszcze nie znalazł czasu na przestudiowanie rozmów Hitlera przy stole. Boże, tak, Koperslager, zasłużony komendant cechujący się drażliwą prawością policjanta, pod koniec 1995 roku objął stanowisko rektora Tubantii. Jego nominacja była przewrotna: gliniarz w kampusie, mężczyzna bezpośredni, niecierpliwy, przyzwyczajony do wydawania rozkazów, rządzący twardą ręką. Ale realista. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej Sigerius nadstawił uszu, gdy Koperslager wspomniał, że na początku lat osiemdziesiątych był dyrektorem nie jednego, a dwóch więzień, które to zasługi zaintrygowały Siema na tyle, żeby powiedzieć mu w zaufaniu o synu kryminaliście, kiedy wspólnie zasiedli do kanapek z serem brie, aby lepiej się poznać. Taki kiedyś był. Co w sercu, to na języku. Wilbert siedział już ponad rok i przez ten czas Sigerius wyhodował całkiem poważną obsesję na punkcie wszystkiego, co dzieje się za kratami: pochłaniał każdy skrawek gazety, każdą książkę, każdy film dokumentalny – wszystko, co mogło mu przybliżyć

system karny i więzienne reguły.

– Słyszałem, że pracowałeś w zakładzie karnym. Mój syn siedzi.

– Gdzie?

Okazało się, że Koperslager też miał imponującą wiedzę na ten temat. Jego twarz stróża porządku pociemniała, dotknął gładko ogolonej brody, a Sigerius zobaczył, że myślami schodzi do półświatka, który podniecał go bardziej, niż chciał przyznać. Bez mrugnięcia okiem Sigerius wymienił trzy zakłady karne, gdzie do tej pory trzymali Wilberta, po czym Koperslager zapytał:

– Przeniesienia?

– Tak myślę.

– Czy chcesz, żebym był z tobą szczery?

– Maksymalnie szczery – odpowiedział, co było dla Koperslamera sygnałem do tyleż zniechęcającego, co przekonującego nakreślenia „kariery” Wilberta, którą zgodnie z jego ostrożnymi szacunkami budował za murami więzienia.

– Przenoszą tylko szefów – powiedział Koperslager. – Przeniesienia kosztują dużo pieniędzy i wysiłku, sam robiłem to z niechęcią. Ale czasem trzeba.

Prawdopodobnie Wilbert był szanowany – tak brzmiała jego analiza – kluczowa postać w bloku, ktoś przy władzy, jeden z „rekinów”.

– Zawsze wyłapywaliśmy ich z tłumu – powiedział Koperslager. – To typki, które próbują osłabić władzę, zastraszają i przekupują strażników, wciąż załatwiają jakieś sprawy wewnątrz i na zewnątrz. Więc mówisz, że przenoszą twojego chłopaka z miejsca na miejsce. Cóż, może ma do tego dryg. Jak tak patrzę na jego ojca: niegłupi, silny fizycznie... Tak, prawdopodobnie szybko się uczy.

Ulubiony kryminolog Koperslamera miał ciekawe przemyślenia na temat kicia.

– Hitler regularnie wypowiadał się przeciw aresztowaniom i za karami fizycznymi. Dwudziestoletniego chłopaka lepiej raz porządnie sprać lub odciąć mu rękę, tak mówił w 1942 roku i możliwe, że miał rację. Oni w kiciu uzupełniają wiedzę. Siem, więzienia to najlepsze instytuty kryminologii, konferencje na temat agresji, laboratoria testosteronu. Męskość to pojęcie płynne, to machismo w pigułce, wszyscy nienawidzą wszystkich. Dziel i rządź, tworzą się bandy, ochrona dwadzieścia cztery godziny na dobę. Brakuje kobiecej perspektywy, nie ma opiekuńczości, tylko władza. Dochodzi do szantażu, wykorzystywania seksualnego, molestowania. Przychodzisz jako złodziejasek, a wychodzisz jako gangster. Odrąbać młodziakowi stopę, w to wierzę.

Właśnie taką straszną wizją zadreślał się Sigerius, a Koperslager nie był odpowiednim człowiekiem, żeby go uspokoić. Nie mówiąc nikomu, jakby szedł do dziwki mieszkającej na barce, przejeżdżał obok lokalnego aresztu w drodze na uniwersytet w Hadze, Amsterdamie lub gdziekolwiek indziej. To była nerwica natręctw: przynajmniej pięć razy stał przed więzieniem w Scheveningen, gapiąc się na bramę ze średniowiecznymi blankami, i źle się z tym czuł, był przybity – na tyle przybity, że któregoś dnia miał tego dość. Przestań się tym upajać, koniec. Dysertacje penologiczne, egzemplarze „Nieuwe Revu”, książki z więziennymi historiami, reportaże na kasetach wideo – całą tę paranoiczną stertę wrzucił do szarego worka na śmieci.

Cholera, oczyścił głowę z czarnych myśli szybciej, niż się spodziewał. Przekonał się, że to prawda, jedyne, czego powinniśmy się obawiać, to strach sam w sobie. Wyśmiał swoją podatność na bajeczki Koperslagera, na ukrytą fascynację tabloidowymi opowiadkami, i poczuł, jak odzyskuje wiarę w siłę resocjalizacji w państwie prawa i w człowieka.

Jest już prawie na miejscu. Szybko robi się ciemno, w ogrodzie francuskim przed Okurą palą się latarnie. Sto metrów przed Sigeriusem wyrasta hotel niczym paw ze szkła i białego kamienia z nigdy niewysychającą fontanną. (W stołówce Tubantii pracuje kucharz, który każdemu studentowi na zmywaku zadaje to samo poważne pytanie: „Słuchaj no, studiujesz, nie boisz się, że kiedyś zabraknie wody?”). Secesyjny przepych wciąż robi na nim wrażenie, nawet kiedy w jednym z tysiąca pokoi czeka na niego czarna skrzynka. W drodze na czternaste piętro wypełnia go żarliwa nadzieja, że w torbie nie ma płyty CD. Kiedy winda zatrzymuje się, jego żołądek wciąż się unosi.

W pokoju pachnie wygotowanymi ręcznikami. Łóżko, na którym rano bezproduktywnie wiercił się przez godzinę, jest zaścielone, koszula i garnitur, które miał na sobie podczas lotu, wiszą na wieszakach w otwartej szafie. Laptop nie leży już na łóżku, tylko na okrągłym biurku obok narożnej kanapy. Podłącza go do prądu. Chcąc ugasić żar w żołądku, bierze prysznic. Myje się zawartością fioletowej saszetki, którą musi rozerwać zębami. Wszystko jest możliwe, dobrze o tym wie. Możesz wybierać się na olimpiadę i na nią nie dotrzeć. Wyciera się największym z trzech ręczników i wkłada szlafrok. Możesz wywołać wilka z lasu.

Ustawia klimatyzację na dziewiętnaście stopni. Bierze torbę na laptopa i siada na krawędzi łóżka. Maca boczne kieszenie i wyciąga kopertę zawierającą trzy CD-ROM-y. Dwa wyglądają niewinnie, napis na trzecim

brzmi: „Protokół z posiedzenia Rady Uniw.”. Bingo. To ten. Bierze głęboki oddech i zaciska dłonie w pięści. Wstaje, podchodzi do okna, zaciąga ciężkie zasłony, znów siada i wkłada CD-ROM do napędu w laptopie. Windows jest gotowy do uruchomienia, Sigerius wpisuje hasło, najpierw źle, pochrzanił duże litery. Program pyta, czy chce wybrać pokaz slajdów. Nie, żadnych slajdów. Windows grupuje jpegy, ikonki, na których czarna żagłówka płynie w kierunku pomarańczowego zachodu słońca. Jest ich wiele, może nawet czterysta. Jedną czwartą ściągnął z bezpłatnych stron, pozostałe pochodzą ze strony *Rosjanki* i z *lindaloveslace.com* – i to o tę chodzi. Klika na chybił trafił w jedną z ikonek i widzi siedzącą na sofie Rosjanekę z rozłożonymi nogami. Czuje delikatne podniecenie, echo swojskiej żądzы starego, obślinionego capa.

Gdzie one są? Uważa, że pokaz slajdów jest poręczniejszy, ale klikanie bardziej efektywne. Najpierw jak szalony przedziera się przez gąszcz bezpłatnych zdjęć, potem w szaleńczym tempie przelatuje mu przed oczami klęcząca, wypinająca się, leżąca, kucająca, palcząca się Rosjanka – tak, oto ona. Sigerius cofa się na widok pierwszego zdjęcia. Dziewczyna stoi, opierając jedną stopę na stylizowanym krześle, z łokciem na kolanie, z ustami w dzióbek, z piersiami w jasnoróżowym biustonoszu. Dysząc z przerażenia, Sigerius odsuwa laptopa. Podobieństwo jest bardziej zgubne, niż myślał. Podchodzi do barku i wyciąga puszkę budweisera. Wiedziałeś, że są do siebie podobne. Chodzi w tę i z powrotem po miękkim dywanie. Piwo jest tak zimne, że do oczu napływają mu łzy. Musisz spojrzeć na nie analitycznie. Jak naukowiec. Jak śledczy. Jak dobrze zna posturę Joni? Szczupłe, dobrze zbudowane dziewczęta poniżej dwudziestego piątego roku życia ciężko od siebie odróżnić. Ale ta twarz...

Znów siada. Analiza. Dobrze, że zna te fotografie. Ponieważ je zna, może popatrzeć na nie z dystansem. Pierwszą serię zrobiono w pokoju hotelowym. Musi znaleźć pokój, który wciąż się przewija. Wydaje mu się, że jedno miejsce często się powtarza. Łódź? Tak, jest też kajuta, powracająca kajuta... Seria trzynastu zdjęć w tym samym pokoju, widać, że nie jest to pokój hotelowy: w tle komputer, regał zapełniony książkami, rośliny, plakat z dwoma kotkami na leżaku plażowym, Celine Dion, okno poddasza...

Linda. Linda z Tennessee albo Kentucky, albo Utah, albo z innego równie nieznanego stanu. Sesję otwiera strój stylizowany na szalone lata dwudzieste: krótka, prosta zielona sukienka, kapelusz klosz nasunięty na uszy, długie, białe satynowe rękawiczki, krwistoczerwone usta – Boże, ależ ona jest podobna do Joni. Potem zdejmuje sukienkę, stoi na środku pokoju w czarnych szpilkach z kokardkami na noskach, w białym pasie

i karmelowych pończochach. Na następnym zdjęciu siedzi na krześle, ręka zasłania obnażone piersi, nie ma na głowie kapelusza, kruczoczarne włosy są rozpuszczone, wyglądają na farbowane, są tak czarne, że wpadają w niebieski. To może być peruka. Na pewno. Na kolejnej fotce pozuje bez majteczek, siedzi na krześle z szeroko rozłożonymi nogami, ona...

Znów odsuwa od siebie laptopa i opada na materac. Dlaczego w ogóle chce poznać prawdę? W poniedziałek, jak wróci do Enschede, wypisze się ze strony i już nigdy o niej nie pomyśli. Niestety to nie leży w jego charakterze. Długo wpatruje się w drewniane łopatki wentylatora. Masz mętlik w głowie. Może Tineke miała rację, to przez wiadomości o Wilbercie, jakaś paranoja. Jesteś realistą. Szansa, że Joni jest podobna do tego dziecka, jest milion razy większa niż to, że to naprawdę ona. Każdy ma sobowtóra, on sam ma ich z setką. Młode dziewczuszki o gładkiej skórze są jak dwie krople wody. Siada prosto i kładzie laptopa na kolanach. Plastikowa obudowa jest gorąca. Odwróć sytuację, jesteś jej to winien. Poszukaj dowodu przeciwnego.

Powiększa zdjęcie i widzi jego krawędź – sam środek regału z książkami. Może odczytać tytuły na grzbietach. Angielskojęzyczne wydania kieszonkowe i tomy w twardej oprawie: Mary Higgins Clark, Harold Robbins, Barbara Taylor Bradford, Tom Clancy, Danielle Steel, John Grisham, Sue Grafton. Papka. Niżej stoją większe książki, również anglojęzyczne: książki o ogrodach (*The Practical Rock and Water Garden*), książki kucharskie (*Eating by the Book: What the Bible Says on Food, Fat, Fitness and Faith*), śmieciowe poradniki (*Narcissism: Denial of the True Self*). Kurde! To autentyczny amerykański regał na książki! Ten głupi regał stoi gdzieś w Utah. Należy do zupełnie innej dziewczyny. Co to w ogóle za Linda? Wciąż mieszka z rodzicami, nie, wychowuje ją głucha stryjeczna babka, a to zapomniany pokój na poddaszu. Kursorem przeciąga zdjęcie do góry, żeby zobaczyć najniższą półkę. Zza szczupłej kostki i nogi od krzesła wyłaniają się cztery książki z żółto-czarną obwolutą, która wydaje się znajoma: *Beekeeping for Dummies*, *BBQ Sauces, Rubs and Marinades for Dummies*, *Jazz dla bystrzaków...*

Jazz dla bystrzaków. Do głowy wpada mu nowa myśl: kto pomaga tej lasce w jej zbereźnym kokietowaniu? Zmniejsza fotografię, przygląda się jej dokładnie, klika parę zdjęć do przodu: są profesjonalnie zrobione, są prawie... wymuskane. Sama by tego nie zrobiła. Wyobraźmy sobie przez chwilę... wyobraźmy sobie, że tą dziewczyną jest Joni, to musi... robi je... to sprawka chłopaka, z którym Sigerius kilka razy w tygodniu leży na macie... W tej chwili przestań. Joni i Aaron?

Klika dalej i zatrzymuje się przy zdjęciu zrobionym w pokoju

przypominającym kajutę. Dziewczyna leży nago, nie licząc góry od zielonego bikini (czy kojarzy bikini Joni? – nie, oczywiście, że nie), na okrągłym łóżku przykrytym czerwoną kapą. W tle widać łukowate drewniane szafy, przezroczyście drzwi, za którymi prawdopodobnie znajduje się prysznic, wyżej – ciemnoróżowe bulaje. Czarne włosy są upięte (czy można upiąć perukę?), czubkiem języka dotyka górnej wargi i patrzy obojętnie w obiektyw. Na następnej fotografii klęczy przed łóżkiem, lewy policzek opiera na kremowym dywanie, wklęsłe plecy, piersi na podłodze. Kolana w rozkroku, różowe podeszwy stóp blisko obiektywu, wypięty tyłek, jednocześnie wciąż patrzy w obiektyw, po lewej stronie, tuż przy jej twarzy, stoją srebrne szpilki. Duże zbliżenie twarzy: Sigerius widzi grudki tuszu na jej rzęsach. Dziewczyna nadstawia się z bezwstydną gibkością, rzuca mu otwarte, miażdżące, obojętne spojrzenie. Na kolejnym zdjęciu rozchyła palcem wskazującym i środkowym gładko ogolone wargi sromowe, na następnym pojawia się dildo: nagle ta wielka, czarna sztuczność wnika w nią, najpierw głęboko, a ponieważ rozchyła rękoma pupę, na każdym kolejnym zdjęciu widać, że jest coraz płycej, aż plastikowy penis leży na dywanie. Na ostatniej fotografii widać powiększoną twarz i oczy.

Poniewczasie dostrzega, że są niebieskie. Są stalowoniebieskie. Zalewa go fala szczęścia – oczy Joni są ciemnobrązowe! Odsuwa laptopa, wstaje i chodzi w tę i z powrotem między zasłonami a łóżkiem. Wchodzi do łazienki, obmywa twarz zimną wodą. *To nie ona. Oczywiście, że to nie ona.* Podchodzi znów do łóżka, zamyka Windowsa i laptopa, zamyka sprawę.

Ściąga spodnie z krzesła, szuka komórki. Zadzwoń do Joni, powie jej coś miłego. Jest wpół do dwunastej, a więc wpół do piątej w Holandii. Szuka jej imienia wśród kontaktów i wybiera numer. Odzywa się chiński głos, potem połączenie zostaje zerwane. Brak zasięgu? Znajduje numer do jej akademika i go wybiera. Szumiąca, wzmagająca się cisza, potem sygnał, że linia jest zajęta.

Wciąż odczuwa ulgę, zrzuca szlafrok i nagi podchodzi do barku. Bierze drugiego budweisera, siada na wysokim łóżku z poduszką pod plecami. Włącza telewizor i pije piwo dużymi łykami. Przerzuca kanały: chińska opera, film z Kevinem Costnerem i Whitney Houston, mecz kickboxingu. Zatrzymuje się na wiadomościach: chińska Pia Dijkstra mówi najpierw coś o przewodniczącym Jiang Zeminie, a Madeleine Albright schodzi po schodkach samolotu. Później mówią o jakiejś zagranicznej katastrofie. Widzi osiedle mieszkaniowe, chyba gdzieś w Europie, jest dzień, nad domami fajerwerki. Boże na wysokościach, co za ulga. Huk i odgłos wystrzałów

w telewizorze nasila się, obraz się rozmazuje – zamykają mu się oczy. Dopiero co zażegnane nieszczęście uzmysławia mu, jak bardzo jest wyczerpany. Wypuszcza pilota z rąk i odwraca się na bok.

Aż do dzisiaj moja młodsza siostra była jedyną osobą z czasów Enschede, która się ze mną skontaktowała. To było grubo ponad pięć lat temu, chyba późnym latem 2003 roku, na krótko przed tym, zanim wyjechałam do Los Angeles i zniknęłam z radaru. Wiodłam wówczas mieszczańskie życie z Boudewijnem i Mikiem w San Francisco. Janis podróżowała przez miesiąc z jakimś Timem wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Spędzili u nas na wzgórzu jedną noc. Po raz pierwszy od śmierci Siema ktoś z rodziny nawiązał ze mną kontakt.

Janis była już od dwóch tygodni w Kalifornii, kiedy do mnie zadzwoniła i zapytała, czy może nas odwiedzić. Pewnie dlatego, że miałam migrenę, nie od razu rozpoznałam jej głos. Dzwoniła z budki w Monterey, całkiem niedaleko, wybierali się do San Francisco (chyba tam mieszkam, prawda?). Wydali ponad trzydzieści dolarów, żeby zdobyć mój numer telefonu – odbyli skomplikowany maraton telefoniczny, zaczynając od McKinseya w Amsterdamie. Rozczuliły mnie jej wysiłki.

Następnego ranka na podjeździe zaskrzypiał wynajęty niebieski ford, z którego wysiadła spieczona na raka Janis, a za nią chłopak z czarnymi, matowymi włosami zaplecionymi w długi warkocz. Było ciepło, a on miał na sobie za grube czarne ubranie, które szczelnie go zakrywało. Dla kontrastu Boudewijn wyszedł do nich w klapkach, ciemnoróżowej koszulce polo i mikroskopijnych kąpielówkach i paplając jowialnie, oprowadził ich wzdłuż naszego domu w typowym dla tej dzielnicy stylu Russian Hill do ogrodzonego ogrodu. Stałam przy basenie w kształcie nerki i chwilę później ścisnęłam niezręcznie Janis. Zrobiła się bardziej muskularna, miała figurę naszej matki.

– A więc to ty jesteś Joni – bąknął Timo, nie zdejmując okularów zasłaniających bladą twarz.

Pokazałam im salon z designerskimi meblami z Nowego Jorku i poczułam dziwną nerwowość, kiedy podeszli do panoramicznej szklanej ściany i w milczeniu podziwiali widok na Marina District. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby ktoś, kto stał w tym miejscu, nie wydał z siebie zdumionego okrzyku zachwytu. Szklana ściana ciągnęła się za róg i wychodziła na kuchnię. Aż chciało się chwycić lotnię i polecieć nad ocean.

– W oddali po lewej widać most Golden Gate, a po prawej Wyspę Alcatraz – powiedziałam, ale wciąż milczeli.

Poszli za mną na dół, gdzie na oszklonej werandzie pościeliłam im dwuosobowe łóżko. Timo przesunął palcem po zakurzonej seeburgu V200 Boudewijna i zapytał, czy mamy też pokój bez szafy grającej. Pokazałam im łazienkę, po czym z impetem otworzyłam drzwi wychodzące na pochyły gazon. Janis zeszła niezgrabnie na trawę, obejrzała klomby i przycięte palmy i posadziła szeroki tyłek na huśtawce zamontowanej przez Toys „R” Us dla Mike’a na przyszłość.

– Macie ogrodnika? – zapytała.

Gdy krótko potem weszliśmy na górę, usłyszeliśmy ciche kwilenie: Mike’a obudziło nieznanym dudnienie butów wojskowych Tima na schodach. Na czerwonej twarzy Janis przez krótką chwilę malowało się zdziwienie. Dziecko? W błękitnym pokoju bez słowa pochyliła się nad łóżeczkiem Mike’a i pogłaskała go palcem po brzuszku.

– Nie wiedziałem, że Janis jest ciotką – powiedział Timo, chcąc przerwać ciszę.

– Nie wiedziałam, że Mike ma wuja – odpowiedziałam.

Po milczącym lunchu w japońskim Tea Housie, za który z wymuszonym uśmiechem zapłacił Timo, szliśmy dwójkami przez park Golden Gate: ja obok Janis, Boudewijn z wózkiem zatopiony w rozmowie z białym jak mąka „towarzyszem komunistą”, jak nazwał mojego szwagra w przytulnej, zamkniętej przestrzeni naszego auta. Szybko się zorientowałam, że Boudewijn przyspieszył kroku, chcąc dać mnie i Janis trochę czasu. Kiedy sylwetki mężczyzn stawały się coraz mniejsze, Timo wyglądał jak Indianka z tym swoim warkoczem, spacerowałyśmy z siostrą wśród kwitnących wierzb i sędziwych dębów. Panował tropikalny upał, krótkie, farbowane henną włosy Janis były mokre od potu. Gdy dwadzieścia lat temu mieszkaliśmy z rodzicami w Berkeley, czasem zabierali nas do tego parku. Wyruszyliśmy wtedy wcześniej rano pikapem z Bonita Avenue, jechaliśmy Bay Bridge, ja i Janis na klejącym się przednim siedzeniu, wciśnięte między matkę i ojca, który siedział za kierownicą. Zapytałam ją, czy to pamięta.

– Mam niewiele wspomnień z Kalifornii.

Alejka miała nieznaczny spadek. Nasze kroki chrzęściły na ścieżce w tym samym tempie. Wyliczyłam, ile lat miała Janis w 1982 roku: pięć?

– Tineke załadowywała jedzenie do czerwonego wiklinowego koszyka – powiedziałam, żeby odświeżyć jej pamięć – tego samego, który latami stał na tarasie domu w Enschede.

– Dlaczego nazywasz swoją matkę po imieniu? Co to ma znaczyć?

Wzięłam głęboki oddech i zapytałam:

– Janis, dlaczego myślicie, że Siem ze sobą skończył?

Przystanąła na chwilę. Ściągnęła okulary przeciwsłoneczne z krótkich włosów i wsunęła je na nos, który w międzyczasie przybrał kolor spieczonej kiełbaski.

– Czy ty i... mama myślicie, że miałam z tym coś wspólnego?

Zatrzymała się i położyła spoconą dłoń na moim ramieniu.

– Coś mi wpadło do buta – powiedziała i chwając się, wyswobodziła spuchniętą stopę z trampka All Star. Ktoś, może ten Pocahontas w oddali, narysował niebieskim długopisem na zielonym materiale znak pokoju. Wysypała kamyczek i kucnęła na jedno kolano, żeby założyć trampek.

– Joni – powiedziała do moich ud – ani mama, ani ja nie miałyśmy z tobą od trzech lat kontaktu. Nawet nie było cię na pogrzebie. Nie myślimy zbyt często o tobie. A jeśli już, to raczej uważamy, że w ogóle nic cię z tym nie łączy.

Po tym, jak położyliśmy Mike'a spać, Bo skierował się do aneksu kuchennego i wziął się do gotowania makaronu ze świeżym krabem z zatoki, chcąc zrobić wrażenie na swoim o dwadzieścia lat młodszym szwagrostwie, którego wyczekującą obecność wyczuwało się w salonie. Siedziałam wyprostowana na sofie naprzeciw Tima i Janis i słuchałam kapryśnej relacji ze zwiedzania „beznadziejnie komercyjnych” studiów filmowych w Hollywood oraz szczegółów finansowych związanych z zakupionym przez nich niedawno domem szeregowym w Deventer. Chyba chodziło o pozwolenie na ścięcie drzewa w ogrodzie sąsiada, a może nie wolno było go ścinać, Timo chyba procesował się z sąsiadem, a może nie. Dał się poznać jako facet, który pasował do mojej siostry akurat na tyle, żeby poczuć do mnie wstręt na tle ideologicznym. Byłam zbyt bogata, zbyt ładna, gardził moim chłopakiem, McKinsey też zasługiwał na pogardę. Ze sposobu, w jaki w skupieniu potakiwał głową, kiedy się odzywałam, albo w milczeniu skubał czarny rękaw koszuli lub nieobecny duchem dłubał w skórkach – z całego jego zachowania można było wywnioskować, że cieszy go dystans dziewięciu tysięcy kilometrów dzielący San Francisco od Deventer.

Nasze wydłużone cienie przesuwaly się po kafelkach w blasku zachodzącego słońca, pod nami błyszczaly oświetlone domy Mariny niczym tysiące podgrzewaczy, a my wciąż prowadziliśmy niezręczną rozmowę o niczym. Ciągnęło mnie do łóżka, kiedy Janis nagle zaczęła opowiadać o matce i trudnym okresie, przez który przeszła, o przykrej sprzedaży domu na wsi pół roku po śmierci Siema i o tym, że codziennie dzwoniła do

mieszkania wynajmowanego przez matkę w Hengelo, żeby pogadać, ale tak naprawdę, żeby sprawdzić, czy żyje.

– Nienawidzi mnie, bo zostawiłam matkę na pastwę losu – powiedziałam, kiedy chwilę później leżałam obok Boudewijna. – Nienawidzi mnie, bo nic nie wiedziała o Mike’u. – Kiedy tych dwoje na dole brudziło naszą pościel, poczułam wzbierającą falę złości.

– Siostry tak nie myślą – powiedział Boudewijn ze swojej strony łóżka. – Musicie się do siebie przekonać. Nie przyjechała w odwiedziny ot tak sobie. Dostałaś na tym punkcie bzika. Uważam, że było całkiem przyjemnie. Jutro po śniadaniu zabierzemy ich do Chinatown, wypuścimy Tima do jego towarzyszy. Zobaczysz, że się rozkręca.

Kiedy zerwałam się o czwartej rano do płaczącego Mike’a, złość nieco mi przeszła. Uspokajałam malucha, myśląc, że Bo ma rację, wszak to moja siostra zrobiła pierwszy krok, nie ja, chociaż nie do końca to okazała. Dawniej było podobnie, gdy dopiero zaczynałyśmy samodzielnie myśleć i kłóciłyśmy się o podstawowe kwestie, prowadziłyśmy ostre dyskusje na temat broni jądrowej, pieniędzy, muzyki, kapitalizmu, zasadniczo na bolesne tematy, skakałyśmy sobie do oczu jak dwie zaciekle harpie, po czym nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, następowało pełne skruchy odprężenie, które miało swoje źródło w tej samej puli genów.

Rano zabrałam Mike’a z jego pokoiku i położyłam na łóżku obok Boudewijna. W bawełnianej sukience zesłam cichutko po schodach do kuchni. Jakiś dziwny odruch kazał mi przedstawić w jeszcze lepszym świetle nasz mały amerykański, mieszczański sen. W piątek, tuż po telefonie od Janis, wyjechałam z ćmiącą migreną z Doliny Krzemowej i w jak zawsze dłużącej się drodze powrotnej zrobiłam zakupy w Safewayu, a potem pojechałam aż do Holland Deli w Palo Alto, śmiesznego sklepiku ze śmiesznym chodakiem wielkości citroëna kaczki przy wejściu. Kupiłam tam goudę, ontbijtkoek¹², krentebollen¹³ i speculaasy¹⁴. Płacąc, gardziłam sobą za te wysiłki, ale teraz jestem z siebie zadowolona. Niezależnie od tego, co Janis powie na mój temat w tym cholernym grajdołku, ja nie miałam sobie nic do zarzucenia.

Poranne słońce ogrzewało parkiet z drzewa orzechowego i miętowe szafki, migotało w ekspresie do kawy i suszarce na talerze. Bazylia, majeranek i liście laurowe rosnące w doniczkach na parapetach zasysały światło dzienne. Położyłam ulubiony obrus na stole z nieheblowanego drewna świerkowego, zastanawiałam się przez chwilę nad serwisem (skromny czy klasyczny?) i zdecydowałam się na niemiecką porcelanę należącą kiedyś do

babci Boudewijna. Dochodziła dziewiąta. Rozgrzałam piecyk na ciabatty, w koszyczku położyłam bajgle i francuskie tosty, na okrągłej tacy wyłożyłam jagodowe i gruszkowo-miodowe muffiny. Świeże owoce, kiełbasa wołowa, trzy rodzaje szynki w celofanie, marmolady w miseczkach, płatki śniadaniowe i musli, jogurt i miód. Na dostawianym stoliku ułożyłam holenderską wysepkę z krentenboli, sera, płatków czekoladowych i hagelslagu. Schyliłam się do wieży stereo, ale zmieniałam zdanie, bo chciałam usłyszeć szum prysznic z dołu. Ugotowałam cztery jajka, dla siebie i dla zapachu zaparzyłam espresso. Niech ma.

Tuż przed wpół do dziesiątej zszedł Boudewijn z ubranym Mikiem. Chciałam ich schrupać na miejscu, wyglądali tak spokojnie i domowo: śmiejący się i gaworzący Mike na dywaniku, Bo kucający obok niego, zaróżowiony od golenia, z falującymi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu na brylantynę. Miał na sobie filcowe buty Church's z inicjałami „BS” na noskach, które mnie zwykle strasznie irytowały. Już od jakiegoś czasu nie układało się między nami, ale teraz udało mu się zdobyć kilka plusów.

– Czy nasi goście już się obudzili? – zapytał z uśmiechem.

Przypomniałam sobie, że Janis lubiła dłużej pospać i źle znosiła krótkie noce, dlatego postanowiliśmy jeszcze napić się herbaty i dla formalności przejrzeć „San Francisco Chronicle”. Chwilę po dziesiątej Boudewijn puścił do mnie oko.

– Idź ich obudzić – powiedział. – Będzie im przyjemniej. Ja też nie lubię zaspać u przyjaciół.

Zeszłam po schodach i delikatnie zapukałam do drzwi oszklonej werandy. Wydawało mi się, że słyszę jakieś dźwięki, odczekałam i zapukałam jeszcze raz.

– Śpiochy.

Ponieważ nie było odpowiedzi, uchyliłam drzwi. Do pokoju wpadało światło dzienne, poczułam powiew świeżego powietrza. Wsadziłam głowę do środka i rozejrzałam się po niskim i rozległym pomieszczeniu. Łóżka były puste, pościel skotłowana, jedno skrzydło drzwi ogrodowych szeroko otwarte. Weszłam do pokoju i podniosłam mokry ręcznik z sosnowej podłogi. Łazienka też była opuszczona, nad umywalkami świeciły lampy punktowe, ze słuchawki prysznic leciała struga letniej wody. Przeczesałam wzrokiem mokrą podłogę w poszukiwaniu siostry i Tima, jakby byli wielkości patyczków do uszu, zdałam sobie sprawę, że wyjechali wiele godzin temu.

Poranny korek na Sunset Boulevard był całkiem znośny, chociaż kilka razy

prawie wjechałam w chevroleta przede mną. Wspomnienie o Janis wprowadziło zamęt, nie mówiąc o Aaronie Beverze. Jedząc śniadanie, sprawdziłam stary adres na Hotmailu, konto, którego używałam od czasu do czasu, żeby sprzedać buty czy sukienki na eBayu, i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu znalazłam w skrzynce mail od Aarona sprzed trzech tygodni. Wystraszyłam się na śmierć. Niektórzy ludzie tak długo nie dają znaku życia, że podświadomie zakładamy, iż już nie żyją. Aaron? No to teraz się zacznie. Moją pierwszą reakcją było: precz z tym – więc nie czytając, wywaliłam wiadomość do kosza. Nigdy nie miałam potrzeby kontaktu, a od idiotycznej wizyty mojej młodszej siostry oficjalnie wyrzekłam się Enschede i związanych z nim duchów przeszłości. Nie było mnie w Holandii od 2000 roku, nie śledziłam wiadomości, nie utrzymywałam kontaktów z Holendrami, po odejściu od Boudewijna i Mike'a nie mówiłam nawet w swoim ojczystym języku. Zerwałam wszelkie więzi z ojczyzną i chciałam, żeby tak zostało.

Tym bardziej cieszyło mnie, że na Coldwater Canyon Avenue czekała na mnie ważna wiadomość. Jeszcze zanim zatrzasnęłam za sobą drzwi do biura, recepcja połączyła rozmowę z asystentem Víctora Sotomayora. Stało się to, o czym marzyłam, o czym wszyscy marzyliśmy od tygodnia: sprzedaż dojdzie do skutku, będzie deal, za szesnaście milionów i trzysta tysięcy dolarów staniemy się właścicielami Los Angeles Barracks. No a potem świętowaliśmy.

Najpierw wpadł do mnie Rusty i pocałował mnie, jakby to był Nowy Rok, a pięć minut później cała nasza ekipa, pięćdziesiąt osób, zebrała się w holu, żeby wznieść toast za nowy biurowiec. Rusty wepchnął mnie delikatnie na schody i wyciągniętą rękę trzy razy dolewał mi szampana z jednej ze złotych butelek, które chłodziły się od tygodni.

– Masz – mruknął nosowym irlandzkim akcentem z Zachodniego Wybrzeża – za to, że przez ciebie miałem nieprzespane noce. – Chwilę potem skupił na mnie uwagę wszystkich zebranych. – Kochani – powiedział nerwowo – wznieśmy toast za siebie samych. Wznieśmy toast za sukces, który osiągniemy dzięki Barracks. Wznieśmy toast za nowych kolegów, których powitamy w naszym gronie. Ale w szczególności chciałbym, żebyśmy wznieśli toast za Joy. Ta oto wspaniała kobieta – wolną ręką potrząsnął mną za biodro, przez co musiałam chwycić się chwiejnej poręczy z drzewa wiśniowego – ustawiła nas, że tak powiem, na przyszłość.

Następnie prawie ściągnął mnie ze schodów, pocałował w oba policzki i oddał mi głos. Mimo wielu lat dyrektorowania od przemówień nadal dostawał czerwonych plam. Te wszystkie zwrócone ku mnie twarze nie były mi obojętne. Kamerzyści, reżyserzy, makijażyści, spece od IT, kilku aktorów

w białych szlafrokach z niedokończonym makijażem. Zapaleńcy, lojalni, ambitni, często dobrze wykształceni dziwacy, stłoczeni w holu z wymienionymi gdzieś klepkami parkietu naszego skrzypiącego wiktoriańskiego domu w samym środku Studio City (nazywanego z uporem przez Rusty'ego „Hollywood”, odkąd chciałam je opuścić, a on nie). Jeszcze raz wyjaśniłam im, dlaczego LA Barracks są tak ważne. Ponownie obiecałam im, że za rok będziemy największym graczem na świecie. I muszę przyznać, że traktowałam to jako swój osobisty triumf, jako sukces, który wiele mnie kosztował, dlatego przez godzinę zupełnie nie zawracałam sobie głowy granatem w postaci Aarona. Miałam świetny nastrój, ponieważ udało mi się przekonać do swoich racji nie jednego, a dwóch wpływowych uparciuchów – Rusty'ego i Sotomayora.

Naturalnie Rusty wciąż nie mógł się z tym pogodzić. Nawet dla Rusty'ego Wellsa szesnaście milionów i trzysta tysięcy dolarów to kupa pieniędzy, dziesięciokrotność jego największej inwestycji.

– Joy – westchnął, kiedy, jeszcze zanim doszło do tej transakcji, pod koniec pracy znów próbowałam go przekonać do Barracks – czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo kocham Hollywood? Czy masz pojęcie, czym dla chłopaka z Belfastu jest praca o rzut beretem od MGM?

– Chcesz chusteczkę? – odpowiedziałam, dobrze wiedząc, że stoimy nieźle finansowo.

Ten drewniany dom, wzniesiony przez brytyjskich kolonistów pod koniec dziewiętnastego wieku i służący przez dziesięciolecia jako hotel rodzinny, miał charakter; dwadzieścia cztery różnej wielkości pokoje na trzech nachodzących na siebie, schodkowych kondygnacjach, a każdy z nich tak samo śmierdzący stęchlizną. W korytarzach wisiały lampy o jadeszawozielonych kloszach niczym oklapłe tulipany, lada recepcji lśniła niczym steinway, a hol sprawiał wrażenie, jakby Paul Newman i Robert Redford gdzieś na górze brali kąpiel w wannach o mosiężnych nogach, paląc cygara. W 2001 roku Rusty zapłacił za tę nieruchomość ponad milion i wprowadził się do niej z dziewięcioma facetami od wszystkiego, którzy mieli jako takie pojęcie o robieniu filmów. Ale to było wtedy. – Teraz spiczaste dachy pokryte szarą dachówką i niebieskie wykusze prawie się zapadały, kiedy rano cała nasza pięćdziesiątka włączała komputery. Brakowało nam już miejsca i Rusty też zdawał sobie z tego sprawę.

– Ale dlaczego *jebane* koszary o powierzchni osiemnastu tysięcy metrów kwadratowych? – zapytał. – Dlaczego za dwukrotność *jebanego* zysku za 2007? W zeszłym roku zarobiliśmy niecałe osiem milionów. Osiem, nie

osiemnaście. I dlaczego w Compton, Joy? Dlaczego właśnie w *jebanym* Compton? Chcesz nas wykończyć, czy co? Dlaczego *historical landmark*? Dlaczego akurat zabytek figurujący na liście? Chcesz użerać się z szesnastoma historykami amatorami? Chcesz użerać się z połową *city council*?

Kiedy w 2003 roku postanowiliśmy zostać współnikami, ustaliliśmy, że można i należy się kłócić, ale nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Jakies trzy tygodnie temu wynajęliśmy salę do squasha w Irving Drive – czasem tak robimy i zgodnie z niepisaną umową przez trzy kwadransy nie rozmawiamy o interesach. Jeszcze zanim pięczka się rozgrzała, po raz któryś z kolei pokłóciliśmy się o Old Barracks. Nasz prezes i założyciel stał w wypłowiej koszulce Guinnessa, w rozkroku, z nogami jak bańki od mleka, z rakieta niczym sztylet w piegowatej dłoni: „Nie zapłacę dwudziestu milionów za nawiedzony dom z cegieł, nie chcę być na okładce „LA Timesa”, nie sprzedałem ci udziałów po to, żebyś doprowadziła mnie do bankructwa!”. Po raz pierwszy od początku współpracy mieliśmy kompletnie odmienne zdania.

Chociaż wybuch wisiał w powietrzu, Rusty wprowadził mnie w zdumienie. Miał ogromne zaufanie do moich zdolności menedżerskich, o czym świadczyły często bardzo kosztowne zmiany, które pozwolił mi wprowadzić w ostatnich latach. To z mojej inicjatywy przeszliśmy z jednej na sześć bardziej wyspecjalizowanych stron internetowych, oczywiście stopniowo, ale z ogromnym sukcesem. To ja naciskałam na zakup lepszych kamer i szybsze łącza, dzięki czemu korzystaliśmy teraz z planów filmowych, które z technicznego punktu widzenia dorównywały największym studiom w Hollywood i Burbank. Dał mi wolną rękę w doborze personelu, i to nie tylko pracowników kreatywnych. Nie protestował nawet wtedy, kiedy zatrudniłam ludzi od marketingu, kontrolera finansowego, a także kadrowego, któremu płaciliśmy za to, żeby sporządzał plany emerytalne i kosztów leczenia. Dzięki temu udało nam się zwiększyć zyski z marnych trzech milionów do ośmiu w zeszłym roku.

Salę do squasha są projektowane tak, żeby wykończyć przeciwnika: nikt cię nie słyszy, nie ma dokąd uciec, światło jest bezlitosne. Szukałam jego pięty achillesowej, a okazała się nią Europa.

– Wells – powiedziałam już nieco mniej opanowana po miesiącu wymyślania coraz to nowych argumentów – jesteś taki zachowawczy, taki powolny, brakuje ci odwagi... jakbyś był Europejczykiem.

Rusty lubił od czasu do czasu pojeździć po wielkich międzynarodowych korporacjach, które nazywał „starą gospodarką”: Shell, Barclays, Renault,

Total – wciąż ta sama lista z czasów, kiedy pracował dla Goldman Sachsa, wciąż ten sam pseudointelektualny wywód oparty na jakiejś zasadzie heurystycznej, który przedstawiał z taką pewnością siebie, że nie wiadomo było, czy naprawdę mówił poważnie, czy sobie żartował. Rusty niczym biurowy guru nacierający uszu europejskiemu biznesowi.

– Przeciężny prezes nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, Joy. Taki tchórz myśli sobie: muszę być innowacyjny, muszę stawiać na trwałość, muszę być ekologiczny, muszę to, muszę tamto. Zatrudnia rzesze menedżerów i po roku odkrywa, że ci *jebani idioci* wymyślili coś zupełnie innego, niż miał na myśli. Więc mówi: poczekajmy jeszcze. Spo-koj-nie.

– Czego ty chcesz? – zapytałam go w sali do squasha. – Wrócić do Belfastu czy mieć dodatkowe zero w sprawozdaniu rocznym? Wells, albo za dwa lata zarobimy pięćdziesiąt milionów, albo jesteśmy skończeni. To, co teraz robimy, może robić każdy. Musimy być lepsi. Musimy być więksi. Inni. Dobrze o tym wiesz.

– Wcale nie – odparł podenerwowany.

W tych rzadkich razach, kiedy tracił anielską cierpliwość, jego angielski akcent stawał się silnie irlandzki, prawdopodobnie gaelicki. Rusty Wells – ktoś, kto najchętniej ukryłby swoje pochodzenie, ale tego nie potrafi. Dorastał w Belfaście, w umiarkowanej katolickiej rodzinie, którą w latach osiemdziesiątych zżerał strach przed radykałami z IRA, ale nie dlatego, że mogli stać się ofiarami terroru, a dlatego, że wydawało im się, iż terror szerzy się w ich imieniu. Kiedyś wspomniał o młodości determinowanej przez nerwowy wstręt i wyrzuty sumienia. Od tamtej pory wydawało mi się, że potrafię rozpoznać ten jego wieczny uśmiech. Kiedy był spokojny, jego regularna twarz była pokryta siateczką drobnych zmarszczek wokół ust i w kącikach oczu w szarym kolorze; zmarszczki w tajemniczy sposób znikwały, gdy się śmiał, co robił często i bez wysiłku, tak często, że uśmiech stał się jego naturalnym wyrazem twarzy.

– Nie mogę – powiedział słabym głosem aktora filmów klasy B wyrażającym rozpacz. Osunął się plecami po ścianie i usiadł na swoim małym irlandzkim tyłku, z głową opartą o białoną betonową ścianę z wymalowaną czerwoną kreską.

– Rusty, czy ja dobrze rozumiem?

– Nie mogę.

– Czego nie możesz?

– Podejmować takiego ryzyka.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– A ten cyrk z nieruchomościami?

Od lat zgrywał bogacza w domu gangstera w Bel Air i spekulował kupionymi przez siebie kilkoma innymi domami w Beverly Hills albo przy Sunset. Sama, dzięki sporej zniżce, kupiłam od niego naprawdę fantastyczny dom, wsparty na wielkich filarach, ponieważ jedna połowa budynku wystawała ze skały – klon posiadłości Franka Lloyd Wrighta przy wlocie na Sunset Boulevard, Rusty bardzo chciał, żeby „został w rodzinie”.

– A obraz Rembrandta?

Chodził na aukcje dzieł sztuki. W skrzydle malarstwa niderlandzkiego w Gettym wisiało malutkie płótno wielkości kafelka łazienkowego, takie małe nic, ale to był najprawdziwszy Rembrandt i ten najprawdziwszy Rembrandt był własnością Rusty’ego Wellsa. Ryzyko? Rusty *szastał* dolarami.

– To co innego – powiedział. – To sprawy prywatne.

Okolo 2000 roku w jednej chwili się wzbogacił, sprzedając portal randkowy tuż przed pęknięciem bańki internetowej. Chętnie opowiadał, jak to bezpośrednio po transakcji wyszedł z dwupokojowego mieszkania w Redondo Beach, wsiadł do taksówki i kazał zawieźć się na Mulholland Drive. Chciał zobaczyć drzewa, i to natychmiast, najlepiej blisko willi wystawionych na sprzedaż. Kiedy zobaczył dom, który chciał mieć, wysiadł i zaoferował właścicielom półtorakrotność ceny wyjściowej, „jeszcze dziś wieczorem dostaniecie pieniądze – pod warunkiem że zaraz potem się ulotnicie”. Nigdy już nie wrócił do rudery w Redondo Beach, nawet nie starał się jej sprzedać, prawdopodobnie nadal walały się w niej brudne naczynia z tamtego dnia – ale miałam wrażenie, że to bzdury, podobnie jak to, o czym teraz mówił.

Usiadłam przed nim w kucki i wwiercałam wzrok w jego blade tęczęwki.

– Gdzie się podział ten chojrak, który w pięć minut uwolnił mnie od McKinseya? – szepnęłam żarliwie. – Gdzie podział się ten wnikliwy Wells?

Mrugnął nerwowo, jego okolone jasnymi rzęsami powieki wydawały się nieco za małe.

– Jak myślisz, w jaki sposób eBay stał się wielki? A Amazon? Dlatego, że srali w gacie ze strachu?

Zamiast odpłacić mi pięknym za nadobne, co prawdopodobnie mi się należało, wyskoczył z historią o swoim ojcu.

– Jeśli koniecznie chcesz mówić o Belfaście – powiedział – to mój staruszek...

Pamiętam, że pomyślałam: ostatnią rzeczą, którą chcę usłyszeć, Rusty Wellsie, jest sentymentalna opowieść o twoim ojcu. W San Fernando Valley

ludzie nie mają rodziców. Chciałam mu powiedzieć, żeby o nich zapomniał, tak jak ja, ale się powstrzymałam.

– Mój ojciec – wybąkał, a ja wciąż podejrzewałam, że gra – przez dwadzieścia lat pracował na etacie jako przedstawiciel firmy produkującej linoleum. Islandia? Nowa Zelandia? Indonezja? Każdemu, kto chciał słuchać, opowiadał o torach wrotkarskich z linoleum. Jeśli akurat przypadkiem był wtedy w domu.

Muszę przyznać, że nie chciałam przegapić opowieści, którą zaraz potem mnie uraczył. Zdałam sobie sprawę, że do tej pory Rusty przypominał staroegipskiego skrybę, był odważny, miał wszystko, ale był też banalny. Zszedł z papierusa, opowiadając mi o ojcu, który miał w życiu jedną pasję, a były nią sztuczki, *magic* po angielsku, co wcale nie brzmi lepiej. Połowę dzieciństwa Rusty’ego ojciec spędził na strychu wśród białych królików i znaczonych kart, kupował nowe sztuczki magiczne w dobrze ukrytych sklepikach daleko poza śródmieściem, korzystając z czasu wolnego w delegacji. Decyzję podjął w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, mając za sobą szczęśliwie zakończoną interwencję wieńcową. Według Rusty’ego przez całe życie czuł się otumaniony, nie, kipiał złością, że ma szefa, aż w końcu rzucił linoleum. Pożyczył czterysta tysięcy funtów z Bank of Ireland i upatrzył sobie mały teatr blisko centrum Belfastu. Mały, ale drogi.

– Więc show-biznes masz w genach – powiedziałam. – Jak się nazywał?

– Wellingtons Magic Venue.

Spróbowałam się uśmiechnąć, puknęłam go rakieta w kościste kolano, ale nie zareagował.

– Budynek był zniszczony, ale drogi. Właśnie zacząłem pracę w City, zajmowałem się oceną planów inwestycyjnych, więc tata przyleciał do Londynu, żeby omówić ze mną inwestycję. „Kupić czy wynająć”, zapytał. „Kupić”, doradziłem mu. Co mogło pójść nie tak?

– Przestań – powiedziałam.

Ciągnęło od podłogi. Ale Rusty, który zwracał wyjątkową uwagę na szczegóły, i to głównie na zebraniach, jeszcze nie skończył. Powiedział, że ojciec przez dwa miesiące bez przerwy pracował nad występem, kazał wydrukować dwustronne kolorowe ulotki i rozdawał je z żoną w Belfaście. Cztery miesiące po złożeniu wypowiedzenia teatr otworzył swoje podwoje.

– Trzy lata później matka siedziała w splądrowanej hali na plastikowym krzeselku ogrodowym i wciąż trzęsła się z nerwów po licytacji publicznej. Wymontowali nawet zamszowe składane krzeselka. Staruszkowie próbowali wszystkiego, ale interes się nie kręcił. Przynajmniej nie wystarczająco.

Sztuczki magiczne to *tricky business*¹⁵.

– Cóż – powiedziałam. – A ojciec?

– Umarł. Zawał serca. Stres związany z kredytem hipotecznym. Kamień na sercu. Rozumiesz?

Nic z tego nie rozumiałam. Naprawdę rzadko słyszy się równie idiotyczny argument. Barracks miały niewiele wspólnego z Magic Venue zmarłego ojca Rusty’ego, a dokładniej mówiąc: zupełnie *nic*. Zaczęło mi świtać, że mój wspólnik jest większym wrażliwcem, niż do tej pory myślałam. Pod skórą twardziela, wesołka i buntownika kryło się białe mięso, miękkie i irracjonalne. Nie wiedział, a przynajmniej niezbyt dokładnie, że od tygodni urabiałam Sotomayora, według „LA Business Journal” najbardziej wpływowego agenta nieruchomości na południu Stanów. Był właścicielem Barracks i chciał się ich pozbyć, wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy wiedzieli też, że Sotomayor od czterech lat próbował sprzedać byłe koszary Gwardii Narodowej różnym deweloperom, w tym nawet jakimś Węgrom. Wszyscy wiedzieli także, że pierwotnie miały tam powstać luksusowe apartamenty, później lokale socjalne, potem centrum rehabilitacyjne, parking podziemny – ale za każdym razem w trakcie publicznych konsultacji komitety lokalne stawiały okoniem. Czternaście milionów to była najwyższa cena, jaką kiedykolwiek mu zaproponowano, i o tym też wszyscy wiedzieli. Obiecałam mu, że ją przebijemy, i wraz z asystentką Víctora Sotomayora zorganizowałam w tajemnicy pierwszą wizytację tego ceglanego potwora. Było wspaniale.

– Rozumiem cię, Rusty – powiedziałam. – Ale powinieneś przynajmniej raz sam je zobaczyć.

W następnym tygodniu po partyjce squasha zabrałam go do Barracks – proste posunięcie, na które wcześniej jakoś nie wpadłam, dotąd widział właściwie tylko rysunki techniczne i zdjęcia. W towarzystwie innej asystentki Sotomayora udaliśmy się w prawie godzinną podróż przez Los Angeles do masywu, który nie tylko wyglądał jak średniowieczny fort, ale naprawdę nim był. Barracks, zbudowane w 1916 roku, stanowiły ponurą i nietrafioną imitację mauretańskiej twierdzy. Przez ponad sześćdziesiąt lat na trzydziestoczworometrowych wieżyczkach powiewała flaga Gwardii Narodowej, teraz Sotomayor zawiesił trzy Stars and Stripes¹⁶ i jedną flagę Kuby. Za blankami kształcili się kadeci, w zbrojonych stałą piwnicach składowano amunicję i materiały. Ceglana elewacja była szorstka i niemiała w dotyku, na pięć dobrze ułożonych cegieł jedna wystawała, czasem któraś była krzywa albo w połowie ukruszona.

– W latach trzydziestych i czterdziestych w cylindrycznie zadaszanej Hali Musztry walczyli przeciwko sobie bokserzy Joe Louis i Max Schmeling – powiedziałam, na co Rusty zaczął walczyć z cieniem.

W 1978 roku armia opuściła koszary, sto sześćdziesiąt pomieszczeń opustoszało: kamienne sale sypialne, jadalnie z orzechową boazerią, dębowe sale balowe, klatki schodowe, kuchnia, basen, strzelnica, łazienki, maszynownie, piwnice, lochy. Wszystko dla Rusty’ego.

Miałam rację. Zauważyłam, że wędrówka po labiryncie nadała jego twarzy pogodny wyraz, gdy ponad godzinę przemierzaliśmy brudne sale Barracks, pomieszczenia biurowe z powyginanymi półkami, na których stały rozpadające się segregatory, pokoje oficerskie z zapomnianymi marynarkami na oparciach zakurzonych krzeseł. Kroki Wellsa stały się ciężkie, w oczach pojawiła się zachłanność, mówił do sekretarki Sotomayora coraz bardziej ożywionym tonem. Kiedy wróciliśmy do Hali Musztry o powierzchni czterech boisk do hokeja, powiedziała:

– To tutaj słynny reżyser George Lucas kręcił szeroki plan w *Gwiezdnym wojnach*.

W tym momencie w głowie Rusty’ego rozbłysła świetlówka.

Ale po czwartkowym popołudniu w Compton Sotomayor zaczął mnie unikać. Nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na maile. Dopiero po wysłaniu trzech faksów do centrali w Dallas otrzymałam od jednego z sekretarzy niepozostawiającą złudzeń odpowiedź: Barracks nie są już na sprzedaż. *Fuck you, Víctor*. Przypuszczam, że doszły go słuchy na temat naszych planów, prawdopodobnie spodziewał się lokalnych protestów, złej prasy i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Dlatego w następnym fakcie zaproponowałam cichą sprzedaż. Wtedy klasa średnia i proletariat w Compton stałyby się naszym problemem. „Wszystko jest na sprzedaż – napisałam w fakcie – wydaje mi się, że nie muszę tego tłumaczyć Víctorowi Sotomayorowi. Poza tym nie wszystko musi trafić do gazet”. A nawet jeśli gazety o tym napiszą, będzie to miało też swoje dobre strony. Przypomniałam mu, że nikomu nie umknęła jawna zażyłość Sotomayora z Villaraigosą, odkąd ten ostatni został burmistrzem LA. Parę lat wcześniej król nieruchomości niechętnie przyznał w „Los Angeles Timesie”, że wyjątkowo hojnie wspierał kampanię wyborczą Villaraigosy – Latynosa tak jak on. Fakty wskazywały, że wszystkie zamówienia publiczne w LA były ustawione. „Drogi Víctorze – napisałam – może to jest okazja, żeby zrobić coś, co *nie* spodoba się burmistrzowi. Zastanów się. Oferujemy piętnaście milionów. Mogę być w Dallas w najbliższy poniedziałek o czwartej”.

Oczywiście faks pozostał bez odpowiedzi. Moja bezczelność nie spodobała się Sotomayorowi. Był kubańskim dorobkiewiczem o spoconym nosie boksera, nie zwykł negocjować z kobietami. Na jego korpulentnym ciele w kształcie kropli swobodnie wisały pastelowe garnitury, o które wycierał upierścienione palce, zanim podał mi chłodną, miękką dłoń.

– To znaczy, że się zgadza – powiedziałam do Rusty’ego.

W zeszły poniedziałek wsiadłam na pokład samolotu czarterowego do Teksasu. Za pięć czwarta po południu winda z umazanym palcami lustrem zatrzymała się na jedenastym piętrze Stone Tower w centrum Dallas. Wysłam z niej i bez zapowiedzi zapukałam do wykonanych z matowego szkła drzwi biura Sotomayora.

Zanim koledzy skończyli świętować, zniknęłam na schodach i wróciłam do pracy, udając, że daję dobry przykład, chociaż w rzeczywistości żołądek miałam ściśnięty z nerwów. Ten e-mail. Z każdym pokonywanym schodkiem hałas pode mną cichł coraz bardziej i wzmagala się tajemnica. Czy postąpiłam rozsądnie, nie czytając go? Czego chciał Aaron? Kiedy zamknęłam za sobą drzwi do gabinetu, który kiedyś był apartamentem dla nowożeńców, słychać było jedynie ciche brzęczenie mojego peceta. Czego on chce? Przyszło mi na myśl, że informacji nigdy za wiele, natomiast bardziej istotne jest to, czy odpiszę na maila, czy pozostawię go bez odpowiedzi. Wyciągnęłam wiadomość z kosza. Najwyraźniej moją niechęć skutecznie wypłukały trzy kieliszki Armand de Brignac Ace of Spades i euforia wywołana zwycięstwem. Nie zastanawiając się dłużej, otworzyłam maila od Aarona.

(Brak tematu)

Od Aaron Bever (a.bever@hetnet.be)

Wysłano czwartek 17 kwietnia 2008 04:49

Do Joni Sigerius (jonisigerius74@hotmail.com)

pewnie się zdziwiłaś, kiedy matka ci powiedziała, że rozmawiała ze mną na dworcu głównym w brukseli. to był głupi przypadek, nie wiedząc o tym, siedzieliśmy naprzeciwko siebie od maastricht, rozpozналиśmy się dopiero w ostatniej chwili, też dawno jej nie widziałem. u mnie wszystko w porządku, mam nadzieję, że to też ci powiedziała, sama też dobrze wygląda, kurczę, taka szczupła, wesota, kobieca, trochę mnie zdziwiło, że jechała do brukseli, ale to zdziwienie było obopólne, bo skąd miała wiedzieć, że obecnie mieszkam w linkebeek, nie powiem ci gdzie dokładnie, bo bardzo cenię sobie swój spokój. właściwie jest to też powód, dla którego do ciebie piszę, bo jako jedyna wiesz, jak bardzo wstrząsnęły

mną wydarzenia z 2000 roku, słyszałem od pani haitink, że bardzo mi wtedy pomogłaś, byłem choć trochę miły dla ciebie? kiedy zobaczyłem twoją matkę z twoim mężem, nie mogłem uwierzyć, że ty też osiadłaś w brukseli, kolejny przypadek, i jak to bywa, parę dni później zobaczyłem cię nagle na szkolnym placu zabaw w klimOP, PRZEZ ZUPEŁNY PRZYPADEK ROBIŁEM TEGO DNIA ZDJĘCIA KLASOWE, CHOCIAŻ CZYM JEST PRZYPADEK, CZYM ON JEST, JONI? WIDZIAŁEM, JAK SZŁAŚ PRZEZ PLAC ZABAW Z WÓZKIEM DZIECIĘCYM, BYŁAŚ Z MĘŻEM, TYM SAMYM FACETEM, KTÓRY PRZYJECHAŁ PO TWOJĄ MATKĘ NA DWORZec w bmw, to było zabawne, spojrzeliśmy sobie w oczy i od razu wiedzieliśmy, że jesteśmy rywalami, życzę wam wszystkiego najlepszego. nie miałem najmniejszego kłopotu z rozpoznaniem twojej córeczki na zdjęciach, od razu wskazałem małą juliette z klasy trzeciej od pani jeanne, druga w pierwszym rzędzie, ma ten sam uparty wyraz twarzy co ty i dwa jasne warkoczyki, i to godne pozazdroszczenia nazwisko, jalabert, juliette jalabert, brzmi o niebo lepiej niż bever, być może lepiej niż sigierius, ale what's in a name¹⁷. ten twój bogaty chłopak na pewno jest dobry dla juliette. ale nie dlatego do ciebie piszę, piszę do ciebie, ponieważ od kilku dni jest ze mną gorzej, tak tylko uprzedzam, właściwie jest bardzo źle, znów źle śpię, kochana. tineke przekazała mi straszną wiadomość o twoim ojcu, twierdziła, że siem od wielu lat nie żyje, nie bardzo jej uwierzyłem, ale wierzę, muszę. nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, naprawdę, szczerze, bardzo mi przykro, od razu zbiera mi się na płacz. wszystko wraca, dopada mnie z każdej strony, przez kilka ostatnich nocy nawiedzały mnie różne myśli, zastanawiałem się, jak do tego doszło, czyja to wina, te nasze kłótnie, i tak dalej, i tak dalej, i tO JEST LOGICZNE. TY TEŻ SĄDZISz, że wszystko zaczęło się od eksplozji fajerwerków? ona wszystko zepsuła. cholera, potem wszystko potoczyło się tak SZybkO, wszystko obróciło się wniwecz, cholera, cholera, cholera. mam pytanie, w jakiej okolicy mieszkasz i pracujesz, dzięki temu będę wiedział, gdzie cię mogę spotkać, a gdzie nie, bo wtedy w klimop nie wiedziałem, co mam ze sobą począć, śledziłem was w molenbeek-saint-jean, w parku scheutbos aż do anderlechtu, ale tam cię zgubiłem, aż zobaczyłem cię w zielonym autobusie do koekelberg. cóż, powrót do domu zajął mi wiele godzin, byłem ubłocony do samego pępka. słowo daję. mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, masz fajnego męża i ładne dziecko, to cholernie przykre, że jej wspaniały dziadek

„Jej wspaniały dziadek”? Nad Doliną wisiała mgła, mieszanka zwykłej mgły i smogu. Na dole, na szerokim chodniku na Coldwater Canyon Ave, jakiś młody Azjata w koszulce Dodgersów ostrożnie otworzył zdobioną bramę

odgradzającą nasz ogród od ulicy i wszedł po piaskowcowych schodach prowadzących do drzwi wejściowych, niosąc gazetę wyjętą z torby biodrówki.

„Jej wspaniały dziadek”. Wyszłam z gabinetu. Danny i Deke stali w drzwiach pokoju do rekrutacji z kieliszkami w dłoniach, pozdrowiłam ich, zesłam bezgłośnie po jednych, a potem drugich schodach pokrytych wykładziną i w kuchence na pierwszym piętrze znalazłam tacę z używanymi kieliszkami do szampana. Wybrałam najczystszy z nich i napełniłam szampanem z jednej z otwartych butelek stojących na lodówce. Wróciłam do siebie, upijając po drodze kilka łyków. Siedząc przed komputerem, otworzyłam Office'a i wysłałam oficjalną odpowiedź do Sotomayora, w której dałam do zrozumienia, że nie zamierzam znów lecieć do Dallas. Niech załatwi notariusza w LA.

Ściągnęłam gumkę i roztrzepałam włosy, patrząc na Coldwater. Gazeciarski otworzył furtkę po drugiej stronie ulicy. Nogawki jego bezkształtnych spodni były przydeptane podeszwami adidasów.

A więc Aaron wciąż jest stuknięty. Ponownie otworzyłam wiadomość od niego i czytając po raz kolejny ten idiotyczny e-mail, poczułam, jak dopada mnie nieprzyjemna mieszanka współczucia, ulgi i odrazy. Najmocniej odczuwałam ulgę, pomyślałam, że to kompletnie niegroźny list elektroniczny od kogoś, kto nie ma żadnego ukrytego planu ani złych intencji. Usiadł przy komputerze i popłynął, dał się ponieść ogłupieniu. Zapomniałam, że ma mój adres e-mailowy, założyłam go chyba na stażu w McKinseyu do skąpej wymiany korespondencji z promotorem. Po raz ostatni widziałam Aarona pod koniec grudnia 2000 roku, już wtedy cierpiał na ostrą psychozę. Wydawało mi się, jakby od tamtego czasu minęło pół życia, cała kronika filmowa. Naprawdę bolało mnie, że on wciąż...

Albo znów, oczywiście. Po raz trzeci rzuciłam okiem na list i zdałam sobie sprawę, że ciężko wskazać granicę między prawdą a szaleństwem, o ile cokolwiek z tego było prawdą. To, co mogłam zweryfikować, było stekiem przerażających bzdur. Zacznijmy od tego, że jestem singielką, mam syna i od trzydziestu lat nie byłam w Brukseli. Moje serce na chwilę stanęło, gdy wspomniał o dziecku. Juliette – skąd wytrzasnął to imię? Co to mówiło o całej reszcie? Czy naprawdę rozmawiał z moją matką? Oczywiście, że nie. Tineke szczupła? Dla mnie to dowód, że rozmawiał z kimś innym, z jakąś kompletnie obcą osobą, w której nie wiedzieć czemu rozpoznał moją matkę, podobnie jak wydawało mu się, że widział mnie. Nie znam się na psychiatrii, ale według mnie to ciężkie urojenia.

Z drugiej strony korzystał z usług belgijskiego dostawcy internetu, co oznaczało, że rzeczywiście mieszka w Brukseli, o czym poinformował mnie dosyć szczegółowo, chociaż nie bardzo rozumiem, czego tam szuka. Wyobraźnia podsunęła mi złośliwy obraz busika pełnego wariatów z Enschede na jednodniowej wycieczce w Brukseli i Aarona wałęsającego się przez parę godzin po mieście, nieuchwytnego dla braci w niedoli.

Przyłożyłam do ust pusty kieliszek i zerknęłam przez smukłe szkło na plamy wilgoci na suficie. Nie rozumiem, dlaczego skontaktował się ze mną właśnie teraz, po ośmiu latach milczenia. Musiał istnieć jakiś powód. Czy naprawdę nie wiedział, że Siem nie żyje? Czy to możliwe? Czy mogło mu to umknąć? Że dopiero teraz gdzieś o tym przeczytał lub dowiedział się z telewizji i od tego pomieszało mu się w głowie? Cóż za dziwny scenariusz, na wskroś ironiczny, że to właśnie Aaron, sekretarz fanklubu Sigeriusa, nie miał o niczym pojęcia. Ponownie przeczytałam fragment, w którym pisał o ojcu. Zastanowiłam się głębiej nad jego pytaniem, czy całe nieszczęście nie zaczęło się od eksplozji fajerwerków. Wcale nie było takie głupie. Gdyby przeanalizować to, co stało się z naszą trójką po trzynastym maja 2000 roku, odpowiedź mogłaby być twierdząca.

W dniu eksplozji w S.E. Fireworks¹⁸ byliśmy poza Enschede: Siem wybrał się z ramienia uniwersytetu do Szanghaju, Aaron i ja pojechaliśmy na ślub do Zaltbommel. Byliśmy bezpieczni. Żadne z nas nie straciło domu (choć w przypadku Aarona brakowało niespełna piętnastu metrów), nikt nie stracił ręki ani nogi. Ale ja też byłam skłonna uwierzyć, że ta okrutna tragedia miała na nas destrukcyjny wpływ. Może to normalne, że nieszczęśliwe wypadki uruchamiają nieznanne mechanizmy, tworzą fale uderzeniowe, które w konsekwencji wywołują nieszczęścia, nieporozumienia i wymuszają pewne decyzje. Wydaje się, że katastrofy o takim zasięgu jak ta w Enschede przyczyniają się do powstawania wielkich wybuchów, z których wyłaniają się nowe wszechświaty pełne następstw, intryg, możliwości i niemożliwości. Katastrofa na miarę wybuchu magazynu sztucznych ogni to porodówka, na której rodzą się nowe katastrofy.

Nie żebyśmy wówczas zdawali sobie z tego sprawę, wręcz przeciwnie. Tamtego dnia nie mieliśmy o niczym pojęcia. W sobotę trzynastego maja 2000 roku ja i Aaron cali i zdrowi siedzieliśmy przy marcepanowym torcie ślubnym niejakiego Etienne'a, jedyne kumpla z liceum, z którym Aaron utrzymywał kontakt, i sporo nas kosztowało uświadomienie sobie tego, co się działo w domu, sto pięćdziesiąt kilometrów od Zaltbommel. Mieliśmy spędzić

tam cały dzień, więc w czasie, kiedy młoda para opuściła towarzystwo, żeby zrobić sobie zdjęcia, postanowiliśmy wrócić na godzinę do pokoju hotelowego. Na schodach pałacu ślubów Aaron uszczypnął Etienne'a w miękki boczek i powiedział, że zmywamy się na chwilę.

Zanim kindersztuba nakazała nam udać się do posiadłości, w której zaplanowano przyjęcie, włączyłam telewizor. Było mniej więcej wpół do piątej, właśnie wyszłam spod prysznic, Aaron męczył się w łazience ze spinkami do mankietów. Skakałam po kanałach, na trzech z nich pokazywano te same obrazy miasta, takie, jakie widać z pokładu boeinga podchodzącego do lądowania, a nad miastem unosił się czarny dym – widziałam go, słyszałam też, że chodzi o Enschede. Kiedy Aaron usiadł koło mnie, zobaczyliśmy zdjęcia z ziemi: płonące samochody pod czarnym jak smoła niebem, policjantów wypychających zdezorientowanych ludzi w krótkich spodenkach z ulicy zasypanej gruzem. Gdyby dobrze się przyjrzał, zobaczyłby, że to Lasondersingel – ulica oddalona o niecałe sto pięćdziesiąt metrów od jego mieszkania.

– Musimy wracać i obalić grolscha – zazartował, wywołując uśmiech na mojej twarzy, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie potrafiłam sobie wyobrazić, wprost nie mieściło mi się w głowie, że prowadzące do tego żartu utarte chodniki, pokryte klinkierem ulice, które mijaliśmy w pośpiechu w poprzednie soboty w drodze na Roomweg, żeby kupić na wynos nasi rames w małej chińskiej restauracji albo okrągłe frytki z solą ziołową we frytkarni De Roombeker, czyli codzienna trasa Aarona – że ta monotonna, niepodważalna, stała rzeczywistość już *nie istnieje*.

Rozładowała mi się komórka, a w tamtym czasie Aaron nie miał jeszcze telefonu komórkowego. W pokoju hotelowym stał pseudoklasyczny bakelitowy aparat, matowoczarny dyliżans z tarczą i spiralnym kablem. Próbowalam złapać rodziców, ale szybko się zorientowałam, że sieć wokół Enschede nie działa. Aaron uznał, że nie ma potrzeby dzwonić do Venlo. Poniewczasie przekonaliśmy się, ilu naszych przyjaciół, członków rodziny i znajomych miało na ten temat inne zdanie. Okazało się, że do rodziców Aarona zadzwonili wuj, znajomy matki, dziadek, brat Sebastiaan, kolega ze studiów, dawny nauczyciel judo, matka jego byłej dziewczyny, redaktor z „Tubantia Weekly” – szczerze i słusznie zmartwieni ludzie, którzy różnym tonem zadawali to samo pytanie: czy on żyje? Jego matka skontaktowała się z nami dopiero następnego dnia, dzwoniąc na telefon w akademiku, całą noc zaś siedziała w salonie i odchodziła od zmysłów, zerkając na telegazetę i powtórki *Novy* i *NOS Journaal* z nadzieją, że syn da znak życia. Aaron

wspomniał nieco pogardliwie, że jego ojciec wykazał się mniejszą cierpliwością, a ja wyobraziłam sobie, jak ten żyłasty, brodaty mężczyzna powiedział o wpół do dziesiątej „jadę tam” i bez zbędnych wyjaśnień złapał ze stołu paczkę tytoniu i kluczyki do samochodu, po czym odjechał w trawiastozielonej toyocie corolli, którą odbierał nas z dworca w Venlo, kiedy ich odwiedzaliśmy. Oczywiście jego ojciec, z zawodu cukiernik z przedramionami naznaczonymi oparzeniami od setek tysięcy rozgrzanych blach do pieczenia, przez godzinę błąkał się wzdłuż barierek zabezpieczających i blokad, tak długo zaczepiał strażaków i policjantów, aż go odprawili.

– Twój ojciec jest wściekły – powiedziała matka Aarona.

– Kto w środku nocy wybiera się w ciemno do Enschede?

– Zastanów się przez chwilę. To, że zapomniałeś do nas zadzwonić, to przyszcz. Ale mogłeś przecież umrzeć.

Co najwyżej od alkoholu. W czasie, kiedy jego ojciec jeździł po płonącym Enschede, zaginiony syn bawił się bez umiaru i jakiejkolwiek kontroli w Zaltbommel, opróżniając lampki różowego szampana, po którym nie chce się siku, za to chce się tańczyć. W czasie, kiedy w okolice jego domu podjeżdżały i odjeżdżały karetki, Aaron informował każdego, kto się nawinał, że Roombeek¹⁹ to mięso smażone na Cromie²⁰, „nie pryska, ale trzeba go pilnować”. Kiedy leżąc wśród balonów i plastikowych kufla piwa, zaczął udawać chińskiego smoka z petard, ściągnęłam go z parkietu za ten kołnierz, za który nie wylewał.

Następnego ranka w samochodzie wszystkie stacje radiowe nadawały wyłącznie wiadomości z pola bitwy, do którego zmierzaliśmy. W Enschede dojechaliśmy do obrzeży Roombeek dziwnie podenerwowani. Podobnie jak ojciec Aarona dwanaście godzin wcześniej, zaparkowaliśmy przy barierkach na pasie zieleni Lasondersingel, bliżej się nie dało. Czuliśmy zapach prochu i gapiliśmy się na zdmuchnięte dachy kaflowe i zniszczone kominy domów, które ledwie przetrwały falę podmuchu i zasłaniały nam widok prawdziwego leju po bombie. Zniekształcony kontener morski wbił się w trawę pasa zieleni – mógł tutaj wylądować, tylko przelatując nad domami. Naprzeciwko zniszczonego budynku Muzeum Narodowego na krzeselku wędkarskim siedział mężczyzna, który gapił się przez siatkę drucianą. Poinformował nas, że ogień oszczędził Vluchtstraat. Miał termos z kawą, ale nie uprawiał turystyki katastroficznej: jego dom stał przy H.B. Blijdensteinlaan i według ekspertów w każdej chwili mógł się zawalić. W milczeniu pojechaliśmy do centrum. W kuchni przy De Heurne słuchaliśmy relacji moich współlokatorek

– jedna z nich jechała w momencie eksplozji furgonetką na Deurningerstraat i widziała, jak w dach jadącego przed nią samochodu wbił się blok betonu.

– Szkoda, że nie było nas w domu – powiedział Aaron z wyraźnym żalem w głosie. – Nie przegapilibyśmy takiej atrakcji.

Ennio został przetransportowany helikopterem ratunkowym do Szpitala Akademickiego w Groningen z poważnymi ranami i oparzeniami. Matka napomknęła o tym mimochodem tydzień po eksplozji. Byłyśmy w letniej kuchni domu na wsi, od kilku dni nocowaliśmy z Aaronem u moich rodziców. Wypchała pościelą suszarkę bębnową, ale tak naprawdę to centryfugowała mnie. Ta wiadomość wywróciła mój świat do góry nogami, czułam, że odpływa ze mnie cała krew.

Ennio Aaltink, rodowity Włoch z miasteczka Forlì, prowadził, co zaskakujące, angielskie delikatesy przy Haverstraatpassage, wąską klitkę, gdzie jako świeżo upieczona studentka w każdą środę stałam za ladą. Oprowadzaliśmy jednodniowych turystów z Niemiec i ludzi, którzy choć trochę przypominali dawną twentecką szlachtę, między słoikami Coleman's English Mustard i Haywards Pickled Onions, opakowaniami Shredded Wheat, Honey Nut Cheerios, puszkami *baked beans & sausage*, *mushy peas*, *black peas*, *parched peas* i chutneyów we wszystkich kolorach dziecięcej kupy. Ale przez większość czasu ja i mój szef byliśmy sami.

Ennio pływał po świecie od szesnastego do trzydziestego roku życia, ostatnio był kucharzem okrętowym, i sypał opowieściami jak z rękawa. Nie wiem, czy robił to specjalnie, ale jego historyjki zawsze wywoływały egzystencjalne dylematy, pytania o sposób na życie. Jak się czuje człowiek cierpiący na depresję na tankowcu, który utknął u wybrzeży Sachalinu. Jak to jest, kiedy o mały włos nie ożeniłeś się z Angolką. Albo kiedy kapitan zmusza cię do przemytu trzydziestu Filipinek.

– Powiedz mi, Joni, jak ty byś sobie z tym poradziła?

Był przystojnym, ciemnowłosym czterdziestolatkiem o nosie długości palca i błyszczących brązowych oczach, które właściwie też były palcami, bodącymi moją niewinną duszyczkę w każdą środę.

Czarującą mieszanką dialektu twenckiego i języka włoskiego, w najmniej spodziewanych momentach przeplatana słowami w obydwu językach, opowiadał mi o swojej młodości, o stukniętych rodzicach, którzy wychowali jego i braci twardą ręką w kulcie wielkiego Benito Mussoliniego. Zdaniem ojca Ennia, udreżonego krzykacza mylącego różnicę zdań z vendettą, który sprzedawał gazety w wyblakłym od słońca dworcowym kiosku w Forlì,

z czasem szczególnie obwieszonym faszystowskimi pamfletami oraz hagiografiami i podobiznami wielkiego wodza na koniu, od śmierci Il Duce wszystko we Włoszech chyliło się ku upadkowi naznaczonemu korupcją, miernotą i demokracją. Co niedziela cała rodzina pakowała się do pomidorowego fiata i na półce pod tylną szybą wiozła do rodzinnej wioski Il Duce świeże róże, które następnie lądowały na rodzinnym grobie Mussolinich, przy którym ojciec Ennia recytował jedno z przemówień wodza, z wysuniętą brodą, by się do niego upodobnić.

Ennio był w drugiej klasie *scuola medica*, kiedy młody nauczyciel historii wyjawiał mu całą prawdę o Mussolinim. Trwało to kilka tygodni, ale w końcu dotarło do niego z całą mocą, że rodzice czczą okrutnego, megalomańskiego, destrukcyjnego clowna, że ojciec jest nie tylko głupim, lecz prawdopodobnie również złym człowiekiem. Ennio opuścił rodzinę. Pewnej nocy, mając za plecami śpiącego brata, napisał list pożegnalny – oczami wyobraźni zobaczyłam go siedzącego przy świecach, jest o dwadzieścia pięć lat młodszy i pisze list, który tak naprawdę jest wypowiedzeniem. Następnego ranka złapał stopa do Rawenny i zaciągnął się na statek handlowy płynący do Indii.

W zamian za tak wielką otwartość, między słoikami marmolady i wyłożonymi filcem koszami piknikowymi, opowiedziałam mu o swoim pochodzeniu, co wypadło blado na tle jego historii (wtedy). Podobnie jak wszyscy, zapytał mnie, czy widuję biologicznego ojca, a kiedy odpowiedziałam, że nie mam takiej potrzeby, zareagował inaczej, niż się spodziewałam. Uznał, że jestem głupia, rozlazła, obojętna, wręcz bez serca. Tak powiedział. Jego zdaniem byłam oziębła. On! Człowiek od lat omijający Włochy szerokim łukiem, mający z nauczycielką wuefu z Boekelo chuderławą córkę, która nie miała pojęcia, że jej dziadkowie są Włochami, mężczyzna, który przyjął zresztą nazwisko żony.

– Mój ojciec zgrywa faszysta we włoskim parlamencie – powiedział. – To dlatego, Joni. Jeśli ty nie masz poważny powód, żeby opuszczać rodzina, to tego nie powinnaś robić.

Podobał mi się. Przez cały rok rozmawialiśmy ze sobą i omijaliśmy się, rozmowy i unikanie, aż pewnego popołudnia przytuliłam się do jego chudego tułowia. Przycisnęłam piersi do jego ciała, które ochraniał pancerzem samostanowienia, uporczywości, żądzy przygód, prawdy i niezależności (takie myśli nawiedzały moją zakochaną dziewczynską głowę) oraz niechęci do wiązania się, bo wydawało mi się, że ta twarda i żyłasta zewnętrzna powłoka skrywa tymczasowość i chęć ucieczki. Mężczyzna bez korzeni. Podniósł mnie i pocałował. Pragnie mnie – myślałam – jeśli go poproszę, jutro wystawi na

sprzedaż swój kiczowaty sklepik i zabierze mnie do Nowego Jorku albo Rio de Janeiro.

Roześmiał mi się prosto w twarz. Za żadne skarby świata. Czy ja rozumiem, że on bardzo kocha swoją nauczycielkę wuefu? I córeczkę?

– Ale jeśli obiecasz, że się nie zakochasz, możemy zamykać sklep w południe. – Minęła szósta, właśnie podliczałam utarg. – Zastanów się nad tym w spokoju.

No cóż, nie musiałam się zastanawiać, płonęłam pożądaniem i tęsknotą za kolejnym środowym popołudniem. Przez dwa lata przerwę na lunch spędzaliśmy na tyłach magazynu, na czarnej zamszowej dwuosobowej sofie z Ikei – gorąca godzina dokładnie w środku tygodnia, która wypływała na powierzchnię jak kropla oliwy w szklance wody i która zawisała nad naszą codziennością jak bańka, kiedy zaczęłam chodzić z Aaronem. Nadal kilka razy w roku przez parę dni zastępowałam inną kasjerkę i punktualnie o dwunastej Ennio przekręcał zamek w drzwiach sklepu.

Stojąc w letniej kuchni oko w oko z matką, nie wiedziałam, na ile poważny jest stan Ennia, ale nie mogłam znieść myśli, że jego gładką, karmelową skórę, delikatnie wklęsłą pierś, cienkie nogi, Boże jedyny, nawet jego surową twarz oszpeciły bezwzględny żywioł, latający wokół gruz, niewyobrażalny żar.

– Ale jak to możliwe? – zapytałam matkę z płaczem. – Na litość boską, co on robił w Roombeek?

– Sporo wiem, skarbie – odpowiedziała – ale nie wiem wszystkiego.

Na Coldwater dzień mijał jak w złym śnie. Oddałam się wspomnieniom o Enschede, Aaronie, Enniu, ojcu, Twente – tym wszystkim mostom, które spaliłam za sobą. Chociaż miałam pełne ręce roboty – rozmowy telefoniczne z notariuszem i ludźmi Sotomayora o tym, czy akt podpiszemy w LA (przez chwilę była mowa o Dallas), czy Sotomayor pojawi się osobiście, a przede wszystkim: kiedy – wciąż wypływał temat Enschede, wplatał się w rozmowy, które prowadziłam z kolegami w trakcie wspólnego lunchu w rozpadającej się altanie ogrodowej. Po posiłku dwa razy pisałam odpowiedź do Aarona, e-maile, które zaraz kasowałam. Co mi to da? Być może moje wątpliwości były odczuwalne po drugiej stronie oceanu, ponieważ o trzeciej jedenaście otrzymałam następną wiadomość.

– Jeśli koniecznie chce pani wiedzieć – powiedział opryskliwie – mój ojciec nie żyje. Zmarł nagle.

Jego kłamstwo wystraszyło kobietę, która przedstawiła się tylko jako dyrektorka szkoły De Klimop, przez co w trakcie rozmowy usilnie próbował sobie przypomnieć jej nazwisko. Przez chwilę słyszał w słuchawce jedynie świadomość jej własnej śmiertelności. Tak, ludzie boją się śmierci. Już trzy razy nagrała się piskliwym głosem na automatycznej sekretarce, za każdym razem ton jej głosu był ostrzejszy i zimniejszy, i chociaż musiał przyznać, że miała rację – to prawda, że nie wywiązał się z umowy, to prawda, że już dawno powinien był oddać gotowe zdjęcia – jej asertywna pyskówka wyprowadziła go z równowagi.

– Bardzo mi przykro, panie Bever – powiedziała nagle spokojnym głosem. – Moje kondolencje. – Zamilkła po raz drugi, okazując szacunek, który z takim trudem zdobył. Chrząknęła. – Dlaczego nie poinformował pan naszej szkoły? Powinien był pan do mnie zadzwonić.

Na oko wyglądała na jego rówieśnicę, możliwe, że była nieco młodsza. Kierowała dużą podstawówką, do której uczęszczały głównie dzieci obcokrajowców, typowa czarna szkoła w spauperyzowanej dzielnicy Molenbeek-Saint-Jean. Już podczas rozmowy wstępnej i w dniu zdjęciowym zorientował się, że jest typem rzeczowej idealistki, z jakim często miał do czynienia. Kiedy przed jego aparatem przewijały się klasy z ponurymi, rozwrzeszczanymi i niesfornymi afrykańskimi dziećmi, rósł jego podziw dla jej odwagi i poczucia odpowiedzialności. Każdy, z kim rozmawiał w wiejskich szkołach poza miastem, miał swoje zdanie na temat czarnych szkół w Brukseli, ale ta kobieta – to musiał jej przyznać – odwała kawał dobrej roboty. Mimo to strasznie irytowało go to, kim była. Sądząc po mlecznobiałej fryzurze na pazia, dużej asekualnej twarzy, obuwiu na rzepy, powoli odwracała się od świata dorosłych. Przesadnie ar-ty-ku-ło-wa-ła każdy wyraz, przynajmniej trzy razy powtarzała wszystko to, na czym lepiej się znała, i miał wrażenie, że zachowywała się tak nie tylko wobec niego, ale z całą pewnością także wobec rodziców na wywiadówkach.

– Mam za sobą wyjątkowo smutne, zabiegane dwa tygodnie. Ojciec był moim współnikiem. Musiałem na jakiś czas zamknąć firmę – powiedział.

Wolał nie myśleć o wrażeniu, jakie na niej zrobił. Fotografował dzieci

nazajutrz po spotkaniu z Tineke i już wtedy nawiedzały go dziwne myśli. Tak przynajmniej sądził po tym, jak w wysłanych wiadomościach trafił na straszny, gorączkowy mail, który najwyraźniej wysłał do Joni Sigerius. Jeśli właściwie zrozumiał to, co napisał, tuż po sesji zdjęciowej w De Klimop udał się na zwariowaną wędrówkę po Brukseli. Na szczęście Joni nie odpisała – może jeszcze nie odczytała wiadomości. Dla pewności wrzucił wczoraj wieczorem do czarnej dziury krótkiego e-maila z przeprosinami i cały dzisiejszy dzień czekał na odpowiedź, która może równie dobrze nigdy nie nadejść.

– Ma pani rację – powiedział. – Powinienem być zadzwonić.

Głośno zaczerpnęła powietrza. Jej gabinet dyrektorski pachniał kredą pastelową i był wypełniony książkami dla dzieci. Czytała wyłącznie książki dla dzieci, dlatego jej szczęka i czaszka wciąż rosły. Niszczyła rozum książkami dla najmłodszych tak, jak można zniszczyć sobie wzrok, czytając w półmroku, albo słuch, słuchając zbyt cichych dźwięków.

– Dlaczego zadzwoniłeś do rodziców Juliette Jalabert?

– Słucham?

Wystraszył się formy per ty. I pytania. Przypomniawszy sobie, że pisał o tej dziewczynce w mailu do Joni. Czyżby niepokoił obcych ludzi? O czym ona mówi?

– Przecież słyszałeś, co powiedziałam. Był u mnie ojciec Juliette. Trzy razy naprzykrzałeś się im, zadając dziwne pytania.

Zaczął się przekopywać przez zakamarki pamięci jak pies szukający zwłok. Ojciec Juliette Jalabert... Czyżby coś przeoczył? Podejrzewał, że uciekło mu przynajmniej kilka dni, co było częste po atakach. Z chwilą, kiedy Tineke Sigerius wsiadła do bmw i odjechała z jego życia, w jego głowie rozszalała się wojna.

– Proszę pani... – powiedział. – Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi.

– To się dobrze zastanów – rzekła. – I zapomnij o zleceniu. Jest nieaktualne.

– Ale...

– Nie będę się powtarzać: żadnych zdjęć naszych uczniów na stronie.

Z jękiem odłożył słuchawkę i odepchnął się mocno stopami od biurka. Krzesło potoczyło się po pokoju. Zapalił papierosa. Na monitorze maca wciąż było otwarte jedno ze zrobionych w pieprzonej szkole De Klimop zdjęć klasowych, które od rana obrabiał w pośpiechu. Pod zdjęciami grupowymi umieszczał złotymi wersalikami nazwę szkoły, numer klasy i rok, a na zdjęciach portretowych – imiona uczniów fikuśną czcionką. Jeszcze nie

doszedł do Juliette Jalabert. Zamknął program, nie zapisując zmian, i przygryzł dolną wargę.

Tuż po niespodziewanym spotkaniu z matką Joni wsiadł otumaniony do pociągu osobowego do Linkebeek, stając się ofiarą rozpaczy i niedowierzania. Ciężko przeżył odgrzewaną informację o śmierci Sigeriusa, przez całą drogę do domu czuł, że nogi ma z ołowiu, a w piersi pustkę. Co się stało? Dlaczego o niczym nie wiedział, do cholery?!

Ponieważ w jego życiu prawie nie było powodów do złości, nie od razu powiązał ogarniającą go wściekłość z chorobą; zamiast wbiec na schody i wyjąć seroquel z szafki na leki w łazience, skierował się do kuchni i odgrzał na płycie indukcyjnej puszkę chińskiej zupki pomidorowej – błąd. Potem, zgrzytając zębami z wściekłości, wspiał się dwa piętra wyżej, na strych, gdzie rzucił się na nieposłane łóżko. Jak to możliwe, że ten facet nie żyje od siedmiu lat, a on w ogóle o tym nie wiedział? Tłukł się przez całą noc, w ciemnościach zaglądał w głąb mitry na swojej rozpalonej głowie pulsującej od myśli niczym strop, który w każdej chwili mógł się zawalić. Sigeriusa pochowali na początku 2001 roku – powiedziała Tineke. O, teraz już wie, o co chodzi: Sigerius musiał umrzeć w ciągu tych trzech tygodni, kiedy Aaron zniknął dla świata. Od końca grudnia 2000 do czerwca 2001 roku przebywał na oddziale zamkniętym De Twentse Tulp, szpitala psychiatrycznego na obrzeżach Enschede, ponad pół roku, z czego pierwsze trzy tygodnie w izolatce. Informacja o śmierci Sigeriusa musiała obiec całą Holandię dokładnie w czasie, kiedy życie Aarona osiągnęło zero absolutne.

Zaraz po tym, jak przekroczył próg szpitala De Tulp, zabrali go do jednej z betonowych „separatek” – jak mieli czelność nazywać te stajnie bez siana – żeby nieco ochłonął. Na podłodze leżał goły, szary, plastikowy materac, był też sedes ze stali nierdzewnej. Na jednej z zimnych, wyciszonych ścian wisiała tablica szkolna z białą kredą. Nic nie docierało do środka i nic nie wychodziło na zewnątrz. W jutowej koszuli i papierowych majtkach darł się ile sił w płucach – a oni w międzyczasie pochowali Sigeriusa?

Jak na ironię, będąc w celi, pozbawiony aktualności, prognozy pogody, siebie samego, czuł się jak jasnowidz. Miriady pęcherzyków powietrza w betonie celi otaczały go jak kosmiczna mgła. Kiedy siedział na plastikowej kanapce i głęboko oddychał, kosmos kurczył się, a gwiazdy kłuły jego skórę jak szpilki. Wszechświat był jego płucem, Aaron dysponował przestrzenią i czasem, przenikał wszystko w każdej istniejącej skali. Wiedział z dokładnością co do pikosekundy, kiedy i na jakiej szerokości i długości

geograficznej spłodzili go rodzice, zgłębiał też przyczynowość tego haniebnego czynu, trwający miliony lat łańcuch zdarzeń, który był nierozzerwalnie związany z Wielkim Wybuchem. Wiedział *wszystko*.

Ale tak naprawdę nie wiedział nic. Nawet wtedy, kiedy opuścił sześcian szaleństwa, pozostawili go w niewiedzy. Dlaczego?

Promienie popołudniowego słońca padały w pracowni na podłogę z amerykańskiej sosny, jej powierzchnia przypominała niepolerowane od wielu dni lodowisko. Okno nad biurkiem było otwarte, podmuch wiatru poderwał kopertę z urzędu skarbowego. Było słonecznie, chociaż chłodno. Próbował czytać książkę, leżąc na podłodze, słuchał płyty Monka i zapadł w drzemkę. Kiedy się obudził, rozbity i senny, usiadł przy biurku i po raz nie wiadomo który otworzył program pocztowy. W pokoju zatrzepotały skrzydła dwóch śnieżnobiałych gołębi: *wysłała maila*. Jej imię wyświetlone na monitorze pogrubioną czarną czcionką było szokującym objawieniem. Drżącymi palcami otworzył wiadomość.

Aaronie, tak, to było dawno temu. Mam nadzieję, że nie zapamiętałeś mnie jako osoby, którą łatwo wystraszyć. Ale muszę przyznać, że twój pierwszy e-mail mnie zaskoczył. Na pewno rozumiesz, że nadal czasem martwię się o twoje zdrowie. Mam nadzieję, że to było krótkie załamanie?

Na pewno rozumiesz, że jest mi trochę ciężko ocenić, czy naprawdę spotkałeś moją matkę. Mogę jedynie powiedzieć, że od lat nie mam z nią kontaktu. I nie, nie mieszkam w Brukseli, a w Los Angeles, i to od jakichś pięciu lat. Pracuję dla firmy produkującej frisbee i deski surfingowe. Nie jestem też mężatką. (Przez jakiś czas mieszkałam w San Francisco z Boudewijnem Stolem, o ile go sobie przypominasz).

Tak, jeśli spojrzeć na to z tej strony, katastrofa wiele zmieniła w moim i w twoim życiu, i w życiu mojego ojca. A jednak, Aaronie, ponieważ trochę znam twoją wrażliwą duszę: nie zapominaj, że ktoś, kto popełnia samobójstwo – jak sama nazwa wskazuje – sam dokonuje takiego wyboru. Nie pytaj mnie dlaczego, ale tego chciał Siem.

Rzadko o tym myślę. A najchętniej w ogóle nie chciałabym o tym myśleć.

*Wszystkiego dobrego,
Joni*

Wypalił dwa papierosy. Kiedy zeszywniały od siedzenia wszedł do pokoju przylegającego do amfilady, zdobionej gzymsami i rozetami podsufitowymi, nie znalazł żadnego śladu gołębia. Samobójstwo? Nic nie zostało z jego wcześniejszej obeszłaniającej wesołości. Z górnej szuflady komody wyjął

pudełko oksazepamu i zaniósł je do łazienki. Włożył trzy tabletki do ust i popił je połową kubka napełnionego lekko zawapnioną wodą. Więc jednak.

Zapadł wieczór. Za zaciągniętymi zasłonami rekonstruował fakty, krótkie, gwałtowne wariacje na temat przegapienia nie tyle śmierci Sigeriusa, ile całej tragedii. Katastrofy. „Spiskowcy” – osoby, organizacje, partie, syndykaty, a może tajne służby? – wyprowadzili go w pole, okłamali, oszukali. Te dupki odmówiły mu prawa do podstawowej wiedzy. Siem Sigerius, wówczas świeżo upieczony minister edukacji – to przecież, do cholery, jego były teść – popełnia samobójstwo i nikt mu o tym nie powiedział? Zastanawiał się nad wszystkim, za bardzo, za szybko, zbyt dogłębnie. Jaką rolę odegrał w tym szpital De Twentse Tulp? Kto zasznurował usta nielicznym odwiedzającym? Czy to w ogóle jest legalne z prawnego i etycznego punktu widzenia? Tajne zebrania psychiatrów, na których ustalili, że nie powiedzą prawdy pacjentowi Beverowi? Czy to nie za to im płacono, żeby mógł *pogodzić się z podobnymi tragediami*? Konowały, słyszał ich szept: ani słowa stukniętemu Aaronowi, żadnych gazet, żadnej telewizji dla łysego.

Przez kilka godzin siedział nieruchomo w salonie w fotelu z czerwonej skóry i przetwarzał z zamkniętymi oczami nową rzeczywistość, w której znalazł się przez mail od Joni, broniąc się z całych sił przed gorączkowymi przemyśleniami, zmagając się z samym sobą, żeby znów nie zanurzyć się w psychotycznym oceanie. Godziny mijały, a on powoli się uspokajał, urojenia stabilizowały się, pęd myśli rozpraszał się i spowalniał. Wróc do rzeczywistości, przynajmniej spróbuj. Całe wariatkowo odgrywało komedię tylko po to, żeby ustrzec Aarona Bavera przed złą wiadomością? Muszą istnieć jakieś bardziej wiarygodne scenariusze.

Nie mówiąc o Elizabeth Haitink. Powiernica, osoba odpowiedzialna za jego powrót do zdrowia, terapeutka, która przeprowadziła go przez obłąd. Już na pierwszym spotkaniu oddał się w jej ręce. Ona też twardo trzymała język za zębami. W De Twenste Tulp tylko ją obdarzył pełnym zaufaniem, może dlatego, że niezmiennie traktowała go jak zwykłego, inteligentnego chłopaka, za którego wciąż się uważał, w przeciwieństwie do tępych pielęgniarzy, którzy pobierali mu krew albo przynosili posiłki – w ich oczach widział odbicie siebie jako idioty w kąpiel²¹.

Wiosna 2001 roku. Według niego Haitink dobiegała sześćdziesiątki. Prawdopodobnie już nie pracuje – z ulgą wyobraził sobie Elizabeth Haitink na emeryturze, wreszcie wolną od De Tulp i tych wszystkich pomyślników i niepełnosprawnych umysłowo. Szczupła, krucha, w podkreślających

kobiecość dwuczęściowych kostiumach z surowej wełny i wytwornych sukniach z delikatnego szyfonu i satyny – aż chciało jej się życzyć czegoś weselszego niż egzemplarze takie jak on, na przykład pracy w magazynie modowym w jednej z kamienic przy kanale w Amsterdamie, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Kochała swoją pracę i uważała, że jest ważna.

W każdy wtorek i czwartek rano przychodziła po niego do sypialni z oknami wychodzącymi na nieruchome akacje i wiązy rosnące w rozległym ogrodzie instytutu – zaprojektowana, fałszywa, demonstracyjna natura, wytykająca mu chaos panujący w jego głowie (musisz być taki jak ten ogród), chociaż dobrze wiedział, że natura jest jak spanikowana termitiera z wetkniętym w nią ryjem mrówkojada – i szedł za jej kruchą sylwetką jak pudel na smyczy przez galerię i wspólny salon z wymalowanymi na ścianach ogromnymi tulipanami do kuchni, w której nalewali sobie po kubku bezkofeinowej kawy, a potem, mieszając mleko w proszku, pozwalała mu się wyprzedzić na schodach prowadzących do części dla personelu, gdzie na końcu korytarza znajdował się jej uporządkowany gabinet. Siedzieli pod nieruchomym miedzianym wentylatorem podsufitowym, a ona w czasie pięćdziesięciu godzin sesji wypytała go o wszystko, umiała zaczynać rozmowę na trudne tematy, jakby prowadziła pacjenta przez zamrożone wody, i kiedy teraz o tym rozmyślał, lwia część rozmów dotyczyła Sigeriusa. Znamienne było jednak to, że on mówił o żyjącym Sigeriusie, a ona o zmarłym.

Wtedy niczego nie podejrzewał, wydawało mu się, że są to standardowe pytania psychologów. Pytała, co sądzi o Sigeriusie, co razem robili, jak często trenowali judo, jak wyglądał trening, co o ich przyjaźni sądziła Joni, czy rozmawiał o ich związku z jej ojcem, czy porównywał czasem swojego ojca do Sigeriusa, może nie świadomie, ale podświadomie? Czy czasami się sprzecjali, czy ma przyjaciół w swoim wieku, czy ich przyjaźń jest stabilna i tym podobnie, i tak dalej. Haitink nie przestawała badać jego fascynacji tym mężczyzną, nie nudził jej żaden szczegół, a on nie przestawał odpowiadać. Dopiero teraz zrozumiał, że konsekwentnie dążyła do celu. Od pierwszego dnia Haitink podejrzewała, że pod płaszczykiem uwielbienia dla Sigeriusa skrywa się delikatna zgnilizna. Odciągał jej uwagę od czegoś ważniejszego, karmiąc podziwem dla człowieka, który ich najwyraźniej bardzo interesował.

– Aaronie, powiedz mi – zapytała któregoś ranka na krótko przed przełomem – skąd bierze się u ciebie ten bezgraniczny podziw dla innych? Mówisz o Sigeriusie, jakby był dalajlamą. Mnie też czasem podziwiasz?

Ciebie? Ty mnie podniecasz – pomyślał urażony, ale milczał.

– W kim się kochałeś? – kontynuowała, zadając dokuczliwe pytanie, którym go zraniła, po czym zapadła krępująca cisza

Odpowiedział na nie w formie polecenia: kup w księgarni Broekhuis *Kopstukken van het laagland* i przeczytaj strony poświęcone dalajlamie.

Książeczkę wydała gazeta „De Volkskrant”, była w sprzedaży od ponad roku. Haitink przytaknęła, słyszała o niej, opisano w niej zasługi stu najważniejszych Holendrów dwudziestego wieku. W następnym tygodniu miała ją ze sobą, wciąż zapakowaną w brązowy papier księgarni Broekhuis. Przyglądał się terapeutce, gdy zagłębiła się w lekturze kilkustronicowego peanu poświęconego Siemowi Sigeriusowi i matematyce, wciśniętego między opisy nieco starszego Ruuda Lubbersa²² i nieco młodszego Freeka de Jonge²³. W przystępnym artykule redaktor prowadzący przedstawił Sigeriusa jako wielobarwny, późno odkryty talent o ciekawych początkach pierwszorzędnego judoki, potem skoncentrował się na jego oszałamiającej karierze naukowej. Znalazł się tu opis często wręcz spektakularnych dowodów kilkudziesięcioletnich twierdzeń z różnych dziedzin matematyki wyprowadzonych przez Sigeriusa jeszcze jako podstarzałego studenta, a także sposobu, w jaki zerwał z pierwotną reputacją Houdiniego od problemów matematycznych i zasłynął jako ważny matematyk teoretyk. Naturalnie tekst traktował także, choć powierzchownie, o przełomowym odkryciu Sigeriusa w dziedzinie teorii węzłów, za które dostał Medal Fieldsa.

W czasie kiedy Haitink czytała usadowiona na surowym stalowym krześle, Aaron obserwował ruchy jej warg, sposób, w jaki wydymała i zaciskała pomarszczone usta pokryte drobinkami zwarzonej pomadki. Siedziała wyprostowana na małym siedzisku i kręciła stopą obutą w szpilkę prosto z Paryża. To ją nauczył – pomyślał. W niecodziennej ciszy gabinetu Aaron oddał się wspomnieniom o wszystkich tych razach, kiedy prosił Sigeriusa, żeby wyjaśnił mu, czym są węzły.

– Co chcesz wiedzieć? – odpowiedział mu teść.

– Wszystko.

– Ale to cię nie zainteresuje.

– Ależ zainteresuje – utrzymywał.

– To jest albo niezrozumiale skomplikowane, albo szokująco proste.

– Niech będzie proste.

– Dobrze. Przez wiele lat zajmowałem się okręgami poplątanymi w przestrzeni trójwymiarowej. Nadal ciekawy?

– Teraz tym bardziej.

– Dobrze. Wyobraź sobie, że wiążesz węzeł w sznurówce, a końcówki

zszywasz ze sobą, żeby otrzymać zamknięty okrąg. Dopiero teraz masz do czynienia z węzłem matematycznym. Tak? Dwa na oko różniące się węzły są identyczne, jeśli jeden może zamienić się w drugi bez konieczności przecinania sznurówki. Liczba unikalnych węzłów może być ograniczona, tego nie wiemy. Z drugiej strony połowa na pierwszy rzut oka różnych węzłów jest jednak identyczna. Jak je rozróżnić? Badania utknęły w martwym punkcie na sześćdziesiąt lat, aż ktoś stworzył wielomian, wyrażenie algebraiczne umożliwiające identyfikację węzłów. Tym kimś byłem ja. Nie umiem ci tego prościej wyjaśnić.

Po czym zakładając, że Aaron miał niezbędną wiedzę, rozpisał wyrażenie na rogu gazety z szybkością nawiedzonego medium – warkocz składający się z cyfr, liter, klamer i symboli wolnomularskich.

Jak to często bywa z rewolucyjnymi teoriami matematycznymi, wielomian Sigeriusa (tak brzmiała oficjalna nazwa sznurka) miał zasadnicze znaczenie nie tylko dla matematyki, lecz także dla poznania budowy polimerów syntetycznych, dla badań nad DNA, dla teorii strun, w tym również... dla teorii wszystkiego.

– Więc właściwie jesteś drugim Einsteinem – powiedział Aaron.

– Tak jak Tonny Eyk jest drugim Ludwigiem van Beethovenem.

Po skończonej lekturze Haitink zamknęła *Kopstukken van het laagland* i zamyślona potarła okładkę.

– Nienawidzę matematyki – powiedziała.

Sigerius potrafił wybuchnąć niepohamowaną złością, kiedy ktoś o mądrym umyśle opowiadał podobne bzdury i jeszcze był z tego dumny. „Mówią tak, bo uważają się za temperamentnych” – rzucał wtedy i nerwowo skubał uszy. „Bo kochają sztukę, są u-du-cho-wie-ni, bardziej kochają «ludzi» niż «technikę i cyferki». A w międzyczasie, Aaronie, wpadają na ślepo w pułapkę różnych pseudonaukowych, pseudoreligijnych gadek, ponieważ nie mają najmniejszego pojęcia, nie mają bladego pojęcia o prostych stosunkach liczbowych. Są głupi, Aaronie. Głupi. Chcą być głupi. Nienawidzą matematyki, ale ubóstwiają Uriego Gellera. Pokażę ci, jak zamknąć usta Uriemu Gellerowi zwykłym rachunkiem prawdopodobieństwa”.

Spojrzał na Haitink.

– A Sigerius nienawidzi mnie – powiedział.

Przyjrzała mu się ze zmarszczonym czołem.

– Wiem, że tak myślisz, ale dlaczego?

Dlaczego jej zaufała? Bo mówiła językiem cywilizowanego świata, językiem

uczelni, z której wyleciał? Ponieważ w tym strasznym szpitalu nie uświadczyl innej normalnej kobiety? (Ramiona kobiet na jego oddziale były równie podrapane jak deska, na której jego dziadek zwykł kroić salami; podawały się za kochanki Saddama Husajna, oczywiście działały na zlecenie CIA, a ich misją było odebranie reżimowi pocisków laserowych, „więc się nie ciskaj” – ale jednak). A może zdawał sobie sprawę, że Haitink obowiązuje tajemnica zawodowa, że tak naprawdę rozmawia z duchem, z maszyną do wyrzucania piłek tenisowych, z żeńskim najemnikiem, który udałby, że go nie widzi, gdyby kiedyś wpadli na siebie w Albert Heijnie²⁴?

Nie, ufał jej, bo ją rozśmieszał. Kiedy mówił coś zabawnego, na jej kościstej, pomarszczonej twarzy pojawiał się czasem cień uśmiechu, ale nie był on wywołany pobłażliwością lub, co gorsza, współczuciem, lecz po prostu jej kliniczna powaga nie była na to wystarczająco odporna. Gdy miał swój dzień i odnajdywał w sobie coś z dawnej frywolności, potrafił sprawić, że wybuchała głośnym śmiechem, przez co wyglądała, jakby miała szesnaście, a nie sześćdziesiąt jeden lat. Dla Aarona, chłopaka w kompletnej rozsypce, którego szacunek dla samego siebie leżał jak przebita piłka do nogi na szpitalnym gazonie, jej roześmiana kapitulacja znaczyła więcej dla jego rekonwalescencji niż wszystkie terapeutyczne sztuczki razem wzięte. Chociaż kiedy zadała mu pytanie, dlaczego myśli, że Sigerius go nienawidzi, poruszały się tylko jego nozdrza, a wewnętrznie wystrzelił jak z procy ku przedawnionej tajemnicy, odbił się od zakurzonego piasku i wierzgając nogami, przeskoczył przepaść milczenia, które udało mu się zachować przez cztery lata.

– Bo jestem alfonsiem jego córki – powiedział. – Dlatego.

W jego wspomnieniu Haitink zachowała kamienną twarz, tak jak zawsze; wyszkolono ją, żeby potrafiła zachować kamienną twarz. Kciukiem i palcem wskazującym zdjęła paproch z wełnianych rajstop.

– Wyjaśnij mi to – poprosiła.

Opowiedział jej krótko i zwięźle, jak od końca 1996 roku do zdemaskowania w 2000 roku prowadzili amatorską seksstronę – płatny portal internetowy, do którego co tydzień robił zdjęcia pokazujące każdy centymetr ciała Joni w maksymalnie podniecających pozach, krótko mówiąc: porno. Czasem nawet kawałek siebie.

– Kawałek siebie? – zapytała Haitink i zrobiła sztucznie zaniepokojoną minę.

Cóż, tyle wystarczy. Bez zagłębiania się w pikantne szczegóły wyznał jej prawdę, po czteroletnim obowiązku dochowania tajemnicy nie potrafił

wydusić z siebie więcej niż to, co najistotniejsze. Miała wiele pytań, jak zwykle grała rolę dyplomowanego pytajnika, chciała dokładnie wiedzieć, o czym rozmawiali, zauważył też, że zapomniała o robieniu notatek.

– Czy to był twój pomysł? – zapytała.

– Tak. Nie, wspólny – odpowiedział, nie zdając sobie sprawy, że to był jej pomysł.

– Czy ta... eee...

– Joni.

– Czy Joni występowała na stronie pod własnym imieniem?

– Nie, oczywiście, że nie.

– W takim razie jako kto?

– Jako amerykańska dziewczyna ze Środkowego Zachodu. Strona była utrzymana w tym stylu.

– Same zdjęcia?

– Internet jest za wolny dla filmów.

– Jak bardzo pikantne były to zdjęcia?

– Chyba wie pani, czym jest porno?

– Troszeczkę.

– No więc właśnie takie były. Dawniej nazywaliśmy je seksfotkami.

– I trzeba było się zarejestrować, żeby oglądać te... seksfotki?

– Żeby zobaczyć je wszystkie, to tak. Naturalnie.

– Okej. A jak nazywała się ta strona?

– Lindaloveslace.

– I Joni była Lindą?

– Nie, ja.

– Ja tylko pytam.

– Po raz pierwszy o tym mówię.

– Jesteś bardzo dzielny, Aaronie. Jak wam szło?

– Świetnie. Zainteresowanie było ogromne. Odnieśliśmy niewiarygodny sukces. Kompletnie nas zaskoczył.

– Czy to znaczy, że Joni jest ładna?

– Jest piękna.

– Twoim zdaniem.

– Zdaniem tysięcy mężczyzn.

Powiedział Haitink, że któregoś dnia obudzili się z poczuciem, iż „to” się rozrosło i przerosło ich związek.

– Poszliśmy spać jako para, a wstaliśmy jako wspólnicy. Zdaliśmy sobie sprawę, że staliśmy się zarządem, zarządem z sekretem. Zarządzaliśmy

tajemnicą.

– I przez cały czas drżałeś ze strachu, że twój ważny teściu odkryje wasz sekret.

– Poniekąd tak.

Próbował wyjaśnić jej, jak strasznie ciężko było dochować tajemnicy, zachować w sekrecie tak spektakularny, a jednocześnie zakazany sukces, to była nie tylko sztuka sama w sobie, ale i codzienny obowiązek.

– Prowadziliśmy podwójne życie. A w międzyczasie coraz bardziej zaprzyjaźniałem się z Sigeriusem. Byłem na przyjacielskiej stopie z troskliwym, kochającym *ojcem* Joni. Nie dawałem rady. Właściwie to było okropne.

– To z czego brał się ten ogromny strach?

Nie potrafił powstrzymać się od jęknięcia. Czy ona naprawdę tego nie rozumie? To pytanie zirytowało go na równi z brutalnym zdemaskowaniem jego podziwu dla Sigeriusa. Czyżby nauczyła się tego sto lat temu na studiach? Pomyślał, że zamiast *Kopstukken van het laagland* powinien był dać jej do przeczytania zupełnie inną książeczkę, a mianowicie kartę młodego judoki napisaną przez Sigeriusa dla młodzieży w dojo, wydrukowaną i oprawioną w drukarni uniwersyteckiej w Tubantii. Od końca lat osiemdziesiątych w każdy czwartkowy wieczór Sigerius prowadził godzinny trening judo dla dzieci z Twekkelerveld, szarej dzielnicy, do której można trafić, mijając wejście główne do kampusu i przechodząc na drugą stronę Hengelosestraat. Książeczka Sigeriusa, napisana przystępnym językiem i ilustrowana jego własnymi, nieco nieporadnymi rysunkami, przedstawiała podstawowe techniki i filozofię judo, ale Aaron myślał o trzech stronach opisujących zasady zachowania „judoków sportowych”. Prawdopodobnie Sigerius sporządził tę jakże wymowną listę, ponieważ chciał przekazać tym dzieciakom, w większości emigrantom, chłopakom, których słusznie uznawał za wykluczonych społecznie, inne wartości niż te, które podłapywali na cuchnących moczem podwórkach bloków, w których mieszkali. „Jeśli stosuję technikę trzymania wobec mojego przeciwnika, staram się nie zadawać mu niepotrzebnego bólu”. „Obiecuję, że będzie to sportowa walka”. „Jeśli wygram z przeciwnikiem, nie będę się tym chełpił”. „Nie będę leżał na macie, będę siedział wyprostowany i będę grzecznie słuchał, co mówi sensei”. „Przed przyjściem na trening judo zadbam o świeży oddech”.

Haitink wciąż na niego patrzyła. Jej twarz wyrażała lekką drwinę, spoglądała wzrokiem kobiety dorastającej w latach sześćdziesiątych i w związku z tym zmuszonej do odgrywania roli wyrozumiałej cioci. Też

dobrze. Zamiast wyjaśnić jej dobitnie, o jaką skalę zdrady chodziło, ile trzeba było podjąć potajemnych, przebiegłych kroków, żeby stworzyć tajną, dobrze prosperującą seksstronę, zapytał ją, czy ma dzieci.

– Syna – odpowiedziała.

– Szkoda – stwierdził. – Żonaty?

– Ingmar ma chłopaka.

– Fajnie. To nawet lepiej. Zakładam, że Ingmar i jego chłopak są sympatycznymi, fajnymi ludźmi, odnoszą sukcesy w pracy i poza nią. Jest z pewnością przystojny.

Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Ależ tak – powiedziała.

– Dobrze. Pewnego dnia dostaje pani cynk: proszę zajrzeć tam i tam. Tak pani robi i odkrywa profesjonalnie zaprojektowaną stronę internetową, na której pani syn co tydzień umieszcza nowe zdjęcia. Ostre obrazki Ingmara i jego stojącego ptaszka, że użyję grzecznego języka. A po przelaniu pieniędzy otrzymuje pani dostęp do tysięcy zdjęć, na których widać wszelkie żywe i plastikowe rzeczy wkładane do zwilżonego śliną odbytu Ingmara – tak długo, aż jego piękna twarz wykrzywia się w grymasie rozkoszy, a ogolony ptaszek tryska nasieniem. W następną niedzielę znów ich pani widzi, syna i zięcia, ale tym razem na żywo, bo przychodzą na obiad.

Przez moment była wstrząśnięta, może przez nakreśloną sytuację albo prostacki język, a Aaron przez krótką chwilę napawał się widokiem jej otwartych ceglastoczerwonych ust i śliny za wąskimi, postarzałymi zębami. Mądre, pistacjowozielone oczy patrzyły przed siebie zdruzgotane – ale szybko wzięła się w garść.

– Szampana bym nie otworzyła – powiedziała. – Ale...

– Sigerius by zwariował – wszedł jej w słowo z niezamierzoną nieuprzejmością. – Wyszedłby z siebie. Siem Sigerius odkrywający, że jego oczko w głowie odgrywa kurwę w internecie? – Dotknął nosa górną wargą. – Najpierw mnie – powiedział – najpierw poderznąłby gardło mnie, a potem sobie. Wie pani, gdybym nie był tutaj bezpiecznie zamknięty, leżałbym teraz na dnie Het Rutbeek. A on leżałby obok mnie.

Popatrzyła na niego w zamyśleniu. Rozmyślała. I dopiero teraz, osiem lat później, wiedział, o czym: musiała myśleć o zmarłym Sigeriusie. Ale zamiast powiedzieć mu, że osoba, która mogłaby poderznąć mu gardło, już nie żyje, zapytała:

– Dlaczego po prostu z tym nie skończyłeś?

Zaczęło padać. Zimne krople kapały na tył monitora i papier fotograficzny na biurku. Drżąc z zimna, Aaron przeciągnął się i zatrzasnął okno.

Rzeczywiście, kluczowe pytanie. Dlaczego z tym nie skończył? Sam nie znał odpowiedzi, przynajmniej nie do końca. To była suma mniej i bardziej oczywistych motywów, coś nieuchwytnego, co powodowało, że mimo ostrych napadów poczucia winy i wątpliwości nie umiał przestać. Więcej i więcej, z każdym tygodniem. Bez okłamywania Haitink mógł jej podać przynajmniej pięć różnych odpowiedzi, pobudek, które mógłby pogrupować od jasnych po ciemne, od zrozumiałych po kompletnie niezrozumiałe, od odważnych po tchórzliwe, i na odwrót.

Żeby mieć to z głowy, podał najbardziej powierzchowny motyw, dobry dla każdego niezależnie od wieku: forsa. Pieniądze. Kasa. Niewiarygodna góra zarabianych przez nich dolarów. Od pierwszego dnia, kiedy strona trafiła do cyberprzestrzeni, zgłaszali się faceci ze wszystkich kontynentów – tak przynajmniej przypuszczał, że byli to faceci. A pieniądze wpływały: najpierw tysiące dolarów, potem bardzo szybko dziesiątki tysięcy dolarów, co miesiąc, i tak przez cztery lata – tyle pieniędzy, że oszołomieni, nie wiedzieli, co z nimi robić. Forsa, dzięki której wciskając gaz do dechy, pruli nowiutką alfą romeo do banku w Luksemburgu, forsa przeznaczona na zakup luksusowego jachtu, który nigdy nie wypłynął z portu nad Morzem Śródziemnym, forsa, o której nie wiedział nikt poza nimi. Dla Joni było to spełnione marzenie, w dodatku cholernie szybko. Oprócz niej nie znał nikogo, kto prenumerowałby „Financial Timesa”. Kiedy zaczynali, miała dwadzieścia lat i dysponowała akcjami i obligacjami. Na początku każdego kwartału stosowała strategię day tradingu.

– Flejtuszk – powiedział, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w pokoju na strychu przy De Heurne, jak o czwartej po południu siedziała w piżamie po turecku przy telefonie z otwartymi stronami kursów giełdowych, rolety były zasunięte, a na podłodze wałały się talerze z przypalonym makaronem ze szpinakiem z poprzedniego dnia. – Chyba powinnaś wziąć prysznic? – Nadal cudownie pachniała ubiegłą nocą.

– Dzisiaj zarobiłam sześć tysięcy guldenów – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – A ty?

Kiedy na pierwszej randce zapytał ją, dlaczego studiuje zarządzanie, nie odpowiedziała tak, jak wiele studentek pierwszego roku, że po studiach chce „zająć się ludźmi w organizacji”, nie, ona odpowiedziała, że „chce jak najszybciej odnieść sukces w świecie finansów”. Wybuchnął śmiechem, chyba żartuje. Nie, nie żartuje, „w szkole gospodarstwa domowego uczysz się

prowadzenia domu, w szkole tańca uczysz się tańca, a na zarządzaniu sukcesem” – powiedziała z uśmiechem – uczysz się, jak odnieść sukces”. Po studiach właśnie to chciała robić: Joni Sigerius widziała siebie jako właścicielkę firmy, którą wprowadzi na giełdę i sprzeda przed czterdziestką.

– Nie wiem, jak się pani powodziło, kiedy miała pani dwadzieścia sześć lat – powiedział do Haitink – ale mnie nie przeszkadzało, że zarabiam tyle co Dennis Bergkamp.

– To chyba jakiś piłkarz? Nienawidzę piłki nożnej.

– Poświęcając jeden wieczór w tygodniu na zdjęcia, zarabialiśmy tyle co topowy piłkarz. U szczytu, w 1998 roku, mieliśmy jedenaście tysięcy subskrybentów...

– Subskrybentów?

– Płatnych użytkowników. Mężczyzn gotowych przelać dwadzieścia dolarów miesięcznie. Jedenaście tysięcy. Przelicz to sobie.

Haitink założyła szczupłą nogę na nogę i zaczęła liczyć na wymyślonym liczydłe na ścianie za nim.

– Tak – powiedziała po kilku sekundach, za szybko, żeby zdążyła to wyliczyć – zdaje się, że to kupa forsy. Niewiarygodne. Więc chodziło ci o pieniądze?

– Tak. No cóż, też. Głównie...

– Czekał – przerwała mu, po czym schyliła się do biurka i sięgnęła po duży kalkulator. Po kilku stuknięciach podniosła oczy, w których błyszczały iskierki dziewczęcego podniecenia. – Mając jedenaście tysięcy użytkowników płacących co miesiąc dwadzieścia dolarów, i to przez okrągły rok, wyszło mi... dwa miliony sześćset tysięcy dolarów. To jest prawie... nie, to ponad pięć milionów... Aaronie, robisz mnie w konia!

– Nie, naprawdę. To Sigeriusa robiłem w konia.

– Ale to jest... To znaczy...

– To było idiotyczne, wspaniałe, na ogromną skalę, właśnie to próbuję pani powiedzieć. Nawet trzymanie tego w tajemnicy było fantastyczne... I uzależniające. Nikt o tym nie wiedział, a jednocześnie jedenaście tysięcy facetów wiedziało wszystko... To było cholernie ekscytujące. Było źródłem nieustającej konspiracyjnej... eee...

Spojrzała na niego zamyślona.

– Podniety?

– Żądy, tak. Tego słowa szukałem.

Zadzwoił do tajskiej restauracji na obrzeżach wsi, zamówił zielone curry

z ryżem i wziął prysznic, nim w ciągu trzydziestu minut dostawca dotarł do jego domu.

Byli nieludzko napaleni. Naturalnie. Każdego tygodnia prawie odpływali w jego pokoju na poddaszu albo tam, gdzie akurat robili sesję: na „Barbarze Ann”, w pięciogwiazdkowych hotelach, w pensjonatach bed and breakfast w Zelandii lub wschodnim Groningen z folderami muzealnymi obok czajnika. Zawsze było im dobrze, nieważne gdzie. Przez kilka lat ich tydzień kręcił się wokół pożądania, poczynając od starannych przygotowań, wyszukiwania lokalizacji, kupowania dla Joni bielizny w eleganckich i mniej eleganckich sklepach, aż po wtorkowe lub środowe wieczory, kiedy odbywała się ekstatyczna sesja. Przez długie godziny robili od stu do stu pięćdziesięciu zdjęć, które byli winni swojej klienteli, a w następnych dniach, wyczerpani i usatysfakcjonowani, oglądali owoc swej pracy, jednocześnie wyświetlany na jedenastu tysiącach innych komputerów – a w 1998 roku to była magiczna świadomość – kiedy zaś mieli siebie dość, sprawdzali saldo na rachunku firmowym, wyciągali tysiąc guldenów i jechali do Paryża, Berlina albo na Ameland na kolejną sesję. Źródło pożądania wydawało się niewyczerpane. Czasami myślał, że żyje jak we śnie, wtedy czuł się jak rektor swojego miodem i mlekiem płynącego uniwersytetu – do czasu aż oszołomienie mijało. Kiedy pożądanie opadało, widział prawdziwy, trawiasty kampus, na którego terenie stał cholernie realny wiejski dom, gdzie mieszkał rektor z krwi i kości, jego teść, który dwa razy w tygodniu brał obok niego prysznic w centrum sportowym.

Zakręcił krany. Tak, pomyślał, było w tym coś nierozważnego, wręcz masochistycznego. Ciągłe podkreśnianie ryzyka poprzez budowanie coraz silniejszej więzi z Sigeriusem. Jakby chciał, żeby go ktoś przyłapał.

Zapłacił za jedzenie i zjadł w pracowni. Po skończonym posiłku usiadł przy macu i ponownie przeczytał maila od Joni. Zorientował się, że wciąż myśli o wzmiance, która oczywiście od razu go ubodła, ale wcześniej nie znalazł czasu, żeby się z jej powodu zdenerwować.

„Przez jakiś czas mieszkałam w San Francisco z Boudewijnem Stolem – pisała – o ile go sobie przypominasz”.

Boudewijn Stol – więc była z tym szpanerem. Jeszcze nie minął pierwszy szok wywołany informacją o samobójstwie Sigeriusa, a już na horyzoncie pojawiło się nowe zmartwienie. To pewnie efekt dawnego przyzwyczajenia, ale miał nieodparte wrażenie, że Joni chciała mu dokuczyć uwagą „o ile go sobie przypominasz”. Oczywiście, że nie zapomniał o Stolu. Więc tych dwoje

żyło na kocią łapę. W momencie, kiedy wyobraził sobie Joni z tym grubasem pod jednym dachem, w jego krwiobiegu pękła ampułka z trucizną nierozdzielnie związaną z tamtym okresem. Zaskoczyło go, z jaką łatwością poczuł ukłucie w sercu, echo miłosnego nerwobólu, którego nie czuł od lat. Historia jego związku z Joni była też czteroletnim okresem chorobliwej zazdrości z jego strony. Żył w ciągłym strachu, że go opuści, że zostanie odtrącony. Że ktoś inny zajmie jego miejsce. W domu na wsi. Za obiektywem aparatu. (On: „Wie pani, brnąłem w to, bo wiedziałem, że nie jestem niezastąpiony”. Haitink: „Chodzi ci o to, że nie miałeś odwagi z tym skończyć, ponieważ bałeś się, iż nadal będzie to robiła, tyle że z innym?”. On: „Tak”. Haitink: „Myślisz, że to było realne zagrożenie?”. On: „Wtedy sprawa wydawała mi się przesadzona”).

Dopadły go wspomnienia ze ślubu Etienne’a Vaessena, znów poczuł w nogach śmiertelne zmęczenie, jaskrawą zuchwałość, poniżenie – wszystko do niego wróciło. Obezwładniająca zazdrość podczas wesela, dzięki któremu trzynastego maja 2000 roku znaleźli się poza Roombeek. Zbyt długo oglądali telewizję w pokoju hotelowym, nagle zaczęli się spieszyć. W czasie, kiedy jeźdźcy Apokalipsy galopowali po jego dzielnicy, on i Joni pruli sto czterdzieści do Landgoed Groeneweide, mocno spóźnieni. Joni majstrowała przy jego krzywo zapiętej muszce, Aaron myślał ze złością o czekającym ich kosztownym przesycie. Zaparkowali alfę obok ogromnego oczka wodnego, po którym pływały łabędzie.

– Nie siejmy paniki – uczulił Joni, kiedy wbiegali po szerokich marmurowych schodach.

Chłopcy w liberii powitali ich uroczyście, jeden z nich ruszył przodem chłodnym korytarzem ze złożonymi fryzami i dużymi obrazami olejnymi na ścianach. W bocznych pomieszczeniach inni lokaje przygotowywali wieczorne przyjęcie, w głębi rezydencji orkiestra ćwiczyła melodie klezmerskie. Zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami obitymi aksamitem, które chłopak ostrożnie otworzył. Za nimi rozciągała się wysoka i przestronna sala jadalna, zebrane w niej towarzystwo wyglądało jak grupa przedszkolaków w porze obiadowej. Wystrój był bardziej przesadzony, niż Aaron się spodziewał. Amfory z wysokimi słonecznikami, olejne portrety i sceny polowań, ozdobne sztukaterie, tapety z niebiesko-złotymi paskami regimentu, wyłożona geometryczną mozaiką z różnych rodzajów drewna podłoga, po której sunęli kelnerzy.

Od jakichś dwudziestu minut ich krzesła w stylu Ludwika XVI pozostawały niezajęte, niezręcznie puste, dlatego chcąc zapewne nadrobić stracony czas,

Joni wyprzedziła go na śliskiej podłodze i z uśmiechem usiadła przy jednym z dwóch pustych nakryć. Skrzypiąc chybotliwie obcasami, omijała nakryte stoły, omiatała spojrzeniem czarne i gołe plecy jedzących gości, aż dotarł do pana młodego i szeptem przekazał mu na ucho alibi, zwięźle i eufemistycznie: „Coś się dzieje w Enschede, ale jedźcie spokojnie dalej, nic poważnego”. Podążając inną drogą na swoje miejsce przy stole, zauważył z zadowoleniem, że wiadomość o fabryce sztucznych ogni przeszła bez echa. Vaessen znów głośno się śmiał.

W międzyczasie Joni zdążyła nawiązać rozmowę ze starszym mężczyzną w białej marynarce. Opowiadał o czymś, co skwitowała śmiechem.

– ...kiedy wróciłem wieczorem do domu – usłyszał – okazało się, że znów kupiła coś z wtyczką.

Obok mężczyzny siedziała o wiele młodsza kobieta z upiętymi brązowymi włosami, mruknęła w odpowiedzi coś, czego Aaron nie usłyszał.

– Krótko mówiąc, coś trzeba było zrobić – mówił tamten dalej wyłącznie do Joni. – W końcu dwa razy dziennie kąpała krasnala ogrodowego.

Pokaszując, Aaron przysunął się na krzesło. Mężczyzna dopiero teraz zwrócił na niego uwagę, przerwał, jakby Aaron wcinał się niepotrzebnie do rozmowy.

– Boudewijn Stol – przedstawił się i podał nad stołem opaloną rękę, którą Aaron uściskał. Silny, suchy uścisk.

Przyglądał się charakterystycznym loczkom Stola – były zaczesane do tyłu i nabłyszczone czymś tłustym, pomadą albo czymś podobnym. Po jakichś czterech centymetrach jego siwiejąca fryzura przechodziła w klasyczne, dystyngowane fale, odsłaniając wysokie czoło. Mężczyzna siedział sztywno wyprostowany w białej marynarce od smokingu, wysunięta masywna szczęka dawała jasny przekaz: czarne marynarki pasują tu jak pięść do nosa. Aaron znienawidził Boudewijna Stola, zanim się dowiedział, kim jest.

– Jestem kolegą Etienne’a z pracy – powiedział do Joni, co prawdopodobnie było odpowiedzią na właśnie zadane pytanie. – Właściwie to jego szefem. W holenderskim oddziale McKinseya.

Słyszając te słowa, Aaron wstrzymał oddech, Joni zaś poprawiła się na krzesło, a jej obcasy zaskrzypiały na drewnianej podłodze. Rozejrzał się wokoło i jego zmysłom nie umknęły żadne szczegóły bajkowej sali: ponad pięćdziesiąt nakryć, stukot noży i widelców, błyszczące tace, blask sukni i biżuterii, paplanie wydobywające się z dziesiątek gardeł, ruchy brwi, kości policzkowe, kwiaty w butonierce – wszystko naraz.

– Team leaderem? – usłyszał pytanie Joni.

Nie wygłupiaj się – pomyślał i wbił wzrok w swój talerz. Siedzący obok niego mężczyzna miał drażniący zapach i brodę bez wąsów, która drapała kołnierz koszuli jak szczotka do naczyń.

– Aha – powiedział Stol – młoda dama zna się na rzeczy. Nie, nie jestem team leaderem. Jestem *managing partnerem* w Amsterdamie. Lub, mówiąc inaczej, właścicielem filii.

– *Big chiefem* – zaproponowała Joni. – Big chiefem holenderskiego oddziału McKinseya.

– Tylko nie mów o tym nikomu – powiedział Stol.

Godzinę temu patrzyli na płonące Enschede, a na Aaronie nie zrobiło to żadnego wrażenia, za to teraz jego spokój ulotnił się, było z nim niedobrze. Serce z gargantuiczną siłą pompowało litry krwi do głowy, a plecy, dłonie, pośladki, twarz i stopy płonęły jak zapalki. Bił od niego żar, portrety olejne w złotych ramach i szczupłe przypudrowane twarze w koronkowych kołnierzach oblewał pot. Big chief McKinseya – myślał – mój Boże. I jakby ktoś majstrował przy obiektywie, ogromna sala cesarzowej Sissi stała się zamazaną plamą. Skupił się na drżącym mięśniu na szyi Stola, miał kark jak dąb, wielowiekowy pień, którego korzenie wrosły w okrągłe, żyzne ramiona, ukryte pod białym materiałem marynarki. Pewnie w piwnicy centrali firmy mieściła się siłownia, gdzie codziennie przez pół godziny podnosił ciężary, to był typ faceta, który rwał sześćdziesiąt kilo, ale zostawiał na przyrządzie sto dwadzieścia, żeby sprzedać następnemu goryłowi moralnego kopa. Aaron potarł oczy.

– Źle założyłem soczewki – wymamrotał.

Pod wysuszonym językiem tkwiła nitka cielęciny, która zassała całą ślinę. Wyjął soczewkę i uważnie jej się przyglądał, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– To ilu konsultantów pan zatrudnia? – usłyszał pytanie Joni.

– „Pan” nikogo nie zatrudnia – rzekł Stol. – „Ty” zatrudnia około stu pięćdziesięciu ludzi.

Zaśmiała się, a w jej śmiechu pobrzmiwały podziw i ekscytacja.

– Ale – kontynuował pewnym siebie tonem – jak zapewne wiesz, konsultanci są samodzielni. Na przykład nasz mały Vaessen może z powodzeniem sam bawić się na podwórku. Raz w tygodniu rugam go, to naprawdę wystarczy.

Znów usłyszał zarezerwowany na wyjątkowe okazje, krystaliczny śmiech Joni, który wydobywał się z głębi piersi i nie wyrażał uprzejmości, tylko bezgraniczne oddanie. To nie wyjątkowy dar rozśmieszania – leniwe żarty

Stola nie były zbyt wysokich lotów – lecz *władza* torowała sobie drogę do jej mięśnia śmiechowego. Biała marynarka od smokingu, wyjęta dzisiaj rano przez Stola z garderoby, rozpychała się wokół guzika pełnotłustej władzy, którą się zażerał. Żeby uniknąć nieporozumień, włożył białą marynarkę, tak jak dominująca małpa w stadzie od razu pokazuje swoją dupę. Typ władcy – czytał o nim w gazetkach poświęconych karierze zawodowej, które natychmiast lądowały w koszu – co to każe poddanym wachać swoje stopy, ponieważ uważa, że pachną jak tort truskawkowy. Włożył soczewkę. Jeśli Joni zorientuje się, że ma kłopoty, przyjęcie stanie się jego Waterloo. Nie może się dowiedzieć, że Aaron śmiertelnie boi się tego mężczyzny.

Ma, na co zasłużył. Taki pożytek z docinków na temat mężczyzn pokroju Stola. Konsultanci to szarlatani, pustaki, wyzyskiwacze – twierdził za każdym razem, kiedy Joni głośno zastanawiała się nad przyszłością w branży konsultingowej, na którą przygotowywały ją studia i którą właściwie już wybrała i miała zamiar zawojować. Zamiast ją wspierać, za każdym razem, kiedy mówiła coś pozytywnego o firmie pokroju McKinseya, marszczył czoło, aż wyrosły mu rogi, i wysysał kolejne dyrdymały z diabelskiego kopyta. Branża konsultingowa to dekadentcki wybryk – mawiał. Jest na wskroś przegniła, mówiąc wprost: luksus, który natychmiast przestanie istnieć, gdy dojdzie do krachu na giełdzie albo stanie się coś równie nieoczekiwanego. A gdy udawało mu się sprowokować Joni, kiedy walczyła z powtarzaniem przez niego frazesami, wspominał te wszystkie beztalencia, które kręciły nosem na szkoły zawodowe i rzucały się na studia uniwersyteckie jak szczerbaty na suchary. Całkowicie pozbawione ambicji typki, które szły na prawo, ekonomię albo komunikację czy inne niewymagające studia, by w wieku dwudziestu dwóch lat sprzedawać bezsensowne porady.

Chcąc zobrazować pouczającą krytykę, nie oszczędził nawet własnych przyjaciół. Etienne to archetypowy przykład tego typu ludzi: kiedyś studiował biologię, ale odrzucił „wszystko, co rośnie, kwitnie i wciąż zakwita na nowo”, kiedy okazało się to nie licować z pensją biologa. A teraz? Teraz Etienne tworzy na zamówienie niezrozumiałe sprawozdania, z których wynika, że zwolnienia są nieuniknione albo że fuzja lub inne przestępstwo białych kołnierzyków to jedyne rozwiązanie, pięknie podsumowane w skorumpowanej prezentacji w Power Poincie, z którą zmanierowany prezes zarządu zjawia się w hali produkcyjnej: drodzy pracownicy, niestety muszę was zwolnić, zobaczcie, tak tu jest napisane. Czy Joni naprawdę chce marnować swój talent na coś takiego? Czy po to studiuje, żeby zostać Magistrem od Sprzedaży Wymówek?

– Aaronie – wzdychała wtedy – zostanę inżynierem. – Głębokim westchnieniem dawała mu do zrozumienia, że się nie złości, bo to, że nią handluje, to tylko krzywdzące plotki, dobrze o tym wiedzą.

Jednym haustem wypił kieliszek Corton-Pugets i zaczął wpatrywać się w gipsowe kiście winogron na suficie. Co dalej? Rozmowa musi za wszelką cenę zejść z tematu McKinseya. Na pytanie Joni, które znów mu umknęło, Stol odpowiedział, że jego konsultanci są współczesnymi górnikami, wszak każda firma ma jakąś wartość, trzeba tylko odpowiednio głęboko kopać. Rozgorzała dyskusja na temat najszybszych i najbardziej efektywnych metod kopania. Po raz pierwszy Aaron uważnie przyjrzał się kobiecie siedzącej obok Stola. Była nieco młodsza od męża, nieco zbyt umięśniona i zbyt mocno spryskana perfumami – zdał sobie sprawę, że to zapach jej perfum unosi się nad stołem i jego talerzem z policzkami cielecymi ze smażonymi na ostrym ogniu winniczkami.

– A czym zajmuje się pana córka? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

Kobieta, w którą wszyscy troje wlepili wzrok, ugięła się na krześle pod ciężarem złota: kwadratowe kolczyki, cztery duże pierścionki, ciężka bransoletka i łańcuszek utrzymywany w temperaturze ciała przez wyjątkowo ordynarny dekolt, górę jej granatowej sukni stanowił bowiem kawałek aksamitu, który zakrywał okazały biust niczym czarny pasek oczy przestępcy. Jej inteligentna, prawie pozbawiona makijażu twarz wprowadzała zamieszanie, jakby nie chciała brać udziału w narzuconej lubieżności. Długie blade dłonie pokryte były piegami.

– Brigitte to moja żona – powiedział Stol. – Wcześniej opowiadałem twojej siostrze, że parę lat temu kupiłem dla Brigitte ledwie zipiącą ujeżdżalnię. Ruinę, której teraz byś nie poznał, ona...

– Też umie mówić – przerwała mu Brigitte i rzuciła Aaronowi ciepłe spojrzenie ciemnobrązowych oczu, w których nie mógł dostrzec tęczy. – Ale ma rację, spełniło się moje największe marzenie. Konie to mój konik – wyznała z haskim akcentem.

– Chyba masz na myśli to, że kochasz konie – powiedział Stol.

– Kiedy zaczynaliśmy, ujeżdżalnia miała jedną gwiazdkę, teraz mamy trzy gwiazdki. Tak jak powiedziałam, to mój konik.

A może to akcent z Lejdy? W każdym razie mówiła gwarą. Ważniejsze było jednak to, że trafił w czułą strunę, końską strunę, ponieważ przysunęła się na krześle, jakby chciała wygodnie się rozsiąść. Musi pozwolić jej puścić się kłusem.

– Ile macie koni? – zapytał z ciekawości. – Albo nie, przepraszam, najpierw

chciałbym wiedzieć, gdzie jest, gdzie mieści się wasza ujeżdżalnia.

Joni rzuciła mu zaskoczone, taksujące spojrzenie.

– Między Scheveningen a Wassenaar – odpowiedziała Brigitte – tuż przy plaży. Nie ma piękniejszej lokalizacji, na wydmach. Maneż Black Beauty, pamiętacie ten serial? Spodobała nam się nazwa. On ją wymyślił. – Wskazała na Stola palcem wskazującym, na którym skrzył się złoty pierścionek z maleńkim zegarkiem.

– Jak byłam mała, oglądałam każdy odcinek *Black Beauty* – powiedziała Joni. – Uwielbiam konie.

– Co ciekawe – rzekła Brigitte podniecona własną opowieścią – kiedy Máxima i Alexander²⁵ robią przejażdżkę po plaży, zawsze wpadają do nas na kawę, przynajmniej raz w tygodniu – zawiesiła na chwilę głos, żeby sprawdzić, czy zrobiła odpowiednie wrażenie. – Wtedy myślę sobie: całkiem dobrze nam idzie. No nie? – Delikatnie otarła się ramieniem o ramię Stola.

– Pewnie – odpowiedział. – Ale nawet Willem-Alexander musi gdzieś napić się kawy, dzióbasku.

Nieobecny duchem Stol zapatrzył się apatycznie w jakiś punkt w oddali tuż za ramieniem Aarona. Mgła znudzenia wisząca między tą dwójką była zbyt ciężka i zbyt wilgotna, by mogła kiedykolwiek opaść; Joni myślała podobnie, co zauważył w bezczelnym błysku w jej oku, kiedy pochwyciła wzrok Stola.

– Jeździłam konno do szesnastego roku życia – powiedziała. – Ty też jeździsz?

Patrz – pomyślał Aaron – właśnie w ten sposób trzeba skupić uwagę na osobie, która cię interesuje. Właściwie Aaron i dzióbask się nie liczyli, byli jak piąte koło u wozu.

– Trochę – odpowiedział Stol. – Ale jeździsz na pewno lepiej ode mnie. Potrafię sobie ciebie wyobrazić galopującą na koniu.

Aaron zacisnął szczęki.

– Nago i na oklep? – zapytał.

Chciał, żeby miało to lekki wydźwięk, ale pytanie zabrzmiało, jakby coś go ubodło. Stol i Brigitte wymienili się spojrzeniami. Joni odłożyła sztucce, wytarła usta i popatrzyła na Aarona z udawanym rozczuleniem.

– Jesteśmy razem już cztery lata – powiedziała – ale Aarona wciąż ponosi fantazja.

Stol nieznacznie się uśmiechnął.

– Powiedz no mi – zapytał z udawaną wesołością, chcąc podtrzymać rozmowę – co właściwie studiuje ta młoda dama, skoro tak dużo wie o McKinseyu?

Zanim Joni zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Aaron.

– Ma komputer – odezwał się znów ze ściśniętym gardłem – i łącze internetowe. Sama weszła do internetu i znalazła stronę McKinseya. Tyle w temacie.

Zapadła cisza, nieco głębsza niż poprzednio. Aarona natychmiast przepełniło poczucie winy za to, co chlapnął, i to dwukrotnie, pożałował słów, które były werbalną bijatyką. Był kimś, o kim porządni ludzie mówią „skory do bitki”, kompletny brak samokontroli. Gotów rzucić się z pięściami na każdego z byle powodu. Stol obserwował go z chytrym uśmieszkiem, wyraźnie rozbawiony. Niebieskie oczy zdzierały odłóżającą płatami farbę z jego wnętrza. Aaron doskonale zdawał sobie sprawę, co zobaczył Stol, tak jak wie to każdy, kto jest równie zazdrosny. Jest beznadziejny. Ciekawe, jak patrzyłby na niego Stol, gdyby opowiedział mu o nocy poprzedzającej rozmowę w sprawie stażu Joni w Bain & Company mniej więcej rok temu, kiedy Aaron wstał podenerwowany po godzinach kręcenia się na łóżku, wziął przygotowane przez Joni ubrania i zaniósł je do łazienki, gdzie poplamiał skórka mandarynki jej niebieską spódnicę i białą bluzkę i zrobił oczka w rajstopach. Nie potrafił inaczej. Był pewien, że Joni rzuci swojego fotografa freelancera, jak tylko przekroczy próg wieży z lustrzanego szkła. Gdzieś na świecie, w Londynie, Nowym Jorku, Tokio, stoi drapacz chmur, który mu ją odbierze – straci ją dla konsultingu.

Oczywiście wiele razy się zastanawiał, skąd bierze się u niego ten strach. Najpierw myślał, że to zwykła zazdrość, euforyczne pierwsze miesiące jego związków zawsze wiązały się z przesadną obawą, że jakiś rywal pozbawi go jego szczęścia. Ale w przypadku innych dziewczyn paranoja mijała po trzech miesiącach, wraz z zakochaniem. W przypadku Joni było inaczej. Oczywiście, ten, kto chciał być z Joni Sigerius, musiał być odporny, była bowiem wyjątkowo, *niewyobrażalnie* piękna. Świadomie lub nieświadomie wysyłała promienie beta do ziarna męskiej przyzwoitości, która rozpadała się na kawałeczki, kiedy Joni Sigerius pojawiała się w pobliżu, a ze skrawków wychodzili agresywni myśliwi – mało razy widział to na własne oczy? Parę razy w roku nauczyciel z akademii sztuk pięknych malował jej ciało, dwukrotnie wygrała w kampusie wybory miss mokrego podkoszulka. Fotograficy portretowi zaczepiali ją na ulicy i proponowali zrobienie tak zwanej sesji artystycznej. Od kogo były esemesy, które słyszał w nocy, kiedy spała? Do kogo należały nieznane imiona i numery telefonów w jej kalendarzu? W dyskotecy faceci sapali mu do ucha chrapliwe ostrzeżenia, że jego czas dobiegł końca. Całymi latami budził ją rano telefonem jakiś

zbocheniec, którym okazał się być prorektor do spraw studenckich. Dlaczego masażysta nigdy nie chciał od niej zapłaty? Co jakiś czas, kiedy Enschede ją dusiło, jeździła z kolegą gejem do Amsterdamu na nocne szaleństwa w dyskotecę IT w tak prześwitującym T-shircie, że szczegóły jej ciała mógłby podglądać nawet Ray Charles. A on siedział w domu przed telewizorem, jedząc placek jabłkowy. Odchodził od zmysłów.

– Zdarzyło się coś ciekawego? – zapytał, kiedy wróciła do domu o szóstej nad ranem.

– Niespecjalnie. Trochę trwało, zanim weszliśmy do środka.

– O, a to dlaczego?

– Musiałam zdać biustonosz.

– Że co?

– Zdać. Biustonosz.

– Co to za bzdury?

– Tego chciał selekcjoner.

– Selekcjoner? Co to za selekcjoner? I co wtedy?

– Wtedy zdałam biustonosz.

Był beznadziejny, ale ona też.

Pani beznadziejna uśmiechnęła się do Stola.

– Jeśli będę chciała się czegoś dowiedzieć o McKinseyu – powiedziała z pozornym luzem – zawsze mogę zwrócić się do niego. Aaron o konsultantach wie wszystko.

Nie wiedział, w jaki sposób Joni dokona na nim egzekucji, ale było pewne, że go załatwi. Jego chorobliwa zazdrość miała na nią fatalny wpływ. *Gdyby tylko mógł stąd uciec.*

– Według niego – ciągnęła Joni – wiadomo na przykład, że McKinsey nie jest niezależny. Jesteście skorumpowani. Aaron twierdzi, że McKinsey wypluwa sprawozdania na zamówienie.

Poczuł, że położyła mu dłoń na ramieniu, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tuż obok usłyszeli czyjś głos krzyczący jego nazwisko.

We czwórkę spojrzeli na prawo i zobaczyli, że wysoki pan młody wstał i mijając jedzących, zatopionych w rozmowie gości, idzie w ich kierunku. Przy uchu Vaessen trzymał telefon, nie była to smukła komórka, tylko zwykły telefon stacjonarny z gumową antenką. Pokazywał Aaronowi coś na migi, twarz okolona jasnymi włosami wyrażała zadowolenie. Dziwka – pomyślał Aaron – zapraszasz szefa wszystkich szefów na własny ślub, lizus, cwaniak.

– Tak, jest tutaj... chwileczkę – powiedział Vaessen. – Bever, do ciebie. – Podał mu aparat przez stół, po czym kucnął między Stolem i Brigitte i zagaił

rozmowę.

– Tu Aaron.

– Chłopie, nie można się z tobą skontaktować.

Musiał się przez chwilę zastanowić, nim poznał głos Thijmena Akkermana. Thijmen, jego nadworny lekarz, ukończył medycynę w Utrechcie, ale pracował jako dyrektor do spraw sprzedaży w firmie produkującej protezy w nowej technologii, kończyny sterowane komputerowo, klockowe biodra z tworzywa sztucznego. Thijmen od lat wypisywał mu tabletki nasenne na receptach ojca, który był lekarzem rodzinnym z prawdziwego zdarzenia. Głos w słuchawce brzmiał tak, jakby właściciel wisiał na parolotni.

– Thijmen, musisz wyraźniej mówić, źle cię słyszę. Jestem na weselu. Jak mnie znalazłeś?

– Dzwoniłem do ciebie do domu – krzyknął Thijmen. – Ale, chłopie, wciąż nie odbierałeś. Więc poszedłem cię szukać, jestem niedaleko twojego domu. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że jesteście w Groeneweide. – To się zgadzało, Aaron powiedział mu o weselu, w czasie studiów Thijmen pracował tu na zmywaku. – Cała okolica płonie – ciągnął Thijmen. – To niewiarygodne, co się tutaj dzieje.

– Jak wygląda mój dom?

Zauważył, że Vaessen się zmył. Stol i Brigitte patrzyli na niego w skupieniu, niczym niewzruszona Joni spożywała posiłek. Właśnie dlatego, że żarła jak gdyby nigdy nic, wiedział, jak to rozegrać. Wiedział, co robić.

– Wszędzie ogień – krzyknął Thijmen. – Po drugiej stronie domu. Morze ognia, naprawdę. Ale mówią, że się nie rozniesie. Straż pożarna mówi, że wiatr wieje w dobrym kierunku. Właściwie to dzwonię, żeby cię uspokoić. Pewnie jesteście cali w nerwach.

– Wszędzie ogień – powtórzył słowa kolegi. – Chryste Panie! A mój dom? – W tle słyszał syreny i jakieś hałasy. – Thijmen, jesteś tam?

– Tak, tak. Sorry, wozy strażackie muszą mieć wolny przejazd. Czekać. Twój dom jeszcze stoi, ale ta szklana ściana jest zniszczona, no wiesz, te...

– Drzwi przesuwne?

– Tak, dokładnie. Nic z nich nie zostało. Czekać. Każą mi się oddalić. Wszędzie, dosłownie wszędzie, leżą odłamki szkła. Człowieku, to coś niewyobrażalnego.

Odwrócił się do Joni i pokazał kciuk do dołu. Położył dłoń na mikrofonie i powiedział:

– Sądzę, że powinniśmy wracać. – Po czym włożył palec do ucha i zwrócił się do Thijmena: – Thijmen, uspokój się. Ochłoń trochę. Jesteśmy z Joni

w Zaltbommel. U nas wszystko w porządku. Jemy cielęcinę. Ale cieszymy się, że zadzwoniłeś. Tak, to straszne. Tak, tak, jesteśmy niedaleko. Samochodem będziemy w ciągu godziny.

Thijmen słuchał w milczeniu.

– Aaron – w jego głosie pobrzmiwało zdziwienie – chłopie, nic nie możesz zrobić. Proszę cię, zostań tam. Ciesz się, że tam jesteś. Baw się dobrze. Będę kończył, nie chcę tu dłużej być.

– Zrozumiałem, Thijmen, jasne. Masz zupełną rację. Tak zrobimy. Uciekaj stamtąd. Do zobaczenia, chłopie.

Thijmen się rozłączył.

– Co mówisz? – powiedział Aaron do słuchawki. Przez chwilę patrzył prosto w oczy Boudewijna Stola. – Dobrze, Thijmen, spokojnie. Możesz na nas liczyć. Przyjedziemy. W porządku, chłopie. Zaraz ruszamy w drogę. Cześć.

Wyłączył telefon i położył aparat obok talerza.

– No i? – zapytała Brigitte. – Nie brzmiało to zbyt dobrze.

– Nie – odpowiedział. – W Enschede dzieje się coś straszego. Wybuchła fabryka sztucznych ogni. Widzieliśmy to w telewizji w hotelu. Tam mieszkamy, w Enschede. Ja mieszkam w pobliżu fabryki. Jest gorzej, niż myśleli. Wyświetlają informacje na trzech kanałach.

– Oj – powiedział Stol.

Świetna analiza – pomyślał – oj.

– W moim domu wyleciały drzwi przesuwne – powiedział. – I...

– Jeśli to wszystko... – przerwała mu Joni, po czym nie patrząc na niego, ukroiła kawałek policzka cielęcego i zamoczyła miękkie mięso w sosie. Nadziała groszek na widelec i włożyła do ust.

– Na razie tak – rzekł Aaron. – Ale cała ulica stoi w płomieniach. Wystarczy, że wiatr zmieni kierunek, a mój dom spłonie. Musimy tam jechać. Teraz.

Wytarł usta serwetką i demonstracyjnie odsunął się na krześle. Joni wciąż patrzyła na talerz i przeżuwała. W napięciu przyglądał się, jak je. Do jasnej cholery, tu chodzi o jego dom, nikt inny nie ma pojęcia, że jego dom może w każdej chwili się zapalić. Przełknęła. Złoty kosmyk opadł jej na policzek, spokojnie założyła go za ucho. Kiedy uznała, że obserwacja zakończona, odłożyła sztucce i spojrzała na niego.

– Aaronie – powiedziała – nie zachowuj się jak dziecko. Jesteśmy na weselu jednego z twoich najlepszych przyjaciół. Nie możemy tak po prostu sobie pójść. Uspokój się, skarbie. – Puściła oko do Stola. – Chyba powinniśmy

się cieszyć, że Aaron nie ma ujeżdżalni.

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.

– Nie, Joni – powiedział, drżąc przez napływającą falę złości – nie mam koni, ale mam zwierzęta domowe, pamiętasz?

– Dwie świnki morskie – odparła Joni.

Brigitte zakryła uśmiech dłonią.

– I czterdzieści oryginalnych longplejów jazzowych twojego ojca, które stoją przy gramofonie – wyrecytował w pośpiechu. – I laptopa. I majątek utopiony w aparatach fotograficznych. I dwa tysiące książek. Moglibyśmy część z tych rzeczy przenieść w bezpieczne miejsce. Tak tylko proponuję.

– Idź po auto – powiedziała Joni – a ja w międzyczasie napełnię wiadro wodą ze stawu.

Stol wtrącił się uprzejmie do rozmowy.

– Rozumiem twojego chłopaka – powiedział. W trakcie ich scysji bawił się chusteczką, a teraz, odprężony, rozsiadł się wygodnie na krześle i niczym magik wyjął krwistoczerwoną szmatkę z kieszonki na piersi, rozłożył jedwabny materiał na lewej dłoni, chwycił pośrodku dwoma palcami prawej ręki, jakby chusteczka była brudna, i podniósł. Potrząsnął chusteczką i złapał ją wolną ręką od dołu, po czym ostrożnie złożył na pół i objął dłońmi, jak zwierzątko. Odchylił kieszonkę kciukiem i palcem wskazującym i wsunął do środka jedwabne zwierzątko, uważnie taksując Aarona. – Instynkt podpowiada mu, że powinien spieszyć do pożaru. To dzieje się tam, a on utknął tutaj. W grę wchodzi jego najcenniejszy majątek, dom ze wszystkim, co go definiuje, to oczywiście nie byle co.

Aaron zamrugał oczami. Dlaczego wyrocznia nie zwróciła się bezpośrednio do niego? Czy on w ogóle pytał go o zdanie?

– Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie – powiedział Stol, jakby umiał czytać w myślach – powinieneś powściągnąć emocje i zadać sobie pytanie: jaka jest skala problemu w Enschede? Jaka rolę może odegrać Arend w jego rozwiązaniu?

– Mam na imię Aaron.

– Musisz zadać sobie to pytanie. Lepiej teraz niż za chwilę. Lepiej tutaj zdać sobie sprawę, że nic nie możesz zrobić, a wręcz możesz zaszkodzić, niż tam.

– Kto tu mówi o szkodzeniu?

– Ja – odpowiedział Stol. – Tam szaleje ogień. Budynki grożą zawaleniem. Unoszą się kłęby trujących oparów. Kompletny chaos. A służby oczekują od obywateli tylko jednego: żeby opuścili miejsce katastrofy.

– Co ty możesz o tym wiedzieć!

Stol przyjrzał mu się z uśmiechem.

– Co cię tak śmieszy?

– Ty. Zabawny jesteś. – Dwoma zręcznymi ruchami wyciągnął mankiety spod rękawów marynarki, po czym zwrócił się do Joni: – Powiedzmy, że twój chłopak i tak pojedzie. Co potem? Arend będzie wałęsał się po miejscu katastrofy bez dachu nad głową. Będzie przeszkadzał. A jeśli wiatr zmieni kierunek, będzie się przyglądał, jak jego dom trawia płomień, bezradny i podпиты. Trzeba mieć silną psychikę. A jak tak na niego patrzę, to myślę, że sobie z tym nie poradzi. – Stol wziął do ręki widelec z kawałkiem cieleciny i włożył go do wąskich ust. – Innymi słowy: jeśli tam pojedziesz – powiedział, przeżuwając, i wskazał na Aarona pustym widelcem – zafundujesz sobie traumę.

Joni, oparta łokciem o stół, zasłoniła sobie dłonią oczy, robiąc z nich daszek, i patrzyła w talerz. Aaron odetchnął głęboko. Super. Nasrajcie mi na głowę, dzięki za czapkę. Zrobił z siebie pośmiewisko. I nie, nie pojedą. Przegrał. Czemu gapią się na niego wszyscy troje? Spojrzał na zimny posiłek na talerzu i potarł prawe oko.

– Moja soczewka – odezwał się – coś mi do niej wpadło. – Próbował ją wyjąć, ale zauważył, że zbyt mocno drżą mu ręce. Czuł na sobie wzrok Stola. – Słuchajcie no – krzyknął nagle, wstając z miejsca. – Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem za rodziną i przeciw narkotykom.

Nie patrząc na nikogo, trzymał w otwartej dłoni soczewkę, kierując się w stronę podwójnych drzwi, przez które weszli do sali. Twarz mu płonęła. Sala jadalna kołysała się jak wnętrze galeonu, armaty szarpały się na łańcuchach, żyrandole tańczyły walca na suficie. Czuł zmęczenie wywołane wielotygodniowymi problemami ze snem. Idąc chwiejnie między bladeżłotymi kolumnami i plecami gości siedzących przy stołach, niechcący kopnął czyjaś torebkę, która potoczyła się po drewnianej podłodze, bąknął „przepraszam” i kiedy silnym machnięciem rzucił ją na miejsce, dostrzegł w oddali, że Stol, Brigitte i Joni są zatopieni w rozmowie i śmieją się serdecznie.

Chłód marmurowej celi, różany zapach odświeżacza powietrza. Zamknął się w pierwszej napotkanej toalecie i nie ściągając spodni, opadł na matową, czarną deskę klozetową. Sphuczka napełniała się powoli wodą, objął głowę dłońmi, wszystko wirowało, zamknął oczy i słuchał cichego szumu wody, która go wyśmiewała, słuchał śmiechu nad głową...

Kiedy wrócił do jadalni, wydała mu się mniejsza niż wcześniej: sufit był

obniżony, jego krawędzie osmalone od płomieni świec. Spiesząc do stołu, dostrzegł z daleka, że Stol zdjął białą marynarkę. Przyjrzał mu się uważnie. Jak to? Stol zdjął też koszulę, siedział przy stole goły od pasa w górę i śmiał się do niego. W dłoni, a właściwie w zgiętej ręce, trzymał pusty, zabrudzony talerz, przyciskając go do owłosionej piersi jak frisbee. Zanurzony w sosie kawałek policzka cielecego ześlizgnął się z talerza i spadł z plaśnięciem na stół. Jak na komendę cała sala przestała jeść i rozmawiać. Wszyscy patrzyli na Aarona.

– Nie! – wrzasnął. – Co robisz?

Z zaciętym wyrazem twarzy Stol rzucił w niego talerzem. Aaron schylił się odruchowo i spadł z muszli klozetowej do przodu, bum, uderzając ciemieniem w białe drzwi.

– Au, au, au – szepnął.

Poczuł pulsujący ból na czubku głowy. Czuł, że krwawi.

Sigerius stoi sztywno w holu. Właśnie sięgnął po korespondencję leżącą na wycieracze. Chciał iść do salonu, ale zdenerwowany przygląda się przez otwarte drzwi profilowi córki. Joni siedzi na miękkim oparciu dużej kanapy, jest upalnie, więc ma na sobie krótkie džinsowe spodenki, skrzyżowała nogi i skubie lakier na paznokciach u stóp. Rozmawia z Aaronem, ale Sigerius go nie widzi.

– Po prostu jedź ze mną – słyszy jego głos. – Myślę, że to ci dobrze zrobi.

– Na litość boską, dlaczego miałoby mi to dobrze zrobić? – Podnosi na chwilę wzrok znad stopy. – Wyjaśnij mi to.

– Bo zobaczysz prawdziwy obraz tragedii, a nie własne wymysły.

Mówią o jutrzejszym popołudniu. Aaron, jako mieszkaniec miejsca katastrofy i jako fotoreporter, ma dwa miejsca w należącym do gminy busie, który przejedzie po ruinach Roombeek. Załatwił miejscówkę dla Joni, nie pytając jej o zdanie.

– Mój chłopak udziela pomocy ofiarom – mówi Joni. – Stań obok spalonego, zawalonego, zniszczonego domu swojego dawnego, aktualnie półżywego szefa. To ci dobrze zrobi.

Zmarszczone szerokie czoło, zaciśnięte pełne usta – to z nerwów albo jest skoncentrowana na paznokciach.

Właściwie to bardzo smutne, że od tygodnia Sigerius musi na to patrzeć.

Kiedy wrócił z Szanghaju i oszołomiony skakał po wszystkich kanałach informacyjnych, Tineke zaproponowała, żeby zaprosić ich na kilka dni. Chłopak nie może wrócić do domu, teraz nocują w dusznym pokoiku Joni na poddaszu. Oczywiście, że są mile widziani – powiedział – zawsze, ale przecież od kilku lat nocują na poddaszu. Według niego Joni odrzuci propozycję, może nie powinni stawiać jej pod ścianą. I rozgorzała gwałtowna dyskusja. Tineke powiedziała, że bardzo tego chce, że to sprawi jej przyjemność. Przyjemność – powtórzył. Przyjemność? Jemu przyjemność sprawia świadomość, że wychowali córki na samodzielne młode kobiety.

– Nie bądź taki – odpowiedziała.

Tineke po prostu chciała, żeby Joni była blisko. Ponieważ Sigerius podziwia racjonalizm Tineke, a „zwykłe chcenie” nie pasuje do jej charakteru, dopytywał, czy chodzi o coś innego.

– Nie – odpowiedziała.

– Po prostu mi powiedz.

Z westchnieniem posadziła swoje duże cielsko w fotelu obrotowym naprzeciw niego.

– Nie uwierzysz – rzekła – ale on wczoraj zadzwonił.

Codziennie stu dziesięciu różnych „onych” chce się z nim skontaktować, ale teraz od razu się domyślił, że chodzi o Menno. Cała ta szopka zacznie się od nowa? Odtwarzał w głowie gadkę Wijną w Utrechcie.

– Nie mówisz poważnie – powiedział. – Czego chciał? I dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Kochanie, wydawało mi się, że niedziela to nie jest dobry moment. To znaczy wydawało mi się, że wybuch sztucznych ogni to wystarczająco zła wiadomość. Wciąż pamiętam, jaki byłeś wzburzony na przyjęciu. Rozumiesz?

– Tien, powinnaś była od razu zadzwonić do mnie do Szanghaju. Czego chciał?

– Chciał... chciał się dowiedzieć, czy Joni przeżyła katastrofę.

– Menno Wijn?

– Menno Wijn? Dzwonił Wilbert.

– Cholera jasna.

– Teraz mnie rozumiesz? Obleciał mnie strach. Kiedy zadzwonił, właśnie jadłam obiad i byłam sama w domu.

– W jakim był nastroju? Skąd dzwonił?

– Był spokojny, ale niemiły. Nieprzyjemny.

– Gdzie mieszka?

– Kochanie, nie pytałam go o to. Chyba rozumiesz? Wszystko działo się tak szybko. Nie rozmawiałam z nim od dziesięciu lat.

Dlatego się zgodził, oczywiście, że się zgodził, gdy poznał całą historię, uznał, iż to dobry pomysł, żeby Joni przez jakiś czas zatrzymała się w ich domu. Uparł się, żeby nie wspominać Joni o telefonie. Jeśli Tineke dobrze pamięta, Wilbert o to nie prosił, więc oficjalnie niczego przed nią nie ukryli.

– O tym, co mówimy, a czego nie, to my decydujemy – powiedział.

W ten sposób we wtorkowy wieczór ewakuanci stanęli w progu domu, najwyraźniej zadowoleni z perspektywy dużego łóżka dla gości i własnego prysznicza na piętrze. Sigerius przez ostatnie dwa dni biegał od jednego studia telewizyjnego do drugiego, latał jak kot z pęcherzem, żeby załatwić baraki dla bezdomnych studentów w kampusie. Miał istne urwanie głowy. Odkąd dowiedział się o katastrofie, ani razu nie pomyślał o Lindzie i jej stronie internetowej – do czasu, aż tych dwoje postawiło w salonie torby podróżne. Przywitali się z nim i usiedli naprzeciwko na długiej kanapie, po czym odbyli

rutynową wymianę zdań na temat wypadku. Słuchał ich relacji z katastrofy, oni słuchali jego opowieści – a w międzyczasie w głowie huczało mu jedno pytanie: *a może to jednak ona?*

– Nawet jeśli jest gorzej, niż myślałaś – usłyszał głos Aarona – będziesz przynajmniej wiedziała, czym się zadreczasz. Ale zobaczysz, nie jest tak źle. Przynajmniej według mnie.

– Nie jest tak źle? – Joni kręci głową i wraca do skubania paznokci. – Podobno miałaś kupić judogę? Idź i załatw to, zamiast bawić się w psychologa.

Sigerius się poruszył. Przestań ją obserwować. Już pięć dni obserwuje swoją córkę. Studiuje ją jak antropolog, nie, jak inkwizytor. Często, tak jak teraz, nie zauważa niczego szczególnego: tam siedzi Joni, wzburzona smutną historią Ennia, w niczym nie przypomina kruchej dziewczyny, którą jest. A jednak. Kiedy wpada na nią na półpiętrze czy na ścieżce koło domu albo kiedy na nią spogląda, jak przed chwilą – za każdym razem widzi to samo, co po raz pierwszy rzuciło mu się w oczy na przyjęciu: irytujące podobieństwo. Pchnięciem otwiera drzwi do salonu, wzrokiem szuka Aarona i mówi:

– Nie będziesz kupował nowej judogi. Chodź ze mną.

Ironia polega na tym, iż nawrócił się na internet, ponieważ wydawało mu się, że to bezpieczna alternatywa. Jeszcze niedawno myślał: lepsze to niż to nieszczęście sprzed półtora roku.

Wszystko zaczęło się od przyjęcia pożegnalnego Jaapa Vissera, pełniącego od początku lat osiemdziesiątych funkcję dziekana Wydziału Komunikacji, mężczyzny, który powinien był odejść ponad dziesięć lat temu i z którym musiał zrobić porządek. Jego przemówienie było zwięzłe i ciepłe. Przyjęcie odbyło się w klubie Bastille, a dokładniej w jego ciemnych ceglanych bebeczach wypełnionych matowymi miedzianymi przedmiotami. Stojąc u szczytu ciężkiego baru, Sigerius rozmawiał z Vlaarem, swoim rzecznikiem, i czterema współpracownikami. Obsługiwała ich przez cały czas ta sama kelnerka, szczupła Azjatka o otwartej, atrakcyjnej twarzy. Kiedy podawała mu białe wino albo wodę, za każdym razem posyłała mu krótkie, przenikliwie spojrzenie. Jakby właśnie powiedziała coś uszczypliwego i czekała na jego reakcję.

Koło siódmej, zanim sala zaczęła się przerzedzać, uznał, że czas do domu. Skierował się w róg sali, gdzie stali Visser z żoną w otoczeniu trzech płochliwych synów i kilku dawnych kolegów. Wymienili mocne uściski dłoni, życzył mu wszystkiego najlepszego i pospiesznie się pożegnał. Dziewczyna

stała u szczytu baru i płukała szklanki. Zawiązał szalik, włożył rękę do rękawa płaszcza i poczuł jej wzrok na sobie.

– Poczekaj chwilę – powiedziała, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Później, kiedy wciąż na nowo analizowali pierwsze spotkanie, powiedział jej, że w jego wspomnieniu nie przeszła wokół baru, ale przez niego przeskoczyła jak postać z kreskówki, na co odpowiedziała, że wolałaby nie być porównywana do postaci z kreskówek.

– Nie pamiętasz mnie?

Ciemnobrązowe oczy, w których błyszczały drobinki miedzi, patrzyły na niego z dołu. Nie była zbyt wysoka, ale zgrabna, i kiedy stała tuż pod jego nosem, wyczuwał zapach jej upiętych kruczoczarnych włosów i zdał sobie sprawę, że w niczym nie przypomina postaci z kreskówki. Od dawna nie stał tak blisko młodej, nieznanym kobiety.

– Daj mi jakąś wskazówkę – powiedział.

– Nie, to byłoby zbyt łatwe. Zastanów się.

– Niech zgadnę: zasiadasz w zarządzie Student Union. – Wiedział, że nie jest jego członkiem, ale uznał, że zabrzmiało to jak komplement.

– Pewnie za dwa lata. Pomyśl.

Spojrzał na zegarek i powiedział, że spieszy się do domu. Odpowiedziała, że wydawało jej się, iż rektor sam decyduje, kiedy wraca do domu.

– Pomogę ci. To było... niech no się zastanowię... sześć lat temu.

Stwierdził, że sześć lat to szmat czasu, i zaskoczył samego siebie ciętą ripostą:

– Sześć lat temu zdawałaś egzamin szóstoklasisty.

Dziobnęła go palcem wskazującym w brzuch.

– Za karę musisz wypić lampkę wina. – Zwinnie przeszła za bar, sprawnie odkorkowała butelkę i nie uroniwszy ani kropelki trunku, napełniła dwa kieliszki. – Czy mówi ci coś nazwisko Marij Star Busman? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

Nieemożliwe – pomyślał – jesteś córką Marij Star Busman? Nie musiał odczuwać wyrzutów sumienia, że tego nie dostrzegł, ponieważ Marij Star Busman była typową, mocno zbudowaną Holenderką o ryżawych włosach i pulchnym ciele, które wyglądało na płodniejsze, niż było w rzeczywistości. Na początku lat osiemdziesiątych ona i jej mąż adoptowali tajską dziewczynkę, a później chłopca z Birmy. Wszystko zaczęło mu się układać w głowie. Pamiętał tę rodzinę z pierwszego roku rektorowania, kiedy nadał kilku kobietom tytuł profesora. W tamtych czasach Tubantia miała jednego żeńskiego profesora – żenująca liczba, nawet uniwersytety w państwach

islamskich miały ich więcej. Na Wydziale Technologii Chemicznej pracowała młoda pani doktor, która publikowała artykuły taśmowo, w tym w „Nature”, i którą studenci wybrali nawet na Nauczyciela Roku. Od razu pomyślał, że kogoś takiego potrzebuje, i kiedy zaprosił ją na nieformalny lunch, utwierdził się w swoim przekonaniu. Marij Star Busman była ambitnym, inteligentnym, wyjątkowo profesjonalnym naukowcem, który według niego powinien natychmiast otrzymać własną katedrę.

W niecały tydzień po tym, jak przedstawił swoją propozycję w senacie uczelni, otrzymał wiadomość o karambolu na zamglonej A1 niedaleko Zwolle, w którym uczestniczyła jego protegowana, zakleszczona między dwoma pojazdami. Z początku wydawało się, że Marij Star Busman wyjdzie z tego tylko ze złamanym nosem, ale po kilku tygodniach okazało się, iż ból pleców i karku kompletnie ją unieruchomił.

Wylądowała w domu na kanapie z kołnierzem ortopedycznym, zmiennymi nastrojami i pamięcią dziurawą jak sito. W trakcie trwającej pół roku rekonwalescencji co kilka tygodni Sigerius ją odwiedzał, parę razy był tam z Tineke i powoli zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Poza przesympatycznym mężem i synkiem po bliźniaku w Schothorst pałętała się chudziutka, skośnooka córeczka i kiedy teraz ta rozkwitająca dziewczyna podała mu kieliszek wina, przypomniał sobie jej imię.

– Isabelle – powiedział. – Witaj z powrotem w Enschede.

Sfrustrowany musiał patrzeć, jak rodzina przeprowadza się do Randstad po tym, jak dziekan Wydziału Technologii Chemicznej przeciwstawił się nominacji Star Busman (za młoda, zbyt niedoświadczona, kłopotliwa), skandalik, o którym, jakby tego było mało, dowiedziała się też gazeta uniwersytecka. Co było do przewidzenia, z okazji skorzystała politechnika w Delft i natychmiast zaproponowała jej katedrę. Trzy lata później Star Busman otrzymała Nagrodę Spinozy²⁶ za stworzenie kompleksowych molekuł i nowych selektywnych katalizatorów, co potwierdziło jej umiejętności i co wytknął Sigerius konserwatywnej klice chemicznej.

– Na zdrowie – powiedziała adoptowana córka Marij Star Busman.

Odnowiona znajomość z Isabelle skutkowałą krzyżowym ogniem pytań, dziewczyna bowiem wykazywała bezgraniczne zainteresowanie tym, co Sigerius robi i czym się zajmuje, tu i tam wtrącała jakieś przekorne uwagi, śmiała się rozbrajająco, co wywoływało w nim pogłębiającą się nieśmiałość. Co sądzi o Enschede, dlaczego nie został sekretarzem stanu (skąd o tym wiedziała?), ile odfajkował tego typu imprez pożegnalnych, czy nadal uprawia judo? Czy przypomina sobie, jak jej młodszy brat zapytał go, co się

stało z jego uszami? Nie, uśmiechnął się, przemilczał również fakt, że tak samo nie bardzo kojarzy trzynastoletnią Isabelle. Powiedziała, że jej matka jest mu wdzięczna, chociaż wówczas sprawy nieco dziwnie się ułożyły. Że studiuje administrację publiczną, mieszka „w całkiem znośnym” akademiku i jest członkinią tego samego zmanierowanego stowarzyszenia co Joni, która odpowiadała też za jej otrzęsiny. Ani razu nie spuściła wzroku. Kiedy pół godziny później opuścił Bastille i mijając centrum sportowe i mały supermarket, wyszedł na Langekampweg, poczuł dziwną... lekkość.

Dwa dni później sekretarka przesłała mu maila od Isabelle Orthel. Isabelle Orthel? Dopiero po przeczytaniu wiadomości („Hej Siem, też Cię tak sponiewierało po tym winie? Sikacz. W De Appel w Hengelo mają bardzo dobre czerwone”) zorientował się, że Star Busman było nazwiskiem panińskim jej matki. Isabelle Orthel też niespecjalnie pasowało do Tajki, raczej do lirycznej francuskiej filozofki z siedemnastego wieku. Czy powinien odpisać na jej maila? Środa była wyjątkowo pracowita, dlatego przez resztę dnia pławił się w podszytej ciekawością niepewności. Właściwie postanowił pozostawić maila bez odpowiedzi, kiedy niepodziewanie tuż przed wyjściem z pracy skreślił kilka słów: „Isabelle, nic mi po nim nie było. Na przyszłość pisz do mnie na adres Sigerius@xs4all.nl. Na razie”.

Pomyślał o niej dopiero następnego ranka, gdy o wpół do ósmej szedł przez lodowaty rektorat i zamiast wstawić kawę, najpierw przejrzał prywatną skrzynkę mailową. Wysłała mu dwie wiadomości. Pierwsza zawierała rozbudowany akapit na temat tego, jak „inspirującą” odbyli rozmowę, informowała w niej o swoim członkostwie w młodzieżówce D66²⁷, gdzie często padało jego nazwisko. To wzbudziło jego czujność. Dawniej, zanim się ożenił, ciężko było mu rozpoznać flirtujące kobiety, teraz całkiem dobrze mu szło, ale nie umiał odróżnić prawdziwego zainteresowania, możliwe, że zabarwionego erotycznie, od tego, co określano jako „budowanie sieci wpływowych znajomości”.

Druga wiadomość była krótka i jasna: „A czy Ty w ogóle lubisz czerwone wino?”.

Ogarnęły go wątpliwości. Od dwudziestu pięciu lat reagował na awanse w ten sam sposób, mianowicie wcale, ale jednocześnie uświadomił sobie, że przez cały weekend jego myśli wciąż krążyły wokół tej dziewczyny. Leżąc wieczorem na plecach obok pochrapującej Tineke, roił sobie, że siedzą z Isabelle naprzeciwko siebie w De Appel, próbował też wyobrazić sobie jej ciało. W chwili słabości wystukał w poniedziałkowy rano w rektoracie wiadomość: „Isabelle, marzę o kieliszku dobrego wina”.

W następnych dniach wymieniali coraz więcej maili, czasem około trzydziestu dziennie. Wciąż okazywała mu łechcące jego próżność zainteresowanie, zasypywała go wesołymi i dociekliwymi akapitami i zdaniem, pytaniami o jego pracę, córki, jego zdanie o tym i owym, o obejrzone filmy i przeczytane książki albo te, których jeszcze nie poznał, o jego przeszłość, młodość – całymi dniami, aż nie wytrzymał i zaczął sypać aluzjami. Tak, otwarcie jej pragnął. Jego wypowiedzi stawały się frywolniejsze. Po dwóch tygodniach nawet kropki i przecinki były dwuznaczne. Kiedy pisała, że pływa, prosił, żeby opisała mu swój strój kąpielowy, gdy go opisała, pytał, jakie majtki nosi, na przykład teraz.

- Nie mam na sobie majtek – odpowiedziała.
- W ogóle?
- Boże, oczywiście, że mam na sobie majtki.
- Isabelle, a jakie?
- A jakie byś chciał, żebym nosiła?

Własna pożądlivość wprawiła go w osłupienie. Nie był jednym z tych mężczyzn, którzy zaniedbują pracę z powodu podkreślenia erotycznej atmosfery albo pozwalają dziewiętnastoletniej sikorce, żeby zagroziła ich stabilnemu, spokojnemu życiu prywatnemu. Nie żeby nigdy nie podejmował ryzyka, uważał, że wciąż je podejmuje, ale zagrożenia te spadały na niego w świetle dziennym i nie miały nic wspólnego ze skłonnościami do zdrady. Był mężczyzną pozbawionym tajemnic erotycznych. Może nawet pozbawionym fantazji erotycznych.

Mimo to przez kilka pierwszych tygodni gorączkowo rozglądał się po kampusie, mając nadzieję, że gdzieś zobaczy Isabelle Orthel. Przejrzał rocznik jej stowarzyszenia, który trzymał w szafie w gabinecie, ponieważ napisał do niego przedmowę, i znalazł jej dwa zdjęcia – Boże, to ona, tak. Mimo to obleciał go strach, gdy w tym samym tygodniu zobaczył ją stojącą w pierwszym rzędzie na otwarciu nowej stołówki hokejowej. Czy naprawdę jest aż tak urodziwa? Jej blada twarz była rozświetlona niczym monumentalna kamienica w centrum miasta. Zapomniał, z jaką niedbałością upinała swoje proste, czarne włosy. Zapomniał, że wkładała kciuki za pasek od dzinsów, kiedy kogoś słuchała, i układała błyszczące usta w dzióbek, niecierpliwie czekając na możliwość reakcji.

Na szczęście podeszła do niego dopiero po godzinie, prawdopodobnie sama potrzebowała czasu, by zebrać się na odwagę. Było wspaniale. Dopiero po fakcie martwił się, jak to wyglądało – pozer i dziewczyna grająca w hokeja:

przesadna gestykulacja, przelotne dotknięcia ramion i przedramion, szepty na ucho, głośny śmiech, w pewnym momencie pacnęła go w twarz („łobuz”), śmiała się z czegoś, czego Sigerius już nie pamięta.

Do złych postanowień na nowy, 1999 rok należała randka w barze w Almelo, najbliższej miejscowości, w której odważył się pokazać z nią publicznie. Od 1974 roku nie położył ręki na innej dłoni niż dłoń Tineke. Przez cały wieczór czuł się jak w niebie. Rozmawiali o jego nudnej młodości w Delft, o jej śmiałych planach na przyszłość, o różnicy między jazzem a muzyką klasyczną (przez jakiś czas chciała studiować śpiew w konserwatorium), o krawatach i korzyściach z bycia dziewczyną, o jej zaskakującej niechęci do Tajlandii, o wierności i zdradzie – aż zrozumiał, że się zakochał. Kiedy szli przez zatopione w ciemnościach Almelo na dworzec (z ostrożności wykupił bilet w pierwszej klasie – według niej „z tchórzostwa”), popchnęła go w zaułek między dwoma sklepami i zaczęła całować. Położył zziębnięte dłonie na jej ramionach i poczuł, jak jej palce wędrują pod ubraniem po jego ciele do pośladków i kilka minut później, ku jego przerażeniu, odpinają guzik w jego spodniach. Zdjęła rękawiczki z jeleniej skóry, ale on odepchnął jej ręce. Gestem wyrażającym, że ma się nie wygłupiać, odsłoniła jego penisa i zaczęła nim poruszać. Był o głowę wyższy, więc mógł unikać jej miedzianego, lisiego spojrzenia i w skrytości odczuwać niezręczność całej sytuacji.

Droga powrotna prowadząca przez wieczorne krajobrazy za oknem osłabiła go i wprawiała w zadumę. Siedząc w pustym przedziale pierwszej klasy, z wystraszoną, półtwardym członkiem dotykającym wewnętrznej strony uda, patrzył na księżyc tuż przed pełnią ze świadomością, że gdzieś w tym samym pociągu na tę samą lodową kulę patrzy nieustraszona, delikatna, niewyobrażalnie atrakcyjna dziewczyna i myśli o nim. Zaskoczyła go swoją odwagą, żywotnością, siłą. Bez śladu szacunku, do którego był przyzwyczajony, choćby dlatego, że był od niej o trzydzieści pięć lat starszy i kierował uniwersytetem, na którym czekał ją egzamin po pierwszym roku studiów. Od Isabelle Orthel biły pewność siebie i odwaga. Ponieważ była tak młoda, siłą rzeczy porównał ją do Margriet Wijn, innej dziewiętnastolatki, która też kiedyś wepchnęła go do ciemnego zaułka. Różnice między nimi były tak ogromne, że czasem myślał, iż zakochał się w kontraście.

Odwiedzając Marij Star Busman w domu, zdążył zauważyć, że na barkach Isabelle spoczywał ciężar przynależności do wspaniałej rodziny, w której znalazła schronienie dzięki zbiegowi okoliczności: jej adopcyjny dziadek był sędzią Sądu Najwyższego, a w wolnych chwilach biografem morskich

bohaterów Maartena i Cornelisa Trompów, mężczyzną, który nie płodził dzieci, tylko nauczycieli akademickich. Podobnie jak jej matka, ogromne zastępy wspomnianych przez Isabelle wujków i ciotek ukończyły takie czy inne studia, jakby hurtem, poważni ludzie na poważnych stanowiskach na uniwersytetach, w sądach, w organizacjach praw człowieka, a jeśli nie, Star Busmanowie malowali albo lepili w glinie rzeczy warte pokazywania na wystawach. Stary dąb rozgałęził się przez dwie generacje na tyle, że w większości korporacji zasiadał ktoś z kuzynostwa Isabelle. Wspólnie tworzyli płodny klan Star Busmanów, który przynajmniej dwa razy w roku spotykał się w haskiej willi jej dziadków, żeby, tak wyobrażał to sobie Sigerius, zdać relację z kariery społecznej. Podobnie jak jej rodzina adopcyjna, Isabelle była na uprzywilejowanej pozycji i dokładnie wiedziała, co chce osiągnąć w życiu. Z uśmiechem zdawała egzaminy, pieniądze na imprezy zarabiała jako śpiewająca kelnerka w pianobarze, zorganizowała wycieczkę studencką do Pragi (połączoną ze zwiedzaniem Teresina), mogła wybierać z trzech żeńskich stowarzyszeń studenckich.

A Margriet? O czym myślała Margriet Wijn, kiedy miała dziewiętnaście lat? Raczej nie o alkoholu, przynajmniej nie przez cały Boży dzień. Nie wiedział, jakie myśli nawiedzały nieco zwichrowany umysł jego pierwszej żony, w każdym razie nie miało to nic wspólnego z jakąkolwiek przyszłością. Zmartwienia, codzienne sprawy, kompleksy, emocjonalne bagno, które pochłonełoby szanse biednych i bogatych, mądrych i głupich, uprzywilejowanych albo nieuprzywilejowanych w odbudowującej się Holandii.

Wstał i wraz z księżycem powędrował przez przedziały pierwszej i drugiej klasy, aż zobaczył Isabelle czytającą jakieś pisemko. Z palcem wskazującym na ustach przysiadł się do niej i całował jej cudownie miękkie wargi, aż pociąg zatrzymał się w Drienerlo, gdzie musieli wysiąść.

– Panie przodem – zdobył się na udawaną uprzejmość i pozwolił, aby wyprzedziła go o jakieś sto metrów, po czym śledził ją, kiedy szła po zatopionym w ciemnościach kampusie, nie odrywając wzroku od jej zielonej skórzanej kurtki i włosów świecących w blasku księżyca na niebiesko. Nie obejrzała się, gdy skręciła w prawo przy Calslaan, a on poszedł prosto w kierunku domu. Nigdy by nie uwierzył, że osiągnęli już punkt kulminacyjny.

Wyprzedza Aarona. Po łupkowych kaflach stukoczą obcasy butów włożonych na ślub, które Aaron wciąż ma na sobie. Od dwóch dni słyszy, że Aaron musi

kupić nową judogę, ale Sigerius ciągle odsuwa swą hojność w czasie. Trochę sobie poczekasz. Dopóki nie ma rozstrzygnięcia, bycie serdecznym przychodzi mu z trudem. Z trudem powstrzymuje się od zadania Aaronowi pytania, kim tak naprawdę jest, kiedy patrzy na jego łysą głowę i niebieskie, wodniste oczy. Załóżmy, że to prawda – jaka jest w tym twoja rola? Ze zdziwieniem – a może jest to logiczna reakcja – dostrzega, że jego nienawiść jest podzielona: martwi się o Joni, a Aaron wywołuje w nim agresję. Owszem, nienawiść jest przedwczesna. Zmusza się do unikania ocen. Ale co, jeśli, jeśli, jeśli? Potrzebuje dowodu. Pewności. A potem czasu do namysłu. Obiecuje sobie, że będzie spokojny, podejdzie do sprawy analitycznie. Bez emocji pierwotnych.

– To miłe z twojej strony, Siem – mówi Aaron – ale kupienie judogi to naprawdę żaden problem.

– Nie przytruwaj już.

Odkąd tych dwoje tu zamieszkało, snuje się samotnie po własnym domu, niespodziewani mieszkańcy go zaskoczyli, tak jak płacz Joni z powodu rannego mężczyzny, telefon od Wilberta, powietrze przesycone wonią spalenizny wydostającą się z rozoranego miasta – wszystko to trafia do domu na wsi. Dotyk przeznaczenia zamienił posiadłość w drugoplanowego bohatera kryminału Agathy Christie. Że też akurat teraz wszyscy muszą sobie siedzieć na głowie. Przez ustępliwość musi wciąż mieć na oku telefon, boi się, że znów zadzwoni Wilbert, teraz też czuje niepokój, że aparat znajduje się poza jego zasięgiem, w salonie. W milczeniu i bez oglądania się za siebie wchodzi do kwadratowej małżeńskiej sypialni. Tineke zaścieliła łóżko i odsłoniła zasłony w kolorze terakoty. Musztardowa wykładzina powoduje, że buty Aarona zamieniają się w cichobiegi.

– Chodź – mówi Tineke i otwiera drzwi do garderoby.

Wczorajszej nocy o wpół do trzeciej stanął rozbudzony koło łóżka i wyciągnął portfel z kieszeni spodni, jednym uchem nasłuchując Tineke, a drugim niespokojnych odgłosów miasta. W półmroku wdrapał się bezszelestnie po schodach prowadzących na wyższe piętro. Wszystkie okna domostwa były otwarte, we wszystkich pokojach unosiło się ciężkie letnie powietrze. Na palcach przeszedł obok pokoju gościnnego, w którym spało tych dwoje, na końcu półpiętra otworzył drzwi do gabinetu, zamknął okna nad biurkiem, przesunął kupkę z rozporządzeniami ministerstwa w róg chłodnego blatu i uruchomił laptopa w blasku włączonej lampki. Po raz pierwszy od miesiący wszedł na tę stronę internetową. To wymagało odwagi. Gipsowa ścianka o grubości siedmiu centymetrów, a za nią tych dwoje śpiących w łóżku dla gości. Modem wydawał dźwięki podobne do grającego

carillonu. Dobrze wiedział, że nie posunie się ani o krok, że niewiele może zrobić. Przedrzeć się przez ścianę i wyciągnąć ich z łóżka? Zbić ich do nieprzytomności? Położyć się między nimi z płaczem? Strona startowa ponownie go zszokowała – sensacja stojąca w jawnej sprzeczności z pełnym samozadowoleniem pożądanym, które odczuwał przez dwa albo trzy miesiące, kiedy z niej korzystał, ukontentowany satyr bez skrupułów. Widok stylizowanych zdjęć dziewczyny wywołał w nim paniczny smutek (było dla niego jasne, że podobieństwo nie objawia się w kolorze oczu czy włosów, a w formach, w rysach twarzy, mimowolnym trójkącie tworzącym się między kącikami ust a zaokrągleniem brody, w świetle padającym na stosunkowo szeroką szczękę czy cienkie łuki brwiowe). Wyłowił kartę kredytową z pokazanego pliku różnych kart płatniczych i zaczął wypełniać formularz zapłaty, precyzyjna robota, losowo wybrany ciąg cyfr i liter, którego trzy razy nie udało mu się prawidłowo wpisać, ponieważ albo coś pomijał, albo modem tracił połączenie. Siedzisko skórzanego fotela obrotowego przyklejało się do jego gołych ud.

Łącząc się po raz czwarty z internetem, przez odgłosy wydobywające się z modemu usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Ktoś był na półpiętrze. Joni albo Aaron. Serce mu stanęło, post mortem wyłączył lampkę, próbował zamknąć stronę, spoconą dłonią klikając myszką, niezdarnie i na próżno, strona się zawiesiła, dlatego jednym ruchem zamknął klapę laptopa.

Wyteżył słuch w ciemnościach. Dopiero po chwili, kiedy oczami wyobraźni widział otwierające się drzwi do gabinetu, usłyszał w oddali skrzypienie na ostatnich schodkach prowadzących do holu. Nie rozumiał tego, mieli przecież własną toaletę w łazience na półpiętrze. W lewej ręce trzymał dziurkacz biurowy, który delikatnie wciskał, aż wypadł mu z ręki i upadł głucho na dywan. Schylił się i zauważył, że przezroczyście dno nie odpadło. Czekał i czekał, aż zaczął się zastanawiać, czy nie przegapił powrotu. Odczekał jeszcze chwilę i skradając się jak złodziej, dotarł do sypialni, gdzie zastał puste łóżko. Zaniepokojony położył się na swojej części i udawał, że śpi, kiedy wróciła Tineke i poszła do ciemnej łazienki, żeby umyć zęby.

– Gdzie byłeś? – zapytała, wchodząc do pokoju.

Milczał.

Kiedy ciężko oddychając, załadowała swoje ciało do łóżka, powiedziała:

– Wiem, że nie śpisz.

– W toalecie – odpowiedział.

– Nieprawda – rzekła.

– A właśnie, że prawda, na górze. Na dole było zajęte. A ty? Jadłaś coś?

Po przygodzie w Almelo wrócił do zatopionego we śnie domu. Zdjął ubrania w letniej kuchni i włożył je do kosza z brudną bielizną. Z przykrością zmył z siebie pod prysznicem delikatny zapach perfum Isabelle i położył się koło Tineke. Wtedy też nie mógł zasnąć. Wydarzenia tego wieczoru były zbyt emocjonujące, by spać. Jego ciało wypełniało szczęście o wiele intensywniejsze niż wszystkie inne, legalne i z całą pewnością istotniejsze wydarzenia, aż po raz pierwszy w życiu zaczął zastanawiać się nad ich znaczeniem. Po kiego diabła narzucił sobie umysłowy rygor? Całe to samotnicze poświęcenie? Wyobraził sobie Isabelle śpiącą gdzieś na terenie kampusu i najchętniej walnąłby się w ten głupi łeb za obowiązkową sublimację. W przypiływie poczucia winy położył dłoń na śpiącej obok niego górze mięsa. Przy delikatnym ciałku w ciemnym zaułku plecy i biodra Tineke przypominały jeszcze ciepłe truchło nosorożca. Godzinami przewracał się z boku na bok, wyobrażając sobie, że zgrabne rozgrzane ciało Isabelle leży koło niego, i za każdym razem, kiedy się odwracał, czuł wzbierającą falę pożądania.

Tej nocy też wstał z łóżka i po schodach udał się do swojego gabinetu, tym razem ubrany w szlafrok i grube skarpety narciarskie. Siedząc przy lodowatym biurku, zrobił coś niezgodnego z własną naturą: w środku nocy wysłał Isabelle esemesa. Napisał, że było bosko i że pragnie więcej. Dochodziło wpół do czwartej, a on pisał wiadomość do studentki pierwszego roku. Czy on się dobrze czuje?

Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu natychmiast dostał odpowiedź: „jedzenie rzeczywiście było boskie”. Że co? „Dowcipnisia – odpisał z szerokim uśmiechem – obudziłem Cię moim esemesem?”. Po dwudziestu minutach, które odczuwał, jakby spędził tydzień na biegunie północnym, odpisała, że bawi się w salonie fryzjerskim. Bawi się w salonie fryzjerskim? Potrzebował kilku sekund, żeby rozszyfrować kryptogram: Kapsalon²⁸ to dyskoteka na tyłach Starego Rynku. Ogarniająca go fala zazdrości nie miała nic wspólnego z dyskoteką ani Isabelle tańczącą na mokrym od potu parkiecie, była wywołana świadomością, że jego orientalna kochanka poszła na miasto po ich intymnej kolacji. Wyobraził sobie, jak poprawia makijaż, wkłada imprezową sukienkę i jedzie rowerem do Enschede. Jezus.

Przywołał się do porządku i napisał, że na pewno dobrze tańczy. Na próżno czekał pół godziny na odpowiedź, było mu tak zimno, że zszedł na dół i w salonie wypił szklaneczkę whisky. Będąc już z powrotem w łóżku, wyłączył dźwięk i położył telefon na podłodze, po czym co dwie minuty sprawdzał, czy odpisała. Usnął po półtorej godziny czekania.

Następnego popołudnia otrzymał formalny list pożegnalny, który odebrał na komputerze w rektoracie. Długo nad tym myślała, ale „nie może sobie z tym poradzić”. Dotąd udawało jej się nie myśleć o jego żonie, ale fakt pozostaje faktem: jest „oszustem”, „zdrajcą”, zdradza żonę, nie można mu ufać. Ponieważ ich relacje stały się bardziej „intymne”, problem ten stał się „nie do przeskoczenia”. Jest jej przykro. „Nie pisz do mnie więcej”.

W następnych dniach omijał komputery szerokim łukiem, jakby po czterdziestu latach rzucił palenie. Każde włókno jego ciała, każda komórka nerwowa pragnęły kontaktu. Wieczorem słyszał w domu dźwięk przychodzących esemesów, których nie otrzymał. Trzy doby po nieszczęsnym e-mailu od Isabelle, tuż przed czwartą po południu, z szybko bijącym sercem wysłał do niej jedno zdanie: „Uznaj tę wiadomość za niewysłaną”. Po wysłaniu znienawidził samego siebie, choć jednocześnie miał nadzieję, że to ją rozbawi i spowoduje zmianę zdania. Ostatnie godziny pracy spędził, gapiąc się na przychodzące wiadomości jak rybak wpatrzony w spławik, co chwila odświeżając stronę, aż wokół niego zapadły ciemności. Nisko usytuowane skrzydło rektoratu zwieńczone jego gabinetem wystawało z wieży tuż obok głównego wejścia do kampusu. Wyjrzał przez duże okno na opustoszały parking. Jak zapalę światło – pomyślał – zobaczą głupka na wystawie.

W następnych dniach nic. Nocami nie mógł zmrużyć oka, między trzecią a czwartą rano najczęściej szedł ze szklaneczką whisky i chusteczkami higienicznymi do gabinetu, gdzie masturbował się w skórzanym fotelu, patrząc na zdjęcie w roczniku. Dwa razy napisał na laptopie długi, patetyczny list, którego nie wysłał, ale nie dlatego, że był na to zbyt mądry, lecz ze strachu. Był pod wrażeniem zasadniczego tonu Isabelle. Kiedy po weekendzie wyszedł o jedenastej z odwołanego zebrania, stanął za biurkiem i wbrew sobie sprawdził prywatnego maila. Na monitorze zapłonęło nazwisko Isabelle Orthel jak krzew gorejący. Dotknął lewego ucha i otworzył wiadomość.

„Ty też masz *cold turkey*²⁹?”

Ciekawe, jak jej się wiedzie. Czy nadal mieszka w kampusie? Możliwe, że podczas katastrofy przebywała w Roombeek. Wchodzi z Aaronem w głąb garderoby, nielogicznie zaprojektowanej przestrzeni w kształcie litery L. Za rogiem, u podstawy litery L, jego żona przymocowała do ściany zrobione na wymiar szerokie deski na buty, przy tylnej ścianie stoi szafa z drzewa orzechowego ze stalowymi półkami, lewa połowa szafy przeznaczona jest do wieszania rzeczy, znajdują się tu jego togi i frak. Pachnie suszoną lawendą, Tineke włożyła paczuszki między jego ubrania. Schyla się, jego stawy

chrupią, i niczym wózek widłowy podnosi z najniższej półki dwie judogi.

– W tej – mówi do Aarona, wskazując brodą na judogę leżącą na wierzchu – prawdopodobnie bluza będzie na ciebie za mała. Poniżej to moja dawna judoga turniejowa. Weź bluzę.

Aaron przejmuje stosik i pyta:

– Przymierzyć tutaj?

– Wysypiasz się choć trochę? – Zauważa, że dla Aarona to drażliwe pytanie. – Wyglądasz na wymęczzonego.

– Nie. Wieczorem jest gorąco.

Sigerius odwraca się i wyciągniętą ręką zdejmuje z górnej półki czarny pas, elastyczny, zniszczony kawałek materiału z białymi wytarciami w miejscach, gdzie przez te wszystkie lata tkwił węzeł. Aaron ściąga buty. Sigerius czeka, aż chłopak opuści nowe dżinsy i chwając się na jednej nodze, zdejmie nogawkę.

– Masz – mówi dokładnie w tym momencie – mój szczęśliwy pas. – I zbyt mocno rzuca nim w jego plecy, bardziej przypomina to uderzenie, beznadziejny gest. Ale Aaron niczego nie zauważył albo tylko udaje.

– Dziękuję – mówi Aaron i schyla się, żeby go podnieść. – To pas turniejowy?

– Też. To mój dawny pas.

Przygląda się Aaronowi, jak naciąga śnieżnobiałe spodnie do judo na długie opalone nogi i na kościstych biodrach zawiązuje tasiemkę na kokardę. Jego tułów jest wydłużony i układa się w znak zapytania. Nie, Aaron nie robi takich rzeczy. Nie powinien odreagowywać swojej paranoi na chłopaku. Czy to nie stara śpiewka? – zastanawia się nagle. On i seks? Czy jego podejrzenie nie jest niczym innym jak poczuciem winy, które zawsze towarzyszy seksowi? Czy te idiotyczne, paranoiczne myśli pojawiają się dlatego, że jego wewnętrzny sędzia obyczajowy uważa, iż powinien odpokutować za surfowanie po internecie? Isabelle odpowiedziałab y twierdząco.

Po odświeżeniu znajomości, w trakcie jednej ze zżerających baterię w telefonie rozmów, powiedziała mu, że powinien podziękować jej matce.

– Za co mam podziękować twojej matce?

– Cóż – odpowiedziała wesoło – matka widziała, jak przez ostatnie cztery dni usychałam z tęsknoty, i powiedziała: „Możesz przecież utrzymywać z nim kontakt mailowy”.

– Twoja matka?! – krzyknął zaskoczony. – Twoja matka o nas wie?

– Tak, oczywiście – rzekła. – A co myślałeś?

– Nie mówisz poważnie, przecież o takich rzeczach nie mówi się matce! To, co jest między nami, Isabelle, musimy utrzymywać w ścisłej tajemnicy.

Zaśmiała się.

– Przyzwyczajaj się do tego, misiu, w naszej rodzinie mówimy sobie o wszystkim.

Wcale nie mógł się do tego przyzwyczaić, gorzej, nawet teraz, półtora roku później, nadal kurczy się w sobie na myśl, że Marij Star Busman wie o jego eskapadach ze swoją adoptowaną córką. Kiedy kilka tygodni po informacji od Isabelle napisał do jej matki badawczego maila: „Marij, masz fajną, spontaniczną córkę”, jej odpowiedź nie była naszpikowana morałami, tylko śmiertelnie poważna: „Wierzę w Twoje dobre intencje, Siem, ale wcale mi się nie podoba, że moja córka przez Ciebie cierpi”.

Cierpi? Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Jej córka nie robiła wrażenia przygnębionej, co najwyżej zirytowanej. Od czasu, który on i Isabelle nazwali „zimnym indykiem”, ich rozmowy telefoniczne i e-maile coraz częściej dotyczyły jego tchórzliwej zdolności – w opinii Isabelle – do popełnienia zdrady. Najczęściej wtedy, kiedy rozmowa – po randce w Almelo tylko za pośrednictwem poczty elektronicznej lub telefonu – schodziła na temat seksu, wysyłała mu esemesa z pytaniem: „Nie jest Ci z tym ciężko?”. Albo: „Co pomyślałyby o tym Twoje córki?”. Albo: „Czy nie uważasz, że jesteś złym człowiekiem?”. Chociaż powinien był jej uświadomić, że jako jego kochanka powinna być ostatnią osobą, która go ocenia, pokrętnie próbował jej wyjaśnić, iż jest w błędzie. Kiedy ją pytał, czy uważa Clintona za złego człowieka, odpowiadała, że nie powinien zasłaniać się innymi. Kiedy próbował jej wyjaśnić, jak to jest budzić się od dwudziestu lat wciąż obok tej samej kobiety („to tyle, ile masz lat, Isabelle”), powiedziała: „Człowieku, nawet nie dociągnąłeś do połowy, więc o czym Ty mówisz?!”. Była Monicą Lewinsky w pakiecie z bezpłatnym Kennethem Starrem.

Ale teraz Monica i Kenneth byli w rozpacz. Zamiast zastanowić się nad tym, co z nim jest nie tak, w środku dnia wyszedł z rektoratu z mokrymi od zmartwienia oczami i zadzwonił do niej. Dlaczego nie powiedziała mu, że cierpi? Dlaczego, skarbie? Odpowiedziała, że nie jest jego skarbem i że najprawdopodobniej on nie ma zielonego pojęcia, przez co ona przechodzi. Jest zawsze sama, sama śpi, sama odwiedza rodziców, sama chodzi na imprezy – a w międzyczasie cały Boży dzień myśli o Siemie Sigeriusie.

– A co ja mam powiedzieć? – odparł. – Ja też ciągle o tobie myślę, Iso. Ty jesteś wolna, ja nie odszedłem. Chodzisz do Kapsalonu, trzy razy w tygodniu do czwartej rano stoisz za barem w knajpie. To ty chodzisz z jednej randki

w ciemno na drugą.

(Tak było, informowała go na bieżąco o nadętych typkach ze stowarzyszenia, którzy co i rusz towarzyszyli jej na galach i domówkach w całej Holandii).

– Siem – westchnęła – to gnojki z trądzikiem na gębach.

– Ale śpisz z nimi. Te gnojki uprawiają z tobą seks. Oni tak.

Piiip, piiip.

Westchnął głęboko, przeciął mokry asfalt głównej drogi i zadzwonił ponownie.

– Ale przecież to prawda.

– Nie wolno mi? Ty co noc śpisz ze swoją żoną.

– I właśnie dlatego się cieszę, że mamy siebie! Proszę cię, Iso, udaj, że jesteś dorosła. Kiedy się umówimy? De Appel czeka.

– Ale z ciebie tchórz.

– Tchórz? Pragnę cię. Możemy robić, na co tylko mamy ochotę! – Stał z wyciągniętą ręką na chodniku prowadzącym do Vrijhof, niczym telefonujący aktor z dramatu Szekspira. Było zimno, otarł łzy, próbując dostrzec gołe gałęzie dębów i wiązów. – O ile zachowasz to dla siebie.

Ta uwaga miała ją uspokoić, ale spowodowała wybuch. Isabelle wybuchła niczym S.E. Fireworks rok później. Wrzasnęła, że właśnie z tego powodu za każdym razem jest wściekła. Czy on naprawdę tego nie rozumie? Ona nie chce być kimś *na boku*. Czuję obrzydzenie na myśl, że on chce utrzymywać wszystko w tajemnicy, brzydzi ją jego prośba, żeby o niczym nie mówiła rodzicom.

– Ty tchórzku – krzyknęła – nigdy, ale to *nigdy* nie każ mi okłamywać ludzi, którzy uratowali mi życie!

– Kochana Iso, posłuchaj mnie...

– Nie mam zamiaru cię słuchać, kartkuję właśnie naszą biblię domową i dobrze wiem, że jesteś manipulantem, ta książka nigdy nie kłamie. Nie wolno słuchać takich zdrajców jak ty!

Biblię? Ku jego zaskoczeniu okazało się, że współlokatorka Isabelle, dziewczyna w trakcie ich rozmowy siedząca w rogu jej łóżka i pijąca herbatę rumiankową, wcisnęła jej do ręki książkę zatytułowaną *Never Satisfied: How & Why Men Cheat*. Biblia domowa żeńskiego akademika, w której Isabelle przez cały wieczór podkreślała zdania długopisem, ponieważ „brzmiały zadziwiająco znajomo”.

– Ale Iso – odezwał się głupkowato – przynajmniej powiedz mi, co mam zrobić.

Zamilkła jak pianino, które spada z wysokości dziesiątego piętra, ale zamiast roztrzaskać się na kawałki, odpowiedziała przymilnie:

– Masz miesiąc, żeby odejść od żony.

Skończ z tym. Człowiek o takiej pozycji, na którego barkach ciążyło wiele rektorskich obowiązków z należnym im ceremoniałem, głowa rodziny, która, gdyby ją o to zapytać, jednym głosem odpowiadałaby, że dosyć już wycierpiała – po mężczyźnie jego pokroju można się spodziewać, że z tym skończy. Ale nie. Potrafił jedynie myśleć o dłoni Isabelle, szczupłej, azjatyckiej rączce, której wystraszył się w Almelo; całymi dniami i nocami czuł jej dotyk, delikatnie pieściła jego układ nerwowy, wariował od tego, wariował z pożądania. Były momenty, że chciał umrzeć za tę dłoń. W zwariowanym marcu 1999 roku próbował wyobrazić sobie jeszcze bardziej zwariowaną przyszłość, ale ponieważ sam zwariował, nawet tego nie zauważył.

Często, wyłącznie nocami, kiedy obserwował ze swojej połowy małżeńskiego łóża, jak Tineke pozbywa się szat i sapiąc, mości się obok niego, widział wszystko jasno i wyraźnie: opuści ją, tę kobietę, która tak dobrze go rozumiała i poświęcała się dla niego przez te wszystkie lata; on musi ją zostawić, chociaż bardzo ją kocha na swój bierny, bezkrytyczny sposób. Od czasu postawionego przez Isabelle ultimatum miał trudności z zaśnięciem, wiercił się i kręcił, zatracając się w praktycznych, racjonalnych rozmyślaniach: myślał o mieszkaniach w centrum Enschede, które mógłby wynająć jeszcze przed rozwodem, wyobrażał sobie, jak będzie wyglądało jego nowe życie z Isabelle, rozmyślał o tym, że rano usiądzie w kuchni w akademiku w garniturze tak samo wygniecionym jak on sam i będzie popijał kawę z dużego kubka bez ucha. Wyobrażał sobie, jak co niedziela jadą w gęstej mgle do Delft, żeby odwiedzić przyszłą, o piętnaście lat od niego młodszą teściową, jak na rozpoczęciu roku akademickiego ramię w ramię przekraczają próg kościoła De Grote Kerk, Isabelle w ręcznie robionym kapeluszu przeznaczonym dla kobiet w okresie klimakterium, a on świadomy, że jest mężczyzną w średnim wieku i towarzyszy mu Tajka. Czy tak można? Męczące scenariusze, które bez początku i końca wirowały w powolnych, szerokich odmętach coraz frywolniejszych fantazji: wycieczek do Barcelony i Paryża, romantycznych wieczornych spacerów po parkach w całej Europie, hoteli albo hotelików, które dla niej wynajmie. I dopiero kiedy te wszystkie myśli przemknęły mu przez głowę, kiedy wyczerpały się racjonalne marzenia, oddawał się jej dłoni. Spocony, skręcony jak wielka krewetka leżał na swojej

połowie materaca firmy Auping, tuż przy samym brzegu, robiąc pancierz dla erekcji. Prawie się nie dotykał, ponieważ bał się, że mechaniczne potrząsanie obudzi Tineke. Medytował nad pozycjami, które będzie na nim ćwiczyła Isabelle, co wywoływało w nim panikę. Jak to będzie? W wielu rzeczach Sigerius był dobry, wręcz wybitny, prawdziwy mistrz, co udowodnił w wystarczającym stopniu, ale w alkwie był kompletnym nieudacznikiem.

Nie był kochankiem z prawdziwego zdarzenia. Tak naprawdę zasługiwał na to miano jedynie w połowie lat siedemdziesiątych, po tym, jak jego serce zdobyła Tineke, byli w sobie po uszy zakochani i przez około półtora roku uprawiali seks tak, jak należy go uprawiać. Znajdował się wtedy w kompletnie nowej sytuacji, jakby trafił na ziemię niczyją i nie zdając sobie wówczas z tego sprawy, zamieniał jedną świętość – zostać najlepszym judoką na świecie – na drugą, nieznaną, absurdalną, przypominającą jednoosobowy bajkowy świat zadań i papieru w kratkę. U szczytu kariery seksualnej czuł się zdezorientowany, wybitny z rytmu, przegrany, a wręcz bez formy, a jednocześnie był pobudzony, spięty i napalony. Właściwie był to jedyny okres w jego życiu, kiedy miał ochotę na seks.

Wcześniej, gdy równoległe z pracą trenował trzy, czasem cztery godziny dziennie (judo, biegi, zapasy, jujitsu, ciągnięcie i podnoszenie ciężarów), jako mężczyzna o mięśniach goryla i poziomie białka osoby prowadzącej strajk głodowy, który chodził z kieszeniami budrysówki wypełnionymi rodzynkami, bananami, ciemną czekoladą, żeby nie opaść z sił, a potem przed ważeniem całymi dniami pościł, biegał po stadionie w płaszczu przeciwdeszczowym, budził się w pensjonacie obok hali turniejowej z oczami wbitymi w oczodoły i językiem suchym jak wiór – w tamtych czasach jego libido było jak żałosny frędzel, jak piórko smyrające jego genitalia co najwyżej dwa razy w miesiącu podczas nocnych wybryków, kiedy wybudzał Margriet z pijackiego snu i dosiadał jej jak waran.

Tak właśnie jest, może być dumny z półtorarocznego pożycia seksualnego, które trwało krócej niż służba wojskowa, potem zaś jego fizyczne zainteresowanie Tineke słabło w zastraszającym tempie. Pochłonęła go matematyka, zjadła z kopytami i się skończyło. Z perspektywy czasu – pod żadnym pozorem myśl ta nie mogła ujrzeć światła dziennego – uważał, że aktywność seksualna była skutkiem ograniczenia treningów, sposobem rozładowania energii fizycznej kumulującej się dzięki ćwiczeniom na ławeczce w kuchni połączonej z salonem, rezultatem zamiany wysiłku fizycznego na gimnastykę i zapasy umysłowe. Dawniej leżał na Kiknadzem, Rusce i Snijdersie, a gdy pożegnał się z karierą judoki, rozładowywał się na

Tineke.

To przykre, jak szybko wrócił do swoich dawnych fanatycznych i samotniczych przyzwyczajzeń. Zanim się spostrzegli, byli w Ameryce, gdzie wszystko szło jak z płatka, w Kalifornii wszystko rosło i kwitło: gujawy, mandarynki, cytryny, jego nowe córki, ich wzajemna miłość – wszystko poza średnią, to słowo nadal wzbudza w nim nerwowość, ilekroć napotyka je w „Vivie” czy innym czasopiśmie mówiącym o tym, jak żyć. W Berkeley i Bostonie żył liczbami. Mężczyźni jemu podobni nazywali się teraz Quillen, Wiles i Erdős i byli szkieletowatymi poetami liczb z przezroczyściego papieru ryżowego, tkwili w samotności na kalenicy sklepienia własnej czaszki. Kiedy Paul Erdős odwiedzał Berkeley, czasem nocował w ich domu z desek przy Bonita Avenue, wtedy razem z maestro brali się za leżące odłogiem tematy, po uzyskaniu pewnego twierdzenia pisali od razu artykuły, pracowali nieprzerwanie przez osiemnaście albo dwadzieścia godzin na dobę i gdy po jednym z takich maratonów, siedząc przy stole w wysokiej trawie za domem, wciąż rozmawiali o pracy, Tineke zażartowała, zwracając się do Erdősa, choć tak naprawdę do Sigeriusa:

– Paul, czy nie uważasz, że matematycy to coś w rodzaju maszyn zamieniających kawę w twierdzenia? Wciąż tylko słyszę o waszych twierdzeniach, na sam dźwięk tego słowa robi mi się niedobrze.

Erdős przyznał jej rację, wybuchając głośnym śmiechem, i klasnął w drżące dłonie.

W tamtym czasie zdarzało się, że kiedy leżeli w łóżku zrobionym przez nią z miłości do niego, Tineke wsuwała dłoń za gumkę jego spodni od piżamy – dla niego był to sygnał do rozmowy o algebrze, o szklanym murze między nim a dowodem, którego szukał, o sposobie, w jaki rozbije go na kawałki, gdy znów zasiądzie przy swoim biurku w Evansie. Ależ oczywiście, że czuł się winny i niepełnowartościowy. Wydawało mu się jednak, że Tineke akceptuje jego uniki, wszak na bieżąco śledziła jego dokonania, możliwe, że wierzyła, iż geniusz wymaga poświęceń, może wystarczało jej, że codziennie między siódmą a dziewiątą wieczorem robił wszystko, aby być dobrym ojcem dla Joni i Janis. Kiedy zamieszkali w Bostonie, a on intensywnie pracował nad swoją przełomową teorią i regularnie spał na dmuchanym materacu w gabinecie na MIT, rozmawiali o seksie jak o trawie, która błaga o skoszenie. A od jakichś dziesięciu lat o niczym już nie rozmawiali. Erotyczny scenariusz został odłożony w czasie, a w efekcie odszedł w zapomnienie. Szanowali swoją prywatność. Witali i żegnali się pocałunkiem w policzek.

Zresztą przestał wracać do domu bez zapowiedzi, zbyt cicho czy w ramach niespodzianki, odkąd niechcący odkrył, że Tineke jest w posiadaniu urządzenia z topornego po wschodnioeuropejsku plastiku w kolorze staroświeckiego telefonu z tarczą obrotową, które po podłączeniu do kontaktu i naciśnięciu gumowego przycisku poruszało się z dużą szybkością i ze sporą siłą w górę i w dół. Głośny aparacik, potrafiący z łatwością rozbić orzech włoski, używany przez jego żonę do samozaspokajania się po ciężkim dniu w stolarni, o czym przekonał się, gdy jego odgłosy zwabiły go któregoś popołudnia do sypialni.

O ile go pamięć nie myli, po tym, jak Isabelle postawiła mu ultimatum, spędził miesiąc w gabinecie, półnago i pod osłoną nocy. To wtedy odkrył strony internetowe. Jego gabinet ma kształt sześcianu, ale lekkie prześwity pod dachem i stosy pożółkłych gazet i zakurzonych książek w rogach i na ścianach powodują, że bardziej przypomina lepkie ptasie gniazdo. To jedyne pomieszczenie w domu na wsi, które uniknęło konfrontacji z meblarską ręką Tineke. To jego domena. Tatusiowy pokój do masturbacji.

Isabelle odkręciła krany i zardzewiała woda, stojąca od kilku dziesięcioleci w rurach, wytrysnęła na zewnątrz z mocą wodospadu. Tradycyjnie, gdy tylko Tineke zasnęła, pisali do siebie esemesy – Isabelle nie kładła się przed trzecią (czy ona w ogóle spała?) – i po otrzymaniu odpowiedzi krewetka ześlizgiwała się z łóżka, płynęła po schodach na górę do gabinetu i włączała laptopa. W uniesieniu opisywał jej w esemesach swoją wizję wspólnej przyszłości. Z jej maili wnioskował, że się cieszy, kreśliła w nich swoje plany: chciała odbyć z nim długą podróż, zamieszkać w prawdziwym domu, pytała, czy poddał się sterylizacji – wiele słów, które dopóki nie wyszły z jej ust, wydawały mu się nieco przesadzone.

Ponieważ rozmawiali bardziej konkretnie, czasem udawało mu się wyciągnąć ją esemesami z klubu studenckiego do pokoju w akademiku, gdzie się rozbierała i tak jak on zasiadała nago przed komputerem.

„Napisz mi dokładnie, co ze mną zrobisz, gdy niedługo będziemy razem podróżować”.

Następnego popołudnia przekonał się, jak dosłownie Isabelle potraktowała „niedługo”: „Skarbie – napisała do niego w esemesie – jak zareagowała T?”.

Jak zareagowała T? Przecież Isabelle dała mu miesiąc!

„Czekam na odpowiedni moment” – odpisał.

Dni i wieczory mijały i znów coś się zmieniło w nastawieniu Isabelle. Wcześniej zauważył, że podziw i brak zahamowań ustąpiły miejsca

pouczeniu i moralizatorstwu – teraz stała się surowa. Jej maile były coraz krótsze, a przerwy w korespondencji coraz dłuższe.

„Kiedy masz zamiar jej o tym powiedzieć?” – napisała w odpowiedzi na pytanie, czy jest podniecona. Czasem pobudzała go seksualnie, by zamilknąć na kwadrans, godzinę, resztę nocy. Ponieważ na ogół nic z tego nie wychodziło, ponieważ nigdy w pełni z nim nie współpracowała i dlatego że nigdy nie odpuszczał, uzależniony od cyfrowej ikonki koperty, z rozpaczy przekopywał internet. Wariując z braku zaspokojenia, szukał zdjęć, na których mógł zobaczyć to, czego nie chciała pokazać mu Isabelle. Był zszokowany, że poprzez wpisanie paru słów do wyszukiwarki może wyczarować na monitorze tyle różnych dziewczyn, w tym Azjatek. To działało – i to jak. Kiedy Isabelle bez słowa kładła się spać, jego laptop prawie rozpuszczał się od otwartych seksstron, ściągniętych zdjęć pańnek w każdej możliwej pozycji, wyskakujących okienek i dziwnych programów do łączenia się z internetem, prawdopodobnie zawirusowanych. Czasem potrzebował aż kwadrans, żeby wyczyścić twardy dysk, po czym mył surową kiełbasę cielecą w łazience na półpiętrze. Po rozładowaniu napięcia odczuwał posępny spokój, który pozwalał mu przespać ostatnie godziny nocy.

– Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę wewnątrz swojego domu – mówi Aaron.

Wkłada bluzę – dłonie i przedramiona wyskakują z rękawów niczym szczotki – i chwyta poły.

– Nie bądź taki ponury.

Słyszą ciche kroki, ktoś wchodzi do holu w klapkach.

– Chłopaki? – To Joni. – Tato, Aaron, przyjdziecie na obiad? Właśnie nakrywamy do stołu.

Aaron się schyla i podnosi z podłogi pas, który leży między jego bosymi stopami.

– Gdzie jesteście? – Jej kroki rezonują w delikatnie wentylowanej łazience, wchodzi do garderoby. – Przeszkadzam? – Jej twarz nie wyraża ironii, tylko rozdrażnienie.

– Nigdy nie przeszkadzasz, kochanie – bąka Sigerius z przesadną słodyczą.

– Już idziemy – odpowiada Aaron.

Nadašana oddała się bez słowa. Poprzednim razem Joni przeszkodziła mu, gdy siedział w swoim gabinecie w rektoracie jak półtrup po bezsennej nocy, pod koniec miesiąca, który dała mu Isabelle na podjęcie decyzji. Jego sekretarka zrobiła coś, co zdarzało się bardzo rzadko: zapowiedziała Joni.

Dlaczego przyszła? Pamięta, że wyglądała pogodnie: wiosna nie mogła się jeszcze zdecydować, czy to jej czas, ale Joni miała na sobie letnią sukienkę. Jej pojawienie się dobrze mu zrobiło, pocałowali się dwa razy w policzki i usiedli na rogu stołu. Powiedziała, że wygląda na zmęczonego, a on odpowiedział, że ma męczącą pracę, na co stwierdziła, że jak ktoś jest zakochany, to może przenosić góry.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Tato, nie chcę się wtrącać, ale przyszłam cię ostrzec.

– O, a przed czym to?

Schyliła się do torby, z którą przyszła, i wyjęła z niej złożoną stronę gazety. Rozłożyła ją, rozprostowała i przesunęła w jego kierunku. Nazbyt dobrze znał zdjęcie widniejące pośrodku szpalty: on stojący nago przy brzegu. Nigdy się od niego nie uwolni.

– Wiesz, że to zdjęcie zrobił Aaron? – zapytał po to tylko, żeby zadać jakieś pytanie.

– Zdjęłam je z drzwi toalety w naszym akademiku. Dobrze mu się przyjrzyj.

Nie musiał. Chcąc otrząsnąć się po szoku, przesadnie skoncentrował się na innych odręcznych komentarzach, które prawdopodobnie całymi latami dopisywały jej współlokatorki na jego gołym ciele. Z szeroko otwartych ust wydobywał się ogromny dymek, w którym ktoś napisał mazakiem: „Moje panie, czy Joni dobrze się sprawuje?”. Niżej, pod gołymi stopami na trawie, napisano wielkimi literami: „EREKTOR”.

– Dobrze – wymamrotał. – Nie rozumiem tylko tego – rzekł i puknął w czerwone kółko okalające jego skurczonego siusiaka. Obok ktoś dopisał: „To należy do Isabelle Orthel”.

– Tato, cały kampus o tym wie. Jeśli coś takiego piszą o moim ojcu w moim akademiku, w moim kiblu, możesz być pewien, że wszyscy wiedzą, że robisz to ze studentką pierwszego roku.

– A nawet jeśli, to co z tego? – Przemknęło mu przez głowę, że jest cztery lata starsza od Isabelle.

– Niczego ci nie żałuję, tatku, ale...

– Ale co? Po co przyszłaś, Joni? Żeby prawić mi kazania?

– Nie. Przyszłam dla mamy...

– Jej tu nie ma.

– Tato, nie chcę, żeby mama z informacji w kiblu dowiedziała się o tym, co wyprawiasz.

Aaron wiąże pas w zgrabny, płaski węzeł i przygląda się wewnętrznej stronie bluzy do judo.

– Słyszałem, że na Vluchtestraat gdzieś zawaliły się ściany wewnętrzne – mówi. – Chcą sprawdzić wszystkie domy, czy nie ma zagrożenia zawaleniem. To będzie trwało jeszcze ze dwa tygodnie. Tak mówią w punkcie informacyjnym.

Sigerius przełyka ślinę i próbuje znaleźć jakąś miłą odpowiedź. Nie zdążył rzucić żadnego obowiązkowego komentarza, z którego by wynikało, że Aaron jest tutaj mile widziany tak długo jak to konieczne, bo słyszą melodyjkę dzwoniącego telefonu komórkowego.

– To mój – powiedział Sigerius. Wyjął nokię z kieszeni spodni w kolorze khaki i zerknął na wyświetlacz. Zmarszczył brwi. – Sigerius – przedstawił się i rozejrzał po garderobie. – Witaj, Thom. Nie, nie przeszkadzasz. (...) Coś strasznego, ciężko uwierzyć własnym oczom. Ale Enschede jest odporne. (...) Oczywiście, z nami tak, Thom, z nami wszystko w porządku. A u ciebie? Tak. (...) Słucham uważnie.

Nie tak jak Aaron, przynajmniej na początku. Lustrował wąskie pomieszczenie. Po obydwu stronach stał wysoki rząd aluminiowych regałów z ubraniami, na lewo powieszono kolorystycznie garnitury i marynarki, na prawo dwa razy większy zbiór sukienek i płacht należących do Tineke. Przyzwyczał się, że nie dało się prowadzić ciągłej konwersacji z Sigeriusem dłużej niż dziesięć minut. Musiał natomiast przywyknąć do Sigeriusa codziennego, jak to określił, ponieważ nigdy wcześniej nie spędzali ze sobą tak dużo czasu jak teraz. Zauważył, że Sigerius lubił samotność, zaskakująco często wycofywał się do salonu, gdy wszyscy siedzieli na tarasie. W trakcie posiłków zachowywał się wręcz niegrzecznie. Możliwe, że katastrofa generowała dodatkowy stres w Tubantii, może wyczuwał napięcie między nim a Joni, chociaż Aaronowi ciężko było sobie wyobrazić, że coś tak banalnego mogłoby wyprowadzić go z równowagi. Dla zabicia czasu powąchał rękawy judogi: biała bawełna pachniała staroświecką świeżością, jakby wywodziła się wprost z prehistorycznych lat sześćdziesiątych. Ruska, a może nawet Geesink chwytały go za nią, ciągnęły za kołnierz w trakcie walki.

– ...myślę, że to bardzo interesujące – usłyszał Sigeriusa. Stał do niego bokiem, wolną ręką delikatnie poprawił ułożenie butów do biegania. – Jesteście bardzo szybcy. (...) Tak. (...) Tak, rozumiem. Oczywiście, że się zastanowię. – Sigerius gwałtownie się do niego odwrócił, jego ciemne, twarde spojrzenie przeszło oczy Aarona na wylot. Uśmiechnął się głupio, ale Sigerius go nie widział. Aaron słaniał się na nogach. Byli w domu na wsi już od tygodnia i przez cały ten czas nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Wąskie łóżko dla gości, które skazywało jego i Joni na swoje towarzystwo, skrzypiało, jakby powoli się kurczyło, co noc leżał więc bez ruchu do piątej rano jak neurotyk, żeby tylko nie trzeszczało i nie zgrzytało, a ono i tak skrzypiało nawet wtedy, gdy przełykał ślinę, więc kiedy wstawał świt, sam

czuł się jak jęczący kawałek drewna.

Z początku podobała mu się perspektywa spędzenia kilku tygodni u teściów, był ciekaw, jak wygląda zwykły dzień w domu przy Langekampweg, ale odkąd się tu zatrzymali, zrozumiał, że cała ta sytuacja była niezręczna. Bardziej męczące od bezsenności były dla niego przeboje z Joni: akurat teraz, kiedy mieszkali u jej rodziców, byli gotowi skakać sobie do gardeł, nigdy wcześniej z taką łatwością nie sprzeciali się o byle co. Miał wrażenie, że wciąż jest na niego wściekła z powodu wesela. Z kolei ona doprowadzała go do szału spekulacjami na temat Boudewijna Stola i jego fantastycznych propozycji stażu.

Kilka dni temu doszedł jeszcze ten cały Ennio. Podobnie jak setki innych mieszkańców Enschede biedak leżał połamany w szpitalu z otarciami i siniakami na całym ciele, nie wyglądało to zbyt dobrze. Aaron rozumiał, że nagle katastrofa stała się Joni „bliska”, ale to, co mu przeszkadzało... ach, właściwie to wszystko mu przeszkadzało, chociaż może w najmniejszym stopniu jej płacz i pochlipywanie. Tak naprawdę najbardziej drażniło go to, że był wykluczony: kiedy wchodził do salonu albo wychodził na taras, żeby zapalić, siedziała najczęściej z matką i pochlipywała z oczami zaczerwienionymi od płaczu, najwyraźniej zatopiona w rozmowie, którą przerwał. Gdy pytał, jak się czuje, odpowiadała, że „znośnie”. Wyglądało na to, że nie był osobą, której chciała się wypłakać z powodu innych mężczyzn. Nie bez satysfakcji dowiedział się wczoraj od Sigeriusa, że Ennio zamieszkał na Kievitstraat, ponieważ żona wystawiła go za drzwi. Podobno za zabawianie się z jakąś pracującą studentką.

– Do kiedy muszę dać ci odpowiedź? – zapytał Sigerius. – Dobrze. (...) Ścisłe tajne. Rozumiem. Zadzwoń do ciebie w ciągu dwóch tygodni. Ustalone. Do usłyszenia. Cześć, cześć, Thom. – Sigerius przytrzymał aparat na wysokości oczu, patrzył przez chwilę na wyświetlacz i powoli opuścił telefon. Spojrzał na Aarona i powiedział: – Popatrz, popatrz.

– Leży jak ulał – odrzekł.

– Dwa tygodnie – powiedział Sigerius.

– Co dwa tygodnie?

– Jeśli w międzyczasie nie wyleci. – Sigerius patrzył na niego w zamyśleniu. – Słuchaj, Aaronie, czy umiesz dotrzymać tajemnicy? Na pewno. I tak słyszałeś połowę rozmowy.

Nie czekając na odpowiedź, Sigerius powiedział mu w zaufaniu (w jego niskim, spokojnym głosie pobrzmiwało napięcie), że dzwonił Thom de Graaf z informacją, iż zgodnie z przewidywaniami w ciągu miesiąca obecny

minister edukacji, Kruidenier, zostanie zdymisjonowany albo sam odejdzie, co samo w sobie nie było żadnym niusem, bo w Hadze od tygodni nie mówiono o niczym innym.

– Żebym pozostawał do ich dyspozycji. – Zwykle jego teść mówił powoli, prawie po każdym słowie stawiał kropkę, teraz zdania płynęły strumieniem, a skrzydełka jego małego nosa napinały się od triumfu. – Sprawa może się rypnąć już w przyszłym tygodniu, ale równie dobrze dopiero za pół roku.

Sigerius wlepił w niego pełne oczekiwania spojrzenie. Aaron szukał jakiejś pasującej odpowiedzi, ale miał w głowie pustkę. Wiadomość kompletnie go zaskoczyła, zapewne o wiele bardziej niż Sigeriusa, oddziałując na niego fizycznie, jakby dostał kopniaka w zadek. Sigerius ministrem, gdzieś w przemęczonym ciele Aarona załączył się zraszcz rozpryskujący adrenalinę. Musi wspomnieć o Kruidenierze i jego waśni z izbą, sporo o tym wiedział: minister wprowadził izbę w błąd w kwestii podejrzanego oszustwa w wyższym szkolnictwie zawodowym. Ale zaschło mu w gardle i nie mógł się odezwać. Gapił się na półki pełne butów tuż obok twarzy Sigeriusa, ciemnej plamy, na której zapewne malowało się teraz zdziwienie, a możliwe, że niezrozumienie. Skoncentrował się na parze zdezelowanych matowoczarnych szpilek.

– Oczywiście jeśli się zgodzę – usłyszał głos Sigeriusa. – W każdym razie partia ma Kruideniera po dziurki w nosie. Możliwe, że sam pryśnie. Partia na to liczy.

Aaronowi zrobiło się gorąco, czuł, że ma napięte szczęki. Szpilki ucierpiały pod ciężarem Tineke i były sponiewierane. Sigerius pociągnął nosem. Usłyszeli dochodzący z holu głośny, wybawiający Aarona z niezręcznej sytuacji krzyk Tineke.

– Chłopak, bo zaczniemy bez was!

– Idziemy! – krzyknął Sigerius. Położył dłoń na bawełnianym ramieniu Aarona i wyminął go. Stojąc w drzwiach, powiedział: – Powiem, że się przebierasz. Ale na razie buzia na kłódkę.

Szczęśliwy, że jest wreszcie sam, Aaron pozwolił, by bluza zsunęła się z jego spoconego ciała. Zdjął białe bawełniane spodnie i włożył nowe, sztywne džinsy. Przeszedł do sypialni. Między dwoma miedzianozłotymi stolikami nocnymi, na których leżały równo ułożone stosiki książek, stało wyjątkowo wysokie dwuosobowe łóżko ze staroświecką pościelą. Nigdzie nie walały się ubrania. Wcisnął ramiona w koszulkę poło pożyczoną od Sigeriusa i stanął przed lustrem wiszącym na drzwiach szafy. Przyjrzał się rozpalonej głowie. Na czubku wciąż widoczny był strup po uderzeniu w drzwi od

toalety.

Gdy przechodził przez salon, gdzie ciężkie zasłony z niebieskiego weluru skutecznie chroniły przed zachodzącym słońcem, a „Financieel Dagblad” należący do Joni leżał złożony we czworo na kanapie, usłyszał dźwięki noży i widelców. Na ich tle szumiał basowy głos Sigeriusa.

– ...znam go całkiem dobrze, dałem mu kiedyś jakieś zlecenie dla Rady Społeczno-Ekonomicznej, bodajże... sześć lat temu. Był wtedy partnerem w McKinseyu. Pojawił się u nas z prezentacją i muszę powiedzieć, że...

Aaron zatrzymał się na środku pokoju, by nikt nie zobaczył go z oszklonej werandy, i chwycił się oparcia dużego fotela obrotowego. Czy oni rozmawiali o Boudewijnie Stolu?

Było cicho, Sigerius nie dokończył zdania, może usłyszeli jego kroki. Westchnął, ruszył przed siebie, omijając dwie ogromne paprocie strzegące aneksu kuchennego Tineke, i wszedł na werandę.

– Smacznego – powiedział.

Tineke uśmiechnęła się do niego, Sigerius nałożył sobie sałatę, Janis i Joni jadły, nie podnosząc wzroku. Usiadł obok Joni, naprzeciwko jej ojca. Przełknęła kęs i odezwała się:

– Zgadnij, do trzech razy sztuka.

– Poddaję się – odpowiedział sztywno.

Przesuwne drzwi były otwarte, kulki kotków z topoli zatrzymały się z wahaniem na progu, na mocnym majowym wietrze szumiały stare kasztany.

– Kiedy brałeś prysznic, zadzwonił Boudewijn i zapytał, czy nie chciałabym odbyć stażu u niego w Amsterdamie. – Chociaż powiedziała to z opanowaniem, jej głos zdradzał podniecenie.

Poczuł, że znów robi mu się gorąco, ale tym razem powodem była bezradna wściekłość.

– W Amsterdamie? – powtórzył ochryple. – Myślałem, że zależało ci na stażu zagranicznym. Dlaczego miałabyś wylądować w jego biurze w Amsterdamie? Uważam, że to... wielka szkoda.

Uśmiechnęła się do rodziców siedzących po drugiej stronie stołu przykrytego białym obrusem.

– Aaron i Boudewijn Stol nie przypadli sobie do gustu – powiedziała.

– Przypadli, przypadli.

– Naprawdę? – odezwał się Sigerius z pełnymi ustami, ignorując jego sprzeciw. – Właśnie opowiadałem, że znam trochę Boudewijna... – Upił łyk wina, przełknął i kontynuował: – To sympatyczny facet i jest wyjątkowo

dobry w tym, czym się teraz zajmuje. Wydaje mi się, że będzie to dla ciebie pouczające doświadczenie, Joon.

– Mnie też – powiedział Aaron słabym głosem. – Oczywiście. Ale chodzi mi o to, że Joni nie powinna dla czegoś takiego rezygnować z przygody zagranicznej. – To był prztyczek dla Sigeriusa, przyjaciela, którego nie chciało się stracić, czasem jego wewnętrzny głos zadawał sobie pytanie, czy tego rodzaju przyjaciele byli prawdziwymi przyjaciółmi.

Sigerius skinął głową w zamyśleniu, ale wystraszył się metalicznego dźwięku, z jakim Joni odłożyła widelec. Odwróciła się do Aarona, odchyliła się do tyłu i spojrzała na niego kpiąco.

– No nie – odezwała się – dobry jesteś. Kiedy powiedziałam ci, że chcę wyjechać na kilka miesięcy do Ameryki, prawie wybuchnąłeś płaczem. Jeszcze chwila, a uwiesiłbyś się na mojej nodze. A teraz wyskakujesz z czymś takim.

Zapadła bolesna cisza. Zauważył, że Janis, która nigdy nie darzyła go zaufaniem, patrzy na niego badawczo. Żeby się czymś zająć, podniósł porcelanową misę z krokietami ziemniaczanymi i drżącą dłonią nałożył sobie kilka na talerz.

– Mam jeszcze niezłą historię na temat Stola. – Sigerius przerwał impas. Wyglądał na rozweselonego wiadomością z Hagi, chociaż na razie zachował ją dla siebie. – Po zebraniu Rady Społeczno-Ekonomicznej podrzucił mnie na dworzec Utrecht Centralny i była to zadziwiająca przejażdżka. Jeszcze do tej pory skacze mi ciśnienie, jak ją sobie przypomnę.

– Jakim autem jeździł? – zapytała Joni.

– Sportowym. Chyba bmw.

– No ale co się stało? – dopytywała Janis.

Sigerius położył owłosione, szerokie przedramiona na obrusie i zaczął opowiadać jowialnie, że tuż za Hagą jechali ze Stolem A12, kiedy jakiś golf z na oko normalną parą w środku niebezpiecznie ich wyprzedził. Sigerius, który siedział na fotelu pasażera, śmiertelnie się wystraszył, nie mówiąc o Stolu, który nie tylko wcisnął do oporu hamulec, ale użył też klaksonu, co niezbyt spodobało się kierowcy golfa, bo zwolnił, aż znalazł się na wysokości bmw. Zobaczyli, jak prawa szyba się opuszcza, tleniona blondynka wychyla się mniej więcej do połowy i rzuca na przednią szybę bmw papierową torebkę z frytkami.

– Niewiarygodne – powiedział Sigerius. – Przez piętnaście minut ścieraliśmy na pasie awaryjnym majonez, curry i cebulkę. Co się dzieje z tymi ludźmi w Randstad?

Janis się zaśmiała.

– Wydaje mi się, że Bo byłby gotów puścić się w dziki pościg – odezwała się Joni.

– Bo? – zdziwiła się Tineke.

– Boudewijn – wyjaśniła. – Pozwolił mi mówić na siebie Bo.

Aaron czuł, że zaraz zwariuje. Drugi raz w tym tygodniu wpadł w kłopoty przez cholernego Stola i nie tylko miał już tego serdecznie dość, czuł też, co się święci: Joni aż piszczała, żeby opowiedzieć rodzicom, jak się zachowywał na przyjęciu weselnym Vaessena. Tylko na to czekała. Uważała, że się zhańbił, że był grubiański, pokazał się z najgorszej strony, i chociaż on miał na ten temat inne zdanie, nie będzie łatwo wygrać z nią przy stole. Kiedy usłyszał, jak Sigerius mówi, że jego zdaniem należy porządnie się wziąć za „tę hołotę”, przypomniał sobie inną mocną historię, podobną sytuację, w której znalazł się kiedyś jego brat, i nim się zorientował, zabrał głos. Koniec z Bo. Basta. Ani słowa na jego temat.

– Znam podobną historię – zaczął i poczekał, aż cała czwórka na niego spojrzy. – Kiedy studiowałem na niderlandystyce, przez jakiś czas jeździłem w Venlo taksówką...

– Przecież nigdy nie byłeś taksówkarzem – zdziwiła się Joni.

– Krótko – skłamał bardziej pewnym siebie głosem niż przed chwilą. – Przez rok.

W rzeczywistości to Sebastiaan, jego o dwa lata starszy brat, przez całe lata jeździł w soboty lokalnym busikiem w Venlo. Ale Aaron powiedział, że w pewne sobotnie popołudnie to on sam wyjechał z miasta dwupasmówką do Tegelen, wioski leżącej nad Mozą niedaleko Venlo, i prawie najechał na niego inny kierowca tuż przy zjeździe do szpitala. Czerwony ford escort z czarnymi spojlerami z piskiem opon zmienił pas tuż przed światłami, wcisnął się przed jego busa i wjechał na podjazd gospody Sint-Maarten.

– O mały włos nie skasował mi przodu – powiedział. – Dlatego zatrąbiłem i uniosłem pięść.

Właśnie w tym miejscu jego opowieść zazębiała się z anegdotą Sigeriusa. Zauważył, że słuchają go przynajmniej on i Joni. Tineke poprosiła Janis, żeby podała jej miskę z kalafiozem.

– Więc czekam na czerwonym świetle – kontynuował – i widzę, że escort zamiast zjechać na parking szpitalny, robi łuk, rozjeżdżając trawnik, i staje. Drzwi się otwierają, wysiada około trzydziestoletni facet. Wyrzuca peta i zbliża się do mojego auta. Od razu widzę, że to dres. Musiał przejść około dwudziestu metrów i przez cały czas miał odchyloną do tyłu głowę, przez co

jego broda była wysunięta do przodu. Spoglądał na mnie znad kości policzkowych, z lekko wysuniętym językiem. Patrzyłem na jego szeroki język, biały kawałek mięsa. Tłuste czarne włosy, zamszowa kurtka, błyszczące czerwone spodnie dresowe marki Kappa, spodnie AC Milanu z czasów Gullita i Van Bastena.

– I Rijkaarda – dodała Janis.

– I Rijkaarda – powtórzył. Anegdota wryła mu się w pamięć, słyszał ją ze trzy razy z ust Sebastiaana („no weź, opowiedz jeszcze raz”) i sam też często ją potem opowiadał, dlatego znał ją doskonale. – Ten gość – kontynuował, nagle bardziej pewny siebie – miał na sobie chodaki z czarnej skóry i białe skarpety. Tak ubrani chodzą po Venlo kempingowcy, od razu domyśliłem się, że będą z nim kłopoty. Jeśli to prawdziwa hołota, widać to od razu.

Powiedział, że okno po stronie pasażera było otwarte, ponieważ panowała przyjemna wczesnojesienna temperatura. Uznał, że najrozsądniej będzie je zamknąć, bo zanosilo się na burzę.

– Więc wciskam przycisk, ale coś wolno idzie. Kiedy okno prawie się zamknęło, gościu chwytą szybę za górną krawędź i opluwa ją zieloną flegmą. Uwiesza się na szybie całym ciężarem ciała. Patrzymy na siebie, wciąż trzymam wciśnięty przycisk zamykania. „I co? I co teraz?”, wrzeszczy. Przez chwilę ma unieruchomione palce, ale jednym ruchem opuszcza szybę. – Aaron pokazał rękoma, jak to zrobił, twarz wykrzywił mu złośliwy grymas. – Silniczek wziął i padł. Facet wciska tułów do środka i łapie mnie za służbowy krawat.

– Co za świr – powiedziała Tineke. Wciąż ładowała jedzenie na talerz i patrzyła bez zainteresowania. Ważne, że Sigerius był przejęty.

– Świr? – uśmiechnął się. – Przecież jeszcze nic się nie stało?

– Tato, nie udawaj chojraka – odezwała się Janis. – Też narobiłbyś w spodnie.

– Owszem, w jego spodnie – odpowiedział.

Aaron spojrzał na Sigeriusa, od tygodnia nie widział go takim: przepelniała go radość, na krótko uwolnił się od drażliwej powagi. Odezwała się w Sigeriusie natura wojownika, bez gadania, krótka piłka, całkowicie nietypowa reakcja dla człowieka w jego wieku i o jego pozycji. Janis pokręciła pogardliwie krótko obcięta czupryną.

– Ale co robi ten gościu? Wykręca mi krawat i wyrzuca wolną rękę za siebie – kontynuuje opowieść Aaron. – Pomyślałem, że da mi w mordę. Wyobraziłem sobie, jak kuśtykam do szpitala. Ale tak się nie stało. Krzyczy coś wulgarnego i odpycha się pięścią od mojej krtani. Wycofuje się przez

okno, wraca do samochodu i wjeżdża na szpitalny parking. – Zdziwił go swobodny potok słów, czuł się o niebo lepiej niż jeszcze dziesięć minut temu.

– Co krzyknął? – Sigerius trzymał w powietrzu porcelanową sosjerkę, pięć centymetrów nad adamaszkiem, galeon widmo. Patrzył Aaronowi prosto w oczy, robił kółka językiem po wewnętrznej stronie policzka pokrytego siwym zarostem.

– Daj już spokój – rzekła Joni. – Chyba nie chcę wiedzieć.

Aaron spojrział na nią przelotnie, jej twarz pokrywała cienka warstwa dezaprobaty. Może pozostali myśleli, że to ojciec ją zirytował, ale było inaczej. Naczelną jędza rodziny wstydziła się za niego, za swojego chłopaka, martwiła się o show, które miał zamiar zrobić. Teoretycznie tydzień spędzony z rodzicami był idealną okazją, żeby pokazać, jaką są fajną, zgodną parą. Zwykle była w tym dobra, potrafiła grać przed tatą i mamą, udawać, że nie mają nic do ukrycia. Na ogół już samo ukrywanie dawało jej dużo frajdy, odgrywanie teatryku, opowiadanie zgrabnych kłamstewek. Ale nie teraz. Okopała się na kolanach u mamusi, patrzyła na niego oczami rodziców, dostrzegła, że jest zazdrosnym ciamajdą, który nocami snuje się po jej rodzinnym domu.

– Mimo to powiedz nam – rzekł Sigerius.

Podświadomie Aaron wiedział, że znalazł się po dobrej stronie zmęczenia: połknięte w nocy temazepamy przestały działać, czuł, że ma jasny umysł.

– Najpierw splunął na mnie kolejną porcją zielonej flegmy, teraz w ucho. Wrzasnął: „TY ŁYSA CIPO!”. Głośno. Aż obejrzeli się rowerzyści stojący na światłach, ale zaraz odwrócili wzrok.

– Właśnie o to mi chodzi – odezwała się Joni.

Sigerius pokręcił głową, sapiąc z niezadowolenia.

– Kiedy tak siedziałem i słyszałem trąbiące za mną samochody, wkurzyłem się. Wściekłem się. Nie przez to, jak mnie nazwał, ani o zieloną nitkę flegmy na głowie, nie. To znaczy, też, ale głównie przez szybę. Ten prostak uszkodził mi okno. – Brak snu spowodował, że Aaron stał się Sebastiaanem. – Wyobraziłem sobie, że jestem na dywaniku u De Zwarta, szefa. Niezbyt wyrozumiałego gościa. Żegnajcie dodatkowe godziny, to taki typ człowieka. „Bever, zapłacisz za to z własnej kieszeni”. De Zwart nie pyta, jak się czujesz. De Zwart wstrzymuje ci wypłatę. Cholera jasna, pomyślałem. Zaparkowałem busa obok escorta i skierowałem się do szpitala.

Na twarzy Sigeriusa pojawił się chytry uśmieszek, sosjerka wreszcie wylądowała bezpiecznie na stole, wolną ręką dotknął swojego zdeformowanego, walecznego ucha.

– Poszedłeś za nim – odezwał się. – Nieźle.

Zachodzące słońce rozgrzało szklaną skrzynkę, w której siedzieli, ich twarze rozświetliły się, promienie zabarwiły sztucce i misy na pomarańczowo. Aaron wyjaśnił im i przy okazji sobie, że w szpitalu była niska, długa lada recepcji, a po lewej stronie zatłoczony bar samoobsługowy.

– Nigdzie go nie widziałem. Nie było go w recepcji, może poszedł szerokim korytarzem. W momencie, kiedy chciałem zapytać w recepcji, dokąd wysłały mężczyznę w czerwonych spodniach dresowych, zobaczyłem skurczybyka.

– Tak zapytałeś: w czerwonych spodniach dresowych? – dopytał Sigerius.

– Oczywiście, że nie – rzuciła Joni.

Nie patrząc jej w oczy, Aaron gestem lewej ręki nakazał jej milczenie.

– Stoi tam w chodaczkach, zwrócony swoimi naszpikowanymi anabolikami plecami do mnie, ściśnięty między innymi wygłodniałymi obywatelami, i przesuwa tacę z jedzeniem. Podchodzę do niego. Na jego tacy stoją dwie zaparowane półlitrowe butelki heinekena. Ze zbyt małego talerzyka zsuwają się trzy paszteciki. Czuję odór potu i moczu. Pukam go w ramię, odwraca łeb w moją stronę, jest nieco niższy, patrzy na mnie z dołu, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Mówię do niego: „Chwilę temu zniszczył mi pan okno w samochodzie. Co z tym zrobimy?”. Teraz nawet zaskórniki na jego czole patrzą na mnie zaskoczone. „Ja? Co masz na myśli?”, odpowiada. „Przed chwilą, na zewnątrz. To pan jeździ czerwonym fordem escortem”, mówię. „Mylisz się. Nie znam cię, właśnie wracam od chorej mamusi”, odpowiada.

– Powiedział „od chorej mamusi”? – Sigerius otworzył szeroko usta, zacisnął powieki w brązowe szparki i zaśmiał się bezgłośnie.

– Nie bałeś się? – zapytała Janis. – Przecież mogłeś pojechać do biura i zadzwonić do ubezpieczyciela.

Mniej więcej to samo powiedział wtedy bratu. Był zafascynowany, a jednocześnie zmartwiony. Czuł zastępczy strach.

– Mógł też rozbeczeć się w busie – powiedział Sigerius. – Mógł też wzywać „pomooocy”. Ale jeśli jest taka potrzeba, niektórzy ludzie po prostu wkraczają do akcji.

Jego ciemna, pokryta zarostem twarz, która nie pasowała do rektora, ponieważ była pozbawiona dostojności, nie pasowała do laureata Medalu Fieldsa, ponieważ nie emanowała nieziemskim geniuszem, i zupełnie wykluczone, żeby należała do ministra edukacji – zmieniła wyraz: stawała się zmysłową, chłopską gębą, jaką otrzymał w genach. Był mężczyzną zdolnym do podejmowania nagłych, impulsywnych działań. Kiedyś opowiedział

Aaronowi, nie ukrywając rozbawienia, o pewnym amerykańskim barze na pływalni, gdzie czekał, aż Janis i Joni skończą lekcję pływania. Chciał napić się kawy i trzy razy próbował kulturalnie zwrócić na siebie uwagę barmana beztrąsko paplającego z dwiema matkami na drugim końcu baru. Sigerius był ojcem, który w takich okolicznościach nie podejmuje czwartej próby: wsadził rękę za bar, chwycił żółtą ścierkę do naczyń, zamoczył ją w mydlinach i rzucił w tego pajaca, celując w ucho, po czym rzekł: „Poproszę kawę”.

– Trochę się bałem – odpowiedział Aaron na pytanie Janis. – Mimo to powiedziałem temu kempingowcowi, bo to musiał być gość mieszkający na kempingu: „Ależ tak, przed chwilą stał pan przy mojej taksówce. Zniszczył mi pan okno”. Facet rozgląda się wokół siebie i mówi: „Przyszedłem coś zjeść, więc nie pierdol. Idę wrzucić coś na ruszt”, po czym przesunął tacę nieco do przodu. Używał wulgarnej gwary z Venlo. Języka kempingowców.

– To prawda – powiedziała sucho Joni. – Języka stworzonego przez kempingowców dla kempingowców.

Aaron dotarł do heroicznego fragmentu opowieści. Nie dość, że ukradł bratu odwagę, to jeszcze ją nieco podkolorował.

– Nachylam się nad spoconym karkiem – powiedział – i mówię mu do ucha: „Musisz zabulić”. Nadszedł czas, żeby przejść na ty. Gość odwrócił się gwałtownie. „Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz, bydlaku?”, wrzeszczy. Głośno. W jednej chwili sala ucichła. „Jestem Manus Pitte”, znów wrzeszczy na całe gardło. Tak, to mi coś mówiło. Pitte to szemrana rodzina w Venlo, która w pełni zasłużyła na złą opinię. Rozpuszczony klan, połowa zapuszkowana, zabijaki, narkotyki, prostytutka.

– Wiemy dokładnie, co masz na myśli – powiedział Sigerius.

– Mów za siebie – rzekła Joni.

– Joni wie doskonale, co masz na myśli.

Zaskrzypiało krzesło Tineke, Aaron spojrzał na nią. Odchyliła się do tyłu i wlepiała w niego zimne, zdystansowane spojrzenie.

– Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Pitte popchnął tacę, jedna z półlitrowych butelek piwa spadła na ziemię, buch, rozbiła się na kawałki.

– Odkąd to sprzedają piwo w szpitalu? – zapytała Joni.

– Wyślij skargę do działu obsługi klienta. Pitte odchyła się o sześćdziesiąt stopni, nie do przodu, tylko bokiem, w pasie, mimo pochłanianych tłustych kiełbasek i szaszłyków ten facet to chodząca masa ścięgien i mięśni. Stojąc w tej pozycji, jak gimnastyk, może trwało to sekundę, ale nigdy tego nie zapomnę, łapie mnie jedną ręką za nogawkę tuż nad kolanem, a drugą za rękaw firmowej marynarki. Warczą, taszczy mnie do wyjścia. „Na zewnątrz –

wrzeszczy – na zewnątrz”. „Bydziemy się łąć”, powtarza raz za razem, przerywając ciszę panującą przy wejściu. „Na zewnątrz. Łać”.

– Na zewnątrz. Bić. – Joni, tłumaczka, lat dwadzieścia pięć, niezamężna.

– Przed chwilą powiedziałeś, że natychmiast rozpoznajesz hołotę – stwierdził Sigerius. – Podobnie jak ja, gdziekolwiek jestem, w Rotterdamie czy Szanghaju. Dawniej tak samo. Afrykanie, Rosjanie, Azjaci, nieważne kto, od razu to w nich rozpoznawałem. Po czym? Kiedy taki gość stanie przede mną nagi, jakim go Pan Bóg stworzył, jestem w stanie to dostrzec. A ty?

– Zdaje się, że jeszcze nigdy nie widziałem gołego męta.

Sigerius się uśmiechnął.

– A ja tak – rzekł. – Codziennie przez prawie rok.

– Siem – napomniała go Tineke. Rzadko mówiła do niego po imieniu.

Sigerius kiwnął kilka razy dłonią w powietrzu, jakby klepał czyjeś plecy.

– Nie wtrącaj się – powiedział.

Joni wstała i odeszła od stołu.

– Chyba pójdę siusiu. Nie mam na to siły.

Później, po fakcie, kiedy poznał katastrofalne zakończenie, to właśnie w tym momencie zlokalizował punkt zwrotny. Przypomniał sobie, że Sigerius nie dał niczego po sobie poznać, centralnie zignorował starszą córkę. Wziął do ręki serwetkę, zsunął z niej rudawy pierścień i walnął nim o stół. Miał zaciśnięte usta, w czarnych oczach krył się fanatyzm.

– Wyobraź sobie tego Pittego nago – powiedział. – Widzisz to?

Aaron odpowiedział, że chyba tak, że to coś wrodzonego, i dodał:

– Tak, to czai się w sposobie, w jaki patrzą. W jednocześnie głupim i agresywnym spojrzeniu. Nie... w inteligentnym i głupim spojrzeniu. To możliwe?

– To, jakie masz spojrzenie, jest też kwestią wychowania – odrzekł Sigerius. – Prawda, Aaronie? Tyle wiemy sto lat po Lombrosie. Tak naprawdę chodzi o to, jak przedstawiają się proporcje. *Nature* i *nurture*. Urodzonego przestępcę można odpowiednio nakierować.

Wróciła Joni, zaskakująco szybko, więc raczej nie była w toalecie, prawdopodobnie podsłuchiwała, chowając się za jedną z paproci.

– W każdym razie tobie się nie udało – powiedziała, prześlizgując się za plecami Aarona, i usiadła.

Przepraszam, że co? Czy dobrze usłyszał? Dla niego było to frontalne znieważenie, chociaż nie wiedział, który przód został trafiony i dlaczego. Było w tym tyle pretensji. Dlaczego teraz? Czy coś przeoczył? Bardziej niż drwina Joni zdziwiła go reakcja Sigeriusa, a raczej jej brak. Przez jego

skupioną twarz przemknął ledwo dostrzegalny cień, drobna zmarszczka. Odłożył srebrne sztuce z czarnymi rękojęściami i otarł usta owłosionym wierzchem dłoni.

– Aaronie, opowiedz Joni ze szczegółami, co się stało. Niczego nie pomijaj. Chcę, żebyś nam opowiedział, w jaki sposób spuściłeś manto tej mendzie chodzącej.

Ależ oczywiście, że Aaron Bever nie spuścił manta Manusowi Pittemu, bo przecież nigdy go nie widział na oczy – prawie by o tym zapomniał. A gdyby Manus Pitte zaparkował swojego escorta na poboczu, żeby obić Aaronowi Beverowi mordę, Aaron Bever nie wahałby się ani sekundy, by ruszyć z kopyta – zwiewałby z piskiem opon, zanim ten jarmarcznik, ten szrociarz i bandzior zdążyłby się zbliżyć do jego busa. Bić się na zewnątrz – byłby kompletnie bez szans, podobnie jak jego brat. Gdyby Pitte wytaszczył Bastiaana przez drzwi obrotowe, w trymiga wybiłby mu wszystkie zęby i wycisnąłby go jak tubkę pasty. W obozowisku Pitte wypchałby go końskim włosiem i starymi gazetami, po czym zrobiłby dla niego miejsce na tyłach swojej przyczepy kempingowej między zestawem do karaoke i wypchanym owczarkiem dziadka.

– Na szczęście do tego nie doszło – powiedział. – Zaciągnął mnie do drzwi obrotowych, właśnie chciałem złapać się framugi, kiedy nagle mnie puścił. Obydwaj upadliśmy do tyłu. Tak, właśnie wtedy Pitte się czegoś wystraszył. Gdy to zobaczyłem, też się wystraszyłem, ale Pitte wystraszył się bardziej, na śmierć. Przez obrotowe drzwi wszedł mężczyzna, prawdopodobnie do szpitala, może na zastrzyk albo po pigułkę Driona³⁰. Wyglądał strasznie. Szarpaliśmy się przy drzwiach i jednocześnie spojrzeliśmy na niego. Zobaczyliśmy potwora. Mężczyznę-słonia. To nie były oparzenia, a coś innego, nieznany krajobraz, ciemna strona księżyca, a z tej góry mięsa patrzyło na nas pojedyncze oko, drugie było opuchnięte, orgia wiszącego mięsa, erupcja kurzajek i guzów...

Joni wypluła kawałek befsztyku na talerz. Wypluwka.

– Aaronie, proszę cię – powiedziała.

– To ja cię proszę – rzekł Sigerius. – Kontynuuj.

Aaron upił łyk wina.

– Cóż, nasz bohater wstaje i zaczyna iść tyłem w głąb budynku szpitala. Co dziwniejsze, po drodze podnosi tacę i zabiera niezapłacone paszteciki, wychodzi na korytarz, wciąż oglądając się za siebie.

– A ty?

– Ja za nim oczywiście.

Kiedy Aaron opowiedział, jak śledził Pittego, schodami w górę, schodami w dół, do windy i z windy, zeszała lawina ogólnej wesołości. Z komórką przyklejoną do ucha (to wymyślił na poczekaniu, ale nikt z siedzących przy stole nie zorientował się, że w tamtych czasach telefony komórkowe nie istniały; w prawdziwej wersji jego brat poprosił pracowników, żeby zadzwonili na policję) zrobił obławę na chłopaka. Nagonkę.

– Przed windą Pitte zostawił tacę.

Głowa Sigeriusa spurpurowiała i odchyliła się do tyłu, gdy Aaron powiedział, że wziął z talerza paszteciki.

– I wbiłeś zęby w pasztecika? – Ostatnie słowo przeobraziło się w gwałtowny wybuch śmiechu, który rozlał się w Sigeriusowym gardle niczym magma.

Ale kobiety przy stole się nie śmiały. Joni patrzyła oburzona to na Aarona, to na płaczącego z rozbawienia ojca, a Janis zanurzyła chłodnego krokiet ziemniaczanego w sosie.

– Jezu Chryste – bąknęła Tineke.

Wstała i wyszła do kuchni, niosąc pustą miskę Wedgwooda. Słyszeli, jak energicznie potrząsa koszykiem od frytkownicy. Sigerius odsunął krzesło od stołu, wciąż rycząc ze śmiechu, i założył ręce na brzuchu, który podskakiwał mu pod koszulką polo.

– Tato – odezwała się Joni. – Opanuj się.

Jej szyja pokryta była czerwonymi plamami, schodzącymi do ponętnego dekoltu w serek. Zdawało się, jakby Sigerius jej nie słyszał. Nadal zanosił się dzikim śmiechem. Aaron zorientował się, że blednie blask jego triumfu. Tutaj działo się coś, z czym nie miał nic wspólnego. Tineke weszła na werandę ze skwierczącą miską gorących krokietów ziemniaczanych i patrzyła na męża. Jej nalana twarz, okolona jasnymi loczkami, wydawała się pozbawiona wyrazu, tak jak twarze otyłych ludzi często tracą naturalną mimikę. Może dlatego zaskoczył ich łoskot, z jakim postawiła miskę na stole.

– Siem, w tej chwili przestań.

Cisza.

Sigerius spojrział na nią w milczeniu. Najwyraźniej posmutniał, jego twarz w jednej chwili zamieniła się w pusty magazyn.

– Powiedz im w końcu prawdę, do cholery, zamiast śmiać się jak głupi do sera.

– Jaką prawdę?

– Człowieku, nie udawaj Greka. Powiedz im, skoro wszystko wiesz

najlepiej.

– Przestańcie – uspokajała ich Janis.

Matka jej nie słyszała.

– Jeśli jesteś mężczyzną, Siemie Sigeriusie, powiedz im, co za drań dzwonił w sobotę.

– Tien, oszczędź mi tego. Oszczędź nam tego. Co sobota ma z tym wspólnego? Na miłość boską.

– Wiele. Wszystko. I dobrze o tym wiesz. Powiedz im. Albo ja to zrobię.

Sigerius zachował kamienną twarz. Chociaż... na rektorskiej czaszce, pod krótko ostrzyżoną, lekko siwiejącą czupryną, pulsowała żyłka – ukryta, nerwowa żyłka.

– Psujesz wieczór – powiedział – i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie ja powiem. – Spojrzała na drugi kraniec stołu, na Joni i Janis. – Dziewczynki – odezwała się – nie przestraszcie się. Dzwonił Wilbert. Dzwonił nasz męt domowy. W sobotę wieczór, chodziło mu o was. Wilbert Sigerius. Pytał, czy przeżyłyście katastrofę.

Było mu zimno. Tak bardzo skupił się na sobie – na wyssanej z palca przemowie, na reakcji Sigeriusa, na zemście na Joni i jej gachach – że nie rozumiał, co się dzieje. Nie umiał dodać dwa do dwóch. Najwyraźniej to nie on był w centrum własnego występu, wysiłał się na własnoręcznie wzniesionym podium, podczas gdy prawdziwe przedstawienie odbywało się na sali. Wielu rzeczy nie rozumiał, na przykład tego, że nikt nie cieszył się ze spektakularnej poprawy humoru Sigeriusa, powodu, dla którego Tineke wspomniała o telefonie, chociaż jej mąż był temu stanowczo przeciwny, nie rozumiał zatargu między Joni a Sigeriusem. Najgorsze, że zupełnie nie miał pojęcia, jak to się stało, iż nie chodziło o Manusa Pittego, tylko o Wilberta Sigeriusa.

W dodatku wydawało mu się, że ma jako takie rozeznanie w temacie młotkowego z IJmuiden i rodziny, na której ów kładł się postrzępionym cieniem. Od tamtego pamiętnego wieczoru w kantine centrum sportowego, kiedy Sigerius opowiedział mu życiorys czarnej owcy w rodzinie, Aaron zgłębił temat. Był zafascynowany. Zaczął od Joni i siłać się na ostrożność, zamęczał ją pytaniami, co wie na temat Wilberta poza tym, co mu zdradziła. Niewiele, jak się okazało. Mniej, niż powiedział mu jej ojciec. Tak, siedzi w pudle, to wiedziała, ale nie znała szczegółów. Podobnie jak reszta rodziny, niechętnie o tym mówiła, o czym szybko się przekonał. Woleliby odgryźć sobie język niż rozprawiać o tym pożałowania godnym kiciarzu i wydawało

mu się, że to rozumie. Dlatego wziął sprawy w swoje ręce. Któregoś ranka wybrał się rowerem do biblioteki publicznej przy Pijpenstraat, gdzie przewertował archiwum prasowe w poszukiwaniu relacji z sali rozpraw. Wyrok musiał zapaść w 1993 roku, tak wynikało z tego, co mówił Sigerius, w sądzie w Haarlemie. Nie miał innych danych. Ale miał czas. Ponieważ w Enschede nie przechowywano „Haarlems Dagblad”, przy owalnym stoliku w czytelni naprzeciwko automatu z kawą przejrzał wszystkie egzemplarze „Het Parool” z 1993 roku, ale bez rezultatu, dlatego kazał przynieść z magazynu gruby plik „De Telegraaf” i, cholera, zanim na dobre się zniechęcił, natrafił na suchą wzmiankę. W środku znalazł wyczerpujący artykuł z fragmentami wydrukowanymi pogrubioną czcionką, który spowodował, że do końca dnia nie potrafił myśleć o niczym innym.

Wilbert S. stanął przed sądem szesnastego listopada 1993 roku, oskarżony o to, że w ataku szału uderzył czterokilowym stalowym młotem kowalskim niejakiego Barry’ego Harselaara, pięćdziesięciodwuletniego menedżera procesu w Hoogovens, w wyniku czego mężczyzna ów stracił życie. Aaron dowiedział się, że dzięki wstawiennictwu Reclassering Noord-Holland „recydywista S.” został zatrudniony w kompleksie fabrycznym walcowni blach grubych numer dwa jako człowiek do wszystkiego na zmianie dziennej. Przez kilka tygodni wszystko było w porządku – do czasu, aż jego przełożony, czyli Harselaar, zorientował się, że Wilbert S., który w przeszłości siedział za napaść na tle seksualnym, napastuje czterdziestojednoletnią kobietę obsługującą bufet walcowni. Po tym, jak kobieta doniosła Harselaarowi o „macaniu biustu”, ten postanowił „w sympatyczny sposób” odegrać się na nowym. Dwóch świadków zeznało, że Harselaar, kiedy zawołał do siebie Wilberta S., opierał się na młocie kowalskim, stojąc przy około metrowej pustej żelaznej beczce.

– Słuchaj no, chłopie, moja paczka tytoniu spadła na samo dno. Na pewno jej dosięgniesz tymi swoimi długimi palcami – rzekł Harselaar do Wilberta.

Gdy Wilbert przechylił się przez beczkę, żelazna krawędź uwierała go w brzuch, a Harselaar walnął młotkiem w bok pojemnika. To go nauczy, świntucha. Nie wiedział, że Wilbert S. ukończył zorganizowany przez Reclassering Nederland trening zastępowania agresji ART, przeznaczony dla osób łatwo wpadających w gniew. „Jesteś cholerykiem – przeczytał Aaron na stronie internetowej ośrodka resocjalizacyjnego – ale nie wiesz, skąd się to bierze? Zdolność panowania nad agresją zaczyna się od odkrycia przyczyn jej powstawania. W końcu to dzięki opanowaniu można osiągnąć spokój”.

Z dzwoniącymi uszami S. wy dostał się z beczki i rzucił się z pięściami na

szefa. Naoczni świadkowie zeznali, że po krótkiej szarpaninie dorwał młot, szybkim ruchem uniósł go nad głowę, zamachnął się na Harselaara i młot wbił się z trzaskiem między jego lewe ramię a kark. Mężczyzna z jękiem opadł na ziemię. Interwencja była niemożliwa. Jeden z obserwujących zdarzenie walcowników, dwudziestodwuletni Ronald de H., podjął próbę, która skończyła się dla niego złamaniem miednicy. To, co działo się przez następnych trzydzieści sekund na ich oczach, musiało być traumatycznym przeżyciem. Wilbert S., wrzeszcząc nieprzerwanie „kutasiarzu”, uderzył Barry’ego Harselaara przynajmniej piętnaście razy, bił tak długo, aż mężczyzna zamienił się w rozoraną, krwawiącą miazgę. Sekcja zwłok Harselaara wykazała dwadzieścia sześć złamań kości. Tylko jego zgoda na wykorzystanie narządów do transplantacji pozostała w nienaruszonym stanie.

Po rozładowaniu gniewu Wilbert S. rzucił młotem o ścianę, uciekł z sześćsetmetrowej walcowni i przez wyjście awaryjne wyszedł na teren Hoogovens. Półtorej godziny później został aresztowany w hali magazynowej na tyłach fabryk koksu.

Ponieważ S. był recydywistą (wcześniej został dwukrotnie skazany za użycie przemocy), a jego niewspółmierne do sytuacji, wyjątkowo agresywne zachowanie nie mieściło się w granicach obrony koniecznej czy też reakcji na prowokację ze strony ofiary, haarlemski prokurator zażądał dziesięciu lat pozbawienia wolności i przymusowego leczenia. Chociaż sędzia podzielał oburzenie oskarżyciela wywołane „niekontrolowanym napadem gniewu u S.”, wydał wyrok ośmiu lat pozbawienia wolności z zaliczeniem czteromiesięcznego aresztu na poczet kary. O środku zabezpieczającym w postaci umieszczenia w zakładzie psychiatrycznym nie mogło być mowy, ponieważ psychiatrzy z ośrodka Pieter Baan orzekli, że był w pełni poczytalny.

Wieczorem po wizycie Aarona w bibliotece Joni została na obiad w jego domu przy Vluchtestraat. Kiedy podczas zmywania naczyń podzielił się z nią zdobytą wiedzą, rozplakała się. Po raz pierwszy widział ją zapłakaną i chociaż ogarnęło go ewolucyjnie zaprogramowane rozczulenie, było mu ciężko zrozumieć jej reakcję. Zadawał pytania, niewłaściwe pytania.

- Płaczesz z powodu brygadzysty, którego zamordował?
- Nie, nie znałam go.
- Płaczesz ze wstydu?
- Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym się wstydzić?
- Może z powodu drastycznych szczegółów sprawy? Przecież to straszne.
- Nie! – Chlipała. – Też, płaczę z wielu powodów, to chyba rozumiałe?

I to nie było morderstwo, tylko zabójstwo. Po prostu jest mi przykro, żal mi jego i jego losu, mimo wszystko współczuję mu. Czy to takie dziwne?

Tak, jego zdaniem to było dziwne. Płakać z powodu chłopaka, który zrzuca ci na twarz kilogram piasku, a dwadzieścia lat później robi miazgę z dorosłego faceta? Bardzo dziwne.

Przy stole było jeszcze dziwniej. Otóż po tym, jak Tineke powiedziała córkom, że Wilbert pytał o ich zdrowie, Janis jako pierwsza była w stanie wydusić z siebie kilka słów. Chrząknęła i zapytała nienaturalnie jak na nią cichutkim głosem, czy Wilbert dzwonił z więzienia. Tineke odpowiedziała, że jest na wolności.

– Czy to dlatego Wijn pojawił się na przyjęciu? – zapytała Joni, opryskliwie i nieufnie.

Honorowe doktoraty – Aaron wiedział od razu, o kim mówi.

– To nie może być prawda – powiedziała, kiedy we foyer pojawił się wysoki, źle ubrany mężczyzna z obitą twarzą. – Ten przebrany budowlaniec – szepnęła mu do ucha – ten z siwymi włosami à la Schwarzenegger, to Menno Wijn. – Na tym poprzestała.

Więc to ty jesteś dobrym wujaszkiem Wilberta – pomyślał wówczas.

– Żeby powiedzieć nam, że Wilbert wychodzi na wolność – odparła Tineke.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – zapytała Joni. Brzmiało to wyjątkowo bezczelnie.

– Miasto wybuchło – odezwał się Sigerius. – Chyba to jest ważniejsze.

Siedział półodwrócony, gapiąc się na ogród, na stole spoczywała tylko jego prawa dłoń, kciukiem i palcem wskazującym bawił się pierścieniem na serwetkę.

– Mamo – odezwała się Joni – powtórz dokładnie, co ci powiedział Wilbert.

Dwoma rękoma trzymała blat stołu. Może chciała zrobić na złość odwróconemu do niej mężowi, a może bała się, że Joni przewróci stół – w każdym razie Tineke zrobiła to, o co ją poproszono. To była krótka, szorstka rozmowa. „Czy one żyją?”. „Tak, żyją”. Tylko tyle – i aż tyle.

– Gdzie mieszka? – zapytała Joni.

– W Ameryce – odpowiedział Sigerius, nie odwracając się.

– Skąd wiesz? – zwróciła się do niego Tineke.

We czworo patrzyli na kanciastą potylicę Sigeriusa, jego uszy wyglądały jak amputowane piąstki zdeformowane wybuchem petardy.

– Ja nic nie wiem – odparł. – Wypowiadam tylko życzenie.

– Co u niego? – zapytała Joni.

Tineke powiedziała, że zapytała o to Wilberta w ostatniej chwili, gdy rozmowa była już właściwie skończona, na co on znów przyłożył słuchawkę do ust i nieco sarkastycznie odpowiedział, że on też żyje – i tyle. W tym momencie Sigerius odwrócił się w ich kierunku.

– I wszystko tym zepsuł – powiedział, a na jego twarzy wciąż czerwienił się rumieniec wesołości. – Oszczędziłby nam masę zmartwień. Wilbert, który dzwoni, że umarł.

Tylko Aaron się zaśmiał, niezręcznie. Janis i jej matka milczały. Joni spojrzała przelotnie na ojca, drżała jej broda. Wstała od stołu, chwyciła oboma rękoma misę Wedgwooda z krokietami ziemniaczanymi, zrobiła ćwierć obrotu („Joni, co robisz?!” – wrzasnęła Tineke) i rzuciła nią o podłogę, wydając z siebie piskliwy pomruk. Uderzenie było oszałamiające. Janis krzyknęła. Słyszeli, jak kawałki szkła suną po podłodze, krokiety uderzają o listwy przypodłogowe, kręcąc bączka. Sigerius zachowywał się jak głuchoniemy.

– Co za popierdolona uwaga! – krzyknęła, chociaż zdawało się, że się powstrzymuje.

Rozpłakała się, brzmiało to bardziej jak ryk złości. Wszyscy na nią patrzyli, drżały jej ramiona, jej oczy, wlepione w ojca, ciskały gromy.

– *Tchórz*. Co za podlec z ciebie.

Aaron nie mógł też zrozumieć, dlaczego Sigerius nie przywołał Joni do porządku. Półtorej godziny wcześniej dowiedział się, że zostanie ministrem, kierował pracą zespołu dwunastu nieznośnych dziekanów. Wydawało się, jakby płakał, zamiast się śmiać.

– Do cholery z tym – krzyknęła Joni.

Odwróciła się na pięcie, szybkim krokiem opuściła oszkloną werandę i rozpłakała się na dobre. Pozostali słyszeli, jak przeszła przez salon, pokonała szeroki hol i w klapkach wbiegła na schody. Na górze trzasnęły drzwi.

Do werandy docierały dźwięki z ogrodu, szumiały topole. Sigerius potarł zarośnięte szczęki.

– Cóż – skomentował, a gdy zrobiło się cicho, dodał lekkim, zbyt lekkim tonem: – Sami powinniśmy byli zostać w Ameryce. Nie powinniśmy byli wracać. Nigdy. Trzeba było zostać w Berkeley. Jak myślisz, Tien?

A jednak musiałam polecieć do pierdolonego Dallas. Víctor Sotomayor robił trudności z gwarancją bankową, nie chciał zgodzić się na notariusza zaproponowanego przeze mnie i Rusty'ego, część należności musiała koniecznie zostać przelana przez bank w Hawanie na rachunek spółki z o.o. w Amsterdamie. Było tego więcej, ale zgodziliśmy się na wszystko, ponieważ baliśmy się, że Barracks przejdą nam koło nosa. Nie udało mi się wykłócić od kolejnej podróży do Dallas. Zanim opuściłam Sunset Boulevard, żeby udać się na lotnisko, przejrzałam konta mailowe i lekko się zdenerwowałam, kiedy zobaczyłam, że w ostatnich dniach Aaron wysłał do mnie siedem wiadomości. Najstarszy e-mail, który przeczytałam w pośpiechu, był najdłuższy, pozostałe były krótkimi uzupełnieniami. „Dlaczego nie odpisujesz?” – zapytał w ostatniej wiadomości z przedwczoraj. „Chyba nie jesteś chora? W sumie możesz być na urlopie”.

Postanowiłam na razie nie odpowiadać. W samolocie zastanawiałam się nad tym, co napisał. W pierwszej, nieco nieokrzesanej wiadomości wprosił się do Los Angeles, co odwołał w następnym mailu, ponieważ stan jego zdrowia „prawdopodobnie” wyklucza dalekie podróże. W trzecim albo czwartym e-mailu uznał jednak, „że to byłoby coś wyjątkowego”, ale nie chodziło tylko o nasze spotkanie, moglibyśmy też pojechać do Berkeley, przecież to było dawno temu i zdążyło się skryzystalizować, byłoby to dla nas „oczyszczające” doświadczenie, był „bardzo ciekaw” miejsc z mojego dzieciństwa, w przeszłości wiele o nich słyszał. Dodał, że byłam wtedy szczęśliwa, czy nie moglibyśmy razem... I tak dalej.

Nie, oczywiście, że nie.

Po tym, jak w Dallas, na najwyższym piętrze Stone Tower, zażegnałam kłótnię z Sotomayorem, ponieważ po nużąco długim wstępie z jego strony przeszkody biznesowe pokonaliśmy w trzy minuty (nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że chciał jeszcze raz spotkać się ze mną w gabinecie pachnącym mleczkiem do czyszczenia mahoni, żeby zaznaczyć, kto tu jest szefem), poprowadził mnie przez podwójne ciężkie, drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Dobre relacje handlowe to podstawa – powiedział zadowolony. – Nie chce pamiętać tego, co za chwilę mi pokaże. Co zamierzasz, gruby Kubańczyku? – pomyślałam i przez chwilę bałam się, że Víctor domyślił się, jakie mamy plany wobec Barracks, że Rusty się wygadał.

Przepuścił mnie w drzwiach prowadzących do złowieszczo przestarzałego gabinetu. Duże, zakurzone sukulenty pokryte brązowymi grudkami, w oknach brązowo-żółte żaluzje, których nie widziałam w żadnym innym pomieszczeniu biurowym, kuliste nogi ciężkiego dębowego biurka na wyblakłym perskim dywanie. Na blacie z zielonej skóry stał duży, niezgrabny komputer – oceniłam, że pochodził z drugiej połowy ubiegłego wieku – w kolorze purée ziemniaczanego, jak wszystko w pokoju. Dużo zdjęć w ramkach. Przed wysokim krzesłem biurowym z popękanej skóry leżała kartka pożółkłego papieru, obok okulary do czytania w rogowej oprawie, a na rozłożonej męskiej chusteczce do nosa jakiś przyrząd ze stalową końcówką, zapchaną kręconymi, czarnymi włoskami. Chwilę trwało, nim się domyśliłam, że to trymer do włosów w nosie.

Za biurkiem stał regał mieszczący na oko setkę czarnych kartonowych segregatorów z ręcznie zapisanymi na grzbietach kolejnymi latami od połowy lat sześćdziesiątych do roku 1991. W pokoju unosił się zapach śmierci. Nieco się złąkłam, miałam wrażenie, że w każdej chwili jakaś owłosiona ręka mogła mnie złapać za kark i zmusić do położenia się na biurku, więc zapytałam Sotomayora, czy jego sekretarka ma wolne.

– Tutaj, miss Sirius – odpowiedział wysokim, drżącym z emocji głosem – w tym jakże ważnym dla nas pokoju, kiedyś pracował mój ukochany ojciec. Mój zmarły ojciec był założycielem i pierwszym dyrektorem naszego przedsiębiorstwa.

Mimo niewielkiego opóźnienia dość szybko załatwiłam sprawę z Sotomayorem, zdałam telefoniczną relację Rusty'emu i zamówiłam rumszytk w steakhousie niedaleko hotelu. W otaczającej mnie ciszy słyszałam jedynie swoje zęby przeżuujące mięso, kiedy nagle dopadła mnie paralizująca myśl, że Aaron jest już w drodze. To było możliwe. Coś strzeliło mu do głowy i zarezerwował lot. Gdy następnego ranka leciałam z powrotem do LA, liczyłam się z tym, że za chwilę powita mnie z otwartymi ramionami przy drzwiach wejściowych na Sunset. Ale w domu zastałam idealną ciszę.

I musiałam od razu wychodzić. Od około roku w każdy wtorkowy wieczór jeździłam na rołkach z czterdziestoma innymi ludźmi z Santa Monica aż do zachodniego Hollywood lub centrum LA. To były relaksujące wypady, niewymagające zbyt dużej koncentracji, dzięki czemu przez cały wieczór czułam się jednością z ciepłym wiatrem we włosach i asfaltem przemykającym pod rołkami. Wciąż rozrastające się towarzystwo zbierało się przy Pacific Coast Highway, tuż za mołem naprzeciwko Seaside Terrace, ponad kilometr od mojego domu.

Posmarowałam bajgla masłem i z rolkami w dłoni weszłam do małej windy, z której trzydzieści metrów niżej wyszłam na Sunset Boulevard. Kilka metrów jechałam między imponującymi filarami, na których spoczywała spora część mojego domu, lawirowałam na zakrętach prowadzących do Ocean Drive; chłodny wiatr rozwiewał moje włosy, ale zamiast porywu wolności odczuwałam nerwową melancholię. Denerwowałam się Aaronem. Spotkałam dwie taksówki i za każdym razem widziałam go siedzącego obok kierowcy. Pomknęłam ścieżką nad oceanem, przebiłam się przez wciąż duży ruch uliczny i powoli dojechałam na molo.

Kiedy w oddali zobaczyłam krzykliwą hałastę, zmieniłam zdanie. Nie byłabym w stanie znieść beztroskiej paplaniny. Ścięłam zakręt i wjechałam na molo, zdjęłam rolki i skarpetki i zaczęłam spacerować wśród setek turystów po nagrzanym pomoście. Ze wzrokiem utkwionym w sękatym drewnie mola minęłam restauracje rybne i ogromny, oświetlony neonowymi lampkami diabelski młyn w Pacific Park. Czułam pod stopami uderzenia przybojów o pale. Na końcu mola, pół kilometra od brzegu, przez pół godziny patrzyłam na błyszczący bezkres oceanu, po czym skierowałam się w stronę domu.

W czterech ścianach śmiałam się ze swojej paranoi, a w międzyczasie Aaron wysłał mi nową wiadomość. Miała nerwowy wydźwięk. „Na razie nie przyjadę” – pisał. „Wydaje mi się, że Berkeley to zły pomysł. Pewnie byłeś tam już ze Stolem. Mam rację?”

Mieszkaliśmy z Bo jakiś czas w San Francisco, kiedy któregoś sobotniego ranka zapięliśmy Mike’a na tylnym siedzeniu land rovera i udaliśmy się do Berkeley. Ponieważ Mike wypluwał sobie płuca, zatrzymaliśmy się na Treasure Island, sztucznej wyspie na środku Bay Bridge, gdzie nad kubkiem kawy zastanawialiśmy się, czy nie lepiej będzie zawrócić.

– Czy to rozsądne? – zapytał Boudewijn.

– Co masz na myśli?

– Te wszystkie wspomnienia.

– Nierozsądne. Ale równym idiotyzmem jest tam nie pojechać. To tyle, co z Enschede do Almelo, może bliżej. Nie możemy tam nie pojechać.

Jechaliśmy drogą numer osiemdziesiąt przez Oakland, a raczej przez biedne przedmieścia Oakland, po czym zjechaliśmy na University Avenue, która kończy się przed bramą wjazdową do Berkeley. Zaparkowaliśmy land rovera po zachodniej stronie kampusu, Boudewijn umieścił drzemiącego Mike’a w nosidełku. Weszliśmy na teren kampusu wraz z grającymi na

bębnoch studentami w swetrach Niedźwiedzi. Boudewijn zapytał, co się dzieje. „To wy nie wiecie? Za godzinę drużyna futbolowa Berkeley gra przeciwko UCLA. *You guys need some tickets?*” Ale nasz cel znajdował się na zachodnim krańcu, chciałam bowiem dotrzeć do Evans Hall, kwadratowej bryły Wydziału Matematycznego, w którym przez dwa długie lata ojciec pracował nad węzłami. Rozpoznałam żwirowe alejki, śnieżnobiałe neoklasycystyczne budynki wydziałowe, które przetrwały dwadzieścia lat zawirowań. Pod rozłożystymi dębami i wierzbami siedzieli studenci, rozmawiając i śmiejąc się jak aktorzy w kampusowej operze mydlanej. Bo w spodniach biodrówkach z czerwonego weluru i marynarce Herringbone wyglądał jak odnoszący sukcesy absolwent i wydawał się być pod wrażeniem idyllicznego przepychu. Przecieliśmy sześciokątny plac z wierzbami rosochatymi, na których według Bo rosły Nagrody Nobla, obeszlśmy skoszony gazon i nagle stanęliśmy przed szpetnym Evansem. Jakby to było wczoraj, popchnęłam drzwi z brązowej stali i hartowanego szkła i wyprzedzając Boudewijna z Mikiem, weszłam pierwsza do wyłożonej brązową boazerią windy, która zawiozła nas na dziesiąte, najwyższe piętro. Bez zastanowienia skręciłam w lewo i idąc po wykładzinie w kolorze owsianki, dotarłam do pokoiku, w którym przesiadywał mój ojciec.

– Po prostu zapukaj – powiedział Boudewijn, widząc, że patrzę na brązowe drzwi niezdecydowana. Te od sali wykładowej obok były otwarte, dostrzegłam białe tablice, pulpit i widok rozciągający się za oknem.

– Wejdzmy może tu – zaproponowałam.

Ale Boudewijn powtórzył:

– Zapukaj.

Nie było odzewu, nacisnęłam kławkę i popchnęłam drzwi, ale pokój, który kiedyś zajmował dr S. Sigerius, był zamknięty na głucho.

– Co teraz? – Boudewijn przypiął Mike’a i uruchomił silnik land rovera.

– Jedź.

Pokazałam mu drogę do Telegraph Avenue, potem zjechaliśmy Bancroft w kierunku Bay, bo chciałam przejechać koło Berkwood Hedge, małej *elementary school* z wytartymi podłogami, do której codziennie przez dwa lata chodziłyśmy z Janis pieszo, trzymając się za ręce. Tutaj też dostrzegliśmy typowe kalifornijskie ulice, każdy dom był inny, Cedar Street niczym szary pasek od spodni opadała do Bay, błyszczącego punktu, w którym wszystko zniknęło. Skrzyżowania ze światłami tylko dla ozdoby przeniosły mnie nieubłaganie do 1982 roku, aż nagle dostrzegłam małą szkółkę, cholera, tak, murowany budynek z placikiem.

– Chcesz, żebym się zatrzymał? – zapytał Boudewijn.

Klasa pełna amerykańskich przemądrzalców, niezbyt miłych i wszędobylskich. Zanim trafiłam między nich, pół roku wcześniej w Utrechcie siedziałam w kucki przy gramofonie i puszczałam czerwoną, dwustronną płytę długogrającą Beatlesów, szukając w słowniku znaczenia słów „Love Me Do”. Miłość mi rób? Taka była moja znajomość angielskiego w wieku siedmiu lat. Ale udawałam, że ich rozumiem. Trzy razy *yes*, raz *no*, nie dam im się, a jeśli udało im się dokuczyć Janis, całą drogę powrotną do Bonita Avenue kładłam jej do głowy, że ma się nie wygłupiać i nie płakać. Tym nie pomożemy tacie i mamie.

– Skręć tu w lewo – powiedziałam do Boudewijna. – Jesteśmy niedaleko naszego dawnego domu.

Kierując się na północ po zatłoczonej Martin Luther King Way, mineliśmy kilka przecznic i dojechaliśmy na spokojną Bonita Avenue, ulicę ze słupami telegraficznymi i starannie zaparkowanymi samochodami dla całej rodziny oraz drzewami o grubych, ciemnozielonych liściach. Siem powiedział, że specjalnie wybrał tę ulicę, ponieważ spodobało mi się słowo „Bonita”. Wywróżyłam nasz adres, wpisując go do książek Enid Blyton, które zabrałam ze sobą z Utrechtu. Joni Sigerius, Bonita Avenue 1908, Oakland, Kalifornia, USA, Świat, Kosmos. Może dlatego, że kiedyś drzewa rosnące w ogrodach i wzdłuż chodników wydawały mi się większe, pełniejsze; teraz, z pewnym opóźnieniem, zdałam sobie sprawę, że poza nimi wszystko wydawało mi się mniejsze. Co za beznadziejna uliczka. Toczyliśmy się powoli samochodem po plamistym asfalcie. Z ręką na nagrzanym dachu obserwowałam drewniane domy.

Boże, stał tam. Zza zdziczałego żywopłotu i drzewka oliwnego wyłoniła się fasada z zakładkowych, poziomych desek, z dwoma lukarnami – oczami na spadzistym dachu. Kiedy miałam dziesięć lat, front domu przypominał mi zdziwioną twarz, teraz też ją zobaczyłam. Głupią minę budynek zawdzięczał drzwiom – ziewającym ustom umieszczonym centralnie tuż pod małym, pokrytym papą zadaszeniem. Przypomniałam sobie delikatne stuknięcie, z jakim Siem zamykał za sobą drzwi, gdy wracał wieczorem z uniwersytetu i w jednej chwili znajdował się w przedpokoju, bum, upuszczał skórzaną torbę i mocno całował mamę w obydwie policzki. „Cześć dziewczyny, już jestem”.

Po lewej, odgrodzona żwirową ścieżką, apteka McCoyów, pusty kamienny budynek z dobudówką. Na frontowej elewacji tablica z napisem „For Rent”, na werandzie stosy przemoczonych i wysuszonych pudeł przewodzkowych

i dwa jaskrawoniebieskie kontenery na śmieci na kółkach. Przykuta do łóżka pani McCoy od lat już nie żyła, oczywiście. Rak głosu, jak twierdzili chłopcy z sąsiedztwa. Mówiła przez rurkę wychodzącą z zeszywniałej szyi, zgrzytliwy, cichy jęk, który wybudzał mnie w nocy ze snu. Rakowy głos. Widoczna brązowa dziura w gardle. Nie do pogodzenia z prowadzeniem apteki, jedyne kamiennego domu w okolicy, po dach wypełnionego tabletkami i słoiczkami. Matka powiedziała, że to od palenia, dlatego przez jakiś czas, kiedy nikogo nie było w domu, spuszczałam w ubikacji jej napoczęte paczki tytoniu. Narzekania pani McCoy, jej zgrzytliwe postękiwanie. Chrapliwe dźwięki przenikające nasz trawnik, plamy oleju na asfalcie, pianie koguta gdzieś za domami naprzeciwko.

– Niech gada, co jej ślina na język przyniesie – powiedział nasz nowy ojciec, chociaż mama zabraniała mu nabijać się z czyjejś choroby, a ja widziałam, że mimo to ledwo powstrzymuje się od śmiechu.

McCoyowie mieli doga niemieckiego wielkości nieosiodłanego konia. Aptekarz, sympatyczny mężczyzna w okularach w rogowej oprawie, wyprowadzał go w Life Oak Park i zawsze towarzyszyła im mała, czarna kobieta, którą obejmował ramieniem. Pies biegał w tę i z powrotem za patykiem, on promieniał radością z kobietą u swojego boku. „Czy wiecie – zapytałam podobno – że siostra pana McCoya jest Murzynką?”

– Zatrzymaj się, to tutaj.

Boudewijn podjechał do krawężnika i wyłączył silnik. Odkleił koszulkę polo od brzucha. Słyszałam cykanie świerszczy, gdzieś ruszał autobus.

– Zaraz wracam. Zostań z Mikiem.

Zmurszałe powietrze. Od półtora roku mieszkałam w Kalifornii, przyzwyczaiałam się do wilgoci, codziennie widziałam palmy, czułam zapach morza – ale atmosfera tej ulicy była inna. Starsza Ameryka. W oknach domu wisały do połowy opuszczone rolety, nie powinno ich tu być – mieliśmy jasnobrażowe zasłony w pomarańczowe grochy, uszyte przez matkę, która nagle miała na to czas. Dopiero później dowiedziałam się, że nie dostała pozwolenia na pracę. Pod koniec pobytu co rano w tajemnicy jeździła do stoczni.

Mike zaczął płakać. Przemknęłam między błyszczącymi zderzakami i wyszłam na szerszy chodnik. Położyłam dłoń na wciąż nieheblowanym drewnianym płocie. Na trawie stał plastikowy domek dla dzieci z wypłowiałym nadrukiem Królika Bugsa, rower z fotelikiem dziecięcym był oparty o jeden z pali pod zadaszeniem. Ogród prezentował się o niebo lepiej niż za naszych czasów. Ależ tam był wtedy bałagan. Stół warsztatowy Black

& Decker matki. Stare szafki w ogrodzie, płyty październikowe, drewniane ścinki, narzędzia, rękawice robocze. Dzieci z sąsiedztwa szybko się zorientowały, że to idealne miejsce dla nich, bo u Joni i Janis wszystko wolno. Na tyłach warsztatu matka trzymała słoik z holenderskimi cukierkami z lukrecji, które przysyłali nam dziadkowie. Przez cały dzień przychodziły do nas dzieciaki, nawet gdy w domu nikogo nie było, i szły prosto do słoika. Matka wiedziała, jak przekupić amerykańskie łobuziaki.

Boudewijn uspokoił Mike'a, jego głos brzmiał, jakby dobiegał z bliska.

– Zadzwoń do drzwi – krzyknął przez otwarte okno. – Może cię wpuszczą do środka.

Rolety w lewym okienku dachowym się podniosły. Mocno zbudowana Latynoska w średnim wieku otworzyła okno, wystawiła rękę na zewnątrz i wytrzepała ścierkę do kurzu. Zobaczyła mnie, zdjęłam rękę z ogrodzenia i się uśmiechnęłam. Ledwie dostrzegalnie skinęła głową, zerknęła na ulicę i zamknęła okno.

Przypomniałam sobie, że u rodziców Scotty'ego pracowała hiszpańskojęzyczna kobieta, zgorzkniała, gburowaty duszek domowy, zajmowała się wieszaniem prania i prasowaniem. Spojrzałam na zapuszczony podjazd i ogródek przydomowy. Scotty, jasnowłose grubasek, którego rodzice przeprowadzili się z Wyoming do portu w Oakland. Dik Trom³¹, jak zwykł go nazywać Siem. Zawsze przychodził po mnie, kiedy akurat jedliśmy obiad. Serdelkowate palce zaciśnięte na płocie.

– Joni! – krzyczał tak długo i przenikliwie, aż matka odkładała sztuce i z westchnieniem wstawała od stołu.

– Czy Joni wyjdzie na dwór?

– Joni właśnie je obiad, Scott.

– Niech pani powie Joni, żeby zjadła tylko jedną kanapkę.

– Jeszcze się trochę rozejrzę – powiedziałam do Boudewijna, puknęłam w dach land rovera i skierowałam się w stronę domu Scotty'ego.

Oczywiście stał tam jak gdyby nigdy nic: wymuskany, lakierowany, efekciarski pałacyk rodziców Scotta. Dwupiętrowy wykusz i klasyczna weranda, na której, tak jak wtedy, stał fotel bujany. Śnieżnobiały dom, z oknami i parapetami pociągniętymi niebieską farbą w kolorze zwanym w Holandii kobaltem z Delft. W środku miedziane misy, miedziane abażury, miedziany karabin na ścianie, pamiętam też skrzypce służące jako wazon na suszone kwiaty. Bardzo rzadko bywałam w tym domu. „Zdejmij buty, niczego

nie zepsuj”. Gadatliwa gospodyni domowa, która co drugi dzień o stałej porze pojawiała się na werandzie w różowych gumowych rękawiczkach i z wiadrem mydlin, żeby posprzątać bałagan na zewnątrz, nie pozwalała Scotty’emu i jego młodszej siostrze bawić się w domu. Scotty miał rower crossowy i jeśli nie jeździliśmy po okolicy, ciągnął mnie na rolkach na linie zawiązanej wokół pasa po pagórkowatych ulicach, bardziej *up north*, daleko za kampusem Berkeley, gdzie studenci prowadzili restauracje, puby i kawiarnie. Czasem gwałtownie się zatrzymywał, zsiadał z bmx-a i w krótkich spodenkach siadał ze skrzyżowanymi nogami na asfalcie.

– Co robisz?

– Zaraz kończę.

– Ale co robisz?

– Czekam, aż mi się przestanie chcieć.

– Przestanie chcieć?

– Chce mi się kupeć, ale zaraz przestanie mi się chcieć. Wstrzymuję ją.

Wstrzymywanie – tak to nazywał ten mały obrzydliwiec. Któregoś popołudnia w tej bajkowej krainie zapisałam jego imię kredą na płycie chodnikowej, wyjaśniając mu pisownię: S-k-o-t, przez „k” i z całą pewnością nie przez dwa „t”. Ale ten uparty wysiadywacz, który chodził do klasy o rok niżej, upierał się, że „Scott” pisze się przez „c”, aż pół godziny później po jego pulchnych policzkach popłynęły łzy. Poczekałam, aż wyschną, i powiedziałam:

– Chodź, zapytamy twoją matkę.

Matka Scotta nienawistnie wytknęła mi błąd, nazwała mnie upartą, bezczelną, niewychowaną dziewczuchą.

– I zabierz rękę z krzesła.

– To nie jest krzesło – odparłam płynną angielszczyzną. – To jest kanapa.

Chociaż miałam rację, bo to była dwuosobowa, kwiecista sofa, matka Scotta z pewnością przestała mnie lubić.

Scott nas uwielbiał. W drugie lato na Bonita Avenue często wpadał do nas koło siódmej wieczorem, wchodząc od tyłu przez ogród.

„Cześć, Joni” – mówił do nas, na co zgodnym chórem odpowiadaliśmy: „Cześć, Scotty”. Wtedy zaczynałam się śmiać, matka wzdychała i nawet pięcioletnia Janis wiedziała dlaczego – tylko sam Scotty nie miał o niczym pojęcia. Jego oczka przeczesywały wyrosłą trawę w poszukiwaniu przywiezionej z Holandii piłki, którą niezdarnie próbował utrzymać w powietrzu, rozdeptując kwiatki mamy i wołając: *excuse me*, podczas gdy ojciec, chociaż skonany po całym dniu zajmowania się wyższą matematyką,

niczym człowiek maszyna wraz ze starszą ze świeżo upieczonych córeczek odpracowywał zmywanie naczyń, śpiewając, żartując albo wypytując mnie, jak było w szkole. Od czasu do czasu szłam z mokrym talerzem do ogrodu, żeby wtrącić się do rozmowy matki ze Scottym, który szeptał mi na ucho „zapytaj ojca, czy zagra ze mną w piłkę”. Tak, po to przyszedł: żeby pograć z Siemem. To, co czułem do tego sympatycznego, dowcipnego, autentycznie zainteresowanego, silnego, wysportowanego mężczyzny w kuchni, czułem i ja. Radosna zwinność, z jaką Siem zawsze potrafił się uporać z brudnymi talerzami, miskami, garnkami i pokrywkami, mówiła mi, że miałyśmy szczęście – że mama, moja młodsza siostra i ja powinnyśmy się cieszyć z takiego ojca.

I najczęściej rzeczywiście graliśmy w piłkę. Po zmywaniu szliśmy do Life Oak Park albo do kampusu, gdzie zawsze udało nam się znaleźć jakieś puste boisko. Matka siadała na trawie i z daleka obserwowała, jak graliśmy ze Scottym przeciwko tacie i siostrzyczce. Po kilku minutach Janis stawała na bramce zrobionej ze skórzanych kłapek Siema i bluzy dresowej i zbierała kwiatki, podczas gdy ojciec grał przeciwko mnie i sapiącemu z wysiłku Scottowi na bosaka, śmiejąc się i coraz intensywniej pocąc.

W niczym siebie nie przypominali: jasnowłosey, bezszkieletowy Scotty z ciałem napompowanym fruktozą i atletyczne cygańskie dziecko, które zostawiliśmy w Culemborgu. Mimo to – a może właśnie dlatego – podczas wieczorów piłkarskich wciąż rozmyślałam o Wilbercie. Oczami wyobraźni widziałam go takiego, jakim go zapamiętałam z Holandii: dzikiego i samotnego. Chciał jechać z nami do Berkeley, sam mi to powiedział.

– Jedzicie do Ameryki? – zapytał, kiedy wykopywaliśmy rurę kanalizacyjną w Griftparku. – To ja też. Powiedz ojcu, że jadę z wami.

Obiecałam, że mu przekażę, ale kiedy zobaczyłam Siema, nie wspomniałam mu o tym.

To był jeden jedyny raz, kiedy po rozwodzie spotkałam się z Wilbertem, kilka miesięcy przed naszą przeprowadzką do Kalifornii, niedługo po skromnym ślubie jego ojca i mojej matki. Od dłuższego czasu Siem mieszkał z nami na parterze i to, co z początku wydawało się dziwne, w międzyczasie stało się czymś normalnym, wręcz wspaniałym. (Powiększył grono rodzinne tak, jak kiedyś Janis je powiększyła. Ale jakiego zwierzaka wystawić w ogrodzie z okazji pojawienia się nowego ojca? Przecież nie bociana)³².

Właściwie to prawie zapomniałam, że Siem miał syna, który mieszkał z Margriet w Culemborgu – aż któregoś piątkowego popołudnia stanął przed

naszymi drzwiami. W upierścienionej dziecięcej rączce ścisnął foliówkę z supermarketu, w której znajdowały się szczoteczka do zębów i wygnieciony sweter. Przyjechał w odwiedziny do ojca. Bez zapowiedzi. Pech chciał, że Siema akurat nie było w domu, co zdarzało się nader rzadko, ale właśnie wtedy był na kongresie matematycznym w Berlinie albo Monachium, nie pamiętam dokładnie, w każdym razie miało to związek z jego doktoratem. Wobec tego nieco spłoszone piłyśmy z matką lemoniadę z gościem, który żartował, ale jednocześnie dokładnie przyglądał się wystrojowi pokoju stołowego, wymieniając rzeczy skradzione przez nas jego matce: zielony zegar z kukułką, wiklinowe krzesło, na którym siedział, dwa wielbłądzie siodła kupione przez jego matkę w Egipcie, co nawet mnie wydawało się niedorzeczne.

– Jak ci minęła podróż, Wilbercie? – zapytała moja matka.

– Dobrze, dobrze – odparł – wuj przywiózł mnie samochodem.

Kiedy część oficjalna wizyty dobiegła końca, poszliśmy się bawić – „chodź na dwór, Joni”, ahój, przygodo – i tak jakby to on, a nie ja, przez ostatnie dwa lata mieszkał przy Antonius Matthaeuslaan, oprowadzał mnie po dzielnicach Utrechtu, w których nigdy wcześniej nie byłam. Biegaliśmy po poręczach bloków w Overvecht, Wilbert rozpałił w windzie groźnie wyglądające ognisko, przez godzinę śledziłyśmy mężczyznę z walizką na kółkach, który u wylotu Blauwkapelseweg wsiadł do samochodu oplutego przez Wilberta. W odległym centrum handlowym kazał mi na siebie poczekać przed sklepem z cygarami, by po kilometrowym sprincie dać mi trzy paczki gumy do żucia i plik kuponów lotto.

Wieczorem matka zawiozła Janis do domu dziadków przy Professor Pullelaan i zabrała nas do kina przy Voorstraat, gdzie zarezerwowała bilety na *Garbiego*, ale Wilbert uznał, że ożywiony volkswagen jest dobry dla dzieciaków, więc poszliśmy na *Grease*, film, na który zdaniem Siema byłam za mała. Siedzący koło mnie Wilbert pachniał dymem i potem i oddychał jak jakieś dziwne zwierzę. Chłopaków pokroju Wilberta znałam tylko z jarmarków, parkowali samochodziki, siedząc tyłkiem na kierownicy.

– Nie mów nic o filmie – powiedziała matka po seansie.

To żaden problem, ponieważ do niedzieli wieczór zebrało się pełno rzeczy, o których wiedziałam, że lepiej będzie zachować je dla siebie.

Wilbert, z czarnymi włosami zaczesanymi na wodę z cukrem i z przetłuszczoną grzywką, opowiedział nam podczas posiłku składającego się z frytek i krokietów, że regularnie wystawał na przystanku autobusowym w Culemborgu z torbą podróżną. Powiedział, że tęskni za Siemem. Jego wuj

schował mu torbę w szafce w siłowni.

– Może będzie fajnie, jak pojedę z wami do Kalifornii, ciociu Tineke.

Czekał na ojca, a kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, w podnieceniu dotknął pełnych ust palcami upačkanymi majonezem, ale to nie był jego ojciec, bo on miał swój klucz, to było dwóch policjantów w pełnym umundurowaniu. Wizyta się skończyła. Funkcjonariusze zapisali do protokołu, podpisanego przez moją matkę, że Wilbert to Wilbert Sigerius, lat dziewięć, którego zaginięcie zgłosił dzisiaj rano Menno Wijn. Przez chwilę rozmawiali z matką ściszym głosem w kuchni, po czym zabrali Wilberta.

Wieczorem, po powrocie z wyjazdu, Siem usłyszał całą historię – i ja też, chociaż z pewnej odległości. Policja trafiła na ślad Wilberta po kradzieży pojazdu dla niepełnosprawnych, samochodziku rozwijającego maksymalnie prędkość czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, znalezionego z pustym bakiem w kanale Vaartse Rijn. Widział go w nim właściciel stacji benzynowej, gdy pyркаł z Culemborga do Utrechtu.

Tamtej niedzielnej nocy leżałam w łóżku jak kłoda. Mój nowy ojciec po raz pierwszy kłócił się z matką, jego głos był podniesiony i niósł się daleko. W następnych tygodniach, upływających pod znakiem wielkiej przeprowadzki za ocean, nikt nie wspominał o Wilbercie. I kiedy wreszcie tu zamieszkaliśmy, w nowym kraju, w nowym domu przy Bonita Avenue, wszystko, co było związane z Holandią, wydawało nam się zaskakująco odległe i było daleko za nami, zachowywaliśmy się, jakby ten zwierzak nigdy nie istniał. Szczególnie z perspektywy czasu widać, że pobyt w Ameryce był najlepszym, najszcześniejszym i najbardziej beztroskim okresem w życiu naszej czwórki. Przynajmniej z daleka.

Ale były jeszcze moje myśli. I poza Janis każde z nas je miało. Kiedy siedząc na huštawce zamontowanej przez Siema na zielonej werandzie, rozmyślałam o mieszkaniu na parterze przy Antonius Matthaeuslaan i o groźnym, dziwnym, naładowanym emocjami mieszkaniu nad nami oraz o tym wszystkim, co się wydarzyło, nie tylko przepełniało mnie uczucie szczęśliwego smutku – a może odwrotnie, smutnego szczęścia – ale w mojej głowie pojawiała się też inna myśl: zaczynałam wierzyć, że nie zostawiliśmy Margriet, Wilberta i jego dziwnego wuja w Holandii, my przed nimi uciekliśmy. Musieliśmy zacząć wszystko od nowa, i tak było, tutaj, w tej okolicy, gdzie Siem dostał pracę na uniwersytecie.

Zdarzało się, że w Ameryce słyszałam kłótnie rodziców – nasz drewniany dom był jak pudło akustyczne – zrywałam się wtedy z łóżka i z mocno

bijącym sercem stawałam u szczytu schodów. Czasem z ich słów wynikało, że chodzi o Wilberta – dzwonił Menno Wijn. Były to rozmowy, po których Siem przez kilka dni był nieprzyjemny, niemiły. Po każdym wybuchu złości drżałam na myśl, że Wilbert się do nas sprowadzi lub, co gorsza, że Siem będzie musiał wracać do Holandii, że nie możemy być we czwórkę rodziną i że bardzo możliwe, iż następnego dnia wsiądziemy do samolotu, by znów zamieszkać w tym okropnym domu na Antonius Matthaeslaan.

Co mogłam zrobić? *Dochować tajemnicy*. Złożyłam uroczystą przysięgę. Mówiłam na Siema „tato”, a o sobie „Sigerius”, w tym odległym kraju zaczęliśmy wszystko od nowa, a moja matka znów potrafiła się śmiać, dlatego nikt nie mógł poznać naszej tajemnicy. Byliśmy *normalną* rodziną. Tineke i Siem mnie spółdzili, potem moją młodszą siostrę. Nie inaczej. Tego muszę się trzymać.

Ktoś zastukał w środkowe okno wykuszu. Wciąż stałam na betonowej ścieżce prowadzącej do sąsiedniego domu. Firanka się poruszyła, czyjaś ręka odsunęła prześwitujący materiał. Spojrzałam w oczy matki Scotty’ego, bez dwóch zdań, jakże zaskakująca jest ludzka pamięć. Wydawało mi się, że ona też mnie poznała – mocno umalowana, wychudzona twarz patrzyła z zaskoczeniem i jednocześnie z radością, pociągnięte różową pomadką usta poruszyły się, wypowiedziały jakieś słowo. Spojrzałam za siebie: Boudewijn wziął Mike’a na kolana i usiadł na fotelu pasażera. Przeszłam po skoszonej trawie do okna, pomarszczone usta coś mówiły. „Tineke”. Kobieta puściła firankę i gestem nakazała, żebym nie odchodziła. Czekaając, uświadomiłam sobie, że moja matka dwadzieścia lat temu była szczupłą.

– Joni, *dear*, to ty? Ale numer... byłam pewna, że to twoja matka, a nie ty. Wchodź, wchodź, co za niespodzianka.

Jej lewa stopa była owinięta reklamówką ze Stop & Shop i ściągnięta gumką recepturką, prawa stopa tkwiła w szarym futerkowym bamboszu. Poprowadziła mnie do salonu, kuśtykając na foliowej stopie. Kwaśne powietrze zatkało mi płuca: mieszanka zapachów starej tapety, mleczka do czyszczenia mosiądzu, papierosów, przypalonego boczku – woń domu starców.

– Usiądź, kochanie. Boże jedyny, ależ ty jesteś podobna do matki. – Wskazała mi krzesło, z którego widziałam land rovera: Boudewijn wciąż siedział z Mikiem na kolanach, a jego ramię zwisało bezwładnie z okna. Spali. – Nie zwracaj uwagi na moją stopę – dodała – złamałam palec, trach, nie wiadomo jak, uderzyłam się o tamtą szafkę, myjąc podłogę. Wdało się

zakażenie. Chcesz coś do picia, kochanie? Czego się napijesz?

Tak, zawsze była nerwowa, impulsywna. Zwracała się per „kochanie” do każdego, kto nie miał zamiaru jej okraść albo zamordować. Jej pociągła twarz poruszała się jak mrowisko, w które wsadziłam kij. Miała przerzedzone włosy, widać było siwe odrosty, ale je farbowała... Jaki to był odcień? Oberżyna.

Zniknęła w kuchni. Podobnie jak ona salon niewiele się zmienił: wciąż stała kwiecista kanapa, a wokół niej faliste fotele, zielonkawy aksamit, ciepła skóra z miedzianym połyskiem, a pośrodku tego wysiedzianego kręgu niski mahoniowy stolik, na którym drżącą ręką postawiła szklankę coli light.

Wypiję colę i znikam.

– Boże, Joni, powiedz, co u ciebie słyhać. Co cię tu sprowadza? Zaczniemy może od tego. Masz chwilkę? Chyba że musisz się zbierać...

Ostatnie zdanie z pewnością wyrażało jej największe życzenie: żebym jak najszybciej stąd zjeżdżała. Jak ona miała na imię? Usiadła naprzeciwko mnie w fotelu koloru flegmy i z szelestem wsunęła opakowaną stopę pod stół. Jej oczy skakały z moich dłoni na japonki, z kolan na okno wykuszu, na mój nos.

– Jesteśmy na urlopie – skłamałam.

– O, to wspaniale. Cóż, trafiliście z pogodą. Tutaj zawsze jest upalnie. Kochanie. Cudownie. Z rodzicami?

– Z chłopakiem. Siedzi w samochodzie.

– A może zaprosimy twojego narzeczonego? Zawołaj go.

Już się podnosiła z miejsca, upierścienione, pomarszczone dłonie położyła na kościstych kolanach przykrytych ciemnoniebieską spódnicą. Przez chwilę rozważałam tę myśl, zawołać pięćdziesięcioletniego faceta, zwyczajnie dla picu. Ile ona ma lat? Po sześćdziesiątce? Miała na szyi sznur pereł ze złotym medalionem, do kompletu klipsy na obwisłych płatkach uszu. Kiedyś bawiliśmy się ze Scottem na poddaszu tego domu, stał tam kufer z futrami, naszyjnikami, bransoletami, kozakami, pantoflami. Kazał mi wybierać rzeczy, które ma założyć. Miałam wrażenie, że biżuteria na jej wyraźnie obwisłej szyi i na nadgarstku pochodziła właśnie z tej skrzyni.

– Nie, proszę się nie kłopotać. Poczeka. Przyjechaliśmy na parę dni do San Francisco i pomyślałam, że odwiedzimy stare kąty. Niewiele się tu zmieniło.

– Więc nadal mieszkacie w Amsterdamie... Byliście taką fajną, spontaniczną rodziną. Żyliście po swojemu.

Kłamała. Byliśmy jej solą w oku. Pomyliła Holandię z Amsterdamem oczywiście, Sodoma czy Gomora, co za różnica.

– A jak się pani miewa? – zapytałam – I mąż? Nadal uwielbia żeglować?

Niski tatuś Scotta. Pracowity mężczyzna z opadającymi wąsami, który co rano pogwizdywał, wsiadając do kabrioletu w butach z metalowymi wkładkami na noskach, i dokądś jechał, do fabryki, stoczni czy jeden Pan Bóg wie dokąd, ale w weekendy w sali tronowej sprawiał wrażenie nieobecnego, rozdrażnionego. Któregoś niedzielnego poranka ja i Scotty pomagaliśmy jego sumiastemu ojcu. „Jeśli się przyłożycie, dam każdemu z was po pięć dolarów”. Z otwartym dachem, przez co ledwie się słyszeliśmy i jakoś nie rzucało się w oczy, że jego ojciec jest małomównym morsem, udaliśmy się do zatoki, mijając po drodze przystań dla jachtów i przedsiębiorstwo kontenerowe, i zatrzymaliśmy się przed powgniatanym magazynem z płyt falistych pełnym zwojów drutu żelaznego. Bokiem do magazynu stał na drewnianych blokach szkielet statku, tak zardzewiały i smutny, że jako dziewięcioletce napłynęły mi do oczu łzy. Próbował sam zbudować łódź? Pewność porażki tego przedsięwzięcia spowodowała, że poczułam rumieniec rozlewający się na szyi i policzkach. Mężczyzna zniknął bez słowa w magazynie, gdzie klnąc pod nosem, rozplątywał zwoje i wysuwał je na zewnątrz. Na zmianę ze Scottem chwytailiśmy zwoje i z jego ojcem przenosiliśmy ciężki metal do wraku. Ostre żelazo wbijało mi się w dłoń. Scott szybko upuścił jeden ze zwojów, zardzewiała krawędź przecięła mu skórę na lewym kolanie.

– Aaaaaa! – wrzasnął i wybuchnął płaczem, świadomy swojej winy, nie mogąc złapać tchu, a jego kolano przypominało czerwone jabłko, z którego kapie sok.

– I kto jest dziewczyną w tym towarzystwie? – zapytał ojciec Scotta. – No kto?

Jej niespokojne szaroniebieskie oczy nagle się uspokoiły, to znaczy znieruchomiały. Spojrzała mi w oczy i rzekła:

– Malcolm nie żyje od sześciu lat. Jestem sama od 1996 roku. Miał czterdzieści dziewięć lat.

– Przykro mi...

– Serce. Nie lubił warzyw, za to uwielbiał majonez. Ściągał nawet sos pomidorowy z pizzy. Ale o czym ja mówię!

Zapatrzyłyśmy się na błyszczący blat stolika, jakbyśmy potrzebowały chwili na refleksję po tym zwięzłym in memoriam. Kurczę, ależ ten stolik był mały i niski. Niewiarygodne, że tamtego popołudnia siedzieliśmy przy nim w siódmkę albo ósemkę. Mimo to był tu w tym miejscu, wraz z talerzykami na ciasto, szklankami do lemoniady i niepokrojonym tortem urodzinowym na

środku, gdzie teraz stała miedziana misa z poobijanymi jabłkami i nakrapianymi bananami. Przyjęcie urodzinowe Scotty'ego. Siedzieliśmy w kucki. Siedmiu albo ośmiu opalonych kolegów i jedna koleżanka, połowy z nich nie znałam, bo Scott chodził do szkoły ewangelickiej za Berkeley. Na dwóch burdelowych krzesłach siedzieli jego ojciec i matka. Malcolm i... Betty. Tak, miała na imię Betty. Jestem pewna, że Betty też myślała o tym popołudniu.

– Ale bardzo wspierają mnie Scotty i Jennifer, to takie dobre dzieci. – Próbowała się uśmiechnąć, ale jej pomalowane usta wykrzywiały się na wszystkie strony.

– Czym zajmuje się Scott?

– Zaczekaj. – Wstała, wygładziła spódnice i kuśtykając na nodze owiniętej reklamówką ze Stop & Shop, podeszła do komody w przedpokoju. – Scott naprawia i instaluje sprzęt agd – krzyknęła stamtąd. Usłyszałam rozpylacz i nakładanie nakrętki na butelkę. – Suszarki, zmywarki. Wszystko. Mój syn ma złote ręce.

– Żonaty?

– Scotty? Nie, nie, Scotty nie. Za to Jenny jest mężatką i matką dwójki dzieci. Ma dwóch synków.

Rozsiewając wokół siebie ostry zapach perfum, Betty wcisnęła mi do ręki owalną ramkę ze zdjęciem. Na karmelowym tle widać było dwoje dorosłych ludzi: siedzącą kobietę i mężczyznę stojącego nieco bokiem ze szczupłą, długą dłonią na jej ramieniu. Jenny i Scott. Wysoki i chudy Scotty – jego beczkowate krągłości okazały się manewrem mylącym, geny Malcolma przegrały wojnę – tak bardzo przykuł moją uwagę, że obraz Jennifer rozmazał mi się przed oczami, była tak zwyczajna, iż pręciki i czopki siatkówki oka nawet nie zareagowały. Scott miał na sobie skórzany podkoszulek i czarne metalowe tunele w uszach. Można by go za nie powiesić na wieszaku, zanim paplanina jego matki zdążyłaby mu nimi wyjść. Ani mieszczański zakład fotograficzny, ani klasyczna poza, jaką przyjęły jej dzieci, mnie nie zmyliły: od razu się zorientowałam, że Scotty jest homoseksualistą. Odłożyłam ramkę na stolik obok szklanki z dogorywającą colą.

– Fajne zdjęcie – powiedziałam.

Na początku kinderbalu wszyscy byli nieśmiali, przynajmniej tak to zapamiętałam. Czystość panująca w tym domu robiła wrażenie. Nie wiem, jak Scott na to wpadł, ale jeszcze zanim na naszych talerzykach pojawiły się kawałki tortu marcepanowego, powiedział to na głos. Siedzieliśmy

naprzeciwko siebie przy tym samym podłużnym stoliku. Właściwie to nie tyle wpadł na to, ile po prostu stwierdził fakt, bez konkretnej przyczyny.

– Joni, Siem nie jest twoim prawdziwym ojcem. – Jego nalana twarz wyrażała triumf zmieszany z wyrzutem.

– To wspaniałe dzieciaki – stwierdziła jego matka. Usiadła, ale znów wstała, jakby jej fotel był pod napięciem. Wzięła ramkę ze stolika i zaniósła ją do przedpokoju. – Kochanie, a jak się miewają twoi rodzice? Twojej matce tak się tutaj podobało. Było mi bardzo przykro, kiedy wyjechaliście.

– Nam też.

– Joni – zwrócił się do mnie Scott. – Siem to twój ojczym. – Ponieważ wszyscy patrzyli w napięciu i się nie odzywali, dodał: – Dlaczego kłamiesz?

Zrobiłam wielkie oczy, które momentalnie wypełniły się łzami.

– To *jest* mój prawdziwy ojciec – wyjąkałam.

Dzieci patrzyły na mnie, widziałam po ich minach, że trzymają stronę Scotta.

– Nieprawda – powiedział.

– A właśnie, że prawda! – Po moich policzkach spłynęły powoli ciężkie łzy. Mój głos brzmiał dziwnie, jakby był zapuszkowany.

Betty poruszyła głową jak ptak i zapytała:

– A twój ojciec? Nadal jest profesorem, Joni? Mądra główka, co nie, kochanie? Wyjątkowy mężczyzna. Geniusz, tak mówiliśmy o nim z Malcolmem. Któregoś dnia Scotty powiedział nam, że twój ojciec niedługo potem... – przerwała na chwilę, jakby się czegoś zawstydzila – dostał Nagrodę Nobla. Dowiedzieliśmy się wiele lat po waszej wyprowadzce. Nagrodę Nobla w dziedzinie matematyki, prawda?

– Coś w tym rodzaju, zgadza się.

– Jak się miewa twój ojciec, kochanie?

Powiesił się. Mądra główka nie żyje. Skończył ze sobą. Nie był zły, był rozczarowany.

– Dobrze. Jest emerytowanym... jest na emeryturze. Mieszka z matką w Dordogne.

– Włochy... Cudownie.

– Mają hotelik typu bed and breakfast. Siem zaczął się uczyć gry na saksofonie.

– Boże, rzeczywiście – powiedziała Betty, mrużąc z zadowolenia. –

Pamiętam, że twój ojciec zawsze słuchał jazzu. Denerwująca muzyka, zdaniem Malcolma.

Na zarumienionej twarzy Scotty'ego malowało się sadystyczne zadowolenie.

– Siem jest twoim ojczymem – rzucił. – Twoja matka sama powiedziała o tym mojej.

To musiały być łyzy wściekłości, żądza zemsty napompowała moje mięśnie krwią, nie wstając z kucek, na kolanach wskoczyłam na stół i rzuciłam się na tego gnojka, rozgniatając tort marcepanowy i przewracając szklanki z lemoniadą. Wbiłam kolana uwalane bitą śmietaną w tłuste ramiona Scotty'ego, przewrócił się na plecy, usiadłam na nim, biłam go i drapałam, wrzeszcząc pół po angielsku, pół po niderlandzku: „A właśnie, że to jest mój ojciec! Odwołaj to, co powiedziałaś, ty gruba świni! To mój ojciec. Jesteś zazdrosny! Sam chciałbyś mieć takiego ojca! Gdybyś tylko miał takiego ojca!”.

Po góra dziesięciu sekundach, na pewno nie więcej, do akcji wkroczyła matka Scotta, bojaźliwa Betty. Ściągnęła mnie z synka za ucho.

– Czyś ty kompletnie zwariowała, do cholery? – wrzasnęła. – Ty bezczelna żmijo.

I na oczach dzieci jednym ruchem przeciągnęła mnie przez kuchnię, odblokowała drzwi i zepchnęła mnie ze schodów na trawę.

– Wynoś się z mojego ogrodu – powiedziała – i to już. Idź i powiedz rodzicom, co zrobiłaś, ty mała jędzo.

Po tym, jak Tineke podążyła za starszą córką do sypialni, on z Janis pozbiierał z podłogi zimne krokiety ziemniaczane, a pogrążony w milczeniu Sigerius zamiótł porcelanowe skorupy, załadował zmywarę i zaciągnął niezliczone zasłony; kiedy obecność domowników zdradzały jedynie kroki, pociąganie nosem i niezręczne chrząkania, gdy wchodzili sobie w drogę; kiedy oszklona weranda stała się na powrót zwykłą werandą, a Sigerius usiadł w wygodnym fotelu ze szklaneczką whisky w dłoni i ze słuchawkami na uszach, a on sam, zakłopotany i nagle śmiertelnie zmęczony, powlókł się na górę, rozebrał się w pokoju gościnnym, a w łazience na półpiętrze połknął przydział temazepamu i wreszcie położył się na wąskim drewnianym łóżku za leżącą w pozycji embrionalnej Joni – zaczęła się długa noc z 19 na 20 maja 2000 roku.

– Wyjaśnij mi, co się stało przy stole – powiedział po kwadransie ostrożnego głaskania jej ramion i bioder.

Spała albo udawała, że śpi. Przekręcił się na plecy. Okno było jak akwarium z unoszącymi się na majowym niebie gwiazdami. Po kilku minutach wstał, potknął się o ubrania rzucone przez nią w złości na podłogę i otworzył szerzej okno. Powietrze na zewnątrz było ciepłe i gęste, zasunął zasłony. Usłyszał, jak pociąga nosem od płaczu.

– No weź – rzekł.

– Dobrze – odezwała się, kiedy znów położył się obok niej. – Na początek musisz wiedzieć, że Wilbert mieszkał tu przez jakiś czas. Około roku.

– Słucham? – powiedział zdziwiony. – Gdzie?! Tutaj?

– Tutaj, w domu na wsi. Mieszkał u nas prawie przez cały 1989 rok.

Jej głos brzmiał tak, jakby właśnie go poinformowała, że śmieciarka będzie od teraz przyjeżdżać w czwartki. Spoconą dłonią włączył lampkę na stoliku nocnym i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w płowy kark Joni. Czy naprawdę kompletnie *nic* nie wiedział o jej życiu?

– Pierdolisz – rzekł.

– Chciałabym, żeby tak było.

Odjęło mu mowę. Dopiero po chwili zapytał:

– Ale dlaczego? Czego on tu szukał?

– Zamieszkał tutaj. Przecież ty też teraz tu mieszkasz. Czasami ludzie nie mają domu.

Z tą samą opanowaną, denerwującą pewnością, która w niczym nie przypominała jej wcześniejszego wybuchu złości, wyjaśniła mu, co się stało, kiedy wróciła z Janis i rodzicami ze Stanów. W pierwszych latach w kampusie Tubantii dochodziły ich słuchy, że źle się dzieje z matką Wilberta, bardzo źle. Piła. Chłła. Lata, kiedy Margriet Wijn³³ oddawała cześć swojemu nazwisku, wypijając codzienne ni mniej, ni więcej tylko litr wina, dawno minęły, teraz bowiem na stole królowały mocne trunki – whisky, jenever, tania wódka – które także piła litrami, nadając nazwisku optymistyczny, wręcz nostalgiczny wydźwięk. Od jej brata dowiedzieli się, że od czasu do czasu Margriet spędzała parę miesięcy na wyspie Texel zamknięta w klinice Jellinek.

– A któregoś dnia – powiedziała Joni wciąż odwrócona do niego plecami – po prostu umarła.

Niecała dobę po tym, jak matka Wilberta zapiła się na śmierć, co nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wypadło w siedemnaste urodziny jej syna, Menno Wijn oświadczył chłopakowi, że ma dość mieszkania z nim pod jednym dachem. „Ja też mam dość” – odpowiedział Wilbert. Parę dni później Sigerius zjawiał się na cmentarzu w Utrechcie i patrzył, jak przezarte alkoholem ciało Margriet składano do grobu. Dopiero pod koniec stypy podszedł do syna – bez konkretnego planu, jak przyznał się Joni wiele lat później, właściwie zrobił to pod wpływem nienawistnych spojrzeń rodziny swojej byłej żony. W porywie pełnych skruchy uczuć ojcowskich zapewnił Wilberta, że drzwi jego domu w Enschede stoją dla niego otworem, i powiedział, żeby sam podjął decyzję.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Dwa tygodnie po pogrzebie matki Wilbert pojawił się bez zapowiedzi na ich posesji. Siedemnastoletni bezdomny. Nie zostawił motorki na ulicy, tak jak każdy normalny człowiek, tylko zaprowadził ją na tyły budynku. Postawił ją w koniczynie, a sam stanął przed motorkiem, czekając, aż w kwietniowym słońcu wyjdą mu na spotkanie członkowie jego nowej rodziny. Aaron wyobraził sobie tę scenę: oto przyszły morderca z beczelną twarzą obsypaną trądzikiem, w koszulce bez rękawów odsłaniającej opalone, w jego mniemaniu umięśnione ramiona, stworzone do rozładunku barek na Renie, rozdzielania celnych razów, przyciskania dziewcząt do ceglanych murów, idzie, prowadząc obok swój motocykl terenowy.

– Rozpoznałaś go? – zapytał oszołomiony Aaron.

– Tak – odpowiedziała. – Wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam.

Jedenaście lat później siodełkowata twarz Wilberta wciąż miała cygańskie

rysy, ale łąkę farby olejnej zastąpił niewzbudzający zaufania i nieufny grymas. Nadal miał kruczoczarne włosy, prawie granatowe, ale dłuższe i bardziej przethuszczone.

Zdaniem Joni 1989 był najdziwniejszym rokiem w jej życiu, ale Aaron słuchał jednym uchem. Zaskoczyła go sama wiadomość. A więc tutaj mieszkał młotkowy z IJmuiden. Joni nie zdradziła się ani jednym słowem, tak samo Sigerius i cała reszta. Siem musiał uznać, że Aaron o tym wie, co było całkiem zwyczajnym założeniem, bo jak można było nie wiedzieć czegoś takiego po czterech intensywnych latach z Joni. Aaron jednak był tak zaskoczony, że zapomniał się zezłościć, zbyt zajęty wyobrażaniem sobie, jak Wilbert Sigerius leży na dole na ciemnoróżowej trzyosobowej sofie w skarpetkach tenisowych, jak szlifuje cylindry swojej hondy na tarasie w ogrodzie, jak myje spocone giry pod tym samym prysznicem, z którego Aaron skorzysta następnego ranka.

– No a gdzie spał? – Głupie, choć bardzo istotne pytanie.

– Przez ścianę – odpowiedziała Joni. – W gabinecie ojca. W dniu, kiedy przyjechał, wynieśli biurko i wstawili łóżko. Spał na tym samym łóżku co my teraz.

– Daj spokój.

– Cóż – odrzekła. – Pierwsze tygodnie były naprawdę ciężkie. Sam fakt, że nagle się tu pojawił. Na śniadaniu, w wannie, wieczorem z pilotem w ręce. Na początku paliłam świece, żeby sobie poszedł.

– Świece? – Był wściekły, ale ciekawy.

– Tu – wskazała – na parapecie. Podgrzewacze. Modliłam się, żeby załadował graty na motorynkę i odjechał w siną dal. Był pyskаты i bezczelny. Kiedy dzieciaki pytały mnie w szkole, kim jest, kłamałam, że przyjechał z Węgier w ramach programu wymiany uczniów.

Aaron westchnął głęboko.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Jak się wam układało?

– Na początku wszyscy bardzo się starali – ciągnęła. – Tata, mama, Janis, ja, ale on też. Znosił nam najdziwniejsze prezenty. Kiedyś siedzieliśmy w ogrodzie i matka się wygadała, że rano zepsuła jej się suszarka do włosów. Następnego dnia dał jej w prezencie nową. Ponieważ był nam wdzięczny.

– Ukradł ją?

– Wcale nie, Wilbert miał pieniędzy jak lodu, kupił najdroższą suszarkę do włosów. Rodzice nie wiedzieli, jak na to zareagować. W zwyczajny wtorkowy wieczór matka rozpakowała suszarkę zawiniętą w ozdobny papier. „Ojej, cóż, dziękuję Wilbercie”. Ojciec miał wątpliwości, poszedł do V&D, Blokkera

i Scheer & Foppen, aż w Kijkshopie sprzedawca powiedział mu, że wtedy i wtedy pojawił się u nich chłopak z kaskiem i akcentem z Randstad z zamiarem kupna suszarki do włosów. „A widzisz?”, powiedział wtedy ojciec. Przez pierwsze miesiące był pełen optymizmu. Chciał wychować Wilberta.

– Błąd.

– Znasz zakończenie – rzekła. – Skąd mogliśmy wiedzieć. Nawet nie wiedziałam, że wcześniej siedział. W miarę upływu czasu ojciec i Wilbert coraz częściej się kłócili. Niewiarygodne, ale ścierali się na każdym kroku. I nawet nie chodziło o poważne sprawy, takie jak incydenty, bijatyki na mieście, włamania do pustostanów, kokainę. Nie, zwykłe sprawy. Ciągłe kłótnie o nic. Niekończące się dyskusje na temat jego gustów muzycznych. Jak sobie to przypomnę, to...

Na zewnątrz słychać było karetkę na sygnale. Kiedy znów podjęła opowieść, brzmiała nieco swobodniej.

– Wilbert lubił rap i hip-hop. Głównie Public Enemy, zresztą mnie też podobał się ten zespół. Chuck D, Flavor Flav, Terminator X, znam te nazwy na pamięć. *Yo! Bum Rush the Show, It Takes a Nation of Millions to Hold Us Back*, leciało cały Boży dzień z czterech ogromnych głośników, które skądś zdobył. „Ciszej!”, wciąż słyszę krzyk ojca. Złość i beznadzieja przebijające się przez wrzask u dołu schodów. Kiedy wracałam rowerem ze szkoły przez kampus i wjeżdżałam na Langekampweg, zanim zza ściany lasu ukazał się nasz dom, już słyszałam głośne basy. *Louder Than a Bomb*. Z tej kanciapy za ścianą.

– Dawniej też kłóciłem się o muzykę. To normalne.

– Uwierz mi – odrzekła – to nie było normalne. Oko za oko o pierdoły. O nic, o... colę. Nie wolno nam było pić coli, ale pojawił się Wilbert, który był od niej uzależniony. Wilbert całe życie pił dwa litry coli dziennie, nie zwykłej coli, ale Coca-Coli. Każdą inną markę wylewał do zlewu, poza Pepsi, którą wylewał do kibelka, sama widziałam. Jeśli w niedzielę wieczór nie było butelki coli w lodówce, jechał spocony jak mysz do najbliższej frytkarni.

– No i dobrze – podsumował Aaron. – W końcu od coli się umiera.

Udała, że go nie słyszy.

– No więc, okej, Janis i ja odtąd też mogliśmy pić colę. Któregoś dnia rozmawiamy przy stole o plombach mojej siostry. Janis właśnie wróciła od dentysty, jednaście lat i już dwie dziurki. Rozmowa dotyczy mycia zębów, jedzenia słodyczy i tak dalej, znasz to. Wilbert mówi: „A ja nie mam żadnej dziurki”. „Ojej, Wilbercie, mówi matka, to świetnie”. „Żadnej dziurki, mówi,

więc cola jest dobra dla zębów”. Normalny człowiek śmieje się z takich głupot, uważa, że to „więc” jest zabawne albo i nie, lecz w żadnym razie nie bierze tego na serio. Ale nie Siem. Reaguje zbyt ostro. Od miesiący uważa, że Wilbert ma taki sam zły wpływ na córki jak dwa litry coli dziennie na uzębienie. Wścieka się o „więc”. Normalny chłopak spuszcza z tonu i mówi: „Żartowałem, nie nakręcaj się”, ale Wilbert nie jest normalnym chłopakiem, Wilbert zawsze chce się bić. Próbuje udowodnić, że ma rację, utrzymuje, że cola jest dobra dla zębów. Że *naukowo* udowodniono, że cola jest dobra dla zębów.

– Naprawdę w to wierzył?

– Przekomarzał się. Znasz Siema: jest racjonalny, inteligentny, ale nie ma za grosz poczucia humoru. Sam wiesz, jak łatwo się złości. Wpada we wściekłość, ale Wilbert nie pozostaje dłużny: „Wódka, to ona szkodzi zdrowiu, zobacz, co się stało z moją matką, ale nie cola, naprawdę nie, w coli jest fluor”, i stuka nożem w zęby, stuk, stuk, stuk. Tak było, kłótnie o pierdoły. A ojciec to łykał.

Jego zdaniem była niesprawiedliwa dla Sigeriusa. Zapomniała, może wciąż zaślepiona wściekłością, że Wilbert swoimi żartami robił ojcu na złość. Cola jest dobra dla zębów – no oczywiście! Aaron rozmawiał kiedyś z doktorantem, mocno zbudowanym Koreańczykiem, który studiował prace Sigeriusa opisujące jego ciężką drogę do wyprowadzenia dowodów. Chłopak kilka razy powtórzył, że to było „so cool”, zanim Aaron się zorientował, że chłopak powiedział „so cruel”, mając na myśli bezlitosny sposób, w jaki Sigerius traktował swoją pracę, kiedy znajdował dowód przeciwny. Czasem owoc kilku miesięcy albo i lat pracy.

– Dopiero później dowiedziałam się, co się tak naprawdę za tym kryło, co ukrywali przede mną i Janis. – Pociągnęła nosem i przewróciła się na plecy. – Skakali sobie do oczu z powodu coca-coli, ale tak naprawdę chodziło o kokainę, o rachunki od dentystów za zęby wybite przez Wilberta. O pracę, którą ojciec załatwił mu w dziale technicznym uniwersytetu, a on zwędził dwie szlifierki kątowe i je sprzedał.

Słuchając Joni, Aaron zastanawiał się, co on by sobie myślał o nieproszonym męcie. Co by zrobił, gdyby miał czternaście lat i do domu jego rodziców wprowadziłby się taki rozjuszony drań. Ktoś taki jak... Pietje Suiker – pomyślał o Pietjem, niewyobrażalnie silnym i bezczelnym chłopaku z lat jego dzieciństwa, o duchu, o którego istnieniu zapomniał na dobrych piętnaście lat. Piet Suiker, zdrobniale Suikertje, „Suik” dla ziomali – najbardziej niebezpieczny idiota ze wszystkich, w piątej klasie rzucił szkołę,

bo nie była mu potrzebna. Głupek we wczesnym okresie życia, wydawało się, że jego irytująca obecność jest wieczna, ale zwiędła i zniknęła tak szybko, jak znika bąbel na stopie. Suikertje – za pięć guldenów można było u niego zamówić dowolne buty sportowe, które następnie rabował z Sijbers Sporthuis za mostem w Venlo. Po lekcji pływania zabierał kolegom okularki pod prysznicem i wieszał je sobie na siusiaku. W wieku jedenastu lat za guldena za krzakami dzikiej róży pokazywał, jak z tej samej, przerażająco sztywnej trąbki można wycisnąć mleczko, najobrzydliwsze słowo, jakie poznał Aaron. Gdy Suikerowi ukradziono zündappa, zapuścił się z kijem bejsbolowym do Genooi, powiedzmy, że odpowiednika Bronksu w Venlo, i wrócił z motorynką. Kiedy Aaron chodził do liceum, Piet rozbijał się oplem mantą z obniżonym zawieszeniem po Burgemeester Gommansstraat. Co pomyślałby Aaron, gdyby wieczorem Suiker parkował mantę pod ich domem i trzymał drogie adidas na szafce na buty w przedpokoju? Gdyby siedział przy ich kuchennym stole? W piżamie grał na commodorze ojca? „Chłopaki – usłyszał w myślach głos matki – *Ter land, ter zee en in de lucht*³⁴ się zaczyna”, po czym nie tylko on i Sebastiaan, ale ten umiejętny dureń też zbiegłby po schodach na dół. Właśnie coś takiego przytrafiło się Joni.

Rozluźniła się, jej ciepłe ciało dotknęło jego boku.

– I mimo że to wszystko się zdarzyło, te wszystkie przykre rzeczy... naprawdę, też tak o nich myślałam... zaczynałam coraz bardziej lubić Wilberta.

Teraz Aaron wstrzymał oddech. Delikatnie odsunął się od niej.

– Miotaly mną sprzeczne uczucia. Wcale nie chciałam go lubić. Ale dla mnie był miły. Opiekuńczy. Woził mnie motorynką na dworzec. Upierał się, że po mnie przyjedzie, jak wracałam skądś po nocy.

– Złoty chłopak – powiedział Aaron.

Joni zamilkła, wydawało mu się, że słyszy, jak zgrzyta zębami.

– Poznałam jego ulubionych wykonawców: LL Cool J, Run DMC, NWA. Posłuchaj tego, posłuchaj tamtego. Kupił mi walkmana...

– Ukradł dla ciebie walkmana...

– ...bardzo drogiego, marki Sony. Zabrał mnie w tajemnicy do Amsterdamu, do Paradiso. Pojechaliśmy we dwójkę zobaczyć na żywo Public Enemy, mój pierwszy koncert, ojciec do dziś o tym nie wie. Wróciliśmy pierwszym porannym pociągiem. I nauczyłam go jeździć konno. Tam gdzie teraz jest warsztat, była stajnia Peggy Sue. Nie można go było od niej oderwać. Jeśli nie jeździł motorynką albo nie szlajał się po Enschede, sterczał przy mojej klaczy. Chciał koniecznie nauczyć się jeździć konno. Często

jeździłam z nim do Horstlinde, robiliśmy kółeczka na padoku.

– Resocjalizacja w Drienerlo. – Chciał, żeby to zabrzmiało żartobliwie.

– Ale najgorsze, że był taki zabawny. Często nas rozśmieszał, mnie, Janis i mamę. Ze wszystkiego robił przedstawienie. Kiedy ojciec prosił go, żeby dolał sosu do sosjerki, to nie wstawał, tylko brał ścierkę ze stołu, rozkładał ją sobie starannie na kolanach i udawał, że ma dziewięćdziesiąt lat, a jego krzesło to wózek inwalidzki, przysuwał się do blatu, skrzypiąc i szurając, wiercił się i znów odsuwał. „Letko stuka penis o podpaskę w rytm podniecenia”, trąbił po całym domu, używając utrechckiej gwary, kiedy mama dostała płytę Roba de Nijsa.

Aaron się nie śmiał. Wyciągnął ramię spod głowy Joni.

– Trzeba by przy tym być, żeby zrozumieć – powiedziała Joni.

W milczeniu patrzył na pokój: na jasnoróżowe zasłony w białe konie i poduszki w poszewkach uszytych przez jej matkę z tego samego materiału, które leżały na siedziskach dwóch drewnianych krzeseł. Innymi, pełnymi zaniepokojenia oczami spojrzął na pluszaki na pomalowanej na różowo półce z seryjnymi wydaniem *Klucza kulików*, *Bougainville* i *Charakteru*. Wyobraził sobie nastoletnią Joni, jak czyta powieści na łóżku i odrywa się od lektury, słysząc ciężkie kroki Wilberta na ścieżce. A może wcale nie były ciężkie? W białej szafie z rozsuniętymi drzwiami zobaczył pudła na obuwie, które z całą pewnością skrywały jej kalendarze szkolne, klasówki i zeszyty zapisane pękatymi literkami „a” i „o”. Chciałby sprawdzić, czy Wilbert nie zostawił jakiegoś śladu w kalendarzach: swojego imienia, plakietki Public Enemy, coś w ten deseń. Na taborecie dostrzegł stos czasopism „Elle”, roczna prenumerata, którą wyprosiła na piętnaste urodziny i która ją „zirytowała” na tyle, że po trzech miesiącach rodzice pozwolili jej zrezygnować. O takich pierdołach opowiadała mu nader chętnie, o nich tak. Jezu Chryste. Bez względu na to, jak bardzo lubiła tego śmiesznego gnojka, rok 1989 musiał mieć złe zakończenie.

– Co poszło nie tak? – zapytał.

Joni nie odpowiedziała.

– Jezu, musimy iść spać – powiedziała po chwili i pomacała miejsce pod poduszką, wyciągając opaskę do spania.

– No powiedz, co poszło nie tak.

– Co poszło nie tak? Wszystko. – Odłożyła opaskę i odetchnęła powoli. – Właściwie to w tym domu. To zdarzyło się zbyt blisko, można powiedzieć, że pod nosem taty, w końcu miarka się przebrała. Po jedenastu miesiącach Siem miał dość. Wilbert musiał odejść, trzeba było usunąć zepsute jabłko, i to

szybko, zanim ci dwaj zrobią sobie nawzajem krzywdę. Ciężka atmosfera utrzymywała się już od kilku tygodni. A Cygana powiesili.

– Tak się mówi, jak ktoś jest niewinny.

Wsunął rękę pod kołdrę i musnął jej brzuch, czując, że go wciągnęła. Z westchnieniem wyłączył lampkę.

– W tamtym okresie miałam korepetycje z francuskiego – odezwała się. – Uczyła mnie kobieta, dorosła kobieta, tak wtedy myślałam, ale tak naprawdę była jeszcze młoda, mniej więcej w tym samym wieku co ja teraz, właśnie skończyła z wyróżnieniem jakieś studia w Utrechcie, obroniła magisterkę z tej... eee... jak się nazywa ta jędzowata kochanka Sartre'a?

– De Beauvoir.

– Tak, dokładnie. Ale cholera, jak ona się nazywała, ta korepetytorka... – Zaczęła się zastanawiać, dodając, że jej imię zaczynało się na literę „F”.

– Czy to ważne, jak się nazywała?

– To była taka paniusia, ale ładna. Zadbana, elegancka, trochę sztywna, taka filmowa guwernantka. Miała bardzo jasną karnację i mnóstwo pieprzyków.

– Miałaś korepetycje – powiedział z naciskiem. – Nie odbiegaj od tematu.

Mimo to wyjaśniła mu, na czym polegał szkolny reżim w ich domu: jeśli Janis albo Joni groziła trójka z minusem z któregoś z przedmiotów, rodzice zaraz załatwiali korepetytora.

– Wyniki to tajemnicze słowo klucz w tej rodzinie, chociaż nikt się do tego nie przyzna. Zawalić szkołę? Nie ma mowy. Wcale nie chciałam być najlepsza w klasie, ale im na tym zależało. Nie bez powodu wysłali mnie do prywatnej szkoły w Berkeley. Berkwood Hedge: małe klasy, pełna kultura, czesne w tysiącach dolarów. Później w Bostonie Kids Are People Middle School, amerykańska szkoła prowadzona metodą Montessori, co roku wystawialiśmy sztukę Szekspira. W domu Sigeriusów trójka to była ocena niedostateczna.

– A w międzyczasie w ogrodzie młodociany przestępca podrasowywał swoją motorynkę – rzucił.

– Vivianne! Vivianne Hiddink. Rodzice ją ubóstwiali. Mieszkała w Strasburgu, rok studiowała na Sorbonie, w Twente zajęła się organizacją programu dla Studium Generale. Korepetycje jeszcze się nie zaczęły, ale ojciec uznał, że należy ich zaprosić. W Ameryce gościliśmy Richarda Feynmana, jeśli coś ci to mówi, ale dobrze, Hiddinkówna też była interesująca, dlaczego nie.

– No właśnie, dlaczego nie?

Miał ochotę strzelić focha: całe to gadanie o elitach – miała na tym punkcie

fioła. Ale z obawy, że nie będzie chciała mówić, powstrzymał się.

– Jej chłopak, Maurice, zrobił doktorat z fizyki teoretycznej. Tuż po trzydziestce, błyszczące, czarne włosy, angielska tweedowa marynarka, bułkę przez bibułę. Przez cały wieczór rzucał nam lakoniczne spojrzenia zza okularów Schuberta i wszystko, co mówił, było zabawne. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy miałam do czynienia z kimś tak różnym od Wilberta. Widok tej dwójki przy stole kłuł w oczy. Ale nie można było kazać Wilbertowi, żeby zjadł befszytk w kuchni, chociaż tacie by to nie przeszkadzało. Pamiętam, że Wilbert, który poza tym zachowywał się poprawnie, był ciekaw, co Maurice robił całymi dniami w „takim instytucie naukowym”. „Mam tam swój gabinet”, odpowiedział, czyszcząc okulary miękką szmatką. „Stoi w nim tylko kanapa, cały dzień leżę na niej i rozmyślam”. To musiało brzmieć znajomo: własna kanciapa tylko z łóżkiem do rozmyślań.

Uśmiechnęła się lekko, prawdopodobnie do siebie. Miała gadane i dobrze o tym wiedziała.

– Vivianne przychodziła w soboty rano, od wpół do dziesiątej do wpół do dwunastej, dla mnie to była kara i jeszcze musiałam się rano spieszyć, żeby zdążyć się ubrać. Siedziałyśmy w tym pokoju, przy biurku dziadka Sigeriusa, które nazwała wdzięcznie *bureau ministre* i które odtąd my też tak nazywamy.

– I ja też.

– Oprócz Wilberta – powiedziała. – On myślał o zupełnie innym francuskim. Nikomu nie umknęło, że w sobotnie poranki siedział już na dole, wyjątkowo wcześniej jak na niego, że szukał spojrzeniem Vivianne. Jeśli tylko mu się udało, przyjmował od niej płaszcz i starannie wieszał go na wieszaku w holu. Wysiłki, z których się nabijaliśmy, oczywiście niewinnie. Cóż, to było miłe i zrozumiałe, Vivianne wyglądała... olśniewająco w garsonce. W domu pachniało chanel do późnego wieczora.

Przycisnął nos do szyi Joni.

– I oto któregoś niedzielnego popołudnia tata odebrał telefon od Maurice'a. Dziwna rozmowa, która w założeniu nie była ani krótka, ani lakoniczna. Po dwóch minutach wszedł na górę i poprosił, żebym odłożyła słuchawkę na dole. Po kwadransie wrócił do salonu i powiedział, że Vivianne już do nas nie przyjdzie. Tylko tyle.

– Bo?

– Później, kiedy Wilbert wybrał się gdzieś motorynką, tata powiedział nam, że Vivianne rozważała pójście na policję. – Zakaszłała i przełknęła ślinę. – Zaczęło się od apaszki, nie było jej w rękawie płaszcza. Może gdzieś ją

zostawiła albo zgubiła. To się zdarza. Maurice powiedział ojcu, że tydzień później w drodze powrotnej Vivianne sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę z irlandzkiego lnu, perfumowaną damską chusteczkę, dobrze znałam te jej drobiazgi. Okazało się, że chusteczka zamieniła się w wilgotną kulkę. Nie pachniała już chanel, tylko nasieniem. Chociaż uznała, że to „obrzydliwe”, „bardzo obrzydliwe”, nic wtedy nie powiedziała, nawet Maurice’owi. Oczywiście domyśliła się, kto to zrobił.

Joni zamilkła na chwilę i rozprostowała ramiona. Zaskrzybiało łóżko.

– Nie bądźmy dziecinni, postanowiła Vivianne, ten chłopak to nastolatek, nieco nieokrzesany nastolatek, jak zdążyła się przekonać. Poza tym lubiła do nas przychodzić, dobrze się rozumieliśmy. Możliwe, że czuła się wyróżniona, któż to wie. Przecież taki kleks to swego rodzaju komplement, prawda?

– Na pewno wyraz zainteresowania.

– Dwa tygodnie później, przy czym o chusteczce wiedzieli tylko ona i Wilbert, Vivianne siedziała ze mną w pokoju i jak zwykle gdzieś po dwóch godzinach, po tym, jak matka przyniosła nam kawę i chleb z rodzynekami, poszła do łazienki, tu na górze. Siedzi na kiblu za zamkniętymi drzwiami i słyszy jakiś dźwięk dobiegający z za zasłony od prysznic. Słyszy czyjś oddech. Tymi słowami opisała to na rozprawie.

– Na rozprawie?

– Tak, w Almelo. Słyszy czyjś oddech i cała sztywnieje. Przez chwilę wydaje jej się, że słyszy siebie, swój przyspieszony oddech. W końcu zaczyna kolarzyć i odsuwa zasłonę od prysznic. Stoi tam: nagi, ze spodniami dresowymi opuszczonymi do kostek, z apaszką w szkocką kratę w dłoni, tą samą, którą zgubiła trzy tygodnie wcześniej. Wali konia, wachając tę pieprzoną apaszkę, półtora metra od Vivianne.

– Ohyda!

– Ale co robi ona? Nie krzyczy. Niechcący robi mu przysługę, nie zastanawiała się nad tym, jak twierdziła później. Oszczędza go i *nie* krzyczy. „Co robisz?”, szepcze, a on dochodzi. Ona stoi i patrzy. On robi krok do przodu, staje prawie nad nią i leje...

– Tryska.

– Dobrze, tryska nasieniem na jej dłoń i uda. „Masz nie po kolei w głowie”, szepcze Vivianne i wciąż zachowuje spokój, być może jest sparaliżowana strachem, tak to przynajmniej przedstawiła. Z powrotem zaciąga zasłonę od prysznic, ściera papierem toaletowym plamy z ud, podciąga rajstopy i obciąga spódniczkę, zapomina o spuszczeniu wody, myje ręce i wraca do pokoju.

– Co za skurwysyn – powiedział Aaron.

– Cóż... – odpowiedziała i zamilkła na chwilę. – Ale – ciągnęła dalej – Vivianne też była dziwna. Wchodzi do mojego pokoju, patrzy w lustro, poprawia grzeczną bluzkę i siada. „Dobrze – mówi – na czym to skończyliśmy? *Futur du passé* zawsze sprawia trudność”. Nic! Kompletnie nic na temat Wilberta! Gdyby nie rozmowa telefoniczna, nie miałabym pojęcia, że coś się stało. To babsko dokończyło lekcję jak gdyby nigdy nic, jak zwykle zeszałam z nią na dół, w holu zamieniłyśmy jeszcze z matką parę słów, a potem wsiadła do swojej renówki i pojechała do Maurice’a.

Na zewnątrz, nad kampusem, słychać było syrenę pociągu InterCity, prawdopodobnie przejeżdżał przez stację Drienerlo. Przeciągły dźwięk dotarł do pokoju gościnnego i wyrwał Aarona z zamyślenia. Uświadomił sobie, że nie potrafi wyczuć atmosfery. W jakim nastroju jest Joni? Wydawało mu się, że oskarżyła korepetytorę. A może nie? Od wielu dni źle oceniał wszystko i wszystkich.

– Prawdopodobnie Vivianne chciała się najpierw skonsultować – powiedział. – Przecież nie była głupia. Można uznać, że nie zrobiła od razu afery, ponieważ była opanowana.

– To prawda – odezwała się Joni. – Ale to dziwne. Dziwne, że nikomu o tym od razu nie powiedziała. Zachowywała się, jakby w tej łazience nic się nie wydarzyło. Skąd wiadomo, że w ogóle do czegoś tam doszło?

Zamiast zastanowić się nad jej sugestią i przynajmniej udawać, że ją rozważa, krzyknął oburzony:

– Chyba żartujesz! Czegoś takiego nie można wymyślić. Oczywiście, że to się wydarzyło.

– Cóż... – rzekła – on się nigdy nie przyznał...

– Pewnie, że nie! Dlaczego miałby się przyznać?

– Mówisz, że czegoś takiego nie można wymyślić, ale można też powiedzieć: czegoś takiego się nie robi. Bardziej prawdopodobne, że ktoś coś takiego wymyśli, niż naprawdę zrobi.

Czuł, że wzbiera w nim fala złości.

– Joni, ja też kiedyś myślałem o tym, żeby zrobić z kogoś marmoladę za pomocą młota kowalskiego. Ale tego nie zrobiłem. Ten wasz Wilbert robi to, co sobie zaplanuje, a potem nieszczęście gotowe. Zakładam, że sędzia podzielał moje zdanie?

Odwrociła się do niego plecami, trąciła go w biodro, jakby jej tyłek był rękawicą bokserską.

– To było jego słowo przeciwko jej słowu – stwierdziła. – Niczego nie

udowodniono. Nikt nic nie widział i nie słyszał.

Podniósł się na łóżku i popatrzył na ciemny zarys jej ramion nad kołdrą. Naprawdę tak myślała? Naprawdę wątpiła w to, co stało się w łazience?

– Joni – odezwał się – nie bądź naiwna. A ta zapaskudzona chusteczka? To też wymyśliła? Bądź racjonalna.

– I kto to mówi – warknęła. – Ty będziesz mi mówił, co jest racjonalne, a co nie?

– Mówię tylko to, co myślę, i rzeczywiście uważam, że jesteś wyjątkowo nieracjonalna. Jaki był wynik rozprawy?

– Wyjątkowo nieracjonalna? – westchnęła teatralnie. – Do cholery, człowieku – wybuchnęła. – Nie wytrzymam. Cały tydzień zachowujesz się jak idiota, tak jak dzisiaj przy stole z tą swoją marną historyjką, i nazywasz mnie nieracjonalną? Weź jeszcze jedną tabletkę nasenną, Aaronie. Dobranoc.

Ściągnęła na siebie kołdrę i ułożyła głowę na poduszce. Cieszył się, że światło było wyłączone, ponieważ czuł, że się rumieni.

– Marna historyjka? – powtórzył, próbując zachować spokój. – O czym ty mówisz?

Milczała.

– No?

– Aaronie, chyba nie sądzisz, że uwierzyłam w te bzdury o Manusie?

– To nie wierz.

– Żebyś wiedział, że nie wierzę.

Ucichli, na pięć, może dziesięć minut. Patrzył na lekko falujące zasłony. Uwierzył, że śpi, i to go rozzłościło. Wiedziała, że po kłótni nie mógł zasnąć. „Jak nie ma kłótni, też nie możesz spać” – powiedziałyby rano. W panującej wokół ciszy nagle poczuł, że coś przed nim ukrywa. Zaserwowała mu ugrzecznioną, Aaronoodporną wersję wydarzeń. Ostrożnie szafowała szczerością na temat wszystkiego, co miało siusiaka. Po czterech latach zazdrość tak bardzo zdominowała ich związek, że musiał zgadywać, co tak naprawdę sądziła o Wilbercie. Nawet gdyby powiła mu bliźniaki, nie powiedziałyby o tym Aaronowi.

– Pewnie się w nim zakochałaś – stwierdził ze złością.

– Mów sobie, co chcesz – padła natychmiastowa odpowiedź.

Przełknął złość.

– Nadal nie otrzymałem odpowiedzi. Dlaczego zrobiłaś tę idiotyczną scenę? Dlaczego rozbiłaś miskę z krokietami ziemniaczanymi?

Nie zareagowała. Przez długie minuty patrzył na jej plecy, aż usłyszał miarowy oddech świadczący o tym, że zasnęła.

W kolejnych dniach Sigerius unikał starszej córki. Zdaniem Aarona to nie był przypadek, że ani razu nie siedzieli razem przy stole i Sigerius najczęściej jadał poza domem. Aaronowi wydawało się, że Joni zapomniała o ich nocnej rozmowie i z kolei unika jego. Jej zachowanie go irytowało: w jednej chwili cieszyła się jak dziecko z wyjazdu do Ameryki, w drugiej płakała z powodu Ennia.

On zaś urabiał się po łokcie dla „Tubantia Weekly”. Dzięki Bogu. Nie da się ukryć, że dzięki katastrofie wspiał się na wyżyny swoich możliwości, mimo nieprzespanych nocy w ostatnich tygodniach przechodził sam siebie. Blaauwbroek był pod wrażeniem. Szef Aarona był pierwszą osobą, która nagrała się na sekretarce Joni, zostawiając daleko w tyle zatroskanych przyjaciół i członków rodziny, w dodatku jego głos zdradzał podniecenie, jakie czuje jedenastolatek, który właśnie odkrył, że do jego wsi przyjechał cyrk.

– Bever, dzień dobry, tu Blaauwbroek. Zakładam, że żyjesz. Słyszałeś wybuch? Chłopcze, obudź się ze snu zimowego. Czujesz to? Robimy dodatkowe wydanie, pewnie cię to nie dziwi.

Łączyła ich zażyłość oparta na miłości i nienawiści: na imprezach i rautach głośno okazywali sobie sympatię, by w pracy ciągle toczyć wojny. Ponieważ Aaron ukończył Akademię Sztuk Pięknych, a nie studium dziennikarskie, Blaauwbroek podejrzewał go o artystyczne aspiracje, co on sam dodatkowo podsycił. „Chłopcze, to nie idzie do muzeum” albo „spróbuj z krótszym czasem naświetlania”, albo „a oto i nasz fetyszysta martwej natury” – ileż to razy znosił tego typu komentarze. I sam przyznawał, że jest kiepskim fotoreporterem, bo był zbyt powolny do tej pracy, za bardzo się wahał, nie zależało mu zresztą na twardych niusach, ale właśnie dlatego – odpowiadał kłamliwie Blaauwbroekowi – pracował dla niego, a nie dla Reutera.

Teraz za to chodził po obłożonym przez zagraniczne media Enschede, jakby wysłał go tu sam „Time Magazine”. U chińskiego importera w Liège sfotografował sztuczne ognie klasy I.I przed, po i w trakcie eksplozji, te same, które zamieniły magazyny Fireworks w cukier puder. Ubrany w skafander kosmiczny zwiedzał miejsce katastrofy wraz z dwoma dawnymi mieszkańcami i komendantem policji i tym razem sam tworzył nowe pomysły na zdjęcia. Zrobił serię fotografii mieszkańców dzielnicy Roombeek pozbawionych domów, namówiwszy ich, żeby pozowali w podartych i zakrwawionych ubraniach, które mieli na sobie w sobotę trzynastego maja (jego zdjęcie przedstawiające półnagiego mężczyznę w jednym klapku godzinami wałęsającego się ze szczypcami do grilla w ręce po płonącej

dzielnicy znalazło się na okładce broszury organizacji wspierającej poszkodowanych). Na podziurawionym dachu browaru Grolscha udało mu się uchwycić panoramę zwęglonego miejsca katastrofy – cierpką imitację zdjęcia wojennego zakupioną przez gazetę „Algemeen Dagblad”.

Kręciło mu się w głowie od rozrzedzonego powietrza w jego małym katastroficznym świątku. Twardo bronił stanowiska, że wszyscy żyjący mieszkańcy Enschede z kończynami na swoich miejscach nie powinni jęczeć, i nie chcąc być gołosłownym, jako pierwsza i jedyna „ofiara” katastrofy zwrócił zapomogę w wysokości półtora tysiąca guldenów, jaką gmina wypłacała wszystkim poszkodowanym. Joni uznała, że jego postępowanie jest zuchwałe i wręcz krzywdzące.

– Skończ wreszcie z tymi lekceważącymi żartami.

Ostatniego dnia w domu na wsi Aaron uaktualniał ich stronę, korzystając z komputera w bibliotece uniwersyteckiej – niewdzięczna robota, w dodatku został nią obarczony wbrew swojej woli; to Joni chciała założyć stronę, ale to on zrobił kurs Dreamweavera, ona mówiła o czystej prostytutce, ale to on schodził na zawał, ilekroć do sali bibliotecznej wchodził jakiś student. To były ostatnie zdjęcia z serii zrobionej w Golden Tulipie, muszą szybko pokazać coś nowego.

Kiedy wyszedł z biblioteki, powietrze nad kampusem zamieniło się w kryształową kulę. Zadowolenie, że udało mu się uaktualnić stronę, na chwilę przegoniło wizje, w których ucinął sobie drzemkę na stole w czytelni albo na omszałej kostce brukowej na głównym placu. Na granatowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, nad koronami drzew po zachodniej stronie wisały długie pomarańczowe pasma. Gdy odpinał rower, Bastille wypłuła członkinie żeńskiego stowarzyszenia studenckiego; dziewczyny były zatopione w ożywionej rozmowie i właśnie zaliczyły cotygodniową porcję kiełbasek z frytkami i rozgotowanych warzyw, a teraz szukały swoich rowerów.

Postanowił przejechać przez kampus, ścieżka rowerowa zaprowadziła go do szerokiej bieżni lekkoatletycznej, gdzie trzech biegaczy sunęło po zwirowej nawierzchni z cichym chrzęstem, a pośrodku owalnego trawnika siedziały dwie studentki z butelką wina. Słońce zniknęło za zarośniętym wałem zasłaniającym odkryty basen. Ciepłe powietrze smyrało łysą czaszkę Aarona. Zamknął oczy, chroniąc je przed rojem komarów, i zastanawiał się, czy basen zawiera wystarczająco dużo wody, żeby ugasić pomarańczową kulę, gdy poczuł, że ktoś stracił mu torbę fotograficzną, która zawisała na

przedramieniu i obijała się o szprychy. Minęła go studentka na damce, bąkając prawie niedosłyszalne „sorry”.

– Ty pizdo! – wrzasnął i przestraszył się tego, jak szybko jego wewnętrzny spokój zamienił się we wściekłość. Z niespokojnym oddechem zatrzymał rower i stanął w rozkroku. Wszystkiemu zawsze była winna zazdrość. Bał się stracić Joni.

Kiedy dojechał do domu na wsi, padał śnieg. Topole na północnym skraju ogrodu kwitły tak intensywnie, że na ciemniejszym niebie fruwały kotki, a na trawie leżała przezroczysta warstwa waty. Puchate kłębki wirowały wokół kostek Joni siedzącej na omszałym tarasie na tyłach ogrodu obok dawnej stajni jak... no właśnie, jak co? Jak topniejący bałwan.

Naprzeciwko niej przy stole z drewna odpadowego siedziała Tineke, między nimi wały się brudne talerze, stał dzbanek z wodą. Kiedy szedł do nich, ogarnęła go niechęć. Domyślał się, co się dzieje.

– Cześć – powiedział i usiadł obok Tineke.

W odpowiedzi na powitanie Joni wydmuchała nos w kawałek ręcznika papierowego. Jej oczy były opuchnięte od płaczu. Tineke westchnęła głęboko i spojrzała na niego.

– Jesteś głodny? – zapytała.

– Głodny i spragniony – odpowiedział. Zamiast zapytać, dlaczego Joni jest zapłakana, wziął jej pustką szklanke i napełnił wodą. Opróżnił ją łapczywie i wytarł usta. – Tego mi było trzeba – dodał.

Zapadła niezręczna cisza, Tineke zaczęła się podnosić z miejsca, kiedy Joni bąknęła „ja pójdę”. Wstała, poprawiła ramiączko koszulki i szurając nogami po kaflach ogrodowych, skierowała się do kuchni. Gdy tam dotarła, Tineke położyła rękę na jego dłoni i powiedziała cicho:

– Właśnie wróciła z Groningen. Była odwiedzić Ennia. Bądź dla niej miły.

Skinął potakująco głową.

– Co się właściwie stało?

Tineke spojrzała krótko na dom, z letniej kuchni dochodził odgłos włączonej kuchenki mikrofalowej.

– To straszna historia – powiedziała. – Po prostu okropna. – Ze wzrokiem utkwionym w drzwi ciągnęła: – Stanął w płomieniach. Z tego, co zrozumiałam, drzemał na kanapie, kiedy okno pokoju stołowego wpadło do środka. Miał całe plecy i nogi w odłamkach szkła. Potem zapalił się dywan pod stołem, momentalnie zajęła się kanapa, na której leżał, wszystko z syntetycznego materiału oczywiście. Wydostał się na zewnątrz przez zniszczone okno i dopiero wtedy się zorientował, że zajęły się jego spodnie. –

Pokręciła głową. – I kiedy próbował zdusić płomień rękoma... to już naprawdę za wiele... przy ogrodzeniu spadł na niego komin jego własnego...

Zamilkła gwałtownie, gdy usłyszała, że Joni otwiera drzwi moskitiery. Idealne zadanie z mechaniki – pomyślał, patrząc na Joni idącą ścieżką. Dane: prędkość poruszania się mężczyzny i najwyższy punkt komina. Zadanie: jak głęboki jest ogród? Joni patrzyła zbolałym wzrokiem i naprawdę cierpiała, z jękiem głośno postawiła przed nim parujący talerz kurczaka tandoori. Dmuchając na palce, obeszła stół. Źle wyglądała.

– Co mi się dzisiaj przytrafiło – odezwał się, nim usiadła. – Otóż robiłem zdjęcia trzem ewangelickim studentom w ich tymczasowym mieszkaniu. Chłopaki mieszkali przy Tollenstraat czterdzieści dziewięć, w akademiku naprzeciwko fabryki sztucznych ogni, który został zmieciony z powierzchni ziemi ze starotestamentową brutalnością. Zdjęcia, referaty, nowiusieńkie pianino, dwa wypożyczone smokingi: wszystko obrócone w proch. A mimo to wciąż wierzą w Boga. Rezolutni chłopcy, dziękują Panu za to, że nie było ich wtedy w domu. Nieważne, że są ewangelikami, rozumieją, że poczucie humoru jest najlepszym sposobem radzenia sobie z przeciwnościami losu.

– Byłam u Ennia – odezwała się Joni.

– Po dwóch dniach – kontynuował – mieli w repertuarze dowcipy o trzynastym maja. Cały dzień depczą sobie po piętach w tej klitce. „Czy ja dobrze widzę? Masz nowy sweter”. I tak za każdym razem. – Uśmiechnął się, wziął kęs kurczaka tandoori i przeżuując, popatrzył na Joni. – Słyszałem – powiedział z pełnymi ustami. – Ale może przyjmować odwiedzających, a to oznacza, że wraca do zdrowia.

Zrobiła dziwny ruch ręką, jakby złapał ją skurcz, i zrzuciła rolkę ręczników papierowych.

– Wraca do zdrowia? – Głęboko wciągnęła powietrze i zanurkowała pod stół, jakby była poławiaczką gąbek. – Leży na OIOM-ie – zabrzmiało, jakby mówiła pod wodą.

Kiedy wstała z rolką ręczników papierowych w dłoni, uderzyła ramieniem o kant stołu, na tyle mocno, że w jej oczach znów pojawiły się łzy.

– Bardzo to przeżywasz, kochanie – odezwała się Tineke. – Wypłacz się.

(Ryczała, pani doktor. Ryczała. Nie, powiedział to inaczej – kilka miesięcy później w rozmowie z Haitink użył eufemizmu: jego zdaniem reakcja Joni na to, co zobaczyła w szpitalu w Groningen, była zbyt emocjonalna. Tak jakby chirurgicznie skrócono jej tam przewody nosowo-łzowe. Stwierdził, że w jakiś tajemniczy sposób te dwa gejzerki sprawiały, że brzydła – w przeciwieństwie do jego poprzednich, mniej urodziwych dziewczyn, one bowiem ładniały od

płaczu, łzy dodawały im delikatności. Na spokojnie porównał zapłakaną twarz Joni z jej normalną skandynawską świeżością. Szeroka twarz o gładkiej, napiętej skórze. „Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza” – myślał każdy, kto na nią spojrzał. Górna połowa twarzy emanowała zdrowiem, przynajmniej zwykle tak było, siłą, genetycznym złotem. Przebiegłość, zmysłowość i niebezpieczna kobiecość Joni ujawniały się niżej, wokół jej ust, które teraz zamieniły się w wąską, bladą kreskę, a normalnie przypominały bordowy zawilec z delikatnie wysuniętą dolną wargą sprawiającą wrażenie zawsze wilgotnej. Wystarczył dzióbek, a stawała się dojrzałym, dekadentckim okazem zdrowia. Chociaż zdawała sobie sprawę ze swojej urody, czasem spłaszczala koniuszek nosa, bo jej zdaniem był zadarty. A wcale nie był. Był natomiast w stanie wyprodukować niewiarygodne ilości gili).

A jak się miewał Ennio? Chyba ją o to zapytał, ponieważ z niezrozumiałych strzępów wypowiedzi wykoncypował, że Włoch miał poparzenia trzeciego stopnia, pięć złamanych żeber, pękniętą śledzionę i wiele ran otwartych. Na nogach, piersi i sporej części pleców lekarze przeszczepili mu skórę od dawców – jak warstwy lasagne, pomyślał Aaron. Co rano trzeba było odkazić, nasmarować i zabandażować rany, były to bolesne zabiegi, dlatego dostawał dodatkowe środki przeciwbólowe, w tym środki uspokajające. Zamotany w gąszczu rurek i urządzeń, tracił mnóstwo płynów, narządy odmawiały posłuszeństwa, dlatego był na stałe podłączony do kroplówki, od której puchł w najdziwniejszych miejscach.

Joni gwałtownie zamilkła. Oparła okrągłą brodę na rękach, które skrzyżowała na stole.

– Ale żyje – podsumował i podjął niezdecydowaną próbę położenia ręki na jej ramieniu przez szerokość stołu. Gdy poczuła jego dotyk, podniosła się jak oparzona.

– Tak, jeszcze żyje – krzyknęła. Kopnęła krzesło do tyłu i wstała.

– Joon – odezwała się Tineke.

– Jeszcze żyje, ale dają mu niewielkie szanse na przeżycie, gamoniu. Ma sepsę i zapalenie płuc. Ten człowiek jest umierający. Wszyscy są tym wstrząśnięci, cała jego rodzina jest zrozpaczona. Mam wrażenie, że tobie się wydaje, że zawsze jakoś się ułoży.

– Aaron tak nie myśli – powiedziała Tineke uspokajająco i potrząsnęła głową. – To straszne, że właśnie Ennia to spotkało, tak krótko po rozwodzie. Najpierw został brutalnie odstawiony na bok, a teraz to.

Zapatrzyła się ze smutkiem na ogród, z trudem przesuwając brodę po otluszczonej szyi, zatrzymała się dopiero, gdy spojrzała na Aarona –

wydawało mu się, że w jej wzroku kryje się nieme pytanie.

– Przecież Ennio posuwał te swoje sklepowe – rzucił. Zapadła nerwowa cisza. – Takie chodzą słuchy.

Joni wysmarkała nos w papierowy ręcznik, rzuciła kulkę na stół i zapatrzyła się na ogród.

– Niektórzy ludzie – kontynuował – w takim wypadku mówią: kara boska przychodzi szybko i jest dotkliwa. Ale ja tak nie twierdzę.

Jego uwagi trafiały z celnością mewiego gówna – były obrzydliwe i nieprzyjemne, miał tego pełną świadomość, mimo to sprawiły mu radość. Brak snu wyostrzył jego zmysły, bezsenność stanowiła synonim czujności. Ennio był zwykłym świntuchem. Co kwartał między jego chutneyami lądowała nowa studentka pierwszego roku.

– Gdybyś był moim synem – odezwała się Tineke – dałabym ci w twarz.

Ale nie jestem twoim synem – pomyślał. Zgarnął resztki ryżowej brei, włożył je do ust i powiedział:

– Muszę się zbierać. Judo wzywa.

Kiedy koło północy wrócili z Sigeriusem schetani do domu, Joni leżała już w łóżku dla gości. Z jej śpiącego oblicza biła wściekłość. Ostrożnie położył się obok niej, gotów na kolejną bezseną noc. Dziś po raz pierwszy od sceny przy stole był sam na sam z Sigeriusem i szybko się zorientował, że chowa on głęboką urazę. Siedzieli na skraju maty przy dużym bloku rysowniczym i omawiali kata, kiedy Sigerius zapytał go, czy Joni wspominała o „sytuacji”.

– Masz na myśli Ennia – zapytał Aaron z udawaną naiwnością – czy plany wyjazdu do Kalifornii?

– Nie, nie, – Sigerius miał na myśli kłótnię o Wilberta, no wiesz, przy stole, zamieszanie związane z moim synem.

Odpowiedział, że zamienili parę słów na ten temat, Joni opowiedziała mu trochę o starych dziejach, ale ostatnio niewiele ze sobą rozmawiali. Sigerius zapewnił go, że to sprawa między ojcem a córką, stwierdził, że nie powinien go tym obarczać, nie o to chodzi, lecz dręczyło go jedno pytanie: czy Joni kontaktowała się z Wilbertem? Czy dzwoniła do niego? Czy Aaron coś zauważył? Coś wie?

Nie, nic mu na ten temat nie wiadomo.

„Okej, dobrze” – Sigeriusowi to wystarczyło, temat zamknięty, do pracy, dla niego sprawa była zakończona, ale nie dla Aarona, dla niego właśnie się zaczęła, temat został otwarty, tym bardziej że teraz leżał obok Joni zupełnie rozbudzony. Przez chwilę *nie* zadreślał się fantazjami na temat jej igraszek ze

sprzedawcą chutneya, przez chwilę *nie* martwił się istnieniem Stola i McKinseya, chociaż wybawieniem nie można było tego nazwać. O co w tym wszystkim chodzi? Czym zadręcza się Sigerius? Dlaczego nie wtajemniczyli go w sedno sprawy? Noc rozciągała się przed nim niczym madejowe łoże czasu. Udzielił mu się niepokój Sigeriusa, teraz to *on* chciał wiedzieć, czy Joni rozmawiała z tym kryminalistą, a przede wszystkim *dlaczego*. I o co w tym wszystkim chodzi?

Podczas gdy Joni spokojnie spała obok niego i wydawało mu się, że leżała jak najdalej od jego połowy łóżka, rozpracowywał najbardziej przykre scenariusze. Wilbert ją zgwałcił. Nie, chodziła z nim. Bonnie i Clyde. Przez te lata odwiedzała Wilberta w celi, ot, cotygodniowa godzinka bara-bara w sześcianie ze szkła zbrojonego. Gdzieś po świetle pałętało się ich dziecko, oszczeniła się, albo przynajmniej musiała dokonać aborcji – jego myśli przyspieszyły, wirowały coraz szybciej i szybciej, aż pole elektryczne stało się na tyle silne, że obudziło Joni, nagle bowiem coś wyrwało ją ze snu. Leżała obok niego, mlaszcząc i ciężko oddychając po snach, których treść mógł tylko zgadywać. Zapaliła lampkę nocną i wzdychając, zaczęła szukać zegarka.

– Cholera – powiedziała.

Dopiero wtedy spojrzała w bok. Siedział z plecami opartymi o ziarnistą tapetę. Spojrzenie, które mu rzuciła, było... nie do opisania. Co się kryło w tym spojrzeniu? Pogarda, dezaprobata. Nienawiść? Jej wściekłość uległa fermentacji i to, co z niej emanowało, to była... *odraza*.

Mimo to udało mu się sformułować pełne zdanie.

– Joni – zapytał – czy Wilbert do ciebie dzwonił?

Podniosła się, walcząc z kołdrą, i spojrzała na niego pogardliwie. Wydała z siebie stłumiony śmiech, przez chwilę liczył na odpowiedź, ale kręcąc głową, odwróciła się do niego plecami i ułożyła się na poduszce, mówiąc:

– Dobranoc, dupku.

Wreszcie Aaron mógł wrócić do domu. „Do domu” – powiedział jowialnie po ostatnim śniadaniu w domuu na wsi i bez słowa, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, że Joni mu towarzyszy, załadowali torby do alfy i wyjechali z Langekampweg, on za kierownicą, Joni na siedzeniu pasażera z klatką ze świnkamiorskimi na kolanach. Poranne niebo nad kampusem było błękitne. W milczeniu jechali Hengelosestraat; znał te ciche dni i dokładnie wiedział, jak długo potrwać.

Nie przepadali za pyskówkami, szczerze nienawidzili ciągnących się w nieskończoność kłótni. Oczywiście zdarzały się im wcześniej

nieporozumienia, awantury, po których drzwi wypadały z zawiasów, ale im lepiej wzajemnie poznawali swoje słabości i drażliwe tematy, tym rzadziej do nich dochodziło. Joni nienawidziła kłótni. Ponieważ była nastawiona wynikowo, zawsze szukała najkrótszej drogi do sukcesu, który nie zawsze był dla niej równoznaczny z jej zwycięstwem lub przyznaniem jej racji, jak w jego przypadku, lecz raczej polegał na doprowadzeniu do sytuacji dla niej korzystnej. W trakcie którejś burzliwej, niekontrolowanej dyskusji wyrzeszczała mu ironicznie, że dla niej kłótnia jest „bez-pro-duk-tyw-na”.

U wylotu Deurningerstraat spojrzeli na drewnianą zagrodę, wysokie ogrodzenie w siuśkowym kolorze na całej długości Lasondersingel, zakręcające aż do Blijdensteinlaan.

– Wypisz wymaluj wioska Asteriksa i Obeliksa – zwrócił się do Joni. – Tyle że w mniejszym stopniu niezwyknięta.

Nie zaśmiała się.

Był po prostu zwykłym trzęsidupą. Jak mógł, unikał konfrontacji, ponieważ kłótnia z Joni wiązała się dla niego z *ryzykiem*. Od czterech lat powtarzał przyjaciółom, że Joni zostanie matką jego dzieci. Bojąc się, że coś pokrzyżuje mu plany, do niedawna chodził wokół niej na paluszkach.

Czując się nieswojo, podeszli ścieżką do drzwi wejściowych, klucz, który Aaron otrzymał od gminy, gładko wszedł w nowy zamek.

– Na razie postaw zwierzaki w korytarzu.

Szkoło. Niezliczoną ilość razy słyszał o fali uderzeniowej, niewidocznym Hunie, który przetoczył się przez ulice Roombeek, nie oszczędzając żadnego domostwa – a mimo to był zaskoczony. Cały parter, który po czternastu dniach spędzonych na Langekampweg wydawał się wyjątkowo mały, był pokryty odłamkami, gruzem i skorupami. Na stole, na siedzeniach foteli, na półkach z książkami, pomiędzy przyciskami pilota, na parapetach okien, z których jedno poległo, w zlewie, na szafkach – wszędzie leżało szkło. Gmina zabiła deskami zniszczone drzwi przesuwne.

– Podwójne szyby – powiedział – trzeba mieć podwójne szyby.

Przez piętnaście minut krzatali się rozpaczliwie po skrzącym się salonie, a Joni wciąż milczała. Jedyłą parę rękawic kuchennych, znalezionych w szafce pod zlewem, dał Joni, sam założył zimowe rękawiczki. Spodziewał się, że po godzinie atmosfera stopnieje. Zebrał odkurzaczem odłamki szkła z parapetów. W milczeniu wrzucali szkło do worków na śmieci. Wziął dwa talerzyki, które zostawili na stole w dniu ślubu, i zaniósł je do kuchni. Kiedy przechodził obok Joni, podsunął jej nadgryzioną kanapkę ze szkłem pod nos.

– Chcesz gryza? – zapytał.

– Przestań! – wrzasnęła.

Gniewnym ruchem odepchnęła jego rękę, talerz zakołysał się w powietrzu i z hukiem rozbił się na kawałki. Aaron wybuchnął, ścisnął ją mocno za brodę i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

– Co cię łączy z tym pierdolonym Wilbertem?

– Puść mnie – powiedziała.

Ścisnął mocniej, po ręce pociekła mu jej ślina.

– Mów! – ryknął, ale zamiast odpowiedzi usłyszał, jak warczy ze złości. Odepchnął ją od siebie. – Mam tego dość! – wrzasnął. – Dość! Karmisz mnie półprawdami. Powiedz mi, do cholery, prawdę!

Zrobiła nienaturalnie wielkie oczy. Jego wybuch ją wystraszył, widział to po niej, choć na jej twarzy malowała się wyniosłość. Opadła na najbliższy fotel, ale poczuła, że siedzenie jest całe w odłamkach szkła, i klnąc, skoczyła na równe nogi.

– Odwróć się – powiedział.

Zdziwiło go, że posłuchała. Wewnętrzzną stroną dłoni zrzucił z jej pośladków kawałki szkła, musiał ukucnąć, żeby wyłuskać drobne odłamki z jej bawełnianej spódniczki. Ta dziwna czynność wywołała rozluźnienie – u niego, ale najwyraźniej też u niej, ponieważ zanim skończył, powiedziała:

– No dobrze. Posłuchaj – westchnęła głęboko, ale zamilkła.

– Słucham – odparł.

Znow chwilę trwało, nim się odezwała.

– Nie chcę, żebyś komukolwiek o tym opowiadał. To, co teraz usłyszysz... Powiedzmy, że nie jestem z tego dumna.

– Okej. – Zaniepokoił się, choć wzbudziła jego ciekawość. – Mów. Skończyłaś na sprawie sądowej.

Ponieważ nie miała już na sobie szkła, oparł kciuki na jej pośladkach. Nie protestowała.

– Siem chciałem, żebyś zeznawała przed sądem – odezwała się, nagle przyjmując oficjalny ton. – Chciałem, żebyś koniecznie zeznała, że słyszałam to, co działo się w łazience. Że wyszłam na korytarz i wszystko słyszałam. Dźwięki, mowę. Teraz rozumiesz?

Milczał, dociskał delikatnie kciuki do jej pośladków.

– Siem zażądałem ode mnie, żebyś wyspała jego syna, mojego przyszywanego brata. Czy mogłabym wyruchać chłopaka, z którym tydzień wcześniej jeździłam konno wokół Het Rutbeek... składając *falszywe zeznanie*.

Słowo „wyruchać” wywołało w nim złość. Odepchnął jej tyłek, zrobiła krok do przodu.

– Bardzo dobrze – powiedziała. – Ostra zagrywka.
– Sukinsyn! – krzyknęła i kopnęła fotel.
– Co masz na myśli? Chłopak musiał zniknąć. Twój ojciec miał świętą rację.

Zaskoczyło go, że zachowała spokój. Wzięła odkurzacza, włączyła go i odkurzyła siedzisko fotela. Gdy skończyła, bąknęła: „Worek jest pełny”. Upuściła rurę i spojrzała na niego.

– Aaronie, chociaż raz spróbuj wczuć się w sytuację. Dopuściłam się krzywoprzysięstwa, wbrew swojej woli. Pod naciskiem zdradziłam chłopaka, którego lubiłam. Na sali sądowej. Na jego oczach. Złożyłam fałszywe zeznanie w jego obecności. A on tego słuchał i wiedział, że kłamie.

– Co było potem?

– Co było potem? – powtórzyła wściekła. – Co było potem? A jak myślisz? Dostał dziesięć miesięcy. Przez moje kłamstwa. Przez manipulacje Siema. To było potem.

Skinął głową.

– Czy Wilbert do ciebie dzwonił?

Chciała coś powiedzieć, znów coś złośliwego, ale w tym samym momencie rozdzwoniła się jej komórka. Kiedy wyciągała ją z kieszonki spodniczki, ochłonęła i powiedziała:

– Sama do niego zadzwoniłam. Umówiliśmy się.

Odebrała połączenie. Po przedstawieniu się swoim imieniem słuchała w napięciu, wystawiła do niego rękę jak funkcjonariusz drogówki i zniknęła w kuchni. Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Z kim rozmawiała? W pośpiechu podążył za nią i zobaczył przez okno, że przeszła na koniec dziczatego ogrodu. Nie słyszał, co mówi. Czyżby rozmawiała z tym kryminalistą?

Na ulicy panowała dziwna cisza; dopiero po chwili zorientował się, że nie słyszy świergotu ptaków. Fauna podziękowała Roombeek. Wyszedł z domu, żeby się uspokoić. Położył na stole kartkę, na której napisał, że jedzie po worki do odkurzacza i po coś do jedzenia.

Chciał podjechać na Roomweg, do małego sklepu z artykułami gospodarstwa domowego naprzeciwko budki z frytkami, ale dopiero gdy zobaczył ogrodzenie, zrozumiał, że sklepik istniał już wyłącznie w jego pamięci. Więc Joni zobaczy się z Wilbertem. Przejechał koło Muzeum Narodowego, przeciął Lasondersingel i skierował się do leżącego po sąsiedzku osiedla. Czy powinien być zazdrosny, czy zaniepokojony? Za podstawówką

skręcił w lewo i przejechał koło tak zwanego pomnika kwiatów, skweru na Deurningerstraat zaścienionego bukietami kwiatów w folii ku czci ofiar. Dlaczego nie potrafił okazać współczucia?

Z niejasnym uczuciem niezadowolenia minął ulicę, na której mieszkał Blaauwbroek; rzucił okiem na okno salonu, ale nikogo nie zobaczył. Przeciął tory kolejowe, wjechał do centrum i Langestraat dotarł do Hemy. Czy kompletnie zatracił empatię? Czyżby zapomniał o pierwotnej zazdrości, zielonym fundamencie, determinującym postrzeganie przez niego nawet najpoważniejszych spraw?

Zapłacił za worki do odkurzacza, kawałek sera i sześć bułek musli i prowadząc rower, udał się w kierunku sklepu z bielizną w Haverstraatpassage. Niezupewnie przypadkowo minął delikatesy Ennia. Na bordowych drzwiach wisiała kartka z napisem „nieczynne do odwołania”, stanął przed naćkaną wystawą i zlustrował wieżyczkę słoiczek i buteleczek – Colman’s Original Mustard, Wilkin & Sons No Peel Orange Marmelade, Mrs. Ball’s Peach Chutney – ustawionych w taki sposób, że cała konstrukcja przypominała ludzika. Na samej górze, na niemal niewidocznych żyłkach, ktoś zawiesił melonik, obok, na dwóch żyłkach, wisiała laska. Wyobraził sobie Ennia przy pracy, jak w napięciu układa produkty na wystawie, i uznał, że to niemożliwe, żeby Joni uprawiała seks z kimś, kto wymyśla takie głupoty, a potem wprowadza je w życie.

Czy był chorobliwie zazdrosny? Czy powinien spuścić z tonu? Czy było możliwe, że przesadza? Stol, Ennio, Wilbert – bzykają się, bzyknęli się, bzykali się z Joni? – trzech facetów, przez których nie mógł spać. Czy ta liczba mówiła coś o nim samym, czy raczej o Joni?

Minął wystawę i wszedł do sklepu z bielizną. Tak czy siak, jutro albo pojutrze muszą zrobić nową sesję zdjęciową. Mógłby kupić coś przydatnego, coś, czym okaże dobrą wolę. Starsza kobieta za ladą pozdrowiła go skinieniem głowy. Z przepelnionej półki wybrał czarny biustonosz z prześwitującego tiulu z czerwonymi aplikacjami do połowy miseczki, a w plastikowym pojemniku znalazł czarne kabaretki, w których zdaniem sprzedawczyni jego dziewczyna będzie pięknie wyglądała. Trzeba po prostu wziąć się do pracy, skończyć z gniewaniem się. Pojechał rowerem z powrotem do krateru, zastanawiając się po drodze, jak przekonać ją, żeby poszła z nim na strych i się przebrała. Od tygodni odczuwał coś na kształt podniecenia seksualnego.

Po raz drugi tego dnia, jakby nigdy nic, wszedł do domu, tym razem w pojednawczym nastroju.

– Hej! – krzyknął, wchodząc do salonu.

Nie odpowiedziała, może wciąż rozmawiała przez telefon. Przeszedł przez opuszczony pokój, zajrzał przez kuchenne okno do ogrodu, ale tam jej nie było. Wrócił się do przedpokoju i bez przekonania zapukał do drzwi toalety.

Uśmiechnął się. Czyżby wpadła na tę samą myśl, na odwieczny sposób godzenia się po kłótni, i poszła na strych? Kto wie, może kable telepatyczne przeżyły sztorm. Wielkimi krokami wszedł po schodach, rzucił okiem na półpiętro – od razu spostrzegł, że składane schodki strychowe nie są opuszczone, i z półotwartymi ustami popatrzył na wejście w stropie. Zamknięty na głucho. Oczywiście. Miedziana kłódka patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Dom był opuszczony. Przez okno w łazience zobaczył, że zniknął jej oparty o iglaki rower, który czekał na nią od wesela w Zaltbommel.

Uszło z niego podniecenie, zbiegł schodami na dół. Ponieważ worki do odkurzacza leżały na wierzchu, musiało upłynąć kilka minut, nim zobaczył na stole liścik. Pod informacją skreśloną jego ręką widniała wiadomość od niej.

Jego reakcja na to, co przeczytał, była nietypowa dla jego charakteru, nietypowa dla sytuacji, niezgodna z jego głęboko zakorzenioną obawą, że ją straci, chociaż miała nieco patologiczny wydzźwięk, bo gdy kilka miesięcy później opowiadał o tym Haitink, zaczęła gwałtownie przytakiwać, jakby była klakierem jego psyche. Powiedział jej, że zamiast skurczyć się do rozmiarów twardej, czarnej kulki żalu, czego można było i należało się spodziewać i oczekiwać, jego świadomość napęczniała jak przestrzeń kosmiczna wściekłości i urazy.

– Cholera jasna, niech to szlag! – wrzasnął. – Niech to jasny szlag trafi! Jędza! Płaczliwa dziwka!

Potem długo rozrywał i darł na kawałki kartonowe pudełko z workami do odkurzacza, walił nim o kant stołu, aż w końcu podarł na strzępy wszystkie worki. Pot ściekał mu po twarzy, gdy wyjął liścik spod ścinków papieru, zgniótł go i poszedł z nim do ubikacji. Nasikał na niego. Zanim spuścił wodę, wyłowił go z moczu („Aaronie – powiedziała Haitink – spróbuj się zastanowić, dlaczego to zrobiłeś”) i po raz drugi przeczytał jej słowa.

Aaronie, mam dla Ciebie dobrą wiadomość: właśnie się dowiedziałam, że Ennio nie żyje. Poza tym bardzo się cieszę, że możesz wrócić do siebie, bo póki co nie mam ochoty oglądać Twojej gęby. Nie dzwoń do mnie.

Joni

Ponieważ w kampusie wreszcie zapanował względny spokój – jest już po ostatnich egzaminach w sesji, spora część personelu wyleciała z kraju samolotem albo wyjechała w przyczepie kempingowej i kiedy Sigerius rano zajeżdża rowerem pod rektorat, Tubantia wita go tak samo jak w koszmarach: gotowa zwinąć żagle – Sigerius jedzie na rekonesans do Hagi. Lubi podróżować pierwszą klasą. Przy najbardziej oddalonym stoliku w ogródku Brasserie Dudok je lunch z Frederikiem Olde Kannegieterem, który większą część dnia spędził w Ministerstwie Finansów. Mają z trudem wyrwaną godzinę, żeby na podstawie przewidywań Kannegietera wysondować stanowisko Rady Ministrów, która niedługo będzie musiała zaaprobować kandydaturę Sigeriusa. Znają się jeszcze z Bostonu, gdzie z jego polecenia Kannegieter prowadził wykłady z badań operacyjnych. Całymi popołudniami pracowali w pokoiku Sigeriusa w MIT nad artykułem o problemie komiwojażera, nie pamięta już powodów, dla których nigdy go nie opublikowali. Później Kannegieter został rektorem w Groningen, przez jakiś czas zasiadał w zarządzie KPN, a od niecałych pięciu lat był przewodniczącym Centralnego Biura Planowania.

– Zgódź się – poradził Sigeriusowi tydzień temu przez telefon, gdy dowiedział się o propozycji. – Zgódź się.

Potem posypały się pochlebstwa: MEN potrzebuje silnego ministra, kogoś z ugruntowaną wizją oświaty, a jednocześnie faceta mocnego w gębie, kogoś, kto nie boi się obrać właściwego kursu. Sigerius podzielił się z nim wątpliwościami na temat krótkiej kadencji: dwa lata, właściwie to niecałe („Frederiku, co można zrobić w półtora roku?”), ale Kannegieter nie chciał o tym słyszeć, każdy gabinet może upaść, w Hadze nigdy niczego nie można być pewnym („Zoetermeer³⁵?”).

– Chwytaj okazję – powiedział Kannegieter.

Ty zawsze chwytasz okazję, stary wyjadaczu – pomyślał Sigerius. Jeśli Olde Kannegieter nie każe chwytać okazji, oznacza to, że tydzień później sam ją chwyci.

Oczywiście potwierdził swoją kandydaturę. Dokładnie rozważył obydwa scenariusze: nerwowe życie w Hadze albo żywot w zaciszu wiejskiego domu

nieopodal prowincjonalnego uniwersytetu, gdzie za chwilę wypadnie z obiegu. Powrót do instytutu albo, co gorsza, na wydział – nie potrafił sobie tego wyobrazić. Rozważał Amerykę, zresztą zawsze brał ją pod uwagę. Chce go Princeton, może tam uzyskać tytuł profesora, ale nie ma ochoty bawić się w ciuciubabkę: od jakichś dziesięciu lat jego zdolności matematyczne się wypalają. Poza tym musi przyznać, że uzależnił się od funkcji publicznej, możliwe, że od władzy samej w sobie.

Tymczasem Kruidenier trzyma się mocno – partyjny kolega Sigeriusa wybronił się do tej pory ze wszystkich wniosków o wotum nieufności. Intuicja podpowiada Sigeriusowi, że upływający czas działa na jego niekorzyść, dlatego zadzwonił do Kannegietera i naciskał na spotkanie. Między kęsami kanapki klubowej mówią o swoich rodzinach, Sigerius opowiada o sytuacji w Enschede i wtedy przechodzi do rzeczy.

– Problem w tym – mówi powoli, cedząc słowa – że premier zastanawia się nad własnym kandydatem. Kok nie chciał Kruideniera, D66 wcisnęli mu go na siłę. Im więcej czasu damy premierowi, tym większa szansa, że sam kogoś zaproponuje. Chyba że... tak sobie pomyślałem i dlatego zaraz zapłacę za twój lunch, Frederiku... chyba że ty użyjesz swoich wpływów.

– I myślisz, że Wim mnie posłucha? – Jego przyjaciel zdejmuje wielkie okulary i czyści je żółtą szmatką z ząbkowanym brzegiem.

– Właściwie to tak.

Kannegieter jest nie tylko panem od rachunków w rządzie, człowiekiem, który wpada do Het Torentje³⁶ z *facts & figures*, jest też prominentnym członkiem Partii Pracy, partyjnym ideologiem, współtworzył program polityczny, robi za suflera Koka, kiedy trzeba przemówić do narodu z głębi robotniczego serca. Gdy premier traci ideologiczną twarz, Kannegieter przechwytuje i wiezie ją rowerem do Fundacji Wiardi Beckman³⁷.

Mężczyzna ogląda szkła pod słońce.

– Ja też – mówi. – Ja też.

Udawana próżność, ironiczna ironia – już w Bostonie była to jego tajna broń. Sigerius przypomniał sobie przyjęcie wydane na cześć chemika, laureata Nagrody Nobla. Rozmawiali wówczas z Amerykanką, która potrafiła rozprawiać tylko o tym, czy powinna zachować, czy zlikwidować fundusz typu „klik” („Jesteście matematykami, co o tym sądzicie?”).

– Chyba mam dla pani radę – odpowiedział Kannegieter poważnie – ale jest ważna tylko dla dolarów zespolonych w unormowanej zupełnie przestrzeni Hilberta.

Przez chwilę patrzą w milczeniu na kelnera w pomarańczowym fartuchu,

który zatyka flagę z holenderskim lwem przy wejściu do Dudoka.

– O której zaczyna się to wieczorne nieszczęście? – pyta Kannegieter.

– Mecz rozpoczyna się o wpół do dziewiątej.

– Siemie – mówi – powiem tak. Parę dni temu rozmawiałem z Wimem, w tym głównie o tobie, poruszył twój temat, że się tak wyrażę, i rzeczywiście ma wątpliwości. Wierz mi, że jako naukowiec ma o tobie wysokie mniemanie, jako premier wierzy, że to się uda, chociaż nie wie, jakie masz przekonania polityczne, to oczywiście zagadka. – Z ust Kannegietera wylatuje kawałek bekonu i ląduje parabolą na krawędzi talerza Sigeriusa. – Ponieważ mnie o to pytał, opowiedziałem mu o naszym pobycie w Bostonie, o naszej współpracy, o matematyce, ale także o naszej przyjaźni, Siem, o wycieczkach rodzinnych, o naszych dzieciach, które często u siebie nocowały. Tak naprawdę człowiek taki jak on chce mieć pewność, że może ci zaufać. Nie martw się.

Myśli Sigeriusa w mgnieniu oka zachodzą gęstą mgłą, co w ostatnich tygodniach zdarza się coraz częściej. Pochlebstwa Kannegietera ani go nie uspokajają, ani nie wzbudzają wdzięczności, lecz wywołują smutek i utajoną agresję; jego gadanie go nie interesuje, zalewa go fala lepkiej obojętności, musi walczyć z neurotransmisją, żeby nie wybuchnąć. Przyjaźń? To niewiarygodne, z jaką swobodą i lekkością Kannegieter szafuje tym słowem. Ich spojrzenia krzyżują się na krótką chwilę. Co zostało z ich „przyjaźni”? Z ich dawniej przyjacielskich i częstych relacji? Czy tak naprawdę kiedykolwiek sobie ufali? Och, naturalnie, odnaleźli się w swojej abstrakcyjnej pracy, dwa albo trzy razy dziennie rozmawiali przy biurku któregoś z nich o unitalnych C^* -algebrach predualnej: „Fred, sądzisz, że są unikalne? To znaczy tak jak przestrzenie Banacha, czy nie zawsze? Pomijając izomorfizm”. I tak dalej, całymi godzinami. I owszem, rozumieli się. Ale przyjaźń? Jak często ze sobą rozmawiamy, Kannegieter? *Co o sobie wiemy?*

Siedzący naprzeciwko niego mężczyzna spodziewał się innej reakcji, trzyma prawe szkło okularów między kciukiem a palcem wskazującym, byle zająć czymś ręce. A gdyby tak Sigerius rzucił prawdziwe pytanie na stół? Tak po prostu, bum, najskrytsze myśli, największe zmartwienie. Gdyby mu powiedział: „Frederiku, słuchaj, boję się, że moja starsza córka prostytutuje się w internecie”. Na samą myśl pocą mu się dłonie. To niemożliwe. Gdzieś za ogrodzeniem oddzielającym ich od Buitenhofu trąbi samochód, przez chwilę patrzą na ścianę liści.

– Dziękuję, Fred – mówi nieobecny głosem. – Doceniam twoje zaangażowanie.

Po zapłaceniu rachunku omijają Hofvijver i kierują się w stronę placu, gdzie szofer Kannegietera je kanapki z sadzonym jajkiem i szynką w ogródku kawiarnianym. Zrobiło się niezręcznie. Żegnają się.

Idzie w kierunku wietrznej Korte Houtstraat i dla zabicia czasu przez piętnaście minut grzebie w pudłach z płytami jazzowymi w Plaatboefie. Czy on w ogóle wie, czym jest przyjaźń? Czy utrzymuje kontakt z osobami, które można nazwać przyjaciółmi? Idąc niespiesznie do budynku Ministerstwa Zdrowia, w myślach kartkuje notatnik z adresami. Wygląda na człowieka, który ma kolegów, kontakty na tacy, ale tak naprawdę wybiera partnerów sparingowych, konkurentów, będących dla niego miarą, osełką.

Przechodzi przez odrestaurowaną bramę i wewnętrzny dziedziniec ministerstwa.

– Jestem egoistą – powiedział kiedyś Menno w drodze na turniej w Düsseldorfie – i ty też, Siem. Nasz gatunek jest w pewien sposób samotny, nie ma przyjaciół.

W recepcji ogromnego ceglanego gmachu dostaje identyfikator. Wjeżdża windą na piąte piętro i wychodzi na korytarz pokryty jasnymi panelami. Spędza około dziesięciu godzin tygodniowo na naradach. Ale rozmowa? Na litość boską, z kim? Staje przed jednym z wysokich okien i patrzy na fasady schodkowe głównych wież, aż wybija druga.

W jasnym gabinecie wicepremier są takie same panele podłogowe, jej szklane biurko jest puste i dwa razy mniejsze od jego biurka w Twente. Wita się z nim serdecznie, chociaż jest jakby nieobecna, co według niego charakteryzuje wysoko postawionych ludzi. Znają się z obowiązkowych uścisków rąk na kongresach partyjnych. Chodzi o to, żeby urobiła Radę Ministrów, a Koka w szczególności. Rozmowa przebiega w dobrej atmosferze, rozmawiają prawie dwie godziny, jest „przeszczęśliwa”, że jest gotów objąć tekę ministra, i komplementuje jego opinie na temat szkolnictwa wyższego.

– Nie możemy sobie pozwolić na kolejne nieszczęśliwe nominacje – mówi.

Omawiają problematyczne kwestie, Sigerius przedstawia własne opinie, wicepremier wymienia punkty sporne inteligentnym, kobiecym głosem. Sigerius czasem wkłada lewą rękę do kieszeni spodni i pociera kciukiem ostry języczek klucza.

Na dworcu Haga Centralna roi się od grup kibiców Pomarańczowych. Musi biec, żeby zdążyć na pociąg o czwartej sześć. Kiedy dwie i pół godziny później wysiada w Enschede, idzie do budki telefonicznej i wybiera numer

domowy Aarona. Dzwoni tak długo, aż słyszy sygnał, że numer jest zajęty. Potem dzwoni z komórki do Tineke.

– Jestem na dworcu Haga Centralna – mówi. – Mecz obejrzę w domu.

– To fajnie – odpowiada swojskim, przyjemnym głosem. – Janis się ucieszy. Jak było?

– Owocnie. Masz pozdrowienia od Frederika. Bardzo się starał.

– Zostawić ci kolację?

– Poproszę. Muszę wsiadać.

– Dobrej podróży, kochanie.

Wychodzi z dworca, przed Bruną pozdrawia go skinieniem głowy jakiś chłopak z mokrymi czarnymi kędziorami i torbą podróżną na ramieniu, Sigerius z uśmiechem odwzajemnia pozdrowienie (zawsze odpowiadaj uśmiechem) i postanawia wziąć taksówkę.

Chrząka.

– Vluchtestraat.

Mercedes sunie jak płaszczka po przystrojonych na pomarańczowo ulicach. Dzieci pomalowały płoty. Domki szeregowe z ciemnoczerwonej cegły, które zatrzymują ciepło dnia, otwarte okna z siatkami przeciwko owadom. Minie jeszcze kilka godzin, nim zapadnie tu zmrok. Ulica, którą Joni i Aaron opuścili załadowani po dach pięć dni temu, jest udekorowana pomarańczowymi flagami i balonami – jakby nigdy nie było żadnego wybuchu. Enschede to jaszczurka, która zrzuciła ogon.

Sigerius każe taksówkarzowi zatrzymać się u wylotu ulicy, płaci za kurs i zanim wysiada, wyciąga klucz z kieszeni spodni. Bierze głęboki oddech i nie zatrzymując się, idzie Vluchtestraat, mija coś na kształt hotelu dla pielęgniarek, przecina spokojną uliczkę i przyspiesza kroku na ścieżce prowadzącej do mieszkania Aarona. Jeśli dla porządku naciśnie dzwonek, usłyszą go sąsiedzi. Nie, to trzeba zerwać jak plaster, rach-ciach, za jednym zamachem. Wstrzymując oddech, wkłada dziewiczy kawałek stali do zamka. Ani drgnie. Kręci kluczem w zamku, delikatnie, cicho, poci mu się dłoń.

W ostatnim tygodniu pobytu tych dwojga w domu na wsi Aaron pokazał mu nowy klucz i słuchając relacji chłopaka o tym, że gmina założyła nowe zamki we wszystkich sforsowanych drzwiach, Sigerius dokładnie zapamiętał, gdzie Aaron go schował: dołączył go do pęku w kieszeni letniej kurtki, sztruksowej marynarki, którą co wieczór grzecznie wieszał na wieszaku w szafie przy drzwiach wejściowych. Sigerius jako jedyny został tego wieczoru w salonie i dopiero kiedy cały dom pogrążył się we śnie, wyjął pęk kluczy z kieszeni Aarona. W ubikacji zdjął z kółka jedyny klucz, który

wyglądał na nieużywany. Następnego dnia kazał sekretarce dorobić drugi egzemplarz w jednym z punktów Mister Minit.

Zły klucz? Ktoś przesądny rozpoznałby w tym palec boży. (*Jesteś w błędzie, wracaj do domu, zapomnij o wszystkim*). Sigerius wyciera ręce o spodnie i rozgląda się wokoło. *Nigdy się nie rozglądaj*. Przy drugiej próbie zamek ustępuje.

Wchodzi do korytarzyka i zamyka za sobą drzwi. Dobrą minutę słyszy tylko przyspieszone bicie serca, potem cisza odblokowuje jego pozostałe zmysły. Nos wyczuwa delikatny, zwierzęcy zapach. Wypuszcza powietrze i zastanawia się, czy nie zamknąć drzwi na klucz. Mogłaby wpaść sąsiadka, żeby poprosić o wiadro wody. Powtarza przygotowaną wcześniej odpowiedź: dokumenty ubezpieczeniowe, zięć dzwonił z urlopu, miał stłuczkę, „będę jeszcze jakąś chwilę na górze”.

Na pomalowanych na biało schodach leży stos ścierek do naczyń, stopień wyżej para butów do biegania. To tam powinien iść, na górę, ale najpierw dla pewności otwiera drzwi do salonu. Na stole, przy którym raz do roku wszyscy jedzą tartę, leżą rakiety do badmintona i podłużny pojemnik z lotkami. Naprzeciwko telewizora stylizowana kanapa z miękkiego, purpurowego materiału i dwa kubełkowe krzesła do kompletu, dwa wysokie głośniki, które wspólnie kupili w Münster, stary gramofon Duala ze stosikiem longplejów jazzowych, rozpoznaje, że należą do niego. Zafascynowany patrzy na ścianę pełną książek, uśmiecha się, ale jest to nerwowy uśmiech. Kątem lewego oka dostrzega duży, ciemny kwadrat z podświetlonymi krawędziami: zasłony w oknach od strony ogródka są zaciągnięte. Słyszy jakieś buczenie. Lodówka? Zasłony od strony ulicy są rozsunięte, niestety, jakaś Marokanka pcha wózek na chodniku przed domem, patrzy na niego. Zawsze się uśmiechaj i pozdrawiaj przechodniów. Za nią rozciąga się niski blok, a za nim widzi ogrodzenie Roombeek. Jego serce staje: ktoś zbiega po schodach, bum, słysząc trzask zamykanych drzwi – u sąsiadów? Zachowaj spokój. Francja jest daleko stąd. Przecież pozbyłeś się ich z kraju.

„Macie tutaj tysiąc pięćset guldenów i zmykajcie. Bawcie się dobrze, wypocznijcie. Porozmawiajcie”. Wchodzi do kuchni, bierze szklanę z blatu, napełnia ją kranówką i wypija duszkiem, głośno przełykając. To jest rozwiązanie awaryjne, wolałby spokojnie poczekać na swoją szansę. W końcu nadarzyłaby się okazja, żeby użyć klucza – tych dwoje wciąż wyjeżdża na urlop, ciekawe, skąd mają na to pieniądze. Ale wtedy Tineke powiedziała mu, że są skłóceni. Poważny kryzys w związku. Wisi na włosku. Tineke poszła na pogrzeb Ennia, smutna uroczystość, na którą przybyło niewielu żałobników,

i spodziewała się zobaczyć Joni i Aarona, ale ich córka była sama. Po uroczystości powiedziała matce w auli o kłótni z Aaronem, zaznaczając, że według niej nic już z tego nie będzie.

To wszystko komplikowało sprawę. Nic nie zapowiadało, żeby mieli pojechać na urlop, możliwe, że już nigdy to nie nastąpi. Nie mógł przecież włamać się do byłego chłopaka córki... W zeszłym tygodniu mieli ostatni trening. Pięć minut przed czasem spodziewał się, że Aaron nie przyjdzie, ale on jak zwykle przekroczył próg zakurzonej hali. Pozwól, żeby sam zaczął – pomyślał Sigerius. Z głośnym plaśnięciem położyli maty, porozmawiali chwilę o zbliżających się mistrzostwach świata w piłce nożnej, w milczeniu rozgrzali mięśnie, poćwiczyli ruchy na macie i bez słowa przeszli do kata – ani słowa o kryzysie w związku.

– Aaronie – w końcu sam zagaił – jak myślisz, ułoży wam się z Joni?

– Rozmawiałeś z nią?

Poprawili stroje, łysy dryblas zsunął czarny pas, który wylądował mu pod brodą.

– A ty z nią rozmawiałeś?

– Nie, zabroniła mi do siebie dzwonić. Znasz Joni.

Znam Joni? Nie rozśmieszaj mnie.

– To okropne, Siem.

Milczeli przez chwilę. Aaron najwyraźniej się wahał, po czym powiedział Sigeriusowi, że Joni ma zamiar spotkać się z Wilbertem. Wyciągnął to od niej podczas ich ostatniej kłótni.

– Ale Siem, bardzo cię proszę – odezwał się słabym głosem – nie ja ci o tym powiedziałem.

W czasie, kiedy Sigerius dochodził do siebie po wiadomości, zauważył, że Aaron wygląda na wykończonego, powinien być czerwony z wysiłku, zamiast tego był szary jak wytłoczka na jajka. Skóra na jego czaszce mogła w każdej chwili pęknąć i opaść na matę jak jutowy worek.

– Naprawdę mam nadzieję, że nam się ułoży, Siem. Nigdy ci tego nie mówiłem, ale już pierwszego dnia wiedziałem, że chcę, żeby Joni została matką moich dzieci.

Skinął głową. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Przy odrobinie szczęścia uda mu się dorzucić swoje trzy grosze. Co się odwlecze, to uciecze.

– Aaronie, chłopcze – przymilił się z dwulicowością do tej pory zarezerwowaną dla dziekanów – chętnie podejmę się roli pośrednika. Obiecuję, że to, co powiem teraz tobie, powtórzę słowo w słowo Joni. Jesteście dla siebie stworzeni, twoje wyznanie to nie byle co. Nie chcę,

żebyście wszystko zmarnowali. To są ciężkie tygodnie dla wszystkich w Enschede, dla was też. Uważam, że powinniście pojechać na urlop. We dwoje. Najlepiej jak najszybciej. Ja płacę.

– Siem, naprawdę? – Drżała mu dolna warga. – Jestem ci bardzo wdzięczny. Aaron prawie się załamał, a Sigerius zdał sobie sprawę, że sprawia mu to przyjemność. Przyjął wdzięczność Aarona z ojcowskim uśmiechem, lecz w walce go sponiewierał. Na koniec treningów zawsze walczyli fanatycznie i na serio, ale teraz był maksymalnie nakręcony. Chwył, w lustrzanym odbiciu, lewe markowanie, żeby wprowadzić zamęt, złapać za kołnierz, jego sztywna dłoń dotykała gorącej, odpornej szyi Aarona. Kiedy zaczęli treningi, Sigerius potrafił powalić go jedną ręką, dosłownie, trzepał tym wyrośniętym ciałem o matę, aż się echo rozchodziło. Ale w miarę jak Aaron poznawał styl walki Sigeriusa, jego triki, jego arsenał, przewaga malała; kondycja Aarona poprawiła się, zaczął się lepiej poruszać, dwudziestopięcioletnia różnica wieku coraz częściej dawała o sobie znać. (Przypomniał sobie, jak kiedyś Joni przyszła popatrzeć na ich trening. Do końcowej walki siedziała uśmiechnięta i stroiła miny na długiej, niskiej ławce przylegającej do szafek, ale kiedy piętnaście minut później on i Aaron skończyli, zniknęła. Uciekła na górę, do baru centrum sportowego, gdzie z wrodzoną pewnością siebie piła colę light przez słomkę.

– Nie do wiary, co za beznadziejny sport – krzyknęła ze stołka, na którym siedziała. – Musiałam wyjść albo bym was rozdzieliła.

To znaczy, że niewiele widziałaś – pomyślał wtedy).

Rozsadzała go wściekłość. Coś pobudziło w nim instynkt mordercy sprzed lat, Aaron wywołał w nim żądzę krwi. Sigerius poczuł wrogość, której nie czuł od 1972 roku. Mata była większa niż mata turniejowa w Nippon Budokan, włókł chłopaka po bezkresnej płóciennym przestrzeni, ściągał go do dołu, podcinał mu nogi, ale z mizernym skutkiem, ten łajdak walczył zaciekle, chociaż Sigerius go blokował i chciał wykończyć. Walczyli wręcz, uderzenia po wewnętrznej stronie kostek Aarona były umyślnie za mocne, wielokrotnie ściągnął mu bluzę przez spoconą głowę. *Dorwę cię, ty mały alfonsie.* Chwył, puszczenie chwytu, ponowny chwyt, ciągnięcie, teraz, uchi-mata, włożył nogę między nogi chłopaka, przesunął na nią cały ciężar ciała, chłopak leżał na jego biodrze, balansowanie na jednej nodze, teraz pociągnięcie do dołu, nie, z powrotem, i znowu. Tak, teraz. Aaron przez chwilę unosił się nad matą, jedynie paluch stopy dotykał maty, chłopak leciał, nic nie ważąc, taak, pac, upadł ciężko na ziemię. Ippon. Uderzenie ofiary o matę wzbilo zapach materiału. Kiedyś właśnie w taki sposób rzucił

Kiknadzego, sponiewierał Maejimą. Sigerius oparł się na jednej nodze, tej zdrowej, nieco dłuższej, i patrząc w sufit z triumfem, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– No chłopie, wstawaj, wstawaj.

Znów wraca do korytarzyka. Dużymi, ostrożnymi krokami wspina się po schodach, z każdym stopniem powietrze robi się cięższe. On służy prawdzie. Na półpiętrze jest czworo szarych drzwi. Przez lufciki z matowego szkła do środka wpada niewiele światła dziennego. Był tu wcześniej tylko raz, parę lat temu podczas tradycyjnego oprowadzenia. Jedne drzwi są uchylone, na górze wisi zielona suszarka na ubrania: z przodu T-shirty, bokserki, dwie pary dżinsów – nic, co należałoby do Joni; z tyłu judoga, jego judoga, ta, którą pożyczył Aaronowi. Zalewa go fala ciepła, sympatii dla rodziny. Na litość boską, co on tutaj robi? Chciałby zatrzymać to uczucie na dłużej, a przynajmniej odbudować je, wrócić do czasów sprzed tego wszystkiego.

Nie truj. Za drzwiami sypialnia. W pośpiechu sprawdza niezaścielone łóżko kontynentalne, pod nim znajduje koty kurzu, wygnieciony T-shirt, zatyczkę do uszu. W szafie męskie ubrania wyjęte prosto z suszarki bębnowej, kompletny chaos, wyciągniętą ręką maca przestrzeń za stosem ciuchów. Nic. Na stoliku nocnym książki, więcej zatyczek do uszu, prawie pusty blister, bierze go do ręki i czyta nazwę leku: temazepam. Kiedy się odwraca, staje oko w oko ze swoim odbiciem w lustrze: Iniany materiał jasnoszarego letniego garnituru pogniótł się w podróży, wąsy wyglądają jak trzecia brew. Czy zawsze patrzy takim... martwym wzrokiem? Nieudacznik przebrany za mężczyznę na stanowisku, cień zarostu na brodzie, czarne, głęboko osadzone oczy, zamglone i zaczerwienione od napięcia. Do kogo jest podobny? Zszokowany, uświadamia sobie, że do Wilberta – przypomina go z okresu, kiedy siedział od trzech tygodni w areszcie śledczym. Ciekawe, jak teraz wygląda jego syn, po sześciu latach w pudle.

Wychodzi na półpiętro. Rzuca krótkie spojrzenie na łazienkę: sufit nad kabiną prysznicową jest zagrzybiony, drzwiczki pralki są otwarte. Grzebie w plastikowym pojemniku przy drzwiach: ręczniki, myjki i znów męskie ubrania. Na plastikowej półce nad żółtawą umywalką stoi kwadratowa buteleczka płynu po goleniu; nie zastanawiając się, podchodzi do niej, zdejmuje korek i spryskuje szyję, z trudem rozpoznaje ciężki zapach perfum.

Większość zdjęć zrobiono na poddaszu – dopiero teraz sobie przypomina – pod spadzistym dachem. Na półpiętrze po raz pierwszy przygląda się sufitowi: brązowa kłapa w stropie zamknięta na miedzianą kłódkę. Przez

pierścień wpuszczony w drewno przewleczona jest lina, której może dosięgnąć, kiedy wyciąga rękę. W wykładzinie widać dwa podłużne zagłębienia – odciski schodów strychowych. Podciągasz drabinkę i do widzenia, zakaz wstępu na strych.

Co teraz?

W pośpiechu podejmuje próbę znalezienia kluczyka. Najpierw przeczesuje zawartość dwóch stolików nocnych: sterta biletów kolejowych, wizytówki, czasopisma, długopisy, poźółkłe wkładki do gazet, tabletki w blistrach i pojemnikach, ułamane tabletki luzem, pół butelki bokmy w jednej szufladzie, druga jest pusta, nie licząc gumowego termoforu i dwóch opasek do spania, które Sigerius wziął dla Joni z Singapore Airlines. Przekłada książki na stoliku nocnym, jeszcze raz maca półki w szafie na ubrania – na próżno. Schodzi na dół, wyciąga twarde przedmioty z kieszeni kurtki wiszącej w korytarzyku, przegląda cztery szuflady w kuchni pod zlewem przesiąknięte zapachem czosnku, otwiera wszystkie szafki, grzebie, maca, patrzy i między opakowaniem cynamonu a kilowym workiem soli znajduje kluczyk marki Abus.

Serce wyrywa się przed nim na schodach. Z pokoiku, w którym stoi deska do prasowania i leży góra niewyprasowanej odzieży, wyciąga drewniane krzesło i staje na nim. Podczas grzebania w kłódce czuje pulsujący ból w krótszej nodze. Kluczyk jest za duży. Boże, żebym tylko nie zaklął. Schodzi z krzesła, chwyta je za oparcie i wali nim o podłogę. Z głośnym trzaskiem łamie jego nogę. Dysząc ze złości, chowa twarz w pranie wiszące na suszarce. Czuje świeży zapach proszku do prania. Spokój. Bierze do ręki swoją judogę i wgryza się w sprany kołnierz.

Agresja – ta sytuacja go złości i wyprowadza z równowagi, to stan, który ciężko mu zaakceptować. Całe życie był dumny, że umiał poskromić wściekłość, a teraz rozbija na kawałki bezbronny mebel? Kontrola nad elektrycznością – tego nauczył się od Geesinka na Jansveld. Równie trudno jest wybuchnąć w odpowiednim momencie, co nie wybuchnąć. Trzeba samemu zdecydować, kiedy pozwolić dojść do głosu odurzającej mieszance koncentracji i zdziczenia, a jeśli już, podłączyć kable zasilania do mięśni, przełączyć wyćwiczony umysł judoki na czystą agresję, bez zastanawiania się, bez włączania kory nowej, wolt i amper, niech połączenia elektronowe zrobią swoje. Wciąż przechowuje w pamięci żywe wspomnienie pierwszego razu, kiedy wybuchnął w odpowiednim momencie – to też działo się na Jansveld, chyba w 1962 roku. Czy tego chce, czy nie, przez chwilę znajduje się

w niewielkiej salce nad warsztatem samochodowym w centrum Utrechtu. Geesink miał już wtedy tytuł mistrza świata, Sigerius był w wojsku, miał dziewiętnaście lat i był zielony, zielony i łatwowski, tak jak teraz.

Uprawiał judo w Utrechcie dopiero od pół roku, kiedy któregoś wieczoru odwiedziło ich trzech facetów z Tun-Yen, klubu w Amsterdamie. Wiedział, że tam trenowali dobrzy judocy, ale tym, co czyniło tamtą niezapowiedzianą wizytę wyjątkową, było to, że do Tun-Yen należał Jon Bluming. Bluming, który nigdy nie pokazywał się publicznie, ale tym więcej się o nim słyszało. Odkąd Geesink postawił w Paryżu świat judo na głowie, Bluming otwarcie prowokował świeżo upieczzonego mistrza świata. Gdy tylko miał okazję, mówił, że zje Geesinka na śniadanie, „złożę go jak krzesło ogrodowe”. W „Panoramie” zaznaczył, że Geesink nie jest wcale najlepszy na świecie – w Japonii znał wielu judoków, którzy kręcili nosem na mistrzostwa z udziałem Europejczyków, a Bluming twierdził, że każdego z nich nauczył moresu. Widać było, że Geesink nic sobie z tego nie robi: niech Bluming gada zdrów, Geesinka ani to ziębi, ani grzeje.

Ale po Sigeriusie to nie spłynęło. Wręcz czuł się obrażony. Przechwałki Bluminga odbierał osobiście. Dla niego to było coś – stać na trzciniowych matach, na których stał Geesink – tak dla niego, jak i dla reszty świata Geesink był bogiem judo, bohaterem, mentorem. Kiedy po wieczornym treningu na Jansveld Sigerius leżał zmarnowany na pryczy w koszarach Kromhouta, dziękował Bogu, że może trenować u Antona Geesinka. To było fantastyczne uczucie, w salce trenowali wspaniali judocy, sprawni technicznie, energiczni, jak Theo Klein, Joop Mackaay, oczywiście Menno Wijn. Snijderowie, jednojajowi bliźniacy z jego batalionu, i on sam musieli poruszyć niebo i ziemię, żeby trenować w dojo cztery razy w tygodniu. Sigerius był oszołomiony. Jeszcze niedawno patrzył z trybuny, jak Geesink zdobywa mistrzostwo świata w Paryżu. Mieszkał wtedy u ojca w Delft, z kilkoma chłopakami z klubu pojechali renault dauphine do Paryża, kupili bilety pod Stade de Coubertin i zagrzewali do walki wysokiego Holendra, który wygrywał ze wszystkimi Japończykami. A teraz, niecały rok później, ten tyran tłumaczył mu, co jest nie tak z jego rzutem przez ramię, radził, żeby popracował nad unikami, uważał, że powinien kupić hantle i wreszcie stać się mężczyzną.

– A więc pochodzisz z Delft? – zapytał Geesink tym swoim rozwlekłym tonem. – I dobrze. Jak następnym razem wyjdiesz na przepustkę, zamiast pociągiem, Simonie, jedź rowerem. Przez wiele lat co miesiąc jeździłem rowerem do Antwerpii, na trening u Strulensa. Rower dobrze ci robi.

Zanim zasnął na sienniku, czasem nocami fantazjował, że Geesink walczy z tym zwierzakiem, Blumingiem, i naturalnie cztery na pięć razy Geesink łoł mu tyłek, ale ostatnia walka często miała bolesny przebieg: oczami wyobraźni widział wtedy, jak Bluming hańbi jego bohatera, bezlitośnie rozprawia się z mistrzem świata na tatami, bo wcale nie był w stu procentach przekonany, że Geesink by wygrał. Jeśli miał wierzyć opowieściom, Bluming nie był mięczakiem, wszak odniósł rany na wojnie z Koreą i twierdził, że ma nie tylko piąty dan w judo, ale też czarne pasy w innych azjatyckich sztukach walki, których nazw Holendrzy nie umieli wymówić, nie łamiąc sobie języków.

Ale teraz stali w ich przebieralni, trzech postawni amsterdamczycy: Rinus Elzer, Hoek i jakiś uśmiechnięty, jasnowłosy niedźwiedź o ciele wykopanym żywcem spod rzymskich ruin – czy to Bluming? Był mniejszy i bardziej umięśniony, niż go sobie wyobrażał, i młodszy. Wszyscy milczeli. Byli mile widziani, jasne, Geesink przywitał ich serdecznie, jak prawdziwy mistrz, było po nim widać, że się cieszy, Geesinka zawsze cieszył napływ nieznanymi mięśni, tylko to służyło samodoskonaleniu, to dlatego tak często jeździł do Japonii, żeby poznać się trochę nad świeżym mięskiem.

Amsterdamczycy wzięli udział w randori, Geesink pominął trening techniczny, drzwi balkonowe otwarte na oścież, walki na świeżym powietrzu, co pięć minut zmiana partnera, było jasne, że są niezli. Elzer zdążył dać Mennowi wycisk i zanim Geesink dotknął któregoś z nich, Sigerius stanął przed tym blond pomnikiem.

– Rozniesiesz Bluminga na strzepy? – szepnął mu Menno na ucho.

Dziwne, dobrze wiedział, że ten blondyn jest jego przeciwnikiem, takie rzeczy się czuje, ale ponieważ teraz miał pewność, zamiast strachu poczuł coś innego, coś zmieniło się we wspólnym rytmie tętna i napięcia mięśni, i w jego głowie. A więc to ty kpisz sobie z Geesinka? Jego ramiona, pierś i łydki wypełniła wściekłość, złapał Bluminga w imieniu senseia, w imieniu mistrza świata, który go przyjął pod swoje skrzydła i chciał ulepszyć. Zwarty i stateczny, osadzony jak dolmen – po tym poznaje się prawdziwego judokę – waży ze czterysta kilo, stopy zakorzeniają się w macie i rozrastają pod nią: oto jeden z nich. Bluming prowadził go po sali na sztywno, a jednocześnie elastycznie, w pierwszym przeblysku niski rzut przez ramię, Sigerius wylądował twardo na ramieniu, ale drugi chwyt Bluminga spuentował gardłowym krzykiem – to ćwiczył przez ostatnie miesiące, serie przechwytywań, czas rzutów i siłę, z jaką przerzucał rywala do tyłu, przez co sunął jeszcze przez jakieś dwa metry po macie, co zwróciło uwagę

pozostałych. Wszyscy na nich patrzyli. Kolejne punkty należały do niego, odezwał się w nim nieokrzesany Siem Sigerius, dał popalić Blumingowi, atakował z krwiożerczą agresją, która stanowiła podwaliny jego późniejszej kariery judoki, a może i całego życia. Przez wiele minut rzucał pustą bańką pełną przechwałek tak jak chciał, *o-soto-gari, tai-o-toshi* – bierz, co chcesz, oto król sportów walki – aż na macie udało mu się zamknąć Blumingowi tę fałszywą gębę.

Dopiero wieczorem, gdy trójka amsterdamczyków się zmyła, gdy Geesink odpajkował karne ćwiczenia, a Sigerius dumny i blady wracał z Janem i Peterem Snijdersami rowerem do koszar, dowiedział się, że ten amsterdamczyk z jasnymi kędziorami to wcale nie był Jon Bluming. Naprawdę?

– Nie powinienesz na ślepo wierzyć we wszystko, co Menno nawija ci na uszy, Sigerius – powiedział Jan Snijders. – Ten blondyn jest o wiele młodszy od Bluminga i nazywa się Roeska. Willem Roeska.

Jest za kwadrans ósma, musi być w kampusie przed wpół do dziewiątej. Odstawia zniszczone krzesło w prasowalni, wciska jego nogę w rozoraną ranę. Ostatnie miejsce, które może sprawdzić, to pracownia od strony ulicy. Może tam znajdzie kluczyk. Ciepłe promienie słońca barwią źle położone deski podłogowe na jasnobrazowo, wydaje mu się, że to podkład, że brakuje tu płyt gresowych albo dywanu. Pokój jest jak szklarnia, Sigeriusa oblewa pot, czuje, że pocą mu się stopy. Ze ściany naprzeciwko okna zza szybki patrzy na niego jego własna rodzina utrwalona na portretach zrobionych przez Aarona z okazji dwudziestolecia ich ślubu. Na środku pokoju leży materac ze skotłowaną pościelą, pod ścianą stoją dwa tanie regały z podręcznikami, *Analiza składniowa zdania*, dalej *Dziecko uczące się języka*, *Poeta nie sra*. Dostrzega segregatory z egzemplarzami „Tubantia Weekly”, pokaźny zbiór komiksów *Suske en Wiske*. W prawym rogu, pod oknem, stoi biurko z jasnego drewna na aluminiowych nogach, a na nim komputer stacjonarny. Sigerius ukradkiem zerka na zewnątrz: ulica jest opustoszała. Siada na szarym, plastikowym krześle biurowym i mocuje się z szufladami: jedna jest zamknięta, z drugiej wylewają się wyciągi bankowe, korespondencja firmowa, stare kartki urodzinowe. Ogląda kilka. Nic ciekawego. Ani śladu kluczyka.

Na ścianie nad biurkiem wisi korkowa tablica z wycinkami z gazet, komiksami, widokówkami, kartkami związanymi z narodzinami dzieci i fotografie: Aaron z rodzicami i ugrzeczniiony chłopak, który trochę

przypomina Aarona, zbiór zdjęć paszportowych Joni. Zawzięcie grzebie w plastikowych kuwetach w rogu biurka: gwarancje, umowa na usługi telefoniczne, faktury dla „Tubantia Weekly”, egzemplarz „Vrij Nederland” z wydartą okładką. W środkowej kuwecie jego uwagę przykuwa błyszcząca teczka, a właściwie folder. Bierze go do ręki, na okładce napis: *Palmer Johnson, most desirable luxury high performance yachts in the world*. Zdjęcie pokazuje z lotu ptaka wyjątkową linię jachtu forsującego granatowe fale oceanu, niebieski metalik dziobu rozrywa śnieżnobiałą pianę, wygodne kanapy na górnym i tylnym pokładzie mają kolor pudrowego różu. Dopiero kiedy po dokładniejszym przyjrzeniu się odkrywa, że różowy naporstek na aerodynamicznym przednim pokładzie (połowę statku stanowi część dziobowa) to okrągły basen, dociera do niego, jak duża jest to łódź.

Odchyła się do tyłu i kartkuje folder. Najpierw natyka się na dwa zwykłe zdjęcia wydrukowane na papierze fotograficznym: jedno z nich na pierwszy rzut oka przedstawia tę samą łódź zacumowaną w słonecznej marinie obok innych szpanerskich jachtów, drugie zostało prawdopodobnie zrobione z pokładu na pełnym morzu, w oddali błyszcząca linia brzegowa, żadnych ludzi. W samym folderze poziome i pionowe przekroje, specyfikacje techniczne, zdjęcia wnętrza: salon większy od salonu na dole, surowe meble pod zabudowę z kremowej skóry, okrągłe, błyszczące formy, schowane nastrojowe oświetlenie, sypialnia, która z powodzeniem mogłaby konkurować z apartamentem w pięciogwiazdkowym hotelu. Pomędzy ostatnimi kartkami tkwi pokwitowanie z Port Privé de Sainte Maxime. Dwie daty skreślone bardzo nieczytelnym charakterem pisma i równie nieczytelna nazwa: „Barbara” i jakieś drugie, krótkie słowo, koślawe „A” i dwie litery „w”. Dalej: „monsieur Bever” – doprawdy? – i jego podpis obok kwoty w wysokości dwunastu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu dziewięciu franków i siedemdziesięciu pięciu centymów.

Przez chwilę patrzy na łódź na okładce folderu, z pojemnika z ołówkami, temperówkami i spinaczami bierze długopis i na odwrocie kwitu zapisuje nazwę producenta i numer modelu. Składa go i chowa do portfela.

Po co Aaron ją wynajął? – to jedno z pytań, które go prześladowają, gdy z poduszką pod plecami ogląda w domu mecz. Holandia zmiata Duńczyków z murawy, przy każdym голу Sigerius wiwatuje w odpowiednim momencie, wtórując swojej młodszej córce, ale jego myśli zaprzęta coś innego: chce wiedzieć, o co chodzi z tą łodzią. Po meczu Janis nagle zmienia zdanie i chce wracać do akademika w Deventer, Tineke proponuje, że zawiezie ją na

dworzec. Widząc w szerokim oknie salonu odjeżdżające audi, Sigerius wspina się po schodach na górę i w gabinecie włącza laptopa. Jest za późno, żeby dzwonić do mariny w Sainte Maxime, dlatego wchodzi na stronę konstruktora łodzi i to, co widzi, wcale go nie uspokaja. Nie zna się na łodziach, ale to w niczym nie przeszkadza – nawet serowar ze Szwajcarii zauważyłby, że to produkty z najwyższej półki. Ze strony internetowej Palmera Johnsona biją horrendalnie wysokie ceny luksusu. Z coraz szybciej bijącym sercem przegląda łodzie, wnętrza, specyfikacje. Jacht sportowy, który widział w folderze, jest stosunkowo mały, ma niecałe dwadzieścia metrów, i o ile dobrze zrozumiał, zbudowano tylko trzy egzemplarze, ostatni w 1997 roku. Jego oczy prawie pożerają monitor, ale nigdzie nie ma podanej ceny, najwyraźniej Palmer Johnson uważa, że jest zbyt ekskluzywny, żeby podawać konkretne kwoty. Uruchamia wyszukiwarę i jako hasło wpisuje numer modelu i „price”. Link odsyła go do strony North Miami Beach, która nie sprzedaje, a wynajmuje jachty. Poza sezonem można pływać po wybrzeżu Florydy na pokładzie jachtu sportowego PJ 115 za sto jedenaście tysięcy dolarów, w sezonie trzeba zapłacić sto trzydzieści tysięcy dolarów. Tygodniowo.

Państwa dziecko to najpiękniejszy skarb. Zrobienie ładnych zdjęć szkolnych to nie lada wyzwanie. Aaron Bever Schoolfotografie działa w okolicach Brukseli od 2002 roku i może poszczycić się wieloma zadowolonymi klientami.

Dzięki odpowiedniej organizacji dzień zdjęciowy to niezapomniane przeżycie. Aaron Bever przenosi się w dziecięcy świat i tworzy atmosferę przyjazną dzieciom, co pozwala na uchwycenie ich naturalności. Zawsze wybiera odpowiednie miejsca dla zdjęć grupowych.

Zdjęcia szkolne zrobione dzisiaj są najpiękniejszą pamiątką na później!

Strona internetowa pękała w szwach od fotografii dzieci w ławkach szkolnych, z zabawkami w rączkach, w żelaznych samochodzikach na pedały, przywołując we mnie wspomnienia z moich pierwszych lat w szkole podstawowej. Za to nigdzie ani śladu samego przyjaciela dzieci. Znalazłam jednak osobną zakładkę, gdzie oferował swoje usługi jako renowator czarno-białych fotografii („Aaron Bever korzysta z najnowocześniejszych urządzeń i technik w zakresie renowacji zdjęć. To szczegóły robią różnicę!”). W przykładowej renowacji rozpoznałam na wpół żywe zdjęcie ślubne jego dziadków – pofałdowany kawałek papieru z plamami od wody, który od zawsze stał na regale z książkami i przy najmniejszym ruchu powietrza opadał na podłogę jak jesienny liść. A obok odnowiony egzemplarz bez żadnej skazy. Przez chwilę przyglądałam się źle leżącej sukience wojennej jego babci. Młody mężczyzna, jego dziadek, już wtedy łysiał, ale nawet w domu opieki w Venlo miał więcej włosów na głowie niż wnuczek.

Za to moją głowę męczył kac. Wczoraj po pracy wsiedliśmy z grupą około trzydziestu ludzi do trzech chryslerów, które zawiozły nas z Coldwater do Gold Diggera, ulubionego baru hotelowego Rusty’ego w centrum LA. On stawiał – uznał, że powinniśmy uczcić zakup Barracks. W ciągu dnia byliśmy z Rustym i Debrą z działu kadr na South Hope Street w słynnej pracowni architektury wewnątrz z oddziałami na wszystkich kontynentach. Rusty uważał, że to tam powinniśmy się zgłosić, ci goście (okazało się, że to dwie kobiety i mężczyzna) zaprojektowali wewnątrz Amazon.com i Deutsche Banku, przeprowadzili całkowitą zmianę stylu w Sheratonie, lepszych nie znajdziemy, był pewien, iż zaczną piszczeć z zachwytu, jak zobaczą Barracks,

„jeśli mamy zbankrutować, to przynajmniej z przytupem, Joy”. Ale wolałyby za rok znaleźć się na liście *Fortune's 100 Best Companies To Work* – czy ja to rozumiem? Miał obsesję na punkcie listy jeszcze z czasów w Goldman Sachsie i chociaż ostrożnie przygotowywałam go na porażkę – nie wyobrażałam sobie, żeby pracownia architektoniczna chciała z nami współpracować – właściciele się zgodzili, a Rusty zaczął szaleć. W japońskiej restauracji, gdzie siedzieliśmy wokół płyty do pieczenia, mocno wstawiony wygłosił prezydenckie orędzie o stanie państwa, przemowę na temat identyfikacji wizualnej, rewolucyjnej otwartej przestrzeni w biurach, odlotowych tytanowych hulajnóg, na których będziemy pokonywać długie korytarze. Przed północą udało mu się wprowadzić wszystkich do Diggera, gdzie do późnych godzin nocnych pracowaliśmy nad przeziębieniem na nowoczesnym tarasie. Kiedy busik odstawił mnie na Sunset, właśnie świtało.

Popiłam dwa panadole łykiem kawy i rozmyślałam o Aaronie. Co za życie prowadził w tej dziurze we Flandrii? Obraz Aarona w tych szkótkach w pewien sposób sprawił mi ból. Pytanie brzmiało, czy słusznie, bo sądząc po oddaniu, z jakim prowadził tę głupawą stronę, ktoś niezorientowany mógłby pomyśleć, że Aaron znalazł swoje powołanie. Ale ja znałam innego Aarona: gdybym wcześniej przewidziała mu taką przyszłość – objeżdżanie busem przedszkoli, w dodatku we Flandrii – nawet by mnie nie wyśmiał, poprosiłby, żebym dla pewności od razu go zabiła.

Ściągnęłam ramiona do tyłu. Ta dopracowana w najdrobniejszych szczegółach strona wzbudziła we mnie utajone poczucie winy, bardziej niż jego dziwne maile. Wyrzuty sumienia, że go wmanewrowałam (jak w pozwach przeciwko Colinowi Powellowi i Tony'emu Blairowi) w seksstronę, znów wróciły do mnie po latach. To wszystko moja wina – stary odruch bezwarunkowy. Głośno wciągnęłam powietrze przez nos. Kiedyś wygoniłam go ze wspólnego gniazda, bo chciałam się od niego uwolnić – tego typu zmartwienia. Przez chwilę znów siedziałam naprzeciw niego przy stole na Vluchtestraat, w tamten poranek przed laty, gdy przycisnęłam go do muru. Od miesięcy robiliśmy zdjęcia na własny użytek, dla zabawy, tak twierdziłam, a on w to wierzył, i w trakcie śniadania narzuciłam mu swój plan. Mieliśmy za sobą ciężką noc: w środku nocy obudził mnie głośny krzyk, przekleństwo, w kącie pokoju zobaczyłam Aarona siedzącego na krześle, na którym kilka godzin wcześniej położyłam swoje ubrania – płakał. Na podłodze wokół niego walały się resztki podartego na strzępy zeszytu, który od razu rozpoznałam jako swój dawny zeszyt szkolny, przedmiot naszych niekończących się kłótni. Na dwóch wewnętrznych stronach okładek od

trzynastego roku życia prowadziłam listę – chronologiczne zestawienie wszystkich chłopaków, z którymi przynajmniej raz się całowałam, wraz z datą, wiekiem, imieniem, miejscem, kolorem oczu, kolorem i długością włosów i tak dalej. Łącznie na liście figurowało ponad sto imion, według Aarona była to „astronomiczna” liczba, ja zaś byłam „astronomiczną dziwką”, wciąż marudził o tej nudnej liście i dopytywał, dlaczego były tam też dwa dziewczęce imiona. („A jak myślisz?”).

Już dawno przestały mnie bawić jego napady zazdrości i właściwie kilka tygodni wcześniej postanowiłam go rzucić – spieprzaj, dziadu, radź sobie sam – ale kiedy zobaczyłam go siedzącego między kulkami i ścinkami papieru, poczułam głęboki podziw dla uczuć, które w nim wywoływałam. Zdawałam sobie sprawę ze swojej przewagi seksualnej, wiedziałam, jak działałam na niektórych mężczyzn, ale coś takiego? Miałam nad nim władzę. Ten chłopak nie tylko nigdy by mnie nie opuścił, on zrobiłby wszystko, żeby mnie przy sobie zatrzymać. Dlatego nie zerwałam z nim tamtego ranka, ale między dwoma kęsami bagietki bąknęłam, że muszę mu coś powiedzieć.

– Planuję stworzenie seksstrony – rzekłam. – No wiesz, internetowej. – Pamiętam, że opadła mu szczeka, dostrzegłam na jego języku przeżuty kęs chleba z kawałkiem długo leżakującego sera. – Oczywiście najchętniej z tobą – dodałam uspokajająco.

Z holu dochodziły czyjeś podniesione głosy; Rusty zegnał się z gośćmi, słyszałam ich głośnie kroki i odgłosy rozmowy. Dopiero jak zapadła głucha cisza, kliknęłam zakładkę o nazwie „Tło”, bez mała będąc pewna, że dowiem się co nieco na temat okoliczności, w których Aaron trafił do wesołego i wdzięcznego świata fotografii szkolnej, ale myliłam się, była to bowiem zakładka z różnymi tłami portretów: gładkie jasnoniebieskie tło, jasnoróżowe różyczki, pastelowe kółeczka, „albo wypróbujcie Państwo coś innego: płótna! Dla wyjątkowego efektu Aaron Bever wydrukuje zdjęcie Państwa syna lub córki na płótnie malarskim, przez co zdjęcie szkolne będzie przypominało obraz olejny”.

No i jeszcze temat dzieci... Myśl ta była tak bolesna, że zakryłam usta ręką, zajrzałam w głąb siebie i zrozumiałam: naturalnie nie bez powodu wybrał ten zawód, chodziło mu o dzieci. Kiedy analizowałam w głowie treść jego maili, nie miałam wątpliwości, że jest bezdzietny. Nie było to nic nadzwyczajnego dla mężczyzny zbliżającego się do czterdziestki, ale wiedziałam, że Aaron miał głęboko zakorzenione pragnienie posiadania potomstwa, pewnie od urodzenia. Wydawało mi się niemożliwe, żeby ze swoją chorobą – według

mnie cierpieć na schizofrenię – znalazł kobietę gotową zejść z nim w ciążę. To nie była chwilowa niedyspozycja wywołana przeziębieniem ani reumatyzm – o ile się orientowałam, był jedną nogą w piekle. Miałam jako takie pojęcie o jego pogłębiającym się uczuciu beznadziei. (Notabene to Rusty opowiedział mi o schizofreniku, który zajmował mieszkanie pod nim przy Redondo Beach w czasach, kiedy był początkującym przedsiębiorcą; Rusty nazywał go The Voice, nie mylić z Sinatrą, chociaż cechowały go to samo wyczucie czasu i frazowanie: przez dwa lata mężczyzna ten wydawał z siebie o różnych porach, ale zawsze w nocy, niewyobrażalnie głośne dźwięki, czasem śpiewał basem piosenkę, *Black Betty* Ram Jamu albo coś z repertuaru AC/DC, najczęściej jednak stadionowym głosem powtarzał mantrę, którą po latach Rusty wykrzyczał nie bez widocznej ulgi: „*BIIIIIILLL!!! You hear me BILLL? You owe me one point two FOKKIN!!! BILLION!!! DOLLARS!!! BIILLLL!!!!*”. Nieprzerwanie, całymi godzinami, przez pół nocy bez przerwy, a Clinton i tak nie pofatygował się do niego z forszą. Kilka razy Rusty zadzwonił pod dziewięćset jedenaście i skierował słuchawkę na podłogę, a dyżurny zapytał go, dlaczego zaprosił do siebie do domu tego pana, dobrego znajomego zakładu psychiatrycznego w Redondo. Na tę chorobę nie poderwie się dziewczyny. To nie jest choroba umożliwiająca założenie rodziny).

– Chcę mieć dzieci.

To była jedna z pierwszych rzeczy, którymi podzielił się ze mną Aaron. O ile się nie mylę, podczas naszego pierwszego spotkania, naszej zadziwiającej rozmowy w śniegu przed salami wykładowymi Wydziału Zarządzania, na jego długiej szyi wisiał aparat, na głowie miał płaską wełnianą czapkę – wcześniej dowiedziałam się, że chce mieć dużą rodzinę, niż tego, że jest łysy jak kolano. Ale dopiero cztery lata później, kiedy go rzuciłam, dotarła do mnie powaga sytuacji.

– Wiesz, co mi powiedział Aaron? – zapytał mnie ojciec przed moim ostatnim wspólnym urlopem z Aaronem. – Powiedział, że masz zostać matką jego dzieci.

Sprytnie to rozegrał – pamiętam, że tak właśnie pomyślałam. Szczwany lis. Przez dwa tygodnie prawie ze sobą nie rozmawialiśmy i oto pojawił się Siem, konsultant do spraw związków, uzbrojony w tekst mający przełamać lody. Z planem na życie bez Aarona weszłam do obszernej kuchni przy De Heurne, dwie współlokatorki, które właśnie smażyły naleśniki, wskazały na górę.

– Twój tata czeka na ciebie w pokoju.

I rzeczywiście, w moim pokoju siedział pan rektor we własnej osobie, z podwiniętymi rękawami koszuli, krawat powiesił na oparciu krzesła, i pił

zieloną herbatę z plastikowego kubka.

– Pomyślałem, że na ciebie poczekam. Chyba ci to nie przeszkadza?

Zaczął przyzwoicie, od Ennia, zapytał, czy dobrze śpię, słyszał od mamy, że byłam bardzo roztrzęsiona, jest dumny z tak empatycznej córki. Przerwa. Myślałam, że zejdzie na temat Wilberta. Miejmy to już za sobą. Postanowiłam nic nie mówić o wykańczającej psychicznie rozmowie telefonicznej z Wilbertem. (Brzmiał tak, jakby nic go nie interesowało, jego chytry głos był jeszcze niższy niż dawniej, ale nie mniej prowokujący i wciąż twardy jak skała.

– Jeśli pytam, czy życie – powiedział – nie oznacza to, że mam też taką nadzieję.

– Mieszkasz gdzieś? – zapytałam zmieszana.

– A ty? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Mieszkasz gdzieś? Przyjeżdż, to zobaczysz, gdzie mieszkam.

Między zdaniem wydobywał z siebie dziwne odgłosy siorbania. Po skończonej rozmowie byłam wypompowana, wykończona, cała spływałam potem).

Ale ojciec nie podjął tematu Wilberta.

– Joon – odezwał się – powiedz mi, o co chodzi z tobą i Aaronem.

Tę „smutną wiadomość” przekazała mu matka, nie był specjalnie zaskoczony, przez jakiś czas miał okazję obserwować nas z bliska i był ostatnią osobą, która nie doceniałaby wpływu katastrofy, wszystko się ze sobą łączy, ale uważał, że w takiej sytuacji nie można podejmować decyzji dotyczących związku. Chciał, żebyśmy pojechali we dwoje na wakacje.

– Ja płacę.

– Tato – powiedziałam – do kurwy nędzy. Nie wtrącaj się. Zostaw mnie w spokoju. Nie wiesz, co mówisz. Skończyłam z nim.

Wstał, kręcąc przecząco głową, i wziął krawat.

– Chodź – rzekł. – Pójdziemy coś zjeść w De Beijaard.

Z powodu upału wstaliśmy wcześniej, o ósmej rano opuściliśmy wynajmowaną willę. Idąc wąskimi, stromymi drogami minęliśmy makie i zwiedzaliśmy interior Korsyki, zbierając po drodze cytryny i kiwi. Oddalając się od wybrzeża, czuliśmy, że spiekliśmy się na raka, na tej wyspie było niemiłosiernie gorąco, i chociaż większość drogi pokonaliśmy w milczeniu, czasem prowadziliśmy poważne rozmowy, co zdarzało nam się często podczas tego wyjazdu. Wydawało się, jakby interwencja ojca przynosiła skutki. Równie często go wspominaliśmy, doskonale zdawaliśmy sobie

sprawę, że gdyby nie on, nie byłoby nas na Korsyce, gdyby nie Siem, nasz związek pewnie umarłby śmiercią naturalną. Byliśmy zgodni co do tego, że powinniśmy być mu wdzięczni za ugaszenie niewielkiego pożaru.

W korsykańskim lesie naprawdę poczuliśmy swąd spalenizny. Aaron przeczytał gdzieś, że był to miesiąc libeccia, dusznego wiatru z południa, bardziej zdradliwego niż mistral. Między otaczającymi nas wysokimi sosnami i dębami korkowymi słyszeliśmy kwiczenie świń i cichy szelest wydawany przez kozice, które zwykle chowają się przed ludźmi, i niedługo potem zobaczyliśmy ogień, pomarańczową furię pochłaniającą tlen, usłyszeliśmy trzaski i chrzęst. Biegliśmy na łeb na szyję na wybrzeże, czasem potykaliśmy się o własne nogi, śmialiśmy się i oglądaliśmy za siebie, po drodze wyrzuciłam torbę z cytrynami i kiwi – szkoda, pomyślałam, wdrapując się na wzniesienie obok willi. Stałam w bikini i patrzyłam na czarny kołnierz dymu nad zalesionymi wzgórzami, trzymając za rękę chłopaka, którego jadąc tutaj, z całego serca nienawidziłam.

Przyjechał po mnie w sobotę rano, ponad tydzień nie mieliśmy żadnego kontaktu. Boże, jakże ja go wówczas nienawidziłam. Jak zwykle musieliśmy najpierw koniecznie zajechać do apteki przy Beltstraat, ponieważ „się skończyły”. Wbiegł do środka z powtarzaną receptą, drukowaną przez zaprzyjaźnionego lekarza na drukarce offsetowej, a ja w międzyczasie usiadłam za kierownicą alfy, którą Aaron zaparkował na dwóch miejscach. Kiedy opadł z błogim bananem na twarzy na siedzenie pasażera, dogryzłam mu, że jest narkomanem, wyjeżdżając z Enschede, powiedziałam mu, że łyka coraz więcej tabletek nasennych, są coraz większe, tabletki wielkie jak choinka bożonarodzeniowa podłączona kroplówką do jego łóżka, potem tabletki wielkie jak kościół górujący nad uliczką, przy której mieszka. Nieopanowanie gnałam w kierunku Maastricht, specjalnie jechałam jak wariatka, wisiałam na kierownicy jak chirurg szczękowy nad pacjentem, hamowałam gwałtownie i w ostatniej chwili, przyklejałam się do każdego napotkanego zderzaka. Gdy Aaron podkrecał klimę, ja ją zakrecałam. W milczeniu kolebaliśmy się po dziurawych drogach Belgii, mój gniew wisiał we wnętrzu samochodu jak chmura gazu musztardowego. Na zewnątrz w czerwcowe niebo fabryki wypuszczały duszące, gęste jak smoła chmury, pod kołami samochodu pękał asfalt. Nienawidziliśmy się. Chcąc go ukarać, omijałam drogi płatne, porządnie nas wytrzęsło na wysuszonych prowincjonalnych drogach i w rezultacie w zupełnych ciemnościach wylądowaliśmy w jakiejś pieprzonej wiosce, gdzie spaliśmy w osobnych pieprzonych łóżkach w pieprzonym hotelu opanowanym przez muchy plujki.

Następnego dnia na jednym mrukliwym oddechu przejechaliśmy ostatni kawałek drogi do Sainte Maxime, gdzie w błyszczącym porcie „Barbara Ann” merdała ogonem jak pies, który doskonale wie, że coś jest nie tak z jego właścicielami. Płynęliśmy wzdłuż skalistego wybrzeża, mijając Cannes, Antibes, Monako, by gwałtownie zatrzymać się w San Remo, gdzie z marsowymi minami zjedliśmy pizzę, czekając aż zatankują łódź.

Dopiero na pełnym morzu, w drodze na Korsykę, atmosfera nieco się rozluźniła. Aaron wiedział, że musi zrobić pierwszy krok. Leżałam w jacuzzi na przednim dziobie, obserwując go ukradkiem zza okularów przeciwsłonecznych: stał, trzymając ręce na sterze z drzewa wiśniowego, przeznaczonym tak naprawdę dla jachtów żaglowych, ale kazałam konstruktorom z Palmer Johnson zamontować taki na naszej łodzi.

– Jak było na pogrzebie? – krzyknął, a ja udałam, że go nie słyszę.

Po pięciu minutach wyszłam z jacuzzi, utrzymując równowagę, ominęłam sterówkę, przeszłam przez pochyły salon, w sypialni założyłam suche bikini i wspięłam się na górę.

– Chujowo, oczywiście – krzyknęłam mu prosto w ucho.

Kiedy godzinę później złożył mi kondolencje z powodu Ennia, puściły mi wszelkie hamulce. W złości wykrzyczałam mu, jak bardzo mnie zdenerwował swoimi napadami zazdrości, bezdusnością, swoim chorobliwym zachowaniem – tak, tak, rozumie to. Żeby sprawdzić, czy naprawdę jest mu przykro, od razu poinformowałam go, że w sierpniu zaczynam pracę w McKinseyu w Dolinie Krzemowej.

– Stol do ciebie dzwonił?

Odpowiedziałam, że tuż przed naszym wyjazdem wybrałam się z Boudewijnem na przejażdżkę konną, i z Brigitte oczywiście, dodałam szybko, a ponieważ zareagował na tę wiadomość bardziej dojrzałe, niż się spodziewałam, przyniosłam z salonu butelkę białego wina.

– No i jak tam Wassenaar? To był pewnie koszmar?

– To się rymuje.

– Wiem.

Chcąc oszczędzić mu przykrości, skupiłam się na dziwnej atmosferze panującej w domu na wydmach. Była dziwaczna. Bładym świtem wsiadłam do pociągu i wzięłam taksówkę do ujeżdżalni Black Beauty. Po zjedzonym przy barze śniadaniu, na które składały się bułki z pomidorem i mozzarellą, udaliśmy się konno na plażę i już podczas tej krótkiej przejażdżki okazało się, że Boudewijn jest gorszym jeźdźcem niż ja i Brigitte, bo zgubiłyśmy go po ostrym spontanicznym galopie po plaży w Scheveningen, a po dziesięciu

minutach stępem nadal ani śladu Boudewijna.

– Poradzi sobie – powiedziała Brigitte.

Kiedy wróciliśmy pod wieczór do ujeżdżalni, dowiedziałyśmy się, że odstawił swoją klacz kilka godzin temu. Według mężczyzny, który obmył nasze konie, podczas wjeżdżania na wydnię „pan Boudewijn” wypadł z siodła i w najlepszym razie zwicznął sobie kostkę.

Aaron zaśmiał się po raz pierwszy w ciągu całego tygodnia.

– Zamiast od razu wskoczyć do astona martina – powiedziałam – albo przynajmniej zadzwonić do domu, Brigitte oprowadziła mnie bez pośpiechu po ujeżdżalni.

Ponad godzinę później jechałyśmy jej sportowym samochodem do Wassenaar. Nagle spojrzała na mnie z troską w oczach.

– Właściwie to jak on wrócił do domu?

Mieszkali w szarej willi, która w środku przypominała muzeum szaf grających.

– Jeszcze nie wzięłeś się za obiad? – zapytała Brigitte, gdy weszłyśmy do pustego salonu i zastałyśmy Boudewijna z woreczkiem lodu na kostce. Siedział przed panoramicznym telewizorem, patrząc na Tour de France, obok niego stał pojemnik z epkami.

– A co ty sobie myślisz? – warknął.

Z grzeczności udałam się do toalety, gdzie nappełniłam usta wodą z kranu i udawałam, że robię siku, po czym nie spiesząc się, uszmknowałam wargi. Kiedy wróciłam, Brigitte smażyła młodą cebulkę, a Boudewijn nakrywał długi szklany stół. Podczas posiłku panowała sztuczna atmosfera gościnności. Boudewijn opowiedział mi beznamietnie o niedawnej przebudowie willi, udzielił mi kilku obowiązkowych rad na wypadek, gdybym rzeczywiście dostała staż w Dolinie Krzemowej.

– A to nie jest już zaklepane? – zapytał Aaron.

– Już tak.

– Mówili coś o mnie?

– O tobie? Tak, mówiliśmy tylko o tobie.

Wolałam nie wspominać, że Brigitte dopytywała o Aarona i z pewną gorliwością przyznała mi rację, kiedy powiedziałam jej, iż chcę się jeszcze trochę zastanowić nad „tym... eee... chłopakiem”, i na chwilę wszyscy troje wróciliśmy myślami do wesela Etienne’a Vaessena. Mnie w każdym razie stanął przed oczami obraz Aarona wracającego z ubikacji, gdzie spędził idiotycznie dużo czasu, dziesięć, dwadzieścia minut, pół godziny, właściwie to spisałam go już wtedy na straty. Gapiliśmy się na niego we troje, wyglądał

strasznie: szary jak papier mâché, z białą kulką na czole – z papieru toaletowego, żeby zatamować krew z ranki, co powiedział mi później – w związku z czym jego czerep przypominał pęknięte, ugotowane na twardo kurze jajko.

– Więc padło na Amerykę – powiedział teraz.

Skinęłam nieznacznie głową i spojrzałam na otaczający nas ze wszystkich stron bezkresny błękit morza.

Mimo skręconej kostki Boudewijn chciał mnie koniecznie podrzucić na dworzec. Wydawało mi się, że poczuł się lepiej we wnętrzu swojego auta.

– Kiedy siedzi na grzbiecie konia, zapomina o bożym świecie – powiedział o Brigitte.

Skórzana kierownica w jego dłoniach, spokój, z jakim patrzył na drogę i w lusterka: skupiony, ironiczny, a nie zagoniony w kozi róg. Właśnie takim go zapamiętałam z wesela. Kiedy sunęliśmy po autostradzie, podziękował mi za przesłanie CV, uznał, że będę wspaniałym „Academy Fellow”, w poniedziałek wyśle rekomendację do kolegi w Dolinie Krzemowej.

– Fajny facet? – zapytałam.

– Wyjątkowo fajna babka, to znaczy jeśli zdasz jajniki w dziale kadr i nie wykorzystasz urlopu aż do wypowiedzenia.

– Głupie słowo: „urlop”.

– Całkiem zwyczajne, ale nie w McKinseyu.

– Głupie słowo: „jajnik”.

Dopiero wtedy się roześmiał, mniej więcej w momencie, kiedy dosyć ostro wjechał na minirondo, przez co nami zarzuciło, Boudewijn chwycił mnie za nogę, wysoko, jego dłoń była ciepła, jego palce między moimi udami.

Wznieśliśmy z Aaronem toast za Morze Liguryjskie. I za „Barbarę Ann”, nasz idiotyczny luksusowy jacht, który w przyływie zuchwałości nabyliśmy za zyski z kurewstwa. Sami nie wiedzieliśmy, dlaczego właściwie go kupiliśmy, może po to, żeby jako dwoje ukrytych milionerów znaleźć sposób na obnoszenie się ze swoim bogactwem. I to działało. Był nasz. Z kim miałam pływać po morzu, jak nie z Aaronem Beverem? Zdaje mi się, że tego samego wieczoru po raz pierwszy znów napstrykaliśmy trochę zdjęć. Opłynęliśmy Cap Corse, skierowaliśmy się na wschodnie wybrzeże Korsyki niedaleko Bastii i zacumowaliśmy w Santa-Lucia-di-Moriani, kurorcie, w którym wynajęliśmy willę. Rozmawialiśmy otwarcie o najbliższej przyszłości, o Ameryce, śmialiśmy się z liczby zdjęć, których musimy narobić na zapas. Zdradził mi, że pewnie odwiedzi mnie w Kalifornii, że chciałby pojechać ze mną.

– Wybierasz się jeszcze do Wilberta? – zapytał kilka dni później.

– Nie – uspokoiłam go. – W dniu, kiedy mam się z nim spotkać, będziemy jeszcze tutaj. Tak jest lepiej. Tata wspomniał o tym, gdy poszliśmy coś zjeść. Bał się, że coś planuję. Nie powiedziałam mu, że rozmawiałam z Wilbertem.

– Skąd miałś jego numer? – Jego głos zdradzał brak zaufania.

– Z telefonu rodziców.

Tego też wolałam nie mówić Siemowi. Mój ojciec postawił syna przed sądem jak prezydent na czas wojny: od tego czasu nasza rodzina nie bawiła się w niuanse, jeśli nie jesteś z nami, jesteś przeciwko nam. Od 1990 roku w domu na wsi nie rozmawiało się o Wilbercie. Nikomu nie przysłoby to do głowy. Nie mówiąc o tym, żeby do niego dzwonić. Nie mówiąc o tym, żeby się z nim *umówić*.

– Dzwoniłaś już, żeby odwołać spotkanie?

– Jeszcze nie.

W dniu pożaru lasu Aaron zapytał mnie, co bym powiedziała na to, gdyby on nie wrócił na Vluchtestraat i gdybym ja zrezygnowała z akademika na De Heurne. „Wyślemy cały bajzel statkiem – powiedział – wyemigrujemy. Na razie nie wrócimy do Holandii. Statkiem? Co tam, wszystko zostawimy. Co ty na to?”. I chociaż nigdy wcześniej nie myślałam o wspólnym zamieszkaniu, w dodatku stało to w jawnej sprzeczności z moimi przemyśleniami z ostatnich tygodni, udzieliła mi się jego zuchwałość: tak zrobimy! Im dłużej na ten temat rozprawialiśmy, tym bardziej nakręcaliśmy się na przeprowadzkę do Kalifornii, we dwoje – ku naszemu zdziwieniu już po sześciu dniach urlopu, sześciu dniach z dala od zwariowanego Enschede, sześciu dniach po najgłębszym kryzysie w naszym związku myśleliśmy o wspólnym zamieszkaniu, fantazjowaliśmy na temat nowego startu w Stanach. Stwierdziliśmy, że po takim kryzysie zwykłe łatanie dziur nie wystarczy, i kiedy w tamto popołudnie ze wzgórza obserwowaliśmy pożar lasu, w ciszy zastanawiałam się, czy gryzący smród milionów trzaskających igieł oczyszcza nasze myśli, czy mąci nam w głowach.

Na głowie Aarona była plama sadzy.

– Będzie dobrze – powiedział.

Odwróciłam się i spojrzałam na mały port pod nami, gdzie cumowało sześć, siedem łodzi, a nasza niebiesko-różowa strzała była o wiele większa od pozostałych.

– Zawsze możemy szybko odpłynąć – powiedziałam i uśmiechając się, poszliśmy poszukać ochłody we wnętrzu domu, który wzniesiono pod dwoma

wyjatkowo łatwopalnymi sosnami.

Podczas gdy Aaron smażył kozie mięso w najcięższym garnku, jaki znalazł w jednej z szafek kuchennych, ja spłukałam pod prysznicem smród spalonej kory z włosów i po raz pierwszy w życiu wyobraziłam sobie, że zostaję z nim na zawsze, że zakładamy rodzinę – czy w ogóle potrafiłam sobie to wyobrazić? Jakby to było, gdybyśmy odtąd robili to bez zabezpieczenia? Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak wchodzę do kuchni z turbanem na głowie i mówię do Aarona: „Skarbie, kocham cię, co ty na to, żebyśmy zrezygnowali z tych głupich prezerwatyw?”.

Drzwi do mojego pokoju otworzyły się, po niecierpliwym skrzypieniu zawiasów domyśliłam się, kto w nich stoi.

– Joy, masz pięć minut?

Uśmiech Rusty’ego poślaskotał mnie między łopatkami, zamknęłam stronę Aarona, ale wciąż wpatrywałam się w monitor. Dzień dobiegał końca, chciałam wrócić na czas do domu. Kiedy zaczął odliczać od pięciu, odwróciłam się. Opierając się na kłamce pokoju dwieście trzy (nigdy nie zdjęliśmy pomalowanych czerwoną farbą żeliwnych numerów pokoi hotelowych), Rusty pochylił się w drzwiach.

– Płakałaś?

– Jak się rodziłam. Bo?

– Dwie sprawy. – Podszedł do małego stolika, wziął jedno z ciężkich krzeseł, postawił je na środku pokoju i usiadł. Podobnie jak ja założył lewą nogę na prawą, ale zmienił zdanie i postawił stopy w kowbojkach na dywanie. – Po pierwsze: udziel tego wywiadu.

– O. – Zebrałam włosy, zrobiłam węzeł i związałam gumką. – Zapewne chciałeś powiedzieć: jeśli mam ochotę.

– Chciałem powiedzieć, jeśli masz ochotę. W każdym razie zasłużyłaś na to. Chętnie sam był poszedł, ale uważam, że to ty powinnaś iść. Jasne, że masz ochotę.

Połączenia nerwowe w moim ciele mówiły coś kompletnie odwrotnego, czułam wrodzoną niechęć do grania w otwarte karty, bycia wypytywaną przez kogoś, kto zawodowo chciał pogwałcić moją prywatność.

– Czy uważasz, że mogę wspomnieć o Barracks?

– Trudno, żebyś o nich nie wspomniała. Poza tym to dla jakiegoś magazynu. Zanim to wydrukują, nawet Belfast będzie o tym wiedział.

– A jeśli wyciągną informacje?

– „New York Times”? Nie zrobią tego. To lokalna sprawa. Wolą w ogóle się

nie pojawić niż zapodać niusa z Zachodniego Wybrzeża. Im chodzi o samo zjawisko, styl życia, sukces.

- Przyjadą tutaj? To znaczy na Coldwater?
- Ta dziewczyna usiądzie jutro na tym krześle.
- Jak się nazywa?

Rusty popatrzył na mnie uważnie i podniósł dwa palce do góry.

- Podwójne imię. Czekaj. – Zastanawiał się. – Mary Jo coś tam.
- A druga sprawa?

Wstał i podszedł do bocznego okna. Podniósł ramę okienną pomalowaną grubą warstwą niebieskiej farby i wystawił głowę na zewnątrz. Patrzyłam na wytarte tylne kieszenie jego dżinsów. Rusty musiał kiedyś wyczytać, że prawdziwy *założyciel*, prawdziwy chłopak od dotcomów, ubiera się najbardziej luzacko jak to możliwe. („Garnitur? – powiedział, kiedy na początku go o to zapytałam. – Już ja ci poprzetracam ten twój garnitur”). Miał jeden dziwny kobaltowy kostium z wyszywanymi kaktusami, zrobiony na zamówienie przez niejakiego Nudiego.

– Kto to?

– Nie wiesz? Nudie. Nudie Cohn. Krawiec Hanka Williamsa. Nudie uszył złoty kostium Elvisa. Garnitur w liście marihuany Grahama Parsonsa. Ona nie wie, kto to Nudie).

Musiałam przyznać, że to działało. Kiedy przychodziłam z Rustym do ogłoszeniodawcy, ja w czymś od Gucciego albo od innego znanego projektanta, a on jako wolny ptak w artystycznej koszuli, uzupełnialiśmy się, była od nas bowiem wyważona mieszanka anarchii i profesjonalizmu. Teraz beknął. Wciągnął głowę i wrócił na krzesło.

– Za dwa tygodnie chcę kręcić w Barracks. Musi się udać.

Typowy Rusty: najpierw całymi miesiącami staje okoniem, spowalnia bieg spraw, zongluje przeszkodami nie do pokonania, potem robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a na koniec grubo przesadza.

– Nie damy rady. Nawet nie mamy prądu.

– No to będzie prowizorka. Agregaty prądotwórcze. Zobaczysz. A ta dziennikarka nazywa się Harland. Tak. Mary Jo Harland.

Wpisałam jej nazwisko w Google, sto sześćdziesiąt dwa tysiące trafień w dwadzieścia cztery setne sekundy, pierwsze trafienie to jej własna strona internetowa.

– Píše dla „New Yorkera” – powiedziałam. – I dla „Granty”.

– Fajnie – odezwał się Rusty. – Od razu ich nie kupię i od razu ich nie przeczytam.

– Jak myślisz, jest za czy przeciw?

– Joy, i tak mamy przesrane przez te twoje Barracks. PR miał dzisiaj Louisa Theroux na linii.

Dziwna wibracja w gardle powiedziała mi, że powinnam zrezygnować z wywiadu: nie rób tego, dlaczego miałabyś to zrobić? Kiedy chciałam o tym powiedzieć Rusty’emu, zadzwonił mój telefon, rozmowa wewnętrzna.

– Theroux to sukinsyn – powiedziałam i włączyłam głośnik w aparacie. – Cześć, Steve.

Rusty zamknął usta i delikatnie wysunął język. Nie cierpiał Steve’a, uważał, że jest „sztywny jak kij od szczotki”. Ściągnęłam go z Google’a, gdzie zrobił wiele dobrego dla HR-u.

– Joy – w pokoju rozległ się metaliczny dźwięk – dzwonię, żeby powiedzieć, że dzwoniła do mnie Kristin, żeby przekazać, że jesteś wpisana do grafiku na środę jedenastego czerwca.

Rusty uśmiechnął się i skinął głową.

– Dlaczego Kristin sama nie zadzwoniła? – zapytałam.

Wczoraj w Golden Diggerze Kristin Rose wzięła mnie na stronę i powiedziała, że Isis ma problemy psychiczne, jest wypalona, przeżywa kryzys tożsamości, sama nie wiem co, i przynajmniej przez miesiąc będzie wyłączona z pracy, i czy nie chciałabym znów jej zastąpić.

– Kochanie, jesteś moją ostatnią deską ratunku. I jesteś w tym taka dobra – oznajmiła Kristin.

Zirytowało mnie, że jeszcze nie dałam odpowiedzi, a już miałam Steve’a na linii.

Kristin jest reżyserem, mniej więcej w moim wieku, była przy tym, jak Rusty mnie zwerbował, i od samego początku zwracała się do mnie per „kochanie”. Demonstrowała strategicznie wykalkulowaną życzliwość, która szczególnie działała na Rusty’ego.

– Ponieważ muszę wiedzieć, czy mam ci wpisać normalne honorarium – odpowiedział Steve.

– Czy ja się już zgodziłam? Z kim?

– Z... eee... poczekaj chwilę. – Steve zakaszłał, co głośnik przekazał jako ogłuszający zgrzyt. Zastanawiałam się, czy słyszał, że jest na głośnomówiącym. – To dla Girlslapsgirl. Bobbi...

– Bobbi Red – dopowiedziałam.

– Tak, chyba tak – powiedział Steve.

Rusty gwałtownie skinął głową i podniósł kciuki.

– Steven! – krzyknął głośno.

Przez chwilę słycać było tylko delikatne trzaski na linii.

– Rusty.

– Steve, chłopie, zrobi to na pewno. Powinieneś zobaczyć jej minę. Joy uwielbia Bobbi. – Ciepło się do mnie uśmiechnął. Miał rację, uwielbiałam Bobbi. – Steve – kontynuował Rusty – skoro już rozmawiamy, czy przygotowałeś umowę dla Vince’a?

– Prawie – odpowiedział Steve. – To znaczy właściwie tak. Czekam tylko na waszą akceptację mojej propozycji wynagrodzenia.

– Daj mu siódmkę – odezwał się Rusty. – I dodatkowe bonusy na zachętę.

– W Cleveland dostawał procent – powiedział Steve.

– Od sprzedaży? – spytałam.

– Eee... od zysku. Pół procenta.

Rusty spojrział na mnie, pokręciłam przecząco głową.

– Dobrze, Steve – powiedział. – Wydrukuj i wyślij, okej? Tak zrób. Do widzenia, Steve.

Wstał z krzesła, po czym nie odstawivszy go na miejsce, znów uwiesił się na kłance.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam po odłożeniu słuchawki.

– Sorry – odparł – ale muszę mieć Vince’a. I ty też, uwierz mi. Tak *by the way*, wiesz, że Bobbi będzie w przyszłym tygodniu gościem u Tyry Banks?

Ta wiadomość tak mnie zaskoczyła, że od razu przeszła mi złość.

– Naprawdę? Jak to?

– Egzorcyzmy. Szatan przysłał swoją córkę, nazywa się Bobbi Red. – Spojrział na swojego roleksa. – *Feck!* Joy, musze lecieć. Już. Ty i światowej sławy Bobbi Red zagracie za dwa tygodnie w Barracks. Obiecuję ci to.

Bobbi Red – w 2007 roku przez jakiś czas u mnie mieszkała, moją gościnność zawdzięczała temu, co można nazwać wyjątkową, otwartą rozmową kwalifikacyjną. Zaczęło się od listu, który napisała do Rusty’ego – żaden niechlujny mail, jakich otrzymywaliśmy wiele, lecz wydrukowany, starannie złożony na czworo i umieszczony w zaklejonej kopercie list motywacyjny, który zafascynowana, wciąż trzymałam w szufladzie biurka. Tego typu aplikacje dostawaliśmy w McKinseyu: wytuśzczony nagłówek, wiersz zaczynający się od „dotyczy” oraz książkowa treść listu młodego kandydata do pracy. Z listu motywacyjnego Bobbi, wówczas jeszcze Meryl Dryzak, nie od razu dało się wyczytać, czy ona z nas kpi, czy pisze serio, czy jest nieskończenie naiwna, czy też bezgranicznie zabawna.

– Zerknij na to – powiedział do mnie Rusty.

„Szanowny Panie – tak zaczynał się jej list – od kilku lat z prawdziwą przyjemnością oglądam Pana filmy w internecie. Chciałabym pracować w Pana firmie jako aktorka”. W następnym akapicie napisała, że obecnie uczęszcza do *junior college* w Denver w stanie Kolorado, gdzie pobiera lekcje śpiewu i aktorstwa, chodzi na wykłady z historii filmu i literatury współczesnej, i że wszystko to wydaje jej się „bardzo interesujące”, ale odkąd ukończyła osiemnaście lat, zgodnie z Federal Obscenity Statute, mogła wreszcie pójść za głosem serca. A serce, jak przypuszczała, dyktowało jej, by grała w filmach porno, najchętniej zaś w filmach porno naszej produkcji, to znaczy „mocnych, realistycznych i pomysłowych”. Drugi akapit zawierał oczywisty, klasyczny opis jej samej. „Moje otoczenie twierdzi, że jestem osobą godną zaufania, cechującą się wyjątkową komunikatywnością. Od dwunastego roku życia oglądam najnowsze filmy dla dorosłych. Mogę się poszczycić bogatym doświadczeniem w seksie analnym, głębokim gardle, żeńskiej ejakulacji itp. W trakcie stosunku chętnie przyjmuję rolę poddańczą, ale z równą przyjemnością dominuję. Poza tym mam wiele pomysłów, które mogą wzbogacić Państwa ofertę. Za pięć lat najchętniej widzę się za kamerą. Czy Państwa firma oferuje ścieżkę rozwoju zawodowego? Pozostaje mi podkreślić, że lubię pracować w grupie i dużą wagę przywiązuję do odpowiedniej atmosfery pracy. Chętnie spotkam się z Państwem osobiście, żeby przybliżyć swoją kandydaturę. Z poważaniem, Meryl Dryzak”.

Rusty padł. I to zanim przejrzał CV Meryl. To, że stroiła sobie żarty z gatunku i samego Rusty’ego, zdradziło dopiero jej curriculum vitae, sporządzone na kartce formatu A4 z tą samą udawaną powagą co list motywacyjny. Oprócz danych osobowych i zainteresowań (atletyka i film, uwielbiała Wenera Herzoga, Kurta Russella, Rocco Siffrediego i Michelangela Antonioniego) była także rubryka „wykształcenie i kursy”, ale zamiast wymienić *elementary school* i *high school*, wyszczególniła – co było zaskakujące – wszystkie swoje związki wraz z datami, wyjaśniając w krótkich, niepozostawiających wątpliwości słowach, czego nauczyła się w łóżku od Richa, Josha czy LaToyi. Referencje możemy uzyskać od wskazanych przez nią trzech osób; żeby sprawdzić, czy podane numery telefonów naprawdę istnieją, Rusty z szerokim uśmiechem na twarzy zadzwonił do kogoś, kogo Meryl określiła jako „Joey P(ierdolony) Skurwiel”. Gdy połączył się z automatyczną sekretarką („przedsiębiorstwo ogrodnicze Joe Lightcloud, wszystko dla Państwa tarasów i oczek wodnych”), roześmiał się, najpierw powoli, potem głośniejszym głosem, aż usłyszał dźwięk nagrywania wiadomości.

Tydzień później Meryl siedziała naprzeciwko nas w gabinecie Rusty'ego. Nie była dziewczyną z listu, była dziewczyną taką, jak jej list: grzeczną i niegrzeczną jednocześnie. Miała na sobie długi zielony T-shirt z napisem „Led Zeppelin” i szeroki pas z ćwiekami wokół wąskich bioder, do tego postrzępiona spódniczka moro, na stopach wysokie buty do koszykówki marki Nike. Z długimi, związanymi w warkocz włosami i pogodnym wyrazem twarzy – korzystny miks Mona Lisy, Kate Moss i heroiny z mangi – nie tylko prezentowała się zupełnie inaczej niż typ upadłych cheerleaderek, od których roilo się w Dolinie (nie miała powiększonych ust, żadnych tatuaży, umiała kontrolować śmiech), ale też zupełnie inaczej się zachowywała. Była inteligentna i poważna. Mówiła rozważnie, nieco formalnie, w jej melancholijnym głosie pobrzmiwało lekkie znudzenie, ale jednocześnie była pewna siebie i podobnie jak jej list, w pewnym sensie rozpustna.

Jak zwykle rozmowę prowadził Rusty, przywiązywał bowiem ogromną wagę do rozmów kwalifikacyjnych.

– Meryl – powiedział po kilku żartach na temat kilograma cukru, który wyspał do kawy – na podstawie twojego listu, sposobu mówienia, prezencji wnioskujemy, że jesteś inteligentną, utalentowaną dziewczyną. Dziewczyną, która ma wszystkie atuty potrzebne do osiągnięcia tego, o czym marzy. Czytałem, że studiujesz filmoznawstwo i literaturę, ale przypuszczam, że równie dobrze mogłabyś wybrać prawo, medycynę albo astronautykę. A mimo to chcesz dla nas pracować. Co możesz mi powiedzieć o swoich wierzycielach?

Rusty liczył, że nie od razu zrozumie pytanie, ale ona doskonale wiedziała, co miał na myśli.

– Pieniądze mnie nie interesują – powiedziała bez uśmiechu. – Pieniądze mnie nie kręca.

I tak jakby Rusty był Herbertem von Karajanem, a ona skrzypaczką na przesłuchaniu do Filharmoników Berlińskich, powiedziała, że ten biznes ją pociąga, ponieważ seks sprawia jej ogromną przyjemność, którą chciałaby dokładnie zbadać, to po pierwsze, „rozkosz działa uzależniająco”, stwierdziła finezyjnie, natomiast na drugim miejscu znalazło się jej życzenie, aby podzielić się z jak największą liczbą osób jej osobistymi odkryciami – było w niej coś z altruistki, uważała, że porno, „dobre porno”, dodała z uniesionym palcem, to niedoceniany uszczęśliwiciel dla wielu ludzi. Powiedziała, że pochodzi ze Steamboat Springs, wioski w Górach Skalistych w Kolorado, i że przez osiemnaście lat swojego życia dogłębnie zapoznała się ze wszystkim, co jest nudne, zwyczajne i usypiające. Teraz przyszedł czas na

coś innego.

– Bierzesz metę? – zapytał Rusty. Widziałam po nim, że jak dla niego zrobiło się zbyt filozoficznie.

– Jestem seksnarkomanką – odpowiedziała.

– Jasne. – Rusty udał, że coś notuje.

Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że na Coldwater świntuszono od bladego świtu do ciemnej nocy, szczególnie na planie filmowym i wokół niego – ale żeby w taki sposób? Bez wulgarnej spontaniczności cechującej dziewczyny takie jak ona (a może i bez ich równie bezczelnego fałszu, udawanego wariactwa, kapryśnej nieufności, bez której, musiałam przyznać, ciężko byłoby przeżyć w tym mieście), bez wyzywającej gadki, prowokacyjnego mielenia całego opakowania gumy do żucia naraz, wszystko brzmiało inaczej, bardziej nierealnie. Mocniej.

Przez całą rozmowę trzymała w ręce kieszonkowe wydanie powieści Houellebecqa ze środkowym palcem wetkniętym między dwie strony. Kiedy Rusty poradził jej, żeby wymyśliła sobie *nom de plume* (wyrażenie to w jego ustach brzmiało przekomicznie, przez co parsknęłam śmiechem, ponieważ zdradzało, że udzieliła mu się artystyczno-intelektualna atmosfera), zapytała, czy ma jakąś propozycję. Rusty dał sobie czas do namysłu, nie mógł szastać swoją cenną reputacją, jeśli chodzi o pseudonimy artystyczne.

– Gigi Green – rzucił.

– Wydaje mi się, że Bobbi Red jest niezłe – zaripostowała. „Green” sprzyjałoby zaszufładowaniu, jak przewidywała, czego i tak się bała z powodu dziewczęcej, szczupłej budowy ciała. – Powiedzmy, że nie mam zamiaru do dwudziestego piątego roku życia biegać w białych majteczkach i kraciastych podkolanówkach. Wiecie, kolejny film z cyklu *Daddy Fucked the Babysitter*.

Widziałam, że Rusty powstrzymuje się od śmiechu. Na ogół nie cierpiał zarozumiałstwa, innej sikorce z taką gadką rzuciłby parę zwiniętych w kulkę skarpetek z Harrym Potterem.

– Masz rację, Bobbi Red – powiedział.

Była w końcu taka ładna. W istocie była śliczna.

Po tym, jak się rozebrała i zgodnie ze zwyczajem okręciła wokół własnej osi („kucnij, na tym krześle, tak, tyłkiem do nas, o tak właśnie, zrób koci grzbiet, popatrz do tyłu – dobrze”), powiedziała nam, że przyleciała do LA z czterema tysiącami dolarów, które zarobiła na kelnerowaniu w restauracji serwującej steki w Steamboat Springs. Od kilku dni wynajmowała mieszkanie na wzgórzach Doliny, bez klimatyzacji, bez kuchenki gazowej, bez niczego.

Wyobraziłam sobie ten pokój i to, co ją czeka, oczami wyobraźni widziałam ją na planie, który pochłonie jej małe nastoletnie cycuszki na najbliższe miesiące. Poczułam coś, czego nigdy wcześniej nie czułam w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej: chciałam się nią zaopiekować.

Rustym kierowały zupełnie inne pobudki. Otworzył kalendarz z krokodylej skóry, żeby wpisać jej pierwsze zlecenia. Zgodnie z tradycją, kiedy nowy narybek mu odpowiadał – a raczej zawsze tak było – z niewzruszoną konsekwencją wpisywał siebie jako pierwszego partnera. To po to robił to wszystko. Na stole lądowały wtedy tabaka, koka, viagra – bez wspomagaczy Rusty nie stawał na wysokości zadania. Ponieważ zdaniem Bobbi trzy albo cztery filmy w miesiącu to było stanowczo za mało, przy niej zadzwonił do Kwimper Girls. Puszczając do niej oko, zachwalał ją Tony’emu Kwimperowi, pierwszemu rekinowi w branży. Od trzydziestu lat Kwimper prowadził swoją agencję z wnętrza przesiąkniętego dymem papierosowym buicka, którym kręcił kwadraty po San Fernando Valley od popołudnia do późnych godzin nocnych.

– Bobbi to wyjątkowa młoda dama, Kwimp, a ty wiesz, co mam na myśli, kiedy to mówię. Jeszcze o niej usłyszemy.

To były prorocze słowa, głównie zdaniem Rusty’ego. I okazało się, że miał rację. Bobbi Red, wcześniej Meryl Dryzak, w spektakularny sposób wyrosła na postać kultową, została gwiazdą porno nowego formatu – głównie w tym świecie oczywiście, ale na wielką skalę, w dodatku łączyła w sobie wiele gatunków.

„Bobbi zostanie nową Jenną Jameson” – Rusty powtórzył słowa „Rolling Stone’a”, ale prawda okazała się inna. Jameson była oldskulową, staroświecką królową porno. Bobbi nie. Bobbi nie mieściła się w żadnej szufladce, ona demolowała wszystkie szufladki. Mimo że jej filmy wcale nie były mniej hardcore’owe (wygrywała jedną nagrodę AVN po drugiej), ta tajemnicza, dogłębnie powierzchowna dziewczyna poruszała najdelikatniejsze struny poza Doliną. Użytkownicy w sieci byli oczarowani Bobbi, topowi fotografowie pragnęli zrobić z niej modelkę, indierockowe kapele chciały, żeby wystąpiła w ich klipach. Jej zdjęcie zdobiło okładkę najnowszej płyty Smashing Pumpkins. Przez pół roku wszędzie towarzyszył jej redaktor „Los Angeles Timesa”. Prowadziła na YouTube czarno-białego wideobloga, w którym oderwanym od rzeczywistości, poważnym tonem filozofowała na temat swojego burzliwego życia. A teraz pojawi się u Tyry Banks.

Kiedy po pierwszej rozmowie Bobbi pożegnała się z nami, podając swą kościstą dłoń, odprowadziłam ją po drewnianych schodach do holu, walcząc sama ze sobą. Dopiero w drzwiach, gdy sięgnęła po komórkę, by wezwać taksówkę, zaproponowałam jej u siebie nocleg, za darmo, bez zobowiązań, żeby się trochę zaaklimatyzowała. Spojrzała na mnie zaskoczona i serdecznie podziękowała za ofertę – co było również nietypowe dla ludzi jej pokroju. Ale tak długo naciskałam, aż w końcu się zgodziła.

Dlaczego? Podobnie jak Bobbi, do San Fernando Valley co roku napływały setki dziewczyn: beztroskich, głupich, kutych na cztery łapy, śmiałych, zepsutych, skrzywdzonych nieudacznic i lafirynd, rozpierzchających się jak różowe karaluchy po setkach kawalerek wynajmowanych za tysiąc dolarów między Ronald Reagan Freeway i Ventura Boulevard. Beznadziejne, pomalowane na biało mieszkania, gdzie w cieple albo zimnie leżały na materacu z Walmartu, czekając na telefon od agenta, by następnego dnia lub tego samego popołudnia w anonimowych willach na wyjątkowo szpetnych sofach grać w *Share My Cock 12* albo *Cum Dog Millionaire*. Może chciałam przyjrzeć się takiemu życiu z bliska. Może dziewczyna stymulowała mój siostrzany gen, materiał, który marniał gdzieś na końcu łańcucha mojego DNA.

Bobbi mieszkała u mnie przez dwa miesiące. Dałam jej duży pokój z balkonem wychodzącym na Sunset, mogła z niego patrzeć na Pacyfik. I chociaż czasem dla niej gotowałam, były to posiłki bardziej pożywne niż pizze z tzatzikami, które za każdym razem zamawiała. Mimo że spędziłyśmy ponad dziesięć wieczorów, siedząc przy nakrytym stole, nie zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Była na to zbyt zamknięta w sobie, a może nie byłam dla niej wystarczająco interesująca. Z trudem wyciągnęłam z niej, że wychowywała ją matka i dwa lata starszy brat. Jej ojciec zginął w 1991 roku w czasie pierwszej wojny w Zatoce: *friendly fire* – skomentowała sucho.

Sama zadawała za to mnóstwo pytań, ale były praktyczne, nawet jeśli dotyczyły mojej przeszłości.

- Co studiowałaś?
- Czy bez studiów mogłabyś zostać dyrektorem?
- Chciałabyś kiedyś wrócić do Niemiec?
- Używasz czasem strzykawki do lewatywy?
- Czy Rusty ma w ogóle rodzinę?
- Powiedziałaś o tym rodzicom?
- Ile kosztował ten dom?
- Właściwie to jak znalazłaś się w tym biznesie?

Kiedy na ostatnie pytanie odpowiedziałam, pokazując jej na laptopie kilka zdjęć, które zostały mi z czasów Enschede, roześmiała się – wydawało mi się, że z rozczeniem albo kpina.

– Przecież to nie jest porno – skwitowała.

W łazience, gdzie czasem moczyła się dwie godziny w jacuzzi, czytając książkę któregoś ze swoich guru literackich przy otwartych drzwiach, ale w kompletnej ciszy, leżała na taborecie torba Louis Vuitton, którą zabierała na plan. Któregoś wieczoru w tajemnicy przejrzałam jej zawartość: myjki, żel pod prysznic, perfumy, płyn do płukania jamy ustnej, tubka lubrykantu, szczoteczka i pasta do zębów, prezerwatywy, ładowarka do telefonu, wibratory w różnych rozmiarach i kolorach, szczotka do włosów i strzykawka do lewatywy, którą jej poleciłam na wypadek scen analnych. Złapałam się na tym, że nieświadomie sprawdzałam, jak często Bobbi zabierała ze sobą torbę. Kiedy po jakichś siedmiu tygodniach ze smutną miną oznajmiła mi, że znalazła loft w Sun Valley, licznik wskazywał trzydzieści osiem. Trzydzieści osiem filmów, z czego pięć na Coldwater. Uwzględniając jej zarobki u nas, na jej rachunek musiało wpłynąć około czterdziestu tysięcy dolarów.

– Pięćdziesiąt – powiedziała. – Ale nie chodzi o pieniądze, Joy. Chodzi o *oeuvre* – przy tym słowie zaśmiała się, co zdarzało się rzadko. – O wieczną sławę. Przecież to supersprawa, że wszyscy będą mogli zobaczyć, jak robię to, co kocham.

Ależ tak, życie w Dolinie jest dokładnie takie, jak sobie wyobrażała, nie, właściwie jest lepsze i ma w tym swój udział – dodała słodko – moja gościnność.

Jednego z ostatnich wieczorów, kiedy z niej korzystała, wróciłam z Coldwater i otwierając drzwi wejściowe, usłyszałam przytłumione dźwięki w salonie. Nieznane głosy rozmawiały z Bobbi. Usłyszałam słowa „tata” i „rozgrzeszenie”. Dopiero gdy weszłam do pokoju i zobaczyłam, że obok mojej współlokatorki siedzi dorosła kobieta, a na kanapie naprzeciwko wytatuowany Mulat, przypomniałam sobie, że matka i brat mieli zamiar odwiedzić Bobbi w jej nowym miejscu zamieszkania. Wizyta była ciągle przekładana. Bobbi nie była zachwycona tą perspektywą, ponieważ przy okazji odwiedzin miała zamiar pochwalić się swoją raczkującą karierą. Od razu się domyśliłam, że właśnie im powiedziała.

– Cześć, Joy – odezwała się Bobbi, gdy mnie zobaczyła, i wyprostowała się z uśmiechem. – Pozwól, że ci przedstawię: moja matka i mój brat.

Zwierzak, kiedy podeszłam do niego i podałam mu rękę, nawet nie podniósł się z miejsca. Był podobny do siostry w sposób, w jaki jedność

składa się ze sprzeczności: to, co czyniło Bobbi drobną, wdzięczną i kobietą, znalazło w potomku Dryzaków swój męski odpowiednik. Chłopak był nadmiernie umięśniony, miał wydatny nos i grube brwi, patrzyłam na masywne, wytatuowane na czarno ramię w koszulce bez rękawów, odbijającej się nieskazitelną bielą w czarnych jak smoła oczach, których barwa, mimo że osadzone były w dziobatej twarzy, zdecydowanie pochodziła z tego samego słoika z oliwkami kalamata co oczy Bobbi. Jego oczy nie patrzyły na mnie, lecz wpatrywały się z furią w kobietą dłoń zakleszczoną w imadle jego ręki.

– Właśnie dzwoniłam do producenta – zwróciła się do mnie Bobbi – nie mają nic na magazynie. Obawiam się, że potrwa to parę tygodni.

Jej matka była mocno zbudowaną kobietą o grubych, prostych, czarnych włosach i wysokich kościach policzkowych i chociaż miała na sobie dżinsy i skórzaną kurtkę, przypominała squaw. Żeby do niej dotrzeć, musiałabym brodzić w grubych odłamkach szkła, które leżały rozsypane na dywanie flokaty jak gradowe kulki, ale tego nie zrobiłam, pozdrowiliśmy się skinieniem głowy. Na obfitych kolanach i na podłodze wokół jej stóp leżały zgniecione chusteczki higieniczne z pudełka, które balansowało na skórzanym oparciu kanapy. Pośrodku tego, co dawniej było rodziną, wyrastała pomalowana czarną farbą proszkową konstrukcja aluminiowa utrzymująca szklany blat stolika w salonie. Na dnie sześcianu, między odłamkami szkła, błyszczał otwarty srebrny laptop Bobbi; zauważyłam, że jeden z zawiasów jest wyrwany. Nieco dalej, przed otwartymi drzwiami do łazienki, leżała torba Louis Vuittona niczym zestrzelona kaczka, wokół niej walały się tubki, słoiczki, prezerwatywy i strzykawka do lewatywy.

– Joy jest dyrektorem jednego ze studiów filmowych, dla których pracuję – powiedziała Bobbi pogodniejszym niż zwykle głosem. Kiedy nikt się nie odezwał, dodała: – To co, zbieramy się?

Jej brat poderwał się, jakby go prąd kopnął. Zamiast zyskać na wzroście, zyskał w obwodzie. Zrobił dwa gwałtowne kroki w moim kierunku i niebezpiecznie blisko zbliżył swój nos, płaski niczym ravioli, do mojego.

– Gdybyś była mężczyzną – powiedział, a w jego oddechu czułam zapach słodkich ziemniaków i kalmarów w cieście – rozciąłbym ci brzuch i wypatroszył cię. To, że jesteś kobietą, a nie mężczyzną, oznacza, że jeszcze Bóg cię na dobre nie opuścił.

Po tych słowach zniknął w holu i ciężko oddychając, czekał, aż dołączą do niego Bobbi i jej matka.

Po jego przygnębiających poszukiwaniach w domu Aarona jadą w sobotnie popołudnie do Rii i Hansa, przyjaciół Tineke z czasów, kiedy mieszkała w Utrechcie. Dwie godziny w wychłodzonym audi, on siedzi za kierownicą, głównie milczą. W radiowej dwójce jakiś poseł rozmawia z przedstawicielem sektora i urzędnikiem państwowym na temat wydawania pozwoleń na sprzedaż sztucznych ogni, Sigerius słyszy teorię o skropleniu³⁸. Drżące udo Tineke dotyka jego kolana.

– Słyszałeś? – pyta.

– Co?

– To, co mówią o nitrocelulozie. Tuż po katastrofie znaleźli nitrocelulozę.

– Ciągłe o czymś gadają.

Nie ma pojęcia, o czym ona mówi, nie wie, co to nitroceluloza, myśli o innych sprawach. Powinien słuchać audycji, w poniedziałek będzie rozmawiał z komisją Oostinga. Ale jego myśli zaprzęta łódź. Nieustannie zachodzi w głowę, co tak naprawdę wie o swoich dzieciach. Jest ojcem, który od lat nie widział własnego syna, ojczymem starszej pasierbicy studiującej na jego uniwersytecie. Co on wie?

Rano, kiedy Tineke była na treningu kardio, sięgnął po komórkę i wystukał numer widniejący na pokwitowaniu z portu. Odebrał jakiś facet, który nie rozumiał ani słowa po angielsku, to była katastrofa, bo z kolei Sigeriusowi nie udało się wydukać nawet „zaraz do pana zadzwonię ponownie” w szkolnym francuskim. Pobiegł na górę i w gabinecie wyszukał jak najwięcej słów kluczowych w słowniku niderlandzko-francuskim, zadzwonił ponownie, po czym facet oczywiście nie odebrał. Po kwadransie dopadł go wreszcie, musiał skłamać, że jest ojcem A. Bevera, następnie posługując się kempingowym francuskim (mężczyzna, który chce zostać ministrem edukacji, porozumiewa się językiem używanym na kempingu), dowiedział się, że łódź jest własnością Aarona, *propriété de monsieur A. Bever, oui monsieur, Bever de Enschede, né le 8 janvier 1972 à Venlo, oui, c'est ça*.

Poczuł się tak, jakby to jego zwodowali – prosto do Oceanu Arktycznego. Po pierwszym szoku, który wywołał klucie w piersi, przez jego głowę przelatywały setki myśli (narkotyki, mafia, handel kobietami, Klaas Bruinsma³⁹, seks, seks, seks), przepędził je wszystkie, musiał coś źle

zrozumieć, to niemożliwe, żeby tych dwoje miało łódź wartą miliony, jacht, który na Florydzie można wynająć za sto tysiaków na tydzień. To wariactwo, on sam wariuje.

Ale teraz znów w to wierzy. Bo co tak naprawdę wiemy o drugim człowieku? Co w ogóle wiedzą ojcowie? Jacht? Czy można ukrywać przed najbliższymi jacht turystyczny? Co taki ojciec jak on w ogóle wie?

Żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie, wystarczy, że zada je sobie samemu: co wiedział o nim jego ojciec? Tak, sam nie był lepszy. Już nie siedział w swoim wozie, znalazł się w Delft, w rodzinnym domu przy Trompetsteeg, jak zwykle w niedzielę zeszywniały od bólu mięśni i posiniaczony, i tej konkretnej niedzieli, która ożyła w jego wspomnieniu, miał gdzieś ból, ponieważ dzień wcześniej w Energiehal w Rotterdamie został mistrzem Holandii. A ojciec? O niczym nie wiedział. Siedział na dole i nie miał o niczym pojęcia.

1962? Tak, to był 1962 rok. Dochodząc do siebie po zwycięstwie, wyglądał z mansardowego okna pokoju na uliczkę młodości, która dopiero co się kończyła. Gramofon Garrarda zapewne odtwarzał jedną z epek, na przekór niedzielnemu smutkowi, który niczym ogromna łapa wyrastał z wąskich schodów i macał poddasze. Wolałby teraz być w koszarach Kromhouta. Właśnie zjadł w kuchni z Ankie i ojcem obiad, po wyczynie ekwilibrystycznym ojca z pełnotłustym jogurtem i pomarańczą, odgrywanym przez niego od czasów bitwy pod Nieuport⁴⁰ (dokładnie obierał pomarańczę i dzielił ją na cząstki, kawałek po kawałku, półgodzinna brudna robota), poszedł na górę i czekał na moment, kiedy będzie mógł zabrać jutowy worek i wrócić rowerem do Utrechtu. Musiało być chwilę przed siódmą, na zewnątrz zapadał zmierzch, gdy po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi wejściowe i jeden z synów Karsdorpa przeszedł w kapciach po czarnym klinkierze, i zapukał w okno ich domu.

– Ank! – ryknął ojciec z pokoju stołowego.

Siem usłyszał, że jego młodsza siostra odsuwa czarną aksamitną zasłonę i przeciska się między rowerami do drzwi. Powitanie, głosy, które po chwili ucichły, po czym Ankie wspięła się po schodach i wystawiła głowę z ciemnobrązowymi lokami zza rogu.

– Chodź szybko – szepnęła – będziesz w telewizji.

Z czujnością psa myśliwskiego wcisnął nogi w ciężkie buty wojskowe. Na dole, w ciemniejącym pokoju stołowym, panowała głucha cisza. Ojciec siedział przy stole w niedzielnym wełnianym garniturze i czytał; miedziana lampa wisząca świeciła na marmurkową okładkę podręcznika wieczorowej

szkoły handlowej, przez połówki szkielek okularów do czytania ojciec patrzył na strony, jakby chłopak od Karsdorpa, który stał przy stole i studiował wytarcia na wykładzinie, był powietrzem.

– Do widzenia, panie Sigerius – powiedział chłopak, po czym Siem wraz z Ankie przeszli po śliskim klinkierze za sąsiadem do domu jego rodziców, którzy wydawali się jeszcze biedniejsi od nich, ale jako jedyni na Trompetsteeg mieli telewizor.

– Patrzcie – skomentował ojciec ekstrawagancję Karsdorpów – ale niczego nie dotykajcie.

Mały salon pachniał kalafiorem i tłustym sosem, na dostawionych krzesłach tłoczyli się dorośli i dzieci, w rogu, koło okna, oko telewizora zamknięte w obudowie na wysoki połysk wyświetlało obrazy rozgrywanego po południu meczu piłki nożnej.

– Siadajcie dzieciaki – powiedziała pani Karsdorp, pulchna matka o bladej twarzy i grubych rudych włosach, których nijak nie dało się ułożyć.

Tutaj też było cicho jak makiem zasiał, dopiero potem zdał sobie sprawę, że głosy ucichły, kiedy wszedł do środka; wszystkich ogarnęła nagła nieśmiałość, wszystkie oczy były sztywno wpatrzone w program *Sport in beeld*. Zauważył, że to on ich onieśmielił, bo został mistrzem, a może chodziło o mundur.

Po piłce nożnej pojawił się materiał z zawodów pływackich, ale potem naprawdę zobaczyli obrazy z turnieju judo w Rotterdamie. Jan Cottaar wymienił nazwisko obrońcy tytułu, Joopa Gouweleeuwa, też z Delft, w kamerze pojawił się Anton Geesink, któremu „tytuł mistrza kraju przeszedł koło nosa”, a on sam, „dziewiętnastoletni Simon Sigerius”, stał na skraju maty przed finałową walką przeciwko Janowi van Ierlandowi. Pan Karsdorp, obok którego siedział z siostrą na wąskiej dwuosobowej sofie, odezwał się jako pierwszy:

– Wasz tata nie przyjdzie? – zapytał.

Siem zauważył, że Ankie szykuje w odpowiedzi jakieś zgrabne wytłumaczenie.

– Raczej nie, panie Karsdorp – ubiegł ją. Mówił niskim, donośnym głosem.

– Ojciec uważa, że judo to sport dla zdrajców narodu. Nawet nie wie, że zostałem mistrzem.

Taka była prawda, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo na macie toczyła się właśnie zaciekle walka, zdaniem Jana Cottaara „mocne starcie mistrzów”, wszyscy zatopieni we własnych myślach patrzyli na czarno-białego człowieczka, który przed chwilą w rzeczowym świecie wypowiedział te

dziwne słowa, a teraz ciągnął i szarpał Jana van Ierlanda, „i dopiero w trzeciej minucie młody poborowy Sigerius powalił przeciwnika na tatami w dziesiątym rzucie przez biodro, czym zasłużył sobie na tytuł mistrza Holandii w wadze ciężkiej”.

Nie pamięta już, czy ojciec, zaklęty w świetle lampy niczym skamielina zatopiona w bursztynie, zaszczyił ich spojrzeniem, kiedy pół godziny później weszli do ciemnego salonu, na pewno obok niego stała butelka jeneveru. Siostra zapaliła lampki, Siem kręcił się przy drzwiach na korytarz, obydwój na coś czekali, na wybuch, na coś potwornego.

Ojciec – który dwa lata później zmarł na zawał serca – odwrócił się, przerzedzone włosy na potylicy były mokre od pomady, wyjął z barku trzy kieliszki, postawił je przed sobą i sprawnie wypełnił jeneverem aż po sam brzeg.

– Podejdz no tu, Ank – odezwał się – wzniesiemy toast za Siema.

I kiedy czując się nieco niezręcznie, stali przy stole, ojciec wręczył każdemu z nich po kieliszku.

– Tato, nie piję alkoholu – powiedział.

– Wygadujesz różne głupstwa. – Ojciec chwycił kieliszek za srebrną nóżkę i go uniósł. Kiedy on i Ankie zrobili to samo, powiedział: – Za naszego zdrajcę.

To prawda. Całymi latami bawił się z nim w ciuciubabkę. Opanował do perfekcji odgrywanie judoki partyzanta, to znaczy w końcu wszyscy się dowiedzieli: jego bracia i siostry, koledzy z klasy, sąsiedzi, wszyscy subskrybenci „Delfts Katholiek Dagblad” – wszyscy oprócz ojca. Przez wiele lat trenował judo w ukryciu, najpierw raz w tygodniu do upadłego, potem szybko zwiększył liczbę treningów do trzech tygodniowo, by w końcu trenować cztery razy w tygodniu. Całymi latami używał wymyślnego systemu kłamstw, uników i wymówek pomocniczych, by robić to, co kochał.

Tata mógł tego w końcu nie wytrzymać. Decyzję podjął po nieszczęsnym zataszczeniu sekretarzyka do domu najstarszej siostry i jej męża. Siem wraz z ojcem nieśli ciężki jak kamień mebel z Trompetsteeg na Kruisstraat, sprzęt z biura ojca od kilku tygodni stojący w stołowym jak wyrzucony na brzeg galeon.

– Wezmę to cholerstwo – powiedziała Loes.

To była ciężka robota, było strasznie zimno, co piętnaście metrów musieli stawiać dębowy kłoc na wyludnionej w niedzielę ulicy.

Siem miał twarz czerwoną z wysiłku, może przyczyniła się do tego też

trasa, którą nagle pokonywali we dwóch. Od kilku tygodni w każdy wtorkowy wieczór szedł tym samym chodnikiem za ojcem – ostrożnie, jak komiksowy detektyw Dick Bos śledzący szefa półświatka – przez Beestenmarkt, wzdłuż Molslaan, pod pachą ściskając papierową torbę z supermarketu Spar. Zanim skręcił w lewo w Kruisstraat, w oddali majaczyła ciemnoszara plamka płaszcza ojca podążającego do wieczorowej szkoły handlowej na Raamstraat. Siem dzwonił do domu Loes i Gerrita, jego siostra wkładała do torby wykrochmaloną judogę, stojąc jedną nogą na schodach, a drugą w wyłożonym kaflami holu. Nie wierząc, że ojciec zdołał oddalić się na bezpieczną odległość, biegł z torbą do Oude Delft, by na czas zjawić się w dojo Uke-Mi.

Pół roku wcześniej powiedział ojcu o judo. Miał już za sobą chyba z dziesięć lekcji próbnych u pana Vloeta. Ponieważ przeczuwał, że ojciec może nie podzielać jego entuzjazmu, dobrze się przygotował; uznał, iż powinien przybliżyć ojcu filozofię, którą kieruje się jego nowy sport: judo to coś więcej niż sama walka. Pan Vloet, który walczył na macie z japońskimi mistrzami w Paryżu, poświęcił kiedyś całą lekcję poglądom profesora Kano, twórcy ich sportu. W dojo wisiał jego portret. To był wspaniały wieczór. Pan Vloet potrafił człowieka nieźle przemaglować i jeśli uważał czyjś rzut przez ramię za niedostatecznie dobry, przez całą długość sali wrzeszczał ile sił w płucach „BEZNADZIEJA!”, ale umiał też w miłej i spokojnej atmosferze opowiadać, ponad godzinę siedzieli wokół niego. I wysilając pamięć, tamtego wieczoru Siem powtórzył przy stole to, co zapamiętał z opowieści nauczyciela.

Bracia i młodsza siostra słuchali, jedząc posiłek, ojciec też milczał, skórzane łąty swetra oparł na haftowanym obrusie i patrzył na Siema znad parującego garnka z włoską kapustą. Na jego drobnej, pooranej zmarszczkami twarzy malowało się zmęczenie. Może dlatego, że w domu i w pracy prowadził siedzący tryb życia, kościste ramiona były pochylone do przodu, a szyja wydawała się długa i łysa.

– Więc tak naprawdę, tato – powiedział – judo ma niewiele wspólnego z walką, właściwie to nic, w judo chodzi o opanowanie i szacunek dla przeciwnika. Jego twórca, profesor Kano, nie bez powodu nazwał ten sport „judo”, co oznacza „łagodną drogę”. Miał nadzieję, że dzięki temu świat stanie się lepszy.

– Lepszy? – zapytał ojciec. – Lepszy dzięki czemu?

– Dzięki judo oczywiście – odpowiedział. – Profesor Kano nie chciał, żeby judo było dyscypliną sportową, tylko służyło, jak to się mówi, wychowaniu.

Tato, w Japonii dzieci uczą się judo w szkole, tam każdy już od najmłodszych lat poznaje ideały i zasady, które stoją za symbolem, rozumiesz?

Ojciec zrobił coś, czego nie robił zbyt chętnie: zaśmiał się. Jego wymęczona twarz wykrzywiła się w grymasie, który zaskoczył Siema, jakby patrzył na jego gołe nogi. To nie był wesoły śmiech. To, czego jako trzynastolatek nie umiał opisać słowami, przez całe lata unosiło się w jego głowie jak gęsta mgła: ich ojciec był wrakiem człowieka. Razem z matką prowadził księgarnię przy Choorstraat, skromny sklep napędzany entuzjazmem matki, który po jej niezrozumiałej śmierci szybko splajtował, jakby ktoś wyciągnął korek z wanny. Musieli się przeprowadzić. Od tamtego czasu ojciec mieszkał w tym strasznym domu z piątką dzieci, mając na głowie gromadkę wierzycieli. Chociaż się starał, nic go już nie cieszyło. Powiedział:

– Stoją za symbolem, Siem? Tak się nie mówi. Ale opowiedz mi coś o japońskich ideałach.

– Dobrze – odrzekł zachęcony i przez chwilę myślał o tym, co dokładnie powiedział pan Vloet. – Dla profesora Kano bardzo ważna była współpraca. Zarówno na macie, jak i poza nią judocy muszą pomagać innym.

Zauważył, że Ankie ukryła ziewnięcie. Freek udawał, że wiośłuje.

– Kajak – powiedział.

– Współpraca poprawia samoczucie każ...

– Samopoczucie – przerwał mu ojciec.

– Samopoczucie każdego z nas. Postępując uczciwie i z szacunkiem, uszczęśliwiasz innych, tato, a więc i samego siebie. Zupełnie inaczej niż boks. Bokserzy po prostu się nawalają. Judocy mają do siebie szacunek.

– To dlaczego się podduszają? – zapytał Freek.

– To element gry, cymbale – warknął. – Na znak przeciwnika od razu puszczamy chwyt.

– Jak myślisz, kto wygra? – Freek od razu zadał kolejne pytanie. – Floyd Patterson czy... jak on się nazywa... ten wasz... Anton Geesink?

Ojciec pogładził się lewą ręką po wychudzonej szyi i zwrócił się do pozostałych:

– Siem mówi o tym w taki sposób, jakby od lat uprawiał ten... sport.

– Nie, wcale nie – wystraszył się.

Kochał ojca, ponieważ to był jego ojciec, ponieważ dwa razy w tygodniu chodził do szkoły wieczorowej, ponieważ był wdowcem i po części im matkował. Ale ojciec był też przewrażliwiony, może dlatego, że wiele przeszedł.

– Patterson – odezwał się Freek – zgniecie Geesinka jak robaka.

– Nie, tato, wcale nie – powtórzył Siem – dlatego ci o tym opowiadam. Chciałem zapytać, czy mogę chodzić na judo. Bardzo bym chciał chodzić na judo. W Oude Delft jest bardzo dobry klub. Byłem już na kilku lekcjach próbnych.

Przy słowach „lekcje próbne” ciałem ojca wstrząsnął nieokreślony spazm, jakby siedział w pociągu, który nagle się wykoleił.

– Jak się nazywa ten nauczyciel? – zapytał opryskliwie.

Często myślał o tym, co powiedział ojciec, kiedy Freek przekłuł bączkiem stopę Jet Kolf. Żelazna końcówka przebiła jej sznurowany botek. Z rany tryskała krew. Ktoś posłał po ojca, nie pamięta już kto, ojciec przyszedł bez płaszcza na Beestenmarkt.

– A nie mówiłem? – wycedził przez zęby, mocno okładając Freeka. – Powinienem był wysłać was wszystkich do internatu.

– Tato, to jest sensei. Tak mówią Japończycy.

– Pytam, jak nazywa się ten mężczyzna.

– To pan Vloet.

Ojciec pokręcił głową, jakby pan Vloet wcale nie nazywał się pan Vloet.

– Chłopcze – stwierdził – znów dałeś sobie coś wmówić. Głodne kawałki o szacunku i cnocie. Ten człowiek nie ma pojęcia, o czym mówi.

– Tato, pan Vloet ma trzeci dan. Niełatwo go zdobyć.

Poczuł kopnięcie w nogę. Daan gapił się na niego, usta miał ułożone w wąską kreskę, ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

– Mam w nosie, który dam ma czy też nie ma pan Vloet – powiedział ojciec z nagłą złością. – Chodzi mi o zarozumiałe głędzenie o Japończykach. Nie mów ojcu o Japończykach, Simonie. Nie wyskakuj mi tu z opowieściami o cnotliwych Japończykach albo o czymś szczęściu. Niech cię Pan Bóg broni!

Mówiąc o Bogu, ojciec walnął ręką w kant talerza, który pękł na dwoje. Najpierw było słyhać głośne uderzenie, potem nastąpiła kompletna cisza. Freek i Daan wpatrywali się w zdumieniu w swoje kiełbaski, Ankie gapiła się z pełnymi ustami na ojca. Jak gdyby nigdy nic, jakby jego talerz wcale nie był pęknięty, ojciec nadział na widelec kawałek ziemniaka leżącego na obrusie, włożył go do ust i zaczął przeżuwać. Gdy przełknął, odezwał się spokojnie:

– Słuchaj, Siem. Powiesz temu Vloetowi, że twój ojciec był w Birmie. Powiesz mu tak: „Mój ojciec był robotnikiem przymusowym przy budowie linii kolejowej w Birmie”. Zrozumiano? Wtedy zrozumie, dlaczego nie będziesz już chodził na treningi.

Na Molslaan, mając ponad połowę drogi za sobą, zatrzymali się, chuchając w dłonie. Mieli wrażenie, że ktoś się schował w tym sekretarzyku.

– Dobrze nam idzie, chłopcze.

Pot ściekał mu po plecach – ale do potu wywołanego wysiłkiem fizycznym dołączył pot wywołany strachem. Zaufał siostrze, z automatu, ona nigdy nie zdradziłaby ich małego sekretu, ale nie był pewny co do szwagra, Gerrita z paznokciami czarnymi od pracy w warsztacie. Uważał, że Gerrit to dziwak, wilk w owczej skórze, wchodził teściowi do tyłka bez mydła i wazeliny. Wiedział wszystko o wszystkich, szczególnie to, o czym się nie mówiło. Na przykład o przyczynie śmierci matki Siem dowiedział się od Freeka, co Freek usłyszał z kolei od Gerrita. Jego matka – ta delikatna, kochana, piękna kobieta – zmarła według Gerrita z powodu powikłań wywołanych *furunkulem*. Furunkulem w nosie.

– Furunkulem? – zapytał przestraszony.

Furunkuł, furunkuł? Brzmiało jak imię małpki wysłanej przez Rosjan w kosmos.

– To rodzaj czyraka – wyjaśnił Freek.

– Przecież od tego się nie umiera? – wydukał wystraszony.

– Umiera się, jeśli... jak to się mówi? Jeśli ropa dostanie się przez nos do mózgu – odpowiedział Freek.

Gryzło go, iż Gerrit wie, że w tajemnicy trenuje judo, że ani myśli z tym skończyć. Tego popołudnia, kiedy odwiedził Loes i Gerrita w ich domu z prośbą, żeby odtąd siostra prała jego stroje do judo, szwagier zmarszczył czoło jak typowy cwaniaczek. Gerrit rozsiadł się wygodnie, zaraz mu wytłumaczy, dlaczego jego ojciec nie lubi judo. Chyba wie, co się stało w czasie wojny? Wie o Indiach? Co żółtki zrobiły ojcu? Nie?

– Chłopcze – Gerrit uśmiechnął się pobłaźliwie – dobrali się twojemu staremu do tyłka. I to jak. Najpierw dwieście kilometrów do Birmy, pieszo, na bosaka, siedem nocek. A potem dwa lata dźwigania podkładów, czternaście godzin dziennie, bez układu zbiorowego pracy. Cały we wrzodach i wszach. A Japońcy jeszcze go bili. Widziałeś kiedyś plecy ojca?

– Nie.

– To i lepiej, chłopcze. Jak waliłeś jeszcze w pieluszkę, mieszkałem z twoją siostrą u was. O trzeciej nad ranem, chłopcze, wtedy się zaczynało. Twój tata darł się jak niemowlę. Spał we wnęce, bo matka musiała się wyspać. Pod łóżkiem leżała... jak to się nazywa... maczeta, klewang, i kiedy wasza matka albo ja...

Do pokoju weszła Loes i postawiła kawę na stole.

– Co ty mu znowu wmawiasz?

– ...albo twoja siostra chcieliśmy go uspokoić, stał na łóżku, wywijając tym cholerstwem na wszystkie strony. „Spieprzaj, cholerny Japońcu! Ssss... ukatrupię cię”. – Uśmiechnął się. – Nie tak było, Loes?

Siostra Siema podetknęła mu pod nos pojemnik z ciasteczkami maślanymi.

– Ale twojemu ojcu udało się zwać – powiedział Gerrit. – Uciec z obozu. Dwa tygi przedzierał się przez dżunglę. Tak, tak. Bohater. Twój ojciec jest bohaterem.

Może dlatego, że miał dopiero czternaście lat, nigdy nie miał wszy, a tym bardziej nigdy nie dostał kijem, może dlatego, że czuł się okropnie, słuchając złośliwego seplenienia Gerrita, musiał bardzo się wysilić, żeby nadal go słuchać.

– Kempeitai, słyszałeś o nich? – zapytał Gerrit. – Można ich spokojnie nazwać żółtym gestapo. Twój ojciec wpadł prosto w ich ramiona. Biedny chłop. Resztę wojny spędził w żelaznej krzyńce, własnym domku o powierzchni metr na metr. Ani usiąść, ani stać, ani się położyć. Parę razy w tygodniu wypuszczali go, żeby dalej katować... Tak, tak.

Dopiero na zewnątrz, w drodze do domu, nieco ochłonął i poczuł chłód buntu. Jeśli to prawda, co mówił Gerrit, to współczuł ojcu, naprawdę, ale co miał wspólnego klub judo w Delft z wojną w Azji?

Znów podnieśli sekretarzyk, tym razem chwycili go za blat, i powoli skęcili w Kruisstraat, ojciec szedł tyłem i co jakiś czas się odwracał. Mimo że ramiona drżały mu z wysiłku, Siem miał czas, żeby pomyśleć o judo. Musi znaleźć jakieś proste rozwiązanie tej kwestii. Mieli jeszcze do pokonania około dwudziestu metrów, gdy z naprzeciwka ze straszliwym rżeniem nadjechał ciemnozielony volkswagen szwagra. Gerrit zaparkował prostopadle do budynku numer dwadzieścia trzy. Gdy ojciec postawił mebel i się odwrócił, w głowie Siema zaczęła kiełkować jakaś niespokojna myśl. Zobaczył Gerrita wychylającego się z ciemnozielonej kopuły wozu jak nietot. Niedawno szwagier zabrał ojca na przejażdżkę do Rotterdamu. Siemowi huczało w głowie od euforycznego wzburzenia. Loes i jej mąż mieli volkswagena – niemiecki wózek, do cholery, samochód wymyślony przez Adolfa Hitlera. A ojciec jak gdyby nic do niego wszedł! Do hitlerowskiego auta!

Gerrit szedł im naprzeciw.

– Teraz ja poniosę – krzyknął z daleka do ojca, który oparł się plecami o sekretarzyk.

– Tato – powiedział Siem, ale ojciec się nie odwrócił. – Tato! – krzyknął. –

Powiedz mi, dlaczego Loes i Gerrit mogą jeździć szwabskim autem, a ja nie mogę chodzić na judo?

Wszystko stało się bardzo szybko, dwoma krokami ojciec obszedł sekretarzyk, nigdy wcześniej Siem nie widział, żeby ojciec poruszał się tak szybko i zwinnie. Potem poczuł szumiący ból. Otwarta dłoń ojca wylądowała z ciężkim i bezlitosnym plaśnięciem na jego lewym uchu, delikatnym organie, który jeszcze nie był kalafiorowaty od szesnastu lat uprawiania judo turniejowego. Łzy wystrzeliły z kanalików łzowych przez rezonującą małżowinę uszną, ale je powstrzymał. Zamknął oczy, żeby je osuszyć i złapać ostrość sękatego drewna sekretarzyka. Ojciec wyciągnął rękę i pokazał na ulicę, z której właśnie przyszli.

– Zejdź mi z oczu – powiedział. – Won!

Dawniej Ria i Hans mieszkali na drugim piętrze w mieszkaniu od podwórka w bocznej uliczce odchodzącej od Antonius Matthaeslaan, obecnie zajmują odnowioną willę na obrzeżach Wilhelminapark, którą Hans kupił dzięki prowadzeniu hurtowni południowoafrykańskich win. Jedzą w ocienionym ogrodzie. Po kilku lampkach kranskopu Sigerius dyskutuje z gospodarzem o zasługach matematyki dla szachów, co przypomina potrząsanie szejkerem wypełnionym czarnymi i białymi opiniami. Nieustępliwy fanatyzm, z jakim broni opinii, zapożyczony zresztą od G.H. Hardy'ego, że mimo całej ich królewskości szachom brakuje czegoś istotnego, że w przeciwieństwie do matematyki są nieważne, „matematyka jest piękna i ważna, Hans, czego nie da się powiedzieć o szachach”, uświadamia mu, jak bardzo drażni go ta łódź. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się na strych.

Następnego dnia rano przy pożegnaniu przyjmują zaproszenie na święta we francuskich Alpach w górskim domku Hansa i Rii. Tineke siada za kierownicą i jedzie Antonius Matthaeslaan, zawsze tak robią, gdy są w Utrechcie, ale Sigerius prawie się nie rozgląda. Czy powinien wrócić do domu Aarona? Przyrównuje się do ojca, zastanawia się, czy naprawdę nic nie wiedział aż do toastu za mistrza – ależ wiedział, z całą pewnością. Dawniej bezpardonowe lekceważenie judo przez ojca tłumaczył jego słabością i krótkowzrocznością, ale z biegiem lat – jako zwyczajny brak zainteresowania ze strony podstarzałego faceta. Po raz pierwszy próbuje odrzucić te myśli, postawić się na miejscu ojca, poczuć złość poniżonego człowieka, i to ćwiczenie z empatii uzmysławia mu, że ojciec tolerował judo, przyzwalał na nie mimo traumy wojennej. Kiedy jego tato zmarł w 1964 roku, Sigerius czuł skrywaną ulgę, bo nie miał najmniejszej ochoty

pokazywać się ojcu po roku spędzonym na treningach w Japonii – to była ulga wywołana pobudkami osobistymi. Ale w poweekendowym zabieganiu to dawne odczucie nabiera nowego kształtu: po raz pierwszy cieszy się, że ojciec nie musiał przez to przechodzić, po raz pierwszy czuje ulgę *ze względu na ojca*. Może dlatego zastanawia się, czy on też nie powinien *odpuścić*. Udawać Greka tak jak ojciec. Wiedzieć, że nic nie wie. Aż któregoś wieczoru przyjdzie sąsiad i powie ci, że twój syn został mistrzem. Ale co – zastanawia się Sigerius – co któregoś wieczoru przyjdą powiedzieć jemu?

W środę rano obraduje komisja Oostinga, po południu Sigerius wykorzystuje okazję. O wpół do piątej wchodzi na parking rektoratu z marynarką przewieszoną przez ramię. Nucąc pod nosem, wsiada do służbowego samochodu i wyjeżdża z Hengelosestraat. Parkuje przed McDonaldem na Schuttersveld i idzie do marketu budowlanego Praxis.

Nieśmiały, dziobaty chłopak w czerwonej firmowej koszulce polo prowadzi go do stoiska ze szlifierkami kątowymi i nożycami do metalu. Kupuje drugie co do wielkości nożyce, które i tak są ogromne, i wraca do domu. Zadowolony, odkrywa, że nikogo nie ma. W sypialni na parterze zdejmuje garnitur i wchodzi do łazienki. Bierze letni prysznic. Gdy głęboko oddycha, czuje w piersi przyjemne podenerwowanie. Wyciera się, wchodzi nago do garderoby, wkłada beżowe bawełniane spodnie, mokasyńki bez skarpetek i jasnopomarańczową koszulkę polo. Chyba się wygłupił. Patrząc w lustro, postanawia włożyć garnitur.

Po dłuższym myślowaniu w zabudowanej szafie w sypialni znajduje torbę sportową, w której chowa nożyce. W salonie zostawia kartkę dla Tineke: „Cześć, kochanie, miło spędziłaś czas z siostrą? Nie uda mi się wykręcić od kolacji z chłopakami ze stowarzyszenia studentów. Potem będziemy oglądali mecz Francja – Holandia. Do zobaczenia, S.”.

Tuż po szóstej po raz drugi jedzie wzdłuż Hengelosestraat. Korek się przerzedza, szyby samochodu są w połowie uchylone, z głośników leci Cannonball Adderley. Wieczór jest ciepły i bezwietrzny, ogromna tarcza rozleniwionego słońca barwi miasto niczym uszkodzoną makietę. Na ulicach roi się od ludzi, jadących wężym rowerzystów, w parkach mężczyźni z podwiniętymi nogawkami grają w piłkę. Ale to film. Gumowy saksofon altowy Cannonballa pasuje do filmu, a nie do niego. Chociaż przez uchylone szyby wpada chłodny wieczorny wietrzyk, Sigerius nie jest częścią Enschede.

Dojeżdża do Roombeek przez Lasondersingel, ogrodzenie wygląda starzej niż miasto. Zostawia samochód na niewielkim parkingu przy niskim bloku, szerokiej twierdzy, która uchroniła ulicę Aarona przed falą uderzeniową. Na

ramieniu ciąży mu torba sportowa, ociera się o rozłożyste iglaki posadzone wzdłuż ścieżki ogrodowej. Tym razem zamek ustępuje od razu.

Wchodzi do holu jak w powracającym śnie: delikatny smrodek, szelest folderów reklamowych. Zamyka drzwi i wstrzymując oddech, wsłuchuje się w odgłosy domu. Miliony pyłków zmieniają położenie, czuje drgającą ciszę. W salonie swojska martwa natura: w głębi rozciągające się na całej długości okna zasłony wciąż są zaciągnięte, rakiety do badmintonu na stole nie zmieniły pozycji. Zaszło mu w ustach, w kuchni pije zachłannie wodę prosto z kranu. Przez chwilę stoi przy kuchennym oknie. Rower Aarona jest oparty o rozłożyste iglaki.

Napędzony adrenaliną, bezszelestnie wspina się po schodach na półpiętro. Wita go zapach kurzu i prania. Kładzie torbę na podłodze, przesądnie maca bawełniany materiał judogi i patrzy w górę. Niekończąca się cierpliwość rzeczy martwych. Czy ma odwagę? Jego plan bitwy jest prosty: tak czy siak, otworzy kłódkę. Jeśli nic nie znajdzie, jeśli się okaże, że strasznie się pomylił, wtedy krzyżąc z radości, opuści szeregowiec i zadba o to, żeby na zawsze pozostało tajemnicą, kto zniszczył zabezpieczenie firmy Abus; jeśli znajdzie to, czego się obawia, to kłódka... to wtedy *nic* już nie będzie ważne.

Wyszarpuje nożyce z torby. Końcówka jest z błyszczącej, dziewiczej stali. Gumowe uchwyty są na tyle długie, że nie potrzebuje krzesła. Z szybko bijącym sercem podnosi nożyce i wkłada końcówkę w błyszczące „U”. Ściśnięcie wymaga siły, drżą mu przedramiona, nożyce ciężą. Wkłada całą siłę, szczypcy wchodzi w stal jak w masło. Żeby wyjąć zamek z otworu w kłapie i z listwy, musi wziąć krzesło z pracowni. Drżą mu uda. Zepsuty zamek firmy Abus łąduje w torbie z głuchym pacnięciem. Sigerius oddycha głęboko i opuszcza schodki strychowe, które okropnie skrzypią.

Kwadratowa dziura prowadzi na poddasze. W szczelinach zgromadziła się piana płynu do mycia podłóg, krnąbrna molekularna warstewka ostatniej nadziei. Nadzieja, że uwolni się od paranoidalnych myśli, że jakoś to będzie, delikatnie błyszcząca warstwa mydlin, którą wystawia na próbę z każdym krokiem – do czasu, aż jego oczy lustrują poddasze i trafia go szlag.

A co myślałeś?

Nie może spaść. Jak ukrzyżowany wyciąga ręce na krwistoczerwonej wykładzinie, w dłoniach tkwią dwa gwoździe. Przez następne sekundy składa się wyłącznie z głowy i ramion: nogi, tułów, schody, dom, Enschede – cały świat usuwa mu się spod stóp.

To, co zna ze zdjęć, momentalnie ukazuje mu się w trójwymiarze, to, co na

zdjęciach było pozbawione zapachów i w istocie niegroźne, teraz pachnie śmiertelną mieszanką nieheblowanego drewna, kurzu i czegoś delikatnego, kobiecego, drogiego pudru. To, czego doświadcza, w jakiś chorobliwy sposób wiąże się z dowodem matematycznym, właśnie to miał jego ukochany Hardy na myśli, mówiąc o niespodziance połączonej z nieuchronnością, efektywnością, elegancją: oślepiająca lampka, która zapala się po tym, jak znajdziesz dowód. Teraz wszystko tonie w ciemnościach.

Z oddali dociera do niego ciężkie sapanie – jego własny oddech. Poddasze jest większe, niż się spodziewał, czerwony dywan, który go przygwoździł do podłogi, rozciąga się na całej szerokości domu. Łagodne światło wieczoru wpada do środka przez zamknięte okno dachowe. Pośrodku pokoju stoi drewniane łóżko w romantycznym wiejskim stylu, brzegi poduszki są wykończone koronką, biała pierzyna unosi się jak świeży śnieg w dickensowskim filmie. Po obu stronach stoją dwa statywy z lampami – profesjonalizm tych dwóch strachów na wróble go poraża: to nie jest pokój na poddaszu, to *studio*. Na spadzistych ścianach wiszą plakaty, od razu orientuje się, że zostały starannie wyselekcjonowane, celowo nie mają nic wspólnego z Joni i Aaronem: panoramiczna fotografia Wielkiego Kanionu, zdjęcie dwóch kotków, plakat Celine Dion w Las Vegas. Przy ścianie pokrytej tapetą w różowo-białe pasy, stoi regał z amerykańskimi książkami, rozpoznaje je ze zdjęć w Szanghaju – zalewa go fala goryczy i przerażenia: wyrachowanie, sprytna perfekcja, z którą zapełniono regalik.

Po prawej stronie, pod oknem, dostrzega biureczko z pecetem, niżej, na wysokości oczu, w miejscu, gdzie spadzista ściana schodzi ostro do dołu, materiałowe szafki na kółkach, z szuflad wylewają się ubrania: sukienki, bielizna – oto i one, lep na klientów. Po drugiej stronie pokoju zielona toaletka z owalnym lustrem, stoją na niej puszki z aerozolem, dezodoranty, przed nią manekin z czterema kółkami zamiast nóg. Na drewnianej głowie bez twarzy wisi czarna prosta peruka jego przeczuć. Jakby nagle ktoś dał mu w twarz, dostrzega, że przedmioty na toalecie nie są puszkami z aerozolem, tylko plastikowymi replikami penisów. Do oczu napływają mu łzy. Dilda. Jest w stanie nazwać je w myślach, ale nigdy nie będzie potrafił wypowiedzieć tego słowa na głos.

Przez kilka minut wpatruje się w kalenicę, ciężko sapiąc. Przesycone pudrem powietrze zatruwa go. Na całej szerokości poddasza biegnie belka nośna. Gdyby tak przerzucić przez nią sznur. Gdy zdaje sobie sprawę, że wzrokiem szuka taboretu, wali pięściami w wykładzinę, prawie traci równowagę, schodki kołyszą się i trzeszczą pod jego ciężarem.

Jest człowiekiem, który dobrze wie, ile trzeba włożyć wysiłku w osiągnięcie czegoś, co zadziwi innych – najczęściej na rozczarowująco krótką chwilę, może dlatego, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wiele gargantuicznych przygotowań stoi za sukcesem. Po raz pierwszy odkrył u Joni ślad talentu – umiejętność długiej i skoncentrowanej pracy nad odległym celem – w Bostonie, gdy w ramach pracy zaliczeniowej na wybrany przez siebie temat jako jedenastoletnia dziewczynka przygotowała dwudziestostronicowy referat o Dwightcie D. Eisenhowerze. Podczas gdy jej koleżanki i koledzy w klasie opowiadali o chartach afgańskich, wulkanach albo Boston Red Sox, Joni przybliżyła im West Point, lądowanie w Normandii, Organizację Narodów Zjednoczonych, prezydenturę Ike'a w Białym Domu – wiedzę, którą zdobyła z różnych źródeł w bibliotece MIT, gdzie korzystając z jego karty, przez kilka popołudni kopiowała obrazki i strony książek. Praca Joni, za którą dostała ocenę A minus, go rozczuliła (jak sama wyjaśniła, minus dostała za kontrast między jej słabym angielskim a zbyt dobrym angielskim we fragmentach przepisanych przez nią bezkrytycznie z grubych biografii harwardzkich). Z ufnością patrzył w jej przyszłość.

Świadomość, że z taką samą wnikliwością, inteligencją i uporem wymyśliła ten burdel internetowy... Czy po to zachęcał ją, żeby poważnie traktowała szkołę? Zawsze doprowadzała do końca zaczęte sprawy? Żeby zapęłnić książkami fikcyjny regał? *Żeby odgrywać kurwę na poddaszu?*

Za plecami odkrywa szafkę ze szpilkami. Każdy but rozpoznaje ze zdjęć: błyszczące lakierki we wszystkich kolorach tęczy, białe z kokardkami, w kratkę burberry, wiązane w kostce, z odkrytymi palcami. Obuwie, którego jego córka nigdy nie nosiła na co dzień. Z ogromnym wysiłkiem sięga do regału i wyławia z niego czarny satynowy bucik, przysuwając go do siebie małym palcem. Obcas jest wysoki i cienki, nad wycięciem na palce znajduje się mała kokardka z miękkiego materiału. Wewnątrz widnieje napis „Karen Millen”. Palcem wskazującym głaszcze piętę buta, po czym rzuca nim przez pokój, szpilka odbija się głucho od regału z książkami i upada na podłogę.

Nakazuje bezwładnym nogom zejść z drabinki. Na półpiętrze z furią wkłada nożyce do torby sportowej, zamierza wsunąć drabinę, ale się rozmyśla. Chce jeszcze trochę pobyć w samotności. Bez ludzi. Czuje panikę na myśl o oglądaniu meczu w przepelnionym klubie studenckim. Z torbą podróżną w dłoni schodzi po schodach i wchodzi do wymarłego salonu. Kładzie torbę na jednym ze skórzanych krzesel kubelkowych i opada na purpurową sofę, znów wstaje i kuca przed dębową szafką z drzwiczkami

z hartowanego szkła; na półce stoją kieliszki, w środku butelki z alkoholem. Wyjmuje napoczętą butelkę Jima Beama i jej zawartością wypełnia tradycyjny tumbler, po czym zabiera szklanekę i butelkę i siada na kanapie. Pije z zamkniętymi oczami. Co teraz? Co ma robić? Uświadamia sobie, że jego wcześniejsze rozmyślania nigdy nie dotarły do tego punktu, przez te wszystkie tygodnie tkwił w okopach i nie brał pod uwagę porażki. Teraz ten wymiar obrócił się w proch, zginął, zniknął: Sigerius jest *płatczakiem*, jego nowa rzeczywistość jest płaska i pozbawiona nadziei. Skoro nie może zaprzeczyć, że jego córka ze swoim chłopakiem... Nie, nie użyje słowa „porno”, nie może, jest zbyt niegodziwe, napawa go bezgranicznym smutkiem. Chciałby je rozerwać i spalić literka po literce, a prochy rozsypać na pięciu kontynentach. Chcąc zapobiec roztrzaskaniu tumblera o ekran telewizora, znów napełnia go bursztynowym płynem. Nad telewizorem wisi duży obraz z wypożyczalni dzieł sztuki przedstawiający krajobraz namalowany mocnymi pociągnięciami pędzla. Musi coś zniszczyć. Wyleje na niego whisky, wyobraża sobie, że tumbler rozbija się na kawałki, a alkohol rozpuszcza farbę. Tylko raz był w sex shopie, sklepie z weneckiego szkła, który nie toleruje światła dziennego. Wypożycz jeden z tych filmów – propozycja wyszła od Tineke, nie, od jej przyjaciółki. Powinniście wypożyczyć taki film.

– Dlaczego opowiadasz o naszym pożyciu seksualnym?

– A czy my mamy jakieś pożycie seksualne, Siem?

No dobrze, poszedł. Ale kanał. Już samo wejście do zamalowanego, ukrytego sklepiku. Wszystko się w nim buntuje na samą myśl o przekroczeniu progu pomieszczenia z wymalowaną na drzwiach gołą babą. Ale robi to. W środku dopada go myśl, że za chwilę będzie musiał wyjść na zewnątrz. Powietrze przesycone zapachem plastikowych kaset wideo, męskiego potu, wykłudziny. Smród nasienia. Stonóg piwniczny stojący za zaspermioną ladą. Wystawione kasety, plastikowe siusiaki, mężczyźni, którzy wyłazą z kabin jak chrząszcze. Szukaj, który film, szybko, na litość boską, zdecyduj się wreszcie. Kiedy tak stoi jak chrząszcz pomiędzy innymi chrząszczami, niezręcznie, na wskroś nieszczęśliwy i napalony, do sklepu wchodzi jakiś facet w kurtce przeciwdeszczowej. Kładzie stosik kaset na ladzie i bąka „po terminie”.

Kątem oka dostrzega, że stonóg je przyjmuje i głośno stuka w kalkulator.

– Razem tysiąc czterdzieści trzy guldeny i trzydzieści centów.

Jeden jedyny raz poszedł do sex shopu i jest świadkiem czegoś takiego. Facet w płaszczu przeciwdeszczowym gmera po kieszeniach, odlicza jedenaście banknotów i wychodzi. To jest porno, Joni.

Czuje, jak whisky spływa do żołądka. Musi odpowiedzieć sobie na niektóre pytania, zachowując odpowiednią kolejność. Na ile sprawa jest poważna? Zaczynaj od tego. Na ile prostytutująca się córka to poważna sprawa? Musi oszacować straty. Jak poważne jest to, co wyczynia jego córka? I czy to na pewno prostytutka? Tak, tak uważa – i natychmiast ogarnia go oburzenie: akurat ona, ze swoją mądrością i możliwościami. Twoja córka sprzedaje zbliżenia swoich narządów płciowych w internecie. To katastrofa. Ona jest bankrutem. On jest bankrutem.

Więcej Jima Beama, łyk wbija się w żołądek jak ostrze szpady, spróbuj się uspokoić. To butelka, którą przywiózł z Szanghaju. Uzmysławia sobie, że ani przez chwilę nie pomyślał o Aaronie – jaki on ma w tym udział? Jest w domu *Aarona*, to jego strych, jego komputer, jego aparaty fotograficzne. Zmusił ją? Zrywa się na równe nogi, chwytą jedną z rakiet do badmintonu i wali nią w kant stołu. Czy on ją do tego zmusza? Nie – zbyt dobrze zna tych dwoje, żeby w to uwierzyć, to niemożliwe. Joni nie można do niczego zmusić, jest zbyt silna, zbyt dominująca. Wolna wola, która ciałem się stała. Aaron daje się prowadzić za rączkę – Sigerius sam jest zaskoczony tą myślą. Dopiero teraz własna *troska* napawa go wstrętem. Gdy miał jeszcze nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, najbardziej martwił się o Joni, tak bardzo kocha córkę, że jej przyszłość stawiał na pierwszym miejscu. Czy nie ma problemów psychicznych? Czy jest pod czyjąś presją? Kurde, ale się pomylił. Jest rozwścieczony, prawda napłuła mu w twarz, czuje *wściekłość*. Co strzeliło do głowy tej gadzinie? Jak może być tak głupia? Taka tania, taka perwersyjna. Jak mogła? Czy ty w ogóle wiesz, co robisz, Joni? Jakie podejmujesz ryzyko? Ryzyko społeczne? Co się stanie, jeśli to wypłynie? Jak bardzo chcesz wypaść poza nawias społeczny, Joni Sigerius?

Pije i rozmyśla. Zwisa z wąskiej kanapy jak zombie. Przez chwilę ma ochotę poddać się ogromnemu i głębokiemu zmęczeniu, ale nagle staje na równe nogi. Krew uderza mu do głowy. *A co będzie z nim?* Jeśli to wyjdzie? Minister edukacji z dwoma znakami wodnymi na papierze firmowym: morderstwo i prostytutka. Ma syna, który zabił człowieka młotem kowalskim, i córkę, która handluje swoim ciałem w internecie. Porno razy morderstwo – oto formuła matematyczna jego życia. O tak, bądź pewien, że wyciągną temat Wilberta, wyciągną wszystko. Szyderstwami przegonią go ze sceny, zagonią w kozi róg i poniżą, aż nic z niego nie zostanie. Czym sobie na to zasłużyłem? Czy moja dobra passa się skończyła? Ma spocone plecy, nogi kleją się od potu.

Myśl analitycznie. Myśl w kategoriach rozwiązań. To jest kryzys, a nie

katastrofa – jeszcze nie. Ma niecały tydzień, żeby podjąć odpowiednie kroki. Zanim wróca, musi mieć przygotowany plan działania, strategię zażegnania kryzysu, który jeszcze nie jest katastrofą. Czy powinien doprowadzić do konfrontacji? Wziąć ich w obroty, zmieszać z błotem, zdemaskować i odpłacić im pięknym za nadobne? Tak. Nie. Nie wiem. Może lepiej będzie przystąpić do spisku: jeśli chcesz im przemówić do rozsądku, nie możesz być ich wrogiem. Zrób sobie z nich wrogów, a nic nie wskórasz. Wtedy dopiero się rozkręca. Będziesz musiał doprowadzić do konfrontacji i grać w otwarte karty.

Dźwięki z zewnątrz docierają do niego przez podnoszącą się alkoholową mgłę, gdzieś w ogrodzie kibice Pomarańczowych szykują się na mecz, który zaraz się zacznie. Otrząsa się z pierwszego szoku. Złość ustępuje, whisky nieco go rozluźnia. Jego myśli zawijają do nowego portu, znów wraca myślami do ojca. Czy może się mylić, tak jak mylił się jego staruszek? Czy tak jak wtedy istnieją dwie rzeczywistości, które rozbijają się o siebie? Czy on jeszcze rozumie te czasy? Czy to poddasze nie jest niczym innym tylko frywolnym grzechem młodości? Znów chwyta raketę i robi wgniecenie w kancie stołu. Człowieku, nie bądź mięczakiem! Nie mówimy o judo. Do cholery, mówimy o...

Ale jednak coś mu zgrzyta, jakiś delikatny chrobot hipokryzji, który nie daje się zlekceważyć mimo wypitego alkoholu. Dwuznaczny fakt, że... że dowiedział się o tym nieszczęściu jako konsument, jako *klient Joni*, że nie doniósł mu o tym zaniepokojony znajomy, fakt, że za to *zapłacił*, że przelał im *pieniądze* za to, co teraz tak bardzo potępia – zaczyna do niego docierać ten chory, obłudny związek przyczynowo-skutkowy. Śnieżnobiały promień światła jego moralnego oburzenia przechodzi przez pryzmat i rozszczepia się na szerokie spektrum subtelnego i emocjonalnego czarnowidztwa.

Czasy rozkwitającej kobiecości Joni. Śmieszność, z jaką unikał jakiegokolwiek erotycznego zainteresowania. Związek Woody'ego Allena z pasierbicą – ogląda z Tineke wiadomości i gwałtownie wyłącza telewizor, nie mogąc tego słuchać. To nie do zniesienia. Pruderia, z jaką unikał wchodzenia do łazienki, kiedy Joni brała prysznic, łaskotki i poszturchiwania w ogrodzie i na kanapie – wspomnienia, które konfrontuje z obecnym chichotem losu, wołająca o pomstę do nieba świadomość, że bezwiednie podglądał i pożądał tej samej dziewczyny, właściwie kobiety.

Ponure myśli na temat internetu, w który wierzył od zawsze, który współtworzył jako naukowiec i prezes, internetu, który teraz leży pod kapturem jak pokojik prostytutki. Czarne myśli o Aaronie, o udającym jego

przyjaciela chłopaku, którego dopuścił do najbliższego grona znajomych. Kim właściwie jest Aaron Bever? Uważnie przygląda się rzeczom wokół siebie: kosztowny wzmacniacz i odtwarzacz płyt Luxmana, głośniki elektrostatyczne, tysiące książek, meble, które nagle wydają mu się bardzo drogie i ekskluzywne.

Ponure myśli o sobie w roli wychowawcy. Co zrobił nie tak? Czy przeoczył jakieś sygnały? Zbyt mocno koncentrował się na wynikach? Czy wystarczająco dużo z nią *rozmawiał*? Jego mózg w trybie przyspieszonym rozpatruje kwestię *nature* i *nurture* i propozycję ugody sądowej: on *jest nature* i *nurture*. Nie wychowywał syna, nie spłodził córek – nic tylko gorzko zapłakać, dobrze, że alkohol działa na niego uspokajająco. Czarne myśli o roku, kiedy sprawował pieczę nad tą dwójką, Wilbertem i Joni, o przesadnych oskarżeniach kierowanych pod adresem syna, obawa o burzę hormonów u Wilberta z powodu nagle rozkwitającej urody jego przybranej siostry. Pytanie, które wpada do strumienia myśli jak trucizna: czego można się spodziewać po obcych genach? Czy ona w ogóle *jest* jego córką? Kim jest Joni?

Jednocześnie whisky powoduje, że... mięknie. Uwalnia *laisser faire*, które tak właściwie jest mu obce. Poluźniają się tasiemki gorsetu przyzwoitości, kaftana bezpieczeństwa chroniącego jego pozycję społeczną, gorsetu jego... generacji? Jest rozluźniony. Przecież ich kocha. Kocha Joni całym sercem, kocha nawet Aarona. Zmień miejsce. Pusty dom Aarona zachęca go, by się przemieścił. Pojawia się szczerze pytanie, dlaczego to robią – dlaczego robią to, co robią? Czy to im sprawia przyjemność? Odpowiedź jest na wyciągnięcie ręki: oczywiście, że sprawia im to przyjemność. To ich podnieca. Są młodzi i bogaci. Po prostu to robią. Z żądzy i chciwości. Są bezwzględni. A on? On kocha Jima Beama.

Jest za kwadrans ósma. Szumi mu w głowie, kiedy wstaje z kanapy, podchodzi chwiejnym krokiem do barku i z głośnym brzękiem stawia whisky obok innej butelki. Wyciera usta w rękaw. Wpada w odmienny nastrój, mroczny nastrój, możliwe, że nastrój ten jest bez znaczenia. Kiedy opuszcza pokój, ma dreszcze na całym ciele. Schody prowadzące na piętro wydają głuchy odgłos. To nie będzie długo trwało. Z przyspieszonym biciem serca zamyka wszystkie drzwi na półpiętrze: do prasowni, łazienki, pracowni, sypialni. Bierze głęboki oddech, chwytając schodki strychowe, puszcza je, wyciera spocone dłonie o spodnie. Przepełniony złośliwym samoużalaniem się (*zasłużyłem na to*), wdrapuje się po piszczących schodkach. Słodki zapach

pudru rozbudza jego plan. Nie jest Woody Allenem, nie jest ministrem edukacji.

Strych to poddasze gdzieś w Kentucky. Wstrzymując oddech, zasuwa roletę i rozgląda się wokoło. Jak się do tego zabrać? Istnieje wiele możliwości. Jest bardzo cicho, lecz mimo to coś słyszy, dociera do niego dźwięk melodyjki z najdalszego kąta, dobiega z szafki z butami, to kolorowe organy wysokich obcasów. Może szafka spokojnie czekała, aż przejdzie mu złość. Może kusiła go przez cały czas.

Sapiąc, rozwiązuje sznurówki i zrzuca buty; pod stopami czuje uspokajającą i delikatną miękkość wykładziny. Nie może przełknąć śliny. Spodnie i bokserki opadają z szelestem na jego gołe kostki, ściąga koszulę, ciężko dysząc. Obchodzi łóżko, nagle czuje się strasznie nagi, pod zwykłą nagością kryje się inna nagość. Podnosi z podłogi satynową szpilkę. Ujmuje napletek kciukiem i palcem wskazującym, jakby jego członek był napęcznionym balonem, i ogląda bucik ze wszystkich stron. Przyciska cienki obcas do jąder, kreśli linię wzdłuż spodniej części sztywnego penisa. Potrzebuje czegoś miękkiego, majteczek, może koszulki. Z bucikiem w ręce idzie na drugi koniec poddasza i kuca przy materiałowych szafkach, otwiera środkową szufladę: nylonowe pończochy, kabaretki, podwiązki, bodystockingi, koszulki, spódniczki, biustonosze, mnóstwo majteczek. Grzebie w szufladzie, maca, patrzy, wyciąga ultradelikatną czarną pończochę, przyciska do nosa: ten sam mroczny, upajający zapach pudru. Dotyk cieniutkiego materiału przenosi go z mityczną siłą do lat pięćdziesiątych, lotem ślizgowym ląduje w sypialni swojej siostry w Delft i opada brzuchem na jej jednoosobowe łóżko. Kiedy zostawał sam w domu przy Trompetsteeg, powstrzymywał się najdłużej jak potrafił, ale w końcu i tak wyciągał spod żelaznego stelaża pudło na kapelusze, w którym przechowywała pończochy. Oglądał je, dotykał ich, wciągał delikatny kobiecy zapach, dzięki czemu łatwiej było mu sobie wyobrazić dotyk i zapach niedotykalnych kobiecych nóg, które widział na ulicy, w tramwaju, podczas lekcji angielskiego z panią Recourt. Wstydział się tego, myślał, że to jakaś choroba, uważał, że jest dziwny, szczególnie kiedy się dowiedział, iż jego niepokojące zainteresowania noszą specjalną nazwę, słowo, do którego po tylu latach wciąż czuje niechęć.

Trzymając pończochę w prawej dłoni, lewą grzebie w szufladzie, aż natrafia na jasnoróżowe stringi z elastycznego materiału. Powstrzymując napływające do oczu łzy, rozkłada majtki na podłodze, przeciąga przez grube

łydki judoki, wzdłuż owłosionych ud. Trójkącik trze o jądra, dociska członek do podbrzusza.

– No! – mówi grubym głosem, który dochodzi z bardzo bliska.

Wkłada pończochę na lewą rękę (to jego ulubiona ręka) i podciąga ją za łokieć. Jest zafascynowany. Możliwe, że tę fascynację wywołuje delikatność cienkiego materiału, który jest bardziej kobiecy niż sama kobieta. W takim stroju kroczy po krwistoczerwonej podłodze i podchodzi do szafki na buty, opada przed nią na kolana. Naliczył osiemnaście par butów, co jedno, to elegantsze. Żadne tam ordynarne buciory, żaden dziwkarski przesadyzm. Elegancja, kobiecość. Bez tego nawet nie ogląda zdjęć. Właściwie to nie przepada za golizną. Tak naprawdę nie lubi ludzkiego ciała. Pod tym względem nigdy nie wyrósł z niechęci dwunastolatka do nagości. Wyciąga buty parami, rozkłada je wokół siebie, jakby były lokomotywami Märklin...

Bardzo chce mu się sikać. Przez chwilę próbuje zlekceważyć ucisk na pęcherz, ale nie może, Jim Beam jest nieubłagany. Wstaje, w pośpiechu schodzi z jęczącej drabinki, jego bose stopy klapią po stopniach. W pogrążonym w ciszy korytarzu wbiega do toalety. Skaza ewolucyjna: albo sikanie, albo wytrysk. Żeby osłabić erekcję, studiuje kalendarz wiszący obok uchwytu na rolkę papieru toaletowego (*Kalendarz Perfekcyjnej Pani Domu*, to nietypowe jak na Aarona), szuka swoich urodzin: „SIGERIUS” – prawdopodobnie napisane ręką Aarona. Gdy mięknie, z penisa leci mocz, majteczki wciąż ściskają mu jądra.

Zanim skończył sikać, penis odskoczył jak sprężyna, pac, odbija się od podbrzusza. Gdzieś w pobliżu słyszy jakiś dźwięk, który mrozi mu krew w żyłach: chrobot klucza w zamku, przekręcanie klucza – *drzwi*. Przez chwilę czuje tylko lód, krew zamarza. Czyjeś buty na progu. Musi oprzeć się ramionami o ściany, żeby nie zemdleć. Sąsiadka. Tineke. Rodzice Aarona.

– Kurczę, ile korespondencji. – To *Joni*.

Odruchowo gasi światło. Rozdziawia usta, jakby w egipskich ciemnościach nimi słyszał. Kroki. Szuranie pod drzwiami do ubikacji. Skurcz w piersi, zaraz dostanie zawału. *Umiera*. Palcami obejmuje penisa, jest w agonii, trzyma się go, bo jeśli go puści, rozpadnie się na kawałki.

Skrzypienie otwieranych drzwi – do salonu? *Joni* wchodzi do środka. Potem cięższe kroki, szuranie. Głośny kaszel. *Aaron*. Dźwięki przeszywają go na wylot. Jest w wykafelkowanej pułapce. Jelita to prymitywny mózg, jelita Aarona i *Joni* wiedzą, że są w domu, chcą się wypróżnić. *Zaraz natknie się na niego Aaron*. Ale on też znika w salonie. *Sigerius* chce wypuścić powietrze z płuc, ale zamiast odetchnąć zaciąga się powietrzem, ręką śliską od potu

ściska nabrzmiały członek. Myśl, do jasnej cholery. Ale w głowie ma pustkę.

Uciekaj. Musisz uciekać.

Ktoś włącza telewizor: odgłosy dworca, głos komentatora.

– Zabierzmy rzeczy – mówi Aaron.

Sigerius ma wytrysk. Czuje ostry ból w plecach. Kroki w korytarzu. Gorące nasienie kapie mu na lewą stopę, czuje własny zapach. Cisza, potem znów kroki, ktoś wychodzi na zewnątrz. *Są przy aucie.*

Uciekaj. Teraz jest ten moment. Już cię tu nie ma. Jedyna droga prowadzi przez kuchnię. Otwiera drzwi do toalety i w trzech susach znajduje się w salonie.

– Już idę, kochanie. – Joni stoi przy stole, jest odwrócona plecami do niego, coś przegląda, stosik kopert i gazet. Ma brązową szyję, upięte włosy są jaśniejsze niż zwykle. Zasłona jest rozsunięta. Pokój tonie w oślepiająco jasnym świetle wieczoru. – Dostałeś kartkę od brata.

Sigerius szczęka zębami. Córka się odwraca, mięśnie jej opalonej twarzy napinają się i rozluźniają – pękają na wszystkie strony. Jej piękna twarz ulega rozkładowi. Joni upada, dosłownie. Widzi siebie w grymasie jej twarzy: nagi, zdziczały, z ręką w nylonowej pończosze. Z jej zdrętwiałych ust wydobywa się szorstki krzyk.

– Nie! – woła Sigerius. – Nie!

– *Co: nie, tato?*

Wylądowali w swoich koszmarach.

Do ogrodu, musi stąd wiać, nie może tu zostać. Joni siedzi na pupie i przykłada dłoń do oczu, jakby to były klapki. Trzęsą się jej dłonie, podobnie jak całe ciało.

– To nie tak, jak myślisz – mówi Sigerius, po czym dodaje: – To by było na tyle.

Sigerius robi duże kroki, żeby zbliżyć się do światła. Jest wyprostowany jak struna, jego ciało przyspiesza jednostajnie. Leci. Najpierw kolanem, a potem rozgorączkowaną głową dotyka ściany powietrza i światła. Szklana ręka go odpycha. Powietrze jest szklaną ścianą – ale nawet ona nie może go powstrzymać. Drzwi przesuwne sprężynują, wracają do pierwotnej pozycji i spadają jak brzęczący wodospad; szkło rozbija się na jego gołych ramionach. Igły. Noże. Biegnie naprzód, nie zatrzymuje się. Nie zmniejszając szybkości, taranuje wysokie, miękkie trawy. Skręca, pod stopami czuje grząską, sypką ziemię. Dotyka czegoś twardego, coś się przewraca. Przeciska krwawiące ciało przez iglastą mgłę.

Nawet w Linkebeek czuć było wiosnę. Okno nad biurkiem było uchylone, do środka wlaź kosarz. Aaron obrócił krzesło zgodnie z ruchami owada, który odbił się od sufitu, kilka razy uderzył o listwę, pozostałość po dawnych oszklonych drzwiach, przecisnął się pod blokadą i kroczył po przestronnym tylnym pokoju wzdłuż regałów z książkami kupionymi tu w Linkebeek i egzemplarzami uratowanymi z komór spalania na Vluchtestraat.

Odwrócił się i sprawdził pocztę. Nadał nic, choć w Los Angeles było już po dziesiątej, zgodnie z tym, co wskazywał zegar podróży obok monitora. Na zewnątrz kwakały kaczki, podniósł wzrok, jasnozielona korona klonu w ogrodzie przed domem zasłaniała mu widok na wieżę kościoła. Wiosenna pogoda współgrała z jego nastrojem. Gdy obudził się koło dziesiątej, w jego połączeniach nerwowych iskrzyły optymistyczne impulsy elektryczne. Złapał się na tym, że z zadziwiającą regularnością wyobrażał sobie życie Joni w Kalifornii. Garść informacji od niej uwolniła w nim mieszankę nostalgii i tęsknoty – uczuć, których nie przewidywał, wysyłając do niej pierwszy, rozgorączkowany e-mail. Co to dokładnie było? Sentymentalna tęsknota za ich wspólnym życiem w Enschede, ale również za czymś bliżej nieokreślonym w przyszłości. Miał świadomość, że była równie żałosna, co śmieszna, ale nie potrafił jej powstrzymać, wciąż myślał o Joni: ciekawe, jak jej się wiedzie w tym gigantycznym mieście, na czym polega jej praca w fabryce frisbee, jakich ma przyjaciół, jak wygląda jej dom – krótko mówiąc: jak teraz wygląda jej życie. Zrobił to, przed czym od 2000 roku ustrzeżał go instynkt samozachowawczy: wyszukał ją w internecie. Wpisał jej nazwisko do trzech różnych wyszukiwarek, przeczesał całą sieć, ale znalazł rozczarująco niewiele informacji na jej temat. Pojawiła się na kilku dawnych stronach Tubantii, które kojarzył z przeszłości, oraz na stronach pamięci podręcznej stowarzyszenia studenckiego. Znalazł kilka współtworzonych przez nią raportów w PDF-ie z McKinseya dla eBaya i IBM-u. Ale to wszystko były dane z 2001 i 2002 roku. Nie miała konta na Facebooku ani na LinkedInie. Jakaś Joni Sigerius handlowała na eBayu, głównie sukienkami i butami, wydawało mu się, że część z nich rozpoznał, dlatego ich zdjęcia umieścił na pulpicie. Inna, całkiem aktualna „Joni Sigerius” wyświetliła się na przydługiej liście członków klubu rolkowego w Santa Monica – i tyle.

Trochę to dziwne. W dzisiejszych czasach trzeba by włożyć żelazną zbroję,

żeby nie trafić do sieci; nawet taki samotnik jak on miał swoją stronę internetową. W przypadku kogoś takiego jak Joni było to co najmniej niezwykle. Była uzależniona od internetu, kiedyś uważała się za pionierkę – i czy tak nie było w istocie?

Jej zadziwiająca nieobecność w sieci podsyciała jego wyobraźnię. Czy to przez tarapaty, w które Joni wpadła? Praca w fabryce frisbee raczej niewiele sobą reprezentuje, może sugerować, że z jakiegoś powodu jej świetlana kariera utknęła w martwym punkcie. Wyobraził sobie, że pracuje na pół etatu w dziale fakturowania. Wielka szkoda, a może wcale nie?

Stopniowo w jego głowie zaczął pojawiać się obraz Joni, która pogubiła się w życiu tak jak on – chociaż na swój ożywiony sposób. Nie bez złośliwości wyobraził sobie, że wpakowała się w długotrwały rozwód ze Stolem i teraz bez grosza przy duszy, ze złamaną karierą zawodową płaci gapowe w którejś z wyuzdanych dzielnic Los Angeles, całkiem możliwe, że z gromadką dzieci wychowujących się bez ojca. Z drugiej strony powinna jeszcze mieć pieniądze z czasów ich strony internetowej albo ze sprzedaży „Barbary Ann”, ale kto wie, może je roztrwonila. Nie każdy kopie sobie grób, zanim odwali kitę. Prawdopodobnie żyła rozrzutnie w San Francisco, zainwestowała w nie te firmy internetowe, co trzeba, straciła wszystkie pieniądze na spekulacjach na Wall Street...

A może jednak kogoś ma? I używa nazwiska męża? Po raz nie wiadomo który przeczytał maile od niej, ale oprócz uwagi o Stolu nie wspomniała ani słowem o mężczyznach.

Był głupi. Był skończonym durniem. Dzisiaj w nocy obudził go koszmar, który rozgrywał się w pokręconym Enschede. W ponurym śnie Wilbert był jego bratem, mieszkali w bloku, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo dlaczego, ale bardzo szybko sam stał się Wilbertem i jechał motorem długimi, opuszczonymi ścieżkami przez las, aż dotarł na ceremonię pogrzebową w Venlo, coś w tym stylu, nie pamięta już dokładnie. Niestety od razu wstał z łóżka i półprzytomny zasiadł przed komputerem. Bez zastanowienia wysłał maila do Joni, w którym zresztą opisał swój sen. „Miałaś jakieś wieści od Wilberta?” – zapytał i zakończył wiadomość pytaniem, w którym pobrzmiwało podejrzenie: „Pewnie w końcu się do niego wybrałaś?”.

Dziś rano próbował naprawić szkodę. Jeszcze przed śniadaniem – w Los Angeles było dopiero wpół do trzeciej w nocy – wysłał do Joni maila, który wydawał mu się wtedy niewymuszony i wyważony. „Hej, moja była, tu w Linkebeek właśnie zaczęła się wiosna, to już nie wieś, a las wierzb płaczących. Tam u ciebie rosną palmy, prawda? Wyślij mi, proszę, kokosa, to

wsadzę go tu do ziemi”. Możliwe, że ten mail był niewymuszony, ale to, co wysłał dwie godziny później, miało o wiele poważniejszy wydźwięk. „W ostatnich tygodniach – wystukał – wciąż rozmyślam o tamtym okresie. Joni, to chore, jak się pomyśli o tym, co się z nami stało. Z Twoim ojcem, głównie z nim oczywiście. Ty tam, ja tu... Twoja matka i jej nowy mąż. Jestem ciekaw, jak wspominasz tamte czasy. Chciałbym z tobą porozmawiać, tu albo u ciebie! Co do Wilberta: jestem po prostu ciekawy. Buziaki, Aaron”.

Czekał od wielu godzin, najpierw, aż u niej wstanie dzień, i teraz. Od siódmej jej czasu (może sprawdzała pocztę przed wyjściem do biura?) jak zaklinacz węży odświeżał stronę poczty przychodzącej. Na przemian czuł wstyd i euforię z powodu swojej nieprzemyślanej propozycji odwiedzenia jej w Stanach, to rumienił się, to wznosił radosne okrzyki, a w międzyczasie jego paliczek, dłoń, ścięgnięta w prawej ręce drętwiały od nieustannego klikania myszą. Tam było już prawie południe.

Na co liczył? Na zaskakujący zwrot akcji. Liczył na to, że Joni połknie haczyk, że go zaprosi do siebie albo, co byłoby lepsze, niedługo sama przyjedzie do Holandii, nie miał pojęcia, w jakim celu, może na nowo nawiązała kontakt z matką, może dzięki niemu zbliżyły się do siebie. I że zaplanowała wizytę w Linkebeek, oczywiście z wdzięczności dla niego. W nadziei kryło się coś więcej, czuł to w palcu wskazującym, który w międzyczasie zrobił się tak samo plastikowy jak mysz komputerowa. Skrycie liczył na to, że myśli o nim, że sprawia jej przyjemność rozmyślanie o jego życiu i że... – tu utknął.

Wstał i wszedł do pokoju, niewidzącym wzrokiem popatrzył na regały z książkami. Że danie im drugiej szansy jest dla Joni nie tylko wyjątkowe, ale i wyjątkowo istotne, tak jak dla niego. Odetchnął głęboko, idiotyczny, ale piękny pomysł na normalne życie z Joni, życie, jakie trzydziestoosmioletni mężczyzna powinien prowadzić, zalał go falą bezgranicznego szczęścia, najchętniej z radości skoczyłby do góry i wybiegł na zewnątrz, zbiegł ze wzniesienia i z rozłożonymi ramionami wyleciał na drogę, żeby nawdychać się jak najwięcej świeżego powietrza. Wydawało mu się to takie... naturalne. Ta myśl przepęłniła go fantastycznym uczuciem... jak by to powiedzieć... uczuciem nie-ma-tego-złego-co-by-na-dobre-nie-wyszło. Kto, jak nie Joni, mógłby go uratować?

Obok niego zatrzepotała skrzydełkami koziulka, złapał ją w powietrzu. Ślizgając się na skarpetkach, wrócił do biurka, otworzył dłoń i wypuścił owada przy oknie.

Właściwie wyrzekł się miłości. Był w stanie zamieszkać na swoim, ale

w jego przypadku „na swoim” tak naprawdę było synonimem odosobnienia, życia w pojedynkę, samotności, opuszczenia. Po Joni miał różne dziewczyny, tak, próbował się z kimś związać, ale o ile zakochanie było równoznaczne z błaganiem o psychozę, o tyle wspólne zamieszkanie stanowiło jej gwarancję. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Prawie cały 2005 rok mieszkała z nim Lieke, Flamandka, kochana kobieta, urzędniczka w Komisji Europejskiej – ale oszczędna, wręcz sknerowata. Była tak oszczędna, że krzyczała z łóżka „zakręć wodę!”, kiedy mył zęby, analizowała paragony z supermarketu, żeby sprawdzić, czy kupił puszki z najniższej półki, produkty klasy B, nie, C. A kiedy podgrzewał tę albańską papkę, kuciała przy kuchence obok niego i łypała nieufnie na palniki; jeśli coś się gotowało, zmniejszała gaz. Nie mogła pogodzić się z tym, że nie miał stałej pracy. „Do cholery, jestem milionerem” – mówił, kiedy wchodził do restauracji, nie sprawdzwszy cennika wystawionego przed lokalem. „Nie o to chodzi – szeptała – chodzi o to, że nie dam trzydziestu euro za kawałek mięsa”. Gdyby mogła, zlizałaby gówno spod siebie.

Kłócili się o to. Ostre kłótnie o pieniądze, na których zresztą siedział. Coraz poważniejsze awantury powodowały, że zaczynał zadrećcać się myślami i źle sypiać, coraz gorzej sypiał i coraz bardziej się zadrećcał. Po kilku tygodniach było już tak źle, że któreś nocy wyszedł z domu i wałęsał się po Linkebeek, szedł pochyłymi uliczkami, przy których rosło mnóstwo drzew, żywopłotów i ligustrów, brodził po dywanie jesiennych liści we wszystkich odcieniach czerwieni i żółci. Myślał, że to banknoty euro. Nurzał się w liściach na poboczach dróg i w rynsztokach, śmiejąc się i płacząc z powodu ich obfitości – Lieke, zobacz! Rozpoznał Wima Duisenberga⁴¹ siedzącego za kierownicą volvo kombi i biegł za nim przez pół ulicy. Zniknął na dwa dni i dwie noce. Mając, błąkał się po lasach i polach na południe od wioski w obawie przed okradzeniem, zamordowaniem, torturami i zjedzeniem. Drżąc ze strachu, całą dobę ukrywał się w przydrożnym rowie wypełnionym gnijącymi banknotami euro. Trzeciej nocy wrócił, wychudzony, poobijany, od stóp do głów umazany błotem i krwią, kaszląc jak gruźlik. Wyciągnął taczkę z komórki, wziął szpadel i załadował taczkę forszą. Wjechał nią do salonu i wywalił całe swoje bogactwo na dębową podłogę.

– KASA! – wrzasnął u dołu schodów. – KASA!

E-mail to narzędzie tortur podlejsze od gorzałki. Do cholery, żadnej wiadomości! Dawniej korzystał czasem z cienkiego papieru listowego: pisało się list, zaklejało kopertę i po rzeńskim spacerze wsuwało do czerwonej

skrzynki na metalowej nodze, a przez resztę tygodnia można było żyć życiem zwykłego człowieka. Próbował się opanować, ale i tak wysłał kolejnego maila. „Przynajmniej napisz mi, czy byłeś u Wilberta. Jak było?”.

Plując sobie w brodę, włożył letnią kurtkę i zamknął za sobą drzwi. Zszedł ze wzniesienia. Na dworze wciąż było ciepło, w ogrodach gęstniały krzaki bzu, głogu i grabu. Sąsiad, jasnowłosy Holender z gromadką dzieci, wracał z pracy na staroświeckiej kolarzówce, pozdrowili się skinieniem głowy. Dużymi krokami Aaron zszedł z górki skąpaną w słońcu Grasmusdreef, lekko skręcił w Kasteeldreef, potem jakiś kilometr szedł prosto i przeciął tory kolejowe. Kopnął kamyk, który potoczył się na pobocze. Tutaj też mogłaby jeździć na rolnach. Do tego nie są potrzebne palmy kokosowe.

Skrót przez lasek doprowadził go do ścieżki biegnącej pod baldachimem młodych, ale gęstych liści. Omszałe powietrze pachniało wilgotną ziemią, słuchał własnego oddechu. Po jakichś stu metrach zobaczył w oddali polanę z Różowym Wiatrakiem, ruiną z brudnego białego pumeksu, który rzeczywiście można by określić jako różowy. Obszedł budowlę i przyjrzał się zardzewiałemu kołu młyńskiemu, które od wieków wystawało nad strumykiem. Jeszcze kilka lat temu było tutaj schronisko młodzieżowe, a koło wytwarzało elektryczność.

Wszedł na bujnie rosnącą trawę i pomyślał o Haitink – to ona namówiła go, żeby tu zamieszkał. Bo co innego mógł zrobić? Enschede było spalone, wszystko, co łączyło go z tym miastem, wyemigrowało, wybuchło albo – pomyślał śmiertelnie poważnie – polowało na jego skalp. „Wyobraź sobie, że jesteś w miejscu, w którym czujesz albo czułeś się swobodnie” – tego nauczyła go Haitink na wypadek, gdyby znów dostał ataku, psychoterapeutyczna sztuczka, w którą uwierzył z niezadowoleniem i która zaprowadziła go prosto do tej kupy kamieni.

Mniej więcej w miejscu, gdzie teraz stał, możliwe, że pod poskręcany mi gałęziami tej samej wierzby, w latach siedemdziesiątych przez przypadek rozbili z rodzicami i bratem obóz. Wczesnym rankiem, po tym, jak bezowocnie szukali szpitala w Brukseli, wylądowali tutaj w malinowoczerwonym dostawczaku – kaczcze. Miał wrażenie, że ojciec przez całą noc wjeżdżał na autostradę i z niej zjeżdżał, wciąż gubiąc się na słabo oświetlonych przedmieściach, obok jęcząca matka, na tylnym siedzeniu Aaron i Sebastiaan patrzący w niemej ciszy na odrażające wybrzuszenie na ramieniu matki. Wieczorem wyruszyli z Venlo na kemping do Bretanii, on i Sebastiaan mieli zasnąć w trzęsącej się puszczy, ale zamiast spać, dokuczali sobie i dogryzali, kłócili się, bili, pluli na siebie, do czasu, aż Aaron wyrwał

garść kartek z książki, którą brat wypożyczył z biblioteki, w matce zagotowało się ze złości i odwróciła się, żeby go zdzielić przez głowę. Wybity bark. Wrzasnęła z bólu. Jego wina.

Jeździli w kółko całymi godzinami, matka umierała z bólu na każdej nierówności, Aaron zaś ze strachu, że jej staw kulisty przebije napiętą śnieżnobiałą skórę na ramieniu. W końcu ojciec po prostu gdzieś się zatrzymał, zaciągnął hamulec ręczny i nie ukrywając już paniki, pobiegł w kierunku słabo oświetlonego kamiennego chodaka – tego wiatraka właśnie. Myśleli, że chce zapytać o drogę, ale ojciec wrócił z rośłym facetem o imieniu Jean-Baptiste, który wniósł matkę do swojego wielkiego, różowego domostwa, próbując ją uspokoić, a ojciec podążył za nim. Wewnątrz, z dala od dziecięcych uszu, dwaj mężczyźni ciągnęli i wciskali ramię, aż je nastawili.

Tego samego popołudnia wiele lat temu ojciec i brat rozbili namioty na kwitnącej trawie, na której teraz siedział Aaron, a matka udała się do lekarza rodzinnego Jeana-Baptiste'a na rynku w Linkebeek. Rodzice musieli znaleźć wspólny język z młynarzem i jego żoną, ponieważ zostali tu cały tydzień. Dla niego były to niezapomniane chwile. Wraz z bratem zaprzyjaźnili się z córką i synem młynarzy, bliźniakami starszymi od niego o niecały rok, którzy oprowadzali ich po okolicznych budowach, sadach, strumykach, ruinach zamku, gdzie co wieczór odgrywali skomplikowane turnieje rycerskie. Dziewczynka nazywała się Julie, miała puszyste brązowe włosy i gdzieś w tym właśnie lesie nauczyła go „filmowego całowania”; dwa szeroko otwarte rybie pyszczki chuchające na siebie skroploną parą wodną. Przez dwa kolejne lata już w kwietniu ostrożnie badał grunt: „Tato, mam, pojedziemy w tym roku znów do Wiatraka? Czy nie byłoby fajnie?”. I tak dalej. Nigdy jednak tam nie wrócili. Dopiero wiele lat później Sebastiaan powiedział mu, że matka zakochała się w Jeanie-Baptiście. Ojciec odkrył, że młynarz pisał do niej listy, które wysyłał na adres skrytki na poczcie niedaleko jej miejsca pracy.

Może ktoś zdemaskował Joni? – pomyślał nagle. Wcześniej nie wziął tej możliwości pod uwagę. Przerwana kariera w McKinseyu – może gdzieś wypłynęły zdjęcia? Na pewno, fotki wciąż krążyły gdzieś w sieci na bezpłatnych stronach. Możliwe, że ktoś ją rozpoznał i skonfrontował z dowodami, co w purytańskiej Ameryce bez wątplenia prowadzi do zwolnienia dyscyplinarnego. Czy to możliwe? To mogło tłumaczyć, dlaczego żyła w cieniu.

Zamknął oczy. Szorstka kora wierzby uwierała go w potylicę. Żal wypełnił

jego kanaliki łzowe. Nie był jedynym przegranym, rok 2000 był polem bitwy. I właśnie dlatego tęsknił za Joni, mogliby o tym porozmawiać, pocieszyłyby ją. Łączyła ich dzika, tragiczna przeszłość, mogliby wspólnie zamknąć ten rozdział. Joni mogłaby wprowadzić się do niego, zamienić jego absurdalny, pusty, smutny dom w prawdziwe ognisko domowe. Z łatwością znalazłaby pracę w Brukseli albo w Linkebeek. W zeszłym tygodniu widział ogłoszenie, szukali kogoś do biblioteki, żadnej tam matki wracającej do pracy po macierzyńskim, tylko kogoś, kto będzie opiekował się księgozbiorem. Zresztą w Brukseli było mnóstwo pracy biurowej.

Był zachwycony tym pomysłem. Znała go jak własną kieszeń, wiedziała, jaki był przed chorobą. Mogłaby zabrać ze sobą dzieci. Wychowywałyby je z miłością tak samo, jak wychowywał ją jej ojczym. I kto wie... *Kto wie...* Ile lat ma teraz? Trzydzieści pięć? Najwyżej trzydzieści sześć. Próbował wyobrazić sobie Joni jako trzydziestosześcioletką. Jak wygląda? (Od tygodnia nie mógł przypomnieć sobie jej zwykłej, pogodnej twarzy). Próbował wyobrazić sobie, jak Joni... Jak wyglądałaby Joni tutaj w Linkebeek... Jak by wyglądała w ciąży.

Zamiast tego zobaczył coś zupełnie innego, jak zawsze, kiedy próbował wyobrazić sobie jej twarz: spoglądał prosto w jej otwarte ze zdziwienia usta – na minę, którą zrobiła w ostatnich sekundach ich wspólnej przeszłości.

Siedziała na tyłku pod stołem. Zaalarmowany, wszedł do środka, na ramieniu miał żółtą torbę Oilily, do której wrzucali na Korsyce brudne ubrania. Siedziała, obejmując kolana ramionami, stół pełnił rolę zadaszania, jakby schowała się przed deszczem odłamków. Na stole i wokół niej leżały koperty, gazety i odłamki szkła – uporządkowana, uspokajająca martwa natura w porównaniu z jej twarzą, która zdawała się być dotknięta czymś, co znajdowało się wysoko na skali Richtera. Przez nieokreśloną chwilę gapili się na siebie w milczeniu, oczy wyszły jej z orbit, powieki wyglądały jak rozciągnięte rękawy swetra. Grubym głosem oznajmiła mu, że to był jej ojciec, że o wszystkim się dowiedział i że, ot tak, sforsował szklaną ścianę, „po prostu przebił się przez szybę”. Siedziała nieruchomo.

On nie. Rzucił torbę Oilily, serce kopało i uderzało o jego pierś, sapał tak głośno, że nie mógł mówić, chciał zapytać: „Uderzył cię?” – siedziała w pozycji, która sugerowała, że dostała pięścią prosto w twarz – ale nie mógł wydusić z siebie głosu, miał zawroty głowy, dlatego w dwóch susach przeskoczył przez framugę i znalazł się na tarasie. „Krew” – jęknął. Między odłankami szkła na gresie czerwieniły się duże krople krwi. Wszedł na trawę,

„cholera – sarknął ochryple – cholera, cholera”, ale gwałtownie zamilkł, coś się poruszyło, światło słoneczne, zasłonił się ręką, „nie bij mnie”, w trzech susach znalazł się z powrotem w salonie, ze świszczącym oddechem patrzył na ogród i dostrzegł, że to był jego rower, słońce odbijało się w jego rowerze. Joni cały czas siedziała na podłodze jak posąg, wytrzeszczone oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem, pociągała nosem. Wszedł do tylnego pokoju i jednym szarpnięciem zaciągnął zasłony, walnął piszczelem w stół, wszedł do korytarzyka i zamknął drzwi wejściowe, nie wyglądając na ulicę. Oparł się o pofalowane szkło. Uderzył w lament: z jego ust wydobywał się niekontrolowany potok słów, prorocze frazesy, papka, wodnisty szlam, oto, co z tego wszystkiego wyszło, doigrali się, kurwa, Joni, kurwa mać, powinni byli wcześniej z tym skończyć, nie powinni byli tego zaczynać – łapiąc się za spaloną słońcem głowę, wszedł do salonu – „zawsze się tego obawiałem, dlaczego...”.

– Zamknij gębę – odezwała się Joni. Zdziwił się, że wstała, zeszywniałym kciukiem i palcem wskazującym chwyciła odłamek przyklejony do ramienia.
– Chyba rozumiesz – powiedziała zadziwiająco spokojnie – że to koniec. Między nami wszystko skończone, Aaronie.

Jego dłonie ześlizgnęły się z głowy, jakby były z gumy. Załkał, głośno zaszlochał i kiwnął potakująco głową. Tak. Projekt przyjęty przez aklamację. Nie tylko zrozumiał to, co powiedziała Joni – on to już wiedział. Wiedział o tym już wtedy, gdy stał na zewnątrz i wyciągał torbę Oilily z samochodu zaparkowanego na wymarłej ulicy, a do jego uszu dobiegł odgłos tłuczonego szkła – już wtedy wiedział, że to koniec, to była ciężka i nieodwracalna świadomość końca. Wiedział, że to Sigerius rozbił na kawałki dopiero co wstawioną szybę. Ostatni krystalicznie czysty akord, który wszystko zakończył: jego związek z Joni, ich nowy start, przyjaźń z jej ojcem, życie w domu na wsi, miasto, w którym mieszkał od lat. (Co dziwne, powiedział później w rozmowie z Haitink, prawdziwy hałas dobiegał od wewnątrz, to w jego wnętrzu rozlegały się głośne dźwięki. W jego głowie też coś rozbiło się na kawałki. Sam rozpadł się na tysiące odłamków. „Teraz tak myślisz” – powiedziała Haitink. „Wtedy tak myślałem” – odpowiedział. „Teraz myślisz, że wtedy tak myślałeś” – odpowiedziała).

W telewizji grano hymn narodowy. Patrzyli na piłkarzy.

– Co powiedział twój ojciec?

– Idę – powiedziała bezdźwięcznie. – Muszę pobyć sama. Może jeszcze do ciebie zadzwonię.

Wyjęła trochę rzeczy z torby Oilily, złapała rączkę walizki na kółkach

i wyszła. Czy to się działo naprawdę? Dziesięć minut temu zajechali pod dom jak figurki na torcie weselnym, przepeliła ich słodka nadzieja na przyszłość, dla której przerwali urlop: jedziemy do Kalifornii, ty i ja. Uwierzył w to, i Joni również. Następnego dnia rano, tuż po tym, jak pożar lasu prawie zepchnął ich do morza, wyszła z kąpeli morskiej niczym jego własna Ursula Address.

– Wiesz co? – powiedziała, wykręcając włosy i rzucając mu pod nogi maskę i płetwy. – Chcę wracać do domu. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia. Obejrzymy mecz Holandia – Francja w Enschede.

A teraz tak po prostu odeszła z jego życia?

Przez pierwsze dni i noce przede wszystkim odczuwał strach. Ktoś, kto w ten sposób opuścił dom, mógł równie dobrze do niego wrócić. Przez cały dzień i większą część nieprzespanej nocy liczył się z tym, że Sigerius przyjdzie i zażąda wyjaśnień. Leżał w pogrążonym w ciemnościach salonie na klejącej się skórzanej kanapie i drętwiał przy każdym dźwięku dochodzącym z zewnątrz. Chcąc uniknąć zaskoczenia, zabierał telefon nawet do toalety; kiedy brał prysznic, komórka leżała w zażółconej umywalce. Ze składziku z powrotem przytargał nieheblowane deski, którymi gmina zabezpieczyła szklaną ścianę jego domu, i zabił nimi dziurę. (Poprzedni raz był jedynie zapowiedzią, niczym więcej, preludium).

Mocując się niezdarnie z pracami stolarskimi w gorącym popołudniowym słońcu, wciąż odtwarzał w głowie to, co zaszło między Joni a Sigeriusem, i za każdym razem scena ta stawała się coraz bardziej brutalna; wciąż wyobrażał sobie moment, w którym Sigerius dał córce po gębie, a masz, kurwo, bez mała sam czuł mocny cios, który tak naprawdę był przeznaczony dla niego, po czym widział, jak Sigerius, niczym Kanninefat⁴² w garniturze, przebija głową szklaną ścianę. Szał towarzyszący temu czynowi sprawił, że jego najgorsze obawy wydały mu się niczym, podobnie jak wizje zemsty, które ukrywał na dnie świadomości w momentach skruchy.

Dopiero kiedy natknął się na ciężką torbę podróżną, w której, jak się okazało, znajdowały się nożyce do metalu, zaczęło do niego docierać, że jego teść miał misję do spełnienia. Trzymając w ręku ciężki przedmiot, zdał sobie sprawę, że Sigerius nie bez powodu pozbył się ich z kraju, to była zaplanowana akcja. Jak on w ogóle dostał się do środka? Z głośnym brzękiem upuścił narzędzie, kręciło mu się w głowie, musiał usiąść. Od jak dawna jego teść wiedział o ich ciemnych sprawkach? Wolał nie zaglądać na poddasze, oszczędził sobie widoku przewróconych koszy na ubrania, rozrzuconych

dildo, rozczochranych peruk.

Odejście Joni pozostawiło po sobie dół, czasem na chwilę dotykał jego gąbczastego, glonowatego dna. Wyczerpał swój potencjał do zasypiania o normalnych porach, organizm wyłączał się dopiero, jak rdzewiały puste baterie. W nocy leżał na kanapie nakrytej prześcieradłem, rano noże świetlne wbijały się w nieheblowane panele. Dopiero kiedy wyjadł wszystko do ostatniego okruszka chleba i zużył do ostatniego kawałka srajtaśmy, wyszedł z domu po zakupy. Wszystkie sklepy, do których kiedyś zachodził, albo wybuchły, albo się spaliły, dlatego musiał wypuszczać się na dłuższe przejażdżki rowerowe do innych dzielnic, z których wracał wykończony, bardziej przez nerwy niż z wysiłku fizycznego. Wciąż widział ich, jak spacerują, siedzą, stoją – Sigeriusa albo Joni, czasem oboje. W chwilach słabości wykręcał jej numer, ale oczywiście nie odbierała, nie wiedział też za bardzo, jaką wiadomość zostawić na sekretarce. Jego rozpacz zamieniała się w chorobliwą zazdrość i na odwrót.

Znalazł na wycieracze kopertę z kluczami do alfy. Którejś nocy zauważył, że ich strona zniknęła; zdziwiło go, że udało jej się ją usunąć bez niczyjej pomocy. Zaczął podejrzewać, że być może wyjechała już do Stanów. W nocy, kiedy tam był dzień, sprawdzał ich wspólny rachunek. Tak często wpatrywał się w spektakularną siedmiocyfrową sumę, że potrafił wyrecytować rządę cyfr jak numer telefonu – do czasu, aż rzeczywiście zaczęło ubywać dolarów. Na podstawie niektórych kwot wywnioskował, że Joni zleciła operacje obsługującej ich firmie windykacyjnej: zwrot kosztów członkostwa. Po wypłatach z bankomatu w Sunnyvale Plaza, po przelewach na rzecz Border's Bookstore i Trader Joe's zorientował się, że rzeczywiście była w Ameryce; kwoty te niewiele odbiegały od niewygniecionych banknotów stuguldenowych, które pobierał z bankomatu, żeby zapłacić za włoskie i chińskie dania z dowozem. Wariował od podejrzeń. Czy miała tam innego? Któregoś popołudnia zadzwonił do McKinseya w Amsterdamie i użył jakiegoś pretekstu, żeby połączyć się z Boudewijnem Stolem. Gdy Stol podniósł słuchawkę, Aaron po krótkiej chwili milczenia się rozłączył.

Był zawieszony w czasie jak meduza, wegetował w ciszy, jakby eksplozja dotknęła nie tylko Roombeek, ale całą Ziemię, i jedynie jego salon obracał się wokół Słońca. Poddał się bezsenności, dni i noce nic dla niego nie znaczyły, stan czuwania przechodził stopniowo w tajemniczy rytm krótkich drzemek. Miewał intensywne sny. Wszystkie posiłki zamawiał przez telefon i za każdym razem dzwonek do drzwi wyrывał go z niespokojnych zaświatów. Czasem miał dość samego siebie, próbował trochę poczytać albo gapił się

w telewizor, puszczał płyty jazzowe na cały regulator i budził się dopiero wtedy, gdy igła nieruchomiła w rowku.

W rzadkich momentach, kiedy dzwonił telefon, trwało całą wieczność, nim jego ciało zapanowało nad strachem i miał odwagę odsłuchać nagrane wiadomości. Gdy ktoś stawał przy drzwiach wejściowych – listonosz, ludzie zbierający datki, raz do jego drzwi zadzwonił Thijmen – siadał na piętach przy kaloryferze i łapał spod zaciągniętych zasłon na tych, którzy mu zagrażali. Za każdym razem pojawiała się obawa, że to Sigerius.

Któregoś dnia Blaauwbroek zapchał wiadomościami jego automatyczną sekretarkę. Jowialne żarty na temat ugaszenia grilla, kremu do opalania, który powinien wypłukać sobie z uszu, pytania, czy znów zaczął chodzić w długich spodniach – Aaronowi wydawało się, że jego szef mówi do niego w obcym języku. Nie oddzwonił. Dopiero po trzeciej wiadomości – „Bever, odpalaj wrotki i przyjeżdżaj do redakcji” – zmusił się do działania. Pomyślał, że być może świat kręci się dalej. Zgolił zarost, założył ostatnie czyste rzeczy, jakie udało mu się znaleźć, i wsiadł na rower.

Mrużąc oczy przed jaskrawym światłem dziennym, ominął barierki i skierował się do lasów Drienerlo. Ostre promienie słońca wypalały mu oczy, przejeżdżające samochody wrzeszczały prosto w twarz. Zaszło mu w ustach. Kampus wciąż go do siebie przyciągał, ale zmienił się biegun magnetyczny. Wydawało mu się, że jedzie pod górkę, musiał wyrzucić papierosa, ponieważ z trudem łapał oddech, jakby się topił. Na Horstlindelaan, w zielonym korytarzu oddzielającym miasto od uniwersytetu, nie mógł złapać tchu i chociaż prawie się zatrzymał, czuł się, jakby ktoś go zapiaskował. Obijał się o barierę dźwięku. Hałas, ptaki, liście, owady, tupot mrówek. W koronach drzew słyszał ciche, pełne dezaprobaty szepty. Od zewnątrz wszystko go kłuło i ciągnęło, łzawiły mu oczy.

Kilkaset metrów przed sobą, na zakręcie, zobaczył Sigeriusa brodzącego w dywanie liści z owczarkiem collie na smyczy. Zrobiło mu się niedobrze ze strachu, skierował rower na pobocze, schował się za dębem i minawszy niżej położone krzaki, zatrzymał się przy wale usypanym z jasnożółtego piasku. Zwymiotował z ramą między nogami. Stał w kryjówce, wypluwając gorzką ślinę i ciężko sapiąc. Mężczyzna z psem przeszedł obok niego.

Nie mógł wjechać na teren kampusu. Nie dałby rady wejść po betonowych schodach do redakcji, przekroczyć progu gabinetu Blaauwbroeka i usiąść na krześle naprzeciw niego. W każdy poniedziałkowy rano o stałej porze Blaauwbroek wędrował od Vrijhofu do rektoratu i siedząc naprzeciwko rektora, wysłuchiwał „chwili dla prasy”. Dopóki ten rytuał będzie się

powtarzał – a na pewno będzie – nie spotka się z szefem; spojrzeć w oczy Blaauwbroekowi oznaczało spojrzeć w oczy Sigeriusowi, zresztą dotyczyło to wszystkich pracowników tego pieprzonego kampusu, to była jedna wielka piramida, a każdy na swój sposób podtrzymywał jej czubek – wszyscy oprócz niego. On zleciał z niego na sam dół.

Ponownie otarł usta, wziął się w garść i wypchnął rower na ścieżkę. Kiedy chciał na niego wsiąść, zobaczył, że od strony Enschede zbliża się do niego dwóch rowerzystów: Murk van der Doelen i Björn Knaak. Gdy tylko ich rozpoznał, odwrócił wzrok. Poczuł, że cały drętwieje. Tylko nie to. Knaak i van der Doelen – od kilku lat rozmawiał z nimi na niezliczonych rautach i imprezach klubów, zarządów i stowarzyszeń studenckich, najczęściej w stanie upojenia, oni, ale on też. Ich kontakty były powierzchowne, dokuczliwe, głośne, prostackie, kumplowskie i bez większego znaczenia. Chłopaki byli członkami tego samego klubu co Joni, obserwował ich, jak przemawiali do braci studenckiej ze stołów, barów i podestów – bezczelne, elokwentne przemówienia wygłaszane z polotem, którego nienawidził i jednocześnie im zazdrościł.

Byli ostatnimi osobami, które chciał teraz spotkać. Ci chłopcy byli naznaczeni białym nalotem chorobliwej ambicji jak przeterminowana czekolada wojskowa. Knaak i van der Doelen spotykali się w willi przy Oldenzaalsestraat wraz z dziesięcioma innymi piewcami Siema, w Huize Stooff, gdzie prowadzili dwudziestoczerogodzinne ćwiczenia ze „studenckości” i arogancji. Był tam z pięć razy, głównie po to, żeby sfotografować ich blask i chwałę przed corocznym balem studenckim, jarmarkiem samouwielbienia mającym „nadać temu miastu trochę kolorów”.

Rozpoznali go. Murk jechał przodem, trochę chwiejnie, jak starzec, przypominał stertę kręgów goudy koloru blond. Na jego fasolowatej twarzy, która bez przerywnika w postaci szyi przechodziła w pulchną pierś, zagościł kpiący uśmieszek. Aaron wciąż stał nieruchomo i trzymał rower, nie miał dokąd uciec. Murk z głośnym piskiem wcisnął hamulce.

– Bever – odezwał się Björn Knaak i pozwolił, aby rower dotoczył się do Aarona, uderzając przednim kołem w przednie koło jego roweru. Był przysadzistym, ogolonym na łyso bucem o okrutnych oczach i wyjątkowo niskim zawieszeniu. Rugbysta. Aaron nie wiedział, co studiuje, ale musiało to być coś konkretnego i niskich lotów. Podobnie jak Joni uważał, że uniwersytet jest ulotką dołączaną do biznesu.

– Dzień dobry, panowie – powiedział cicho i niechętnie wystawił rękę. Protokół wymagał podania sobie rąk. Ech, przecież ich nie nienawidził.

Murk van der Doelen otaksował go od stóp do głów.

– Bever, ty umarłeś? – zapytał. – Wyglądasz, jakbyś zszedł na jakąś śmiertelną chorobę.

Murk studiował muzykę klasyczną w klasie pianina i była to ostatnia rzecz, o którą można by go podejrzewać. Przed jednym z balów studenckich Aaron wysłuchał wyrafinowanego recitalu w jego wykonaniu – serdelkowate paluchy wystające z bezkształtnego fraka skakały po klawiszach z szybkością błyskawicy, Beethoven, Liszt, Prokofiew, Francja-elegancja – tuż po nim przydługi aplauz i przekąski na mikroskopijnych tostach. Ale w najgłębszych warstwach tłuszczu Murk pozostał prostakiem. Co roku robił sobie w Medisch Spectrum płukanie żołądka po zabawie w skrzynkę piwa w wyłożonym boazerią klubie starców – zawodach w picciu dwudziestu czterech piw bez ruszania się ze skrzynki. Wypijał ją najszybciej ze wszystkich dzięki odpowiedniej technice i charakterowi. Podczas corocznego chrztu bojowego kandydatów do stowarzyszenia Murk bronił wysokich schodów do knajpy niczym błądy Hulk, rycząc i rzucając przekleństwami, jego galaretowaty tułów ociekał olejem do smażenia, zarzucał ramiona wokół kościstych bioder i cienkich szyjek wystraszonych osiemnastolatków, którzy zupełnie inaczej wyobrażali sobie otrzęsiny.

– Wracam z pracy – powiedział Aaron. – Jestem trochę chory.

– Zawracaj, Bever – rzekł Björn. – Idziemy na wódkę. To ci dobrze zrobi. Opijemy twój powrót do stanu kawalerskiego.

– A kto mówi, że jestem singlem?

– Ja – odpowiedział Björn i potarł dłonią swój umięśniony pysk fretki.

– Każdy – odezwał się Murk.

– Twoja kurka sama mi to powiedziała – rzucił Björn. – Twoja była kurka.

A jednak was nienawidzę – pomyślał. Możliwe, że uciekł z Utrechtu właśnie przez takich łajdaków jak oni, coś, czego Joni nie potrafiłaby sobie wyobrazić, gdyby się do tego przyznał. Ponieważ Björn i Murk zawsze prowadzali się razem, Joni nazywała ich żartobliwie „Björk”: „Siedziałam wczoraj w De Kater i kogóż to widzę? Björk”. Celne podsumowanie tych dwóch bufonów.

Zresztą Joni wiedziała niewiele o fiasku w Utrechcie, które często wspominał w ostatnich tygodniach. Nawet jeśli opowiadał jej o tym, mówił bardzo ogólnikowo. Po maturze wyjechał do Utrechtu – z książką kucharską i pluszakiem od matki – studiować niderlandystykę. Dramat. Oblał dwie trzecie egzaminów, przez niedokończony proces kotowania w bractwie studenckim nie załapał się na wprowadzenie wydziałowe, przez co nie poznał

nikogo, kto pomógłby mu przetrwać zimę w Utrechcie. Marniał w oczach, w pokoju wynajmowanym od ciotecznej babki w Overvechcie, na przedmieściu z blokami z azbestu, „alejami” zamiast „ulic” i własnym dworcem z dwoma torami kolejowymi, które aż się prosiły, żeby się na nich położyć. Tutaj kończyło się miasto placu Neude, Biltstraat i placu Vredenburg, z szóstego piętra patrzył na ciemnozielony ocean traw, granitowy balkon ciotecznej babki był peryferiami peryferii. Zaczął mieć kłopoty ze snem, często budził się o czwartej, wpół do piątej rano, otwierał drzwi balkonowe i siadał na plastikowym krzeselku ogrodowym, pracując nad przeziębieniem, do czasu aż musiał zbierać się na wykłady. Po zajęciach wsiadał na damski rower ciotecznej babki i jechał do centrum, deprymującym slalomem przez wietrzny północny Utrecht, który teraz kojarzył mu się z wycieczkami rowerowymi w Enschede po katastrofie. Na pożyczonych od ciotki poszewkach na poduszki znajdował coraz więcej włosów – łysiał, podobnie jak należąca do ciotki mięciutka szczoteczka do zębów, której używał w tajemnicy, bo ciągle zapominał kupić własną.

– Jakiś czas temu z nią rozmawiałem – zaseplenił Björn.

– Z kim? – zapytał Aaron.

– A o kim rozmawiamy? Z twoją kurką, oczywiście. Była w Gat na pożegnaniu z kołem studenckim. – Gat to wilgotna podziemna nora, która dosłownie wwierca się w Stary Rynek. Wiadomości na temat Joni w Gat to zawsze złe wiadomości. – Daj jej naparstek bacardi – ciągnął Björn leniwie – a przyklei się do ciebie swoimi cyckami. Powie ci wszystko, co chcesz i nie chcesz wiedzieć, z przyssanymi balonami. Szkoda, że wyjechała do Ameryki.

Björn patrzył spode łba, białka jego dużych oczu były żółte. Tak czy siak, fretka zawsze nawiązywał do piersi Joni. Knaak byłby chory, gdyby o nich nie wspomniał. Tak, Aaron nienawidził Björna bardziej niż Murka.

– „Według mnie znów jesteś wolna”, mówię do niej. „Skąd o tym wiesz?”, pyta głosem, którym gdaczą kurki o czwartej nad ranem w Gat. – Björn naśladował głosik. – „Skąd o *tym* wiesz?”. Powiedziałem, że mam na to dwa dowody. Dwie twarde wskazówki.

Murk wydał z siebie cichy rechot. Björn, który śmiał się wyłącznie z pobudek strategicznych albo złośliwie, zrobił poważną minę. Ku swojemu zaskoczeniu Aaron nie czuł zazdrości, nie czuł dawnego smaku kwasu siarkowego w ustach ani wybuchowej, dziecinnej złości z powodu dwóch sutków, które wbijały się w nie to męskie ciało, co trzeba – tylko nienawiść. Najchętniej powiedziałby chłopakom, że jest milionerem, i wspomniałby, czym cyckom to zawdzięcza. Chcąc tego uniknąć, chcąc zachować spokój,

chwycił palcami trójkąt krawatu Björna – niebiesko-pomarańczowy węzeł podwójnego windsoru, według Iana Fleminga znak rozpoznawczy kanalii.

– Puść krawat, knurze – powiedział van der Doelen i udał, że chce dać mu z liścia.

Aaron postanowił przyłączyć się do zabawy i puścił krawat. Krawaty dawały otoczeniu znak, że Knaak i van der Doelen zasiadają w zarządzie Student Union, co stanowiło dla nich zwieńczenie studiów na Tubantii. Szczególnie Murk, późniejszy minister stanu, lubił wracać wspomnieniami do czasów studenckich, gdy jako dwudziestotrzyletni smarkacz sporządzał bilanse i żuł cygara. Oczywiście ich uroczystej koronacji dokonał sam Sigerius, jakżeby inaczej. Trzy lata temu nagle okazało się, że na gwałt, natentychmiast, musi powstać organizacja odpowiedzialna za „aktywizację studentów”. Student Union, wzorem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Aaron miał okazję przekonać się, z jaką finezją Sigerius wprowadził w Enschede nową platformę samorządową: mniej więcej w taki sam sposób, w jaki Pudliszki wekują słoiki z gołąbkami. Jego ukrytym celem było zatrzymanie potoku studentów opuszczających kampus. Studenci, których w pierwszej chwili, głównie za sprawą zachwyconych rodziców, kusilo kompleksowe, przyjazne, do przesady zorganizowane życie w Drienerlo, coraz częściej osiedlali się w centrum Enschede, w – domach studenckich z prawdziwego zdarzenia, blisko knajp i stowarzyszeń na Starym Rynku. W roku 2000 holenderskie dzieciaki nie dały się tak łatwo zapuszkować na łące. Jednocześnie na tej samej łące stały nieruchomości warte setki milionów, domy studenckie, mieszkania kadry akademickiej, stołówka, restauracja, supermarket, przychodnia lekarzy rodzinnych, gabinet stomatologiczny, zakład fryzjerski, basen, biblioteka, knajpy, teatry, podziemne powierzchnie imprezowe, boiska sportowe, dzieła sztuki – Tubantia była kampusem z prawdziwego zdarzenia. Student Union miało to wszystko pociągnąć. Sigerius przeznaczył na ten cel cały worek pieniędzy i zaangażował Björk, żeby się nim zajęli.

– Chodź z nami, patelarzu – powiedział Murk. – Twój teściu też będzie.

Pokręcił głową.

Coś wyraźnie rozbawiło Björna, ale dźwięk jego śmiechu został zagłuszony przez donośny szelest otaczających ich zewsząd liści.

– No co – stwierdził – przecież Sigerius to twój wielki przyjaciel. Czy nie masz odwagi?

Aaronowi nagle zrobiło się gorąco, wydało mu się, że powietrze jest nagrzane i zaraz się zapali. *Wstydził się*, ogarnęło go gwałtowne uczucie

wstydu. Ale czego? Z facjat Knaaka i van der Doelena wyczytał, że dziwnie wygląda. Jego wstyd nie miał nic wspólnego z piersiami Joni w Gat, nie wstydział się też tego, że z własnej nieprzymuszonej woli rozpowszechnił je na całym świecie, cycki, które unosiły się na falach sieci jak szczątki statku – wstydział się, bo chłopaki mieli rację: nie miał odwagi z nimi pójść.

– A co reprezentuje sobą to wasze Student Union? – zapytał na chybił trafił. – Nazwa jest taka ugrzecznona. W Utrechcie to by nie przeszło, w prawdziwym mieście uniwersyteckim korporacja akademicka nic by sobie nie robiła z zaleceń jakiegoś Student Union. Myślałem, że organizacje studenckie odzęgnują się od uniwersytetu.

I podobnie jak dawniej, przedrzeźnił Etienne’a Vaessena. Przed swoim przyjacielem, który zrobił coś ważnego dla utrechckiej korporacji akademickiej, bronił kampusu rękami i nogami, ale kiedy stał przy barze z chłopakami ich pokroju, zamieniał się w mini-Etienne’a i odgrywał weterana organizacji studenckich. Czasem nie potrafił się powstrzymać i ni stąd, ni zowąd mówił, że był członkiem korporacji, a gdy go wypytywali, blefował na całego, czerpiąc z opowieści Etienne’a.

– Prawdziwa korporacja parodiuje senat – stwierdził.

– Co masz na myśli? – zapytał Björn.

W przeciwieństwie do Murka, który nie umiał sobie poradzić ze swoim wyrośniętym ciałem i wisiał na kierownicy jak parówka, Björn stał wyprostowany, z nogami w rozkroku jak na komendę, a nisko zawieszony krocze oparł na ramie obklejonego roweru. Miał na sobie wypolerowane na błysk brogry prosto z Podręcznika Studenta, ciasno przylegające do jego szerokich stóp. W jego dziwnych, lekko węzowych oczach czaiła się wrogość.

– Prawdziwi korporanci mają w dupie senat uniwersytetu – powiedział Aaron sztywno. – Robią, co im się żywnie podoba.

Zanim Björn odpowiedział, wywinął wargi, odsłaniając wydatne uzębienie.

– Słyszysz, van der Doelen? – powiedział. – Bever pozjadał wszystkie rozumy. Mówi nam, jak postępować. Sigerius wysrał go jak psi klocek, a on nam mówi, jak mamy postępować. – Potrząsnął z niezadowoleniem frcim łbem. – Fotograf gazetki szkolnej uważa, że powinniśmy robić, co nam się żywnie podoba. – Spojrzał Aaronowi pogardliwie w oczy. – Całe lata włożył w dupę Sigeriusowi, a teraz uważa, że jesteśmy zbyt grzeczni. Słyszysz to?

– Słyszę – odpowiedział Murk poważnie. – Nieustanne gadki w knajpie, Sigerius to, Sigerius tamto.

Mdłości znów powróciły. Chociaż był pięć lat starszy od chłopaków, niebo wirowało mu przed oczami, jakby siedział na karuzeli w wesołym

miasteczku, szeleszcząca kopała liści zamieniła się w zielone bagno, które mu suflowało. *Po prostu im powiedz.*

– Sigerius odchodzi – powiedział ochryple, po czym chrząknął. – Ma dość waszego kampusu. Zostanie nowym ministrem edukacji. Wiem to od kilku miesięcy.

– Nie pierdol, Bever – skwitował Björn. – Dlaczego nie było cię na grillu u Sigeriusa? Twój najlepszy przyjaciel już cię nie zaprasza.

– Zostanie ministrem. Zresztą na razie to tajemnica.

Björn charknął i splunął na pobocze.

– Odkąd jego kurka pieprzy się z Jimem w Stanach... – powiedział do Murka.

– Z Jeffem – sprostował Murk.

– Odkąd jego kurka pieprzy się z Jimem i z Jeffem – podłapał Björn – a tata nie chce znać lizydupy, lizydupa zaczął zdradzać tajemnice.

Aaron chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go żołądek. Zacisnął się jak pięść, resztki żółci powędrowały do przełyku. Z jego ust chlusnął żółty kwas i ściekł po kierownicy. Björn gwałtownie cofnął rower.

– Bever, ty chłajeś – powiedział Murk. – Trzeba było tak od razu. – Zaśmiał się niezręcznie. – Uwal się na wyrku, chłopie.

Björn wsiadł na rower i z całej siły kopnął bagażnik roweru Aarona.

Promienie ostrego czerwcowego słońca kroili na kawałki linoleum w pomieszczeniu dawnej klasy. Obydwoje patrzyliśmy na krucyfiks z błyszczącego, słoistego drewna wiszący na otynkowanej na biało ścianie: był ogromny, trójwymiarowy i wciąż przyciągał nasz wzrok. Jezus jak wyciosany atleta w romantycznym stylu tyrolskich pasterzy z owcami, który znałam z wypadów na narty do Val Gardena. Każda kropla żywicy wypłynęłaby z ran jak prawdziwa krew.

– Ty go powiesiłeś? – zapytałam, żeby przerwać ciszę.

Okazało się, że Wilbert był bardziej odporny na milczenie niż ja. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, ja na niewygodnym krześle z twardego drewna, on rozwalony na bezkształtnym fotelu w skórzane jasnobrązowe łąty pochodzącym z recyklingu.

– Rzymianie – odpowiedział.

Byłam tak spięta, że nie zwróciłam uwagi na jego żart. Niezbyt dobrze pamiętam, o czym rozmawialiśmy przez pierwsze pół godziny, a właściwie o czym ja mówiłam, zirytowana, zbyt szybko, bez ładu i składu, jak nakręcona zabawkowa mysz. Wilbert strzelał kłykciami i od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, a ja przez cały czas patrzyłam na siebie jego oczami. Żałowałam, że założyłam krótką, zalotną spódniczkę, nie mogłam ścierpieć nadętej opowiadki o stażu w Kalifornii, wkurzał mnie egzemplarz miesięcznika biznesowego „Quote”, który kupiłam na dworcu centralnym i który wyslizgnął się z przewróconej reklamówki sieci salonów prasowych Bruna.

Utkwiłam nieruchome spojrzenie w ukrzyżowanym Chrystusie, może z zażenowania, ale też po to, żeby przez chwilę nie patrzeć na inne oblicze cierpienia: twarz Wilberta. Co się z nią stało? Zdawała się należeć do dwóch różnych osób. Prawa połowa, nienaruszona, należała do niedogolonego, groźnego mężczyzny, podobieństwo do ojca było uderzające: szeroka, mięsista twarz Siema, ten sam mały nos, którego prawa dziurka poruszała się przy mówieniu. Prawe oko wciąż było czarne jak smoła, ale mętniejsze i mniejsze niż dawniej, co dodatkowo podkreślał szary cień pod nim. Ciężko mi było ocenić, czy ze zdrowej połowy twarzy biło zgorzknienie czy wręcz okrucieństwo – przerażająca lewa połowa skupiała na sobie całą uwagę. Wyglądała na stopioną, wykrzywioną. Lewy policzek i kącik ust były

zapadnięte i zwinięte, jakby w tym miejscu brakowało fragmentu czaszki. Ciężar powodował, że dolna powieka była wywinięta i ukazywała wewnętrzną, biało-czerwoną stronę. Kiedy mrugał, zamykał tylko zdrowe oko, lewy otwór pozostawał otwarty i widać było tylko białko. Co kilka minut pojawiała się zagrożenie, że z wiszącego kącika ust wypłynie strużka śliny, powstrzymywał ją krótkim siorbnięciem, które słyszałam wcześniej w słuchawce.

– Czy trzeba być wierzącym, żeby tutaj zamieszkać?

– Wręcz przeciwnie.

– Wręcz przeciwnie. Okej.

Wciąż patrzył na mnie taksująco, na tyle, na ile pozwalało zaropiałe oko.

– Czasem się nad tym zastanawiam – powiedział. – Nad tym, co chcą osiągnąć. Co nimi kieruje, że chcą pomagać pomyłkom takim jak my. Wiesz, nikt się na tym nie bogaci. Trzeba ciągle dokładać do interesu. – Spojrzał tak, jakby się namyślał, poczułam ulgę, że teraz to on mówi. – To, czego chcą, myślę sobie, to pozyskać nowe duszyczki. Dla nich lyczy się każde nawrócenie. A skoro tak, to niech to będą prawdziwi grzesznicy. Trzeba naprawdę być zepsutym do szpiku kości, żeby się tu dostać.

Chociaż zauważyłam, że jego niderlandzki bardzo się pogorszył – dotychczas udało się to tylko Białemu Pióru⁴³ i Klukklukowi⁴⁴ – jego rozumowanie mi się podobało. Ponadto znał siebie na tyle, żeby mówić o sobie pomylenieć – całkiem zgrabne określenie, w dodatku smutne, chociaż nie wprost.

– Chciałbyś tu zostać?

– Tak. Tak długo, jak wytrzymam. Tutaj są same zakazy. Nie wolno palić, nie wolno pić. Żadnych narkotyków.

– Fajnie, że chcą ci pomóc.

„Genesis, twój most do społeczeństwa” – zanim wsiadłam do pociągu do Amsterdamu, wyszukałam o nich informacje w internecie. Organizacja katolicka z oddziałami w dziesięciu miastach. Selekcja odbywała się już w pace, byłych skazanych przyjmowano wyłącznie pod warunkiem, że są „zmotywowani”, żeby „nadać sens” swojemu życiu. Moim zdaniem brzmiało to całkiem rozsądnie.

– Nie o to chodzi – warknął Wilbert. – Sam potrafię wypełnić pieprzone formularze. Mogę mieszkać, gdzie chcę. Nie poczebuję ich, po prostu ich wykorzystuję, to ich... wiesz... Jak się to mówi? To ich słowo... Miłosierdzie.

Ziewnął, uniósł ramiona nad głową i wypchnął wyrzeźbioną klatkę piersiową do przodu. Sprana bawełna koszulki była żółtawa pod pachami.

Miał na sobie poplamione spodnie moro i niemarkowe trampki. Był mocno umięśniony, nad grubymi udami puchnął twardy, okrągły brzuch, prezent od ojca. Między nami stał zakurzony rattanowy stolik, na którym poza wyschniętymi skórkami mandarynek i tygodnikiem „Nieuwe Revu” leżało coś dziwnego: dwie krótkie skarpetki, właściwie to rękawiczki, połączone około pięciocentymetrowym łańcuchem.

– Co to? – zapytałam, wskazując głową.

Całą drogę z Enschede do Amsterdamu zastanawiałam się, co dokładnie powiem Wilbertowi. O czym tu rozmawiać z kimś, kogo fałszywie oskarżyłam pod przysięgą? Minęło prawie dziesięć lat, miałam dziesięć lat na przemyślenia i nie potrafiłam wymyślić nic lepszego?

– Kije do karate. Chodzi o to, że są inni. Ci wierzący są bezinteresowni. Na przykład taki Jacob to kompletnie bezinteresowny facet.

– Jacob?

– Mój mentor. Ten człowiek codziennie zrywa się o szóstej. – Spojrzał na mnie. Czyżby oczekiwał, że gwizdnę z podziwu? – Przyjeżdża na rowerze z Watergraafsmeer i czeka w kuchni na piekarza i chłopaków z supermarketu Dirka van den Broeka. Codziennie, wiesz? Szykuje chleb, mleko, jabłka i banany, pije kawę. Dopiero wtedy je śniadanie. Połówkę ontbijtkoeka z masłem.

Skinęłam głową.

– Resztę dnia spędza na rozwiązywaniu gównianych spraw. Nie swoich. Dzisiaj rano w dużej sali zjawilo się dwóch Jugosłowian, przyszli porozmawiać z jednym gościem, który chyba ich wyczuł, bo zdążył wyjść przez okno i wspiać się po rynnie na dach. Leżał plackiem na dachówkach.

Co dziwne, wyobraziłam sobie, że to Wilbert leży plackiem na przypominającym pokrowiec na czajnik spadzistym dachu tej bezczelnie pięknej willi, w której się znajdowaliśmy, budynku, w którym do lat osiemdziesiątych mieściła się szkoła waldorfska. Wysokie klasy z pięknie wykończonymi ramami okiennymi, antropozoficznymi maksymami na wykafelkowanych ścianach, kiedyś przeznaczone dla dzieci wywodzących się z inteligencji. Obecnie po Overtoom chodzą typki, których przyjmuje się tu z otwartymi ramionami.

– No a Jacob musiał się jakoś pozbyć tych facetów. Potem wziąć drabinę i ściągnąć gościa z dachu. I wiesz, tak jest sześć dni w tygodniu, od dwudziestu lat. Kiedy go pytasz, dlaczego to robi, mówi: ponieważ Jezus mnie kocha i ciebie też. Bezinteresowny człowiek. Wiesz, że nawet mu za to nie płacą?

W to ostatnie ciężko mi było uwierzyć, to niemożliwe, żeby Jacob nie dostawał pensji. Tak czy siak, brzmiało to zaskakująco sentymentalnie, ale pomyślałam, że może naprawdę go to poruszyło. Spojrzałam na ukrzyżowanego Jezusa. Czy on jeszcze wierzy? Kiedyś byliśmy w Drenthe, on i nasza czwórka, krótkie wakacje, to było na początku roku spędzonego przez niego u nas w domu na wsi, wynajęliśmy domek od zarządu Lasów Państwowych, chyba po to, żeby się do siebie przyzwyczaić. Siedzieliśmy w domku strażnika leśnego przy chwiejącym się stole, który w końcu matka odwróciła blatem do dołu i nożem do chleba odkroiła kawałek nogi. Oczywiście Wilbert był zdumiony, myślał, że matki umieją tylko rozdzierać kartony z winem z Aldiego. Ponieważ cały czas łało, graliśmy w ryzyko, w monopol i w trivianta, ku rozpaczy Wilberta, bo nawet Janis wiedziała więcej od niego. W czasie gry zdradził się ze swoją religijną naturą lub tym, co od biedy można by uznać za religijność: padło pytanie o hinduizm albo buddyzm i Wilbert uroczyście oświadczył, że musi coś istnieć między ziemią a niebem, on wierzy w Boga, bo przecież gdzieś musiał podziąć się duch jego matki. Siem próbował mu grzecznie przerwać, ale w rzeczywistości przeprowadził atak: nasz domowy ateista wychodził ze skóry, żeby przekonać Wilberta, że zaświaty nie mogą istnieć, pochopnie przywoływał rozprawy naukowców, których „znał osobiście” – co działało na Wilberta jak płachta na byka.

– Mądraliński – skwitował dosadnie i więcej się nie odezwał.

Wydaje mi się, że następnego popołudnia, ale możliwe, że było to później, poszliśmy na spacer po lesie, żeby zobaczyć dolmen, i przy ogromnej budowli Wilbert potknął się o kamień, w którego zagłębieniu zebrała się deszczówka, a w niej pływały trzy kijanki. Zapytał, czy widzę kijankę z „tłustym, nalanym łbem”, to Siem, powiedział, a oczko, w którym pływa, to wszechświat, o którym podobno wie wszystko. Na dwie pozostałe kijanki, czyli mnie i jego, Siem nakrzyczał, twierdząc, że istnieje tylko nasze oczko wodne.

– A ty wciąż wierzysz w Boga? – zapytałam.

– Mówisz jak Jacob – odrzekł. – A nie ciekawi cię, skąd się wzięła ta obwisła gęba? Lekarze mówią na to porażenie nerwu twarzowego. Uszkodzony nerw twarzowy. To nieodwracalne.

– Biłeś się? – zapytałam, nie rozumiejąc, dlaczego nagle z tym wyskoczył.

Wilbert zaśmiał się, ale nie był to beztrioski śmiech.

– Wam to się chyba w tym wiejskim domu wydaje, że chodzę po ludziach z młotem kowalskim. Zwykle zapalenie ucha. Tak to jest, kiedy bawisz się w doktora plastikowym mieszadełkiem do kawy. – Nachylił się i przysunął

palec do mojej twarzy, przez chwilę myślałam, że mnie dotknie. – Z ucha wychodzi taki kabelek, drucik, jakby nerw do policzka, i to temu drucikowi wciąż zawdzięczasz swoją ładną buźkę. Mój nerw został zniszczony przez ropę. Widzisz gazę?

Gestem wskazał na łóżko piętrowe za mną, konstrukcję z białego drewna z Ikei, które sięgało tylko połowy nienaturalnie wysokiej ściany. To była ogromna przestrzeń, pierwotna klasa musiała mieć dwoje drzwi, dzięki czemu mogli ją przedzielić gipsową ścianką. Moje oczy przeszukiwały dziecięce biurko pod łóżkiem; pod narzutą z dokumentów podatkowych i rozerwanych kopert leżały opatrunek i plaster na kółku.

– Co wieczór muszę smarować oko maścią i zaklejać plastrem. Wiesz, inaczej wyschnie. Ale jak jem, zaczyna łzawić. Jacob chce, żebym poszukał jakiejś pracy, „musisz iść do roboty”, ten tego. To ich wada: są marzycielami. Jak myślisz, kto mnie zatrudni z taką twarzą? Kompletnie, kurwa, nikt. Nawet ten jego Jezus zatrudniłby kogoś innego. Gdyby on – jak autostopowicz wskazał kciukiem na kawałek drewna wiszący na ścianie – miał taką facjatę, to wisiałby tam teraz ktoś inny.

– A operacja? – zasugerowałam. – To znaczy operacja plastyczna?

– Zapłacisz za nią?

– Próbuję ci pomóc.

– Lepiej nie próbuj.

Z kącika jego ust znów pociekła ślina, ale zamiast ją zassać, zebrał ją wierzchem dłoni i strząsnął na linoleum.

– Proszę cię – powiedział – Bóg nie istnieje, ot co.

O to chodzi – ta sama prostacka zuchwałość, z jaką kiedyś sprawił, że zamieniłam się z ukochanej córeczki tatusia w trudną do okiełznania nastolatkę, dla której każde zachowanie na granicy śmierci było zabawne i warte wypróbowania. Ale teraz doświadczałam tego, co ojciec musiał przeżywać przez cały rok: irytował mnie jego gest, jego sposób myślenia i niemyślenia. W telewizji słyszałam wypowiedź jakiegoś holenderskiego biskupa, który zapadł na tajemniczą chorobę mięśni. Przez jakiś czas czarna kiecka nie mogła chodzić, ciężki okres na wózku, który mocno zachwiały jego wiarą. Katole już tacy są. Przez całe życie dzięki modlitwie odganiają trzęsienia ziemi i ludobójstwa, ale gdy tylko sami zachorują, gdy są osłabieni albo walczą z nudnościami, ich wiara zaczyna się chwiać.

Wilbert wstał i minął mnie sztywnym krokiem.

– Chcesz coś? – zapytał. – Do picia albo coś innego?

– Nie, dziękuję – odparłam, dokładnie wstrzeliwując się w głucho

uderzenie.

Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że przymierza się do drugiego uderzenia w worek treningowy, który skrzypiąc, kołysał się w przód i w tył na długim sznurku przewieszonym przez pierścień na suficie. Czy ten krzywy przeciekający pysk nie był wcześniej *dowodem* na istnienie Boga, nieśmiesznym, przypadkowym potwierdzeniem istnienia wyższej sprawiedliwości? To Bóg zdecydował, że musi iść przez życie z piętnem mordercy. Czułam, że wzbiera we mnie irytacja granicząca ze wściekłością. Wilbert zrobił kilka ruchów bokerskich, jego ciało wydawało się mniejsze i bardziej umięśnione, silniejsze. Unieruchomił skórzane zwłoki, otworzył zamek błyskawiczny i wetknął w nie ramię jak weterynarz. Widziałam, że rusza palcami pod granatową skórą, uniósł kącik ust, gdy wyjął paczuszkę zawiniętą w papier toaletowy. Powiedział: „A ja bym coś wciągnął” i podszedł do szafki, ukucnął i wydobył z niej pogniecioną kosmetyczkę. Kiedy uwalnił się na fotelu, wygrzebał z niej małe lusterko i zwykłą żyletkę Gillette. Obserwowałam, jak odpakuje papier toaletowy i wyjmując woreczek z białym proszkiem, wysypuje niewielką ilość na lusterko, krótko i dokładnie rozdziela go żyletką, a następnie tworzy cienką ścieżkę. Z tylnej kieszeni wyłuskał spłaszczony banknot dziesięcioguldenowy, zrobił z niego rulonik i pochylił się do stołu z rurką przy dziurce od nosa. Kiedy wciągał proszek dwoma mocnymi niuchami, patrzyłam na jego cienkie czarne włosy, które miał związane w przetłuszczony kucyk. Znow odchylił się do tyłu.

– Tutaj uczą też gotować – powiedział błogo.

Chociaż tego nie chciałam, wzburzenie wzięło nade mną górę.

– Dlaczego bierzesz to świństwo? – warknęłam. – Powiedz mi, Wilbercie, dlaczego zawsze idziesz po linii najmniejszego oporu? Dlaczego potajemnie wciągasz koks? Dlaczego, do ciężkiej cholery, robisz to, co robisz, Wilbercie?

Jego twarz znieruchomiła, prawa brew uniosła się w sprowokowanym zdumieniu. Widziałam po nim, że chomikuje agresję. Przymknął prawe oko i poruszył głową, jakby miał sztywną szyję. Przez długie sekundy rozluźniał szeroki więzienny kark. Potem otworzył oko i spojrzał na mnie w milczeniu.

– Najpierw to ty mi wyjaśnij – odezwał się po chwili – dlaczego przyszedłeś na rozprawę, ty *parszywa kurwo*.

Wystrzał z pistoletu startowego. Właśnie nadeszła ta chwila. Zaraz zaczną się pretensje, przed którymi ojciec nieustannie mnie przestrzegał. Właśnie tego obawiał się przez dziesięć lat – co dziwne, dopiero teraz to ja zaczęłam się bać. Zarumieniłam się, zaschło mi w ustach. Czy po to na chwiejnych

szpilkach pojechałam na drugi koniec Holandii? Dlaczego jak głupia gęś przyjechałam do Overtoom? Dlaczego nie odwołałam wizyty? Dlaczego w ogóle do niego zadzwoniłam? Pytania, pytanko. Kurczę, ale jego pytanie było celne. Dlaczego przyszłam na rozprawę?

– Żeby powiedzieć prawdę – powiedział ojciec. – Po prostu powiedz sędziemu prawdę.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, poza nami w Bastille nie było nikogo. Więcej ode mnie nie chciał. A jaka była ta prawda? Według ojca prawdą było to, co Vivianne przekazała Maurice'owi, a co Maurice z kolei powiedział mu przez telefon. A teraz on powie o tym mnie, żebym, jak sądziłam, powtórzyła to za jakiś czas adwokatowi, który przedstawi to w... jak się mówi na takie pismo? I przyjmie za dobrą monetę. Po prostu powiedz prawdę.

Było poniedziałkowe popołudnie, tuż po niezbyt lakonicznym telefonie lakonicznego chłopaka Vivianne, siedzieliśmy z ojcem w kampusie przy stoliku z czerwonymi papierowymi podkładkami i staroświeckim białym obrusem w lokalu, który bardziej przypominał chińczyka niż francuską restaurację. Zadzwonił do szkoły, zadziałał efekt profesora Sigeriusa: zastępca dyrektora promieniał z radości, czekając na mnie przy drzwiach do sali chemicznej. Gdy spocona od jazdy na rowerze i wspinaczki po stromych kamiennych schodach weszłam do baru, ojciec siedział już przy stoliku przy oknie i gładził bujną brodę, którą jeszcze wtedy zapuszczał, kelner stał w odległości piętnastu metrów od niego.

Ojciec zobaczył mnie dopiero w ostatniej chwili.

– Usiądź – powiedział dziwnie formalnie, jakbym nie była jego córką, ale jedną z jego doktorantek. Na obrusie, obok talerzyka z logo Tubantii, stała pusta filiżanka po kawie. Wyglądał na zmęczonego, w ostrym świetle dnia jego garnitur wydawał się wygnieciony. – Co byś chciała zjeść, córeczko?

– Tato, przecież mam kanapki.

– To je wyrzucisz. Ja biorę befsztyk na chlebie, jest wyśmienity. Jak ci poszła klasówka z ekonomii?

– Może być.

Zamknął oprawione w skórę menu, skinął na kelnera i zamówił dwa befsztyki z chlebem. Powiedział coś na temat naszego wicedyrektora, że to trudny człowiek. A potem bardziej do siebie niż do mnie:

– Dobrze. No to teraz...

Bez ogródek zaczął mi wyjaśniać, co w niedzielne popołudnie przekazał mu Maurice, a przynajmniej próbował. Najpierw zamotał się w rozwlekłym wstępie i przez chwilę sam chciał zrezygnować, ale chrząknął i nagle stał się

bardziej precyzyjny. Z głową czerwoną jak burak opowiedział mi o chusteczce do nosa – wciąż używał eufemizmów i mówił niezręcznie – a kiedy doszedł do szala, zasłony prysznicowej i tego, co robił za nią Wilbert, po prostu go zatkało: jego usta były okrągłe, a to, co chciał powiedzieć, kwadratowe. Dlaczego dyskusje z rodzicami o seksie są takie trudne? Każde z nas się wstydziło, ja głównie za niego, aż w końcu chwycił młotek i silnymi uderzeniami porozbijał całe to nieszczęście, które nie pozwoliło mu w nocy spać.

Wydaje mi się, że lekko zaskoczona zawołałam „kurczaki” – sympatyczne dziecinne przekleństwo, wypadkowa przynajmniej dwóch targających mną emocji, kiedy słuchałam niezręcznego dukania ojca. Najgorsze było to, że chciało mi się śmiać z najwyższego stopnia w skali dokuczliwości Wilberta, myśl, która w głębi serca wydawała mi się coraz bardziej interesująca i podniecająca, w szczególności w obszarze ludzkiej namiętności i wszystkiego tego, co dziewczynki mogą wyczyniać z chłopcami i odwrotnie. Jednocześnie właśnie to mnie *powstrzymywało* przed roześmianiem się – uważałam na to, co robię. Ojciec miał alergię na wszystkie poczynania Wilberta, to było jasne, ale chyba jego najgłębszą i najmniej widoczną irytację wywoływała, jak to się mówi, rozwiąłość Wilberta. Tak, w tej kwestii Wilbert był wyjątkowo bezpośredni. Jego agresja, lenistwo, pewność siebie (głupota, zdaniem ojca) stanowiły idealną pożywkę dla kłótni, z tego powodu byli gotowi skoczyć sobie do gardeł, ale czym innym było cholerne obściskiwanie się i świntuszenie, nieustająca burza hormonów. Odkąd z nami zamieszkał, dom na wsi zamienił się w akcelerator cząstek. Wilbert i jego podboje – to denerwowało Siema, doprowadzało do szewskiej pasji. Zanim syn marnotrawny wrócił na ojcowskie łono, pięcioliterowe słowo wywoływało w naszym domu efekt elektrycznego pastucha, nie przechodziło nam przez nastoletnie gardziołka w promieniu dwustu metrów od domu, w jednej chwili mnie i Janis dotykała afazja pięcioliterowych słów. Ale Wilbert już od pierwszego dnia wszystko kwitował słowami typu „kurwagonpełen” albo „chujoza”, albo „do dupy”, „popierdalone”, albo rzucał po prostu „kurwa”; jeśli coś mu nie wychodziło, był nie do zatrzymania. Już po trzech tygodniach w pewną sobotnią noc sprowadził sobie do domu dziewczynę. Rano zobaczyliśmy czyjąś damkę opartą o kasztanowiec przy tarasie. Całą niedzielę moi rodzice, niczym kalwińscy ortodoksi, czekali na to, co zejdzie po schodach, ale bardzo długo nic się nie działo, dopiero o piątej po południu do salonu wszedł półnagi Wilbert z na wpół rozebraną dziewczyną – „przyszliśmy na jajka sadzone”.

Ale zamiast pozwolić tej dwójce usmażyć jajka, ojciec syknął z nagromadzonej wściekłości, że kuchnia jest zamknięta, więc prysznic i wnocha, obydwójce. Podbojów Wilberta nie mieliśmy już więcej okazji oglądać, bo od tamtej pory robił to poza domem, za to coraz częściej oglądaliśmy rozrzucone po całym domu świerszczyki i pudełka prezerwatyw. Któregoś dnia do pokoju Wilberta wpadł ojciec z horrendalnym rachunkiem telefonicznym w dłoni – oczywiście z billingiem. Numery 0-700. Takie oto cyrki odchodziły w domu, który przed pojawieniem się Wilberta można by zburzyć do gołej ziemi i nie znaleźć nawet jednego poradnika seksualnego, nie wspominając o rzeczach służących do stymulacji. Żadnego czasopisma typu „Panorama”. Przecież dorastaliście w latach sześćdziesiątych? Co za pruderia! W moim domu rodzinnym królował idealny brak seksu. Tak, mieli na półce Jana Wolkersa⁴⁵, ale nie tego, co trzeba.

– Kurczaki? – powtórzył ojciec z pełnymi ustami, przeżuwając kawałek chleba i befsztyka. – Ten idiota, ten skurczybyk, ten łajdak molestował twoją nauczycielkę. W naszej łazience, w moim domu! – Był zły, wyprowadzony z równowagi, widziałam to po nim, ale Vivianne i ten jej Maurice też byli wściekli, szczególnie Maurice, który mówił o traumie na całe życie i procesie. A ojciec nie mógł nie przyznać im racji, wręcz przeciwnie, zgadzał się z nimi całkowicie. – Jeśli zrezygnują z procesu, sam pójdę do sądu.

– Tato, czekaj no. Chcesz założyć sprawę *własnemu synowi*?

– Nie ma odwrotu, Joni. Miarka się przebrała. Ta gadzina nas wykończy. Nas wszystkich. Twoją matkę, mnie, Janis, ciebie. Twoja siostra nie może przez niego spać. Wszystkiego się boi. Ale to o ciebie...

– O *mnie*? Co o *mnie*?

Ale najpierw musiał dojeść kęs, a przeżucie kawałka befsztyka, przełknięcie go, nabranie śliny, żeby móc przemówić, wydawało się cięższą pracą niż utuczenie i zaszlachtowanie wołu. Na jego czole błyszczały kropelki potu.

– O ciebie martwię się najbardziej – powiedział.

– Tato, ale jak to? Dlaczego martwisz się o mnie? Co ten chłopak ma wspólnego ze mną?

Znów zamilkł, spojrzał na prawą dłoń, w której trzymał szklanekę wody, a ja patrzyłam na niego. Czyżby się zastanawiał? Widok tego brodatego, wymęczonego, zamyślnego mężczyzny mnie zaniepokoił, widziałam, że łamie sobie głowę nad sprawami, które wykraczają poza jego zdolności matematyczne.

– Skarbie – odezwał się – wiesz, że mnie nie musisz się wstydzić. Nigdy. – Zrobił coś, co do niego nie pasowało: położył rękę na mojej dłoni. – Jak to

najlepiej wyrazić... Mama i ja mamy wrażenie, że Wilbert... eee... darzy cię wielką sympatią. Rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc o tym w ten sposób? Mamy wrażenie, że z jego strony... to coś więcej niż sympatia. I prawdopodobnie on... jak to ładnie powiedzieć... Mnie i mamie wydaje się, że on... że wy...

– Tato! Co masz na myśli? Co chcesz przez to powiedzieć? – Wyszarpnęłam gwałtownie rękę z jego dłoni i odsunęłam się na krześle. – Tato, opanuj się. Chodzi ci... Nie, oczywiście, że nie! Jak możesz tak myśleć? – Chociaż wiedziałam, że przesadzam, wstałam i położyłam dłonie płasko na stole.

– Joni – szepnęła – Usiądź. Poczekaj. Usiądź. Spokojnie. Posłuchaj mnie. Bardzo często ofiara czegoś takiego... że się wstydzisz, że być może tak bardzo się wstydzisz, że...

– Tato, przymknij się! Zamilknij!

– Wysłuchaj mnie. I mów trochę ciszej. Czuję się okropnie, że muszę cię z tym konfrontować, ale matka...

Przyblokowało go. Żeby zająć czymś ręce, zamoczył ostatni kawałek chleba z mięsem w sosie i nadział na widelec, ale kęs spadł mu na kolana. Bez przeklinania, bez rozluźniającego uśmiechu zebrał poległy kęs i odłożył go na krawędź talerza.

– Wiemy z matką, że często... jesteście sami. Wiemy, że mu pomagasz i to jest... to było... super. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo... cię za to cenię. Jesteś moją córką. Zrobiłaś, co mogłaś, żeby Wilbert... żeby poczuł się u nas jak w domu.

Ku swojemu przerażeniu zobaczyłam, że zapociły mu się oczy, w miejscach, które powinny pozostać suche jak pieprz, pojawiły się łzy. Nie! Tylko się nie rozpłacz.

– Skarbie, posłuchaj. – Wyglądał, jakby wziął się w garść. – To naturalne, że mu się podobasz, dobrze to rozumiem, podobasz się wszystkim chłopcom, więc temu... więc Wilbertowi tym bardziej. Mogę to sobie wyobrazić, ale to niedopuszczalne. Niebezpieczne. On jest niebezpieczny. Ten chłopak nie zna różnicy między podobaniem się a...

– A?

– Joni – jego głos stał się nagle ostry – odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy Wilbert cię... *napastował*? Chcę to wiedzieć. To pytanie wcale nie jest takie głupie. Sędzia też będzie chciał to wiedzieć. Proszę, tylko szczerze.

Nie. Nie mogę. Nie powiem mu o kilku sytuacjach, kiedy wracaliśmy z miasta w sobotnią noc i siedzieliśmy we dwoje na kanapie podchmieleni, opowiadając sobie szeptem różne historie albo wygłupiając się i skacząc po

kanalach w zatopionym we śnie wiejskim domu. I że to ja próbowałam go uwieść. W wieku czternastu lat umiałam bez trudu podnieść siedemnastoletniego chłopaka, nie było nic prostszego. Rzadko kiedy siedemnastoletni chłopcy lądują w środku nocy sam na sam na kanapie z dziewczyną, która tak świetnie czuje się w ich napalonej obecności – nawet ktoś taki jak Wilbert Sigerius. Dlatego z udawaną swobodą podciągałam kolana albo wręcz przeciwnie, rozkładałam je zbyt szeroko, kiedy ze śmiechem opowiadałam mu, co jakiś gostek sapał mi do ucha w lokalu, w którym Wilbert obserwował z baru, jak szaleję na parkiecie. Albo z westchnieniem odrzucałam głowę do tyłu, rzucałam recepturką w jego krocze i kładłam się na kanapie z nogami na jego kolanach. Kiedy bał się albo z pewnym wahaniem kładł dłonie na moich gołych nogach, podpierałam się na jego fantastycznie umięśnionym ramieniu i z udawanym fochem siadałam mu na kolanach, moje uda ściśle przylegały do jego ud, szczypałam go po umięśnionych udach, łaskotałam, syczał „jędza”, na co podnosiłam palcem wskazującym jego ledwie zarośniętą brodę – „spójrz na mnie, coś ty powiedział, chłopczyku?” – i obydwójce czuliśmy, że w moje frotowe majteczki wbija się rozporek jego spodni i że, przykro mi, tato, była to jedyna rzecz, o której wtedy potrafiłam myśleć.

I tyle. Nic poza tym.

– Wiesz co, tato? – powiedziałam na tyle głośno, że aż kelner podniósł wzrok. – Sam nakłam swojej adwokat. Powiedz jej, że to *ciebie* Wilbert napastował.

Jego szeroka, pełna dolna warga zadrżała, kiedy skinął głową i wstał.

– Zaraz wracam – powiedział i naśladowując z tragiczną parodią swój własny chód, powłócząc nogami, udał się do męskiej toalety na tyłach baru.

Miałam gęsią skórę na nogach. Nad ogromnymi parapetami okiennymi wychodzącymi na placyk z boiskiem do kosza znajdowały się podłużne uchylne okna. Były otwarte. Za chwilę, jak się stąd zmyję, Wilbert zamknie je, używając długiego aluminiowego pręta, który dostrzegłam pod niskim kaloryferem. Co powinna odpowiedzieć parszywa kurwa?

Ku mojemu zdziwieniu sam zaczął mówić. Znów siedział odchyłony na łaciatym fotelu z rękoma zaplecionymi na karku, przez co widziałam wypalone plamy pod pachami. Zdrowe oko patrzyło na mnie w skupieniu, kiedy powiedział, że dostał dziesięć miesięcy poprawczaka, o czym oczywiście wiedziałam, i że umieścili go w Hunnerbergu na obrzeżach Nijmegen, to też wiedziałam, i że siedział z chłopakami upośledzonymi

umyślowo, i że mnie nienawidził. Tego ostatniego mogłam się tylko domyślać.

– Kiedy wykopywali nas z łóżek o siódmej i zaganiali pod natrysk, brałem albo lodowaty, albo wrzący prysznic. Wiesz, to był jedyny sposób, żeby przez pięć minut nie myśleć o zemście. W momencie, kiedy zakręcałem kurek, myślałem: nienawidzę jej.

Przerwał i głośno pociągnął nosem. Założyłam nogę na nogę. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Wyobrażałem sobie, jak jecie śniadanie w domu na wsi. Twoja mama w podomce, tata odliczający łyżki kawy, Janis i ty... Cholera jasna, jak ja was nienawidziłem. Byłem niebezpieczny. – Wciągnął ślinę i uśmiechnął się, kręcąc głową. – Ale, wiesz, wśród tych debili miałem kumpla. Na lekcjach w ośrodku siedziałem w ławce z wysokim blondynem. Zajęcia na temat dobrych obyczajów, coś o emocjach, bo ja wiem. Ronnie, siedemnaście lat, napady z bronią w rękę. Ronnie Raamsdonk. Mówił, że jest kuzynem Pedra van Raamsdonka, ten tego, ale gdzie podział się przyimek „van”? – Spojrzał na mnie, jakby powiedział coś zabawnego. – Chłopie, gdzie podziało się „van”? Przecież nazywasz się Raamsdonk? Ta, tego nie wiedział. Ale dobra, powiedziałem mu, w co zostałem wrobiony. Przecież trzeba rozmawiać...

– Wilbercie – przerwałam mu, kręciło mi się w głowie od jego wyznania nienawiści. – Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo było mi przykro, ja...

– Słuchaj – odrzekł. – I nic nie gadaj. – Zrobił długą przerwę, nim znów przemówił: – No więc powiedziałem Ronniemu, że ciebie nienawidzę. „Chcesz jej odpłacić pięknym za nadobne, powiedział, chcesz wyjść na wolność, żeby dopaść przyrodną siostrę”. Miał rację, na samą myśl zaczynałem się pocić i drzeć z podniecenia. Powiedział, że w lesie niedaleko Zwolle jest zakopanych siedemnaście kafli. Bez przerwy myśli o tych pieniądzach, z rozpaczy próbuje czasem liczyć do siedemnastu tysięcy, mówił, tak intensywnie myśli o tej forsie, ten facet był głupi. Wierzył, że musi pojechać do lasu przed osiemnastką, wiesz, inaczej te pieniądze znikną. „Pomożemy sobie nawzajem, powiedział, i ja wiem jak”.

Wilbert wspomniał, że wokół spacerniaka biegło stalowe ogrodzenie wysokie na cztery metry, nie do przeskoczenia bez tyczki, ale przy ogrodzeniu postawiono coś jak przystanek autobusowy, pod którym można się było schronić w czasie deszczu. Gdyby Ronnie mógł stanąć na jego ramionach, to wciągnąłby potem Wilberta na dach.

– Wiesz, ten gościu miał straszne ramiona. Gdybyś widziała, ile wyciskał na siłowni. Jeśli pojechalibyśmy razem do lasu w Zwolle, odpaliłby mi tysiąc

guldenów.

– Na litość boską, dlaczego chciałeś uciec? – zapytałam. – Dziesięć miesięcy, miałeś przecież połowę wyroku za sobą. Nie kumam, naprawdę.

Zaśmiał się bezgłośnie.

– Nic nie wiesz o czasie. Nigdy nie złościsz się dłużej niż godzinę. Nic nie wiesz o wściekłości. Kiedy wściekłość zjada cię od środka przez tydzień, miesiąc, trzy miesiące. Powinnaś zamknąć gębę na ten temat. Całymi tygodniami zasypiałem dopiero nad ranem. – Złożył dłoń w pistolet. – Za oknem świtało, a ja wkładałem ci to do ust... Pif-paf!

Któregoś mroźnego styczniowego wieczoru razem z siłaczem rozbili hartowaną szybę w oknie ubikacji i w trzy minuty znaleźli się po drugiej stronie ogrodzenia. Pobiegli ulicą Berg en Dalseweg i wsiedli na gapę do pociągu do Zwolle. Poważnie skaleczył się w ramię, ale nic nie czuł. Wiesz, zemsta.

– Ale ty przecież...

Spojrzał na mnie przenikliwie.

Ale ty przecież nie byłeś niewiniątkiem! Przecież jesteś niebezpiecznym wariatem – do cholery, człowieku, przecież molestowałeś Vivianne! Przecież zakatowałeś człowieka młotem kowalskim! Słowa cisnęły mi się na usta, ale je zignorowałam. Kiedy wlepiłam w niego wzrok, przeobraziły się w coś o wiele bardziej niebezpiecznego: w jakąś głębszą myśl. Jak miałam wytłumaczyć Wilbertowi, co czułam, kiedy nasz ojciec dawno temu brał się w garść w toalecie w Bastille? Sama nie do końca to wiedziałam. Co mną kierowało? Siedząc przez pięć minut przy sztywno nakrytym stole, rozważałam gorączkowo różne za i przeciw. Postanowiłam go zdradzić. Ojciec wrócił i usiadł niezdarnie jak starzec. Bez mrugnięcia okiem powiedziałam:

– Tato, macie rację. Jest tak, jak mówicie. Wilbert mnie napastuje.

Dlaczego? Dlaczego to powiedziałam?

– Ale ja co?

– Nic – odpowiedziałam. – Kontynuuj.

– No więc z dworca w Zwolle ruszyliśmy z Ronniem za miasto. Wiesz, dopiero w środku nocy dotarliśmy do lasu. A gościu szukał skarbu całymi godzinami. Całymi godzinami! Oglądał każde drzewo. Myślałem, że zwariuje, on myślał, że zwariuje. Zmarzliśmy na kość. Walił w drzewa gołymi rękami. „Spokojnie chłopie, uspokój się, powiedziałem do niego, zaczekamy, aż się rozwidni”.

Dlaczego? Czy jego akcja w łazience zszokowała mnie bardziej, niż chciałam przyznać? A może przez mój niepokój przebijało słabe bicie złamanego serca? Czego on chciał od Vivianne? Coś w tym stylu?

– A rano ten skończony onanista ot tak znalazł właściwe miejsce, jakby wychowały go leśne wilki ze Zwolle. Ronnie wykopał ze zmrożonego leśnego runa skórzaną saszetkę, otworzył zamek: siedemnaście kafli. A jakże, ja dostałem jeden. „Dla ciebie, powiedział, bo jesteśmy ziomale. A teraz jedziemy do Enschede. Będiesz robił brzydkie rzeczy z siostrą, już ja to wiem, chłopie. Ja też chcę”.

Wilbert zamilkł i spojrzał mi prosto w oczy.

– Dlaczego przerwałeś? – zapytałam, ale próbowałam go nie słuchać.

Możliwe, że odpowiedź była o wiele prostsza, a wszystko zawierało się w widoku odchodzącego ojca. Zmęczony, pokonany mężczyzna, którego siły witalne przed pojawieniem się Wilberta nas zadziwiały. Tak było już w Stanach, kiedy budziłam się rano, wyskakiwałam z łóżka, do którego zapakował mnie mój nowy ojciec poprzedniego wieczoru, i tryskałam radością życia, która była jedynie echem jego radości życia. Chociaż w Berkeley osiągnął szczyt swoich możliwości matematycznych, bardziej bym uwierzyła, że od dziewiątej do piątej podłączał się gdzieś na terenie kampusu do ogromnej ładowarki. Siem był niewiarygodny. Kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia czekał w domu przy Bonita Avenue, aż pójdziemy z Janis spać, i za pomocą narzędzi matki wyciął, zbił i pomalował domek dla lalek. W niedzielę gotował spaghetti z sosem pomidorowym. W godzinę potrafił zrobić latawiec z worka na śmieci i listew ze sklejki. Kiedy wróciliśmy do Holandii i dopiero co zamieszkaliśmy w domu na wsi, zbudował w ogrodzie klatki dla pięciu leghornów i dla królików, w każdą sobotę odkażał klatki dettolem i wrzając wodą, nucąc pod nosem. Patrzyliśmy z zapartym tchem, jak przywiózł na przyczepie cegły ze zburzonego internatu męskiego za Boekelo, nosił je wokół domu i podśpiewując, zbudował z nich donice na kwiaty za pomocą samodzielnie rozrobionej zaprawy. W 1989 roku z tego paliwa nie została ani kropla. Wypaliło się przez Wilberta – wydaje mi się, że właśnie to do mnie dotarło, kiedy ojciec wrócił z toalety i usiadł naprzeciwko mnie jak pusta, obtłuczona baryłka. Trzeba było skończyć z tym chłopakiem.

– Jak dla mnie Ronnie mógł się bujać – odezwał się teraz Wilbert. – Kurde, nie chciałem, żeby był przy tym ten goryl. Więc mówię mu „właśnie, że nie”, a on „a właśnie, że tak”, ja do niego „pierzdel się”, a on łapie mnie za gardło

i rzuca na ziemię, mówiąc „oddawaj pieniądze, skurwielu”, a ja na to „okej, chodź ze mną, ale to będzie kosztowało dodatkowego patola”. Puszczając mnie i daje mi jeszcze jednego kafla, wiesz, bo jest głupi.

I według Wilberta powolny. Ociężały siłacz, którego z łatwością prześcignął w Hunnerbergu podczas testów Coopera, dlatego widząc w oddali drogę krajową, którą dotarli poprzedniego wieczoru, narzucił ostre tempo. Na ścieżce rowerowej specjalnie źle skręcił, nie z powrotem na dworzec w Zwolle, ale na przedmieścia, dlatego Ronnie się zatrzymał: „Chłopie! Idziesz w złym kierunku!”. Wtedy Wilbert zaczął biec, właściwie to truchtać, w stałym tempie, dzięki czemu zyskiwał coraz większą przewagę, biegł tak długo, aż Schwarzenegger się poddał, stając się coraz mniejszą plamką na ścieżce rowerowej. W pierwszej napotkanej wiosce naruszył w supermarkecie jeden z plików i wziął taksówkę do Almelo; nie wsiadł w pociąg, bo bał się, że napalony Ronnie wpadnie na ten sam pomysł. W Almelo chodził po mieście, szczękając zębami z zimna, aż do otwarcia sklepów. W domu handlowym V&D kupił ubrania i grubą kurtkę, której już nie zdjął. W markecie budowlanym kupił linę, nóż introligatorski, rodzaj maczety, „kurde, prawie szablę”, i szeroką czarną taśmę. W Perry Sport nabył torbę sportową, w której schował swój dobytek.

– To wszystko prawda? – zapytałam. Opowiedział mi kiedyś ze szczegółami swoją pierwszą zmyśloną na poczekaniu fantazję seksualną, jedno z marzeń, przy którym walił konia w pudło. – Nie wierzę w ani jedno słowo. Wszystko to zmyśliłeś.

Popatrzył na mnie kpiąco, wyjął T-shirt ze spodni i wytarł nim ślinę z ust.

– Tak – powiedział – ja zawsze kłamię. Przedstawiam ludziom rzeczy w lepszym świetle, taki jestem. Oszczędziłem ci kilku szczegółów, wiesz? Ona mi nie wierzy! A to, co powiedziałem o swojej gębie? O zapaleniu ucha? W to uwierzyłaś? – Złapał się za gumowy policzek i nim potrząsnął. – W pierdolenie o uchu wierzysz, a w to nie. – Pokiwał głową z litością. – Zrobił to gość, dla którego dilo wałem. Chrzczona heroina, prawdziwe świństwo. Pierdolony asfalt. Wiesz, gość zawsze płacił z poślizgiem. Zawsze jakieś kombinacje, więc dawałem mu chłam. Któregoś wieczoru czekał na mnie przy moim samochodzie. Gadka szmatka. Chciał zwrotu pieniędzy. Pierdol się, powiedziałem mu. Bum, rozbił przednią szybę młotkiem ciesielskim. Więc przeskoczyłem przez maskę i złapałem go za kark. Lecz cóż, dziwka walnęła mnie młotkiem w skroń.

Puknął palcem w prawą skroń. Rzeczywiście miał tam ślad w postaci półksiężycy. Nagle wydało mi się, że wygląda strasznie.

– Złamana kość skroniowa. Kiedy się ocknąłem, byłem w karetce.

Chciałam coś powiedzieć, ale Wilbert mnie ubiegł.

– Ciii. – Rozparł się na fotelu, jego twarz przybrała błogi wyraz. – Okej, kilka miesięcy później idę z psami plażą, wiesz, w Zandvoort, i widzę tego Surinamczyka. Na pustej plaży gościu wcina kibbelinga⁴⁶. Więc co robię? Idę tuż za nim, z wrzaskiem łapię go za kędzierzawy łeb i ciągnę do morza. Gościu nie wie, co się dzieje. Walę go parę razy po głowie i przytrzymuję pod wodą. Raz za razem, aż prawie go utopiłem, wiesz? – Spojrzał na mnie z zadowoleniem. – Tak postępuję z gostkami, którzy chcą mnie wydymać.

Wiesz, wiesz – miałam tego dość, wiesz?! Dłużej tego nie zniosę. Nie chciałam być dłużej w jednym pokoju z tym Wieszem. Wstałam, mogłam tak po prostu wyjść, hop, na Overtoom. Ale zamiast to zrobić, minęłam go i stanęłam przy wysokich oknach. Słyszałam, że przesunął się na fotelu.

Na prawym parapecie dostrzegłam dwie ramki ze zdjęciami. Wzięłam do ręki tę stojącą na pierwszym planie: to była czarno-biała fotografia śmiejącej się młodej kobiety. Ciemne włosy były upięte w banana, stała w ogrodzie otoczonym białym płotem. To musiała być matka Wilberta. Nie zdając sobie sprawy, zaczęłam płakać, bezgłośnie, spokojnie. W drugiej ramce dostrzegłam przez łyżę tę samą kobietę. Na tym zdjęciu Margriet musiała być sporo starsza, siedziała na kraciastej kanapie w pokoju umeblowanym w stylu lat osiemdziesiątych, krótka szczurza główka, nienaturalnie wychudzona buźka. Obok niej Wilbert. Na oko jedenastoletni chłopiec, z kwadratowymi przednimi zębami zachodzącymi na dolną wargę i z przydługimi włosami, był wesoły i poważny jednocześnie. Głowa rodziny. Tak wyglądał, gdy zdrajcy mieszkali w Stanach. Musiałam wysiedzieć. *Zrób to dla niego.*

Możliwe, że odgadł moje myśli, bo powiedział:

– To było w czwartek. Wiedziałem, że dorabiałaś sobie w maneżu w poniedziałkowe i czwartkowe wieczory, zawsze przychodziłaś. Ostatni kawałek drogi w egipskich ciemnościach, żadnego domu w pobliżu, miałaś do pokonania kilometr między lasami i polami. Tego wieczoru musiałaś tamtędy przejechać. Na sto procent.

Boże, miał rację, nigdy nie opuściłam żadnego dyżuru. Nigdy. Jeśli chorowałam na paluszek i główkę, zawsze dbałam o to, żeby cudownie ozdrowieć, gdy nadchodził czas wyjścia do maneżu. Siodłałam konie, ujeżdżałam nowe wierzchowce, nawadniałam wybieg. Dla piętnastolatki to była najlepsza rozrywka.

– Przed dziewiątą do maneżu, po jedenastej z powrotem w domu. Miałem

zamiar zrzucić cię z roweru. Do wieczora łąziłem po Almelo. Byłem w bibliotece, w V&D, w restauracji tuż przy tym pierdolonym sądzie. Kurna, wydałem tam sto guldenów na obiad.

Uśmiechnął się i powiedział, że „z otwartym guzikiem” wziął taksówkę do Enschede i kazał się wysadzić w półmroku między kampusem a miastem. Na kryjówkę wybrał lekki zakręt z wysokimi krzakami. Miał jeszcze kilka godzin, więc wszedł na pole. Twarda szara ziemia z wysuszonymi korzeniami. W oddali częściowo zamarznięta woda, przy pomocy składzik.

– Między rupieciami znalazłem dmuchaną łódź. Napompowałem ją. Wiesz, chciałem się na chwilę położyć. Godzinę odpoczywałem. Byłem po prostu... *napalony*.

Wyjął z torby podróżnej taśmę i noże i zaczął się przy zakręcie. Już z daleka widział reflektor roweru, ale musiał się upewnić, że to na sto procent ja. Wtedy mnie rozpoznał, po jasnych włosach wystających spod czapki.

– Jak ty się śmiesznie nachylasz nad kierownicą, kiedy jedziesz na rowerze, wiesz?

Wróciłam na miejsce i usiadłam. Pociągnęłam nosem.

– Jesteś stuknięty – powiedziałam. – Kompletny świr.

Oddychał niespokojnie. Zacisnął palce na miękkiej skórze fotela.

– Byłaś kilka metrów ode mnie, dziwko. – Różnica między prawą a lewą stroną jego twarzy wcześniej nie była aż tak widoczna. Nie potrafię określić, jak na mnie patrzył. – Dopiero wtedy zobaczyłem, że ktoś jedzie za tobą. Jakaś siksa, która jechała bez świateł. Zawahałem się.

– Zawahałeś się? Fantazujesz. Wilbercie, pieprzysz trzy po trzy. Nic się nie wydarzyło. O czym ty mówisz? Nawet nie wiesz, jak zakończyć opowieść.

Tak, tak było. Zapomniałam, jak potrafił się złościć. Bum. Poderwał się z fotela, który przewrócił się z głośnym hukiem, odsłaniając żelazne nogi.

– Dziwka! – krzyknął – Dziwka! Pierdolona dziwka! Powiniennem był pokroić cię na kawałki. Cholera jasna, ale z ciebie dziwka. Psiakrew, pokroiłbym cię na kawałki, uwierz mi. Czuję cię, zapach zdrajczyny. Wyczuwałem posłuszeństwo, wierność wobec tatusia, wierność wobec ogniska domowego, twoją...

– Nie widzimy się z Siemem – wrzasnęłam, przekrzykując go.

Wystraszyłam się sama siebie. Ja też wstałam, staliśmy oko w oko, cztery skronie przy rattanowym stoliku. Nienawidziłam sama siebie, a przecież sobie obiecałam: żadnych wybuchów, żadnych scen.

– Już się nie widzimy, słyszysz? – wrzasnęłam.

Ale dlaczego? Dlaczego to powiedziałam? Czy chciałam zrobić na nim wrażenie? Było dokładnie tak, jak kiedyś: dokuczał mi z powodu mojego posłuszeństwa, a ja chciałam za wszelką cenę udowodnić, że jest na odwrót. Zauważyłam, że Wilbert nadstawił uszu, wydał zdrową połowę ust.

– Jak to? – Jego głos brzmiał spokojnie, jakby wcześniej w ogóle nie wpadł w złość. Wyciągnął rękę, położył ją na moim ramieniu i przesunął po nim, jakby chciał mnie pogłaskać. – Opowiedz mi o tym.

Znów usiadłam na krześle.

– Nie jestem taka... grzeczna, jak ci się wydaje.

– A co to ma z *nim* wspólnego?

Katharsis. Już sama nieskomplikowana czynność opowiadania, nazwania katastrofy, która dokonała się na Vluchtestraat, wciąż świeże przerażenie, przez które nie mogłam w nocy spać, ubranie w słowa tego, co przez cztery lata wyczynialiśmy jak dwoje kontrwywiadowców – już samo to wywołało we mnie dziwną, intensywną ulgę. Ale prawdziwą satysfakcję poczułam, widząc zwątpienie na twarzy Wilberta, dojmujący podziw, wydawał się nawet lekko zszokowany, uważał, że to „dziwne i złe”. Postawił fotel i słuchał mnie z rękoma na kolanach.

– Jesteś bogata, dziwko? – zapytał.

– Coś ty.

– Oczywiście, że tak.

– Nie, naprawdę.

– Okej. Ale powiedz mi, co *on* ma z tym wspólnego. Tobie też mówię różne rzeczy, wiesz?

Zadziwiająca wnikliwość, z jaką dorwał się do tematu. Może dlatego, że cieszyłam się, iż przestał pytać o pieniądze, może dlatego, że uważałam, iż ma rację, powiedziałam mu bez ogródek o urlopie, o naszym powrocie do domu i na koniec o drzwiach przesuwanych.

– Co ty mówisz? I on wie o wszystkim?

– Tak. To było dwa tygodnie temu, rozumiesz? Wróciliśmy do domu wcześniej, niż planowaliśmy, a on tam był. Od razu wiedziałam, że on wie.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– I wtedy sforsował szybę – powiedziałam. – A teraz ja wyjeżdżam do Stanów. Tak po prostu, buch, wyszedł przez szybę.

– Ale dziwko, dlaczego mi o tym mówisz?

Krwawi jak prosię. Czuje delikatne pulsowanie w lewej stopie, klucie igiełek w lewym biodrze i przedramionach, kiedy kładzie głowę na prawym obojczyku, widzi brzydkie poziome rozcięcie na ramieniu – ale prawie nie czuje bólu. Ból fizyczny topi się w o wiele większym nieszczęściu. Dlaczego się rozebrał? Dlaczego od razu nie wyszedł? Ogarniający go żal zaczyna przypominać objawy choroby przewlekłej. Przyciska plecy do ściany bez okien, za którą znajdują się Joni i Aaron i gdzie powinni zostać. Modli się, żeby za nim nie poszli. Jego mózg jest jak bazar po wybuchu bomby, myśli są jak oderwane kończyny. Jego nagość jest bezdenna. Po plamach krwi na szarej kostce orientuje się, że chodził w tę i z powrotem po zaułku. Z jednej strony jego jestestwo wychodzi na Vluchtestraat, z drugiej na Lasondersingel. W pierwszym ataku paniki prawie wybiegł na ulicę, bo włączył mu się instynkt ucieczki. Chwilę temu szedł tam w cichym marszu, a teraz stoi w zaułku na golasa. W zaułku, nagi, w majteczkach córki na dupsku. Niech to będzie koszmarny sen. Idzie w procesji i oczami wyobraźni widzi, jak wychodzi z zaułka bez ubrania, ogląda siebie stu tysiącami oczu: głupek do kwadratu. Ubranie leży na poddaszu, ale nie może wejść do środka. Wciąż widzi siebie, jak stoi w salonie, patrzy na swoją nagość jej oczami. Skąd oni się wzięli? Prześladowuje go widok Joni, która z zaskoczenia upada do tyłu. Wciąż te same obrazy, jak z niedowierzaniem osuwa się na podłogę. Spróbuj zastanowić się przez chwilę. Musisz stąd uciec. Ale nie możesz. Ceglany mur drapie go w plecy. Skup się na jednej rzeczy, nie myśl o wszystkim naraz. Najpierw musi się ściemnić. Jakby jego myśli zostały wysłuchane, światło znika. Patrzy w kierunku gasnącego światła: w zaułku od strony Vluchtestraat pojawia się jakaś postać. Przez chwilę Sigerius przykleja się do ściany, jak rzeźba w idiotycznej lokalizacji. Słyszy echo odbijanej piłki futbolowej: to dziecko, biegnie parę kroków, bierze piłkę i patrzy. Sigerius podrywa się gwałtownie, wlecze się wąską uliczką, nagle pięta lewej stopy staje w płomieniach, po kilku metrach ceglany mur przechodzi w zielony żywopłot iglaków. Potrafi wymyślić tylko jedną rzecz: bez zbędnej zwłoki wciska się między dwa wysokie iglaki w ogrodzie sąsiadów Aarona, po raz drugi dzisiejszego wieczoru przeciska się przez drapiące szpony, syпки piasek wlatuje do dziury w podeszwie stopy. Zatrzymaj się w najważniejszym miejscu. Kucnij. Piasek chce go pochłonać, gałęzie smyrają uszy, pośladki, pępek,

czuje intensywny zapach żywicy. Machinalnie cofa się nieznacznie w kierunku zaułka i nadstawia uszu. Kroki, echo odbijanej piłki, każda fala dźwięku odbija się z dziesięciokrotną siłą między dwiema ścianami. Słyszy zbliżające się dziecko. Zaciska oczy, nasłuchując, sam jest iglakiem, słyszy jedynie płynącą w żyłach krew. Echo zniknęło, kroki stają się powolniejsze, ledwie je słychać. Rany pulsują do wtóru. Kiedy znów otwiera oczy, przez zieloną płataninę gałęzi dostrzega dziecko: stoi przed nim, jest pomarańczowe – ma na sobie koszulkę holenderskiej jedenastki. Gapi się szeroko otwartymi oczami na wprost – na jego pierś?

– Idź stąd – szepcze Sigerius.

Dziecko odskakuje do tyłu, widzi, że to chłopczyk, który ze strachu upuszcza piłkę, łapie toczącą się futbolówkę i głuchym sprintem ucieka na Lasondersingel. Sigerius stoi sztywno, dopiero po chwili wypuszcza powietrze – drżące westchnienie. Powoli jego słuch się wyostrza, w oddali słyszy przejeżdżający autobus, dźwięki meczu dobiegające z okolicznych domów, głos komentatora, kibiców. Niech Bóg błogosławi piłkę nożną. *Spraw, żeby moja uliczka pozostała pusta.* Nieco rozładowuje napięcie, by po chwili znów zeszywnieć. Przecenia swoją niewidzialność. Wystarczy, że ci ludzie wejdą do ogródka. A co robią Aaron i Joni? Wciąż krwawi jak prosię, letnie strużki kapią z ramienia na ziemię. Myślenie wymaga mniejszego ciśnienia. Nie może tu zostać. Ale co ma w takim razie zrobić? Nagła fala dźwięków uaktywnia gruczoły potowe. Wrzaski dochodzące z domów, okrzyki niosące się z ogródków: idą po niego hordy. Gol. Orientuje się, że wciąż ściska w garści pończochę, upuszcza ją, jakby to była żmija sykliwa. Gałązki są tysiącami mrówek. Co może zrobić? Ulice są puste, nie będą już bardziej opustoszałe. Próbuje zapanować nad oddechem, przestawia stopy i przywołuje obraz Vluchtestraat. Może mógłby do kogoś zapukać. Powiedzieć, że został okradziony. Wyobraża sobie siebie na ścieżce ogrodowej w tych majteczkach. Ale nie może ich przecież zdjąć. *Wszystko zniszczone.* Został upokorzony, ona została upokorzona. Ale czy na pewno ona też? *Musi stąd uciec.*

Rozważa: połowa jest na urlopie. Z całych sił wyobraża sobie niski blok na końcu ulicy, po lewej stronie muzeum, po prawej inny blok, za nimi ogrodzenie. Czy wespnie się na jeden z balkonów? I na który? Czy to ma sens? Jeśli drzwi balkonowe są zamknięte, to znaczy, że nikogo nie ma w domu. Otwarte: piłka nożna. Zamknięte: nikogo nie ma. Czy uda mu się tam dobiec? Wyrzecz z zaułka, wybrać odpowiedni moment, puścić się pędem? W myślach próbuje obliczyć odległość. Czterdzieści. Pięćdziesiąt metrów. Dobiec tam w sześć sekund. A jak dostanie się na balkon? Przez

chwilę myśli o domu, o splątanej trawie za domem, o spokoju, o schronieniu. Muszą zapaść egipskie ciemności, nim będzie mógł wrócić do domu... na pieszo? Cholera jasna! Ma iść z buta? *To sen, jesteś w najkoszmarniejszym z koszmarów.* Są jakieś drogi na skróty? W jego głowie pojawiają się wszystkie trasy joggingowe z ostatnich dwudziestu lat, płatanina leśnych ścieżek i sypkiego piasku. Ale pomiędzy nimi znajduje się miasto. Taksówka? *Nawet nie masz przy sobie telefonu.* Nie ma klucza, nie ma pieniędzy – niczego. Jego myśli wędrują ku Tineke. Nie może jej się pokazać na oczy. Przed północą nawet nie może pokazać się w domu. Czy klucz leży w ogrodzie?

Musisz wspiąć się na jeden z balkonów.

Obraca głowę o sto osiemdziesiąt stopni, czuje ostre drapanie na powiekach i policzkach i dziwną sztywność w karku. Dociska brodę do własnej krwi, patrzy przez ramię na zaułek i nasłuchuje. Po tej stronie świat jest cichy. Znów dopada go obojętność rzeczy martwych: szare płyty chodnikowe, które pochłaniają jego krew, obojętne mury. Oddycha tak, jakby zaraz miał się zanurzyć, i wyślizguje się spod drzew. Idź. Adrenalina rozpuszcza się we krwi i odkłada w ranach. Powietrze na gołej skórze. Co kilka kroków patrzy za siebie, próbując powstrzymać sapanie. A za ceglanym murem ona.

Ulica rozpaczliwie chwyta się ostatnich promieni zachodzącego słońca. Sigerius jest pod wrażeniem nagłej przestrzeni. Fioletowe niebo jest nieskończenie wysokie, jego nagość się intensyfikuje. Zza ceglanej ściany domu sąsiadów wygląda na blok i szerokie balkony – odległość jest większa, niż myślał. Balkony mają bordowe balustrady. Chce znaleźć się za jedną z nich. Bokiem do wejścia ze skrzynkami pocztowymi stoi duży betonowy zsypaniec, mały bunkier na worki ze śmieciami. Już teraz, w okopie, czuje ciepły asfalt pod stopami i ziarenka piasku w otwartej ranie. Ulicą sunie samochód, Sigerius z jękiem uskakuje do zaułka. Wstrzymuje oddech, czekając, aż pojazd przejedzie. Tak blisko ich drzwi. Ulica jest pusta.

Teraz.

Najpierw płyty chodnikowe, potem pięcioma długimi susami na skos przez asfalt, nie patrz do góry ani na boki, blok rośnie w oczach, rzuca cień. Niczym pawian wskakuje na masywny szeroki kontener, na wierzchu jakieś stalowe pokrywy, z których wylewają się worki ze śmieciami – nie myśl, działaj. Dlaczego wciąż widzi siebie? Nagi mężczyzna stąpa po odchylonych pokrywach, zapiera się palcami stóp o betonową krawędź. Szacuje różnicę wysokości: półtora metra dzieli go od poręczy najbliższego balkonu. Jeśli nie złapie się krawędzi, wyląduje w ogródku mieszkania na parterze. Leci, jest

małą, która fruwa! Narobi hałasu. Oglądają piłkę nożną. Kolana uderzają o wypatrzoną balustradę, rozcapierza palce, jedna ręka się ześlizguje, druga zaciska się wokół poręczy. Ciało ciągnie w dół, prostuje się. Ciężar ściąga palce prawej ręki, ma wrażenie, jakby ramię pękało dalej, jakby jego szkielet miał wyslizgnąć się ze skóry, drugą ręką chwyta poręcz. Przez chwilę wisi nieruchomo, brzuchem dotyka nagrzanej balustrady. Przez falę bólu dociera do niego obraz jego samego wiszącego na balkonie, obrzydzenie dodaje mu energii. Setki razy wisiał na drążku, ćwiczył na poręczach gimnastycznych, na koniu z łękami: był najlepszym gimnastykiem ze wszystkich, lepszym od Snijdersa, lepszym od Geesinka – ale to było czterdzieści lat temu. Wykorzystując całą siłę, podciąga się do góry na wyprostowanych ramionach. Drzwi balkonowe są zamknięte, w mieszkaniu jest ciemno. Przerzuca przez poręcz lewą nogę, potem resztę ciała i ląduje na zimnym betonie. Kuca za balustradą.

Przez jakiś czas siedzi w kucki, sapie jak po walce, opiera zdrowe ramię o balustradę, gapi się na palce u stóp na betonie. Odczekaj chwilę. Jeśli ktoś jest w domu, na pewno go usłyszał – i zaraz otworzą się drzwi. Czeka. Oddech się uspokaja, z balkonów na górze i obok niego dochodzą uspokajające dźwięki meczu. Czy ktoś go widział? Na ulicy? Istnieje duża szansa, że policja jest już w drodze. Prawe ramię znów mocno krwawi, na betonie pojawiają się krople krwi. Siada na tyłku i bada podeszwę stopy. Na śródstopiu, skośnie pod paluchem, zieje rana o gwiazdzistym kształcie. To jego krótsza noga, po wypadku ze skuterem czucie w niej nigdy w pełni nie wróciło. Teraz wcale go to nie martwi. Wyciąga kawałek szkła. Rana natychmiast wypełnia się świeżą krwią.

Zaczyna wierzyć, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Uważnie rozgląda się wokół siebie: balkon ma ponad metr głębokości i rozciąga się na całej szerokości mieszkania. Po jego prawej ręce znajdują się bordowe drzwi. Siedząc w kucki, może zajrzeć przez szybę do salonu: kanapa w biało-zielone pasy naprzeciwko starego telewizora z „pupą”, głębiej rozłożona deska do prasowania, a za nią mała kuchnia. Mieszkanie studenckie? Zastanawia się, co gorsze: student, który go rozpoznaje, czy zwykły mieszkaniec Enschede, który staje oko w oko z wariatem.

Na balkonie stoją dwa plastikowe krzesła, obok nich otwarte butelki grolscha z ceramicznym korkiem, w najdalszym rogu pudła z makulaturą. Naprzeciw pudeł na poręczy wisi na żelaznych hakach żółta suszarka: *pranie*. Mija krzesło i idzie tam na czworakach. Dwie ścierki kuchenne, ręcznik, para różowo-czarnych damskich skarpetek, czerwone półdługie męskie kąpielówki.

Wyswobadza się z majteczek i na siedząco wkłada kąpielówki. Ogarnia go uczucie radości i ulgi. Majteczki upycha w tylnej kieszeni. Suchszą ścierkę kładzie na ranie na ramieniu i po wielu bólach i cierpieniach zawiązuje pod pachą. Ponieważ nie ma innego wyjścia, wciąga sztywne od prania skarpetki na stopy.

Potem kładzie się na plecach. Beton koi jego zmęczone ciało. Leży tak dobre pół godziny. Balustrada nie sięga podłogi, więc kiedy przyciska policzek do obwiązanego ramienia, może zerkać pod spodem. Obracając się na bok i wciskając brodę głębiej w ciało, jest w stanie zobaczyć nawet mieszkanie Aarona. W oddali widzi krzaki przed ścieżką i górną część drzwi wejściowych. Ciężar ołowianych wyrzutów sumienia każe mu przez chwilę na nie patrzeć. Powoli się uspokaja, myśli nabierają konkretnych kształtów. Jak duży był to przypadek? – zastanawia się. Szansa, żeby zostać przyłapanym w taki sposób? Przyłapanym w najgorszym momencie jego życia. Modułacja losu: najczęściej przypadek jest rzadszy, niż można się spodziewać, prawdopodobnie to mecz, za który przed chwilą dziękował bogom, odegrał rolę w jego upadku. Bez dwóch zdań. Bez piłkarskiego alibi nie przyszedłby akurat dzisiaj do mieszkania, nie o tej konkretnej porze. Znając ich, kierowali się tym samym. Jechali, żeby zdążyć na mecz. Na wejściu włączyli telewizor.

Obok niego i nad nim znów wybuchają głośnie okrzyki. Mimo że czuje się całkiem bezpieczny na balkonie – jego pierwotna potrzeba bezpieczeństwa została zaspokojona – marzy o mroku. Jego najmłodsza siostra ma dzisiaj urodziny. Najdłuższy dzień w roku. Próbuje nie myśleć o konsekwencjach – co to oznacza dla niego i Joni, dla jego rodziny? „Mam najdłuższe urodziny” – mawiała Ankie. Zapakować cudem ocaloną skórę do własnego łóżka.

Ale czas na obcym balkonie jakby się zatrzymał, wydarzenia powtarzają się jak na obrazach telewizyjnych i są niezmiennie ostre: wciąż od nowa widzi siebie, jak przebija się przez szklane drzwi. I wciąż od nowa zdaje sobie sprawę z tego, co widziała Joni, i zastanawia się, do jakich wniosków doszła. Tragicznych, ot co.

Ściemnia się, nareszcie. Wiaterek przysparza mu pierwszej gęsiej skórki dzisiejszego wieczoru. Przygotowuje swoje poobijane ciało do zejścia z balkonu. W ramach przebrania zawiązuje drugą ścierkę kuchenną na głowie. Już wie, jaką drogę ucieczki wybierze, ale jego cierpliwość znów zostaje wystawiona na próbę: mecz się skończył, zwycięstwo, nie ma cienia wątpliwości. Ludzie wychodzą na ulicę. Z każdej strony słyszy wesołe rozmowy mężczyzn, jakieś drzwi zatraskują się z hukiem. Musi poczekać, aż

ulica znów się uspokoi. Ale nagle wstaje, porażony myślą, że istnieje możliwość, iż właściciel mieszkania właśnie dziękuje za miłe spotkanie i wsiada na rower. Nie czując ciała, nie czując betonu pod stopami, nie dotykając poręczy, nie dotykając trawy, na którą upada, staje przed blokiem i natychmiast rusza przed siebie. Potykając się o własne nogi jak uciekający szczur i kuśtykając wzdłuż płotów, dociera do Deurningerstraat i wkracza do spokojnej mieszczańskiej dzielnicy.

Noga ciągnie go i kłuje, ale ból działa oczyszczająco. Stara się chować w coraz szybciej zapadających ciemnościach. W razie czego postanawia udawać pijanego. Wciąż idzie przed siebie, krok po kroku. Rowerzyści mijają go, nie zwracając na niego uwagi, pies z kulawą nogą się nim nie interesuje. Pali go stopa, ból promieniuje na całą łydkę. Wybiera spokojne ulice, idzie Mendelssohnlaan, mijając majestatyczne domy z zasuniętymi zasłonami. Kiedy dociera na Horstlindelaan, czuje nieśmiałą ulgę. Siada na ławce, ale natychmiast się podnosi.

Ogarnia go przedziwne uczucie, kiedy na jego oczach przekształca się krajobraz, a letnia noc pieści jego tułów, spacer zmienia proporcje wszystkiego, bezpośredni kontakt stóp z ziemią, popękany asfalt, gąbczasty mech rosnący na poboczu. Gwiazdzista noc jest kryształowo czysta, wydaje mu się, że jego oczy są wrażliwsze niż zwykle, bada otoczenie jak nocny drapieznik. Słyszy, jak kuna grzebie pod krzakiem, w żółtym świetle księżycy drzewa i pola wydają się mienić intensywnymi barwami.

Do cholery, to już drugi raz. Drugi raz w życiu został przyłapany na gorącym uczynku. I tak jak wtedy przesunie się koryto jego życia. Idzie jak pokutnik zadrzewioną ścieżką rowerową do kampusu i rozmyśla o pierwszej wpadce. Może przywołuje w pamięci dawne przyjęcie urodzinowe Tineke w Utrechcie, bo chce przechytryć pamięć krótkotrwałą. Wtedy nazywała się jeszcze Tineke Beers-Profijt – dziwnie mu na samą myśl, że jego żona była kiedyś zamezną sąsiadką z dołu. Został zaproszony z Margriet, wraz z piętnastoma sąsiadami i przyjaciółmi okupowali parterowe mieszkanie Tineke i jej dziwnego męża – sąsiadka popijawa w zwykły dzień. Byli jej koledzy z pracowni meblarskiej przy Sweder van Zuylenweg, lało się wino, piwo, campari, co dziwniejsze, jej siostra z Amersfoort wciąż wkładała do gramofonu płyty Mojo Mama, zespołu Theuna, którego już nigdy więcej nie spotkał – zaskakujący wybór muzyki, tym bardziej że sąsiad z dołu uświetnił imprezę swoją nieobecnością, jakby nie został zaproszony na urodziny własnej żony albo najprawdopodobniej po prostu się nie zjawił. Tak właśnie przedstawiało się rockandrollowe małżeństwo Tineke w połowie lat

siedemdziesiątych.

Jego własne przedstawiało się jeszcze gorzej. Pamięta, że przed imprezą zażegnali kłótnię, sprzeczali się w kuchni, ich podłoga była sufitem mieszkania Tineke, która właśnie podejmowała w nim pierwszych gości piwem i pasztetową (ile lat kończyła? dwadzieścia pięć?), i znów czuje przepelniającą ich wściekłość, kiedy schodzili po schodach z mieszkania pięćdziesiąt dziewięć bis i dzwonił pod numer pięćdziesiąt dziewięć. Praktycznie nie pamięta samej imprezy, w tamtych czasach na Antonius Matthaeuslaan ciągle odbywały się jakieś prywatki, a ponieważ następnego dnia wszyscy musieli wcześnie wstać, większość par opuściła mieszkanie przed północą, poza kilkoma niedobitkami, w tym nim samym i Margriet. A kiedy i niedobitki się zmyły, Margriet zaczęła szarpać go za rękaw (alkohol się skończył), ale całkowicie niezgodnie ze swoim zwyczajem zarządził, że nie, oświadczył, że dopije drinka, Margriet zaś, też całkowicie niezgodnie ze swoim zwyczajem, oznajmiła, że idzie do domu, na górę: „Idę się położyć, kochana” – powiedziała do Tineke.

Po czym wszystko poszło nie tak – albo raczej całkiem dobrze. W momencie, kiedy wszyscy się ulotnili, on i Tineke zostali sam na sam: siedział obok ciepłej, skorej do śmiechu, inteligentnej, zainteresowanej nim sąsiadki na pomarańczowej trzyosobowej kanapie Theuna pośród pustych szklanek i przepelnionych popielniczek, noga przy nodze, jego szerokie, rozgrzane udo przy wówczas jeszcze zgrabnym udzie Tineke – dokładnie w tym momencie wszystko, na co zanosilo się od około dwóch lat, się dokonało. Zanim się zorientowali, zaczęli się całować, Siem na górze, Tineke na dole, intensywnie, w milczeniu, bez uśmiešku albo gadki wprowadzającej – przekroczyli granicę, do której zbliżali się od czasu, kiedy leżał w łóżku w gipsie, od pierwszej wizyty Tineke u niego w domu, kiedy wracał do zdrowia po wypadku ze skuterem. Dlaczego właściwie przyszła? Tak po prostu, żeby napić się kawy z kimś zupełnie innym, z *mężczyzną*, żeby nie musieć rozmawiać o dzieciach przyjaciółek – coś w ten deseń? Już wtedy pójście o krok naprzód było w sferze planów.

A kiedy bez paszportu znaleźli się w tej wspaniałej, oszałamiającej, egzotycznej krainie, postanowili bez konsultacji zostać w niej na dłużej. On i jego stabilna emocjonalnie, sympatyczna sąsiadka z dołu wstali, wciąż namiętnie się całując. „Nie możemy” – szepnęła. „Czego nie możemy?” – zapytała. „No, tego zrobić”. Ale to był protest bez przekonania, bardziej przemawiała przez niego namiętność niż poczucie winy, dlatego chwiejnym krokiem wyszli do przedpokoju, minęli jedne drzwi (potem następne, za

którymi spała mała Joni), nacisnęli kłamkę kolejnych i potykając się, wpadli do sypialni, opadli na dwuosobowe łóżko, które czekało na nich od dwóch lat i nad którym, jak sobie przypomina, wisiał afisz z Kralingen: Mojo Mama między Dr. Johnem The Night Tripperem i Tyrannosaurusem Reksem – triumf Theuna Beersa, na który jego sąsiad z góry nie zwrócił większej uwagi, ponieważ sukces ten zbladł w momencie, kiedy położył Tineke na wydzierganej narzucie.

Chociaż najkrótsza droga wydaje się kusząca, potykając się o swoje opuchnięte stopy w damskich skarpetkach, dla pewności omija kampus i idzie ciemną drogą przez las na północ od Langekampweg – powoli zawija do portu, ale jakiego portu? Dobrze zna Tineke, dlatego wie, że kiedy dotrze, ona będzie już spała. Ale co będzie jutro? Nie będzie mógł przemilczeć tematu, chociażby po to, żeby ubiec Joni. Zupełnie nie da się przewidzieć, co tych dwoje zrobi. Czy uwzględni jego rozmowę z Tineke? Nie ma bladego pojęcia. Ostrożnie maca ramię. Czy może to przemilczeć? Czy może ponownie okłamać kobietę, którą w zamierzchłej przeszłości musiał obdarzyć bezwzględny, ślepy, nagłym zaufaniem?

Bo popełnili mały błąd. Ich zajętej, zakręconej uwadze umknął jeden drobny szczegół. Jakież to ludzkie. Drzwi wejściowe nie są zamknięte. Przed chwilą, zajęci lizaniem się w korytarzu, nie zwrócili uwagi, że drzwi się uchyliły – zrobiła to Margriet z góry, prosta Margrietka Sigerius, która może jest mniej ciepła, mniej nim zainteresowana i mniej inteligentna niż kobieta, którą teraz gorączkowo rozbiera, ale też nie w ciemną bita. Ma pociąg do alkoholu i jest rozchwiana psychicznie – ale nie głupia.

To dlatego Margriet idzie na górę (tak to przynajmniej wyglądało, kiedy później starał się dokładnie zrekonstruować jej zachowanie), wchodzi po stromych schodach prowadzących do ich dusznego mieszkania na piętrze i od razu wspina się po kręconych schodach na najwyższą kondygnację, wchodzi do pierwszej sypialni (gdzie śpi ssący kciuk Wilbert) i wstrzymując oddech, patrzy na śpiącego synka, może nawet przez okrągłą minutę, jakby słuchała jego snu. Dobra matka. *Czy nią jestem?* Ale tak naprawdę nie myśli o Wilbercie, w rzeczywistości jej uszy zbiegają dwa piętra w dół do otwartych drzwi mieszkania sąsiadki, Margriet też powoli schodzi na dół – ale nie, najpierw do kuchni, zmusza się, żeby pójść do kuchni, gdzie nalewa sobie lampkę wina i nakazuje sobie wypić ją powoli, spokojnie, daj im trochę czasu, jeszcze pięć, nie, jeszcze *siedem* minut opanowania. I podczas gdy pije jedną, dwie lampki, jej uszy leżą plackiem na kuchennej podłodze jak

dmuchane pontony. Po siedmiu dłużeń się minutach ściąga kozaki i idzie bezgłośnie po stromych schodach do drzwi. *To znowu ja.*

Sigerius dociera na Langekampweg, z odwróconym wzrokiem mijają cztery pierwsze domy z oknami wychodzącymi na ulicę (rzadko rozmawia z sąsiadami, niech się bujają). Kiedy zza liści wyłania się fasada jego domu, zatrzymuje się. Na parterze pali się światło, słaba poświata – Tineke zostawiła mu włączoną lampkę.

Margriet Sigerius, lat dwadzieścia trzy, kieruje się obleśnym, ohydny odgłosem, który ledwie przebija się przez bicie jej serca – jej serce jest większe niż zwykle, jej serce to pompująca maszyna, ale przez dudnienie przeciskają się inne dźwięki: o wiele dziksze dudnienie z pomieszczenia obok jeszcze nagrzanego pokoju urodzinowego, urządzonego w nieco pretensjonalnym stylu marki Ariadne at Home ze słomianymi meblami i workami do siedzenia. Stoi przed drzwiami sypialni ze spoconą, drżącą dłonią tuż nad klamką, ale coś ją blokuje. Nie może wejść do środka. Nasłuchuje jak skamieniała. Wtedy nabiera powietrza i wrzeszczy. Po raz pierwszy połączony z sąsiadką, Sigerius słyszy, jak jego żona krzyczy ile sił w płucach, piskliwie i ostro:

– SIEEM! – powtarza trzy razy jego imię, a potem drze się: – *Co robisz? Co ty robisz? Nienawidzę cię!*

On i Tineke leżą na sobie jak zeszywniałe zwłoki, poczucie szczęścia nigdy nie istniało. Na korytarzu robi się cicho. Martwa cisza. *Może my też umarliśmy?*

Raptem drzwi się otwierają, odbijają się od ściany, potłuczona mleczna szyba rozbija się na kawałki. Sigerius patrzy w szeroko otwarte oczy Tineke. *Margriet im się przygląda.*

– Nie wejdiesz do domu, skurwielu. Już nigdy, słyszysz? Do cholery, nie waż się pokazywać w domu.

Sigerius jest niemy, trzyma bezczelny język za zębami. Nie słyszą, żeby szła do wyjścia, dlatego tym głośniejsze rozbrzmiewa trzaśnięcie drzwiami, jak huk granatu. Drzwi mieszkania pięćdziesiąt dziewięć bis, Margriet i jej synka, wcześniej drzwi mieszkania Siema Sigeriusa, zamyka na cztery spusty.

Sigerius nareszcie widzi dom, idzie zwirową ścieżką na tyły budynku, po omacku człapie po trawie w ogrodzie. Odkąd Janis parę razy zostawiła klucz w Deventer, trzymając dodatkowy w karmniku na tarasie. Bez trudu odnajduje

klucz i idzie do kontenera na odpady obok warsztatu. Dotkliwie uderza się o pieńek do rąbania drewna, zaciska zęby z bólu i zdejmuje sponiewierane skarpetki. Lewa jest mokra od krwi. Owija je ścierką do naczyń, którą miał na głowie, i upycha zawiniątko głęboko pod kartonowymi pudłami i ścinkami drewna w plastikowej beczce.

Co dziwne, pragnie nie tyle znaleźć schronienie we własnym domu, ile przytulić się do śpiącego ciała Tineke. Ale przyjdzie mu jeszcze trochę na to poczekać. W kuchni ostrożnie odrywa ścierkę z ramienia, zniecierpliwiona krew natychmiast wypełnia łososioworóżową ranę. Robi opatrunek z gazy i plastra. Na całym ciele ma zaschniętą krew, stopy są brązowe i wyglądają jak raciczki. Wyłącza lampkę w oknie salonu i w adidasach idzie do sypialni. Cichutko wchodzi do środka.

– Dobry wieczór, skarbie – szepcze, żeby sprawdzić, czy Tineke śpi, po czym w dwóch susach ląduje w łazience.

Bierze prysznic, uważając, żeby nie zmoczyć ramienia, szoruje się przez dwadzieścia minut, stopa kłuje i pulsuje.

Jutro będzie musiał nakłamać na temat jej rodzonej córki, nie będzie łatwo, ciężkie poczucie winy wywołuje głębokie uczucia wobec żony. Zakręca kurki. Tu chodzi o jej córkę.

Lato dogasa. W miesiącach po jego wpięktłowstąpieniu niewiele się dzieje. Tak niewiele, że zaczyna się denerwować, niedzianie się ciąży mu niewyobrażalnie. Tineke nic nie wie o jego poniżeniu i z tego powodu Sigerius czuje ulgę, ale jej niewiedza pogłębia jego poczucie osamotnienia. Przemilczał ranę na podeszwie, wmówił jej, że rana na ramieniu to efekt nieszczęśliwego upadku na usianej odłamkami szkła podłodze klubu studenckiego, właściwie to powinien był podjechać do punktu pierwszej pomocy. Joni się nie odzywa. Aaron nie przychodzi już na treningi, i dobrze, tak jest lepiej, zrezygnował z egzaminu dan, wysyłając pisemko do związku judo.

Joni zręcznie to rozgrywa, wsiadając w samolot do Kalifornii dokładnie w czasie ich krótkiego urlopu na Krecie. Tineke jest zdruzgotana, Sigerius broni nagłego wyjazdu Joni, McKinsey nie czeka na tatusia i mamusię, mówi, a w międzyczasie obgryza paznokcie: każdego dnia urlopu przynajmniej raz ogarnia go chęć zagrania w otwarte karty, chce szczerze opowiedzieć żonie, skąd wzięły się te rany, chce być całkowicie szczery, ale milczy. Praktycznie ani razu nawet nie podejmują rozmowy z prawdziwego zdarzenia. Jedzą souvlaki, gdy Joni dzwoni na komórkę Tineke, na jego ustach zastyga

uśmiech, a na talerzu stygnie jedzenie – nawet kiedy się okazuje, że matka i córka rozmawiają na neutralne, zwyczajne tematy, nie może przełknąć ani kęsa.

Po powrocie do Enschede czeka na niego uśmiech losu, potwierdzenie, że mądrze postąpił (trzymaj język za zębami, odczekaj, zobacz, co się wydarzy): ich strona jest zamrożona, przez kilka tygodni nikt nie wrzuca nowych zdjęć, po czym adres zupełnie znika z sieci. Najwyraźniej tych dwoje odpuściło sobie. Czuje, że nieco się rozluźnia. A jeśli to dlatego, że Joni siedzi w Stanach?

Ale poza tym: cisza. Joni nie daje żadnego znaku życia z Kalifornii. Naturalnie najbardziej dziwi to Tineke. Wydaje jej się zrozumiałe, że Aaron już się nie pokazuje w domu na wsi, chociaż Sigerius jeszcze nie zebrał się na odwagę, żeby jej powiedzieć, że treningi judo też się skończyły.

– Siem, kochanie, Joni coś mało się odzywa, prawda?

Przepuszcza i tę okazję, żeby jej wszystko wyjaśnić, gorzej: robi coś zupełnie odwrotnego. Ku własnemu zaskoczeniu jest zdolny do wszystkiego, byle Joni go nie wydała. Robi coś wyjątkowo tchórzliwego i beznadziejnego. I ryzykownego. Na Yahoo zakłada adres e-mailowy na nazwisko córki i z tego przekłętego fikcyjnego konta od czasu do czasu wysyła do siebie najczęściej krótkie, niekiedy dłuższe wiadomości. „Kochani tato, mam i Janis, tu jest wspaniale, byłam na moście Golden Gate, niestety nie mam jeszcze telefonu, ale na szczęście są e-maile. W McKinseyu jest fajnie, ale mam dużo pracy. Buziaki, Joni” – tego typu wypociny, a ponieważ Tineke nie korzysta z poczty elektronicznej, drukuje dla niej te obrzydliwe kłamstwa na domowej drukarce. Napełnia go to obrzydzeniem i nienawiścią do samego siebie, ale mimo to nie przestaje tego robić.

Jakby za karę w Binnenhofie nic się nie dzieje. Nałogowo przegląda gazety i czasopisma opiniotwórcze, aż ma czarne paluchy, przed zaśnięciem czyta dzienniki znamienitych mężów stanu. Plotki głoszą, że siedzi w haskiej poczekalni, coś przeciekło do mediów. W talk-show w Radio Oost ktoś mówi – co ciekawe, jest to student – że Sigerius zostanie ministrem edukacji. Następnego dnia zbywa czterech dziennikarzy.

Denerwującą próżnię wypełnia zwątpienie w siebie, to dzieje się automatycznie. Czy nie jest świętszy od papieża? Czasem przyrównywanie strony internetowej do prostytutki wydaje mu się bezdennie głupie, bo to nie to samo, w takich chwilach uważa się za ograniczonego starego pryka, ale minutę później dopuszcza do głosu tabu i prawie chce mu się krzyczeć

z rozpaczy, po czym funduje żonie kolejnego zmyślnego maila. Potem znów: a może jestem zbyt konserwatywny? Może moralność i przyzwoitość mnie ograniczają? Może jestem aseksualnym, bojaźliwym mężczyzną?

Rutynowo kieruje uniwersytetem i rozmyśla nad swoimi dziećmi. Rozumie upadek Wilberta, to było nieuniknione z taką matką, z takim ojcem, ojcem, który wziął nogi za pas. Swoim postępowaniem zasłużył na takiego syna jak Wilbert. Ale Joni to zupełnie inna para kaloszy, raz za razem odtwarza historię Joni, która jest też jego historią: dziewczynka, która jego zdaniem jest skazana na szczęście, córka, której dał poczucie bezpieczeństwa, poświęcił maksymalnie dużo uwagi, wszystko, co był w stanie z siebie dać – częściowo, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia związane z Wilbertem, sam przyznaje, ale nie zmienia to faktu, że ofiarował jej całą swoją miłość, żeby nie powiedzieć, iż dostała więcej niż to, na co mógł liczyć, sam będąc dzieckiem.

W środę wieczór jedenastego października, gdy siedzą z Tineke z talerzem na kolanach i oglądają wiadomości, dzwoni De Graaf. Z trwającej ponad dwie godziny rozmowy Sigerius dowiadyuje się, że D66 po weekendzie oficjalnie ogłasza, iż utracili zaufanie do Hilda Kruideniera, a może wcześniej; w szeregach partii mówi się, że przez tego zawałdę spada w sondażach poparcie dla ugrupowania, tak dalej być nie może, faceta trzeba wyautować. Kruidenier odejdzie, inny scenariusz nie wchodzi w rachubę, dlatego De Graaf chciałby dzień później przedstawić Sigeriusa jako kandydata na jego następcę. Czy jest na to gotowy? Nigdy nie był bardziej gotowy – odpowiada Sigerius – i tak, jutro rano mógłby zjawić się w Torentje, skoro Kok chce go poznać. Czy zgadza się, żeby Centralna Agencja Wywiadowcza prześwietliła jego akta? Oczywiście, że się zgadza, do widzenia, Thom, jasne, dziękuję, ja też się bardzo cieszę.

Kiedy następnego dnia po odprężającej rozmowie z premierem wraca do Enschede, znów dzwoni do niego De Graaf. Używając eufemizmów, mówi mu, że CAW natknęła się na Wilberta i chce wszcząć śledztwo, żeby wykluczyć, że Sigerius jest narażony na szantaż.

Szantaż – to słowo pobudza jego wyobraźnię. W jedną z bezsennych nocy zastanawia się, co jest gorsze: Wilbert czy Joni, morderstwo czy porno? Po raz pierwszy od dekonspiracji wstaje z łóżka i ogląda młode kobiety w internecie. Myśli o nich – o tajemnicy ich pobudek, o pobudkach Joni, o pobudkach wszystkich tych dziewcząt. Patrzy im w oczy, chcąc wyczytać z nich desperację albo skłonność do autodestrukcji, może oznaki szaleństwa,

zału, głęboko zakorzonego kurewstwa, zepsutych zębów, śladów wykorzystywania i zaniedbania albo zwykłej, prostolinijnej głupoty – lecz jedyne, co widzi, to piękno. Prawie bez wyjątku wszystkie są śliczne. Może nie są pianistkami koncertowymi czy magistrami, ale są nieprzeciętnie urodziwe, można powiedzieć, że jeśli chodzi o wygląd, są to udane, rasowe klaczki z oczami, włosami, rękami, stopami, nogami, które mogłyby je daleko zaprowadzić w kulturalnym świecie, dzięki którym mogłyby przyciągnąć silnych i zdrowych mężów, znaleźć dobrą pracę. Nie jest socjologiem ani biologiem, ale czy to nie jest tak, że tego typu dziewczęta pochodzą z normalnych rodzin? Że mają ładnych rodziców ze zrównoważonymi, silnymi genami, z materiałem genetycznym, z którego rodzą się córki, jakie każdy mężczyzna chciałby posiadać, a przynajmniej dotknąć, a jeśli nie jest to możliwe albo realne, to przynajmniej pooglądać? Za każdym nagim zdjęciem wartym swojej ceny kryją się rodzice, którzy spłodzili dziecko będące obiektem pożądania. Za każdą seksstroną stoi ojciec taki jak on.

Ojciec taki jak Theun Beers – jak mógł zapomnieć? Następnego dnia robi coś głupiego, coś, co przedtem nie przyszłoby mu do głowy. Wchodzi do Drienerlose Discotheek, próbuje przypomnieć sobie nazwę zespołu ojca Joni i gdy mu się to udaje, przeszukuje pojemniki z longplejami i płytami CD, chociaż bez wielkich nadziei, i nagle znajduje płytę Mojo Mamy. Płyta nazywa się *Stupid City Blues*. Wyświechtany egzemplarz z 1973 roku, na okładce katedra Świętego Marcina w Utrechcie, obok niej, prawdopodobnie dzięki użyciu nożyczek i kleju Velpon, znalazła się gitara elektryczna tej samej wielkości.

Z fascynacją, której można by się spodziewać po Joni, ale której zawsze zaprzeczała – zatem z zastępczą fascynacją – przygląda się zdjęciu mężczyzny, o którego istnieniu prawie zapomniał, ale w którym od razu rozpoznaje ojca Joni. Boże, ależ ona jest podobna do Theuna. Te same zdrowe, jasne włosy, dumne, pewne siebie spojrzenie, szeroka twarz, ta sama wyprostowana sylwetka. Podobieństwo do ciemnego blondyna, bardzo męskiego, który na odwrocie *Stupid City Blues* idzie wzdłuż rzeki, prawdopodobnie Vecht, z gitarą z okładki przewieszoną przez ramię jak miecz wikinga, do rockandrollowca, który nadał swoim córkom imiona na cześć Joni Mitchell i Janis Joplin, jest uderzające. To jest rodzina. DNA tryska z każdej komórki ciała.

Przed przesłuchaniem płyty przy ładzie obok konsoli i słuchawek, zanim stwierdzi, że Theun ma nieco płaski, beznamiętny głos, wpatruje się w zdjęcie jak zahipnotyzowany. Opis na okładce głosi, że w niektórych utworach

towarzyszą mu perkusista, basista i pianista. Podobnie jak Beers są dwudziestolatkami z bakami i długimi włosami ukrytymi pod kapeluszem z opadającym rondem albo pod czerwoną bandaną Sandokana, ale jeśli chodzi o prezencję i fotogeniczność, nie umywają się do frontmana. Theun Beers ma na sobie skórzane spodnie, między połami niezapiętej zamszowej kurtki błyszczy bezczelnie tułów, który wygląda, jakby tak jak spodnie był ze skóry.

W niedzielę Tineke i Siem spacerują po Het Rutbeek. Zachowując pozorny spokój, omawiają najbliższą przyszłość – wydaje się nieuniknione, że w tygodniu będzie nocował w haskim *pied-à-terre*. Nagle wszystko nabiera tempa: w poniedziałek rano sam Kok mówi mu, że chce go Rada Ministrów, „jest zielone światło”; dzień później *Wiadomości o ósmej* rozpoczynają się od dramatycznego odejścia Kruideniera. Pozostałą część wieczoru programy informacyjne spekulują na potęgę, kto go zastąpi, wciąż pada nazwisko Sigeriusa. Powiadomił już telefonicznie członków senatu uczelni i najważniejsze osoby spośród personelu. Wraz z rzecznikiem omawia sprawy, które czekają go jutro po południu po wieściach z Hagi. Na specjalnie zwołanym posiedzeniu senatu i rady nadzorczej omawiają kwestie przekazania obowiązków, leje się szampan, Sigerius po raz ostatni przechadza się po rektoracie, opróżnia półki w swoim gabinecie.

O drugiej po południu zbiera się orkan: kampus zapełnia się prasą i telewizją, Sigerius udziela kilku tych samych, krótkich komentarzy i opuszcza rektorat bocznym wyjściem. Następnego ranka przyjeżdża po niego nowy kierowca, ku jego zaskoczeniu na tylnym siedzeniu siedzi sekretarz generalny jego resortu. Droga do Huis ten Bosch upływa im na spokojnej rozmowie, po zaprzysiężeniu Siem pije kawę z królową. Świat znów się kręci, ale z podwójną prędkością.

Dostrzega pewien schemat. Pierwsze tygodnie są mordercze: spędza w pracy po czternaście, piętnaście godzin, nieustannie lata między Zoetermeer a Binnenhofem, spotyka więcej urzędników, rad doradczych i przewodniczących związków zawodowych, niż jeden człowiek jest w stanie znieść. Jakoś przeżywa pierwszą debatę parlamentarną, przekopuje się przez sterty papierów – ale w jego głowie panuje spokój. Zawsze tak robił, topił problemy osobiste w bardzo wymagającej pracy. Upaja się nowym podium, odpowiedzialnością, interesem państwa napierającym niczym horda chuliganów na rząd, do którego nagle zaczął przynależeć.

Kiedy wieczorem w mieszkaniu przy Hooikade zmywa z siebie pod

prysznicem nową rzeczywistość, Vluchtestraat wydaje się dalej niż kiedykolwiek i ciężko mu sobie wyobrazić, że naprawdę sforsował szklane drzwi. Z perspektywy haskiego piecyka balkon, na którym krwawił, wydaje się jakimś wymysłem, snem, imaginacją. Od kilku dni myśli o tym, żeby zadzwonić do McKinseya i poprosić o adres e-mailowy Joni, ten prawdziwy. Może znajdzie w sobie siłę, żeby coś do niej napisać, coś rozsądnego, coś... ojcowskiego?

Ale wtedy sam dostaje wiadomość. Esemes przychodzi na jego prywatny telefon komórkowy w trakcie cotygodniowych interpelacji. Ekspert do spraw edukacji z ramienia partii CDA sprowadził go do izby niższej parlamentu w celu uzyskania odpowiedzi na pytanie o konkurencyjność holenderskich instytutów naukowo-badawczych. Siem przychodzi za wcześnie, dopiero drugi raz uczestniczy w obradach parlamentu, przed nim minister obrony udziela odpowiedzi na pytania dotyczące Joint Strike Fightera. Prawie pusta sala posiedzeń robi ogromne wrażenie, jest większa niż w telewizji, pytający wchodzi i wychodzą, odpowiedź ministra wywołuje kolejne pytanie. Wchodzi Kok i mija kamery wiadomości NOS. Premier mruczy do Sigeriusa coś, co przypomina „jak leci?”, siada obok niego i zaczyna przeglądać plik kartek formatu A4. Kolega z rządu i specjalista do spraw obronności zaczynają dyskutować na temat samolotu, dla zabicia czasu Sigerius wyjmuje telefon z kieszeni spodni. Esemes został wysłany z nieznanego mu numeru. Otwiera wiadomość.

„Słuchaj no, koniobijco. Wiem, że ruchasz swoją pasierbicę w internecie. Czy mam zachować twój sekret onanisty?”

Patrzy na premiera. Najważniejsza osoba w państwie roztacza wokół siebie pole elektryczne, ale kiedy siła pola słabnie, Sigerius czuje, że traci równowagę. Musi złapać się fornirowanego stolika, żeby nie upaść do tyłu. Niestety zapomina najpierw odłożyć ten przeklęty telefon, puszcza go, aparat odbija się od krawędzi blatu i ląduje na podłodze. Sigerius uśmiecha się głupkowato do łypiącego na niego spode łba Koka, odsuwa krzesło i znika pod blatem. Z pulsującym bólem w skroniach próbuje złapać oddech.

Chryste. Teraz się zacznie.

Dostrzega błyszczący aparat, a przynajmniej jego połowę – antracytowszara tylna część obudowy odpadła, leży nieco dalej, między stopami Koka. Przewodniczący izby wywołuje jego nazwisko, teraz jego kolej, patrzy na premiera jak piesek, „przepraszam – mruczy i pokazuje na miejsce pod blatem Koka – muszę się tam dostać”. Spomiędzy dwóch ciężkich

czarnych skórzanych butów, solidnych związkowych trzewików, które kosztowałyby Berlusconiego utratę mandatów, wyławia kawałek plastiku i z trudem się podnosi. Kładzie rozczłonkowany aparat na blacie i szybkim krokiem kieruje się do mównicy. Zdolny dubler odpowiada na pytania, którymi jest bombardowany.

Wreszcie wolny, ze wzrokiem wbitym w ziemię opuszcza budynek parlamentu i jedzie swoim volvo do Zoetermeer. Dopiero gdy zamyka za sobą drzwi mieszkania, składa telefon. Aparat szuka sieci i od razu zaczyna wibrować: dwie wiadomości. Pierwsza jest – prędzej by się śmierci spodziewał – od Isabelle Orthel: „Hej, widziałam Cię w telewizji, kopę lat. Wszystko w porządku?”. Druga z tego samego nieznanego numeru co poprzedni anonim: „Ale masz bladą gębę. Ty srający pierdolony koniobijco. Podaj ofertę początkową”.

Z hukiem rzuca aparat na biurko, patrzy na niego przez chwilę i znów bierze do ręki. Za pięć minut ma spotkanie z sekretarzem generalnym i sekretarzem stanu; zamiast się do niego przygotować, kleci odpowiedź: „Kim jesteś?”.

Przez resztę tygodnia łamie sobie głowę nad tym pytaniem. Ze cztery razy dzwoni pod ten numer, za każdym razem słyszy damski głos recytujący cyfry, potem sygnał. Jeden raz się nagrywa, stanowczo i jasno: „Ujawnij się, przyjacielu, albo skończ z tym, do jasnej cholery”. Raz ktoś odbiera, ale nic nie mówi, Sigerius wciąż pyta, z kim rozmawia, ale zaraz po tym, jak usłyszał pogardliwy śmiech – ochryply męski śmiech – połączenie zostaje przerwane.

Jest niewiele opcji. Poza nim tylko Joni wie o jego „występie gościnnym”, możliwe, że Aaron też. On sam wolałby prędzej wyrwać sobie język. Dlatego to jedno z nich musiało się wygadać, wyklucza możliwość, że któreś z nich stoi za tymi chorymi wiadomościami. A może nie docenia Aarona? Czy to możliwe, że wzbudził wściekłość u Aarona? *Co robiłeś w moim domu? Co to za propozycje urlopowe?* Itede, itepe. Nie, nie wierzy w to. Chłopak nie jest głupi. Nie, ktoś się wygadał, albo on, albo ona. Ten, kto go nęka, sporo wie: wie, że Joni to Linda, i wie o nim – innymi słowy: wie wszystko, i to go wkurza, wkurza go ten skurwiol, wkurzają go Joni i Aaron. Dlaczego się wygadali?

A może za bardzo się zagalopował... Przygląda się esemesom. Czy mogą pochodzić od kogoś, kto rozpoznał Joni, kogoś, kto rozpoznał ją tak jak on – to możliwe – a teraz próbuje szczęścia? Strzela na oślep? Kto? Ktoś z Tubantii? Jakiś student?

Tak czy siak, to strzał w dziesiątkę. Powraca strach, paraliżująca mieszanka

dławiącego egoizmu, to przede wszystkim (zmutowany byt, życie Sigeriusa, które rozrosło się do rozmiarów całego systemu interesów, kontaktów, oczekiwań, zobowiązań; reputacja jak kryształowy żyrandol, który pod żadnym pozorem nie może spaść), i wszechogarniającej ojcowskiej troski o Joni. Iluzoryczne założenie, że Joni wyjdzie z tego obronną ręką, że wszystko zostanie po staremu, ostrożny blask nadziei, w którym znajdował ukojenie w ostatnich miesiącach – to wszystko legło w gruzach.

W trakcie następnych interpelacji, na które został wezwany, dzieje się to, czego się obawiał, może dlatego esemes dotknął go tak mocno. „Widzę cię, koniobijco. Jesteś blady. Za dużo walenia konia czy źle sypiasz?”

Kiedy późnym popołudniem kierowca wiezie go w ulewnym deszczu do Utrechtu, gdzie ma przemawiać na spotkaniu krajowego samorządu studenckiego, każe mu się zatrzymać przy restauracji AC. Chociaż obiecał sobie ignorować stalking, drżąc z wściekłości, dzwoni przy toaletach do swojej dawnej sekretarki, nieskory do przyjacielskiej pogawędki. Kto w ostatnim czasie prosił o jego numer telefonu? Tylko dziennikarze. Nikt poza tym? Nie, nie przypomina sobie, a tak w ogóle to nie rozdaje jego numeru, przecież o tym wie.

Teraz to nic już z tego nie rozumie. Wieczorem siedzi w apartamencie i czuje się jak w klatce. Ulewny deszcz pada na chodniki w głębi Hooikade, stoi z nogami przy mocno grzejącym kaloryferze. Jest zamknięty w szklanej celi, nigdy wcześniej nie był tak wystawiony, tak bezbronny. Wszystkie oczy są skierowane na niego, walczy o zaufanie izby, prasy, partii, wyborców. Jego stalker wybrał właściwy moment – to musi mu przyznać. Kręci się na łóżku, wiatr hula po dziwnym, anonimowym pokoju, myśli o domu, o Tineke, o ich życiu przed... I nagle już wie.

Wilbert. *A któżby inny?*

Boże, trochę to trwało. Jak można być tak ślepy? Jego syn jest na wolności, dzwoni zapytać o Joni. Jedyne człowiek na ziemi, u którego ma wielki dług. Sigerius włącza lampkę nocną i patrzy na małą sypialnię. Nie może powiedzieć, że ta myśl go uspokaja.

– *Głupia cipa – syczy.*

Czy Joni mogła o tym powiedzieć Wilbertowi? *Zrobiła straszne, okropne, niewiarygodne głupstwo.* W pokoju jest chłodno, ale czuje, że po plecach ścieka mu pot.

A może Wilbert najpierw groził jej? O ile to on. Rozmyślenia w środku nocy. Długo gapi się przed siebie. Potem bierze do ręki telefon, szuka numeru i wybiera.

– Wilbercie – mówi po sygnale – wiem, że to ty, chłopcze. Najwyraźniej jesteś zły. Po dziesięciu latach wciąż jesteś wściekły. Szanuję to. Też czasem bywam zły. Ale pamiętaj, że igrasz z ogniem. Poza tym bredzisz bez sensu. Insynuujesz różne rzeczy, ale czy możesz cokolwiek udowodnić? Oczywiście, że nie. Nie ma czego udowadniać. Uspokój się, chłopcze. Tak? Zrób coś ze swoim życiem.

Marzenia były nie do zatrzymania, trącały go ostrymi dziobami; kiedy się budził, kruki lądowały na kloszach lamp, czekały, aż znów zapadnie w sen. Odnajdywał się w każdym miejscu: w łóżku, na kanapie, przy stole z zębami zatopionymi w zimnym kawałku pizzy i z nieogolonymi policzkami, na schodach ze skurczem w stopie.

Miał wrażenie, że nigdy nie spał dłużej niż piętnaście, dwadzieścia minut, ale czasem budził się w kompletnych ciemnościach albo nagle ostre promienie słońca przedzierały się do środka przez szpary w zasłonach. Podróżował w czasie i przestrzeni po wszystkich domach, które odgrywały jakąś rolę w jego życiu. Często przebywał u rodziców w Venlo, w mrocznych odpowiednikach domu szeregowego, w którym się wychowywał i w którym zawsze ktoś był wściekły – najczęściej jego ojciec; kiedy indziej mieszkał z chorą na nowotwór złośliwy albo inną nieuleczalną chorobę rodziną Sigeriusów w małym pokoiku u ciotecznej babki w Overvechcie albo sam leżał na łożu śmierci – o tym też regularnie śnił – w jednym z pomieszczeń w opustoszałym domu na wsi. Czasem jego świnki morskie budziły go swoimi sikami, gdy w innej czasoprzestrzeni położył je sobie na piersi. Słuchał odległych odgłosów syren w mieście.

Dwa razy ktoś go odwiedził. Któregoś dnia wyrwało go ze snu trzykrotne elektryczne dzwonienie, leżał wtedy na kanapie, przełykał ślinę i mrugał oczami, a na piersi trzymał pojemnik z letnim spaghetti carbonara. Ześlizgnął się na podłogę i przeczołgał do kaloryfera. W zapadającym zmierzchu dostrzegł dwie osoby, mężczyznę i kobietę. Mężczyzna miał na sobie niebieski garnitur i krawat, a kobieta popielaty kostium, obydwójce mieli na szyjach szale, chociaż byli bez kurtek. Obydwójce ściskali pod pachą skórzane teczki. Świadkowie Jehowy. Obserwował ich ukradkiem, czekając, aż wrzucą mu do skrzynki *Strażnicę* i spróbują szczęścia u sąsiadów. Ale tego nie zrobili. Mężczyzna popatrzył na elewację jego domu, kobieta ponownie zadzwoniła do drzwi, wydawało mu się, że głośniej niż poprzednio. Aaron schował się głębiej w pokoju, był tak cicho, że słyszał ich szept. Kiedy po raz trzeci rozległ się dzwonek do drzwi, wstał i podszedł do drzwi wejściowych.

Jego goście przedstawili się z nazwisk, które natychmiast zapomniał.

Twierdzili, że pracują dla ministerstwa sprawiedliwości i chcą zadać kilka pytań dotyczących „pana Sigeriusa”. Przez chwilę był pewien, że przyszli mu powiedzieć, iż jego były teść nie żyje.

– Czy robimy aż tak przygnębiające wrażenie? – zapytał mężczyzna przyjaźnie.

Jego spojrzenie było równie sympatyczne: życzliwe zmarszczki torowały sobie drogę na jego surowej twarzy, ale zdradził go uścisk dłoni. Pachniał mieszanką subtelnego płynu po goleniu i brązowego oleju, którym konserwował broń.

– Pana przyjaciel będzie pełnił ważną funkcję – dodała kobieta.

Nie uśmiechała się, tylko włożyła czubek buta za próg. Coś mu mówiło, że zrobił na tych ludziach stateczne, solidne wrażenie.

– Zapraszam do środka – powiedział.

W korytarzu usłyszał, że kobieta głośno wciągnęła powietrze trójkątnym nosem.

– Konie? – zapytała w momencie, w którym wydarzyło się coś dziwnego: poszedł przodem, ale miał wrażenie, jakby wszyscy troje wchodzili do jego domu po raz pierwszy. Zdawało mu się, że śni, że śni o powietrzu pachnącym świeżym sianem, do tej pory w ogóle nie zwracał uwagi na ten zapach. Tak jakby patrząc z kanapy, widział siebie wchodzącego do lodowato zimnego pokoju i od razu zauważył, że, delikatnie mówiąc, jest dziwnie ubrany: ma na sobie judogę Sigeriusa, której używa jako szlafroka i która kiedyś lśniła bielą, a teraz jest pobrudzona i poplamiona. Przyspieszone bicie serca podpowiedziało mu, że salon nie ma nic wspólnego z solidnością i statecznością: wszędzie leżały stosy zdjętych z regałów książek, którymi miał zamiar palić w piecu w nadchodzącą zimę, bo szybko robiło się chłodno, a centralne ogrzewanie mimo jego najszczerzych chęci było tylko lekko ciepłe. Ponadto musi koniecznie kupić worki na śmieci.

– Nie zwracajcie uwagi na bałagan – mruknął, właściwie sam do siebie.

Mężczyzna odsunął butem bobki świnki morskiej, które poturlały się głośno po podłodze. Kobieta uniosła narysowane brwi i rozejrzała się wokoło. Aaron pospiesznie zdjął kilka pudeł po pizzy z krzesła kubelkowego stojącego przy oknie.

– Proszę usiąść – powiedział i wskazał purpurową sofę, jedyne miejsce, gdzie nic nie leżało, ponieważ właśnie z niej wstał.

Kwadratowe kartony położył na piętrzącym się na stoliku stosie książek, sam usiadł na pustym już krześle. Pojemnik z makaronem, z którego jadł, leżał przewrócony na bok przy prawej stopie kobiety, wystawał z niego

beżowy język sosu.

– Czy to prawda, że jest pan chłopakiem pasierbicy pana Sigeriusa? – zapytał mężczyzna. Siedział na kanapie jak na sedesie na stacji benzynowej. – Z posiadanych przez nas informacji wynika, że pan i pan Sigerius jesteście dobrymi przyjaciółmi. – Wskazał na raketę do badmintonu wystającą spod stosu książek. – Wspólnie uprawiacie sport i macie do siebie zaufanie.

– Zgadza się.

Nie widział powodu, żeby zaprzeczyć. Jak miałyby im to wyjaśnić? To nie ich sprawa, że wszystko się posypało.

– Interesuje nas syn Sigeriusa – powiedział facet. – Jego jedyne dziecko biologiczne.

Aaron skinął głową. Podział ról był jasny: kobieta siedziała z notatnikiem na kolanach gotowa zapisać wszystko, co on powie. Zauważył, że patrzy z zainteresowaniem na podtrzymkę do roślin. Drąg stał oparty o opróżniony regał na książki i przypominał wykałaczkę Guliwera.

– A właściwie nie tyle syn – sprecyzował mężczyzna – ile kontakty, które pan Sigerius z nim utrzymuje. Co może nam pan o nich powiedzieć?

Mężczyzna zwracał się do niego per pan, ale był szybki jak sygnalizacja świetlna – w każdej chwili mógł przeskoczyć na ty. W Aaronie gotowało się ze złości. W jego gabinecie ukrytym głęboko w podziemiach betonowego kompleksu z niekończącymi się korytarzami i śluzami nad stołem kołysała się jasna, monochromatyczna lampka.

– Brak kontaktu – odparł Aaron. – Zero. Jak pan zapewne wie, jest to trochę... eee... jak by to delikatnie ująć? Dziwny chłopak.

Mężczyzna kiwnął z powagą głową, ale kobieta w reakcji na jego ostatnie słowa parsknęła śmiechem, który stłumiła, przykładając dłoń do ust. Ponieważ widziała, że jej się przygląda, zapytała:

– Co robi tam ten drąg?

– Korzystam z niego w trakcie ekspedycji – odpowiedział zbyt chętnie i dobitnie, czego od razu pożałował, a ponieważ nie dodał nic więcej, wszyscy troje przyglądali się oblepionej błotem podtrzymce, którą wyciągnął z ziemi podczas jednej z wypraw do supermarketu. Na czubku, do ćwieków, pod którymi dawniej biegła siatka, przymocował spory kawałek liny.

– Ekspedycji? – zapytał mężczyzna. Wymówił to słowo, jakby nie niosło ze sobą żadnego naukowego znaczenia, lecz było wyzwaniem i zagrożeniem dla państwa, co w dodatku traktował jak własne zmartwienie.

Aaron skinął głową.

– Jeśli będziemy czekać na urzędy – odpowiedział najbardziej szczerze jak

to możliwe – to nigdy nie zrozumiemy katastrofy spowodowanej wybuchem sztucznych ogni. Dlatego w wolnym czasie badam głębsze znaczenie tego i owego.

Facet wbił w niego spojrzenie, rozgrzaną do czerwoności stal, dlatego Aaron musiał spuścić wzrok.

– W znaczeniu eschatologicznym – wyjaśnił i spojrzął na kobietę, która uśmiechnęła się do niego, jakby leżał w kołysce.

– A co ma z tym wspólnego ten drąg? – zapytała.

Wiele. Czy ma im powiedzieć, że czasem, kiedy w okolicznych domach robiło się ciemno, szedł z podtrzymką na Blijdensteinlaan? Tam wybierał kawałek płotu naprzeciwko ściany Muzeum Narodowego, przystawiał drąg do zamalowanego ogrodzenia, stawał na nim i wspinał się na górę. Za pomocą liny podnosił ogrodzenie i wskakiwał do ciemnego gruzowiska. Kilka razy wałęsał się po gruzowisku, kichając przez chmury pyłu wzniecane przez jego stopy i oświetlając sobie latarką bryły gruzu. Zastanawiał się nad znaczeniem tego wszystkiego, nad tysiącami następstw, z których każde dotyczyło przyczyny, węszył wokół kolosalnych maszyn, którymi w ciągu dnia po terenie jeździły służby porządkowe, z dentystyczną uwagą studiował fundamenty domów zmiecionych z powierzchni ziemi. Gdy był zmęczony albo wystraszony krzykami w głowie, szukał krateru, gdzie kiedyś znajdowały się magazyny S.E. Fireworks, piaskowego zagłębienia otoczonego taśmą, i kładł się przy nim. Leżąc na plecach, podziwiał gwiazdy ze swojego obserwatorium i poddawał się walcowaniu przez dziki pęd myśli. To miejsce wywoływało w nim strach. Czy powinien powiedzieć o tym glinom? Siedlisko strachu w samym sercu okopconej enklawy. A w oddali halo niewiedzącego, śpiącego miasta.

– Nic – odpowiedział.

– Czy przypominasz sobie jakieś konflikty między Sigeriusem i jego synem? – zapytał facet. Eschatologia obchodziła go tyle co zeszłoroczny śnieg.

– Och tak – odparł. – Kłócili się o wszystko. Sprzeczekali się nawet o szklanekę coli.

– Przed chwilą powiedziałaś przecież, że nie mieli ze sobą kontaktu.

– Tak powiedziałem? Od dawna nie mają ze sobą kontaktu. Nie powiedziałem tego bez powodu.

Pytania, którymi bombardował go ten facet, były tendencyjne. Mężczyzna z niecierpliwością doszukiwał się jakichś problemów między Wilbertem a ojcem; chciał coś znaleźć. Aaronowi wydawało się, że najchętniej chciałby usłyszeć, iż Sigerius i Wilbert pobili się w tym pokoju i razem wypadli przez

szklane drzwi. W międzyczasie przypominał sobie szczegóły. Mogę się wygadać – pomyślał – mogę im powiedzieć, co wiem na temat sprawy sądowej przeciwko temu chłopakowi i fałszywej roli, jaką odegrał w niej Sigerius. Na razie pozwalał facetowi mówić, słuchał swoich wymijających odpowiedzi i ku własnemu przerażeniu zorientował się, że czasem się rozluźniał, prawie zapadał w drzemkę. A może właśnie wtedy był wybudzony? Zastanawiał się nad wieloma innymi sprawami, na przykład nad tym, komu złożą raport Sjöwall i Wahlö⁴⁷ i czy Sigerius znajdzie jutro transkrypcję na biurku. Na wejściu wyrwidąb zagwarantował mu anonimowość, to miał być zwykły wywiad środowiskowy, twierdził, ale tajne służby często coś ukrywały.

– Kto określa siebie mianem tajnych służb? – zapytał.

– Może lepiej, żebyśmy to my zadawali pytania – odpowiedziała kobieta.

Tajny agent podniósł się, wzdychając, i włoskimi pantofelkami zgniótł pudełka po pizzy. Szczękając z zimna zębami, podszedł do regałów na książki.

– To jeszcze nic – powiedział Aaron. – W nocy będzie mróz.

– Przeprowadzasz się? – zapytał facet i brodą w kształcie pisuaru wskazał na wałające się stosy książek.

Nie, nie przeprowadza się, ale nie może ich już znieść, tysiące grzbietów gapiących się na niego z półek.

– Może – odpowiedział.

Kiedyś lubił patrzeć na książki, teraz go to deprymowało, nawet w tej chwili, gdy jego barczysty przyjaciel stanął przed regałami, zacierając ręce, a jego kwadratowe plecy opinała marynarka, Aaron był gotów na kolejną rejzę. Sigerius kucnął i wciąż zadawał pytania. Czy wszystko przeczytał? Co sądzi o Vestdijku? A to czytał? Jaka jest wartość ubezpieczeniowa tych wszystkich książek? Dlaczego ich nie wypożycza? Jak udaje mu się zachować porządek alfabetyczny? Co tak naprawdę dają pierwodruki? A ten Naipaul to jest coś wart? I oto teść trzymał w górze kolejną z tysięcy powieści, które Aaron przywlókł do swego gniazda po totalnej porażce w Utrechcie, z niemożliwej do przeczytania góry książek przyciągającej Sigeriusa z ogromną siłą. A dlaczego uważa, że ten i ten jest dobry? A ten, czy on nie jest przeceniany? Czyli powinien przeczytać jego książki? Co w ogóle powinienem przeczytać przed śmiercią? Bezgraniczne zainteresowanie – z początku Aaron się zastanawiał, czy jest szczere, czy Sigerius nie robił tak, żeby mu sprawić przyjemność, czy nie rewanżował się za niekończącą się uwagę, którą Aaron

poświęcał jemu.

To, że mówił szczerze, udowodniły jego powroty. Najwyraźniej tęsknił za ich rozmowami. I miał też sporo do nadrobienia, tak. Literatura była jego plamką ślepą, nie wiedział najprostszycy rzeczy. Mężczyzna, który odwrócił się do niego i na niego spojrział, myślał, że Dostojewski to kompozytor. Dorastał wśród marynarzy i budowlańców. Faulkner? Nie miał pojęcia, kto to. W przemówieniach otwierających nowy rok akademicki Sigerius rzucał cytatai na prawo i lewo – Bellow, Böll, Borderwijk, Borges: wszystko na literę „B” od „bardzo ważne” – ale służyły one wyłącznie do dekoracji i luźnego nawiązania do tematu. Nagle nabrał ochoty, żeby to jakoś skomentować, ogarnęła go dziwna złośliwość.

– Niewiele przeczytałeś – powiedział. – Właściwie to tyle, co nic.

Po megaobciachu w Utrechcie Aaron całymi tygodniami, miesiącami, latami nie robił nic innego, tylko pochłaniał książki, z przekory i frustracji, setki powieści; zanim poznał Sigeriusa, czasem się zastanawiał, po co tak naprawdę to robi. Kiedy wypali się twoja chęć udowodnienia swojej racji? Kiedy przyznasz się do porażki? Aż w jego życiu pojawił się Sigerius – to on nadał jasny i powracający sens jego apetytowi na czytanie.

– Aaronie – powiedział – nie jestem intelektualistą. Poducz mnie trochę.

Zintensyfikowana świadomość napełniła łzami kąciki jego oczu. Podniósł się z krzesła i zrobił krok w kierunku Sigeriusa, gotów go uścisnąć.

– ...pytałeś o coś? – krzyknął mężczyzna.

Aaron wytrzeszczył oczy. Nic nie słyszał. Czyżby spał? A może to teraz śni? Spojrzął na mężczyznę.

– Sigerius i ja bardzo się lubimy – mruknął na chybił trafił, głos mu drżał, co było nieakceptowalne – czasem mam wrażenie, że jestem jego synem.

Kobieta niestety niczego nie zanotowała. Zapięła górny guzik bluzki. Tych dwoje nie przyszło do niego, żeby przeświecić Sigeriusa, to Sigerius ich przysłał. Byli jego wysłannikami, dobrze wiedział, że Sigerius od dawna jest ministrem, może nawet już premierem.

– No proszę – stwierdził facet. Znów siedział na krawędzi kanapy, jak na dandysa przystało. – A co to mówi o Sigeriusie i jego biologicznym synu?

Kobieta zerknęła na wyjątkowo duży zegarek z białego złota. *Czy to na pewno zegarek?* Krwiobieg Aarona przeniknęła atramentowa chmura strachu produkowana jednocześnie przez różne gruczoły, zbrojenia wojenne: panika przesłoniła sentymenty sprzed minuty – jakim cudem tak szybko zmieniał mu się nastrój? – zacisnął dłonie na oparciu skórzanego fotela. Ten zegarek to

prawdopodobnie jakieś urządzenie, kamera internetowa testowana przez NASA, i właśnie w tej chwili Sigerius i jego żona wymieniają oceniające spojrzenia, nasz przyjaciel myśli, że nas przejrzał, nie wiedząc, że Aaron też to wie. Zaczęło się wielkie zaciemnianie.

– Wilbert nie odgrywa żadnej roli w naszym życiu – odpowiedział najciszej, jak umiał. – Sigerius bardzo wcześnie go porzucił.

Ponieważ ich przejrzał, zauważył, że Sjöwall nosi ogromny sygnet, jego ściśnięta pięść boksera przypominała łeb cyklopa, popatrzył w oko, otworzyła się przesłona. Nagle z całą mocą dotarło do niego, że nikt nie odgrywa żadnej roli w niczyim życiu. Usłyszał jakiś trzepot, podmuch wiatru poruszył listwami zasłaniającymi drzwi przesuwne, wszyscy troje spojrzeli w tamtym kierunku. Jego Sigerius też porzucił, i to jak. Co dziwne, nie potrafił podać dokładnej przyczyny, z pewnością był jakiś powód, ale jedno jest pewne: jego przyjaciel zostawił go na lodzie. Ogarnęła go złość. Co skłaniało Sigeriusa do porzucania najbliższych? Był szpiegowany, ale sytuację można też odwrócić: dlaczego nie weźmie sprawy w swoje ręce? To jego szansa, linia jest otwarta, to odpowiednia chwila, żeby się wyzalić. To jego synowski obowiązek, żeby w dosadnych słowach powiedzieć mu prawdę, najlepiej nad głowami Tajniaka i Jawniaka. To nie będzie miła wiadomość, lecz z czasem jego przyjaciel to doceni. Chciał powiedzieć, że kocha Sigeriusa jak ojca, ale że czuje się bardzo opuszczony, i wypowiedział to na głos, lecz tak cicho i bełkotliwie, że facet ze zwirowatą gębą pochylił się nad nim.

– Co mówisz, chłopcze?

Przestraszył się, nagle poczuł przerażającą władzę Sigeriusa, iskrząco świeży zapach gumy do żucia. Łzy pozostające do tej pory w gotowości teraz naprawdę pociekły mu po twarzy, płakał z rozpacz. Mężczyzna ponownie zapytał o to, co chciał powiedzieć, prawie przystawił małe, płaskie ucho do jego ust. Aaron szeptem powtórzył słowa o synowskiej miłości i rozczarowaniu.

Mężczyzna wyprostował się, wciąż na niego patrząc.

– Prawdopodobnie nie jest tak źle – powiedział.

Kobieta z trzaskiem zamknęła notes. Ze zmarszczonym nosem rozejrzała się po pokoju.

– Będziemy się zbierać – rzekła.

Zgodnie z tym, co głosi fizyka klasyczna, czas mijał. Pogoda się psuła, zbierały się świszczące wiatry, które nawiewały do środka deszczówkę i skręcone jesienne liście. Świnki morskie poruszały się cicho, z uwagą słuchał

odgłosów gryzienia i szurania. Noce dłużyły się w nieskończoność.

W wieczór drugiej wizyty – a może była to noc – dźwięk elektrycznego dzwonka do drzwi przeciął kleistą ciszę wokół niego. Był na nogach? Tak, złapał za klamkę drzwi od ubikacji. Zamówił jedzenie? Nie potrafił sobie tego przypomnieć, ponadto czuł parcie. Zamiast postąpić rozsądnie, zamknąć się w toalecie, popędził do salonu. Kucnął przed zimnym kaloryferem i zerkał spod zasłony na ścieżkę przy domu. Nic nie widział, odsunął nieco lewą zasłonę. Musiał przycisnąć skroń do lodowato zimnej szyby – czy ktoś stał pod drewnianym okapem? Potwierdzenie przyszło w formie serii mocnych uderzeń w drzwi. Ze strachu upadł do tyłu i klapnął na tyłek. Na kolanach podpełznął do szpary pod zasłoną. Cięż – sądząc po posturze, był to mężczyzna – emanował zniecierpliwieniem, zrobił trzy kroki do tyłu i spojrzał w górę, znów podszedł do drzwi i zastukał daszkiem skrzynki pocztowej. Miał coś na plecach, mały plecak. Z jego ust wydobywały się niecierpliwe obłoczki pary.

Aaron poczuł burczenie w jelitach. Dlaczego nie poszedł do kibla? Coś przemknęło wzdłuż fasady domu, wstrzymał oddech, mężczyzna stanął na środku przed oknem salonu. Co to ma znaczyć? Chwilę potem bezlitosne walnięcie w szybę. Jego serce wyrwało się z piersi jak spłoszony pies i skoczyło pod kanapę. Dwie płaskie pięści przypominające dziecięce stópki przyklejone do szyby, przestrzeń pomiędzy nimi zaparowała. Stracił równowagę i upadł do przodu, w ostatniej chwili udało mu się uniknąć uderzenia brodą o granitowy parapet, ale kolana obity się z metalicznym hukiem o kaloryfer. Kiedy podniósł wzrok, patrzył w głęboko osadzone, niespokojne oczy. To były płonące pola naftowe Sigeriusa. Natychmiast się cofnął, wbił brodę w pierś. To już? Siedział w kucki skamieniały ze strachu, powstrzymywał wiatry jak Hansik Brinker⁴⁸, walczył zaciekle z powidokiem. Co się stało z twarzą Sigeriusa? Czy to przez szklane drzwi?

Przez rozpacz, beznadzieję, poniżenie? Miał wykrzywioną, zapadniętą twarz, jakby jego dawne oblicze zamieniło się diabelską maskę.

Czy to mu się śniło? Czuł, że po policzkach ciekną mu łzy. Wywał i tę szybę – pomyślał. Rozbij ją na kawałki. A potem rozwał moją głowę. Strach wyparł czucie: kolana, nogi, całe ciało nie istniały, wszystkie nerwy zebrały się w czaszce w oczekiwaniu na uderzenie. Uderz mnie!

Dźwięk tłuczonego szkła. Z jękiem opadł do tyłu. Słyszał brzęk odłamków, nieziemsko daleko i jednocześnie przerażająco blisko. Ale nie czuł bólu. Nie słyszał dźwięku roztrzaskiwanej kości, nie czuł ciepła tryskającej krwi. Nic nie czuł! Zamiast tego usłyszał w korytarzu ustępujący zamek w drzwiach.

Ulęgę natychmiast zastąpił nowy strach: *przyszedł po mnie.*

I znów wydarzyło się coś zupełnie innego. Sigerius nie wszedł do pokoju, tylko głośnymi krokami wbiegł na schody. Będąc jednością z podłogą, Aaron wciąż siedział na tyłku i nasłuchiwał dźwięków dochodzących z góry. Nastąpiła cisza, a potem usłyszał głośny pisk schodków strychowych, następnie ciche kroki – Sigerius jest na poddaszu! Aaron nie odważył się tam wejść od tamtego strasznego czerwcowego wieczoru. Kilka razy stał na półpiętrze, w jednej spoczonej dłoni trzymał nożyce do metalu, drugą oparł na schodku, z wahaniem patrzył na górę, gotów rozbić wszystko w drobny mak. Ale nie był w stanie.

Czego tam szuka Sigerius? Czy wrócili do domu, zanim miał czas powęszyć? Coś tam zostawił?

– Siem! – odezwał się cicho.

Szczękały mu zęby, jakby zanurzył się w przerębli, więc na siłę przygryzł dolną wargę. Co powie za chwilę?

Minęła cała wieczność, choć trwała krócej niż sekundę, nim znów usłyszał hałas schodków strychowych, skrzypienie i mocny huk. Czyżby zeskoczył ostatni kawałek? Po schodach zbiegły ciężkie buty. Był wściekły!

Aaron chrząknął.

– Siem – szepnął, nie mógł mówić głośniej. Podniósł rękę w geście obronnym. Chciał krzyczeć, ale zamiast tego... wypróżnił się. Jego bokserki zapełniły się ciepłym gównem. – Siem – załkał. – Przykro mi. Tak bardzo mi przykro. – Kał wypłynął z majtek, rozlał się na uda.

Drzwi wejściowe zamknęły się z głośnym hukiem, na ścieżce słyhać było oddalające się kroki. Wypuścił powietrze z płuc. Trzasnęły drzwiczki, odpalił silnik, auto odjechało.

Gdy nagle się przebudził, na zewnątrz wciąż było ciemno. Śmierdziało już w jego śnie, ale to, co teraz poczuł, było nie do zniesienia, zrobiło mu się niedobrze. Ekskrementy ostygły i lepiły się jak zastygła lawa do jego tyłka i spodni od dresów. Wstał, czując żółć w ustach. Letnią breję utrzymywał dwiema rękami na swoim miejscu. Parskając z odrazy, przeszedł przez pokój do korytarza. Wszedł niezdarnie na schody i skierował się do łazienki, odkręcił kurki prysznic, woda popłynęła z pewnym wahaniem. Nie kąpał się od wielu dni. Rozebrał się w kabinie, wrzucił uwalane ubrania do brodzika i ugniótł je stopami, jakby stał w beczce z winogronami. Huczała gorąca woda, wciąż ugniatał ciuchy, bez przerwy wylewał szampon i żel pod prysznic na stopy, przez pół godziny, godzinę, aż pieniąca się śmierdząca

woda zniknęła w odpływie i czuł już tylko zapach Palmolive.

Dopiero wtedy namydlił ciało, wyszorował genitalia, ramiona, ręce, brzuch, nogi, aż skóra zrobiła się czerwona. Zmył zastygły pot spod pach i wycisnął dziecienny szampon Zwitsal na cienki pasek włosów rosnących dookoła głowy.

Powoli i mechanicznie wytarł się do sucha. Zawiązał ręcznik wokół bioder i wszedł na półpiętro. Odetchnął głęboko, stojąc u dołu schodów strychowych, i wspiął się na górę. Pomieszczenie było kompletnie zdewastowane. Szafka na buty Joni została przewrócona, szpilki wały się po podłodze. Białe szafki na kółkach przesunięto na środek pokoju, wokół nich leżały majteczki, koszulki i pończochy. Szuflady biurka, na którym stał jego komputer, były pootwierane. Przesunął się w głąb pokoju i podszedł do skotłowanego łóżka. Wbił zęby w dłoń. Po co przyszedł tutaj Sigerius? Czy za pierwszym razem nie wszedł na górę? A może ten bałagan był tu od miesięcy?

Jego wzrok powędrował do kupki ubrań leżących przy schodach. Wstał i zbliżył się do zawiniątka. To były męskie ubrania. Jasnoszary garnitur w paski, marynarka i spodnie. Pod spodniami białe bokserki. Biała koszula z jasnoszarym paskiem, rękawy wciąż spięte spinkami do mankietów. Te buty... To były bardzo drogie grewesy Sigeriusa, bez dwóch zdań, podeszwa jednego buta była lekko podwyższona. Na miłość boską, co tu robią jego ciuchy? Przyniósł je tu? Po co? Obmacał kieszenie spodni i wewnętrzne kieszenie marynarki. Pęk kluczy, jeden klucz luzem, portfel, rozładowana komórka.

Wrócił do łóżka i opadł na nie plackiem. Jeden Pan Bóg wie, jak długo tak leżał. Może spał. W każdym razie był zmarznięty na kość, gdy w końcu się podniósł i podszedł do ubrań. Zrzucił ręcznik z bioder i trzęsąc się na całym ciele, zaczął je na siebie zakładać.

W pierwszy weekend grudnia przyjeżdża do Enschede dopiero w sobotni wieczór. Ponieważ Tineke żałuje, że w tym roku „nie będą obchodzić mikołajek”, kupił dla niej u jubilera w Hadze przy Denneweg srebrną bransoletkę wysadzaną perłami słodkowodnymi. Tineke zabiera go do nowo otwartej wegetariańskiej restauracji na Hengelosestraat i po złożeniu zamówienia rozdziera marmurkowy papier pakowy. Według niego jej reakcja raczej zdradza zaskoczenie niż radość, z uniesionymi brwiami jego żona z trudem zapina bransoletkę na grubym przegubie dłoni.

– To nie w twoim stylu – mówi, bo to prawda. Spontaniczne prezenty nie są w jego stylu, zawsze coś się za nimi kryje. To są perły odpustu, jedna perła za rok czyśćca, uśmiecha się jak marynarz słodkowodny.

Opowiada trochę o Radzie Ministrów. Jedzą coś, co zawiera kapustę chińską i ciecierzycę. Prawie się dławi, gdy Tineke mówi:

– Rozmawiałam z Joni.

– O! Dzwoniła do ciebie?

W restauracji jest ciemno, więc ma nadzieję, że jego żona nie widzi, iż musi dojść do siebie.

– Ja do niej...

– Przecież nie mamy jej numeru.

Nie bądź zbyt spięty – myśli – i tak już tego nie zmienisz.

– Miałam dość czekania. – Wyciera usta w papierową serwetkę. – Rozumiem, że u niej czas leci szybciej, ale uważam, że pięć miesięcy...

– Cztery. Dzwoniłyście do siebie, jak byliśmy na Krecie.

Patrzy na niego skonsternowana.

– Co za różnica. Dobrze, cztery. W każdym razie uważam, że cztery miesiące to wystarczająco długo. Sama zadzwoniłam do McKinseya. Licząc na łut szczęścia. I się udało.

Sigerius pociera dłonią tarkę na brodzie, chcąc w ten sposób rozedrzeć nerwy na strzępy. Chciałby dokładnie usłyszeć, o czym rozmawiały, słowo w słowo, ale nie z ust Tineke, lecz z kasety magnetofonowej, którą mógłby w spokoju cofnąć w razie potrzeby. Potrzebuje czasu, żeby obrać kurs. Przecież już tak dobrze szło. Od kilku tygodni próbuje uwierzyć, że jego nocna ofensywa odniosła odpowiedni skutek. Od czasu, kiedy nakłamał automatycznej sekretarce Wilberta, to znaczy automatycznej sekretarce, co

do której uznał, że należy ona do Wilberta, jest spokój. Ale to go nie uspokoiło. Na przykład nie poszedł na żadną interpelację.

– I – uśmiecha się – co ci miała do powiedzenia?

– Ach, to była oczywiście krótka rozmowa. Chyba trochę ją zaskoczyłam. Słyszałam po głosie, że jest zmęczona. Ale według mnie dobrze sobie radzi na stażu. Sądzi, że zaproponują jej etat.

– Wybiera się do Francji?

– Raczej nie. Cały miesiąc spędzi u dużego klienta.

– Czyli między świętami a sylwestrem będzie ciężko pracować – mówi. Próbuje ukryć ulgę, która wypełnia jego wnętrze. – Gdzie?

– Co gdzie? W biurze.

– W jakiej firmie? W święta.

Uspokaja go naiwność, z jaką jego żona zastanawia się nad odpowiedzią.

– W IBM-ie? – zastanawia się na głos. – Tak, w IBM-ie.

– Ach – komentuje Sigerius – może Ria i Hans to nie najlepsze towarzystwo dla niej.

– Ona zawsze chętnie jeździ na narty. Ostrożnie podpytałam ją o Aarona.

– Aha. I co?

– Uważa, że dobrze się stało.

Jadą w mżawce do domu. W niektóre wieczory w Hadze tęskni za Enschede, ale kiedy teraz wyobraża sobie Tineke wałęsającą się dzień w dzień po tym zabalsamowanym zwierzaku, chciałby wrócić do upojnej krzątaniny w mieszkaniu służbowym. Parkuje na żwirze, wchodzi do środka przez letnią kuchnię, która pachnie gorącym praniem. Tineke otwiera bęben i wyjmuje mokry materiał, Sigerius idzie do ciemnego salonu i zapala lampy.

– Było dużo korespondencji? – krzyczy, ale Tineke go nie słyszy.

Wychodzi na korytarz, wdycha swojski zapach płytek łupkowych i wyschniętej bejcy. Zapala światło nad komodą: stos kopert i czasopism sięga krawędzi zdjęcia z Marsylii, obok gazety, które Tineke odkłada na jego prośbę. Między kopertami paczka z książką zamówioną przez niego jakiś czas temu, jest przesyłka z Japonii, nowy numer „Pythagorasa”, plik spóźnionych gratulacji z okazji mianowania, „Voetbal International”, rachunki, list z KNAW i pękata, średniej wielkości koperta, na której dane adresowe są przekreślone czerwonym długopisem, a poniżej Tineke napisała: „adresat nieznan”. W środku znajduje się coś twardego. Kiedy odczytuje, do kogo została zaadresowana przesyłka, gwałtownie wciąga powietrze, co powoduje drganie strun głosowych. Pan Parszywy Koniobijca – nabazgrane dziecinny

charakterem pisma – Langkampweg 17, 7522 CZ Enschede. „Langkamp” zamiast „Langenkamp”.

Najpierw jego ręka robi się ciepła, potem spocona i zimna, pot wnika w papierową kopertę. Zatem jego żona uważa, że pod tym adresem nie mieszka pan Parszywy Koniobijca. Chce pobiec do letniej kuchni i uściskać Tineke, wszystko jej wyznać, powiedzieć, że jest mu przykro, ale jednocześnie ogarnia go strach, iż mogłaby teraz znienacka wejść, i zamyka się w sobie. Patrzy na swoje zdjęcie z Marsylii: drzewo z drzewem w ramionach. *Nie złamiesz mnie, przyjacielu.*

Przyciska kopertę do piersi, wchodzi do ubikacji i z westchnieniem siada na desce. Sikając, rozrywa kopertę od dołu, górna krawędź jest zaklejona szeroką brązową taśmą. Drżącą ręką wyciąga straszne rzeczy: czarne kabaretki, czerwone majteczki i bawełnianą kulkę – zgniecioną chusteczkę, jego własną chusteczkę, co dostrzega przez białe błyskawice strachu. Bawełniana tkanina chrupie w środku – może to zaschnięte smarki, ale prawdopodobnie to coś innego, coś, co wzbudza w nim jednocześnie ogromną złość i smutek. Z koperty wysuwa się teraz twardy przedmiot, spada z hukem na gumową matę. To czarny sztuczny penis.

Wypuszcza głośno powietrze, jest zaskoczony, wściekły. I wystraszony. Jest zszokowany niepohamowaną beczelnością. Wstaje i znów siada. „Drań” – mamrocze. To zaszło stanowczo za daleko. Czy ten skurczybyk był na poddaszu? Nie potrafi sobie tego wyobrazić. Kiedy mówi „nie masz dowodów”, w odpowiedzi chłopak wysłał mu coś takiego? Naprawdę był na Vluchtestraat? A może to przesyłka od... od Aarona? Nie. Nie? Sam nie wiem, do cholery! Czy Aaron wpuścił Wilberta? Czy ten kretyn się włamał?

Podnosi żylastego penisa z kafelków i próbuje przełamać go z całych sił na pół, ale na próżno. Wtedy owija go papierem toaletowym, naiwnie wierząc, że spuści go w toalecie razem z całą resztą – wszystko, won z tym – ale zmienia zdanie. Tineke na pewno zwróci uwagę na brakującą kopertę. Tak czy siak, trzeba uważać.

Dopiero teraz zagląda do koperty: coś utkwilo w dolnym rogu, karteczka, wyciąga ją, kartka wyrwana z zeszytu w linie, rozkłada ją. Ten sam dziecinny charakter pisma, którym zaadresowano kopertę. „Skołuj 100 000 guldenów, koniobijco. Okaż trochę ministerialnej odpowiedzialności”. Dalej jest napisane, że w czwartek czternastego grudnia o ósmej wieczorem na plaży w Scheveningen („ułatwię ci zadanie, koniobijco, w pobliżu twojej zбочzonej nory”) ma zakopać sto banknotów tysiącguldenowych na wydmach przed słupkiem z numerem sto jeden. „Jeśli nie będzie tam pieniędzy, zacznę

rozsyłać zdjęcia”.

Znów zaczyna się pocić – z wściekłości, ale również z niepokoju graniczącego z paniką. Do jasnej cholery, to już nie jest nękanie, to szantaż – szantaż wielkiego kalibru. Szantażuje go jego własny syn. Czy nie powinien w te pędy lecieć na policję? Tak. A jednak *nie*. Jego łydki twardnieją, prawie zmiażdżył zęby. Więc tak smakuje szantaż.

Musi działać sprytnie i w przemyślany sposób. Uspokój się trochę. Nie może wejść do salonu z kopertą. Idź na górę, do gabinetu. W pośpiechu zgarnia wszystko do bąbelkowej koperty. Zabierze całą korespondencję na górę, tam schowa kopertę. Nasłuchuje i dopiero upewniwszy się, że Tineke nie ma w holu, spuszcza wodę i chyłkiem opuszcza ubikację. Zgarnia z komody stos listów i czasopism i w kilku susach wchodzi na schody.

W gabinecie jest chłodno, siada i przesuwa zwykłą korespondencję w róg biurka. Przed schowaniem bomby pocztowej w jednej z dwóch zamykanych na klucz szuflad przebiega wzrokiem krótką wiadomość. Przy słowach „ministerialna odpowiedzialność” ponownie dopadają go wątpliwości: czy jego syn zna takie słowa? I czy naprawdę aż tak nisko ocenia swojego syna, żeby wątpić, że chłopak zna sformułowanie, którego istota – odpowiedzialność – notabene na nim ciąży? Tak.

Składa kartkę i wciska ją głęboko do portfela. Z cichym westchnieniem ulgi przekręca klucz w zamku szuflady. Przez jakiś czas patrzy przed siebie, małe okno nad biurkiem skrywa ciemność zamkniętą w ciemnozielonej futrynie. Obraca krzesło, by mieć widok na pokój, ale to, co powinno być swojskie, jedyne metry szczęścia świata należące tylko do niego, które są jego całą, świątynią myśli – właśnie to pomieszczenie przypomina mu o jego wrogu. To było gniazdo żmii. Węża, którego kijem wykurzył na dwór. Teraz, dziesięć lat później, siedzi w tym samym pokoju, spocony, zestresowany, prześladowany. Teraz ten łajdak daje mu odczuć, czym jest władza.

Wystarczy. Basta. Oddycha głęboko, uderza się dłonią w udo. Musi coś powiedzieć Tineke. Przekaż jej tę czy inną półprawdę, nadeszła odpowiednia chwila. Teraz to tylko koperta z majtkami, następnym razem ten idiota stanie oko w oko z Tineke – i co wtedy? Kręactwa i machinacje naraziły Aarona na niebezpieczeństwo, już samo to wywołuje w nim złość, odruchowo chce ochraniać Aarona: czy w tej chorej operze mydlanej, którą stało się jego życie, musi chronić zięcia przed własnym synem? Nadszedł czas na wyznanie.

Nie ma jej na dole. Najczęściej przesiaduje w warsztacie w głębi ogrodu. Sigerius w kuchni wypija szklanek wody. Niezdecydowany patrzy

w ciemności rozciągające się za letnią kuchnią, zapala lampę zewnętrzną i idzie po zdziczałej zimowej trawie, w której zauważa oset. W połowie drogi do jego uszu dobiega odgłos pracującej piły formatowej i hałas instalacji odpylającej. Otwiera ciężkie drzwi i zatrzymuje się na wymurowanym progu. Jakieś dwadzieścia metrów od niego, pod świetlówkami zawieszonymi na cienkich stalowych kablach, jego żona przecina drewnianą płytę. Nie widzi go, na uszach ma słuchawki.

Jak zacząć? Wdycha sympatyczny zapach świeżo rozciętego drewna. Jest wdzięczny, że ona go nie widzi. Jak zawsze podziwia jej kreatywność: jego żona wymyśla projekt, rozrysowuje go, spod jej palców wychodzi gotowy produkt, potem go sprzedaje. Gdy patrzy, jak pracuje – skoncentrowana, sprawna, szybka, pośród maszyn jej nadwaga zdaje się być atutem, jakby był to warunek podporządkowania ich sobie – pilność wyznania cofa się jak odpływ.

Czy nie powinien do niej podejść? Dotknąć jej ramienia, kochanie, usiądź na chwilę, muszę ci coś powiedzieć. To, co właśnie w tej chwili, w tej nienormalnej chwili, wywołuje w nim wzruszenie, to pogodny pragmatyzm, z jakim wspierała go przez te wszystkie lata w sprawach dotyczących jego syna. Wokół chłopaka wciąż gromadziły się duże i małe chmury i to ona zawsze potrafiła wszystko ująć w odpowiedniej perspektywie, to ona sugerowała rozwiązania, przedstawiała różne punkty widzenia, dzięki czemu nie pogrążył się w czymś, co mogło skończyć się depresją. Co by się z nim stało, gdyby nie ona? Tineke jest pierwsza do zmiatania spraw pod dywan, podobnie jak teraz zmiata ścinki drewna, ale on szczerze wierzy, że gdyby nie ona, leżałby na Antonius Matthaeuslaan po wieczne czasy z giczołem w gipsie na wysięgniku, z brodą sięgającą aż do placu Willema van Noorta, bezproduktywnie rozpamiętując swoje niespełnione ambicje olimpijskie.

Miesiącami nie było z niego żadnego pożytku. Na widok judogi napływały mu do oczu łzy. Czasem słyszeli z Margriet głośny, lekki, zaraźliwie wesoły śmiech Tineke, który wnikał przez podłogę w kuchni, przez ich przygnębione, przepelnione niezadowoleniem milczenie. Do mieszkania pod nimi wprowadził się silnik benzynowy, kobieca siła powodująca, że w ich oknach drżały szyby. Kiedy po jego wypadku ze skuterem Margriet musiała pójść do pracy, a Tineke zaczęła do niego wpadać z przyjacielskimi wizytami, zapomniał o żonie i synku. Musi to przyznać. Nie istnieli dla niego. Leżał na łóżku ortopedycznym, a obok niego siedziała Tineke.

Nawet teraz potrafi wskazać powód, dla którego się w niej zakochał: jej

witalność. Radość życia, wesołość. To, jak stoi teraz przy maszynie, którą kupili w fabryce w Münster (okazało się wtedy, że wiedziała wszystko na temat marek i numerów seryjnych, wypytywała sprzedawcę perfekcyjnym niemieckim o liczbę obrotów i ustawienia ostrzy). Tineke była jego nowym początkiem, ona naprawiła jego wolę. To dlatego nie może teraz do niej podejść i na jej oczach rozłożyć się na części.

Swoimi porannymi wizytami Tineke nie tylko wyciągnęła go z ciągłego uzalania się nad sobą, bez niej nigdy nie zająłby się matematyką. Przynajmniej raz, niekiedy dwa razy w tygodniu dzwoniła do drzwi (najczęściej w czasie, kiedy Margriet stała przy maszynie sortującej pocztę na placu Neude), a on ciągnął za linkę, która wisiała na krążku i biegła wzdłuż korytarza i schodów do zamka w drzwiach. Przychodziła sama albo z Joni na rękach. Jasnowłosa, duża, fajna, wesoła, okazująca mu zainteresowanie, inteligentna. Wylewała zawartość termosu do zlewu i zaparzała świeżą kawę; jeśli świeciło słońce, pomagała mu wyjść na balkon, czasem przynosiła pojedynczą nogę od stołu albo krzesła i polerowała ją przy jego łóżku, opowiadała mu o tym, jak wygląda jej dzień, jej życie, o postępach w budowie centrum handlowego Hoog Catharijne. Któregoś ranka znów przyszła go rozweselić i wniosła do kuchni pudło ze skoroszytami zawierającymi prenumeraty czasopism dla gospodyń domowych: „Libelle”, „Ariadne”, „VT-Wonen”, „Privé”, „Panoramą” i innymi gazetami, aż zaczął się zastanawiać, dlaczego ona czyta ten chłam, dlaczego ten jej piosenkarz bluesowy to czyta.

– To od matki – powiedziała i wspomniała, że jej rodzice mieszkają w Tuindorp, niedaleko miejsca, gdzie dorastała.

Dopiero w tygodniu zaczął myszkować w pudle i może już wtedy, albo nieco później, wysypały się z niego trzy trawiastozielone książeczki z kołami olimpijskimi na okładce, symbolem, na który nie potrafił patrzeć bez wpadania w złość i który prawie powstrzymał go przed ich przekartkowaniem.

Matematyka. Zadania z rachunków. Dawno temu w Delft algebra i geometria przychodziły mu z łatwością i to był powód, dla którego wybrał gimnazjum o profilu matematyczno-fizycznym: jak najmniej języków, jak najwięcej przedmiotów, które mógł zaliczyć bez uczenia się. Poza judo nie miał czasu na nic innego. Wszystko musiało ustąpić miejsca temu sportowi: pragnienie posiadania motorynki i samochodu, szachownica, liceum, które wymarzył sobie dla niego ojciec. Z perspektywy czasu to dziwne, że nikt, nawet on sam, nie uznał, że jest to co najmniej zastanawiające, iż zaliczał

wszystkie klasówki z matematyki i fizyki bez odrabiania prac domowych, bez ćwiczeń, ot tak, bez przygotowania. Zobaczmy, czego ode mnie chcą – z takim podejściem siadł do egzaminu. Dostał czwórkę z palcem w nosie, a w sali gimnastycznej główkował nad tym, jak rozłożyć równanie kwadratowe na czynniki pierwsze.

Prawdopodobnie bezgraniczna nuda, węzeł nad węzłami, którym było związane jego życie, spowodowała, że przejrzał zadania w książeczkach. Po raz pierwszy od dwunastu lat, po raz pierwszy od czasów gimnazjum imienia Dynastii Orańskiej-Nassau, miał do czynienia z matematyką. Pamięta, że były to zadania tekstowe z algebry, stereometria i geometria – łącznie pięć zadań. Pierwsze z nich próbował rozpisać długopisem na kartonowej okładce, którą oderwał ze skoroszytu, nieudolnie analizował dane, zrobił rysunek. Tak jak przypomina się kawał albo wpada do głowy pomysł na zabawny wierszyk z okazji mikołajek⁴⁹, nagle zrozumiał, jak rozwiązać zadanie. To trzeba zrobić tak i tak. A jeśli nie tak, to tak. Po trzech kwadransach rozwiązał pierwsze zadanie z algebry – wynik był prawidłowy, jak dwa razy dwa to cztery. Gdyby nie miał nogi w gipsie, to by zbiegł po schodach, zadzwonił do drzwi Tineke i pokazał jej, że mu się udało.

Zwykle odliczał upływające godziny, wydawało mu się, że w kuchni nigdy nie zapadnie wieczór, a kiedy był już wieczór, wydawało mu się, że nigdy nie nadejdzie pora spania, a tego dnia czas minął mu tak szybko, że ani się obejrzał, a nagle stanęli przed nim Margriet i Wilbert, który nie chodził jeszcze do szkoły i w ciągu dnia był z babcią w Dzielnicy C. Właśnie zapadał zmierzch, ale rzeczywistość nie docierała do niego, gdzieś ją zagubił, przebywał w matowym, rozświetlonym świetle, gdzie ściśle ze sobą powiązane zjawiska były prawdziwe albo nieprawdziwe, w jasny i przejrzysty sposób. Rozpierała go energia. Zamiast gapić się przed siebie z marsową miną albo sprzeczać z Margriet – to nie jej wina, że ma takiego połamanego smutasa w domu – na resztę wieczoru i kawałek nocy zagłębił się w trawiastzielonych książeczkach. Pamięta, że było zimno, w kuchni wręcz mroźno, ale w ogóle mu nie przeszkadzało, że zmarzły mu palce i ręce. Po rozwiązaniu wszystkich zadań ponownie je sprawdził, kilka z nich rozwiązał inną metodą ze zwykłej sympatii do rachunku (jak można czuć sympatię do zadania?), w paru miejscach wygładził naprędce zanotowane obliczenia albo liczył dalej, jedno po drugim.

Wciąż pamięta jedno z zadań, nie tyle przez olimpijskie konotacje czy pomysłowość, ale dlatego, że wymyślił dla niego inny wariant. W równaniu $ADA/KOK = SZYBKOSZYBKOSZYBKOSZYBKO\dots$ należało pod litery

podstawić takie cyfry, żeby ułamek zwykły i ułamek dziesiętny się zgadzały. Szybko sobie z nim poradził, ale musiał trochę pogłówkować, żeby dać Adzie chłopaka: $PELE \times GRA = CEL \times GOL$. Był to owoc niewyobrażalnego wysiłku umysłowego, który nie pozwolił mu położyć się spać do czasu, aż do jego parującego mózgu dotarły odgłosy oznaczające, że Margriet wchodzi pod prysznic.

Od Pelego i jego gola zaczął rozmowę ojciec Tineke. Bez zapowiedzi i ku ogromnemu zaskoczeniu Sigeriusa stanął tydzień później przy jego zaimprovizowanym łóżku gentleman w eleganckiej cytrynowej kamizelce i z włosami tak miękkimi i białymi, jakby po drodze zostały umyte i przystrzyżone przez fryzjera.

– A oto i sprawca całego zamieszania – powiedział pan Profijt, jego późniejszy teść, nauczyciel matematyki w liceum chrześcijańskim przy Diaconessenstraat. W uniesionej szczupłej dłoni z wąską obrączką na palcu trzymał zabazgraną okładkę, którą, jak się Sigerius domyślił, zaniósł mu podekscytowana Tineke. – Młody człowieku – przemówił poważnym tonem – cały weekend przesiedziałem nad grającym i strzelającym Pelem. Utknąłem. Niech mnie pan uwolni od katuszy.

Po czym ojciec Tineke przykucnął obok jego łóżka, on zaś, robiąc zapiski w kołonotatniku wyjętym przez mężczyznę ze skórzanej teczki, wytłumaczył mu krok po kroku, jak skonstruował zagadkę.

– To wspaniałe – wykrzyknął dziadek Joni. – Mocne. A jednocześnie eleganckie. I zabawne. Moja córka twierdzi, że nie jest pan matematykiem. Moja córka się myli. Jeśli wolno, na jakiej uczelni pan studiował?

– W Delft – odrzekł Sigerius. – W gimnazjum imienia Dynastii Orańskiej-Nassau.

Na chwilę zapadła cisza.

– To niemożliwe – stwierdził Profijt. Ojciec Tineke miał przyjemny głos, którym wypowiadał nauczycielskie formułki. – To niemożliwe, że ma pan tylko gimnazjum.

– A jednak to prawda, panie Profijt.

– To ktoś musiał panu pomagać. To pańskie pismo? Czy pan wie, co to jest? – Stuknął palcem w trawiastozielone książeczki.

– Zadania z rachunków?

– W tych zeszytach znajdują się zadania drugiej rundy Krajowej Olimpiady Matematycznej z roku 1969. Młody człowieku, tych pięć pytań otwartych ułożyli najlepsi nauczyciele matematyki w naszym kraju. Najbardziej utalentowani licealiści ćwiczą cały rok po to, żeby rozbić sobie głowę o mur

matematycznej pomysłowości.

– Aha.

– Większość elity, kwiat narodu, chyba mogę ich tak nazwać, zalicza dwa z pięciu zadań. Maksymalnie. Dwadzieścia punktów na pięćdziesiąt możliwych. Ci mogą wrócić do domu z dumnie podniesioną głową. Najlepsza dziesiątka zdobywa od trzydziestu do czterdziestu punktów. Rzadko, bardzo rzadko, gdzieś raz na pięć lat, jest wśród nich wyjątkowo utalentowany chłopak, niestety zawsze są to chłopcy, młodzieniec, który prawidłowo rozwiązał prawie wszystkie zadania. Był jeden przypadek w całej historii olimpiady, bodajże w 1963 roku, że ktoś rozwiązał wszystkie zadania. Tak jak pan. Bezbłędnie. Pięćdziesiąt punktów. Komplet.

– Fajnie.

Pośrodku małej kuchni, która nagle wydała mu się niemożliwie brudna, duszna i biedna, stała Tineke, rozpierała ją duma i kiwała głową, jakby właśnie udekorowano go medalem. Była podobna do ojca, ich twarze były rozbrajająco okrągłe.

– To nie jest fajne – odezwał się Profijt. – Bo to niemożliwe. Z wyjątkowym zainteresowaniem przeanalizowałem pana matematykę. Czasem jest szorstka, ale częściej zaskakująco finezyjna. I zawsze trafna. Wydaje się, jakby niektóre obliczenia i standardowe wzory zostały wyprowadzone, nie, wymyślone na poczekaniu. Na tym kawałku kartonu są dwa, powtórzę: dwa, różne dowody na twierdzenie Pitagorasa. – Na chwilę zamilkł wymownie. – Jednego z nich nigdy nie widziałem. Drugi liczy sobie trzysta lat. Jeśli to prawda, co pan mówi, to muszę panu pogratulować.

– Tato – odezwała się Tineke – naturalnie, że to prawda, co mówi Siem. Po prostu mu pogratuluj.

Jej ojciec wyciągnął rękę.

– Moje gratulacje.

To był pierwszy matematyk, któremu uściśnął dłoń, po nim były ich setki, może tysiące, ale ojciec Tineke był tym najpierwszym. Jego ręka nie była zgrubiała tak jak ręka judoki, była też inna niż dłonie jego teściów – spoczone i drżące, jeśli nie ścisnęły butelki.

– Jeszcze przez kilka miesięcy jest pan przykuty do łóżka? – Profijt położył teczkę na kolanach i ostrożnie wyjął z niej stos książek. – Zobowiązuję się zaopatrywać pana w prowiant.

Oprócz czterech książeczek z zadaniami z olimpiady, które nazwał „słodyczami”, ojciec Tineke przekazał mu materiały, które zachował z czasów studiów: obłożone brązowym papierem książki o całkach, o algebrze liniowej,

o teorii liczb, ale także *A Course of Pure Mathematics* autorstwa G.H. Hardy'ego, podręcznik maturalny, *Historię matematyki* Struiksa, a nawet powieść matematyczną zatytułowaną *Flatland*.

– Proszę je przestudiować i przedstawić mi swoje wnioski. Proszę mi to obiecać. A kiedy je pan przeczyta, przyniosę nowe. W zamian oczekuję, że kiedy będzie pan już mógł chodzić, razem złożymy wizytę w Uithof.

– W Uithof?

– Tam mieści się Wydział Matematyczny Uniwersytetu Utrechckiego. I proszę szybko wracać do zdrowia. Nie ma pan czasu do stracenia.

Widzi go. Wyłącza piłę, zdejmuje słuchawki z uszu.

– Kawa? Tak! Chętnie! – woła ze śmiechem, rzuca rękawice robocze na stół warsztatowy z zamontowanymi imadłami i wciąż uśmiechając się, omija futurystyczną szafę.

Podchodzi do niego, beztroska, niczego nieświadoma. Sigerius myślami wraca do niekończących się dyskusji o Wilbercie, w szczególności do kompletnej beznadziei, czyli najcięższych rozmów pod koniec lat osiemdziesiątych, które wywróciły ich rodzicielstwo do góry nogami. Po rozprawie ich małżeństwo prawie się rozpadło, to kukułcze jajo ich wykończyło. Tak, dopiero jak Wilbert został wyeliminowany, zaczęli się kłócić, o wszystko. W rezultacie zrobiła się gruba jak beczka, przestała się kontrolować. Po pełnym wrogości roku wyjechała do szkoły letniej w Anglii na najlepsze warsztaty dla wytwórców mebli, tak zwana życiowa szansa, ale tak naprawdę była to ucieczka. Spędziła trzy miesiące w Dorset, a on strasznie za nią tęsknił. Tak bardzo, że zanim wróciła, za sto tysięcy guldenów zamienił używaną stajnię w cacuszko: wyrzucił drabinki na siano i przegrody, wstawił pilarki stołowe, regały na materiały, kompresory do pras próżniowych, nitownice, prasę do forniru wielką jak stodoła.

– Co tam? – pyta wesoło. Stojąc w świetle halogenów, patrzy na niego tak wnikliwie, że ma wrażenie, jakby widziała jego myśli.

Tu? Teraz? Mylił się, sądząc, że tutaj, w tej przepełnionej nadzieją szopie, wyzna jej smutne, śmierdzące grzechy. Od dziesięciu lat warsztat jest symbolem ich sukcesów małżeńskich, każdy wychodzący stąd mebel przypomina mu, że mają kontrolę nad swoim życiem, że mogą wpływać na bieg wydarzeń. I to właśnie tutaj ma jej powiedzieć o Wilbercie i Joni? Może dlatego, że on wciąż milczy, z jego lekko rozchylonych warg uchodzi para, to Tineke zaczyna rozmowę:

– Wiesz, nad czym się właśnie zastanawiałam? – Zaskakująco ciepłymi

palcami oplata jego dłonie. – Może byśmy w lutym, na przykład w karnawał, polecili do Kalifornii? Zrobili Joni niespodziankę? Myślę, że to wspaniały pomysł.

Wypożyczyła dwa filmy fabularne, on ma dokonać wyboru. Jego zdaniem *Sekrety i kłamstwa* to zły pomysł (nie mówi dlaczego), więc przytuleni do siebie na kanapie oglądają *Magnolię*, film za mało mroczny, by go nie uśpił. Nie wie, co mu się śniło, jest w dusznej otchłani, jest w Hadze, ale też w Delft z lat swojej młodości, sam nie wie.

– WIESZ? – słyszy nagle. Podrywa się, głos brzmi bardzo blisko, jej włosy łaskoczą go w brodę. – Wiesz, o czym kompletnie zapomniałam ci powiedzieć? – Zatrzymuje film.

– Spałem...

– O korespondencji – krzyczy. A może tylko mu się wydaje, że krzyczy? – W tygodniu przyszła jakaś dziwna koperta. Przeglądałeś już pocztę?

Bierze oddech i jednocześnie próbuje coś powiedzieć.

– Nie – mówi piskliwym głosem. – To znaczy z grubsza.

– Taka brązowa koperta bąbelkowa – kontynuuje – taka gruba koperta. Widziałeś ją? Ktoś pomylił adres. Później zorientowałam się, że nie było na niej znaczka ani nadawcy, ktoś sam wrzucił ją do skrzynki.

– Dlaczego zatrzymałaś odtwarzanie?

– Bo właśnie sobie o tym przypomniałam. Przyszła chyba w poniedziałek. Nie wiedziałam, co z nią zrobić, więc ją otworzyłam. Bardzo dziwna przesyłka, Siem. Zdziwiłam się, i to bardzo. – W jej głosie słychać strach, jakby nagle ujawniła się głęboko wyparta obawa. – Próbowałam się nawet do ciebie dodzwonić.

W ustach ma piasek, nie może wydusić z siebie słowa, a jednak słyszy swój głos:

– A co w niej było?

– Pójdę po nią – mówi i chce wstać. – Zakleiałam ją. Oczywiście trzeba...

– Poczekaj – mówi zupełnie rozbudzony. – Chyba leży na górze. Zaniósłem korespondencję do gabinetu.

Wstaje, nim Tineke ma szansę zareagować, i nie oglądając się za siebie, idzie do holu.

– Chcesz wina? – krzyczy za nim.

Ogłuszony wbiega na schody, jego głowa jest wielka jak reaktor jądrowy. Wyrzucić kopertę? Wszystko wyznać? Udawać Greka? Czy przeczytała liścik? Otwiera szufladę biurka jak zombie.

– Ach – mówi, gdy Sigerius wchodzi do salonu – już ją otworzyłeś. – Stawia dwa kieliszki czerwonego wina na korkowych podkładkach. – I co o tym sądzisz?

– Jeszcze nie zaglądałem do środka – odpowiada.

Tineke wyjmuje mu kopertę z rąk, zanim zdążył usiąść, i wysypuje zawartość przesyłki na kanapie między nimi. Pończochy, majteczki, chusteczka spadają bezszelestnie na siedzenie, smolistoczarne dildo odbija się i ląduje na grzbiecie jego lewej dłoni. Cofa rękę, jakby to był duży insekt, ogromna gąsienica, czarny skorpion. Sztuczny penis podskakuje, odbija się głośno od stolika i spada na gres.

Cisza.

Ma rozwinięte zdolności interpersonalne, dokładnie wie, jak powinien się zachować, kiedy bierze gorący łyk herbaty w obecności królowej, potrafi uczestniczyć w debacie parlamentarnej, nawet jeśli w międzyczasie ktoś nazwał go parszywym koniobijcą – ale teraz kompletnie go zatkało. Opada z jękiem do tyłu, opiera rozpalone plecy o zimną skórę kanapy.

Kilka godzin później, spacerując po nie swoim już kampusie, dochodzi do wniosku, że historyjka, którą przedstawił Tineke, jest spójna i bardziej logiczna niż prawda. Chociaż nie był to przyjemny wieczór i nic nie wskazuje, żeby miał się szybko skończyć – może nigdy się nie skończy, Tineke też będzie sobie łamać głowę, to jej nie zadowoli, zna ją, ona też będzie nad tym rozmyślać, może już rozmyśla, leżąc w łóżku i patrząc szeroko otwartymi oczami w sufit – jednocześnie odczuwa ulgę z powodu wyznania i zadowolenie wywołane wyrafinowanym kłamstwem.

Jesienny wiatr hula po polach, kampus to wzburzone morze skreconych liści, do jego zakatarzonego nosa dociera zapach mokrej ziemi i rozkładu. Odcięty od świata, idzie po mokrym żwirze skąpo oświetlonej czterystumetrowej bieżni odgradzonej szerokim pierścieniem tańczących olch i leszczyn. Całą winę zrzucił na Wilberta, jasne, że to zrobił, i to bez żadnych skrupułów. Łajdak sobie na to zasłużył, przynajmniej na coś się przydał. Kiedy zastanawia się nad tym na spokojnie, wmieszanie się w to Wilberta wcale nie wydaje mu się takie złe – dopóki on tym kieruje, oczywiście, Sigerius nie może o tym zapomnieć.

Wymiany zdań, która nastąpiła, nie można było jego zdaniem odpowiednio nakierować. Tineke próbowała nieudolnie przekonać samą siebie, że przesyłka nie jest przeznaczona dla nich.

– Siem – zapytała od razu – czy masz z tym coś wspólnego? Chyba nie

chcesz mi powiedzieć, że wiesz coś o tym, co?

Rozwiązanie rysowało się jak dowód matematyczny, było logiczne, niepodważalne, organiczne...

– Ależ tak, kochanie, ależ tak, wiem coś o tym – przyznał, ale zamiast od A, zaczął mniej więcej od Z. Jego zdaniem wyszło to całkiem naturalnie, chociaż poszedł na skróty i nakazywał sobie trzymać się jak najbliżej prawdy. Smutnym głosem powiedział jej, że pierwsze esemesy otrzymał już latem, niecały tydzień po przyjęciu, na którym pojawił się Menno Wijn. Początkowo nie miał pojęcia, kto je wysyła i do czego zmierza, ale z całą pewnością nie napawały go entuzjazmem. Wychodziło na to, że Joni to kurwa, i czy on o tym wie, i że sobie na to zasłużył, tak, to było bardzo przykre. Nieco później („A teraz najgorsze, Tien. Siedzisz? Bo to nie będzie przyjemne”) w esemesie był adres strony, na którą powinien zajrzeć. I tak zrobił.

– I co zobaczyłeś? Do czego zmierzasz? Siemie, nie bądź taki poważny! Co się dzieje?!

– Zaraz ci to wytłumaczę, kochanie. – Złapał ją za rękę. Zareagowała całkiem spokojnie, gdy opowiedział jej o stronie internetowej, może dlatego, że mówił spokojnie, używał eufemizmów, omijał słówko „porno”, gdy jednocześnie odwracał jej uwagę podejrzeniami, że za tymi esemesami stoi Wilbert (zastrzelmy posłańca). – Tak – przyznał – śmiertelnie się wystraszyłem, ku mojemu zaskoczeniu to była prawda, Tineke, była taka strona, chociaż wpierw nie mogłem uwierzyć, że patrzę na Joni.

Dziwne, że jej oburzenie nie było skierowane ani przeciwko Wilbertowi (prawdopodobnie przyzwyczała się do jego brudnych zagrywek), ani przeciwko Aaronowi i Joni (chyba nie do końca zdawała sobie sprawę, o co w tym wszystkim chodzi), ale przeciw niemu („Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?”). Oczywiście, to było zbyt wiele naraz: ten agresywny erotyczny bałagan leżący między nimi, pieprzony onanizm. („To dlaczego tak cię nazwał?”. „Przecież sama wiesz, że jest ordynarny”. „Czy ty coś przede mną ukrywasz, Siem? Co ty kombinujesz?”. „Ja nic, kochanie, uspokój się”). Tak, skupiła się na powodach, dla których milczał, na ziejącej dziurze między majem 2000 roku a dniem dzisiejszym („To pół roku, Siem”).

Dochodzi do skarpy oddzielającej basen od bieżni atletycznej. Mijając niskie krzaki i pokrzywy, wchodzi na ścieżkę prowadzącą do najwyższego punktu, w którym z odpowiednią oprawą jeden z jego poprzedników kazał zamontować ławeczkę. Czasem na niej siadał, kiedy musiał podjąć ważną decyzję.

Tineke zapytała:

– Skonfrontowałeś ją z faktami?

– Tak – odpowiedział, bo przecież tak było, prawda?

Żona siedziała metr od niego i patrzyła przed siebie autentycznie zdziwiona.

– Jak mogłeś nic mi nie powiedzieć? Uważasz, że to normalne?

– Kochanie, chciałem ci tego oszczędzić, chciałem...

– Czego chciałeś mi oszczędzić? Prawdy? Faktów? O czym ty mówisz?!

Przeprosił ją tchórzliwie, dodając, że nie może zapominać, iż on ma sporo zmartwień, a temat rozmowy nie należy do najlżejszych. Ponadto po tym, jak przywołał Joni do porządku, strona zniknęła.

– To czego on chce? – Podniosła pończochy i rzuciła je na kanapę.

– Zdjęcia wciąż gdzieś krążą. Nigdy nie znikną.

Zamiast skupić się na tej niepokojącej uwadze, chciała się dowiedzieć, co powiedział Joni.

– Po prostu – mruknął gderliwie – powiedziałem jej to, co zwykle się mówi w takiej sytuacji, to nie była długa rozmowa.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Tineke. Wywołała tyradę, która zdawała się omijać problem, złość skupiła się nie na Joni, lecz na Siemie. Opisała go jako staroświeckiego, świętoszkowatego durnia, którym w istocie był, mężczyznę bez krzty seksualności, obawiała się, że uderzył w religijny ton.

– Mam nadzieję, że nie prawileś jej morałów jak ksiądz na kazaniu. Teraz rozumiem, dlaczego nie przyjedzie na święta do Francji. I ty się dziwisz, że się rozstali.

Koniecznienie chciał się jej odgryźć, nawet nie dlatego, że wątpiła w jego poczucie taktu, a mówiąc wprost, w jego zdolności wychowawcze, ale dlatego, że zdawała się nie rozumieć, o co chodzi.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, o czym mówimy? – Zapytał retorycznie. – Mówię ci, że nasza córka obnaża się jak...jak to się mówi? Że obnaża się w internecie jak dziwka. Czy ty wiesz, co to znaczy?

– I kto to mówi? Kim ty jesteś, żeby decydować, czy moja córka jest dziwką?

– Tineke... – Był wystraszony jej podniesionym tonem i słowami „moja córka”.

– Możesz mi pokazać tę stronę? Czy pozwolisz mi samej to ocenić?

– Zdjęcia. Nie ma tej stro...

– To pokaż mi zdjęcia. Prawdopodobnie nie jest tak źle, jak twierdzisz. To całkiem możliwe. Bo nie wierzę, że potrafisz rozróżnić, kto jest, a kto nie jest dziwką. Pokazuj, do cholery!

– Kochanie, proszę cię. Nie będziemy wspólnie oglądać tych nieszczęsnych fotek. I naprawdę jest źle. To, że ja... że my już nie... no cóż, to nie znaczy, że nie wiem, czym...

– No?

– Czym jest porno.

– Porno? Więc teraz nagle chodzi o porno?

W tym momencie wpadł we wściekłość.

– A jak myślisz, dlaczego ten sukinsyn wysłała mi te śmieci? – Zrzucił bieliznę z siedziska, majteczki wylądowały na stoliku i poleciały dalej. – Bo to zdjęcia z wakacji?

– Pokazuj. Ale już.

– Tien, wyślę ci kilka zdjęć w poniedziałek. Nie mogę. Nie tutaj.

Kiedy budzi się w niedzielny poranek, okazuje się, że Tineke już wstała, na stole zostawiła karteczkę – teraz ona poszła się przewietrzyć, musi pomyśleć. Sigerius cieszy się połowicznie. Po śniadaniu rozpala w kominku w salonie i siada na oszklonej werandzie ze stosem akt, ale może tylko wymyślać różne scenariusze: pewnie znów zadzwoni do Joni, pewnie poprosi ją o wyjaśnienie, jak duża jest szansa, że ich córka się wygada? A gdyby sam do niej zadzwonił? Żeby ubiec wszystkich? Próbuje sobie wyobrazić ich rozmowę: w jakiś sposób musi jej uzmysłować, musi ją przekonać, że on... że on nie... nie leci na nią.

Zastanawia się, jak niespostrzeżenie zdobyć sto patoli. Ma jeszcze amerykański rachunek, jest na nim kilkadziesiąt tysięcy dolarów, MeesPierson zarządza pozostałą połową jego Nagrody Spinozy, jest jeszcze kilkaset tysięcy oszczędności. Włącza tryb Buitenhof, ale nie może się skupić.

Może da się ponegociować z Wilbertem? Już sam pomysł – negocjacje z synem – wywołuje w nim złość. Czyś ty do reszty zgłupiał? Na szczęście jest prawie pewny, że Tineke nie widziała liściku z żądaniem. Nagle tęskni za Hagą. Chciałby zanurzyć się w MEN-ie. Dzwoni do kierowcy i pyta go, czy mógłby przyjechać po niego już dziś wieczór.

Tineke wraca do domu po południu, jest opatulona szalikiem i czapką, ale i tak zmarznięta, widać po oczach, że płakała. Odgrzewa jej grochówkę, wygląda na spokojniejszą niż wczoraj wieczorem, teraz zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie poszedł na policję, te groźby są według niej wystarczająco niepokojące, pochodzą od recydywisty, podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinieneś tego zrobić?

– Joni.

– Joon?

– Tak, Joon. Pomyśl o niej. Zrobiła wszystko, żeby utrzymać stronę w tajemnicy, a teraz my pójdziemy z jej sekretem na policję? Będziemy musieli im o wszystkim powiedzieć. Może dojść do sprawy sądowej. Musimy z nią o tym porozmawiać, chociaż ona nie będzie chciała. Nawet Wilbert zdaje sobie sprawę, że pójście na policję nie jest dobrym pomysłem. Że nie wspomnę o ryzyku, że to wycieknie na zewnątrz.

Stoi zwrócona szerokimi plecami do kominka, z rękoma przy ogniu.

– Tych ludzi obowiązuje tajemnica służbowa.

– Tineke – mówi teatralnym głosem – nie bądź naiwna. Jest córką ministra edukacji. Chcesz czegoś bardziej pieprzonego? To możliwe. Weźmy na przykład Billa Clintona.

– Siem, nie wygłupiaj się.

– Skarbie – mówi – rozmawiamy o przyszłości Joni. O to się martwię.

– Jak wywiad?

– Tu musisz zjechać.

– Była ostra?

– Zjedź tutaj! Niespecjalnie. Była bystra. Zainteresowana.

– Ale to kobieta. One pracują post factum.

– Oczywiście, że nie.

– Kobieta się podlizuje, ale wykańcza dopiero w domu. Roznosi na strzępy, siedząc przy laptopie z kubkiem herbaty.

– Tu jest ograniczenie do osiemdziesięciu.

– Rozniesie nas na strzępy.

– Rusty, ja jestem kobietą. Gadasz głupstwa. Zresztą dokładnie wiem, co powiedziałam.

Za dużo. Mary Jo Harland znała się na rzeczy: najpierw wprowadziła się w stan podwyższonej empatii, po czym odwróciła mnie do góry dnem jak wiadro z pomyjami. Już po półgodzinie miała na kasecie informację, że mój ojciec popełnił samobójstwo i że nie było mnie na pogrzebie. Wymagało ode mnie trochę telefonicznego zachodu, żeby o tym nie napisała. Jej wcześniejsza empatia prawdopodobnie nadal była w wynajętym samochodzie.

– Oprowadziłaś ją?

– Oczywiście, że ją oprowadziłam. To ty zaprosiłeś ją na Coldwater. A czego chciałeś? Sorry, wstęp wzbroniony, tutaj produkujemy nasze *weapons of mass destruction*?

– Myślałem, że zabierzesz ją do tej knajpki naprzeciwko. Albo do Starbucksa. Ja bym tak zrobił.

Milczeliśmy przez kilka minut.

– Ja bym za chwilę skręciła w Alameda – powiedziałam. – Dopiero za Little Tokyo na Harbor. A właściwie to dlaczego nie jedziemy po Vince’a? Przecież ląduje na LAX. Byłoby miło z naszej strony.

Protegowany Rusty’ego prowadził własną stronę gdzieś w Cleveland w stanie Ohio. Pierwsza rozmowa kwalifikacyjna miała dziwny przebieg: Vince wyglądał na kompetentnego faceta, wyrażał się jasno i konkretnie – jeśli cokolwiek wyrażał, bo wypowiadał się z proroczą oszczędnością i tak zdawkowo, zupełnie bez entuzjazmu, że bałam się, iż zapadnie w śpiączkę.

Na stronie kołnotatnika, który miałam przed sobą podczas rozmowy, pogrubionymi literami zapisałam tylko jedno słowo: SMĘTNY.

– A czy według ciebie jestem miły, Joy? Niech weźmie taksówkę. Co powiedziała?

– Kto?

– No ta Harland. Co powiedziała, kiedy ją oprowadziłaś?

– Nie za dużo. To był jej pomysł, dziewczyna chciała zrobić reportaż. Wierz mi, że jej się podobało. Znała już nasze strony, to nie była dla niej zupełna nowość. A propos, mam nadzieję, że Bobbi wie, że jedzie do Compton...

– O! Czyżbym słyszał w twoim głosie troskę? Ha! Joy, która powątpiewa w naszą nową topową lokalizację. To coś nowego.

Milczałam. Jasne, że nikt nie skakał z radości z powodu przeprowadzki do Compton, i tak już będzie. Tydzień przed podpisaniem aktu notarialnego znalazłam na biurku mapę południowego Los Angeles podzieloną na czerwone i niebieskie kwadraty, na górze było napisane *Gang Territory Map*. Zgodnie z legendą niebieskie części miasta należały do gangu Cripsów, a czerwone do Bloodsów. Jakaś naiwnie anonimowa trzęsidupa wydrukowała mapę na jednej z naszych kolorowych drukarek – w ciągu trzech minut znalazłam administratora systemu, powiedział mi, że to Deke, czarnoskóry kamerzysta, który mieszkał z rodziną w przyzwoitym Burbank, chociaż wyglądał, jakby urodził się w koszulce NWA⁵⁰. „Zalecam mniej oglądania MTV” – napisałam do niego w mailu. „Południowe LA to produkt, drogi Deke’u, dzisiejszy Disney. Już dwadzieścia lat temu płyty Fuck Tha Police można było kupić wszędzie w zapadłych wsiach w Europie. Czy kiedykolwiek rzuciło ci się w oczy, że Snoop Dogg jest podobny do Goofy’ego? Nie bój się”.

– Nie martwię się. Zastanawiam się tylko, jak się tam dostanie.

– Jak dobrze pójdzie, będziemy tam wcześniej.

Jego słowa jeszcze nie przebrzmiały, kiedy sznur samochodów zwolnił, aż praktycznie stanęliśmy w miejscu. Rusty opuścił szybę i do połowy wychylił się z auta. Wnętrze maybacha wykończone czerwoną skórzaną tapicerką wypełniły opary benzyny. Policja właśnie blokowała dwa lewe pasy jezdni. Wyglądało na to, że Bobbi będzie musiała zabić pół godziny *on the streets of Compton*, a muszę przyznać, że była to nieprzyjemna perspektywa. Oczywiście nakłamałam w mailu do Deke’a. Nie miałam o tym kompletnie pojęcia. LA to metropolia licząca dziesięć milionów mieszkańców, z czego dziewięć milionów z nas udaje, że Compton, Hawthorne i Inglewood nie istnieją. Nigdy się tam nie zapuszczałam. Trzy razy do roku prućam dziewięćdziesiątką przez zgniłe jajo w drodze do koleżanki w Long Beach –

i to by było na tyle. Deke i jego mapa zmartwiły mnie do tego stopnia, że spędziłam cały wieczór na YouTube, szukając filmów o Bloodsach i Cripsach, i musiałam przyznać, iż Goofy nie był już tak sympatyczny jak dawniej. Goofys z Compton chodzili po biednych ulicach zrujnowanych dzielnic z gołymi klatkami i z twarzami zasłoniętymi bandanami. Ścinali lufy shotgunów i wymieniali w dowolnej kolejności tych, których mieli zamiar zabić albo wyruchać (policję, nasze suki, nas).

Rusty głośno klapnął na ręcznie wyszywane siedzisko fotela.

– W poprzek drogi stoi ciężarówka z naczepą. Ściągają ryzową rakietę z barierki.

Tak nazywał japońskie auta, a właściwie wszystkie samochody mniejsze od jego groteskowych niemieckich sań, których w całych Stanach jeździło mniej niż sto, a większość z nich należała do emerytów milionerów sunących nimi ze swoich *gated communities* i z powrotem. Maybach Rusty'ego, karawan do przewożenia tortów weselnych, miał błyszczący czarny lakier i złote listwy.

– Widziałaś w piątek Bobbi? – zapytał, gdy ruszyliśmy.

– U Tyry? Jasne. Była dobra.

– Ale wierzysz w to?

– W co?

– W to, co mówiła o filmie.

– To możliwe. Bzdurne historyjki nie są w stylu Bobbi.

– Obawiam się, że pieprzy trzy po trzy.

– Na pewno ktoś się z nią skontaktował. To ten zjazd.

Rusty spojrzął przez ramię, rzucając przekleństwami, ominął SUV-a z wypisanym złotymi literami hasłem „Music is my life” i zaciemnionymi szybami.

– Może będziemy na czas.

Barracks wciąż były imponujące, nawet za dziesiątym razem. Już na łuku popękanego betonowego zjazdu z Harbor dostrześliśmy fort na spieczonym, białym horyzoncie – widok z góry.

Obok nas jechał powgniatany beżowy dodge, kierowca ruszył z kopyta i gwałtownie zahamował, na siedzeniu pasażera siedział czarny chłopak w czapeczce zrobionej ze zwiniętych rajstop, patrzył na maybacha, jakby to była połówka kurczaka z rożna. Po pół mili na Rosecrans Avenue, kiedy mijaliśmy zapuszczone niskie budynki, leżące odłogiem piaszczyste działki, fast foody z oknami zabitymi drewnianymi panelami, praktycznie zardzewiałą stacją benzynową, na skrzyżowaniu z Avalon Boulevard wyrosło ciemne zamczysko o długości przynajmniej stu i szerokości stu pięćdziesięciu

metrów – widok z boku.

– To tam pracuję, mam – rzekł Rusty.

Kiedy się zbliżyliśmy, w murach fortu odznaczały się setki wysokich, wąskich okien – wszystkie bez wyjątku wybite. Położyłam głowę na katowskim pieńku: w trakcie trudnej rozmowy z *city council* obiecałam, że w ciągu roku wszystkie okna będą miały ościeżnice i wstawione szyby. Przrzekłam, że ubiorę w drzewka gołe chodniki, na których codziennie zaraz po *Ulicy Sezamkowej* odchodziła dilerka albo spacerki dziewczynek i które były usiane kartonowymi opakowaniami, odłamkami szkła oraz psimi i ludzkimi kupami. Mijane przez nas właśnie mury zewnętrzne wystroimy w reflektor ze stali nierdzewnej, tak aby mieszkańcy miejskiej dżungli – wariaci, bezdomni i rozwaleni tu i tam na werandach narkomani – nie musieli liczyć na wzniecone przez siebie ogniska i mogli poczytać do poduszki.

– Już jest – odezwał się Rusty.

W wielkiej murowanej bramie wejścia głównego stał sobie krasnoludek, którym nie była Bobbi ze Steamboat Springs, lecz był nim Vince z Cleveland. Rusty z dużą szybkością minął ziewającego mężczyznę i zatrzymał się na wysokości cylindrycznego łuku rozpościerającego się nad Halą Musztry.

– Zaparkujesz go na terenie?

– Nie ma czasu.

Upał wypełnił maybacha jak ciecz, smród moczu zatkał mi płuca. Żyłasty pies na smyczy powąchał moją stopę, gdy próbowałam wymacać wysoki krawężnik.

– Dzień dobry – powiedział Rusty do otyłej Murzynki, która pociągnęła psa z siłą, która spokojnie by wystarczyła do uruchomienia silnika motorówki. Kiedy wracaliśmy się do wejścia głównego, wzrok Rusty’ego spoczął na masywnym ceglany murze. – Wiesz, że za tymi murami kiedyś boksowali się Joe Louis i Rocky Marciano? – zapytał.

– Tak – odrzekłam – bo sama ci o tym powiedziałam.

Wydawało mi się, że Vince rzucił mi pełne oczekiwania, psie spojrzenie, dlatego mu pomachałam, ale nie zareagował. Gdy zbliżyliśmy się do nowego członka naszej ekipy, Rusty ruszył do niego z wyciągniętą dłonią.

– Maestro – powiedział jowialnie – *how’s the form?* Miałeś dobry lot?

Vince skinął głową.

– To dobrze, świetnie. Wyglądasz kwitnąco.

Vince wyglądał antykwitnąco, jakby go ktoś skroił, nie Cripsi czy Bloodsi, ale banda Pietjego Bella. Nie miał na sobie nienagannie skrojonego garnituru,

jak za pierwszym razem, lecz jasne spodnie z dresowego materiału z wypchanymi kolanami, a na gruszkowatym tułowi opinała się hawajska koszula z emaliowanymi zatraskami, spomiędzy których sterczały kręcone włosy na klatce piersiowej. Mimo niemiłosiernego upału na nogach miał ciężkie czarne buty „potówki” z płytkami ochronnymi na noskach. Jego równie gruszkowata twarz, genetyczne echo nieużywanego ciała, była nieogolona, zarost wylewał się daleko poza chomicze policzki. Najwyraźniej „druga runda” była dla Vince’a równoznaczna z „czuj się jak u siebie w domu”.

Nucąc pod nosem, Rusty otworzył żelazne drzwi i rozsunął powoli jedno skrzydło. Z powodzeniem przejechałby przez nie czołg.

– Zapraszam – powiedział gościnnie. We trójkę weszliśmy do chłodnej recepcji. – Mamy światło – dodał i za pomocą staroświeckich włączników na ścianie zapalił trzy żyrandole, które rozbłysły po krótkiej chwili. – Przynajmniej tutaj.

Przed nami rozpościerały się lustrzane podłogi z podpalanego gnejsu z czarną granitową listwą zamontowaną w ubiegłym wieku. Gdzieś unosiły się sflaczałe balony i kłębki serpentyn, był nalewak do piwa z beczki, który trzeba będzie zwrócić – pozostałości po parapetówce z zeszłego tygodnia. Sześć klatek schodowych gapiło się na nas jak kieszenie w stole bilardowym, pomiędzy nimi znajdowały się szerokie podwójne drzwi z błyszczącego drzewa dębowego.

Vince wciągnął nosem słodko-zgniłe powietrze i zamyślił się, marszcząc brwi.

– Czuję wody gruntowe – powiedział.

Wzbudzał moją niechęć. Rusty zwerbował go, jak to sam określił, dzięki artykułowi w jednym z pikantnych numerów „Cosmopolitana”, gdzie związał modelki w sposób, który – nie można temu zaprzeczyć – świadczył o wizjonerstwie i znawstwie.

– Masz czuły nosek – odezwałam się. – Pod fundamentami płynie podziemna odnoga rzeki Los Angeles. Część piwnic jest pod wodą.

Vince przelotnie dotknął swojego organu węchowego. W milczeniu przyglądał się ścianom wyłożonym boazerią z drzewa orzechowego. Ponieważ powrotny lot do Cleveland miał dopiero wieczorem, po rozmowie kwalifikacyjnej zabrałam go do Bagels Factory na Ventura Boulevard, gdzie to milcząc, to zadając kolejne pytania, dowiedziałam się co nieco na temat tego czterdziestotrzyletniego mężczyzny. Na przykład tego, że nadal mieszkał z rodzicami, którzy od pół wieku na ślepo i, co wywnioskowałam z jego słów,

z ogłupiającą wiernością kibicowali Cleveland Indians. Matka Vince'a stała za ladą jednego ze sklepików dla kibiców na stadionie, ojciec był sprzętowcem, noszonym na rękach przez całe pokolenia baseballistów, którzy odnieśli sukces, wtenczas gdy Vince junior bankowo nie osiągnął nic. Może dlatego jego syn bardzo się przyłożył do oszałamiającego pasma niepowodzeń życiowych: po ciągnącej się w nieskończoność procedurze outplacementu z firmy ochroniarskiej (poważne zaburzenia rytmu snu prowadzące do depresji) i wieloletnim bezrobociu Vince'owi udało się uzyskać orzeczenie trwałej niezdolności do pracy z powodu reumatyzmu i łuszczycy, w międzyczasie poległ na przerwanych kursach aktywizacji zawodowej, w tym na szkoleniu na mechanika i spawacza.

Rusty przeszedł na drugą stronę i postawił jedną nogę na schodach naprzeciwko nas.

– Krótkie zwiedzanie – zawołał, a jego głos odbił się echem. – Widzę, że nasz gość ma na nogach wygodne buty do chodzenia.

Puściłam Vince'a przodem. Przeszkadzało mi i jednocześnie bawiło mnie udawane znanstwo, z jakim Rusty wprowadzał naszego nowego przyjaciela, gorliwość, z jaką opowiadał o szczegółach budowy Barracks – powiedziałabym, że była to też trochę moja budowa, ale to w ogóle nie wynikało z jego wypowiedzi. Wspomniał, że ma zamiar uświetnić koszary swoją kolekcją sztuki, to była „eureka”, której doświadczył w Gettym. Wyobraziłam sobie Rusty'ego stojącego na olimpijskim szczycie z malutkim Rembrandtem na plecach, z Los Angeles leżącym u jego stóp, marzącego o własnym muzeum, antymuzeum, hedonistycznym muzeum w najbrzydszym miejscu na świecie, w najbardziej introwertycznej, wilgotnej, ciemnej kamiennej bryle, jaką można sobie wyobrazić.

Vince pospieszył za nim, na jego twarzy malowało się coś między pełnym relaksem a początkiem głupkowatego uśmiechu, od czasu do czasu przytakiwał z aprobatą albo bąkał coś monosylabami, co mnie irytowało: „wysoko”, „nisko”, „drewno”, „rdza”. Powiedział mi, że w Cleveland spędzał kilka popołudni w tygodniu w magazynie portowym, jego rodzice myśleli, że to prace społeczne, polegające na kładzeniu okablowania w maszynach, ale w rzeczywistości wraz z dwoma kolegami, jeden był partnerem biznesowym, a drugi artystą perwersem, okablowywał młode damy – jedyna rzecz, w której się wyspecjalizował przez lata samotności.

Ta historia mogłaby wycisnąć mi łzy z oczu, gdybym nie uważała Vince'a za odrażającego typu, niesmacznego w dosłownym, fizycznym znaczeniu tego słowa, w dodatku miał trochę nierówno pod łuszczącym się

sufitem. Nie lubił spotykać się z kobietami („strupy i płatki” – bąknął – „*all over*”, po czym pomachał rękoma nad tułowiem i ramionami jak magnetyzer); raz w życiu miał dziewczynę, krótki związek, który gwałtownie zakończył zaraz po tym, jak wpadł w panikę, gdy rodzice dziewczyny poprosili go, by zdjął obuwie przed drzwiami. Głęboko zakorzeniona potrzeba wiązania kobiet narodziła się w okresie o wiele wcześniejszym, ze łzami w oczach przyznał mi się, że już jako jedenastoletni chłopaczek dostał wzwołu, kiedy „jakieś babsko” leżało z kawałkiem szmaty w ustach, czekając na Rogera Moore’a. Internet go wyzwolił. Napomknął, że okres dorastania i pierwsze lata pełnoletności przeżył dzięki japońskim książeczkom o bondage’u, które z trudem zdobył w clevelandzkim Asiatown i skopiował, ulepszając węzły *na sobie* w pokoju na poddaszu, gdzie nadal mieszkał.

– Na sobie? Masz na myśli, że sam się krępowałeś?

Potańił łuszczące się powieki i kiwnął potakująco głową.

– A niby kogo?

Czy miałam jakieś pytania? Właściwie to nie: od dzisiaj po tych koszarach będą poruszać się same kopnięte egzemplarze, każdy był tu na swój sposób świrem. A Rusty dostał w łeb kaflem z podpalanego gnejsu, było mu wszystko jedno, z kim pracuje na co dzień, dopóki ten ktoś był tak samo rozwiązły jak on sam, i właściwie miał rację. Tak jak my Vince przyjechał do miasta, które wszystkiemu przyklaskiwało, dopóki to coś miało tymczasowy, frywolny i ekstrawagancki charakter. Żyliśmy na dekadencckim gruncie, na nachodzących na siebie płytach tektonicznych, w mieście, które w każdej chwili mogło się zapaść, drżąc w konwulsjach, i zniknąć w otchłani, nieczułe na tego czy innego Wincentego.

Zaczynały boleć mnie stopy. W chwili gdy chciałam się urwać („panowie, muszę iść zarabiać na chleb”), rozdzwonił się mój telefon. Zerkając na wyświetlacz, opuściłam pomieszczenie, pod którego sklepieniem staliśmy. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że dzwonił Boudewijn. Odebrałam, ale zanim zdążyłam przyłożyć komórkę do ucha, połączenie zostało przerwane. Zauważyłam, że już kilka razy próbował się ze mną połączyć. Boudewijn nigdy nie dzwonił, chyba że chodziło o Mike’a. Ostatni raz dzwonił ponad pół roku temu, a następnego dnia siedziałam przy łóżku mojego synka w szpitalu w San Francisco: zapalenie opon mózgowych. Nie mogłam teraz oddzwonić, nie miałam zasięgu. Zdjęłam buty i klapiąc cicho stopami, przeszłam przez długą, ciemną halę. Po lewej i prawej stronie ciągnęły się drzwi z drewna brazylijskiego, za którymi ukrywały się opuszczone stajnie i przeciekające kotłownie z ogromnymi zardzewiałymi bojlerami, które znów grzały.

W oddali dostrzegłam na klatce schodowej światło dzienne. Weszłam po zimnych granitowych schodkach i spróbowałam połączyć się z automatyczną sekretarką, ale mi się nie udało. Troska to jedno, ale tresowane poczucie winy to co innego. To, że jestem beznadziejną matką, było jasne jak słońce, pogodziłam się z tym. Nie ma jednak nic za darmo. Na razie płaciłam koszmarami, w których Mike'owi przytrafiały się okropne rzeczy – wypadki, utopienia, zawsze wszystko, co najgorsze – ale któregoś dnia złe sny miną, co śmierć zdąży mi w międzyczasie uświadomić.

Schody doprowadziły mnie do granitowego korytarza, przypuszczałam, że była to swoista obwodnica. Poszłam w lewo, po trzydziestu metrach skręciłam za róg i od razu rozpoznałam wąskie ramy okienne w murach zewnętrznych – idealne miejsce dla kogoś, kto chciałby rzucić się prosto na dół. Ponieważ podłoga błyszczała od odłamków szkła, włożyłam buty, przez rozchodzący się stukot obcasów przenikało mechaniczne brzęczenie, które stało się głośniejsze, gdy ponownie skręciłam za róg i przeszłam pod szerokim sklepieniem. Próbowałam zadzwonić, ale znów mi się nie udało. To Boudewijn zajmował się wychowaniem chłopca, od lat poświęcał mu całą swoją uwagę i oddanie. A Mike uwielbiał Boudewijna, kijem nie dałoby się wygonić go do matki i właściwie tak było lepiej. Decyzja, całkowicie naturalna decyzja, żeby zostawić Mike'a przy nim, okazała się najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich stron.

Niespodziewanie pomieszczenie się rozszerzyło, w powietrzu unosił się zapach żelaza i piasku. Weszłam do ogromnej Hali Musztry i poczułam się mała jak wiewiórka. Po lewej stronie betonowej równiny, pod wolną przestrzenią wiszącą na krokwiach przypominających konstrukcję wieży Eiffla, stały trzy samochody zabawki. Po przekątnej zobaczyłam jeden z naszych samochodów ciężarowych i nieznaną pikap, obok którego drgały na wysokich obrotach dwa generatory na paletach. Moja komórka nieśmiało szukała zasięgu. Szybko napisałam esemesa („coś z mikiem?”), udało mi się go wysłać dopiero przy trzeciej próbie. Wiedziałam, że Boudewijn nie zrozumie, dlaczego nie dzwonię; w porównaniu z całą jego troską każda oznaka zaangażowania z mojej strony wydawała się wtórna i tchórzliwa. Musiałam przyznać, że Boudewijn był wspaniałym ojcem dla małego, od pierwszego dnia jego życia, a nawet wcześniej, bo w czasie ciąży z akademicką precyzją bombardował mnie informacjami na temat tego, co działo się w mojej macicy. Sam z siebie zjeździł całe San Francisco w poszukiwaniu homeopatycznych tabletek przeciw mdłościom, naturalnych kosmetyków bez chemii, moczopędnej herbatki na skurcze podawanej mi

z autentycznym przejęciem. „Według Sharon z sekretariatu bardzo dobre są zajęcia jogi dla ciężarnych na Valencia Street”. Prawdopodobnie jego przesadna czujność była podyktowana niezupełnie niesłusznym podejrzeniem, że mam depresję ciążową, i obawą, że mogłabym rzucić się ze schodów.

Zdjęłam buty i minęłam mobilną elektrownię. Nie było nikogo, maszyna dawała radę sama. Łypiąc jednym okiem na telefon, dałam się prowadzić grubym kablom elektrycznym.

– A oto i ona – powiedziała Kristin.

Przeszłam przez zakurzoną salę gimnastyczną z obęczami i drabinkami oraz kolejną długą kamienną halę, by wpaść prosto w środek harmidru. Kristin i Q stali w drzwiach prowadzących do sali balowej – przypomniałam sobie, że pokazała nam ją asystentka Sotomayora: rozległe pomieszczenie wyłożone parkietem z wąskich deszczulek, jakie spotyka się w staroświeckich szkołach tańca. W środku chłopaki od oświetlenia ustawiali właśnie mocny reflektor teatralny.

– Dzień dobry, skarbie – przywitała mnie Kristin. – Ale tu ładnie.

– Dziękuję – odpowiedziałam.

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę, że znów pojawisz się przed kamerą. A ty, cieszysz się?

– Nie mogę się doczekać – uśmiechnęłam się do Q, który spuścił wzrok i potarł policzek masywną białą dłonią.

Prawda była taka, że czułam ogromną niechęć. O ile w ogóle wcześniej byłam w nastroju, całkowicie zmienił go telefon od Boudewijna i czułam się teraz wyzuta z wszelkiej zmysłowości. Może Bobbi będzie miała kokainę.

– Gdzie są Rusty i ten nowy? – Kristin stanęła przede mną i ujęła moją twarz w swoje dłonie. Widziałam, że ma soczewki kontaktowe.

– Zwiedzają budynek. Wells zrobił z tego *guided tour*.

– Idź się spokojnie przebrać – powiedziała. – Ładną masz na sobie bluzkę. – Przez satynowy materiał złapała mój lewy sutek między kciuk a palec wskazujący i potarła go, jakbym była radioodbiornikiem, który należy ustawić na właściwą stację.

– Macy's – odpowiedziałam. – Z pojemnika z wyprzedzami.

Uśmiechnęła się.

– Tamte drzwi. Bobbi już jest. Joy, to prowizorka. Przypilnujesz, żeby założyła coś wesołego?

Najwyraźniej sprawiało jej przyjemność wydawanie rozkazów kobiecie,

która pokrzyżowała jej plany. Dawno temu, na imprezie promującej festiwal kina niezależnego, na której poznałam Rusty'ego, przedstawił mi Kristin jako swoją prawą rękę. Ku jej wyraźnej irytacji pół godziny później bez mała mianował mnie drugim dyrektorem. I teraz Kristin była moją prawą ręką.

Weszłam do ogromnego sanitariatu, który nie miał w sobie nic z przytulnej atmosfery panującej w garderobie na Coldwater: żadnego ciemnofioletowego aksamitu na ścianach, żadnych lakierowanych toaletek, żadnych lusterek teatralnych otoczonych delikatnymi żarówkami. Pomalowane na biało ściany odbijały ostre światło świetlówek, podłoga była plastrem miodu wyłożonym sześciobocznymi kafelkami, po których chodziły tysiące oficerów i kadetów w drodze do pisuarów i z powrotem – przez moment z dala od wojskowego drylu, chwila samotności z żółtym płynem i zapachem mydła ziarnistego dochodzącym z wiadra z mydlinami. Ktoś, prawdopodobnie Q, położył szerokie deski na dwunastu umywalkach służących teraz za toaletki. Przed częściowo zaparowanym, szerokim na metr lustrem, przez które przebijała zardzewiała spodnia warstwa, stały dwa niemodne krzesła, na oparciu jednego z nich wisały dzinsy i koszulka. Po prawej stronie stały dwa galwanizowane regały z wieszakami, na których wisały perwersyjne szmatki – poznałam, że pochodzą z naszej garderoby na Coldwater. Moje nozdrza drażnił zapach mydła lawendowego i pary wodnej. Po lewej, za otwartymi drzwiami z popękaniem szkłem mlecznym, znajdowało się osiem ciekących natrysków przypominających haki rzeźnicze. Pośrodku, na mokrych kafelkach, stała młoda dziewczyna, wycierała się w duży biały ręcznik hotelowy. Bobbi obejrzała się przez ramię, miałam wrażenie, że była nieco spłoszona.

– Hej... – pozdrowiła mnie z udawaną nieśmiałością. Słyszałam w jej głosie, że ona też zapoznała się ze scenariuszem Kristin.

– Nie ruszaj się przez chwilę.

Weszłam po mokrej podłodze i przyjrzałam się jej chudym plecom i wyjątkowo wąskim biodrom. Gdy zamieszkała u mnie, tuż nad pośladkami, po lewej i prawej stronie, wytatuowała sobie dwie gwiazdki: jedną czerwoną z cienką czarną obwódką, drugą czarną z cienką czerwoną obwódką – pewnie miało to coś wspólnego z doktorem Jekyll'em i panem Hyde'em. W tym mieście ciężko było znaleźć niewytatuowanego człowieka poniżej dwudziestego piątego roku życia.

Chciała się odwrócić, ale dałam jej mocnego klapsa w lewy pośladek; wciągnęła głęboko powietrze, na kafelki spadł czepek.

– Chyba słyszałaś, co powiedziałam? – Złapałam ją za obydwie pośladki,

które właśnie skończyły dziewiętnaście lat, na lewym błyszczął czerwony odcisk mojej dłoni. – Szerzej nogi. Uszczypnęłam ją w pupę. Rozstawiła stopy. Kucnęłam, wcisnęłam kciuki głęboko w rowek jej pośladków i rozsunęłam je; wyszorowany odbyt otworzył się jak buzia małpki. Naplułam na otwór i wsunęłam do środka obydwie kciuki, zwieracz zamknął się z sykiem wokół nich. – Cześć Bobbi, miło znów cię zobaczyć.

Od incydentu ze stolikiem w salonie, który raczej ją zachęcił, zamiast zniechęcić, dzwoniłyśmy do siebie raz na parę miesięcy. Kiedy kręciła film na którąś z naszych stron, a ja akurat byłam na Coldwater, zawsze wchodziłam na chwilę do garderoby, chyba że wcześniej sama wpadła się przywitać.

– Tak... proszę pani – powiedziała. – Fajnie, że będę mogła z panią pracować.

– Nie cieszyłabym się za bardzo – stwierdziłam. – Jak było u Tyry?

– Tyra Banks to... suka – odparła. – Oglądałaś?

Wyjęłam lewy kciuk.

– Proszę pani – powiedziałam i dałam jej cztery solidne klapsy w lewy pośladek. – Czy oglądała pani program?

Wypuszczając powietrze, rzekła:

– Czy oglądała pani program, proszę pani?

– Byłaś fantastyczna.

– Ale Joy – stwierdziła nagle rzeczowo – ten cały pierdolony program to była pierdolona ściema, mówię ci.

Puściłam ją i wstałam. Odwróciła się i spojrzała mi w oczy. Chciała przerwać naszą grę.

– Opowiadaj.

– Program jest kręcony w Nowym Jorku, co nie? – powiedziała. – Podczas rozmowy wstępnej jedna z asystentek mówi do mnie przez telefon: „Założ to, co ci się podoba”. – Zatrzęsa się, podeszła do lustra i usiadła na krześle. Wyjęłam jej ręcznik z rąk i wytarłam jej plecy. – Więc specjalnie dla nich przyleciałam dzień wcześniej do Nowego Jorku – ciągnęła – i poszłam na zakupy na Madison. Kupiłam dzinsy rurki, koszulkę, kolczyki. Chciałam ładnie się prezentować na sofie przed całym krajem. Dlatego kupiłam dwie pary louboutinów, bo nie mogłam się zdecydować, którą wybrać, wszystko za własne pieniądze. Następnego dnia rano wchodzę do studia i jak myślisz?

Jesteś objawieniem – to sobie pomyślałam. Kiedy się rozbierałam, patrzyłyśmy na siebie w lustrze. O Boże, ale ze mnie stare próchno w porównaniu z tobą. Ciemnobrązowe oczy Bobbi jak zwykle były na wpół przymknięte, na jej małych ustach błąkał się uśmiech gejszy – opanowany

wyraz kpiny, maksimum zdziwienia, na jakie mogła sobie pozwolić jej stoicko spokojna twarz. Była wspaniała. Nie było nic wyjątkowego w tym, że taka kultowa gwiazdka przykuła uwagę Stevena Soderbergha – o ile było prawdą to, co powiedziała u Tyry Banks.

– A co ze Stevenem Soderberghiem? – zapytałam. – Naprawdę zaproponował ci rolę?

– Zaraz ci powiem – odrzekła. – No więc wchodzę tam, a ci z produkcji mówią: „Osiemnastolatka tak nie wygląda”. „Zgadza się, mówię, tak wygląda dziewiętnastolatka”. „Możliwe, mówią, ale Tyra rozmawia dzisiaj o nastolatkach w pornobiznesie i dlatego tu jesteś”. Kazali mi podejść do szafy z rzeczami dla dzieci. Oilily. Zmusili mnie, żebym się przebrała za... za...

– Gretl von Trapp. Pożyczysz mi swoje mydło? – Skierowałam się do pryszniców.

– Widziałaś ten różowy sweterek? – krzyknęła do mnie. – I balerinki? Kazali mi nawet zdjąć kolczyki. Ta baba z produkcji dała mi różowe wkrety.

Podniosłam czepek z podłogi i odkręciłam zawapnione kurki. Słuchawki zaczęły się trząść i przyskać. Ciężki strumień wrzącej wody spadł mi na plecy. Bobbi stanęła w drzwiach pomieszczenia i patrzyła, jak się namydlam.

– Włosy ściągnięte mocno do tyłu w koński ogon, praktycznie zero cienia do powiek, za dużo różu, sama wiesz. Już ja wam pokażę, pomyślałam. Popierdoleńcy.

Rzeczywiście wyglądała jak Maryja Dziewica w Wielką Sobotę, ale to tylko zwiększyło wrażenie, jakie zrobiła swoim występem. Co za charyzma, co za kamienny spokój. Bez nakręcania się wyjaśniła, dlaczego dokonała takiego wyboru, właściwie tak jak zawsze, nawet się nie broniła, a Tyrze nie udało się wyprowadzić jej z równowagi wyreżyserowanymi pytaniami. Jak zwykle Bobbi mówiła monotonicznie i zdawkowo, jej słowa były przesolone jak wielbłądzie mięso, samogłoski płaskie, przemawiała przez nią odlotowa mądrość, ukryta protekcyjność, co wywołało u Tyry niepokój. („Bobbi, nie musisz odpowiadać na to pytanie, ale i tak ci je zadam: czy byłaś w przeszłości wykorzystywana seksualnie?”. „Ja? Skąd. Miałam fajne dzieciństwo. Dlaczego pytasz? A ty, Tyro?”).

Ale nokaut przyszedł dopiero po informacji o filmie Soderbergha. Tuż po kompilacji ugrzeczniczonych fragmentów Bobbi w akcji Tyra zapytała ją, jak długo zamierza pozostać w tym biznesie, a kiedy odpowiedziała, że ma zamiar robić to tak długo, jak długo będzie jej to sprawiać przyjemność, Tyra zapytała, jak potem wyobraża sobie swoje życie. Odpowiedziała, że rozważa

kariere aktorki, a gdy Tyra zapytała ją, z trudem ukrywając złośliwy uśmieszek, czy Bobbi uważa, że Hollywood stoi przed nią otworem, odpowiedziała, że nigdy nie wiadomo, ale w każdym razie jutro po południu jest umówiona ze Stevenem Soderberghiem na obiad na Broadwayu.

– Ze Stevenem Soderberghiem? – powtórzyła Tyra. – Masz na myśli reżysera Stevena Soderbergha?

– *Ocean's Eleven, Twelve, Thirteen* – odpowiedziała Bobbi – filmy z Clooneyem i Pittem. – Gdy Tyra patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu jak sroka w gnat, dodała: – *Seks, kłamstwa i kasety wideo.*

– Wiem, kto to jest Soderbergh – warknęła Tyra. – Rozumiem, że masz przesłuchanie?

– Mam rolę. Gram główną rolę w nowym filmie Soderbergha.

Ściągnęli do Nowego Jorku nie tę gwiazdkę, co trzeba. Cóż to była za przyjemność widzieć głębokie zważenie na przemądrzałej twarzy Tyry. Wśród publiczności zszokowana delegacja Ruchu przeciwko Porno: katol i feministka, którzy wypromowali się na szkodach psychicznych i społecznych wyrządzanych ludziom przez typków pokroju Bobbi, mnie i Rusty'ego. Czy mamy wierzyć tej młodej ladaczniczce? Tej zepsutej lodziarce, którą plebs półświatka w LA wybrał na SuperSlut 2008? Która dostała nagrodę za najobrzydliwszą scenę ciągnięcia druta roku, najobrzydliwszy trójkącik roku, najobrzydliwsze sami-nie-wiemy-co roku – czy mamy jej uwierzyć na te piękne oczy koloru syropu jabłkowego? Widać było, że Banks się zastanawia: „Dlaczego ja o tym nie wiem? Dlaczego moi redaktorzy o tym nie wiedzą?”. A zważenie, co zauważyłam, udzieliło się publiczności, a potem nam, telewidzom. Okłamała nas? W studiu nie było czasu, żeby się nad tym rozwodzić, *the show must go on*, przez co pytanie zawisło nad głową Tyry jak myszołów: to prawda? Czy może zaruchali ją do nieprzytomności i popuściła wodze fantazji? A jeśli mówi prawdę, to co ten program jeszcze znaczy? Co tak naprawdę chce przekazać Ameryce?

Zakreśliłam kurki. To Q – nie słyszałam, że wszedł – przyniósł mi ręcznik. Po raz kolejny rzuciło mi się w oczy, że jego pomarszczona gęba przypomina twarz Larry'ego Kinga, tyle że bez okularów.

– Ale czy to prawda? – krzyknęłam.

– Co?

– No z tym filmem.

Usłyszałam chichot Bobbi.

– Pomyślałam, że trochę go rozreklamuję. Naturalnie, że tak.

Podeszłam do Q, grzebał w plastikowej skrzynce, którą postawił na

zaimprovizowanej toaletce.

– No a jak to się stało?

W czasie, kiedy Bobbi opowiadała mi, jak kilka miesięcy temu dostała wiadomość na MySpace od kogoś, kto podawał się za Stevena Soderbergha, i to nie jedną, a cztery wiadomości, i że potem okazało się, iż to naprawdę był Steven Soderbergh, Q założył mi na biodra coś w rodzaju skórzanej zbroi. Tydzień później rozmawiała ze Steve'em przez telefon: zna jej pracę, tak się wyraził, czytał artykuł w „Los Angeles Magazine”. Steve szukał kogoś do nowego projektu, filmu o luksusowej call girl na Manhattanie. Pomyślała, że chce ją obsadzić w roli drugoplanowej, ale jemu chodziło o główną nagrodę. Była pierwszą osobą, o której pomyślał. Nie uwierzyła mu. Następnego dnia wypili kawę w Los Angeles Zoo i chociaż mężczyzna był podobny jak dwie krople wody do reżysera Stevena Soderbergha, wciąż mu nie wierzyła. Zgodnie z planem film miał otworzyć w lutym festiwal w Berlinie.

Q kucnął, aż chrupnęło mu w kolanach, i zapiął paski na mojej talii i udach. Z gębą grabarza wyciągnął ze skrzynki zielonego penisa z twardego plastiku i zamontował go na wysokości mojego wzgórka łonowego w szczelinie na gorsecie.

– Zresztą przedwczoraj pisali o tym w „Newsweeku”.

– Wiedziałaś o tym przed Tyrą?

Rzuciła mi nieco pogardliwe spojrzenie.

– Przecież inaczej nie mogłabym o tym opowiedzieć na wizji.

– Jasne. Chodzi mi o to, czy wiedziałaś o tym już podczas rozmowy wstępnej. Specjalnie nie puściłaś pary z ust?

– Specjalnie nie puściłam pary z ust.

Ktoś zapukał w ciężkie, industrialne drzwi, które natychmiast się otworzyły. Do środka wszedł szczupły Murzyn w błyszczącej jasnoniebieskiej koszuli.

– Dzień dobry paniom, dzień dobry panu.

– Cześć, Ralph – odpowiedziała Bobbi.

– Bo wiedziałaś, że oto nadchodzi twoja szansa.

– Ci ludzie aż piszczeli, żeby mi powiedzieć, że zmarnowałam sobie przyszłość. Aż piszczeli. Od samego początku siedziałam na tej sofie, trzymając palec na spuście. – Wyciągnęła rękę i zrobiła pistolet z dłoni. – Pif-paf. Między oczy Tyry.

Ralph podszedł do umywalki i położył na desce brązowy skórzany kuferek. Chwycił mnie za plastikowego penisa, przyciągnął do siebie z ustami w dzióbek i zamkniętymi oczami. Pocałowałam go. Dopiero wtedy otworzył

kuferek i wyjął z niego pędzelki, kredki do oczu i owalne pudełeczka z kosmetykami.

– Ale czy to poważna rola? – zapytałam.

– U Soderbergha? – odpowiedziała Bobbi, dosyć głośno jak na nią. – Oczywiście, że to poważna rola. Czytałam scenariusz, jest subtelny. – Chwyciła kciukiem i palcem wskazującym leżącą przed nią kartkę A4 od Kristin i uniosła ją do góry. – Oczywiście nie tak subtelny jak to – dodała ze śmiechem.

Plan był gniazdem termitów, każdy się ruszał – oprócz Bobbi. Z sali widziałam, że kuca w poprzek żelaznego łóżka, które wyglądało tak, jakby dzisiejszej nocy Oliver Twist spał na podłodze. Pochylał się nad nią Vince zajęty krępowaniem jej długim sznurem z mocnym splotem. Ramiona Bobbi były ciasno związane na plecach, miała skrępowany tułów, sznur wrzynał jej się w piersi wystające z czerwonej koszuli z bufkami. Na nogach miała słodkie płócienne wyszywane buty – z odkrytymi palcami, na korkowej platformie, z lnianymi sznurowadkami zawiązanymi na krzyż na łydkach. Delikatne przeguby dłoni zostały związane i podciągnięte do góry na linie przechodzącej przez pierścień zamontowany na suficie.

Wokół sierocego łóżka kręciło się dwóch kamerzystów i fotografka. Na laptopie Kristin analizowała widok z góry z kamery na wysokim statywie. Clint, chłopak mający wpisane na wizytówce stanowisko *floor assistant*, kucał po drugiej stronie łóżka, skąd niezdarnie zwisała głowa Bobbi. Dokuczał jej i wlewał jej do ust red bulla z puszki, z której sam też pił.

Vince dał się całkowicie ponieść pierwszemu zleceniu. Mimo że w sali balowej było chłodno, obficie się pocił, plaże na jego koszuli wyglądały, jakby zostały zalane falą przypływu. Z szybkością marynarza na katamaranie przerzucił linę przez lewe kolano Bobbi i lewy słupek, zacisnął i wprawnie zawiązał węzeł marynarski. Pośladki Bobbi błyszcząły w ostrym sztucznym świetle jak głowa sfinksa. Plecami do mnie stał Rusty, obserwując poczynania nowego pracownika.

Nikt mnie nie zauważył. Stałam w kamiennej framudze, oddalona o jakieś dwadzieścia metrów od Bobbi i Vince'a – odległość, którą traktowałam dosłownie: jakbym w ogóle nie była częścią tego, co się tam działo. Coś powodowało, że myślałam trzeźwo, może było to wywołane pragnieniem otrzymania dobrej wiadomości od Boudewijna, może ostatnią uwagą Bobbi – zdaniem, które w moim odczuciu trąciło arogancją, było jak dla mnie lekceważące. Niezależnie od tego, jak bardzo koncentrowałam się na tej chwili, bez przekonania uderzyłam się w łydkę pejczem, który dał mi Q,

czekając na upojenie konieczne, żeby zrobić to, czego oczekiwano ode mnie na tym sierocym łóżku; niezależnie do tego, jak mocno koncentrowałam się na Bobbi, mój mózg jak gdyby nigdy nic maszerował przed siebie, w mojej rozgorączkowanej głowie zamieszkał paradoks, dwie sprzeczne myśli, które odłączyły moją świadomość od ciała, jakby odkręcały śrubę skrzydełkową. Z jednej strony ten ceglany fort zachowywał się jak klatka Faradaya: byłam nie do namierzenia, zniknęłam z radaru, nie do wywołania – nie istniałam dla mojego byłego i własnego dziecka, ich telefony i esemesy odbijały się w próżni; a jednocześnie czekała na mnie Bobbi Red i czy tego chciałam, czy nie, mój umysł prześwietlił jej sławę – jeszcze nie teraz, ale za chwilę stanie się sławna – a jej rodzaj i zasięg pozostawały wciąż nieznanne. Zakręciło mi się w głowie od myśli, że ta zamknięta w sobie dziewczyna, która podmywała swoją anonimową pupkę przy mojej umywalce na Sunset Boulevard, zostanie nową muzą Soderbergha, że za pół roku wraz z nim będzie szła po czerwonym dywanie w Berlinie, a być może w końcu wyląduje w Kodak Theatre z pozłaczanym przyjacielem w dłoni – od tej chwili wszystko było możliwe. Prawdopodobnie film od razu zostanie wydany na DVD – uspokołam sama siebie – Bobbi popadnie w zapomnienie, zostanie zmiażdżona krytyką, spisana na straty, odrzuconą, wyśmiana wróci do Doliny... ale coś mówiło mi, że będzie inaczej. *Że się przebije.* Zostanie gwiazdą, jakiej Hollywood dawno nie widziało. Bobbi stanie się radioaktywną Mae West dwudziestego pierwszego wieku, wystrzałową Nicole Kidman wybuchającą prosto w twarz.

Kristin mnie zauważyła i machnęła do mnie ręką.

– Joy, trzy minuty.

Wyobraź sobie, że tak będzie – myślałam, stukając obcasami w drodze do sali balowej. Co to oznacza dla sceny, którą zaraz będziemy kręcić? Jej rola była jasna: to próbka materiału filmowego Bobbi, który przyczyni się do budowania jej wizerunku jako osoby przekraczającej granice, filmu, który w końcu każdy zechce obejrzeć, może po to, żeby zaspokoić żądze albo żeby przyjrzeć się Bobbi, tej dziwnej, nieziemsko pięknej gejszy, na którą nikt nie wiedział, jak zareagować. Bobbi uczyni Barracks przezroczytymi, Bobbi rozsunie zasłony, Bobbi podniesie pokrywę studzienki i wyższy świat ujrzy... *matkę Mike'a?*

Ledwie Rusty zdążył wyjechać maybachem z Barracks, na moją komórkę zaczęły spływać esemesy i nagrane wiadomości od Bo. Nie wygłupiaj się – fuknął jakiś głos w mojej głowie. Odejście od Boudewijna było świetnym

posunięciem. Siedzieliśmy we trójkę na skórzanym tylnym siedzeniu: ja za maniakalnie zdenerwowanym Rustym, który mimo to prowadził jak stara baba, Bobbi w środku, Vince po drugiej stronie, a na fotelu pasażera głośno rozmawiająca Kristin. Wokół mnie ani śladu smutku po pracy; jak zwykle atmosfera była ciepła i rozluźniona, jechaliśmy w kierunku Coldwater, żeby załapać się na początek dwóch innych sesji. Odejście było najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłaś. Bobbi wcisnęła swoje małe paluszki w moją prawą dłoń i przytuliła się do mnie, może dlatego, że chciała siedzieć jak najdalej od Vince'a.

Umarłabym z nudów. Przed narodzinami Mike'a przynajmniej obydwójce byliśmy nieszczęśliwi, dwoje nieszczęśliwych ludzi w San Francisco: całymi miesiącami wałęsaliśmy się zranieni i wyobcowani po nowym mieście, szukając u siebie pocieszenia i towarzystwa. Ale po porodzie Boudewijn nagle stał się radosny, a radosny Boudewijn czytał na głos książeczki dla dzieci (to były te rzadkie momenty, kiedy słyszałam jego głos), zajmował się swoim hobby (jedynymi naszymi wspólnymi wypadami były długie wycieczki samochodem po całym stanie, czasem aż do Nevady, które zawsze kończyły się w komórce jakiegoś rolnika w kapciach odchylającego rąbek plandeki, którą przykryta była ledwie zipiąca szafa grająca) albo się kłócił. Konflikt tu, konflikt tam, po dwóch latach z Boudewijnem Stolem nie mogłam znieść słowa „konflikt”. Kiedy wracałam wieczorem z Doliny Krzemowej do Russian Hill, najczęściej siedział w satynowej piżamie i pisał maile, górnotne epistoły. Do pozostałych członków zarządu Golden Gate Park Golfclub, do pracowników przedszkola Mike'a, do wspólników w McKinseyu, do adwokata od rozwodów, przeciwko któremu zatrudnił drugiego adwokata. Jediną osobą, w którą nie rzucał elektronicznymi granatami ze swojej kryjówki snajperskiej, byłam ja.

„Do cholery, oddzwoń do mnie jak najszybciej” – napisał w pierwszym odczytanym przeze mnie esemesie. Przez moje ciało przetoczyła się nowa fala niepokoju. Mike ostatnio dużo jeździł na gokartach. A może nie było tak źle i chodziło o pieniądze? Nie zrobiłam jakiegoś przelewu? Faktem jest, że nawet przez chwilę nie rozważałam, iż zadzwonię do niego do San Francisco z samochodu, po prostu dlatego, że zwyczajnie bałam się, byłam zbyt złęczona, zbyt sparaliżowana strachem; bałam się na przykład, że Rusty wyrwie mi telefon z ręki i zacznie nawijać do słuchawki na mój temat, co robił nieprzerwanie od pół godziny, wspominać o rzeczach, które miały mi schlebiać i poniekąd były komplementami, ale które na dobre pozbawiłyby mnie władzy rodzicielskiej.

– Kurwa, Joy, potrafisz być twarda jak skała – krzyknął Rusty tuż po nagraniu.

Jego zdaniem mój występ był „fascynujący”, prawie oszałamiający. Na chwilę zmartwiły go czerwone pręgi, które pojawiły się na udach Bobbi – żeby to się tylko zagoiło, zanim wyskoczy z ubrań na planie filmu Soderbergha. Przezornie zachowałam dla siebie źródło mojego sadyzmu, możliwe, że zwierzątko wabiące się Bobbi, przyciskające swój policzek do mojego ramienia, nawet by tego nie zrozumiało. Chodzi o to, że udało mi się znienawidzić Maryl Dryzak za to, kim była. Czuć *odrazę* przez to, kim była. Zmobilizowałam całą drzemiącą we mnie zazdrość, by ją znienawidzić za jej wnikliwość, talent, odwagę i determinację, z którą w dniu swoich osiemnastych urodzin stała się tym, kim chciała być, bez maskarady, bez trzęsienia portkami, bez bojaźliwego *wstydu*: jest, jak jest, i róbcie sobie z tym, co chcecie – i patrzcie, dokąd ją to zaprowadziło. Patrzcie, ile kosztowało mnie całkowicie odwrotne postępowanie. Zawołowane tchórzostwo – już raz słono za nie zapłaciłam, ale znów prowadziłam podwójne życie, znów miałam wiele rzeczy do ukrycia. Udzieliłam wywiadu do „New York Timesa”, ale bez zdjęcia. Spróbuj to wytłumaczyć Bobbi.

(Boudewijnowi wówczas *niczego* nie wyjaśniłam. Po prostu wyjechałam, potem usprawiedliwiłam się kłamliwie przez telefon. Po dwóch i pół roku wikt i opierunku w jego orlim gnieździe na wzgórzu porzuciłam pisklę chowane w cieplarnianych warunkach i najzwyczajniej w świecie dałam nogę).

Drugi esemes ranił mnie jak kula: „Dzwonił do nas Aaron Bever. Co to ma znaczyć? Musimy porozmawiać”. Gwałtownie wyrwałam rękę z dłoni Bobbi i zasłoniłam sobie usta. Popatrzyła na mnie wystraszona.

– Wszystko w porządku, słoneczko? – zapytała.

– Oczywiście – wydukałam – przepraszam... Coś mi się właśnie przypomniało...

– Co takiego, słoneczko? – Pocałowała mnie w ramię i złapała za rękę.

– Wydaje mi się, że... zostawiłam otwarte drzwi do ogrodu.

Czy Aaron był w Stanach? W drodze do Boudewijna i Mike’a?

– Pewnie nie – powiedziała Bobbi. – A jeśli splądrowali twój dom, to zawsze możesz zatrzymać się u mnie.

Otarła się głową o moje ramię. Popatrzyłam przez okno: na horyzoncie rysowały się Watts Towers, dwie czarne stożkowate czapeczki ze złomu i starego żelastwa. Wybrałam numer poczty głosowej i mocno przycisnęłam słuchawkę do lewego ucha. *Dlaczego* wymieniłam swoją rodzinę na tych ludzi

tutaj? Ty i ta twoja intuicja, o nią rozbijają się wszystkie modele decyzyjne McKinseya.

Boudewijn przemówił do mnie za pośrednictwem chipa mojego operatora, był jedyną osobą, która zwracała się do mnie po niderlandzku. Musiałam bardzo się starać, żeby zrozumieć nagraną przez niego wiadomość. Vince właśnie odpowiadał na pytania Kristin i Rusty'ego o jego plany związane z przeprowadzką do Los Angeles.

„Joni – przemówił głos Boudewijna – jest bardzo źle. Bever rozmawiał przez telefon z Mikiem”.

Bobbi wciąż trzymała mnie za rękę, czułam, że patrzy na mnie zaskoczona, gdy mocno ścisnęłam jej dłoń.

– Wybebeszyli cały dom?

„Wiesz coś o tym? Wyciągnął od Mike'a twój adres w Los Angeles. Co ten Bever kombinuje? Oddzwoń, do cholery!”.

Przed położeniem się spać na twardym jednoosobowym łóżku szuka w torbie na laptopa CD-ROM-u ze zdjęciami ze strony. Odnajduje płytkę, której zeszęlej wiosny w Szanghaju dał się wodzić za nos. Walcząc ze smutkiem i wewnętrznym cenzorem, wybiera pięć zdjęć i wysyła je z kwaśnym posmakiem w ustach do Tineke, tak jak uzgodnili, na ich konto na Hotmailu, które założył kiedyś dla nich dwojga i z którego nigdy nie korzystają.

Następnego dnia rano w ministerstwie dochodzi do zamieszania w związku z programem telewizyjnym na temat pracy rządu, a konkretnie projektu samodzielnej nauki w szkołach średnich. W przegapionym przez niego niedzielnym reportażu określono Sigeriusa mianem chorągiewki, reporter stwierdził, że prowadzi politykę, przeciwko której agitował jeszcze jako rektor. To prawda. Kiedy po ustaleniu strategii z rzecznikiem prasowym zostaje sam w gabinecie, dzwoni do MeesPiersona. Dyskretny *private banker* jak zawsze jest do jego dyspozycji. Kwota – „słuchaj, Michiel, potrzebuję na jutro stu kawałków w gotówce” – brzmi złowrogo, jakby planował zakup materiałów wybuchowych w Kandaharze, żeby wysadzić Catshuis⁵¹. Wybiera oddział w Hadze, gdzie jutro o wpół do dziewiątej rano będzie mógł odebrać banknoty.

– Niestety będę musiał zadać panu kilka wścibskich pytań – mówi chłopak.
– A czemuż to?

– Przepisy, panie Sigerius. Muszę zgłosić pana wypłatę jako transakcję niestandardową.

Okazuje się, że do polecenia wypłaty dołączany jest formularz przesyłany do krajowego biura informacji. Sigerius pyta, czy może zadzwonić w tej sprawie jutro, bo teraz musi wyjść.

Kiedy wieczorem wraca z obowiązkowej kolacji z przedstawicielami Rady Kultury, dzwoni Janis. Przez chwilę Sigerius czuje niepokój: chyba nie chodzi o zdjęcia? Najpierw rozmawiają o programie telewizyjnym, wiele osób ją o to pytało, potem mówi, że dzwoni, żeby mu powiedzieć, iż jedzie z matką tydzień wcześniej do Val-d’Isère, jest już w domu, jutro wczesnym rankiem wyjeżdżają, nie wezmą audi, tylko jej autko, narty są już na dachu – czy bardzo będzie mu przykro, jeśli pojedzie sam?

– Niewymownie przykro – mówi.

Po zakończeniu rozmowy bez mała żałuje, że nie chodziło o zdjęcia. Lubi trzeźwą bezpośredniość Janis; chciałby się dowiedzieć, co ona ma w tej sprawie do powiedzenia, podobnie jak ciekaw jest jej zdania na temat szantażu, któremu zapewne się podda. W łóżku wspomina poważne rozmowy, jakie prowadzili w przeszłości, można je policzyć na palcach jednej ręki, ale zawsze, jak to się mówi, wiele wyjaśniały. Janis jest osobą, która może godzinami leżeć na kanapie i oglądać kolarstwo przełajowe, wyłączyć telewizor tuż przed finiszem i zapytać: „Tato, dlaczego właściwie ożeniłeś się z tą Margriet?”. To było w pewne deszczowe niedzielne popołudnie, byli sami w domu, wciąż zadawała kolejne pytania, a gdy skończył rekonstruować swoje nieszczęsne małżeństwo, było już za późno, żeby skoczyć po chińszczyznę, na którą mieli taką ochotę.

Słyszając w głowie głos Janis, przez kilka godzin kręci się pod kołdrą, która nie daje ciepła, i sam zadaje sobie pytania, jej pytania: „*Po co dziecko, tato, po co dziecko z tą kobietą?*”. Może zapomnieć o spaniu, niespokojne czuwanie przebiera się za sen. Kiedy przewraca się na bok, a potem na drugi, pojawiają się obrazy, łączą się w sznur, który zaczyna się od stu kawałków za milczenie, a kończy na wmanewrowaniu w małżeństwo – jak to się stało, że tak się pograżył? Próbuje zablokować wspomnienia, ale one są nie do zatrzymania: oto i ona, Margrietka Wijn, kruczoczarne włosy upięła w kok jak u piosenkarek z zespołu Supremes, ma zawsze nieco mętne oczy. „*Co ty w niej widziałeś, tato?*”. Naturalnie odgryzł się: „Nie bądź dla mnie taka surowa, młoda damo, miałem dwadzieścia cztery lata, do cholery, co ja wiedziałem o życiu?”. Chcieli go wyżenić, do tego to się sprowadzało, wyżeniła go bratowa. „*Tak, zwal winę na kogoś innego, tato*”. „Ale tak było, do cholery! Dlaczego zawsze musisz walić prawdę prosto z mostu?” „*Bratowa, która cię wyżeniła? Słucham?*” Chce spać, ale jego pamięć jest na każde skinienie młodszej pociechy, nie: budzi umarłych – zamiast samemu zapaść się w ciemnościach, wyławia z niej zmarłych. Ojciec: akurat wyjechał na pół roku do Japonii, gdy jego ojciec zmarł nagle – „właśnie wieształ lampę, Janis, twój dziadek, mój ojciec, spadł, ze stolika, zawał serca, silny amper, który przebił jego serce”. Kiedy kilka miesięcy później wrócił do Delft (oczywiście nie był na pogrzebie), okazało się, że Trompetsteeg czternaście zostało skonfiskowane przez jego brata Freeka z żoną: nagle dwoje prawie trzydziestolatków zaczęło udawać jego rodziców w jeszcze nieostygłym pokoju stołowym. On i Mieke nie przepadali za sobą, kazała mu na kolanach myć podłogę w łazience, wręczając szmatę i wiadro mydlin. „Siemie, za długo

i za często bierzesz prysznic, raz w tygodniu w zupełności wystarczy, a judogi zanoś na przyszłość do pralni. Tak czy nie, Freek?”

W sobotnie wieczory niemalże wykopywała go z domu: „Idź zwiedzać Delft, idź do knajpy”. „To nie chcesz mieć dziewczyny?” – pytanie, które „Takczyniefreek” zadaje co piętnaście minut, więc żeby się odczepiła, mówi, że zna miłą dziewczynę, to siostra Menno Wijna, pochodzi z Utrechtu, miasta, do którego Siem nadal dojeżdża na rowerze cztery razy w tygodniu na treningi judo. Kiedy któregoś piątkowego popołudnia wraca do domu z CIOS, gdzie od niedawna uczy, doznaje szoku: *tam siedzi* Margrietka Wijn, wyprostowana na fotelu jego zmarłego ojca, i gawędzi w najlepsze z Mieke. Wygląda inaczej – wyjaśnia młodszej córce – mniej robotniczo, jak dama, jej włosy lśnią, jakby były pokryte glazurą, nieco opadające powieki umalowane cieniem, na kolanach leży biała skórzana torebka. To sprawka Mieke, bez dwóch zdań, ale jakże miła. Dotychczas nie wyszli poza trochę rumieńców i kilka słów wydukanych w drzwiach na tyłach domu, gdy przychodził po Menno, a teraz rozmawiają ze sobą dobre dwie godziny i jest całkiem przyjemnie: o jej ulubionych zespołach bigbitowych, o sklepie monopolowym na Oude Gracht, gdzie jest kasjerką. Ma niski, nieco melancholijny głos, ale gdy Sigerius żartuje, Margriet zanosi się śmiechem, nieco głośniejszym niż z sarkastycznych dowcipów Freeka. O wpół do dziesiątej Mieke klaszcze w dłoń.

– Siem, odprowadzisz Margriet na dworzec?

Mieke wolałaby, żeby Freek od razu wręczył im obrączki ślubne.

Niewiele pamięta z okresu narzeczeństwa. Zapoznanie z rodzicami Margriet, nerwowe spotkanie w zadymionym pokoju stołowym w Dzielnicy C – dopiero potem się dowiedział, że w szybkim tempie zgarnął z błyszczącego talerzyka wszystkie cztery kawałki ontbijtkoeka i je zjadł; niedzielne spacerunki po Amelisweerd, w trakcie których próbowali prowadzić luźne rozmowy, do czasu aż zasłużyli, by całować się, leżąc na trawie za groblą Vossegatsedijk.

Po trzech miesiącach biorą ślub. Trochę trwało, nim się zorientował, z kim się ożenił, dokładnie tak samo, jak dopiero w noc poślubną w mieszkaniu na piętrze przy Antonius Matthaeuslaan Margriet odkryła jego tatuaż: dwa niebieskozielone japońskie znaki, które kazał sobie wytatuować po turnieju w porcie w Marsylii i które według Menno znaczą „judo” („Czyli *fu jung hai*” – mówi i jest to jeden z niewielu żartów w jej wykonaniu, z których Sigerius się śmieje). Co o sobie wiedzą? Zanim się orientuje, ma wytrysk.

Okazuje się, że jest przeraźliwie leniwa. W te dni, kiedy on rano udziela lekcji samoobrony w Amsterdamie i około pierwszej jest na dworcu

w Utrechcie, skąd dojeżdża rowerem do ich nowego domu przy Antonius Matthaeuslaan, by przed popołudniowym treningiem zrobić sobie kilka kanapek, już z ulicy widzi, że w ich sypialni zasłony są zasunięte. Prawdopodobnie, jak w każdy dzień roboczy, Margriet jest jeszcze w łóżku, które odziedziczyli po ojcu, a na fornirowanym stoliku nocnym stoi pusty talerz po zupie i butelka z resztkami adwokata Zwarte Kip ze sklepu monopolowego, w którym nie pracuje od dnia ślubu. Kiedy komentuje jej odpychającą beczynność – był na obozie szkoleniowym w Japonii, gdzie spało się krótko i głęboko na matach grubości kalki i wstawało razem z innymi zwierzętami w dżungli, najpierw sześciokilometrowy bieg, dopiero potem śniadanie – reaguje zobojętniałą skruchą.

Zgłasza ją do testu, który dzisiaj nazwano by testem kwalifikacji zawodowych, załatwia jej praktyki w zakładzie krawieckim w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Vleutenseweg: szycie sukienek, fastrygowanie marynarek, stebnowanie garniturów – odkrył, że można niezbędne rzeczy kupić za bezcen na sobotnim targu tkanin w Begijnhofie. Z pensji instruktora sportu kupuje dla niej singera, montuje go blisko gniazdka na kuchennym stole. To strzał w dziesiątkę, bo Margriet mówi, że jej się to podoba, że krawcowa to wariatka, opowiada mu ciekawostki o pozostałych kobietach, najczęściej są to skomplikowane intrygi dotyczące miłości i zdrady, z czego wnioskuje, że Margriet jest zakładową powiernicą. Od czasu do czasu jego żona wraca do domu z własnoręcznie uszytą spódnicą albo kurtką, niekiedy szyje też coś dla niego – ma do tego talent, równie dobrze te rzeczy mogłyby pochodzić ze sklepu. I ciężko opisać, co Sigerius czuje, gdy po ponad roku odkrywa, że te rzeczy rzeczywiście pochodzą ze sklepów, że kupiła je z pieniędzy na życie, z pieniędzy na kurs – bo Margriet bez zająknięcia przyznaje, że w tym całym zakładzie była tylko *dwa* razy.

Musi spojrzeć prawdzie w oczy: uwikłał się w małżeństwo z dziwaczką. Ze śpiącą albo pijącą sardynką. W dodatku konfabulantką, przez co rozumie kreatywne kłamstwa, bo Margriet Wijn nie wygłasza półprawd albo zwykłych, ordynarnych kłamstw – ona tworzy *nową* rzeczywistość.

– I ta kobieta zaszła z tobą w ciążę – skwitowała Janis.

– Ta dziewczyna, tak.

W 1970 roku – jakby chciał rozwiązać zadanie z rachunków, najważniejsze zadanie w swoim życiu, teraz to wie, jeden pod drugim spisuje wszystkie powody, dla których nie powinien zrobić jej dzieciaka, dla których powinien wyjść po papierosy albo zaciągnąć się na okręt oceaniczny. Skrupulatnie zlicza wszystkie przeciw i sam jest zdziwiony wynikiem pod kreską: *zapłodnij*

ją.

O wpół do siódmej rano dzwoni jego telefon. To Tineke. Zanim odbiera, robi głęboki wdech i wydech.

– Dlaczego dzwonisz tak wcześnie? – chrypi do telefonu.

Spodziewa się wszystkiego, prawie nie spał.

– Janis bierze prysznic. Zaraz się zbieramy.

– Co sądzisz o zdjęciach?

Tineke się śmieje, to współczujący rechot, wydaje mu się, że wymuszony. Potem mówi:

– Ktoś zrobił cię w balona. To ładna dziewczyna, przyznaję, w dodatku wyjątkowo ordynarna, niczego sobie zdzira i rzeczywiście jest trochę podobna do Joon. Ale to nie ona.

Milczy zdumiony.

– Oprócz tego, że to nie może być ona – ciągnie Tineke – ma jasnoniebieskie oczy i zupełnie inne włosy. To nie ona. – Znów się śmieje. Przez chwilę wydaje mu się, że najrozsądniej będzie też się roześmiać, tak jakby wtórował osobie upośledzonej umysłowo, udawać, że dopiero teraz wszystko zrozumiał, że przejrzał na oczy. Zamiast tego jednak wzdycha. – Nie masz nic do powiedzenia? To jakaś Amerykanka, Siem. Ta twoja dzierlatka. Właściwie to skąd masz te zdjęcia?

– Nie upraszczaj sprawy – warczy. – Rozmawiałem z nią. To ona, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Czy ty się dobrze czujesz?

– Czy ty się dobrze czujesz? Źle ją zrozumiałeś, nie może być inaczej. Myślę, że spanikowałeś. Dlatego wszystko opacznie zinterpretowałeś. Wilbert napędził ci niezłego stracha. To jakiś obrzydliwy żart. Takie jest moje zdanie.

Chociaż Sigerius przypuszcza, że cienka warstwa samooszukiwania się w każdej chwili rozpadnie się na kawałki, Tineke trwa przy swoim. Ona naprawdę w to wierzy. To nie samoobrona, jest o tym święcie przekonana.

– Sam powiedziałeś, że to była krótka rozmowa – słyszy jej głos. – Oczywiście, byłeś zrozpaczony, może nawet rozwścieczony, bo ja wiem? Ten cholernik wyprowadził cię z równowagi. Mylisz się, kochanie. Naprawdę. Czy mam do niej zadzwonić?

– Ani mi się waż, do cholery! – wybucha. Tineke milczy, wstrząśnięta, jak mniema. – Przepraszam – dodaje. – Ja do niej zadzwonię, kochana. Ja to załatwię. Jedź spokojnie do Francji.

Zaraz musi jechać do Leiden na otwarcie kongresu Krajowego Związku

Nauczycielek Akademickich. Włącza lampkę, może zapomnieć o spaniu. Staje na zimnej podłodze i wyjmuje z aktówki przemówienie, które kazał przygotować. Będąc z powrotem w łóżku, rozkłada papiery na kołdrze.

Czy naprawdę ma zamiar zakopać sto kawałków na plaży w Scheveningen?

Godzinę później, zamiast prosto do Leiden, każe kierowcy najpierw zawieźć się przez zakorkowaną Hagę do oddziału MeesPiersona. Niechętnie wymyślił alibi dla pieniędzy, coś związanego z obrazami i domami aukcyjnymi w Nicei i Marsylii, stałe miejsca, gdzie handlarzom płaci się gotówką, i okazało się, że ta historyjka wystarczyła. Volvo stoi na jałowym biegu, gdy wchodzi do biura z małą skórzaną torbą Pumpy kupioną na Denneweg. Młoda kobieta w punkcie informacyjnym dzwoni do kogoś, po czym pojawia się uśmiechnięta dziewczyna, która prowadzi go do pachnącego nową wykładziną pokoju dla klientów. W środku pracownica przelicza rękoma z paznokciami w palemki sto banknotów po tysiąc guldenów, to niespełna półtoracentymetrowa kupka. Wstydzi się banalnej torby sportowej.

Mniej więcej półtorej godziny później ze stoma kawałkami w wewnętrznej kieszeni marynarki przemawia do trzystu profeserek, odpowiada na pytania dotyczące zasmucającego wkładu Holendrów w światowe wskaźniki nauczania, przejrzystości w udzielaniu nominacji, społecznego wyobcowania najważniejszych organów akademickich i, co dziwne, właśnie tam, na podium, podczas sesji plenarnej, czuje wyzwolenie. To naprawdę takie proste? – myśli w trakcie dyskusji. Właśnie teraz, z mikrofonem przy gębie, wystawiony żywcem na atak dwustu sceptycznych kobiet, dochodzi do cennego wniosku: rodzona matka Joni jej nie poznała! On mówi: „Przykro mi, ale to twoja córka”, a ona odpowiada: „Idź się przebadaj”.

– W Holandii musimy pozbyć się – mówi – dziekanów i kierowników katedr, którzy mają uprawnienia do nadawania tytułów profesorskich. W krajach takich jak Stany czy Norwegia każdy zaczyna jako *assistant profesor*, a to, czy dany nauczyciel akademicki awansuje, zależy od liczby publikacji, a nie od przełożonego.

Nie rozpoznała rodzonej córki. Czy jesteś kimś, jeśli nikt cię nie poznaje? Możliwe, że nie. Jeśli po takim wyznaniu, po dildo w e-mailu, Tineke nadal nie wierzy, że na tych zdjęciach jest Joni, to jej tam *nie ma*. Oprócz niego nikt jej nie rozpoznał. On sam uwierzył w to dopiero wtedy, gdy znalazł się na strychu. To ona i nie ona, przypadek bycia i niebycia, dualizm korpuskularno-falowy.

– W Norwegii i Stanach Zjednoczonych – mówi, a jego serce prawie staje

z podniecenia – nikt nikomu nie stoi na drodze i to jest coś, do czego powinniśmy dążyć w Holandii.

Oczywiście, że to nie ona! Docierający do podwyższenia mównicy aplauz dodaje mu odwagi, legitymuje jego uśmiech, zalewa go falą ulgi; nie może inaczej, musi się uśmiechać. Żebyś szczeł, Wilbercie! Żebyś zdechł! *To nie ona!* Przecież sam to widzisz. Zadzwoń do macochy, draniu. Ślepy jesteś? Chyba *widzisz*, że to nie ona?! Na pewno uwierzą Wilbertowi Sigeriusowi. Uwierzą, jeśli mówi to Wilbert Sigerius. Triumfuje, gdy odbiera butelkę wina, i myśli: „Gdybym tylko mógł porozmawiać z Joni”. Gdyby miał jej numer, zadzwoniłby teraz do niej: „Kochanie, słuchaj, zapomnij o tym, co się stało. Nie wiem, czy już słyszałaś, ale to *nie* ty. Jesteśmy z mamą tego pewni. Proszę, przyjeźdź do Francji i zabierz ze sobą Aarona. Powiedz mojemu synowi, że to nie ty”.

Dokładnie tydzień później na ogrzewanym tylnym siedzeniu volvo załatwia ostatnie dwa telefony. Za oknem haskie ulice z torami tramwajowymi i gapiącymi się willami powoli przechodzą w przedmieścia i tereny przemysłowe usiane błyszczącymi, czarnymi biurowcami. Otaczająca go cisza, grudniowy wieczór ciemny jak noc, milcząca siła siedząca za kierownicą, prowadząca go na spokojnym oddechu przez wieczorne korki na autostradę A12, powodują, że w jednej chwili zrzuca z siebie skórę ministra. Tęskni już do tego, co w Królestwie Niderlandów obiecująco nazwano przerwą świąteczną, samochód służbowy, który wiezie go z Binnenhofu do Enschede, jest płytą na stole mikserskim, z każdym kilometrem czuje, że staje się głową rodziny, może nieco poobijaną, ale wciąż tęskniącą za świętami we francuskim kurorcie narciarskim.

Chociaż nie może się doczekać, kiedy zjedzie za Janis z jednego z alpejskich szczytów, cieszy się też na to, co czeka go za chwilę: samotny wieczór we własnym domu, z ulubioną muzyką, spanie we własnym łóżku. Od siedmiu nocy jest wolny od satyrów, ale nawet wolność może być męcząca i wymagająca. Po aplauzie profeserek nadeszły ekstatyczne dni, dni podniecającej dezorientacji, jego myśli zdawały się już krążyć wokół nart. Kiedy wieczorem w mieszkaniu ugasił triumfującą wściekłość butelką cabernet sauvignon, prezentem z kongresu, w ministerialnym notatniku zapisał długopisem absurdatne wyznanie winy dla Aarona i Joni, w dwóch egzemplarzach, list, który naprawdę chciał wysłać, ale gdy następnego dnia rano ponownie go przeczytał w lodowatej ubikacji, od razu spuścił go z wodą.

Tego dnia wypadła dzień plażowy. Jak postanowił, wieczorem, punktualnie o ósmej, nie stanie przy słupku numer sto jeden i nie zakopie torby z pieniędzmi. Taki był wynik jego błogiej wizji, wniosku, za który w cichości serca był bezgranicznie wdzięczny Tineke. Uznał, że nie musi się już obawiać szantażu, dlatego żeby zakorzenić w sobie to przekonanie, w ukryciu pracował w ministerstwie nad poważnym listem do Joni, w którym opisał próbę wyłudzenia pieniędzy przez Wilberta i prosił ją o wsparcie, aby wspólnie stawili mu czoła, gdyby chciał wprowadzić swoje groźby w życie. Ale może przez natłok zajęć i to, że ciągle ktoś mu przeszkadzał, a może dlatego, że czuł wewnętrzną blokadę, część listu dotycząca incydentu z drzwiami przesuwными nie przechodziła mu przez klawiaturę.

Może dlatego w ciągu dnia jego nastrój zaczął się zmieniać, triumf osłabł, on sam zaczął mięknąć, ulegać sentymentalizmowi. Ponieważ bezpośrednie zagrożenie minęło, wyczołgał się z bunkra, poczuł potrzebę wczucia się w emocje syna, w końcu chłopak ma już dwadzieścia dziewięć lat, tyle samo co on, kiedy rzucił Margriet jak psa, ale tak naprawdę jest jeszcze bardzo młody. Macał językiem pojęcie „ministerialnej odpowiedzialności” jak ząb, z którego wypadła plomba. W ciągu dnia, w gabinecie w Zoetermeer, jeszcze jakoś sobie radził, bo umysł był nasycony bieżącymi pilnymi sprawami, ale w drodze na Hooikade nawiedzały go wizje, w których jego syn odgrywał różne role: nagle chłopczyk siedział na krzeselku z przodu jego roweru, on sam zaś pochylał się nad jego miękkimi włoskami przedszkolaka i wściekle pedałowal przez wyludniony Utrecht, ponieważ nie mógł znieść porażki Pomarańczowych w finale mistrzostw świata; potem jako dowodzący chłopak pantera, który piętnaście lat później przyjechał do nich, jak mu się wydawało, żeby rozweselić ten babiniec, a on dla zabawy złapał go na tyłach domu za przeguby dłoni i w rozczulającej sile drzemiącej w nastoletnim ciele poczuł samego siebie; ponura, zwieszona głowa niecały rok później w sali rozpraw w Almelo – wszystko to przewinęło się w jego wspomnieniach. Pomyślał: jaki jest w tym mój udział? Jak on żyje? I za co? Dla kogo? Nie cieszyło go to, ale czuł, że wypuszcza delikatne paki współczucia.

Zaczął padać śnieg, volvo toruje sobie drogę w wirujących płatkach. Dzwoni sekretarz generalny. W trakcie rozmowy z ciemności wyłaniają się zaśniewane tabliczki z nazwami miejscowości i odległościami, przy Deventer na migi pokazuje kierowcy, żeby zatrzymali się przy McDrivie. Na parkingu jedzą McRoyala z frytkami, gawędząc spokojnie o nadchodzącym ostrym mrozie, o trasach narciarskich i najlepszej porze roku na wyjazd na narty.

Do cholery, to twoja krew. Próbował nawet zrozumieć niepohamowaną

złość Wilberta, to było trudne ćwiczenie z empatii, chciał też przygotować się na nadchodzące nieszczęście, pewnie, za tym kryło się również wyrachowanie, obydwaj dostali dożywocie, wreszcie to zrozumiał – ale chciał też zrobić rachunek sumienia: jakie błędy popełnił? Próbował sobie wyobrazić, jak musiał czuć się Wilbert, kiedy trafił do nich jako siedemnastoletni chłopak, ze zrujnowanego mieszkania socjalnego na poddaszu do ich majestatycznego, otoczonego topolami domu na wsi, gdzie dobrze odżywieni, energiczni, odnoszący sukcesy ludzie prowadzili dostatnie, stabilne życie.

Tego typu myśli zaprzętały jego głowę w ministerstwie, a kiedy wieczorem kierowca wysadził go przy Hooikade, wiedział, co powinien zrobić. Zamienił garnitur na dzinsy i bluzę polarową, wziął staroświecką damkę stojącą na dole na klatce schodowej i wyprowadził ją na ulicę. Jednak na plażę. Z nerwową rezygnacją wybrał się w zimny wieczór do Scheveningen – bez pieniędzy, ale z mocnym postanowieniem zaczekania na syna przy słupku numer sto jeden. Wydawało mu się całkiem logiczne, że Wilbert tego samego wieczora wykopie okup, więc chciał zaryzykować. Kiedy stanie z nim oko w oko, musi spróbować nawiązać z nim rozmowę, może uda mu się przywołać go do porządku. Spróbuje oszacować zagrożenie, ocenić poziom agresji u chłopaka. Zanim wyszedł z domu, stanął w kuchni mieszkania wygnańca ze spiczastym nożykiem do krojenia pomidorów w dłoni, ale postanowił nie zabierać go ze sobą. Oczywiście, najpierw chciał uzmysłwić Wilbertowi, że nie ma na czym się oprzeć, że w ich rodzinie nie toleruje się szantażu – lecz bez używania przemocy i z zamiarem zapewnienia go, że tak czy siak, jest członkiem rodziny, bez względu na wszystko, niezależnie od przeszłości. W myślach prowadził tę dziwną rozmowę ojca z synem, która miała ciężki początek i będzie miała prawdopodobnie równie ciężki koniec. Mimo to po raz kolejny chciał wyciągnąć do niego rękę.

I oto czternastego grudnia 2000 roku o godzinie dwudziestej stał na pogrążonej w ciemnościach plaży w Scheveningen, trzęsąc się z zimna, ale tak naprawdę z nerwów. Stojąc tyłem do zimnego przyboju, dreptał wokół słupka numer sto jeden, od czasu do czasu kopał słone drewno, żeby rozładować napięcie, powtarzał w myślach słowa, które za chwilę wypowie, nieustannie przeczesywał wzrokiem ciemną wydmnę, aż poznał wszystkie odcienie czerni: wszechogarniającą ciemność, która pozostała niezmienna – Wilbert się nie zjawiał. Wybiła dziesiąta, jedenasta, podeszło morze, ono tak – i wtedy przyznał, że jest głupcem. Sentymentalnym, naiwnym kutasem.

Weekend spędził w Hadze, nie miał czego szukać w opuszczonym

Enschede. Trochę pracował przy biurku w dziwacznym pokoju stołowym, upiaszczone buty położył na gazecie, zdziwił się, że nie było żadnych wiadomości, nic, żadnych esemesów o niezakopanych torbach z pieniędzmi, ani widu, ani słyhu, a kiedy zwalcowwały go ostatnie dni przed przerwą świąteczną, pracowite dni połączone ze sobą ciągiem imprez noworocznych i podejmowanych w biegu uchwał rządowych, ogarnęły go kompletne, prawie egzystencjalne *wątpliwości*: może jest paranoikiem, kto może go zapewnić, że w ogóle miał do czynienia z Wilbertem? Czyżby stał się ofiarą jakiegoś anonimowego wariata, który w jakiś sposób dowiedział się o aferze z Joni? I chciał napędzić mu porządnego stracha? Witamy w haskiej rzeczywistości. W jakiś dziwny sposób poczuł się jak prowincjusz, gdy we wtorkowe popołudnie przyszedł do tego samego oddziału MeesPiersona, by zwrócić nienaruszone sto kawałków. Całkiem możliwe, że od tygodni żył w fantasmagorycznym poczuciu winy, całkiem możliwe, że jego obawy wiele mówiły na temat jego przeciążonego sumienia, całkiem możliwe, że miał swojego zwariowanego potomka po dziurki w nosie i stąd brały się te urojenia ksobne.

Z kierowcą znalazł sposób na słuchanie w samochodzie muzyki, która z przodu jest prawie niesłyszalna, za to z tyłu owszem. Słucha *Everybody Digs Bill Evans*, swojej ulubionej potrójnej płyty – szybkie, agresywne, zagrane z wirtuozerią kawałki przeplatane mistrzowskimi, wyróżniającymi się, przypominającymi styl Satie, tak... Czym? Nokturnami? Aaron – ciekawe, co u niego. Na ostatnim odcinku autostrady ponawia plan wysłania do Joni maila, najchętniej zanim wyruszy jutro do Francji. To musi być połączenie poważnej wypowiedzi ze spuszczonego w kibelku pijackim listem sprzed tygodnia, wiadomość, w której chce uporządkować sprawy w inteligentny, taktyczny, ojcowski sposób, list, z którego musi wszystko wynikać, to, że zachował jej tajemnicę dla siebie, że już jej nie ocenia, że każdy popełnia błędy młodości.

Każe się wysadzić przy głównym wejściu do kampusu, ostatni odcinek chce pokonać pieszo. Trzymając w jednej ręce laptopa, a w drugiej neseser szczelnie wypełniony dokumentami, idzie wzdłuż budynku rektoratu, bez specjalnych emocji patrzy na szerokie okno swojego dawnego gabinetu; jego następcą ma zaciągnięte żaluzje, świeci się mała lampka. Kampus to lukrowany tort świąteczny, pola poddają się białej kołdrze, broni się jeszcze tylko najszerszy kawałek asfaltu. Przed jednym z akademików przy Calslaan chłopcy prowadzą nieco dziecinną wojnę na śnieżki, z ich ust wydobywa się

para, ochryple krzyki nie wywołują echa. Idąc bulwarem, mija centrum sportowe i las przy Reelaan, potem jest już na Langekampweg. Wokół wysokich latarni wirują śnieżne płatki, pod stopami trzeszczy śnieg, otacza go przytłumiona cisza, która nie może być ciszą przez tysiące wirujących płatków.

W oddali widzi dom – swój dom – przykryty białym puchem, cierpliwy, odporny na wszelkie zakręty życiowe. Chorą nogę przeszywa ból: to zmęczenie wywołane ostatnimi dniami, zmęczenie wywołane ostatnimi *sześcioma miesiącami*. Czuje klucie w sercu, jest wykończony, marzy o kieliszku wina i gorącym prysznicu.

Kiedy w 1985 roku kupili ten dom, na fasadzie wisiała błyszcząca, drewniana tabliczka z wypalonym napisem „MON REFUGE”, jakże adekwatnym. Po podpisaniu aktu notarialnego przystawił drabinę do frontonu i wykręcił kiczowaty, pełen samozadowolenia szyld, a potem palił nim przez cały wieczór w piecu. Na początku musiał się przyzwyczać do ogromnych przestrzeni, do luksusowego wykończenia wewnątrz. Kto podjął decyzję, że się tu zestarzeje, w tej arystokratycznej koncepcji mieszkania? On – a jego ojciec padł trupem w tej ruinie przy Trompetsteeg.

Ma zaśnieżone buty i Tineke poprosiłaby go, żeby wszedł od tyłu, ale nie ma na to siły. Z westchnieniem otwiera ciężkie drzwi, jeden z ich kotów pryska między jego nogami na zewnątrz. Otrzepuje buty ze śniegu, w końcu postanawia je zdjąć. Pod stopami w skarpetkach czuje ogrzewanie podłogowe. Jego narty stoją oparte o komodę u dołu schodów – Janis ściągnęła je dla niego ze strychu. Zgarnia z wycieraczki plik kartek świątecznych, bezszelestnie wchodzi do salonu, kładzie teczkę z papierami między stojakiem na gazety a dużą lampą rzucającą ciepłe, delikatne światło. W wyniku włamania do warsztatu Tineke trzy lata temu łupem padły wiertarka, ponad dwieście sztuk narzędzi i prawie wszystko, co miało wtyczkę i dało się unieść, więc koniecznie chciała mieć czujnik zmierzchu włączający światła po zmroku, urządzenie, do którego postanowił się nie wtrącać. Z nagłej potrzeby stworzenia domowej atmosfery zapala lampki na choince.

Z regału obok barku wyjmuje napoczętą butelkę czerwonego wina, napełnia nim kieliszek i pada w rogu kanapy, zmęczone nogi kładzie na stoliku. Rzadko się zdarza, że jest tu zupełnie sam. Sterany jak koń, patrzy na przestronny, oszczędnie umeblowany pokój i żałuje, że w tygodniu zostawia tu Tineke samą sobie. Obok jego stóp leży otwarty magazyn kobiecy „Nouveau”. A może tak jest jej dobrze – myśli.

Wyjmuje laptopa z torby i go włącza. List. Zrób to natychmiast, jutro musisz wcześniej wyjechać. Po południu, w ministerstwie, sprawdził trasę: Metz – Nancy – Lyon – Grenoble, to praktycznie droga do Sainte-Maxime. Ma zamiar zrobić aluzję do ich łodzi, jeszcze nie wie jak – może z lekkim zdziwieniem? W każdym razie w Val-d’Isère chce im przekazać dobre nowiny: jeśli znajdzie odpowiednie słowa, chce zakończyć maila propozycją Tineke, by odwiedzić Joni po Nowym Roku w Dolinie Krzemowej.

Nie zdążył otworzyć Worda, bo zapadł w sen, przez jego umysł przelatują fragmenty snów jak wspomnienia wspomnień, śni mu się jakiś chłopak z głęboko osadzonymi oczami, w długim ocieplaczu. Kiedy gwałtownie się wybudza, nie wie jak długo drzemał, jest wykończony, ma spoconą twarz – zarósł, musi się koniecznie ogolić – i mrówki w chorej nodze. Stwierdza, że znów jest głodny, w powietrzu czuje słaby zapach jedzenia, coś tłustego, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Jest wpół do dziesiątej, zdejmuje laptopa z kolan i postanawia najpierw wziąć prysznic. Wychodząc z salonu, szuka odpowiednich sformułowań, zdań, które wyjaśnią jej, jak to się stało, że widziała go nago czy jakoś tak. Może powinien zdobyć się na maksymalną szczerość, po prostu opisać to, co się stało.

W holu myśli nad tym, co powiedziała Tineke dwa tygodnie temu – uwaga ta trochę go wystraszyła: „Tak się cieszę, że właściwie wszystko mamy na dole, bo kolana chcą mi pęknąć, gdy wchodzę po schodach”. Może powinni porozmawiać o jakimś drastycznym rozwiązaniu, o zmniejszeniu żołądka czy czymś podobnym, chociaż nie wie, jak ubrać swoją propozycję w słowa.

Tak czy siak, to dobry pomysł – myśli, gdy rozbiera się w sypialni. Jednym z przyjemnych odkryć po wprowadzeniu się do tego domu było to, że prosto z łóżka wchodzi się do łazienki, a po kąpielii drugimi drzwiami można wejść prosto do garderoby, która z kolei jest połączona z sypialnią. Drży, w środku jest mroźno. Zasłony są jeszcze zaciągnięte, ktoś spał po jego stronie łóżka, myśl, że tam sypia jego żona, kiedy nie ma go w domu, nie tyle go wzruszy, ile rozczuli: to pierwszy krok do współczucia. Z westchnieniem ulgi odpina guzik spodni, ma wzdęty brzuch od tego świństwa z McDonalda, w lustrze przy drzwiach do łazienki ogląda swój tors, z przyzwyczajenia pociera tatuaż na piersi.

A może powinien opisać wszystko ze szczegółami? Na kilku kartkach A4, jak opowiadanie? Zaczynając od wieczoru w hotelu w Szanghaju, gdy wydawało mu się, że ją rozpoznał, i kończąc na śledztwie w domu Aarona, albo jeszcze bardziej cofnąć się w czasie... W łazience napełnia jedną z umywalek letnią wodą i zdejmuje wieczko z pojemnika z mydłem do

golenia. Takie wyznanie jest w sumie trochę śmieszne. Od wczoraj ma na lewym skrzydełku nosa bolesne zaczerwienienie, skóra jest w tym miejscu napięta. Dawniej, w Delft, gdy chodził jeszcze do gimnazjum, a brat nękał go opowieściami o furunkule matki, bał się dotykać pryszczy na twarzy, nie mówiąc o ich wyciskaniu. Ale to minęło. Przykłada kciuki do lewego skrzydełka nosa, pochyla się do lustra i wyciska pryszcz. O co tak naprawdę w tym chodzi? Skóra wokół dziurki od nosa napina się, przechodzi z czerwieni w biel, ból jest miejscowy i obiecujący. Chodzi o to, żeby Joni zrozumiała, że nie chodzi mu o nią...

W prawym górnym rogu lustra coś się poruszyło. Ponieważ zrobił zeza, koncentrując się na pryszczu, najpierw dostrzega różową plamę. *Ktoś za nim stoi.* Łuk mięśni łączących jego zimne stopy i pośladki z pochylonymi do przodu ramionami zamarza. Przenosi spojrzenie jak ciężki głaz w górny róg lustra. Wstrzymuje oddech, wpatrując się w wykrzywioną twarz.

– *Ty parszywy psie.* Jesteś mi coś winien.

Zaraz po tym, jak słowa eksplodowały w jego przewodach słuchowych, powietrze wypełnia się świstem. Coś ciężkiego, jakby napędzanego białą gorączką, trafia go w bok i żebra. Przedmiot, którym zamachnął się na niego Wilbert, dotkliwie rani go w brzuch, przeszywający ból z łatwością zagłusza bolesność na nosie. Ręce lecą w dół, łapie się krawędzi umywalki, która chrzęści w spoinie, pojemnik z mydłem spada na posadzkę. Musi mocno się trzymać, żeby nie upaść.

– Już się rozebrałeś.

Coś odpowiada, ale nie ma pojęcia co.

– A kogo się tutaj spodziewałeś, koniobijco? Przybranej suczki?

Za drugim razem nunczako trafia go w szyję z paralizującą siłą: błyskawicznie rozprzestrzeniający się ból promieniuje w kierunku szczęki. (Nunczako – tak nazywa się preceniana, ordynarna broń użyta przez Wilberta, dwa spore stalowe uchwyty połączone krótkim łańcuchem, podwójny cep, który wyblakła sława zawdzięcza filmom z Bruce'em Lee. Kiedyś było ulubioną zabawką ogolonych na łyso testosteronowych granatów wywołujących zadymy na imprezach publicznych albo meczach piłkarskich). Z rozdziawionymi z bólu ustami widzi w lustrze, że Wilbert chce coś powiedzieć. Drań uważa, że ma na to czas. Nic bardziej mylnego. *Gdybyś wiedział, z kim masz do czynienia, bydlaku, to nie stanąłbyś tak blisko mnie.*

Dziwne, jak to działa, ale już w pierwszej sekundzie zbiera istotne dane. Od razu po pierwszym uderzeniu dokonuje analizy sytuacji. Odległość między nim a framugą. Rozkład sił: jego przeciwnik jest wojowniczy i uzbrojony, on

sam jest nieźle wyćwiczony, ale stary i zmęczony – cios zwątpienia, czy jest w stanie odeprzeć atak recydywisty w kwiecie wieku? Krucha nagość wydaje się działać na jego niekorzyść, ale mimo że jest upokarzająca, ma też pewną zaletę: ciężko go chwycić. Moment, ten skurwysyn chce się bić, wybrał sobie właściwą porę, czyli teraz. Jednocześnie podejrzewa, że właśnie obudził Wilberta, że to ta świnia skotłowała pościel w ich łóżu małżeńskim – ta myśl go napędza.

– Dosyć pierdolenia, koniobijco, przyszedłem po moją ka...

Sigerius z jękiem odbija się od umywalki, robi duży krok lewą nogą w kierunku drzwi, dociąga prawą, wygina lewe ramię i wbija je niczym taran w krępa klatkę piersiową, sztywną masę, która niechętnie poddaje się nieuniknionemu ciosowi. Powoli przewracają się na podłogę, jest zaprogramowany na to, żeby chwycić przeciwnika za nogawki spodni, dłonie wczepiają się w szeroką bawełnianą tkaninę na łydkach i w tylnej części kolan, chwycić go jak najniżej, zaraz potem łapie drania za kopyta, podnosi je do góry, trzeba działać gwałtownie, to sprawdzona, brutalna technika. Scaleni w jedno ciało wpadają do garderoby, Wilbert nie ma czasu złapać się ościeżnicy, chwilę później wali potylicą w niską szafkę na buty naprzeciwko drzwi, rozlega się głucho, twarde uderzenie, Sigerius jeszcze raz wbija ramię w umięśnioną klatkę piersiową, coś trzaska, pisk strun głosowych, w nozdrzach czuje alkohol.

Leżą oszołomieni na plecach, Sigerius na napastniku.

Wtedy coś zimnego i twardego uderza go w brodę: łańcuch nunczaka, oczka trą o skórę. Odruchowo dociska brodę do piersi, żelazo przesuwa się po zaroście, natychmiast pojawia się ostry ból. Łańcuch zsuwa się do gardła, chwytą go palcami lewej dłoni, opuszki zaciśnięte między oczkami a jabłkiem Adama. W lewym uchu słyszy wyjątkowo głośno ciężki oddech Wilberta, który idzie w parze ze śliną; Sigerius warczy, szarpiąc za pałki, jego grdyka jest ściśnięta. Rozdaje ciosy do tyłu, łokciem wali w ramię Wilberta, mocne razy w bark i ramię, jednocześnie ma coraz mniej powietrza, charczy, w pulsującej głowie zbiera się krew. Właśnie tego się obawiał, już od dawna, od chwili, gdy zrozumiał, że chłopak jest nieokiełznany, niepohamowany – że nie da mu rady.

Ostatkiem sił wciąga mięśnie brzucha, a są to mięśnie goryla. Kolana podrywają się do góry, wyrzuca je jak najdalej do tyłu, prawe kolano ląduje z plaśnięciem na twarzy Wilberta, *a masz, skurwielu* – uderzenie jest mocne, chłopak jęczy, nunczako wyślizguje mu się z lewej ręki i odbija się głucho od piersi Sigeriusa. Kaszłąc i plując śliną, łapie Wilberta za lewą rękę, zaciska

obydwie dłonie na jego przegubie i jak we śnie – *jakby śniło mu się judo, tak jak często śni o judo* – używa techniki, którą kiedyś opanował do perfekcji: klasycznej dźwigni krzyżowej, juji gatame, te słowa rozbrzmiewają w jego głowie jak imię i nazwisko najlepszego przyjaciela. W ułamku sekundy obraca swoje ciało w poprzek ciała Wilberta, przerzuca lewą nogę nad jego umięśnioną klatką piersiową, prawą nad gardłem i ramionami, kontakt, kontrola, płynny ruch, *dźwignia z mięśni*. Ogarnia go uczucie szczęścia: po słabym oporze orientuje się, że jest tutaj tylko jeden judoka. Wilbert okłada go na ślepo nunczakiem, stalowa pałka smaga go po udzie, ale prawie tego nie czuje. Spocona dłoń leży w imadle jego rąk, dociska ramię Wilberta – czuje, że to silne, wytrenowane ramię – do własnego brzucha i piersi, wszystko dzieje się tak szybko, idealnie wyprostowane, nie, przeprostowane ramię. Gdyby chciał, odgryzłby mu kciuk. To nie będzie potrzebne: wystarczy, że lekko napnie mięśnie pleców, zrobią się nieco wklęsłe, wypchnie brzuch pod łokciem i każdy zaczyna śpiewać. Wilbert podnosi zakrwawioną twarz i próbuje ugryźć go w łydkę, dziko kopie w szafkę na buty. Sigerius zdejmuje jedną rękę z nadgarstka i wypycha głowę Wilberta do tyłu, ciągnąc za cienkie włosy. Napina plecy. Wilbert natychmiast zaczyna krzyczeć, głośny wrzask wydobywający się z zakrwawionych ust – tak, to boli, on to wie, nikt nie jest na to odporny, ani Geesink, ani Ruska, ani ty. Krzyki przechodzą w ryk, nie czuje współczucia, tylko głęboką satysfakcję, słyszy trzask stawu, a może to rozkosz? To czysta przyjemność. Bezkresne, sadystyczne zadowolenie.

– Przestaaań, przestaaań, skurwielu!

Trzyma go w uścisku, dochodząc do punktu, w którym przerywał setki razy, wrzaski stają się zwierzęce, plecy jeszcze bardziej wklęsłe – a krzycz sobie, nikt cię nie usłyszy. Przekracza granicę jak we śnie, bezlitośnie wypycha brzuch, pięty wbijają się w dywan. Słyszy głuchy, straszliwy trzask i wtórujący mu zachrypnięty krzyk, kość łamie się, jakby to była noga od stołu, łokieć się rozpada, wygina się nienaturalnie prawie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ramię traci siłę, flaczeje, rękaw swetra wypełnia się krwią, czuje jej ciepło na brzuchu i coś ostrego, kość musiała przebić skórę.

– Właśnie tak to się kończy, do cholery! – wrzeszczy.

Najpierw Sigerius wściekle okręca ramię, jakby chciał się go pozbyć, potem zrzuca z siebie wrzeszczącą szmacianą lalkę, która mimo wszystko znów zaczyna się ruszać i podnosi się na kolanach jak dogorywająca kura, na przeraźliwie brzydkiej twarzy maluje się czysta panika, usta to zgnieciony

pomidor. Ból musiał wypełnić całe ciało Wilberta, głośno pojękuje, jakby płakał na sucho, wygląda na to, że nawet nie rozważa dalszej walki. Skonsternowany gapi się na zmasakrowany łokieć, zdrową ręką obejmuje połamany staw, po palcach ścieka mu krew.

– Zabiję cię – szlocha, ale zamiast to zrobić, wypelza z garderoby jak krab. Potyka się o galwanizowaną nogę stojaka z sukienkami Tineke, z głośnym hukiem nurkuje w błyszczących materiałach, niezdarnie podnosi się, charcząc ochryple, wbiega do sypialni.

Czy powinien go gonić? Sigerius leży na plecach. Chwilę później w holu słyhać jęk i lament, głucho dudnienie kroków. Drzwi, drzwi do salonu, zamykają się z głośnym trzaskiem – wróg jest tam, a on tu, rozciągnięty na dywanie w garderobie.

Przez długie minuty leży jak zabity. Piers podnosi się i opada. Szczękają mu zęby – z wysiłku, ze strachu, z zimna. Mróz aż skrzypi, wgryza się w mokre ciało. Wtedy nagle przytomnieje: drań może wrócić. Z nożem. Z pistoletem. Jak mógł być tak głupi, żeby go puścić? Powinien był go tu zatrzymać, zastosować technikę trzymania, a on wypuścił psychopatę.

– Cholera – szepcze.

Wstaje – wszystko go boli, ścięгна wydają się o połowę krótsze, ma zadrapania i siniaki na całym ciele, broda krwawi, ma zdartą skórę – i przechodzi przez łazienkę do sypialni. Co mógł zrobić? Trzymać tego śmiecia przez całe święta? Nasłuchując, ze wzrokiem wbitym w drzwi prowadzące na korytarz, szybko wkłada slipy, spodnie od garnituru, z krzesła w rogu pokoju ściąga sweter rybacki, wciąż zerka na drzwi. Wkłada skarpetki, wciska stopy w buty. W oddali słyszy dźwięki, jakiś rumor w salonie, jakby spadały ciężkie przedmioty – co ten wariat wyczynia? Co może zrobić on sam? Zadzwoić na policję? Pod sto dwanaście?

Niezależnie od odpowiedzi, czy tego chce, czy to rozsądne, wszystkie telefony leżą w salonie. I klucze. Może opuścić dom drzwiami wejściowymi, znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Tak, może pójść do kampusu. Albo do sąsiadów. Ale co potem? Ma odpuścić? Zawiązuje sznurowadła, nie spuszczając oka z drzwi. Nie. Na razie nie będzie nic robił. Gramoli się na łóżko i maca podłogę od strony Tineke. Rzeczywiście, pod łóżkiem jest kij hokejowy. Odkąd w tygodniu zaczął nocować w Hadze, leży tam stary kij Joni. Ale zmienia zdanie i wchodzi do garderoby. Nunczako leży pomiędzy butami, które wysypały się z szafki.

Z bronią w ręku staje w drzwiach do sypialni i zerka przez czarną spiralę

schodów głębiej w ciemne czeluści holu. Na końcu dostrzega światło, przez matowe szkło drzwi prowadzących do salonu wpada żółty promień. Czeką, to trwa przez wiele minut. Chwilami wydaje mu się, że oprócz swojego sapania coś słyszy, cichy hałas, odgłosy kroków. Nieźle oberwał, pieką go niebiesko-fioletowe ślady po żelaznej pałce nunczaka, ma stłuczone żebra, może nawet są połamane. Zziębnięty siada w kucki, jak najbliższej letnich kafli. Wciąż od nowa odtwarza bójkę, moment, w którym pociągnął dźwignię, to niewiarygodne uczucie. Drżące, cierpiące ciało jego syna pod nim, jego zapach, bezbronna siła w ręce, trzask kości.

Nie może tu wiecznie siedzieć w kucki. Trzymając nunczako luźno w garści, stara się jak najciszej iść do salonu. Na łupkowych płytkach widać nieregularny ślad kropel krwi. Przechodzi obok drzwi wejściowych, widzi, że Wilbert przekręcił zamek, więc nawet nie może się wydostać z domu, chyba że jak złodziej przez okno. Przystaje przed drzwiami do salonu. Sowim wzrokiem zagląda przez grube szkło, ale nic nie widzi. Musi jeszcze odczekać. Daj mu czas, żeby się stąd wyniósł, może już sobie poszedł, zrezygnowany, pokonany, całkowicie wyleczony z zemsty – może wszystko jakoś samo się poukłada.

Może powinien przestać tak myśleć.

Na klamce jest krew, naciska, zimna miedź chłodzi pot spływający mu po palcach. Popycha drzwi i robi krok do tyłu. Z holu patrzy na salon, kiedyś ostoję bezpieczeństwa. W środku jest cicho i ciepło. Żadne krzesło nie jest zajęte, ciemnoróżowe kanapy są puste. Gdzieś błyszczą plamki: to krew. Jedyne miejsce, z którego może przyjść zagrożenie, znajduje się zaraz po prawej, przy framudze. Robi krok do przodu i wali mocno nunczakiem, rękojeść odbija się od ceglanej ściany, zaprawa osypuje się na podłogę. W trzech susach jest w pokoju i rozgląda się dookoła.

Stalowe szuflady komody stojącej przy ceglanej ścianie po drugiej stronie zostały wyjęte, a ich zawartość wysypana na podłogę – kawał dobrej roboty jak na kogoś z jedną sprawną ręką. Podłoga jest zavalona papierami, segregatorami z wyciągami bankowymi, długopisami i konfetti wysypanym z dziurkacza. Czuje ostry zapach alkoholu. Barek, na drugiej ścianie, jest otwarty, na płytkach leżą dwie roztrzaskane butelki we własnych sokach.

Może usiąść na oszklonej werandzie albo w kuchni. Albo w piwniczce na wino. Telefony komórkowe leżą na stole w salonie, dokładnie tam, gdzie je położył. Telefon stacjonarny jest wypięty z bazy, nie widzi go. Jeśli chłopak ma broń, to on nie powinien tu stać, bo stanowi nieosłonięty, precyzyjnie wystawiony cel. Ale jeśli ma pistolet, to dlaczego od razu go nie użył?

– Wilbercie? – krzyczy. Jego głos brzmi mętnie, niepewnie, chrząka i czeka. Śnieg delikatnie uderza w okna. – Wilbert? Wiem, że mnie słyszysz – mówi bez planu. Jak głęboko sięga jego przekonanie, że słowa przeważają nad kontaktem fizycznym? Jak naiwne jest to przekonanie? – Jeśli jeszcze tu jesteś – jego głos odbija się od ścian – to znaczy, że mnie słyszysz. Nie musisz nic mówić. Tylko mnie posłuchaj. Nie mam tych pieniędzy. Zwróciłem je do banku. Ale słuchaj. Jeśli chodzi ci o pieniądze... – Nie może złapać tchu, napięcie jest zbyt duże. Przełyka ślinę, robi przerwę. – Jeśli naprawdę chodzi ci o pieniądze, to musimy porozmawiać. Jak dwóch dorosłych mężczyzn. Bójkę mamy już za sobą. Ja mam już dość, wierz mi.

Panuje idealna cisza. Jego umysł produkuje pierwotne okrzyki i strzały z pistoletu, ale wciąż jest cicho.

– Nie powinniśmy się bić, Wilbercie. Powinniśmy porozmawiać. O tobie, o przyszłości. Wilbercie?

Chcąc wzmocnić swoje słowa, kuca i delikatnie odsuwa po płytkach nunczako, metr od siebie. W dodatku kompletnie bez namysłu – improwizuje. Zbliża puste ręce do piersi, wewnętrzną stroną dłoni skierowane w stronę ciemnej dziury oszklonej werandy.

– Wilbercie, myślałem o tobie. Może mi nie wierzysz, ale to szczerą prawdą. Może nie teraz, ale w ostatnich latach. Co ja mówię? Od początku myślałem o tobie. Słyszysz mnie?

Milknie, to zbyt patetyczne. Jest za późno. Mimo to ciągnie:

– Wiem, że masz mi wiele do zarzucenia, wiem o tym. Ale to działa w obie strony. Ja tobie też mam wiele do zarzucenia. Ale posłuchaj, jesteśmy jeszcze młodzi, obydwaj. Ale ty jesteś bardzo młody. Uświadomiłem sobie, że kiedy byłem w twoim wieku, Wilbercie, ciebie nie było jeszcze na świecie.

To niezupełnie prawda i Sigerius zastanawia się, czy to, co chce powiedzieć, jest prawdą. Ma wrażenie, jakby znalazł się na scenie, patrzy na siebie z łoży i widzi kiepskiego aktora, mężczyznę, który próbuje ratować skórę mało prawdopodobnym, źle wyuczonym tekstem sztuki. Jednocześnie każde słowo jest szczerą.

– Chociaż wydaje się, że wszystko stracone, to tak naprawdę nic nie jest stracone. Jesteś wolnym człowiekiem, a ja jestem twoim ojcem, Wilbercie. Chciałbym bardzo, żebyś prowadził zwyczajne życie, i jestem gotów ci w tym pomóc. Słyszysz? Potraktujmy tę... sytuację jak dno. Dotknęliśmy dna. Spróbujmy...

W tym momencie dzwoni telefon stacjonarny. Z aparatu płynie elektroniczna melodyjka, a on prawie dostaje zawału, tak bardzo się

wystraszył. Dzwonek najpierw rozbrzmiewa w pustej bazie, a potem jak echo dochodzi z kuchni – tam leży słuchawka. Czy on też tam jest? Melodyjka wciąż dzwoni i dzwoni. Stoi tam z aparatem w ręku? Włącza się automatyczna sekretarka, głośnik jest włączony, jak zawsze, nigdy nie udało im się ustalić, dlaczego tak jest. Słyszy, jak jego własny głos, niski, dziwny i zadowolony, wymienia ich imiona i prosi o pozostawienie wiadomości. Słysząc sygnał, a potem jego żonę:

„Cześć, skarbie. Co u ciebie? Pomyślałam, że zadzwonię, żeby życzyć ci miłej podróży jutro... ale chyba leżysz już w łóżku. Pewnie jesteś skonany, mam nadzieję, że się wyśpisz i jutro wsiądziesz wypoczęty do auta. Cóż, eee... tu jest fajnie, jest dużo śniegu. Hans i Ria przyjechali przedwczoraj, miło spędzamy czas. Tęsknimy za tobą, wiesz? Dobra. To do jutra. Przygotuj sobie termofor. Hans twierdzi, że u ciebie jest zimniej niż tutaj. Do zobaczenia, skarbie. Jedź ostrożnie”. Odgłos odkładanej słuchawki brzmi tak, jakby ktoś dał mu w ucho, nerwowy sygnał zajętej linii roznosi się po salonie.

Czuje niesmak, głos żony go otrzeźwił, podobnie jak intymna treść, ale w szczególności jej swojski, pojednawczy ton. Tineke nie ma pojęcia o jego nieszczęsnym położeniu. Wszystko to uwypukla szaleństwo dzisiejszego wieczoru, jego kłamliwą gadkę w tym pokoju, trzask złamanego łokcia Wilberta. Głos Tineke przeciwko trzaskowi.

Dwoma susami dopada barku, pod stopami chrzęszczą odłamki szkła w kałuży baileysa, kuca obok rozbitej butelki, plecami do lodowatej, ceglanej ściany, nasłuchując, czekając. Wkłada w brązowy likier palec wskazujący i oblizuje go.

Jak długo tak siedzi? Godzinę? Nie wie. Ma mrówki w nogach, stracił czucie w palcach stóp. Siedzi aż do utraty wiary. Chłopak się ulotnił. Już dawno trafił na pogotowie, ma już założony gips. Oprócz Sigeriusa w domu nikogo nie ma.

Wstaje i wchodzi na oszkloną werandę. Po omacku znajduje włącznik lampy stołowej, następuje eksplozja światła: nic. Siada przy stole, sapiąc z wysiłku. Na szklanym dachu leży coś, co wydaje się ciemniejsze niż noc: to śnieg, oczywiście. Widzi swoje odbicie w szybie rozciągającej się na całej długości pomieszczenia. Natychmiast wstaje i zaciemnia wystawę, w której stanął. Kryształki śniegu lepią się do otaczającego go szkła. Jakie niebezpieczeństwo stanowi mężczyzna z jedną ręką, z jedną dłonią? Żadne, nawet jeśli ma do dyspozycji piły lub młotki. Z tą samą odwagą kieruje się sztywnym krokiem do kuchni: ani żywej duszy. Pali się światło nad zlewem, na blacie leży opakowanie paracetamolu, obok blister, z którego wyciśnięto

cztery tabletki. Maca zdartą brodę, tamuje krew kawałkiem ręcznika papierowego. Łyka trzy tabletki.

Telefon leży w zlewie, dziwne, a obok stoi butelka alkoholu. Rum. To litrowy rum z paczki przygotowanej z okazji wiosennych obchodów kolejnego lustrum uczelni, Lust Rum, butelkowany specjalnie dla Tubantii tani sikacz. Podnosi butelkę i stwierdza, że jest w trzech czwartych opróżniona. Była nienaruszona, jest tego pewien. W ułamku sekundy widzi, że w bloku na noże kuchenne brakuje jednego noża. Gwałtownie się odwraca, rozgląda wokoło. Odpręż się. Ten nożyk leży grzecznie w zmywarce. Wilberta nie ma. Mimo to wyjmuje krótki nóż do mięsa. Kieruje się do schodów prowadzących do piwnicy, odwraca się, wraca do blatu. Wszystko go boli. Bierze łyk rumu, to trucizna, i wraca do dziury w podłodze. Schody trzeszczą, w ostatnich miesiącach rzadko tu zaglądał, kurz na betonowej podłodze świadczy o tym, że nikt po niej nie chodził. Mimo to sprawdza każdy regał.

W końcu chwiejnym krokiem kieruje się do letniej kuchni, w środku panuje przerażający chłód, z jego ust wydobywają się obłoczki pary. Drzwi na taras są uchylone, jedna z szyb jest zbita. A więc to tak wszedłeś do środka. Zamyka drzwi, przekręca klucz w zamku i go wyjmuje, zasuwa zasuwkę.

Co teraz? Jest sterany jak wół, ale nie może zasnąć. Samochód napędzany jego adrenaliną zawiezie go do Francji. Myśl, żeby zaciągnąć zasłony, przykręcić ogrzewanie i położyć się w łóżku, jest groteskowa. Naczytał się wystarczająco dużo kiepskich thrillerów, naoglądał wystarczająco dużo hollywoodzkich filmów, żeby zrozumieć, że ten dom jest ostatnim miejscem na ziemi, w którym może spać. Wskocz w piżamkę, umyj ząbki i idź się położyć w oczekiwaniu na fabułę. Na pożar wzniecony benzyną z warsztatu Tineke. Na prawie zamarzniętą lufę przyłożoną do jego karku, gdy rano zapuści silnik. Na siekierę – obudzi się w środku nocy, z czymś palcem na czole, puk, puk, wstawaj ziomalu, po czym jego czaszka zostanie rozłupana siekierą, której Tineke używa każdej jesieni do rąbania drewna.

Musi posprzątać. Chwilę trwa, nim rozgryza mechanizm, ale w końcu szuflady dają się gładko wsunąć w komodę. Układa koperty jedna na drugiej, sprawnie zamiata konfetti, zbiera z podłogi wszystkie długopisy i ołówki. Przy każdym ruchu doznaje przemieszczenia żeber. Wyławia odłamki szkła z likieru, wyciera podłogę mokrą ścierką. Nie ma odwagi włączyć odkurzacza – musi wszystko słyszeć. Trzęsąc się z zimna, odrywa w letniej kuchni kawałek kartonu z pudła z winem, wstawia w miejsce wybitej szyby i przykleja taśmą klejącą.

Postanowił wyjechać dzisiejszej nocy, to znaczy najszybciej jak się da. Kiedy usuwa wszystkie ślady groteskowej bójki – krople krwi w holu i salonie traktuje uniwersalnym środkiem czyszczącym, starannie odwiesza sukienki Tineke na miejsce, układa buty parami w szafce, mokrą ścierką wyciera krew z krawędzi – uspokaja się i rozmyśla nad bezfabułowścią wieczoru. Rozegrała się niezakończona tragedia, bez katharsis, bez rozwiązania, rozpacz tylko się pogłębiła. A niebawem? Niebawem wszyscy będą oczekiwać, że dołączy do rodziny, do Rii i Hansa, przywitają się – i co potem? Przyjdą święta, wyjawi wszystko Tineke albo i nie – i co potem? Po Nowym Roku jak zwykle pojedzie do Hagi, a kiedy jego ekipa zapyta go, jak minęła mu przerwa świąteczna, odpowie, że była orzeźwiająca.

Dzisiaj wczesnym rankiem złapał pociąg do Brukseli i przed wizytą u psychiatry odwiedził biuro podróży. Przy wyfrezowanym stole ze sklejki pracownica nafaszerowała go jak gęś tuluską folderami na temat Kalifornii, najpiękniejszych tras widokowych na autostradzie I, parków narodowych, jakżeby inaczej, Doliny Śmierci i wielu innych atrakcji. Dopiero gdy się wygadała, wyjawiał swoje szczególne zainteresowanie Los Angeles.

Jeszcze niczego nie zarezerwował, na razie tylko chciał się zorientować. Planował spędzenie części lata w Santa Monica, może wynajmie apartament przy plaży, ewentualnie zarezerwuje jakiś hotel. Staż fotograficzny – właśnie tak próbował to w dalszej części dnia sprzedać Herreweghemu, psychiatrze, do którego chodził od około ośmiu lat i którego załatwiła mu Elizabeth Haitink. Ale on nie dał się na to nabrać. Herreweghe nie był typem obserwatora, jak Haitink, lecz korektorem, lekarzem występującym w roli kuratora; pozbawiony poczucia humoru, rzeczowy Herreweghe zarządzał ludzką psychę.

Wyścielany pluszem gabinet wydawał mu się typowo belgijski, sprawiał wrażenie, jakby Jung lub Reich w sąsiednim pomieszczeniu odważali porcję opiatów, a ciężkie, masywne meble, samowładne regały na książki z drewna wiązowego, gdzie za szkłem stały oprawione w skórę czasopisma medyczne, przypominały pacjentowi, że nic nie wie o swoim ja.

– Przez te wszystkie lata nawet nie wyściubiłeś nosa poza Belgię – powiedział Herreweghe.

– Venlo – odparł.

– Venlo. A teraz Los Angeles.

Aaron nie wypowiadał się wprost, co wiele mówiło o prawdziwym charakterze jego planów. Opowiedział Herreweghemu o korespondencji mailowej z przyjaciółką, która wyemigrowała do Stanów, o tym, jak inspirująco opisywała swoją nową ojczyznę, że go tym zaraziła, całe życie marzył, żeby kiedyś wybrać się za ocean – i jeszcze więcej wodolejstwa, przez chwilę wyglądało na to, że się wywinie, rozmowa zesza już na temat zaświadczenia o przyjmowanych lekach i numerów alarmowych. Psychiatrze nic do tego, że Aaron chce pojechać do Santa Monica ze względu na Joni, wstydził się tego. Wiedział, że jako nauczyciel akademicki, Herreweghe jest związany z instytutem rządowym zajmującym się stalkerami, facetami

z obsesją, których wymiar sprawiedliwości wysadzał z busika przy jego gabinecie. Bał się, że padnie słowo na „s”, wprawdzie byłoby to bezpodstawne oskarżenie, ale prawdopodobnie nie do uniknięcia.

– Jak nazywa się twoja amerykańska przyjaciółka?

Próbował zmyślić jakieś imię. Niestety lekarzowi wystarczył jeden skurcz mięśni twarzy Aarona, żeby zarzucił sieci.

– Czy to Joni?

– Nie zamierzam jej odwiedzać.

Czuł, że zbladł. Mimo to w pewnym sensie mówił prawdę: nie miał co liczyć na zaplanowane spotkanie z Joni, grzecznie odmówiła, właściwie to nawet nie, po prostu pominęła ten temat. Możliwe, że oficjalna wizyta byłaby zbyt piękna, zbyt emocjonalna – pomyślał. Dlatego chciał na własną rękę wyruszyć do Los Angeles, trochę tam pobyc, zrobić sobie wakacje – co w tym złego? Korzystając z chwili relaksu, ponownie spróbowałby nawiązać z nią kontakt.

– Ale masz jej adres w Los Angeles.

Pytanie twierdzące, Herreweghe był w tym mistrzem: udawał, że zdanie zakończy znakiem zapytania, ale w ostatniej sekundzie wypluwał kropkę. Aaron nie potrafił sobie przypomnieć ani jednego pytania otwartego.

– Nie. Niby skąd?

Sunset Boulevard 14023, Santa Monica, na obrzeżach Beverly Hills – całkiem sprytnie to rozkminił. Atmosfera w ich e-mailach nie sprzyjała pytaniu o adres, poza tym pozbawiłby ich kontakty spontaniczności, na przykład gdyby chciał złożyć jej niezapowiedzianą wizytę albo przypadkowo wpaść na nią przed jej domem, z czym wiązał wielkie nadzieje. Ponieważ nie było jej w żadnej książce telefonicznej, musiał pomyśleć o innym rozwiązaniu: wpadł na chytry pomysł wyszukania Stola w książce telefonicznej San Francisco i, mów, co chcesz, ale numer Stola figurował nie tylko w książce, ale też w internecie. Oprócz tego, że mógł zadzwonić do gościa z konkretnym pytaniem, uważał, iż krył się za tym też subtelny rewanż.

Zamiast Stola telefon odebrało jakieś dziecko, chyba siedmioletni chłopiec, który powiedział mu, że ojciec gra w golfa. Nie zdążył się nawet porządnie oswoić z myślą, że tych dwoje złożyło ikrę. „No to może twoja matka jest w domu?” – celowo zadał naiwne pytanie. „Mieszka w LA” – odpowiedział chłopiec. „A czy twoja matka nie nazywa się przypadkiem Joni Sigerius?”. Próbował zachować obojętność i po uzyskaniu potwierdzenia od razu przeszedł do pytania o adres, zbyt niecierpliwie, w dziecięcym głosiku czała

się nieufność. „A kto ty jesteś?” – zapytał chłopiec prosto z mostu, oczywiście użył „you”, tam nie ma „panów”, to było wyraźne ty. Nieco zaskoczony, powtórzył swoje nazwisko.

Bezpośredniość Herreweghego była jak szpadeł, który wbijał prosto w duszę. Joni – jednak chciałby się dowiedzieć, jak to z nią było, jej imię po tylu latach wciąż uruchamiało sygnał alarmowy. Psychiatra spojrzał przelotnie na zegarek.

– Zakładam, że chcesz ją tam odwiedzić – powiedział. – Opowiedz mi o waszym ostatnim spotkaniu.

Błąd Aarona polegał na tym, że podszedł zbyt poważnie do pytania psychiatry, że przypomniał sobie wydarzenia z grudnia 2000 roku pod rentgenowskim spojrzeniem Herreweghego – faceta, który hurtowo handlował zakazami zbliżania się. Aaron nigdy nie wracał myślami do tamtego zdarzenia, to był kociokwik bez daty, abstrakcyjny rozgardiasz pełen straszliwych wizji i maniakałnych lotów koszących, które wówczas uznawał za życie.

– Mimo to spróbuj – naciskał Herreweghe (ratownik na wysokiej trampolinie pływackiej, w tym też by się sprawdził). – Kiedy rozmawiałeś z nią po raz ostatni i jak było?

Jak było... Czy Herreweghe naprawdę chce to wiedzieć? W pewnym sensie świadomość, że stał się półtrupem, była podniecająca. Ale Joni go odwiedziła, Śmierć znów opuściła jedną kolejkę. Jak było... Jak swobodne spadanie. Czy to naprawdę konieczne? Teraz? W torbie mam pełno folderów. To ona go uratowała, bez dwóch zdań. Najpierw do niego zadzwoniła, ze Stanów. Tak, ta rozmowa też tkwiła gdzieś w zakamarkach jego pamięci, to cud, że nie zaniechała prób nawiązania z nim kontaktu. Co by się z nim stało, gdyby nie Joni? Porzuciła go, ale wróciła.

W międzyczasie Roombeek pokrył się lodem. Mróz i szybko zapadający zmierzch były konsekwencją opadów radioaktywnych, w powietrzu unosiły się drobinki pyłu, który nie chciał się uspokoić lub z uwagi na rozregulowany efekt Coriolisa ulegał ciągłemu rozpyłaniu. Wyglądało to groźnie. Słońce mrugało jak umierająca gwiazda nad kraterem po bombie, sporadycznie i coraz krócej. Opuszczone koparki i maszyny do odgruzowywania gapiły się martwo w epicentrum i spokojnie rdzewiały. Zimno wnikało coraz głębiej. Nikt nie miał odwagi wyjść na ulicę, a mimo to zewsząd docierały niespokojne odgłosy: dziko falujące iglaki, odpadające dachówki, które chwilę później rozpadały się na kawałki jak granaty, wiatr sterujący

foliowymi workami i gazetami wzdłuż rynsztoków. Całymi tygodniami letnie kaloryfery w domu Aarona głucho szumiały do czasu, aż muzyka fortepianowa nagle zamilkła, na amen, na głucho, a szczękanie przejęła klawiatura Aarona. Słyszał trzaskanie drzwi w na wpół zrujnowanych domach.

Ogień w piecyku prawie zawsze dogasał, Aaron siedział w kucki przed jego żeliwnymi ustami, ciężkie podwójne drzwi były otwarte jak nożyce krabów, z dwóch ozdobnych miedzianych gałek nad okapem uchodziła para. Co jakiś czas podsycił ogień kawałkami kartonu, odrywał je od walających się wszędzie pudeł. W międzyczasie nerwowo kartkował książkę, skazaną przez niego na śmierć, skanując wzrokiem strony, które jego zdaniem były warte zachowania. Rozłożone książki z cienkiego papieru płonęły jak torf, przynajmniej tak samo długo jak nogi od stołu i półki. Strony, których nie chciał się pozbyć, starannie wyrywał, składał na pół i umieszczał w starych kopertach bankowych, zanosząc się kaszlem i z trudem łapiąc oddech.

Opary prochu były nie do wytrzymania. Szczypały go oczy, czarne drobinki drażniły przełyk. Kilka miesięcy wcześniej poczuł pierwszą oznakę – słaby zapach, który przypominał mu dzieciństwo, zapach ulatniający się po wybuchu petardy, po wystrzale z pistoletu korkowego, zapach, który w miarę upływu czasu zamienił się w smród. Odkąd zaczęły się mrozy, obłoki często pojawiały się w jego salonie, molekuły siarkowe wdzierały się przez drzwi przesuwne, szczypiące, ciężkie opary przenikały do wszystkich pomieszczeń.

Wywoływały w nim strach. W jednej chwili potrafił wpaść w panikę, ponieważ się dusił. Czasem budził się z suchością w gardle, z rozdziawionymi ustami przypominającymi wypełniony prochem filtr do kawy. Zdarzało się, że zapominał o smrodzie – tak mocno ten smród wgryzał się w jego płuca, ubrania, *świadomość* (wtedy czuł pojedyncze zapachy: węgiel drzewny, siarkę, saletrę), aż nie czuł już nic; zapach zniknął? Kiedy przerażenie słabło, kiedy nie czuł żadnych zapachów, był spokojny. Krater przedstawiał coraz gorszy widok, już się tam nie wypuszczał, było zbyt niebezpiecznie, w dodatku strasznie zimno, nawet jak miał na sobie trzy warstwy ubrania – majtki, piżamę, sweter, garnitur Sigeriusa, bluzę do judo, pikowaną kurtkę, skarpety narciarskie, buty górskie, rękawiczki, a na nich rękawiczki z jednym palcem – nawet wtedy szczękał zębami z zimna.

Dlatego siedział przy piecyku, chociaż otwarty ogień niósł ze sobą ryzyko, wiedział o tym: jeśli stężenie saletry przekroczy pewien poziom, cała ulica i tak wyleci w powietrze. Czasem tego pragnął – jeden niszczący podmuch, który wszystko zakończy – ale mimo to pilnował małego, kompaktowego

źródła ciepła i kontrolował alarm zamontowany przez urzędników. Kiedy się włączał – ostry, jednostajny elektroniczny dźwięk, który za każdym razem napędzał mu porządnego stracha – podnosił się na równe nogi i potykając się i ślizgając, szedł do kuchni, napełniał patelnię wodą i wylewał jej zawartość na płomień.

Telefon. Zwykły telefon. Jego telefon? Zaalarmowany dźwiękiem, z trudem zgramolił się z kanapy i szurając nogami, zbliżył się do syreny w pokoju z tyłu domu. Wstrzymując oddech, wpatrywał się w zasłonę. Co to ma znaczyć? Znajdujący się za nią plastikowy przedmiot to potencjalny intruz – wystarczy, że go podniesie, a w mig aparat zmieni swoje oblicze. Coś z zewnątrz wtargnie do środka. To ta kobieta z Limburgii, która wcześniej próbowała go przesłuchać? Sięgnął za zasłonę i wziął do ręki aparat. Wewnątrz plastikowej obudowy roіło się od elektronów.

– Hej – przywitał go jakiś głos.

Odczekał chwilę, nadstawiając uszu.

– Aaron? Tu Joni. Dzwonię ze Stanów.

To był stetoskop, Joni udało się zmusić go do przyłożenia urządzenia do ucha, przez chwilę wiedział, jak to działa: położyli długi transatlantycki kabel na dnie oceanu i w lasach sosnowych prosto do jego domu, to była operacja militarna mająca na celu zdiagnozowanie go, ale obraz zamazał się tak szybko, jak się pojawił, ponieważ głos wywrócił jego zmysły do góry nogami, opadły na dno dawno zapieczętowanej butelki jak osad – butelki należącej do jej ojca? Głos mocno nim potrząsnął, wywołał wspomnienia, które odwróciły jego uwagę od wielotygodniowej walki z żywiołami.

– Jesteś tam? – zapytał głos.

Kaszlnął, z gardła wydobył się proch.

– Tak – powiedział.

Ale gdzie ona jest? Czy na pewno w Stanach?

– Heh! Kopę lat. Co u ciebie? Nie mogę długo rozmawiać.

Skinął potakująco głową. Tak długo z nikim nie rozmawiał, że nie był stanie nic odpowiedzieć, powinna to zrozumieć, bardziej przyzwyczał się do słuchania jazgotu w supermarketach, gdzie właściwie już nie zachodził, pisków i jęków zwierzaków pod kanapami i krzesłami, pretensji dobiegających z regałów z książkami – może to cisza w mieszkaniu i jego milczenie prowokowały szmery i syki; wystarczyło, że spojrzał na tylną ścianę którejś z szaf, skąd dobiegała tyrada, złośliwa manipulacja, cierpliwie wysłuchiwał oszczerstw na swój temat, czasem były to delikatne zarzuty

(„kup coś normalnego do zarcia, draniu, coś, co trzeba samemu obrać i ugotować!”) albo prostackie wyzwiska („nieudaczniku! śmierdzisz rzygami z dupy!”), ale często był to atak na jego osobę („zdrajco, ty narodowy socjalisto z NSB⁵², musisz umrzeć, umrzeć!”) – chóralne głosy, przed którymi chował się na górze, w łóżku albo w kabinie prysznicowej, lecz ten cholerny ziąb zawsze ściągał go na dół, ten sam ziąb naprowadził go na okrutny pomysł zabicia dręczycieli, zrobienia ogniska...

– Aaron? Mam mało środków na koncie.

Środki na koncie? Środki. Środki – poczuł, że robi mu się gorąco – co ona chce przez to powiedzieć? Próbował to jakoś ogarnąć. Środki fluktuują jak choroba, z każdej koperty, wypełnianej przez niego kartkami zasługującymi na zachowanie, wyjmował wyciągi bankowe, mieszkanie było nimi usłane, koperty z szuflad i szaf na górze, wysypywał je ze stalowoszarych segregatorów na strychu, podłużne koperty z okienkiem i wkładką z banków z Holandii i głównie z Luksemburga, raz był debet w wysokości dwustu osiemdziesięciu czterech guldenów i trzydziestu centów, potem miał do dyspozycji dwa miliony czterysta trzydzieści osiem tysięcy siedemset czterdzieści dziewięć dolarów i sześćdziesiąt trzy centy, następnie musiał sobie radzić z pięcioma guldenami i czternastoma centami, nic z tego nie rozumiał, potrafił godzinami o tym rozmyślać: Gdzie się podziały te cholerne miedziaki? Skąd pochodziły?

– Staram się, jak mogę – powiedział. – Ale jest mi ciężko.

Nic nie słyszał, tylko szumy na linii.

– Rozumiem – powiedział głos. – Mnie też było ciężko, wierz mi. W każdym razie mam dobre wieści. Dzwonię, bo znalazłam dzianego kupca. Na łódź.

Miedziana łódź... Oczami wyobraźni zobaczył bezkres gładkiego, czarnego oceanu, zatopiony statek, tryliony lodowatych molekuł wody w słabym blasku księżyca, niewielkie fale, złapał się oślizgłego kawałka wraku, wokół niego czubki głów topielców unoszących się pod sufitem morza.

– Zastanawiam się, czy chciałbyś ze mną pojechać do Sainte-Maxime. Ty i ja w alfie w drodze do „Barbary Ann”. Mam ci sporo do opowiedzenia.

Jego dezorientacja zamieniła się w strach. Przed chwilą serce wydawało się zbyt duże dla jego ciała, teraz się zapadło, zmniejszyło się do rozmiarów wiśni i zapakowało próżniowo jego klatkę piersiową, implozja, która zgodnie z podstawowymi prawami fizyki oddziaływała na cały pokój: ściany sprężynowały do środka, strzaskane drzwi przesuwne były ustami wdychającymi litry rdzawej pary. Jechali alfą, wcisnął pedał gazu, ale

oddalali się od statku. Gnali w górę, do Holandii, do tego miejsca. Do szkła, które trzeba rozbić.

– Dobrze – wymamrotał.

– Fajnie – odpowiedziała. – Mam bilet na dwudziestego pierwszego grudnia. Następnego dnia po południu mogłabym być w Enschede.

Kaszlął, chrząknął i wypluł gęstą flegmę pełną kurzu.

– Dobrze.

Wcześniej albo później, nie pamięta, dokąd podróżowali, czas jeszcze mijał, a może samolot Joni się rozbił? W każdym razie wtedy, gdy zrobiło się wyjątkowo zimno, podniósł kasztanowobrazowy przedmiot za wąskie, wystające końce i jęcząc z wysiłku, przeniósł go pod ścianę. W połowie drogi otworzył się bok kasztanowobrazowego przedmiotu, jakby drzwiczki, i wysypały się z niego wnętrzności. Popękały jak szkło, krzyknął z przerażenia, pojawiły się drażniące opary. Niczym wybity przez sprężynę ruszył do drugiego pomieszczenia.

Kiedy się obudził, nic nie widział. Po omacku znalazł kwadratowy otwór i tak długo się w niego wpatrywał, aż znów był w stanie zobaczyć w ciemnościach kasztanowobrazowy przedmiot. Nie ruszał się. Chwiejnym krokiem obszedł go ostrożnie i dłońmi uzbrojonymi w podwójne rękawiczki złapał za błyszczące krawędzie. Upadł do tyłu, teraz bez trudu mógł go podnieść. Postawił truchło pod ścianą, jakby grawitacja w ogóle nie obowiązywała.

Gdy otworzył oczy, widział wszystko. Czy ja tu jestem? Z mazakiem w ustach stanął nad barkiem (to on go tu postawił?), nagle znalazł się wysoko nad ziemią, puste półki regału na książki były bardzo blisko niego, kratownica uciskała go przyjemnie w pierś i uda. Drżąc na całym ciele, wyjął mazak z ust i wypluł skuwkę. Na tapecie narysował dużą literę A i zamalował ją na czerwono. Potem dopisał ROOM, z trudem i bardzo powoli przez grubo opatuloną dłoń. Jeszcze zanim dokończył drugie O, musiał zejść z szafki, ponieważ drżała mu ręka i strzykało w ramieniu. Potem długo było za ciemno.

Na zewnątrz gruba warstwa śnieżnobiałego popiołu przykryła domy i roślinność. Musiało wydarzyć się coś strasznego, jakaś katastrofa nuklearna, z której tylko on ocalał. Przez wiele godzin z nieba spadał popiół, jak śnieg.

Prawdopodobnie udało mu się uniknąć ciepła atomowego, ponieważ jego dom był zapięty na guzik – to osobliwość termodynamiczna, na którą ciepło nie ma żadnego wpływu. Wszystko w kosmosie uległo spaleniowi oprócz domów na jego ulicy. Coś lub ktoś wciąż ocenia jego wartość.

WITH A – właśnie zamalowywał drugą, samotną literę A, która wywołała w nim wielkie pokłady sympatii, nawet bardziej niż pierwsza, i musiał przełknąć łzy, gdy poczuł proch. Od razu się zorientował dlaczego: na najwyższej półce było pełno prochu, przerażająco gruba warstwa. Jego mięśniami jednocześnie wstrząsnął skurcz, z wrzaskiem odepchnął się od ściany, jego ciało leciało w powietrzu, unosił się, może uda mu się wylecieć na dwór przez deski, ale zanim zdążył zmienić kurs, lewe ramię rąbnęło w jakiś twardy przedmiot. Z głuchym hukiem wylądował na podłodze, głowa poleciała do tyłu. W spokoju kręcił się zgodnie z ruchem spalonej ziemi, rozpoznając pulsujący ból w pośladkach i krzyżu.

Później ktoś coś do niego powiedział. Kiedy otworzył oczy, spojrzał na postać w ciemnościach. Wetknął dłonie w bagnistą substancję. Istota stała pośrodku zadaszzonego pomieszczenia. Zrobiła krok do przodu, wystawiła mackę w rękawiczce, na której leżała dziwna, błyszcząca kula.

– Spokojnie – powiedziała.

Odepchnął się kopniakami, sunął na plecach, wydzierając się, aż walnął głową w ścianę.

Istota była spuchnięta, miała na sobie coś podobnego do kombinezonu kosmicznego, ubranie pozaziemskiego zakładu utylizacji materiałów wybuchowych, nie znał jej twarzy, ciągle się zmieniała. W półmroku wyglądała jak maska gazowa z ludzkiej skóry, twarz z dużymi okrągłymi oczami i gumową kufą. Ognista kula była bombą neutronową, wychodziły z niej złote płomienie – istota dała mu koniec świata. Zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku, znów odepchnął się gwałtownie, przesunął się kawałek do ściany.

– Nie – szepnął.

– Aaronie – istota przemówiła głosem miękkim jak plusz. – Spokojnie. To ja.

Gdy usłyszał moje imię, jego źrenice zaczęły się przesuwać w prawo i w lewo jak krążki hokejowe, po czym gwałtownie odskoczył do tyłu, bełkocząc ochryple. Przebierał nogami w panującym wszędzie rozgardiaszu jak uciekający pies. Jakby chciał precyzyjnie się przecisnąć przez ścianę.

– Nie bój się – powiedziałam cienkim głosem.

Nie byłam pewna, do kogo to mówię: do niego czy do siebie. W wyciągniętej dłoni trzymałam prezent kupiony dla niego na Schipholu: ogromną bombkę z gorzkiej czekolady zapakowaną w folię i złote wstążki i wypełnioną brukselskimi pralinami, które wybrałam w sklepie Leonidasa – pół kilo idealnego faux pas, jak zdążyłam się przekonać. Smród w zaciemnionym pokoju był zbyt przenikliwy, żeby ktokolwiek mógł pomyśleć o czekoladzie.

Nerwowo potrząsał głową, aż nagle spojrzał mi w oczy. Tak bardzo wystraszyłam się jego spojrzenia – miał oczy jak małe iskrzące stacje transformatorowe – że upuściłam bombkę, która z głuchym uderzeniem spadła na coś, co brzmiało jak karton. Reakcja Aarona była nieprawdopodobna: z krzykiem zasłonił sobie twarz rękoma i skulił się, jakby przed nim wyrósł ptasznik albo diabeł we własnej osobie.

– Zabierz to! – krzyknął piskliwie. – Zabierz to, do cholery!

Jeśli kogoś lub coś należało stamtąd zabrać, i to w trybie pilnym, to był to on sam. Musiał iść do lekarza, natychmiast.

– Siedź tu – powiedziałam – i się nie ruszaj.

W panice wycofałam się na korytarz i ciągnąc za sobą walizkę na kółkach przez sięgający kostek bałagan, poszłam w kierunku światła. Zdyszana wyszłam na śnieg i zamknęłam za sobą drzwi wejściowe, które kilka minut wcześniej musiałam sama sobie otworzyć, ponieważ nie było żadnej reakcji na moje wielokrotne dzwonienie. Gdybym nie usłyszała cichego pomruku przez wybitą szybę w drzwiach wejściowych, uznałabym, że zapomniał o naszym spotkaniu i pojechał na święta do Venlo lub coś w tym stylu. Teraz zrozumiałam, dlaczego nasz kontakt telefoniczny sprzed dwóch tygodni wydawał mi się dziwny. To, co wzięłam za zgorzknienie – jakby był przygnębiony i rozdrażniony, jakbym wybudziła go ze snu – świadczyło o dezorientacji.

Weszłam w alejkę obok jego domu i wyjęłam komórkę z torebki.

Zadzwoiłam do Boudewijna Stola, który od miesięcy był mi oparciem i pociechą i ku mojemu zaskoczeniu czekał na mnie w hali przylotów na Schipholu, tak po prostu, ponieważ chciał się zobaczyć z osobą, z którą codziennie wymieniał maile. Poprosiłam go, żeby poszukał numeru pogotowia psychiatrycznego.

– Czy mam do ciebie przyjechać? – zapytał. – Chcesz, żebym pojechał z tobą do Francji? A co na to Arend?

– Na co?

– No na TO.

– Nic – odpowiedziałam. – Tylko krzyczał.

Kiedy wykręciłam numer pogotowia psychiatrycznego, po drugiej stronie linii kobieta z szorstkim twenteckim akcentem uświadomiła mi, że nie przyjadą po Aarona, ale mogę zawieźć go na oddział De Twentse Tulp, szpitala psychiatrycznego na południowych obrzeżach Enschede. W czasie rozmowy do moich uszu dobiegł hałas z salonu. Weszłam nieco głębiej w lodowatą alejkę i zza iglaków zerknęłam na tyły domu. Poza przegniłymi deskami niewiele zobaczyłam, okno drzwi kuchennych było zatłuszczone. Nagle w pośpiechu zawróciłam, śnieg był sypki, ale zdradliwie śliski, tuż przed ścieżką przy domu prawie się wywróciłam. Znow brodziłam przez nieotwarte listy i makulaturę, wchodząc do salonu. Pomacałam ścianę przy futrynie i zapaliłam lampę nad stołem. To, czego nie dostrzegłam w półmroku, teraz dotarło do mnie z całą mocą. Wszędzie panował niewyobrażalny bałagan. Wykładzina była praktycznie niewidoczna, bo cała powierzchnia aż do otwartej kuchni była usłana śmieciami. Opakowania po ciastkach i chipsach, swetry, pudełka po frytkach, ręczniki, zgniecione kawałki ręczników kuchennych, puste kartony po mleku, gazetki reklamowe, rozerwane koperty, nadjedzone kanapki, gnijące owoce, różnej wielkości torebki foliowe, niezliczone kartony z czerwono-zielonym rysunkiem uśmiechniętego pizzermana, z których wystawały ogryzione brzegi pizzy. Meble też były zavalone śmieciami, jakby spadł tu *deszcz* śmieci. Tu i ówdzie na ścianach jakieś gryzmoły zapisane mazakiem, oszczędziłam sobie wysiłku ich odczytania. Na dwuosobowej kanapie leżała częściowo zwęglona podtrzymka do roślin. Regały – kiedyś jego duma – wyglądały, jakby ktoś wymiół całą ich zawartość; wszędzie leżały książki, setki książek, albo rozdartych na strzępy, albo rozłożonych płasko okładkami do góry. Nie wyglądały na zaczytane – zostały zamordowane, miały poderżnięte gardła. Dawniej Aaron zakładał białe rękawiczki, gdy zasiadał do lektury. Teraz w piecu dostrzegłam stos osmalonych, na wpół spopielonych bloczków –

książki.

Ten rodzaj zaniedbania znałam tylko z telewizji, z programów podglądających ludzi niezwiązanych z naszym gatunkiem, ale nawet w telewizji nigdy nie widziałam tyłu odchodów świnek morskich. To przebiło wszystko: bobki, tysiące lekko zakrzywionych grudek, wszystkie tej samej wielkości, jak ogromny deszcz hagelslagu w kątach, przy listwach przypodłogowych i wokół nóg od stołu, w przejściu do holu i w kuchni, zgniecione do postaci brązowo-czarnego bagna. Ani śladu świnek morskich – podobnie jak Aarona. Zniknął.

Wyszłam na korytarz i postawiłam stopę na pierwszym schodku. Nim wspięłam się na górę, usłyszałam prysznic – całkiem przyjemny, dający nadzieję dźwięk. Chciał się odświeżyć? Przypomniawszy sobie, kim jestem i po co przyszłam? W każdym razie w międzyczasie mogłam poszukać kluczyków do alfy. Miałam tylko jedną szansę w tym gnojowisku: szukałam wzrokiem puszek po kakao na ceglany kominku, gdzie dawniej zawsze je chował. Żeby lepiej widzieć, odsunęłam zasłony od strony ulicy. Szyba była zamalowana czerwonymi smugami, które dostrzegłam z odrazą z zewnątrz, ale teraz odskoczyłam z jękiem. Na parapecie leżało zakrwawione włochate ciało. To była czarna świnka morska, od razu rzuciło mi się w oczy, że była zdekapitowana, a właściwie oskalpowana, i rozcięta wzdłuż. Przez usta wciągnęłam powietrze głęboko do płuc – smród w tej norze, to zwierzątko – i z całych sił walczyłam z mdłościami.

W szoku wróciłam do kominka i wlepiłam wzrok w leżące na nim puste opakowania po jedzeniu na wynos i inne śmieci. Jednocześnie ogarnęło mnie dojmujące współczucie i niemniejsze wyrzuty sumienia z powodu tego, jak bardzo zajmowałam się sobą w czasie półrocznego pobytu w Kalifornii i jak skandalicznie rzadko zastanawiałam się, czy dobrze mu się wiedzie. Myślałam, że jakoś sobie poradzi. Przecież ma pieniądze.

Gdy w końcu wzięłam się jako tako w garść, znalazłam puszkę po kakao i wyjęłam z niej zaklejoną kopertę – to była ta sama koperta, którą kilka miesięcy temu wrzuciłam mu do skrzynki, klucze nadal były w środku. Uświadomiłam sobie, że przez *pół roku* nie używał alfy. Schowałam kopertę w wewnętrznej kieszonce kurtki i wyszłam na korytarz. Wciąż brał prysznic. Muszę go stąd zabrać.

Dodając sobie odwagi, weszłam na górę i przystanąłam na półpiętrze usłanym ubraniami i ręcznikami.

– Już jestem! – krzyknęłam i delikatnie zastukałam w drzwi łazienki.

Nie było żadnej reakcji, po chwili zorientowałam się, że strumień wody jest

monotonny i silny – zbyt monotony i silny – jakby nikt pod nim nie stał. Pchnęłam drzwi, na półpiętro wyleciały obłoki pary, i weszłam do środka. Na kafelkach, we włochatym, nieopisywalnym brudzie, zobaczyłam folię i złotą wstążkę z bombki. Zasłona prysznicowa była brudna, ale przezroczyta: nikt za nią nie stał. Odsunęłam ją i prawie natychmiast rozplakałam się na widok tego, co zobaczyłam – w sumie dziwna reakcja, można by pomyśleć, że w porównaniu z nędzą i rozpaczą na dole roztopiająca się czekoladowa bombka była niczym: kula, a właściwie to, co z niej zostało, leżała w brodziku w czekoladowej kąpieli znikającej w odpływie, wetknięty w nią nóż do mięsa (wbity, tak to sobie wyobraziłam) leżał rozczarowany z rękojeścią w odpływie. Gorąca woda wytopiła stożkowaty otwór w kuli, ze znajdujących się w środku pralinek zostało tylko nadzienie. Nie chciałam tu być. *Nie z brzuchem*. Przez chwilę chciałam zbluzgać Boudewijna, zrzucić na niego całą winę. To przez *ciebie* tutaj się znalazłam, gdyby nie *ty*, nie byłoby tego brzucha. Szlochając i przeklinając, zakręciłam kran.

Dopiero teraz usłyszałam Aarona:

– Spieprzaj! – krzyknął. – Spieprzaj!

Wyszłam z łazienki, ochryple wrzask dobiegał z sypialni. Zdusiłam w sobie pragnienie zrobienia tego, czego ode mnie oczekiwał – spieprzenia stąd, na zawsze – i otworzyłam drzwi. Siedział ze zgiętymi kolanami na skrzyni od łóżka, prawie nie do poznania z wypłowiałą spódnicą włosów wokół uszu i potylicy. Między okrzykami bełkotał coś niezrozumiale, unosił spazmatycznie ramiona i głowę. Gdy weszłam do środka, zaczął piszczeć, pobiełtałymi pięściami przyciskał do brody gołą, zażółconą kołdrę.

– Proszę – powiedział ochryple – zostaw mnie. Zostaw mnie samego. Ty masz dziób.

Na przekór jego obronnemu lamentowi, jakbym stawiała czoło orkanowi, wczółgałam się na dwuosobowe łóżko i przez kołdrę złapałam go delikatnie za obutą stopę. Gwałtownie wgryzł się w bawełniany rąbek, wywrócił oczy białkami do góry, skurczył się, jakbym wbiła mu rozżarzony pogrzebacz w ciało. Teraz ja zaczęłam sapać ze strachu, puściłam jego stopę.

– Spierdzielaj. Proszę.

Żeby ponownie się przed tym powstrzymać – żeby *nie* spierdzielić jak najdalej od tego śmierdzącego przybytku – wyobraziłam go sobie na jego czarnym batavusie. Pomyśl o tym, kim jest. Wyobraziłam go sobie na ogromnym rowerze z podwójną ramą, w rozpiętym kożuszku, pod spodem jedwabna koszula, która równie dobrze mogła należeć do kobiety – nonszalancki kogucik na rowerze – duże kozaki, które ledwie dotykały

pedałów, jechał powoli, żeby kupić ze mną to łóżko. Z obrazem tamtego Aarona odbitym na siatkówce oka ostrożnie położyłam dłoń na jego mokrym udzie i nazwałam go „kochaniem”. Z obrazem tamtego Aarona odbitym na siatkówce oka przyjechałam do Enschede, z obrazem tamtego Aarona odbitym na siatkówce oka dałam się przekonać, że trzeba z tym skończyć.

Przez wiele tygodni Boudewijn Stol był jedyną osobą, która wiedziała, że jestem w ciąży. Unikałam kontaktu z Enschede (a Enschede unikało kontaktu ze mną), w McKinseyu trzymałam język za zębami tak długo, jak mój odmienny stan był niewidoczny. Od kiedy zaczęłam staż w Dolinie Krzemowej, codziennie wymieniałam maile z Boudewijnem – rutyna, którą on zamykał swój dzień w Amsterdamie, a ja zaczynałam poranek w Kalifornii. Na początku były to głównie durnowate wiadomości, czasem zaskakująco szczere, z jego strony podszyte trudnym do niewyłapania podtekstem, muszę przyznać, że naprawdę zabawne. „Jesteś jedyną osobą, której ufam” – napisałam któregoś dnia w październiku. „Oczywiście, oczywiście” – odpowiedział, cały w skowronkach. Wtedy napisałam mu, że jestem w ciąży, i od razu przyznałam się, iż rozważam aborcję – całkiem eufemistyczne określenie na zabieg, który zaplanowałam w klinice aborcyjnej pod nazwą Stanford University Family Planning Service. Kiedy Boudewijn się o tym dowiedział, wyleczył się z zabawności – zamienił się w gąbkę, która chciała wszystkim nasiąknąć, dlatego opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami, ale czy można powiedzieć, że to była szczegółowa relacja, skoro przemilczałam drzwi przesuwne i stronę internetową?

Jego reakcja mnie zaskoczyła: użył wielu słów, żeby *zabronić* mi pójścia do kliniki Stanforda. „Odsuń tę decyzję tak długo, jak się da – napisał – daj sobie czas do namysłu”. „Dadzą mi go na miejscu”. „Okej, to daj sobie czas do namysłu do czasu czasu do namysłu” – odpisał i przypomniał mi, że mam zobowiązania nie tylko wobec „życia”, ale również w stosunku do ojca dziecka. Słucham? Nie, był śmiertelnie poważny: chociaż Aaron nie miał o niczym pojęcia, Boudewijn uważał, że aborcja, „jak by to powiedzieć”, jest przestępstwem. „Ale ja nie chcę wracać do tego chłopaka” – odpowiedziałam. „Nie o to chodzi – napisał – kto mówi, że musisz do niego wrócić? Kto mówi, że on potrzebuje dziecka?”.

Teraz Aaron potrzebował strzały ze środkiem uspokajającym. Jego strach wzbudzał moje przerażenie, mimo to nie odpuszczałam: przełamywałam jego opór, powoli głaskałam jego grubo opatulone ręce, ramiona, czułam, że przestaje się bać mojego dotyku. Na obydwu szafkach nocnych, w otwartych szufladach, na podłodze – właściwie wszędzie, gdzie spojrzałam – wały się

blistry tabletek i butelki z alkoholem. Zebrałam je wszystkie, ale były bez wyjątku puste. Po nerwowym szukaniu znalazłam w jednej z szafek nocnych dwie tabletki nasenne.

– Proszę – powiedziałam – weź je.

Wypluł je, więc spróbowałam włożyć mu do ust mokre kapsułki. Do jego wydatnych warg przystawiłam butelkę z resztką bokmy, połknął tabletki i pozwolił, żebym się do niego przytulila. Wciąż głaskałam go po ramionach, po twarzy, po opatulonej piersi, tak długo, aż jego oddech się uspokoił i on sam też. Dopiero wtedy, gdy ja też nieco się uspokoiłam, dotarło do mnie, że *on tego nie zauważył*. Nawet gdybym zdjęła grubą, pikowaną kurtkę, nawet gdybym zdjęła wszystkie ubrania i z wypchniętym sześciomiesięcznym ciążowym brzuchem usiadła mu na kolanach – nawet wtedy Aaron nie zauważyłby, że jestem w ciąży, nie mówiąc o tym, by to *zrozumiał*.

Sprowadzenie go na parter było wyczerpujące – szarpał się, zaparł się między ścianą a poręczą, drażniący zapach jego ciała wywoływał u mnie mdłości. Przed domem upadł na kolana na śniegu, a kiedy próbowałam jak najszybciej przygotować alfę do jazdy, zwinął się w pozycji embrionalnej, szlochał i coś bredził. Cierpliwie, choć stanowczo, tak długo go namawiałam, uśmiechając się do przechodniów, aż zajął miejsce na fotelu pasażera.

Zanim szybko zapadł zmrok, znalazłam De Twentse Tulp, w południowym Enschede. Nigdy tam nie byłam. W położonym w lesie szpitalu psychiatrycznym z wysoką choinką w kamiennym holu tak długo skomlałam i wyjaśniałam całą sytuację, aż w końcu przyjęli go na oddział na jedną noc na obserwację. Byłam przy tym, jak potulnie niczym baranek zapił wysoką szklanką wody dwie sinofioletowe tabletki przeciwpsychotyczne, i czułam się, jakbym to ja sama gasiła wielodniowe pragnienie. Dopiero kiedy mnie zapytano, czy ma rodziców, czy ma pracę, dotarło do mnie, że praktycznie nikt nie dowiedziałby się, w jakim jest stanie. Prawdopodobnie od wielu miesięcy nikt go nie odwiedzał. Jego rodzice mieszkali na głębokiej prowincji w Limburgii i o ile się orientuję, rzadko dzwonili. A jego praca? Czy taki jest los freelancera? W komórce znalazłam numer do Ceesa i Armii Beverów i przekazałam go jednej z pielęgniarek.

Chciałam stamtąd wyjść. Musiałam jechać. Gdy Aaron siedział w gabinecie któregoś z psychiatrów, niespostrzeżenie wyszłam z ośrodka. Spojrzałam na zaśnieżone dęby i platany, bezkresną głębię lodowatego nieba nade mną – wydawało mi się, że w tym miejscu obłąkanie ma szansę wyparować.

Jechałam na południe przez zasoloną breję, z zapiętą kurtką i przy

otwartym oknie, kompletnie osłupiała. Czy to mi się naprawdę przytrafiło? Po raz pierwszy zahamowałam dopiero w Liège, gdzie chwilę po północy wynajęłam jeden z najdroższych pokoi hotelowych. Czy powinnam była przewidzieć, że oszaleje? W moim apartamencie rzeczywiście były takie małe poduszeczki, które leżąc na boku ciężarna może sobie podłożyć pod brzuch, ale i tak nie udało mi się zasnąć.

To, że jestem w ciąży, odkryłam chyba we wrześniu. Wraz z innymi studentami i zagranicznymi stażystami podoktorskimi oraz początkującymi konsultantami mieszkałam w czymś na kształt studenckiego puebla w lesie między kampusem Stanforda a centrum biznesowym, gdzie McKinsey miał swoje biuro. Na najwyższym piętrze dzieliłam mieszkanie z dwiema niezbyt uczynnymi Francuzkami, które przydzieliły mi kwadratowy pokój z trzema oknami wychodzącymi na strzeliste drzewa iglaste. Przez pierwsze tygodnie w Kalifornii czułam się samotna i smutna, tęskniłam za Enschede, za Aaronem, za ojcem. W samotności wyrzuty sumienia padały na podatny grunt. Bo czy to nie z mojej winy wszystko wymknęło się spod kontroli? Czy to nie mój pazerny ekshibicjonizm rozbił naszą trójkę, związek tak silny jak wiązania cząsteczki wody? Zbyt często wbrew sobie widziałam Siema wychodzącego przez drzwi przesuwne, zbyt dogłębnie zdawałam sobie sprawę z tego, co się posypało – ale jednocześnie czułam się wolna, nowe wrażenia na drugim końcu świata przeganiały najbardziej przygnębiające myśli o Enschede, odwracały uwagę od nieodwracalności sytuacji, jej nierozwiązywalności. W tygodniu pracowałam do późna, w weekendy koledzy wyciągali mnie do San Francisco, gdzie za dnia leżeliśmy na plaży, a nocą przesiadywaliśmy w klubach. Tak jest dobrze, dobrze, że jesteś w Kalifornii – dokładnie wtedy, kiedy zaczynałam tak myśleć, a czasem mówiłam tak do siebie na głos, odkryłam, że jestem w ciąży.

„Prozaiczne” to zbyt piękne słowo na określenie okoliczności, w których się zorientowałam. Walcząc z nudnościami, jako najmłodszy pracownik uczestniczyłam w telekonferencji zespołu McKinseya, podczas której omawiano strona po stronie raport końcowy jakiegoś azjatyckiego klienta. Myślałam, że zejde, tak mnie swędziały piersi. Nie drap, nie drap – gdyby ktoś mnie o coś zapytał, odpowiedziałabym: „nie drap”, ale o nic mnie nie pytano, dlatego miałam dużo czasu, żeby połączyć w całość swędzenie, brak miesiączki i to, o czym przez całą tę sytuację zdawałam się zapomnieć: na Korsyce kilka razy uprawialiśmy z Aaronem seks bez zabezpieczenia.

Wstałam biała jak ściana, *associate principal*, który przewodniczył

czarciemu kołu, zapytał, czy wszystko jest „okay” i czy ma zadzwonić po lekarza. Abortera – pomyślałam i z ręką na ustach wyszłam z sali konferencyjnej, zjechałam szklaną windą na dół, z trudem skinęłam głową recepcjonistce i skierowałam się prosto do apteki na Palo Alto Square, gdzie kupiłam dwa różne testy ciążowe, na które nasikałam w ubikacji naszego puebla. Grube różowe kreski. Siedziałam na kiblu, aż poczułam mrowienie w nogach. Cholera jasna, byłam w ciąży z Aaronem Beverem!

Resztę tygodnia przeleżałam w łóżku, zbyt chora, by pracować. W nocy cała we łzach nadmuchiwałam zeppelina żalu do samej siebie, a gdy rano nagle wybudzałam się z błotnistych snów, wiszący wysoko nad sosnami, czarny jak smoła statek powietrzny rzucał cień, gotów w każdej chwili zniknąć. Wstawałam dopiero koło południa, jadłam coś i godzinami chodziłam po lesie, wściekła, zrozpaczona, rozgniatając szyszki. Rozchwiana w swoim ateizmie, musiałam bardzo się wysilać, żeby nie dostrzegać w tej próbie karcącej ręki tego czy innego boga, tego cholernego Boga Wilberta – przeklinałam kawałek drewna wiszący na ścianie u Wilberta i jednocześnie błagałam o poronienie: dobry Boże, niech to ze mnie wypłynie, proszę, nie chcę tego dziecka. Na forach dla ciężarnych przeczytałam, czego przyszłe matki nie powinny robić, więc zostawałam po godzinach, spałam krócej, niż powinnam, piłam alkohol, w domu, w pokoiku na górze, wino, whisky, wódkę. W weekendy jadałam z dwiema małymi Francuzkami, które rozmawiały ze sobą w niezrozumiałym dialekcie paryskim, możliwe, że o moich zdolnościach kulinarnych (przygotowane przeze mnie mięso zawsze rozkrawały, z niezadowoleniem kręciły bladymi noskami, po czym jedna z nich dosmażała je w kuchni) albo ciągłych mdłościach. Zadzwoniłam do Stanford University Family Planning Service. Napisałam maila do Boudewijna.

Zadzwonił następnego dnia rano, kiedy w pustej restauracji jadłam bagietkę z nutellą.

– Gdzie jesteś?

– W Liège.

– I co on na to? Dali Arendowi tabletkę i wtedy trochę się uspokoił, i co potem? Opowiadaj.

– A potem niewiele, Bo. Nie ma co opowiadać. Mój były chłopak ma psychozę, poważną psychozę. Uważa, że słońce jest zrobione z żółtego dżemu, którym może sobie posmarować kanapkę. To straszne.

– Ale na razie nie będzie tęsknił za małym.

Dopiero wiele miesięcy później, kiedy byłam mniej zajęta samą sobą, kiedy nie musiałam się już bać, że Boudewijn dowie się, iż próbowałam sprzedać Łódź za półtora miliona dolarów, kiedy przestałam odczuwać niechęć do spotkania z rodzicami, kiedy potem spokojnie żyliśmy na wzgórzu w San Francisco – dopiero wtedy zorientowałam się, do czego zmierzał. Dopiero po czasie zrozumiałam oddanie, z jakim próbował mi pomóc, śmiertelnie poważny wydzwitek jego maili, dzięki którym w końcu udało mu się mnie przekonać, bym odwołała wizytę w Stanford Family i „każdego dnia przynajmniej przez pięć minut” myślała o „szczęściu, jakie niesie z sobą macierzyństwo” – hasło, które Boudewijnowi, bezdzietnemu pięćdziesięciolatkowi, tak łatwo przechodziło przez gardło. Dopiero po czasie zrozumiałam jego satysfakcję, gdy po dwunastu krytycznych tygodniach poinformowałam McKinseya o ciąży. Powód jego uśmiechu, kiedy na Schipholu porwał mnie do jakiegoś „szemranego”, jak go nazwałam, klubu biznesowego KLM-u i w lokalu głośno się roześmiał z ustami pełnymi sałatki krabowej.

– Mam smutną wiadomość – powiedział rozpalony – złożyłem pozew o rozwód. Brigitte i ja się rozstajemy. Doprowadzamy się wzajemnie do szału.

Potem wsadził mnie w pociąg do Enschede i na pożegnanie położył zaobrączkowaną dłoń na moim brzuchu. (Nawet wtedy się nie zorientowałam, nie miałam bladego pojęcia, że załatwia sobie przeniesienie do San Francisco, nie miałam zielonego pojęcia, że już wtedy zamierzał trzymać mnie za rękę podczas porodu. Parę lat temu ponownie przeczytałam jego maile z tamtego okresu, wszystko tam było. Już w październiku 2000 roku Boudewijn pisał, że jego bezpłodność stanowi dla Brigitte spory problem, jego zdaniem całkiem słusznie).

A teraz powiedział:

– A więc za niedługo zobaczysz się z rodzicami. Przekaż ojcu pozdrowienia ode mnie.

– Przekażę.

Łódź. Jebana „Barbara Ann”. Naprawdę musieliśmy się jej pozbyć, i to najchętniej natychmiast, sprzedać ją pierwszemu chętnemu, po pierwszym oglądaniu, bo nie zamierzałam drugi raz przylatywać specjalnie ze Stanów. Łódź wciąż stała zacumowana w porcie dla jachtów, tam gdzie zostawiliśmy ją latem. Za dwa dni miałam spotkać się w Sainte-Maxime z ewentualnym kupcem, mającym Amerykaninem z branży teleinformatycznej, którego poznałam przez klienta McKinseya; zimę spędzał w Monako i od roku

polował na egzemplarz taki jak nasz Palmer Johnson.

Grubo przed południem wjechałam na terytorium Francji i postanowiłam jechać bez przerwy aż do Lyonu, żeby następnego dnia być w miarę wcześnie w Sainte-Maxime i w spokoju przygotować łódź. Kiedy jechałam samotnie Autostradą Słońca, trasa niemile mnie zaskoczyła: szara, ponura nitka prowadząca przez niespokojne liściaste wzgórza, senne restauracje i parkingi, bez słoneczników, bez korków, bez oczekiwań. Musiałam bardzo się wysilać, żeby nie wracać wciąż myślami na Vluchtestraat i do tego, co tam zastałam. Dlaczego sprawy zawsze układają się inaczej, niż byśmy chcieli? Po wielogodzinnej podróży ciemnymi płatnymi autostradami z ruchem ciężarowym w oświetlonym bożonarodzeniowymi lampkami centrum Lyonu znalazłam pokój hotelowy z zarwanym łóżkiem, w którym nawet nie zmrużyłam oka.

Pod koniec listopada do McKinseya zadzwoniła moja matka – nie zdążyła przestraszyć mnie na śmierć, kompletnie mnie zaskoczyła. Nagle rozmawiałam z matką, siedząc w przepelnionym ogródku biurowym – nie miałam pojęcia, co mnie czeka, i właściwie nigdy się nie dowiedziałam, czy tylko udawała miłą, czy naprawdę była miła. Przymilała się, miałam wrażenie, że nic nie wiedziała o drzwiach przesuwnych. Zapytała, czy przyjadę na święta do Val-d'Isère. Dzięki nieznacznemu opóźnieniu na linii znalazłam wymówkę: ciężka praca między świętami a sylwestrem, przykro mi, mamó. Dopiero wiele dni później zaczęło mi naprawdę być przykro, ponieważ odkąd postanowiłam zatrzymać to dziecko, rosło we mnie jeszcze coś innego: pomysł, plan, myśl, którą pielęgnowałam tak, jakbym była w ciąży z bliźniakami – łykałam kwas foliowy w takiej dawce, żeby obydwójce zdrowo się rozwijali.

Następnego dnia rano jechałam wykończona przez Prowansję. Pogoda była całkiem przyjemna, ale mimo to było mi zimno. W moje kości wnikał bezgraniczny smutek. Przy Chambéry, zjeździe, który pojutrze będę musiała wybrać, żeby dotrzeć do Val-d'Isère w drodze powrotnej z południa, zobaczyłam jasną plamę światła – drobną dziurkę w moim postrzeganiu, jakby przez ekran filmowy dnia sączyło się o wiele bardziej intensywne, białe ciepło. Zerknęłam na kokpit, na dłonie spoczywające na trzyramiennej sportowej kierownicy i z powrotem na drogę.

– Kurwa.

To się doczekałam. Pracowałam na to od tygodni, wiedziałam o tym. Ostatni atak miałam przed katastrofą z ogniami sztucznymi, a więc minęło prawie pół roku bez napadu migreny – *pax migraine*, który zawarłam,

odpukując w niemalowane drewno i zaklinając się na wszystkie świętości. W kilka minut świecący punkcik rozrósł się do rozmiarów poruszającego się diamentu świetlnego wielkości pięści – szybciej niż zwykle, jakby ktoś się bardzo ze mną spieszył. Aura migrenowa – tak mówią na to nieszczęście lekarze. Znałam procedurę jeszcze z czasów szkoły średniej: za piętnaście minut zobaczę jedynie sztuczne ognie, wszystko zacznie mi tańczyć przed oczami, płonąć ostrym światłem. Po jakimś czasie diamentowi to się znudzi, w spokoju minie pół godziny. Potem ostry ból głowy wbije gwóźdź w moją skroń.

Było mi zbyt niedobrze i byłam zbyt oślepią, żeby kontynuować jazdę, dlatego zjechałam na najbliższy parking, wyłączyłam silnik i położyłam głowę na kierownicy. W torebce miałam tylko paracetamol zamiast imigranu, leku, który był mi teraz potrzebny. Pudełeczko było puste, zanim wyjechałam do Kalifornii. Może na łodzi jest jeszcze ibuprofen 600. Włożyłam okulary przeciwsłoneczne, ale ostre migotanie rozbłyskało od środka, to był pożar myśli. Połknęłam trzy paracetamole i z całych sił skoncentrowałam się na świętach w Val-d'Isère.

Dziecko wszystko naprawi. Nie powiedziałam o tym Boudewijnowi, ponieważ to nie był jego zakochany interes – ale to właśnie ta myśl ostatecznie powstrzymała mnie przed aborcją. Przez wiele wieczorów leżałam na wspólnej kanapie w pueblu i wrzucałam szyszki do kominka (dziwna sztywność łusek, odgłos pękania i syk, gdy w końcu ogień się z nimi rozprawiał), rozmyślając, zastanawiając się, czując, i kiedy znikająca moja talia, a brzuch pęczniał, coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, jakim *asem* w rękawie dysponuję. Po raz pierwszy od czasu drzwi przesuwnych dopuściłam do siebie myśli o Korsyce, próbowałam wskrzesić emocje towarzyszące tamtemu wyjazdowi. Czy nie kochaliśmy się z pełną świadomością? Na łodzi, w drodze powrotnej do Nancy. *Chcieliśmy tego dziecka.* Nawet nie zostało poczęte przez przypadek. Znałam Aarona na tyle, żeby wiedzieć, że od razu by je uznał, natychmiast, rzuciłby wszystko, żeby zająć się jego wychowaniem. I cholera – ono było w drodze – nieodwracalnie. A czy ta nieodwracalność mogła przeważać nad inną nieodwracalnością? Dziecko moje i Aarona... Czy zdawałam sobie sprawę z tego, co robię? Leżałam na kanapie w Dolinie Krzemowej, robiąc Siema *dziadkiem*. Mając tego pełną świadomość, byłam pewna jednego: potomek rosnący w moim brzuchu jest silniejszy niż to, co nas rozłączyło. Staniemy się ojcem, matką i dziadkiem. Urodzę nas wszystkich do kupy.

Ogień nieco przygasł. Do Hyères utrzymywałam na liczniku sto

sześćdziesiąt. Tutaj skończyła się autostrada i zaczął ból głowy. Droga wzdłuż wybrzeża, która na mapie wydawała się kusząco krótka, w rzeczywistości była jak jelito cienkie: niekończące się zakręty nad skalistymi klifami, wciąż musiałam przyspieszać i hamować. Morze Śródziemne nie było lazurowe, pokazało swoją prawdziwą twarz: zubożniały czarny łyk morskiej wody. Otworzyłam okno, lodowate morskie powietrze wbiło się w pulsujące skronie. Zjazd na Saint-Tropez, byłam coraz bliżej. Po przyjeździe do Sainte-Maxime chciałam wpakować się alfą do portu, jak najbliżej „Barbary Ann”. W myślach wskakiwałam do wody i jak delfin płynęłam do apteczki.

Objechałam ścianę skalną i nagle popatrzyłam prosto w głębie: białe wiotkie łódeczki cumujące przy czymś, co wyglądało na nieskończenie długie, nakryte stoły. Ze zbyt dużą prędkością przejechałam przez most i zjechałam z denerwującej drogi krajowej na bulwar przy plaży, gdzie znajdował się port jachtowy. W międzyczasie zaczęłam śpiewać z bólu, zrządzenie bez melodii.

Wokół panowała zima, ogródki naprzeciwko przystani były zastawione stosami krzeseł i złożonymi parasolami, mogłam wybierać z wielu miejsc parkingowych. Wyłączyłam silnik, nareszcie cisza, dla rozluźnienia pokręciłam głową i ramionami. Przez kilka chwil było jasne, że zwymiotuję. Oddychaj spokojnie. Rozpuść włosy, teraz. Weź kolejny oddech, przełknij, po prostu połknij ślinę, wypijam łyk wody i wysiadłam.

Wiatr znad morza przenikał moją kurtkę i cienkie ubranie pod spodem. Gdzie stoi ten słup? Niewiele zostało z glazurowanego kiczu, którym port emanował przy trzydziestu stopniach. Rzędy przygotowanych do zimy jachtów prezentowały się nader surowo, złożony biały plastik, politurowane drewno, przyciemniane szyby, mające wyrażać szybkość i ekskluzywność – unosząca się na wodzie grupowa zniewaga, hucpa pod adresem trzeźwości i samokontroli, które odrzuciliśmy.

Aaron wszystko zepsuł. Jakim byłby ojcem? Kto chciałby mieć takiego chłopaka za ojca? To wydawało się logiczne: on i ja w Val-d'Isère, bez zapowiedzi, ciężko to nazwać niespodzianką, to byłoby... Przeszłam po kocich łbach do biura portowego, niskiego białego budynku z tarasem na dachu. Drzwi były zamknięte. Poza sezonem biuro było otwarte jedynie od trzeciej do piątej. No i dobrze, nie będę musiała zacinać się w rozmowie z ciężkim do zrozumienia nadzorcą portowym. Wyobraziłam sobie nasz powrót na łono rodziny, jak zagubieni wchodzimy do domku alpejskiego Hansa i Rii, poważni, ale w dobrym nastroju. Przez krótką chwilę patrzyłam na swoje odbicie w szybie biura: sterczące na wszystkie strony, rozwiane włosy okalające typowo holenderską, łaknącą współczucia twarz. Ta sama

dziewczynka, która wracała na rowerze ze szkoły do kampusu jak na skrzydłach, wprost w ramiona mamy. Po niej miałam napady migreny, ale linia genetyczna nie przysłużyła się empatii: „Ja też miewam bóle głowy, Joni. To nie przeszkadza w zwykłej rozmowie”.

Kiedy ojciec mnie zobaczy, starszą córkę z ciążowym brzuchem, wszystkie niesnaski pójdą w zapomnienie – na to liczyłam. Nie musimy wspominać ani słowem o minionym lecie, albo wręcz odwrotnie: może powinniśmy o tym porozmawiać otoczeni górami liczącymi sobie miliony lat. Sami o tym zadecydujemy. Zrobimy wszystko, żeby było dobrze. A po Nowym Roku wsiądziemy z Aaronem w ojca samochód i wrócimy do domu na wsi. I zostaniemy tam tak jak po katastrofie ze sztucznymi ogniami. Poród odbędzie się w wiejskim domu rodziców.

Z pulsującymi skrońmi wyłowiłam klucze z torebki i wspięłam się na trzeci pomost – jeśli się nie mylę, to tam zacumowaliśmy. I rzeczywiście, z tyłu, gdy obróciłam głowę o czterdzieści pięć stopni, przy pomocy ukazał mi się znany tyłek. Luksusowe dupsko „Barbary Ann”. Przyspieszyłam kroku, idąc wzdłuż czarnej wody, zacisnęłam szczęki, ponieważ do szafu doprowadzał mnie skrzek milionów mew. Środki przeciwbólowe leżały na górnym pokładzie, w jednej z półek na mostku albo w łazience obszernej kajuty sypialnej na dziobie. „Cześć, Baśka” – powtarzał za każdym razem Aaron, kiedy wspinał się po tylnicy, teraz zrobiłam to samo, przedrzeźniając go. Schodki prowadzące na pokład słoneczny były zafajdane przez mewy, w rowkach i kątach stała brązowawa woda. Gdybym mogła zdjąć płótno masztowe z purpurowych leżaków i się położyć. Ale zamiast to zrobić, nie bez żalu otworzyłam drzwi kokpitu. Przypomniałam sobie, jak przez tydzień instruktor Palmera Johnsona uczył mnie i Aarona, jak bez uszkodzeń manewrować dwudziestometrową łodzią od portu do portu.

Usiadłam na skórzanym fotelu kapitańskim i otworzyłam szafkę na lewo od steru. Apteczka. Plastry, gaza, nożyczki, temazepam Aarona... ibuprofen. Rozerwałam saszetkę i wsypałam jej zawartość do ust, zapijając paroma łykami wody. A teraz się uwalę. Za ponad cztery godziny pojawi się facet. Trudno, będzie bałagan. Wyobraziłam sobie, że leżę na dużym, okrągłym łóżku, czułam twardość materaca, opuszczę żaluzje i wyłączę telefon.

Zeszłam po schodach, może nieco za szybko, bo kiedy w salonie mijałam kanapę w kształcie litery U, musiałam przytrzymać się stołu. Wymiociny podeszły mi do gardła. Chwiejnym krokiem skierowałam się do kuchni i zwymiotowałam do zlewu. Woda popłynęła z luksusowego kranu, jakby jeszcze wczoraj był używany, wypłukałam usta, licząc, że nie wypłułam przy

okazji magicznego proszku. Pod pokładem był niezły bałagan, widać, że wyjechaliśmy do Holandii na łeb na szyję: dwie pary skręconych kąpielówek Aarona; naczynia – umyte, ale nieschowane; narzędzia – nie przypomiinałam sobie, żebyśmy ich używali. Tutaj też było chłodno. Na stole stała napoczęta butelka różowego wina bez korka.

Jak bardzo poważny był stan Aarona? Jak zareaguje na tę niespodziankę? Co mam powiedzieć ojcu mojego dziecka?

Za salonem znajdował się osobny pokój gościnny, przez który wchodziło się do dużej sypialni, obszernej śluzy z dwoma tapczanami, nigdy nieużywanymi, i trochę wąska kabina prysznicowa, również nigdy nieużywana. Przecisnęłam się do środka i otworzyłam drzwi do wielkiego namiotu. Dopiero teraz poczułam zapach wymiocin buchający mi z ust: ciężkie, słodko-zgniłe powietrze. Trzema krokami znalazłam się przy okrągłym łóżku, gdzie poza parą szpilek leżała tylko cienka kołdra – niestety. Wypuściłam butelkę z ręki, położyłam się na lewym boku i wcisnęłam głowę w poduszkę. Leżałam przez pół minuty, aż prawie się udusiłam.

Czy wszystko dobre, co się dobrze kończy, w ogóle było możliwe? Czy mogli tego dokonać tylko dziadek i matka?

O niczym nie myśl, rozluźnij się. Podniosłam głowę. Jezu, co za smród. Mewy, szum przyboju w pobliskiej zatoce, ruch na bulwarze – nie było ich tutaj słyhać, i jakby siła grawitacji się podwoiła, zapadłam w sen, jechałam autem po ciemnych, wąskich drogach, okolica była mi znajoma, wyglądała jak kampus, orałam alfą wysuszone pole, ciężko mi szło, koła utknęły, co dziwne, ja też poczułam się śmiertelnie zmęczona. W oddali zobaczyłam kogoś, w kim rozpoznałam Aarona, jego łysa głowa świeciła w świetle księżyca, rzucając światło na otaczające go ławice piasku niczym drugi księżyc. Wyglądał na zadowolonego, miał rozpięty kożuszek. „Gdzie się podziewałaś?” – zawołał.

Czułam się, jakbym przespała wiele godzin, ale prawdopodobnie była to tylko kilkuminutowa drzemka. Ból głowy promieniował do szyi i ramion, odwróciłam głowę na drugą stronę.

Może to ten nierealny zapach skierował mój wzrok po błyszczącym drewnie szaf z ubraniami na podłogę – niepewny początek badawczego spojrzenia. Zatrzymałam się na ubraniu, które leżało na kremowej wykładzinie jak czerwona rzeka materiału. Intrygujące – jedna setna sekundy, ułamek sekundy, kiedy nic nie podejrzewając, nagle człowiek zaczyna coś podejrzewać. Z szybkością neuronów mózg przesyła sygnały SOS do wszystkich części ciała, do mięśni, gruczołów potowych, serca, płuc –

zabrakło mi tchu. Mój wzrok powędrował w górę rzeki: kurtka – to była gruba, czerwona kurtka – wisiała na drzwiach łazienki z matowego szkła, przez co były uchylone. Nie powinno jej tam być. Skamieniała patrzyłam na nią. Leżałam tak pół roku, może rok, z oczami wlepionymi w okrycie, aż w końcu powoli wstałam.

Ból głowy minął, bo z mózgu odpłynęła cała krew. Ktoś schował się w łazience. Jakiś narkoman świętujący tu Boże Narodzenie. Seryjny morderca świętujący tu Boże Narodzenie. Dwoma cichymi krokami zbliżyłam się do uchylonych drzwi i szerzej je otworzyłam. Ten sam okropny smród rzucił się na mnie jak mała. Jak na prawie dwudziestometrową łódź łazienka był ogromna, gruba przesada wychodząca naprzeciw luksusowym potrzebom nuworowskiej: podwieszana toaleta, podwójna umywalka, wanna, kabina prysznicowa z otwartymi – co od razu rzuciło mi się w oczy – przesuwными drzwiami.

W następnej chwili pojawiły się muchy – setki metalicznych much, dokuczliwa chmura, która się uniosła i jak na komendę znów opadła. Zatykając nos, zrobiłam dwa kroki. Muchy wessały się w ciało zwisające ze stryczka zrobionego z pomarańczowej nylonowej liny służącej do cumowania łodzi. Było w ubraniu, tułów wyglądał jak namoczony w wodzie owoc – wydawało się, że zaraz pęknie. Z butów górskich z grubymi sznurowadłami wystawały golenie: grube, ropiejące, wilgotne. W rogu brodzika wysmarowanego jakimś ciemnym płynem leżało przewrócone wiadro. Głowa – to była *jego* głowa. Sznur, zawiązany we wspaniałą węzeł na zawiasie otwartego okienka łazienkowego, ją przekrzywił, zwisała nienaturalnie na karku. Twarz...

Połknęłam zbierające się wymiociny. Jego twarz była nie tylko niebieskozielona, ale i opuchnięta, z wykrzywionych ust wystawał język. Na brodzie ogromny strup. Lewe oko było zamknięte, prawe wytrzeszczone i wystawało poza oczodół. Patrzyło przed siebie w taki sposób, jakby zebrało się w nim całe przerażenie, jakie człowiek może czuć.

Zrzygałam się, było za późno, żeby dobiec do sedesu. Zawartość żołądka chlusnęła na plastikowe kafelki między kabiną a muszlą klozetową. Ukłękłam, zwymiotowałam jeszcze dwa razy i wstałam. Mój łeb. Serce biło w mojej czaszce. Odwróciłam się do umywalki i odkręciłam kran.

– Nie płacz, do jasnej cholery. Nie płacz.

Woda wciąż była zimna. Przeplukałam usta i przemyłam twarz. Zagapiłam się na odpływ. Papier, z kieszonki na piersi wystawał kawałek papieru. Czy dobrze widziałam? Jakaś koperta, serwetka?

Zebrałam całą odwagę i się odwróciłam. Zrobiłam krok w kierunku kabiny. Nie patrząc na twarz, sięgnęłam do kieszonki na piersi, najpierw uderzyłam o martwą klatkę piersiową, poczułam powolny ciężar ciała i przestraszona cofnęłam rękę. Sapiąc, złapałam się szklanych drzwi. „Co robisz, tato?” Wtedy złapałam zwłoki za biodra i je unieruchomiłam.

To rzeczywiście była koperta. Wzięłam ją, wychodząc z łazienki, przeszłam przez sypialnię na górę, na pokład. W kokpicie usiadłam na kanapie i wzięłam głęboki oddech. Próbowałam oddychać spokojnie. W oddali, na granicy portu i oceanu, unosiła się czerwona boja, na którą się zapatrzyłam. Dopiero gdy zmarzłam na kość – pół godziny, godzinę później? – spojrzałam na dłoń, w której wciąż tkwiła koperta. Czułam, że coś mi leży na żołądku. Próbowałam rozerwać kopertę, ale za bardzo trzęsły mi się ręce. A głowa chciała pęknąć. Położyłam kopertę na stoliku i wstałam. Dlaczego samobójstwo? Gdzie się podział wojownik? Wysypałam do ust zawartość drugiej saszetki ibuprofenu i połknęłam ją ze śliną.

Nagle *en masse* pojawiły się pytania, te głupie i bardzo głupie. Jak tu wszedł? Czy miał klucz? Dlaczego tak? Czy miał go już wtedy, gdy wróciliśmy z urlopu? Czy jest tu gdzieś jakiś nóż? Albo nożyczki? Nie mogłam go tak zostawić. Dlaczego to zrobił? Czy zgłosili już zaginięcie? Mama? Ministerstwo? Trzeba się pozbyć tych much. Czy to przeze mnie? Muszę go położyć na łóżku. Zdjąć sznur z szyi. Zaalarmować policję? *Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?* Muszę znaleźć posterunek policji w Sainte-Maxime. Muszę zadzwonić do Val-d’Isère.

Ale nie wstałam, wciąż siedziałam w tym samym miejscu.

– Jeśli naprawdę było ci tak ciężko, tato – powiedziałam – to dlaczego, do jasnej cholery, nie zażądałeś wyjaśnień?

Znieruchomiałymi z zimna palcami otworzyłam kopertę. W środku rzeczywiście była kartka: stara reprodukcja przedstawiająca Sainte-Maxime, kupiłam ją latem i nigdy nie użyłam, secesyjny widoczek z palmą i plażą. Na odwrocie było coś napisane, przez łzy rozpoznałam jego zaskakująco dziecinny charakter pisma. Zamiast przeczytać to, co napisał, podałam kartkę i skrawki wyrzuciłam za burtę.

Wiele godzin później przekracza Mozę w pobliżu Venlo. Na obrzeżach grafitowej wody płyną duże kry, długa barka z beżowymi hałdami piasku utrzymuje się pośrodku rzeki. Na obydwu meandrujących brzegach dostrzega małomiasteczkowe zabudowania, w których tysiące rodzin budzą się w szarym grudniowym świetle dnia; w nocy znów napadała nowa warstwa śniegu. Rodzice Aarona – czy oni przypadkiem nie mieszkają w Venlo? Raz ich spotkał, w domu ich syna. Spokojni ludzie z wyważonymi poglądami. Musi zadzwonić do Val-d'Isère, obiecał zrobić to przed wyjazdem. Wiadomość od spokojnego małżonka z wyważonymi poglądami. Żeby tylko mróz się utrzymał. Nieco bardziej opuszcza tylne okno.

Do wnętrza audi wpadają spaliny, zaczął się poranny korek, wzmaga się ruch ciężarowy, czarne opony seplenią, brnąc w brązowej solno-śnieżnej brei. Od Duisburga jedzie za włoską ciężarówką z naczepą, ale i tak ma lekką przewagę czasową. Narty leżą na złożonym siedzeniu pasażera, ponieważ w nocy nie miał siły, żeby zamontować bagażnik na dachu, a na tylnym siedzeniu wiezie torby podróżne wypchane niewyprasowanymi spodniami i koszulami. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że ubranie, które ma na sobie – sweter z owczej wełny z dziurami wyżartymi przez mole, wątpliwej świeżości dżinsy i buty górskie – są dziwne; wygląda co najmniej osobliwie.

Na wschodzie wstaje nowy dzień, popielate poranne niebo wygląda jak ołowiany zwiastun regionu górniczego, do którego się zbliża. Nie myśl o tym. Obraz jest podobny do wielu miejsc zapisanych w jego pamięci, wyskakuje z najmniej oczekiwanych zakamarków. Wynajmij pokój w hotelu we Francji. Z wysiłkiem wyobraża sobie łóżko hotelowe w Metz lub Nancy, gdzie mógłby parę godzin się przespać. Przygotować się na normalność czekającą go w Val-d'Isère. Wykapany mężczyzna, który poświęca należytą uwagę gospodarzowi i gospodyni. Kilka zbawiennych godzin w pokoju hotelowym. Mija Geleen, zatrzymuje się na pierwszej napotkanej stacji benzynowej. Napełnia bak, zgarnia śnieg z przedniej szyby. W środku, w kolejce do kasy, przeciąga się, żeby się rozgrzać. Dziwnie ustawił się w kolejce, jest odwrócony bokiem, nie spuszcza wzroku z audi. Kupuje gumę do żucia, wkłada trzy pastylki do ust.

Na krótkim oddechu mija granicę z Belgią, kłania się dwóm zatopionym w rozmowie strażnikom granicznym. Nie powinien był pić rumu. Kiedy jest

poza zasięgiem ich wzroku, wciska gaz do dechy. Od jakiejś godziny czuje alarmujące, nieznane napięcie, jego nerwy są rozregulowane, ktoś rozczesuje zgrzeblę ich splątane końcówki. Zaciska szczęki, kiedy zwalnia ucisk, zaczyna szcząkać zębami. Ominąć Liège to żelazna zasada – zawsze gubili drogę w tym chaotycznym mieście, więc chce je ominąć. Chce znaleźć miejsce, z którym nic go nie łączy, jakąś nielogiczną lokalizację, jest gotów zadać sobie wiele trudu, by tam dotrzeć. Belgia w ogóle jest nielogiczna, to dlatego zoczył z trasy.

Łańcuchy – dlaczego nie wziął ich ze sobą? Leżą na szafie w dawnym pokoju Joni. Kiedy ta noc się zaczęła, pójście na górę wydawało mu się zbyt ryzykowne. Później wyleciało mu to z głowy. Za chwilę będzie w Alpach bez łańcuchów. Może przyszła odwilż?

Jedzie czymś w rodzaju obwodnicy Liège. Zamiast wciąż kierować się na południe, na Metz, pruje na zachód, jedzie A15 w kierunku Namur. Nie może o tym nie myśleć. Chcąc wymazać ten obraz z pamięci, tworzy zastępcze myśli, które w normalnych warunkach są przyjemne: wizje zjazdu na nartach ze stoku, obfitych posiłków przyrządzanych dla nich przez Hansa, skomplikowanych funkcji matematycznych – ale szybko się ulatniają, są zbyt nierealne, by coś zdziałać. Przeczesuje zwoje mózgowe w poszukiwaniu czegoś mocniejszego, czegoś, co pozwoli mu uwierzyć, że robi to, co musi, lecz niczego nie znajduje. Mocno przyciska palec wskazujący do zdartej skóry na brodzie.

Mija Namur i zjeżdża z autostrady. Jedzie głównymi drogami, które szybko przechodzą w drogi brukowane otoczone bezwzględными lasami liściastymi z grubą warstwą zmarzniętego śniegu wokół szarych pni. To inny świat, tu ziemia jest okrutna, tak jak prawie wszędzie ziemia jest okrutna poza jego własnym krajem; w Holandii natura znika pod ziemią jak metro, by wynurzyć się na powierzchnię dopiero w Skandynawii. Jego życie jest okrutne. Czasem jego życie przebiega przez wiejską drogę z domami szarymi jak postrzępiony mop, potem mija wiele kilometrów bez zabudowań, tylko lasy i pola, czasem w dolinie pojawia się poplamiona dachówka.

Zjeżdża ze wzniesienia i skręca na zaśnieżoną piaszczystą drogę prowadzącą do zielono-czarnego lasu iglastego. Po kilku minutach, gdy zewsząd otulają go wysokie sosny, parkuje samochód na skraju leśnego duktu. Piętnaście minut siedzi w środku, zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Tineke, musi do niej pilnie zadzwonić. Wybiera jej numer i słucha przerywanego sygnału połączenia z zagranicą. Po siedmiu sygnałach rozłącza się, krew pulsuje mu w uszach. Próbuje powtórzyć wcześniej przygotowaną

rozmowę, co tak naprawdę chce powiedzieć? Zanim udaje mu się wymyślić coś zwyczajnego, dzwoni Tineke.

– Cześć, kochanie – mówi ochryple.

Ponieważ nie wie, co ma powiedzieć, pozwala jej mówić. Jedzą właśnie śniadanie – mówi jego żona – z widokiem na stoki, które są jeszcze w naprawie – informacja z trudem do niego dociera. Chce wiedzieć, kiedy przyjedzie, on odpowiada, że późno, zaraz wyjeżdża z Enschede, będzie pewnie koło północy. Tineke, żeby przełamać jego małomówność, mówi, że bierze lekcje jazdy na nartach, a on bąka coś jowialnego w odpowiedzi, ale myślami jest gdzie indziej i prawie zbiera mu się na wymioty. *Czarny mały palec, myśl o spalonym gangrenowym palcu.*

– Co jadłeś wczoraj? – pyta. – Ustawiłeś ogrzewanie na funkcję ochrony przed mrozem?

W czasie, kiedy on głęboko oddycha, Tineke mówi dużo i szybko, może dlatego, że Ria i Hans słuchają jej w milczeniu, może w ten sposób próbuje odsunąć od siebie myśli o zdjęciach, o których on prawie już zapomniał. Tineke mówi, że słyszy w jego głosie, iż jest zmęczony, „czy bardzo zmarzłeś w nocy?”. Nie. Tak. Nie wolno mu ogrzać się w jej normalności, w upartej niezmienności po jej stronie światłowodu – jeszcze nie. Za chwilę, później.

– Zmieścisz wszystko na dachu?

– Właśnie mam zamiar spróbować – odpowiada i zaraz po rozłączeniu się analizuje, ile czasu upłynęło, odkąd wyszedł z letniej kuchni z nartami i kijkami. Sześć godzin? Równie dobrze sześć lat. Upuszcza telefon na kolana.

Najdziwniejsze jest to, że kilka razy skrzypiał butami, chodząc w tę i z powrotem do audi zaparkowanego równoległe do domu, najpierw z torbą podrózną, potem z laptopem i aktówką, stawiał ostrożne kroki na śniegu, który delikatnie jonizował w świetle padającym z oszklonej werandy. Próbuje przypomnieć sobie nastrój tej chwili, kiedy czując zmęczenie i niepokój, ostatni raz przeprowadził inspekcję domu na okoliczność występowania plam krwi i innych nieprawidłowości, aż w końcu wyszedł z nartami przez letnią kuchnię. Czy czuł ulgę podsycaną ostrożnym optymizmem? Włączył lampę zewnętrzną (dopiero wtedy?) i zobaczył, jak żółte światło rozjaśnia taras. Zaczęło mocniej sypać, otworzył drzwi do kuchni i wyszedł na dwór. Ze słomianego dachu i korony dużego kasztanowca sypał się biały proszek. Lodowaty wiatr wdzierał się w jego ubranie, kiedy zwrócił uwagę na ślady swoich stóp biegnące równoległe do oszklonej werandy; dopiero teraz dostrzegł o wiele węższą odnogę prowadzącą do ogrodu. Popatrzył na światełka zasypanych odcisków, prowadziły do podwyższenia na skraju

tarasu, jakieś sześć metrów od niego. *Coś tam było*. Zasypana śniegiem, podłużna wypukłość, mniej więcej w miejscu, w którym kończą się niewidoczne stąd płytki tarasu i zaczyna się trawnik. Narty wysunęły mu się z rąk, śnieg złagodził huk. *To on*. Cholera. Przysunął się krok do przodu i wyteżył wzrok. To Wilbert. Leżał na plecach, złamana ręka wybrzuszyła się pod kurtką pilotką. Śnieg dobierał się do jego ubrania, nogi były lekko rozchylone, stopy skierowane na zewnątrz, czubki butów były białe. Leżał głową w kierunku domu, była wygięta pod dziwnym kątem. Dostrzegł obitą twarz, lewe oko było półprzymknięte. Z nosa, co skonstatował w dziwnym szoku, wydobywały się obłoczki pary.

Przywołuje twarz Wilberta. Dotyka oślizgłej rany na brodzie i rozgląda się dookoła. To pomyśl o czymś innym, do cholery, pomyśl o... Joni? Siedzi zasapany w zaparkowanym samochodzie na leśnej ścieżce w belgijskich Ardenach i w każdej chwili może zemdleć. Pomyśl o czymś... dobrym. O zabawie Joni na Bonita Avenue, grze, którą nazywała „najkochańszą dziewczynką Ameryki”. Jej twarz okolona jasnymi kosmykami pojawiała się w drzwiach ich sypialni, dziewczęca główka, z której nowy dzień kapał jak rosa: „Tato i mamó, sorki, eliminacje. Najkochańsza dziewczynka Ameryki. Nie wstawać”. Opiera wymęczoną głowę o zagłówek fotela, na chwilę przymyka oczy, powieki natychmiast przyklejają się do gałek ocznych. Leżąc w łóżku, słyszeli, jak na dole, w drewnianej kuchni, Joni wyciska sok pomarańczowy, parzy kawę, robi tosty; był też wariant wieczorny, w którym latała po malutkim salonie jak na przyspieszonym filmie, pracowita pszczołka z zapalkami, żeby zapalić świece: zaciągnięte zasłony, wzruszające mocowanie się z otwieraczem i butelka, która nie chciała się...

To działa na odwrót: najszcześniejsze wspomnienia wywołują w nim głęboki smutek. Otwiera oczy, uchyla okno i przez długie minuty patrzy na las; czarne gałęzie nachodzą na siebie, jego wzrok nie sięga dalej niż na trzydzieści metrów. W głębi panuje ciemność.

Nie mógł się ruszyć, mógł tylko patrzeć. Jak długo ten łajdak tam leżał? Chyba się poślizgnął, musiał stracić równowagę, może upadł na głowę albo na rękę. Czy próbował się podnieść? Śnieg wyglądał na wygnieciony w miejscu, gdzie leżał. *Odsypiał kaca*. Czy to o to chodziło? Rum – musiał mieć nieźle w czubie, upadł, próbował podnieść się na zdrowej ręce, a gdy mu się to nie udało, pomyślał: no to dobranoc. Ten idiota odsypiał kaca na trzynastostopniowym mrozie.

Sigerius rozmawiał sam ze sobą. W ostatnim czasie wciąż rozmawiał ze

swoim lepszym ja. Tym razem szybko im poszło. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się jak zahipnotyzowany w śpiące na mrozie ciało i odwrócił się na pięcie. Wyciągnął narty ze śniegu, postawił je w letniej kuchni na włochatej macie i starannie zamknął drzwi. W aneksie kuchennym znów wyjął nóż do mięsa z bloku na noże. Wszedł na oszkloną werandę, z przyzwyczajenia zapalił światło i natychmiast je wyłączył. Ze wzrokiem utkwionym w leżącym na podświetlonym śniegu ciele ostrożnie ominął podłużny stół, z przesadną delikatnością przysunął krzesło do szklanej ściany i usiadł, trzymając nóż w dłoni, drugą rękę położył na kolanach. Jego syn brzydko łyśiał na czubku.

Przez pierwszych kilka minut nie za bardzo wiedział, dlaczego tam siedzi. Pilnował fortu? Czy miał inne zamiary? Wraz z upływem czasu uświadomił sobie, że skupia się na jednej rzeczy: na skroplinach – w odległym świetle lampy zewnętrznej dostrzegł, że z ust Wilberta wydostają się obłoczki pary. Zadrzał, zasunął zamek błyskawiczny kurtki narciarskiej aż pod szyję. Zaabsorbowany wpatrywał się w oddech Wilberta. Na szybie delikatnie niczym znak wodny ukazało mu się jego własne odbicie, dziesięciokrotnie słabszy zarys w porównaniu z oświetloną twarzą na śniegu, dziwnie wykrzywioną twarzą należącą do napranego ciała, które się wyziębiało i potrzebowało opieki.

Powinien był zostać mnichem. Jak można tyle czasu wpatrywać się bezmyślnie, a jednocześnie w skupieniu w jeden punkt? Przycisnął lewe kolano do lodowatej szyby. Oprócz pary wodnej nic nie istniało, delikatne obłoczki zawładnęły jego świadomością. Wyłącz myślenie, wystarczająco długo myślałeś. I owszem, to zadziałało, w jego głowie zapanował spokój, żadnych niedokończonych myśli, żadnych refleksji, tylko strzępy – *co ty możesz zrobić piętnastoma uderzeniami młota kowalskiego* – prześlizgiwały się przez jego umysł, ale gasił je w obłoczkach na dworze. Ani razu nie odwrócił wzroku od nieustannie dymiącego wulkanu, który wciąż wypuszczał strużki przeganianej przez wiatr siarki – wciąż pojawiały się na nowo, płytkie, niezmordowane. Ale mróz nadal trzymał, zimno do środka, ciepło na zewnątrz, zimno do środka, ciepło na zewnątrz...

Podniósł go i przytulił, ocierając suchą, pofałdowaną brodę o jego spocone czoło, potem jakiś nieznany mu mężczyzna przeniósł go na skraj gąbczastej maty. Leżał na plecach, zagłębiony w macie, wokół niego stali inni chłopcy, milczeli, kiwali głowami, wśród nich jeden chudy blondyn, który zanosił się płaczem. Zorientował się, że jego twarz straciła dawny kształt, pomacał ją,

cała była w guzach wielkości małych pomidorków, były wszędzie, gorące i gigantyczne. „Nie przyprowadzajcie tu mojej żony” – łkał. „Tak trzeba” – powiedział pan Vloet, który, co teraz dopiero zauważył, przypominał starszą wersję sąsiada, to był starszawy sąsiad z domu przy Antonius Matthaeuslaan, szedł przez dojo, które nagle stało się jego pokojem w Zoetermeer, ale było większe, bardziej gołe...

Obudził go metaliczny brzdęk. Gdzie jestem? Zanim dostrzegł swoje odbicie w szybie, unosił się bez celu w smolistoczarnym kosmosie. Potarł twarz rękoma. Nóż do mięsa leżał na kafelkach. Kiedy się po niego schylał i chował go w pięści, czuł, że ma skostniałe mięśnie. Strachliwie przeczesał wzrokiem taras. Czuł mrowienie w krótszej nodze. Wciąż była ciemna noc, choć nieco wyblakła. Twarz jeszcze tam była, wydawała się nieco przekrecona, przez chwilę myślał, że oczy są otwarte, potarł swoje, żeby lepiej widzieć.

Oddychanie ustało.

Nie ruszył się z miejsca. Miał wrażenie, że siedział tak jeszcze piętnaście minut, jakby przymarzył do krzesła, wpatrując się nieruchomo w jeszcze bardziej znieruchomiałe ciało na śniegu. Niemyślenie stało się teraz niemożliwe, każdą próbę uchwycenia myśli zasłaniała girlanda triumfu i poczucia winy, pozwolił, aby chaos się rozrastał, jakby nie był jego częścią. *...Innymi słowy jesteś mordercą. Innymi słowy obydwaj jesteście mordercami, ale to ty pozostajesz przy życiu, to ty jesteś zbiegiem, to ty pozostajesz bezkarny...* Podniósł się z krzesła i próbował przesunąć szklane drzwi, szło mu jak po grudzie, jakby smar zamarzał. *Nie, nie koloryzuj, nie możesz nazwać go mordercą...* Zapadając się w śniegu, podszedł do ciała, stanął blisko niego i patrzył. *Nie możesz go zabić, ale nie możesz go też oczernić, nie został skazany za morderstwo...* Krew przeciekła przez materiał kurtki, śnieg z lewej strony ciała zapadł się i był brązowy. *To było zabójstwo, piętnaście histerycznych razów, piętnaście śmiertelnych razów w ciągu jednej minuty, ale nie morderstwo, bądź precyzyjny. Ty jesteś mordercą w tej rodzinie, to ty go zamordowałeś...* Czy on na pewno nie żyje? Wziął oddech i zatrzymał w płucach zimne powietrze, okrągłym czubkiem buta górskiego puknął w prawe ramię, najpierw ostrożnie, potem mocniej. Żadnej reakcji. Kopnął udo. Jego kolana strzeliły, gdy ukucnął. Odetchnął głęboko i wbił ostrze noża w wewnętrzną stronę otwartej dłoni Wilberta.

Wysiada z auta. Odgłos zatrzaszkiwanych drzwi rozchodzi się po zamarznętej głuszy. Otwiera tylną klapę, przez chwilę zastanawia się nad plecakiem

i workiem namiotowym, w końcu nie bez trudu wyciąga worek z bagażnika. Dociska ciężar do prawego ramienia i zamyka auto. Płótno jest lodowate, mimo to wie, że idzie odwilż, na zewnątrz i w jego głowie: coś się zmienia tam na górze. To, co był w stanie robić przez cały ranek i właściwie przez całą noc – analizować na chłodno, a potem działać na chłodno – staje się coraz trudniejsze. Jeszcze raz rozgląda się wokoło i kieruje się w głąb lasu z workiem przyciśniętym do piersi. Ciężko mu się idzie, nie ma ścieżki, czasem musi przeciskać się przez krnąbrne gałęzie. Śnieg jest cienki i twardy, wciąż potyka się o korzenie, łachmaniarska kurtka zaczepia o gęste krzaki. Nie słyszy ptaków. Słyszy za to pękające gałęzie i igły pod górskimi butami, czasem pisk niewidocznych zwierząt, ale przede wszystkim własny ciężki oddech. Trzydziesto-, może czterdziestokilowy pakunek ciągnie w dół, źle złapał worek – katastrofa. Znów myśli o twarzy, zaczynają pocić mu się dłonie, musi się zatrzymać. Zamień tę myśl na inną okropność. Łokieć, pomyśl o tym, jak pękł. Opór stawu, ściśnięte, opierające się komórki, moment kapitulacji, trzask. I idź naprzód.

Cholera, niewiele brakowało, a po prostu by odjechał. Upewniwszy się, że Wilbert nie żyje, odwrócił się, pozbierał narty ze śniegu i włożył je do auta. Tak go zostawie, umarł tak, jak umarł. W jednej chwili cały zeszywniał od testosteronu, czuł się odurzony zwycięstwem, a jednocześnie napawało go to lękiem. Po prostu powiem im, że spałem. Jak każda porządna dusza leżałem w nocy w łóżku, a w tym czasie ten łajdak zamarzył na śmierć – tak bywa. Pijacy zamarzają dopiero wtedy, kiedy nikt nie widzi. A rano wstałem i pojechałem na urlop. Nic nie widziałem, to proste. Właśnie gasił światła, ustawiał ogrzewanie podłogowe i kaloryfery na funkcję ochrony przed mrozem, gdy dotarło do niego, że to wcale nie jest takie proste. Zwłoki we własnym ogrodzie to nigdy nie jest prosta sprawa. Jak to możliwe, że nie zauważył leżącego Wilberta? Kroki na tarasie – na śniegu było pełno śladów prowadzących do zwłok i odchodzących od nich, jego kroków. Nawet jeśli istniała szansa, że w odpowiednim czasie stopnieją, ta szumowina nie stopnieje. Nigdy.

Śmiertelnie zmęczony i pełen wątpliwości wyciągnął się na długiej kanapie. Wystarczyło, że zamknął oczy, a widział siebie na stoku, jak odbiera telefon od śledczych: „W pańskim ogrodzie znaleźliśmy zwłoki”; po powrocie z koszmarnej podróży samochodem oczami wyobraźni zobaczył rozciągniętą wokół domu czerwono-białą taśmę. Zaczął się trząść jak w gorączce, drżał nieustannie – ze zmęczenia, ze smutku, ze *strachu*.

Tak, bał się. Z jednej skrajności: wcisnąć gaz do dechy i odjechać, wpadł

w drugą: złożyć doniesienie – żeby się nie pogrążyć, musi pójść na policję, natychmiast. Zgłosić się na komendę w Enschede, podać do protokołu akceptowalną wersję wydarzeń. Przyłapałem syna kryminalistę na włamaniu do mojego domu, doszło do szamotaniny, walki na śmierć i życie, a potem dał dyla. I dopiero co, dzisiejszego ranka, właśnie wybierałem się na narty, zobaczyłem go leżącego na tarasie, zasypanego śniegiem: zamarzył na śmierć. Dobrą minutę był przekonany, że to klarowna, wiarygodna historia. Stał w salonie z telefonem w ręku, wstukał już numer, gdy pomyślał: ale dlaczego od razu nie zadzwoniłeś? Przecież właśnie wybierałeś się na urlop? Po walce? Dlaczego od razu nie zadzwoniłeś na policję? *Minęło wiele godzin – dlaczego dopiero teraz dzwonisz?* To pierwsze pytanie, jakie mu zadadzą, pytanie, które aż się prosi, żeby je zadać. I co ma odpowiedzieć?

Leżał półprzytomny na kanapie, gdy nagle wystraszył go odgłos silnika. Motorynka? Motorynka roznosiciela gazet – słyszał, jak się zbliża, zatrzymuje, dodaje gazu i oddala. Czy jest już tak późno? Za kilka godzin cały świat się obudzi, *za kilka godzin wstaną jego sąsiedzi*. Córka Teeuwena, która opiekuje się kotami, przyjdzie dać im jeść. Wyobraził sobie, jak stoi w ogrodzie, jest w szoku, trzyma rękę na ustach.

Zwłoki muszą stamtąd zniknąć. Wstał, oddychając szybko, i w letniej kuchni założył grubą wełnianą kurtkę sprzed kilku sezonów i wełniane rękawiczki. Bezgwiazdne zimno szczypało go w twarz. Nie patrząc na zwłoki, minął je i wszedł w szeleszczącą ciemność ogrodu, którego teren delikatnie się obniżał. Przeklął śnieg, w którym zapadały się jego górskie buty, ponieważ zostawały na nim jego ślady. Na końcu białego ogrodu poślizgnął się, waląc kolanem w ciężki stół na tarasie obok warsztatu. Po omacku znalazł szeroką kłódkę wiszącą na drewnianych drzwiach, otworzył ją i wymacał włącznik. Rozejrzał się po rozświetlonym pomieszczeniu: wysepki trocin na betonie, profesjonalne narzędzia na perforowanych tablicach, maszyny nieczułe na mróz. Mógłby położyć ciało za prasą do fornirowania.

Wyszedł na zewnątrz w słabym świetle świetlówek, dzwoniąc zębami, wrócił po swoich poprzednich śladach ciemniejących w delikatnie błyszczącym śniegu i ukucnął przy zwłokach. Już tracił czucie w stopach, to musiały być najzimniejsze godziny nocy. W świetle lampy zewnętrznej twarz wyglądała nierealnie, była koloru papieru gazetowego, krew pod nosem szerniała.

Nigdy nie wlec zwłok. Programy kryminalne, rekonstrukcje morderstw i gwałtów przyprawiają go o gęsią skórę, nie daje rady ich oglądać, mimo to skądś się dowiedział, że ślady wleczenia są najgorsze. Postawił stopy

prostopadle do ciała i ukucnął. Wyczuł zapach rumu i czegoś nieświeżego – zdusił w sobie odrazę, wcisnął jedną rękę pod plecy, drugą pod uda. Mokry chłód przeniknął przez wełniane rękawiczki. Spróbował się podnieść, poczuł ogromny ból w poobijanych żebrach. Ciężar oderwał się od śniegu, ale zachowywał się inaczej, niż się spodziewał: kolana i przepona odmówiły współpracy – inaczej niż u śpiącej córeczki, którą wyciąga się z samochodu i wnosi do domu, potem schodami na górę do jej sypialni, i pakuje do łóżka – ciało Wilberta poddało się grawitacji jak podkład kolejowy. Punkt ciężkości znajdował się w dziwnym miejscu, źle wycyrklował, sztywne nogi ciążyły ku dołowi; żeby się nie poślizgnąć i nie upaść, musiał znów ukucnąć, buty Wilberta zaryły w śniegu, Sigerius poślizgnął się i poleciał do przodu, waląc kolanami w skórzaną kurtkę. Poczuł twardość, jakby upadł na kamień rzeczny.

Druga próba była bardziej udana, mimo że wyprostowany kolos był cięższy, niż Sigerius się spodziewał. Ostrożnie zaniósł go do warsztatu; żeby wejść do środka, musiał zrobić ćwierć obrotu. Ciężko dysząc, stanął na środku betonowej podłogi, niepewnie obrócił się wokół własnej osi i zanim zdecydował się położyć ciało za prasą do fornirowania, uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Jak można być tak głupim? Jak można być tak głupim, żeby taszczyć zwłoki? Świadomość tego, co mu grozi, przyprawiła go o zawroty głowy, musiał usiąść. Przecież to logiczne, że będzie głównym podejrzanym o morderstwo. Prosty wniosek: umyślnie zostawił Wilberta na mrozie. Chwiejnym krokiem podszedł do pilarki taśmowej, nieco większej od maszyny do szycia, i opadł na dołączone do niej skórzane siedzisko. Oczami prokuratora zobaczył siebie, jak chwytem strażackim unosi bezwładne, zranione ciało i niesie je do ogrodu, sypiąc motywami jak z rękawa. Zamarznięte ciało z praktycznie oderwaną ręką? Które następnie wnosisz do komórki? Dlaczego? Nie ma nic na swoją obronę. Poza tym to prawda. Zostawił Wilberta na pastwę losu. Świadomie i z premedytacją pozwolił mu skonać. Złapał się za głowę i utkwiał wzrok w plamach farby na betonowej podłodze.

Muszą zniknąć. *Zwłoki muszą zniknąć.* Gdy grzebał palcami w ranie na brodzie, do głowy przychodziły mu głupie myśli – samolubne, oczywiste rozwiązania, które wcale nie były takie oczywiste. Zakop go za warsztatem, na zachwaszczonym kawałku ziemi, w dawnym ogródku warzywnym dziewczynek. Ma dożyć swoich dni na grobie syna? Z wściekłości ścisnął brodę, wysięk z rany pociekł po zarośniętej szyi. Rutbeek, tak, Rutbeek.

Jeszcze przez kilka godzin będzie ciemno, mógłby zawieźć ciało nad jezioro, obciążyć je i wrzucić do wody. Walnął pięścią w kolano, zły na siebie za bezdenną głupotę. *Nie możesz bezkarnie podróżować z ciałem.* W ogóle nie powinien był go dotykać. Wyrzucić zwłoki na terenie rekreacyjnym? Do cholery, po Rutbeek można *jeździć na łyżwach.*

Idź przed siebie. Za pierwszym razem, kiedy się odwraca, audi wydaje się być daleko, jest ledwie dostrzegalną srebrną plamą na tle gęstych gałęzi i pni. A on? Czy jest widoczny w jaskrawoczerwonej kurtce? Czy Walonowie się tutaj zapuszczają? Oczywiście, że tu przychodzą. Któregoś dnia na pewno się pojawią. A gdzie on wtedy będzie? Wydaje mu się, jakby worek namiotowy był przytwierdzony rakami do jego żeber. Nie zatrzymuj się. Mimo bólu wciąż go widzi, nie wolno mu myśleć o jego gębie. Poczuj mokre skrawki na ustach, na czole. Po pięćdziesięciu ciężkich jak kamień krokach nagle podłoże opada. Stoi nad czymś, co przypomina koryto rzeczne, nad kilkumetrowej głębokości rowem. Na dnie leży śnieg ze śladami ptasich nówek. Przy krawędzi rowu dostrzega dużą, nieco pochyloną do przodu sosnę obaloną przez osiadający grunt, korzenie zwisają nad krawędzią. Ostrożnie stawiając stopy, ześlizguje się tyłem do rowu, zagląda pod korzenie. Jest miejsce. Jama, do której może wcisnąć swoje sumienie.

Najpierw poszedł po torby. Zmusił się do powrotu do domu i wszedł po schodach na górę. Drzwi do łazienki były otwarte, świeciła się mała świetlówka. Na zielonych kafelkach ślady błota, w toalecie mocz z kawałkiem pływającego papieru toaletowego. Walnął w spłuczkę i poszedł do dawnego pokoju Joni. Różowe zasłony były zaciągnięte. Poczul jakiś kwaśny zapach, pot, ale nie chciał się zastanawiać, czy ten drań tu także był. Na dnie szafy znalazł swój stary plecak, który Joni jako nastolatka zabierała na obozy gimnastyczne i wakacje pociągami po Europie. W następnym pomieszczeniu, w gabinecie, zdjął przepierzenie, za którym leżał sprzęt biwakowy, położył się na brzuchu na zakurzonej podłodze i wyciągnął podłużny, bordowy worek z namiotem rodzinnym, rozłożył podłogę, zawilgocony tropik i rurki. Z dwiema torbami zszedł na dół, wyjął z szuflady kuchennej rolkę worków na śmieci, wyszedł do ogrodu i położył wszystko na długim stole warsztatowym.

W oślepiającym świetle podszedł do niebieskiego stalowego regału, na którym leżało około dwudziestu różnych gatunków drewnianych płyt czekających na obróbkę. Potrzebuje włóknistego drewna, jakby płyty pilśniowej z właściwościami absorpcyjnymi. Wyjął z regału sprasowaną płytę wiórową wielkości podwójnych drzwi i jęcząc z bólu, przeniósł ją na stół. Jak

to robiła Tineke? Oparł płytę o stół warsztatowy i przesunął ruchome stalowe osie, ponownie podniósł płytę i położył ją na ramie w sposób podpatrzony u Tineke. Przemysłane czynności przypomniały mu, jak brał się za pakowanie walizki po kłótni: demonstracyjnie, zdecydowanie, chociaż nawet przez chwilę nie wierzył, że naprawdę mógłby wyjechać.

Obszedł prasę do frezowania i obejrzał ciało leżące w dziwnej, zastygłej pozycji. Czy nadal zamarza? Czy wszystko zdążyło już zamarznąć? Czy w ciągu sześciu godzin człowiek całkowicie zamarza? Co by zrobił, gdyby...

Nie ma żadnego „co by było, gdyby”. Kucnął przy zwłokach z knykciami opartymi na betonie i po raz drugi je podniósł. Ignorując pulsujący ból żeber, położył ciało z głuchym hukiem na płycie wiórowej. Przesuwając i upychając panel nieco w poziomie – ciężar był trochę za duży, o czym świadczył pisk łożysk – ustawił go tak, żeby piła znalazła się prostopadle do biodra. Podszedł do długiego stołu warsztatowego i w plastikowym pojemniku znalazł srebrną taśmę. Za pomocą długich pasków w kilku miejscach przykleił zwłoki do drewnianej płyty.

Po raz pierwszy zobaczył je w pełnym świetle i z tak bliskiej odległości: schodzone białe tenisówki z podwójnie zawiązanymi sznurowadłami, poplamione krwią dzinsy, niemożliwie poobijana twarz – proletariacka twarz, przed którą wiele lat temu przestrzegał go Koperslager, mimo to miała jego rysy. Zaschnięta krew przykleiła się do popękanych ust jak kawior. Kąciki oczu, płaski czubek nosa boksera, prawy policzek były czarne i pomarszczone jak wysuszona śliwka. Prawe oko było otwarte. Nad wykrzywionymi ustami wciąż unosił się alkoholowy smog. Koniuszki palców widocznej dłoni również były czarne, skurczony mały palec wyglądał jak spalona zapałka.

Na powrót dopadło go uczucie przerażającego zadowolenia ze swojego czynu – czy raczej niegodziwości? Aż do teraz tak właśnie czuł, nic z tym nie zrobił, przez całe swoje parszywe życie trzymał się na uboczu. Uruchomił piłę, wałąc w czerwony gumowy przycisk. Zęby przecięły suche, zmrożone powietrze, poczuł lekki podmuch. Z silnika dobiegał donośny, przeraźliwie głośny hałas. Z przestachem spojrzął na drzwi warsztatu – jak daleko niosła się ta kakofonia? Osobnym przyciskiem uruchomił odpylacz, ale zaraz go wyłączył. Ogarnęła go zgroza: zamiast wiórów dookoła będą fruwać kawałki... *mięsa*. Strzępki organiczne, skrawki, które pod żadnym pozorem nie mogą się dostać do instalacji odciągowej, bo wszystko zacznie się rozkładać, gnić, nieludzko śmierdzieć. Będzie musiał zebrać każdy skrawek, każdy fragment z pedanterią nadgorliwego ciecia, bardzo dokładnie, nie może o niczym zapomnieć, to odwrotność zbierania dowodów.

Wgryź się w przestępcze zadowolenie. Pomyśl o troskach, których ci przysporzył, o stresie, wstydzie, rok za rokiem. O ciągłym rozczarowaniu, kolejnym przestępstwie, i następnym, i następnych – wywalił całe to nieszczęście na siebie jak tonę odpadków rybnych i zanim się spostrzegł, w szale przysunął panel do piły. Ostrze wbiło się z przenikliwym piskiem w złuszczone drewno, rozrzucając wióry, poczuł fałszywy zapach konstrukcji, szybciej niż w ciągu dziesięciu sekund stalowa płetwa rekina pokonała pół metra dzielące ją od biodra. Nie mam zamiaru więcej przez ciebie cierpieć. *Cholera, niedoczekanie!* Piła obrotowa natychmiast wbiła się w poszarpane dżinsy, nieczuła na podwójne obciążenie, obracająca się tarcza weszła gładko w zamrożone udo, do przenikliwego dźwięku cięcia dołączył ciemniejszy dźwięk, wilgotny, prawie mrukliwy ton, spod ostrza wylatywały białawe i ciemnoczerwone skrawki. Wrzeszcząc, jakby to była jego własna noga, wbił ją głębiej w ostrze. Wydawało się, że silnik nieco spowolnił, rozbryzg nasilił się w płaszczyźnie poziomej, pokrywając gradem strzępków płytę i jego kurtkę. Poczul lekkie uderzenia na szyi, w kąciku ust, na policzku i prawej skroni – i odskoczył do tyłu.

Czy taki jestem? Czy tacy jesteście? Jakby stanął w płomieniach, pluł i przeklinał, próbując strzepać skrawki z twarzy i szyi. W dzikiej panice zdjął sweter, z koszuli posypały się guziki, czuł, że wilgotne kawałki tkanek lepią się do jego rąk. Konwulsyjnie plując przed siebie, z odrazą zrobił krok w kierunku piły i wyłączył ją, waląc z całej siły w gumowy przycisk, po czym pospiesznie opuścił warsztat. Oślepiiony łzami – gdzieś w środku przyszła nagła odwilż – chodził w ciemnościach, kreśląc esy-floresy na śniegu, aż się poślizgnął i z głośnym hukiem upadł jak długi na zimne podłoże. Leżąc we własnej sztancy, zanurzył umazaną twarz w śniegu, czuł, że łyzy przymarzają mu do policzków. Zamknął oczy i pozbierał się. Zimno szczypało go w twarz, kiedy pojękując, skierował się do letniej kuchni. W salonie przez głowę zdjął koszulę i rozpiął pasek od spodni. Wciąż plując, przeszedł przez hol do sypialni i wszedł do łazienki. Rozebrał się rozwścieczony. Na golasa wypłukał usta nad umywalką i poczekał, aż z prysznicza popłynie ciepła woda.

Worek namiotowy leży na krawędzi rowu jak krwawy bąbel. Sigerius wspina się kawałek na wzniesienie, chwyta za sznurek i ciągnie pakunek, żeby sturlał się po wilgotnym podłożu. Łapie za ciężar i czeka, aż zsunie się na dół. Przez chwilę stoi, ciężko dysząc. Kiedy podnosi ciężki worek i wciska go jak najgłębiej w dziurę pod korzeniami sosny, dzwoni jego komórka.

Melodyjka zupełnie nie pasuje do porannej ciszy, dlatego zaskakuje samego

siebie, ściągnając usta w grymasie uśmiechu, mięśnie twarzy są oporne i zardzewiałe. Z westchnieniem opada na tyłek, wyciąga nogi na śniegu. Siedzi bezmyślnie i czeka, aż telefon przestanie dzwonić. Przez chwilę w lesie panuje idealna cisza, po czym jego komórka znów się rozdzwania, tym razem wyciąga aparat z wewnętrznej kieszeni kurtki. Na ekranie widzi, że to jego doradca. Hendrik, stary wyga, po wynikach śledztwa komisji parlamentarnej w sprawie katastrofy w Bijlmer⁵³ wygnany do ministerstwa edukacji. Na przekór kompletnemu wyczerpaniu usta Sigeriusa znów układają się w uśmiech. Oddana dusza, która wprost ze świata równoległego kontaktuje się z nim na dnie rozpacz.

– Dzień dobry, Hendriku.

– Cześć, Siem, przepraszam, że dzwonię do ciebie w sobotę rano. Przeszkadzam? – Głos mężczyzny wypełnia jego świadomość jak zapach świeżego chleba.

– Co tam?

– Siem, jedna rzecz. Jak wiesz, jutro Karin występuje w programie na temat pracy rządu, ale właśnie się dowiedziałem, że ma grypę. Straciła głos. Moje pytanie brzmi następująco: czy chciałbyś wystąpić w okienku? Osobiście jestem zdania, że to idealna okazja, żeby ukrócić plotki na temat Drugiego Etapu. Co ty na to?

– Słuchaj, jestem na stoku. Jeśli mam być szczerzy, to ja nijak na to. – Tak naprawdę myśli: nie zostawiaj mnie samego, mów do mnie.

Hendrik klnie. Potem wybucha śmiechem: tak, tak mu się zdawało, że dzwoni za granicę, faktycznie mu wspominał, że wybiera się do Francji.

– W takim razie nie ma o czym mówić, Siem. Pozostaje mi tylko życzyć ci wesołych świąt.

– Tobie też, Hendriku, tobie też. – Najwyraźniej w jego głosie jest coś, co powstrzymuje mężczyznę przed rozłączeniem się. Przez chwilę obydwaj milczą. Hendrik jest jak łódź, Sigerius widzi, jak unosi się na powierzchni nad jego głową, musi dopłynąć do lustra wody, szybko. – A ty co będziesz robił?

– Ja? Muszę załatwić parę drobnych spraw. Jestem umówiony na obiad z tym nowym sprawozdawcą parlamentarnym z NRC.

– Właściwie to chodziło mi o święta, Hendriku. – Między zdaniami szczęka zębami, mocno zaciska usta. – I sylwestra.

– Nic specjalnego, Siem.

– A dzieci? Co będziesz robił? – Szczęka zębami.

Hendrik przez chwilę milczy, potem mówi niechętnie:

– W pierwszy dzień świąt przychodzą córki mojej żony. Najmłodsza ma

nowego chłopaka. – Kaszle i przerywa na chwilę. – Chłopaka z dawnej Jugosławii. Żona raczej nie jest zachwycona. Tak że tego, Siemie.

Po zakończeniu rozmowy zapada się w głębinach, w zimnych, coraz ciemniejszych odmętach.

Wyszorował się ziarnistą pastą z małej tubki. Pasta zdarła górną warstwę skóry na szyi, na twarzy – wszystko musi zniknąć i wylądować w odpływie. Za każdym razem, kiedy dotykał skrawka mięsa, kurczył się w sobie z odrazy i nienawiści do samego siebie. Woda płynąca z prysznicza wypalała miejsca poranione nunczakiem, pod pachą miał ogromnego krwiaka, na szyi widniał podłużny siniak. Dwa razy umył włosy sporą ilością szamponu, szorując skórę głowy palcami jak szczotką ryżową. Wycisnął pastę do zębów, która stała na szklanej półce, i wyszorował zęby, wypluł pianę między nogi i wyszorował jeszcze raz, aż poszła krew. Zdjął słuchawkę prysznicza i usiadł w kucki. W odpływie leżała rozmiękła różowa substancja, którą plastikowym końcem szczoteczki do zębów wcisnął w kratkę. Nie wiedział dlaczego, ale w trakcie pomyślał o pełnym pokoju stołowym przy Antonius Matthaeuslaan tydzień po narodzinach małego. Byli teściowie, palili papierosy i dogryzali sobie o byle co, wsuwali sucharki z białymi i niebieskimi kuleczkami anyżkowymi⁵⁴, które przygotował ze starszą siostrą w aneksie kuchennym. Teść siedział w ubikacji, według niego stanowczo za długo. Sigerius wyczuwał zapaszek starego Wijn. Przeszkadzał mu ten troglodyta za drzwiami toalety, przypominał, że ich synek, leżący w kołysce piętro wyżej, nosi geny mężczyzny siedzącego na kiblu. Był nieszczęśliwy.

Potraktowałaś go piłą. Spróbował się podnieść, zebra wbijały się w tułów jak szable, musiał chwycić się aluminiowej framugi. Poczul, że zawładnęła nim niszczycielska siła, ugiął się pod jej ciężarem, jakby spadł na niego blok bazaltu, nie dało się jej przyrównać do niczego, co kiedykolwiek spotkało go w życiu – była kolosalna. *Zamordowałaś go, a potem pociąłeś piłą.*

Niechęć i radość z powodu przyjścia dziecka na świat. Był szczęśliwy, że może odpłacić się klanowi Wijnów. Jego rodzice zmarli i zostali pogrzebani dawno temu, pozostał tylko on przeciwko Dzielnicy C. Uczucie niechęci się nasiliło, gdy uzmysłowił sobie, że jego geny zostały wymieszane z utrechtckim bezhołowiem – ale przynajmniej dziecko jest Sigeriusem. Kiedy fantazjował o ucieczce, w marzeniach zawsze zabierał synka ze sobą...

Zamrożonego syna, nadpiłowanego potomka Siema Sigeriusa. W komórce leży padlina, sztuka mięsa, która zacznie się rozmrażać, będzie śmierdzieć i go zdradzi. Pochłonie go haski gniew, będzie wyklęty w całym kraju. W jego systemie nerwowym wyrósł szary kolos Sprawiedliwości, szybko ustalą, że to

było morderstwo. Zza oskarżenia wyłoniła się o wiele bardziej bezlitosna siła: media, pieprzone media, śliniąca się prasa, prasa *międzynarodowa*, wytłuszczone nagłówki gazet, ociekające sensacją relacje prasowe z jego procesu: matematyk i jego dzieci, szantaż, nagie zdjęcia, piła tarczowa. Przycisnął piekącą brodę do piersi i długie minuty stał pod prysznicem, pozwalając, by gorąca woda lała mu się na kark.

Myśl, proszę. Zakręcił kurek z ciepłą wodą, strumień stał się chłodny. Najlepiej myśli mu się pod letnią wodą. To samo robił na MIT: gdy miał w głowie pustkę, wchodził pod prysznic. Nie ma zamiaru poddać się bez walki. Na wydziale matematycznym, za pokojem Quillensa, znajdował się prymitywny, zapomniany przez wszystkich natrysk. Kiedy tak jak teraz utknął w martwym punkcie, brał ręcznik i szedł do klatki. Piłowanie nie wchodzi w rachubę, nie jest w stanie. Chciał puścić ciepłą wodę, ale się powstrzymał. Ciepła woda to oznaka tchórzostwa, musi się schłodzić. Kalkulować na chłodno. W korytarzu prowadzącym do prysznica odbijały się jego kroki, na ścianach wisiały portrety najwybitniejszych matematyków z ubiegłych wieków: Eulera, Gaussa, Riemanna, Hilberta, Fermata, Galoisa. Stoi bez ruchu pod letnim strumieniem, ma gęsią skórę. Co teraz? Pozbądź się go. *Zrób z niego puzzle*. Biorąc prysznic w MIT, tkwił po uszy w algebrach von Neumanna, żeby nie powiedzieć: przyssał się do nich jak pijawka – aż w jego mózgu doszło do syntezy jądrowej. Powiązał algebry z teorią węzłów, musiał przystawić rozcapierzone dłonie do kafelków, żeby nie upaść. Ale teraz nie ma żadnej syntezy – następuje rozszczepienie. Najpierw pojawia się panika, potem woła przeżycia. *Najpierw sam się rozszczep*. Zakręca całkowicie kurek z ciepłą wodą. *Sam się zamroź*. Chłód, chłód Wilberta Sigeriusa. Syna, który najpierw czeka, aż ojciec się rozbierze, a potem okłada go ołowianym cepem. Zimny, bezlitosny szpik łajdaka, wyssij go jak ciekły azot. Jeszcze raz przeczesuje włosy ręką i wychodzi spod prysznica.

Wszedł do warsztatu, zdjął zwłoki z płyty i wyjął nogę z piły. Zastanowił się przez chwilę, otworzył drewniane drzwi na oścież, włożył ręce pod ciało i wyniósł mięsną kolumnę do ogrodu. Przyspieszając kroku, minął ścianę warsztatu, gdzie pod niskim zadaszaniem z desek leżało pocięte drewno kominkowe. Z nierozdeptanego śniegu wyrastał dębowy pień, zaśnieżony okrąg, na którym Tineke rąbała drwa. W pośpiechu starł nogą śnieg z pieńka i położył na nim zeszywniałe ciało, siedzenie na środku okrągłej platformy, głowa i pięty na śniegu. Lampa zewnętrzna nad małym tarasem dawała wystarczająco dużo światła. Wrócił się do warsztatu, z plecaka wyjął rolkę

worków na śmieci. W lewym rogu warsztatu stał okopcony koksownik, a w środku siekiera. Wziął ją i wyszedł na zewnątrz.

To była ogromna siekiera z czerwonym, stalowym ostrzem i eleganckim, wypukłym, prawie atletycznym trzonkiem. Najpierw kopnięciem odsunął lewą rękę, żeby odsłonić pachę, potem przez chwilę mocował się z oporną skórzaną kurtką, by ją podnieść. Spłodził niebezpiecznego śmiecia. Musiał to parę razy powtórzyć na głos, zanim uniósł siekierę: *splodziłeś niebezpiecznego śmiecia*. Wycelował w udo, w ranę po pile, ale siekiera odbiła się od czegoś twardego i ugrzęzła w pieńku. *A teraz rozbierzesz śmiecia na kawałki*. Kucnął przy jego nodze, wcisnął rękę w tłustawą kieszeń spodni. To był jego obowiązek. Najpierw wyjął paczkę gumy do żucia i prawie się zaciął, gdy wyciągnął otwarty scyzoryk.

Dzieciak miał trzy latka, pomieszkiwała u nich Karin, najmłodsza siostra Margriet. Miała problemy z ojcem. Apatyczna dziewczyna, która ubierała się w sukienki w grochy i bez przerwy żuła gumę Bazooka Joe. W całym domu walały się świecące karteczki z komiksami. Któregoś niedzielnego popołudnia usłyszeli na półpiętrze zdyszany wrzask. Wilbert siedział na górze, w jego gardle utkwiała klejąca, wielka jak piłeczka golfowa kulka gumy balonowej, którą Karin położyła na krawędzi stołu w kuchni, zsiniał jak ciemne winogrono i powoli uchodziło z niego życie. Już wtedy powinien był uprzątnąć śmiecia. Spojrzał na broń w swoich rękach, uderzenie w rękojęść musiało poluzować ostrze, w drewnianej ręczce była głęboka bruzda. Powinien był pozwolić mu zdechnąć.

Wbiegł jednak na górę, pięściami uderzył chłopca kilka razy w brzuch, zemdlone dziecko złapał za kostki i w końcu udało mu się trzema palcami wyjąć klejącą, ciemnoróżową kulkę z jego gardła.

Wbił siekierę w udo. Czterema albo pięcioma ruchami – uniósł siekierę napędzany nienawiścią, uderzeniem kierowały grawitacja i nienawiść – oderwał nadpiłowane udo, mięso było miłkie jak sorbet, usłyszał pęknięcie kości. Kończyna zamieniła się w dziwny twór w bucie sportowym. W poszarpanej ranie zebrała się ciemna krew; chociaż nie chciał patrzeć, utkwiał w niej wzrok: jasno-czerwona powierzchnia odpowiadała jego wyobrażeniu o przekroju poprzecznym nogi – skóra, mięso, kości. Otumaniony włożył nogę do worka na śmieci, który okręcił srebrnoszarą taśmą i wyniósł do warsztatu.

Okazało się, że jego szacunki były właściwe: worek namiotowy był wystarczająco długi. Z plecakiem w ręku wrócił do pieńka. Ciemność zdawała się nieco rozjaśniać. Bez przekonania zmierzył na oko zapięcie torby, a potem

szerokość ramion. Rzeczywiście, tors był zbyt duży, syn miał jego budowę ciała, krępa, masywną, tak czy siak, trzeba odrąbać zdrową rękę. A głowa? Nie może się załamać. Czas leci – o której przychodzi córka Teeuwena? Zawsze zaczynaj od najgorszej roboty – wbijał nastoletnim córkom do głowy. Najpierw zmywanie, potem oglądanie telewizji. Najpierw lekcje, potem jazda konna. Najpierw głowa, potem kończyny. W porę powstrzymał się przed nagłą chęcią rzucenia siekierą w oszkloną werandę – w wyobraźni słyszał pękającą szybę. *Absurdalna myśl o głowie*. Czy gdzieś na górze nie leży większa torba? Wyższa torba, w której mógłby schować głowę?

Najchętniej zamknąłby oczy, choćby na chwilę, ale musi się pospieszyć. Plecak – musi po niego wracać do auta. Małymi kroczkami wydostaje się z zagłębienia i toruje sobie drogę między drzewami. Nawet bez trzydziestokilogramowego obciążenia wciąż potyka się zmarzniętymi stopami o korzenie i gałęzie, wytwarzane przez niego dźwięki brzmią nienaturalnie głośno. Gdy dostrzega audi – srebrny lakier błyszczy się w promieniach zimowego słońca – przyspiesza kroku, ostatnie pięćdziesiąt metrów pokonuje ze łzami w oczach wywołanymi ukłuciem bólu w żebrach. Nie rozgląda się na boki ze ścieżki, tylko od razu siada za kierownicą. Zamyka drzwi. W schowku znajduje mapę drogową Francji. Zaraz da nura na południe, dotrze do rodziny przez Reims i Dijon. Ale najpierw plecak. Uruchamia silnik i kieruje się na główną drogę, po której nie da się szybko jechać. Skręca na Charleroi.

Z wiaduktu długa, ogołocona ulica wydawała się opustoszała, ale teraz idzie nią jakiś chłopak. Jest drobny i żylasty jak bezdomny pies. Jego ubranie do niego nie pasuje: brudny ocieplacz na watolinie sięgający za kolana, na stopach białe chodaki lekarskie z dziewczęcyńskimi dziurkami, na jednej dłoni duża rękawica motocyklowa z czerwono-czarnej skóry. Takie ubranie nie pasuje do nikogo.

Chłopak idzie po popękany, ziarnistym asfalcie, a on kroczy wysokim chodnikiem. Nie może mieć więcej niż dwanaście lat, mimo to ledwie widoczne oczy tkwią głęboko w złuszczonych oczodołach, są jak dwa odpływy zlewowe, przez które nieustannie zerka na plecak. Ładunek na plecach przecieka i wrzyna mu się w ramiona. Spogląda ukradkiem na swój samochód, który wciąż stoi na poboczu na wprost schowany pod wiaduktem.

Rozgląda się wokoło, jakby nie zauważył chłopaka. Biedna ulica jest praktycznie ogołocona z zabudowy, pomiędzy zapuszczonymi domami wyrastają puste działki, na których walają się gruz i puste plastikowe butelki.

Mają jeszcze około trzydziestu metrów do celu: małego wysypiska odpadów wielkogabarytowych, które zauważył na obwodnicy. Cegły, telewizory, wraki rowerów, worki na śmieci – w szczególności masa wymiotujących worków. Odpowiadając na skupione spojrzenie chłopaka, wskazuje na wysypisko. Na postarzałej, poważnej twarzy natychmiast pojawia się przerażenie, fioletowe usta poruszają się jak dwa robaki.

– *Non* – napomina go chłopak. – *Non*. – Macha wewnętrzną stroną dużej, skórzanej rękawicy. – *Venez!*

Ale on nie chce z nim iść. Musi wyrzucić plecak. Wydaje mu się, że chłopak to rozumie, ale wie, co będzie dla niego lepsze. Zbliża się, w jednej chwili ogromna rękawica łapie go za nadgarstek. Małą, okrągłą brodą wskazuje na drugą stronę ulicy. Chcąc zrobić mu przyjemność, Sigerius kiwa głową i schodzi z wysokiego chodnika, podeszwy jego butów chrzęszczą na asfalcie. Chłopak prowadzi go na skos przez ulicę, prawie biegną, białe chodaki stukoczą po zniszczonej nawierzchni jak końskie kopyta. Martwi się o plecak, jego zawartość podskakuje nierytmicznie w górę i w dół. Ramięczka wrzynają się w ramiona. Krew kapie obficie, zostawia ślady. *Za chwilę głowa potoczy się po ulicy.* Dlaczego włożył ją do spodniej przegródki? Czy zamek błyskawiczny na pewno jest zapięty?

Zatrzymuje się przy chodniku, ale chłopak z siłą osła ciągnie go na szare płyty. Wchodzą do knajpy, nad drzwiami wisi przepalona reklama piwa. Chłopak odsuwa aksamitną zasłonę, ich oczom ukazuje się ruina. Brakuje tylnych drzwi tarasowych, oślepiające światło dzienne prawie zwala nadkruszone podwójne mury. Z otwartymi ustami wchodzi do środka po deskach podłogowych przechodzących w zdziczały trawnik. Przed nimi rozciąga się panorama: widzi skąpaną w słońcu bocznicę kolejową sięgającą aż po horyzont, na terenie przydworcowym przecinają się niezliczone nitki torów kolejowych, są zarośnięte przez chwasty, mlecze i maki. Gdzieś stoją zakurzone wagony z węglem i nieużywane wagony pasażerskie, w których odbija się światło słoneczne. Chyba nastąpiła wiosna. W oddali widzi szary kanał, może to jakiś zbiornik. Na horyzoncie rysuje się parujący kompleks fabryczny z szerokimi, szarymi kominami, z których unoszą się gęste strugi żółtego dymu.

– *Allons* – mówi chłopak i szybko dodaje po francusku coś, czego Sigerius nie rozumie.

Stoi na trzecim stopniu schodów, jego ocieplacz przypomina sukienkę. Oczy obracają się ponagląco w zardzewiałych oczodołach. Sigerius dopiero teraz widzi, że jest jeszcze jedno piętro. Sufit jest częściowo zburzony,

wystają z niego luźne miedziane rurki, izolacja jest poszarpana. Z plecaka cieknie krew, tu jest za gorąco, krew kapie na deski.

– *Bouffer.*

Chłopak unosi rękę w geście jedzenia i na powrót łapie się za poręcz z odłóżką farbą – zszokowany Sigerius dostrzega, że chłopak nie ma jednej ręki. Spod barku wystaje blady, zaszyty kikut. Wchodzi na schody i wspina się z trudem po schodach.

Na górze, przy nakrytym stole, jakiś mężczyzna i dziewczynka jedzą coś w rodzaju ciemnoczerwonego stamppotu⁵⁵. Czuje smażony olej. Gruba kobieta kuca przed otwartym piecykiem. Chociaż pomieszczenie nie ma dachu, jest umeblowane. Stoją lampy, na ścianie wisi ciemny obraz olejny. Chłopak siedzi już przy stole obok dziewczynki, która mu pomaga: ściąga rękawicę motocyklową. Wygląda zupełnie jak Janis, ma taką samą krótką fryzurę, nieco zbyt blisko osadzone oczy. Omija go wzrokiem i patrzy na bocznicę.

– Jestem Siem – mówi.

Mężczyzna, teraz dostrzega, że to dawny dziekan Tubantii, podnosi wzrok i pozdrawia go skinieniem głowy.

– *Asseyez-vous.*

Nagle zdaje sobie sprawę, że jest bardzo głodny. Marzy o talerzu tej miazgi. Chyba się rozplacze z wdzięczności.

Próbuje zdjąć plecak (krwawienie ustało – może wypłynęła już cała krew?), żeby się przysiąść, ale nagle ogarnia go paralizujący strach. Ramięczka są dziwne w dotyku, to już nie są ramięczka – to opierające się ręce. Wąskie paluszki zaciskają się na jego ramionach. Krzyczy ze strachu, ludzie siedzący przy stole patrzą na niego nieruchomo. Za każdym razem, gdy łapie za delikatny nadgarstek i ściąga z siebie jedną rękę, druga dłoń istoty wczepia się palcami w jego kurtkę.

– To ja, Simonie – słyszy głos tuż przy uchu. – Twoja matka. Chłopcze, chyba nie chcesz zdjąć z siebie własnej matki?

Zanim otwiera oczy, dociera do niego, gdzie jest: w swoim aucie, leży na rozłożonym fotelu pasażera zaraz obok nart. Stoi na parkingu tuż przed Lyonem. Jest wykończony. Patrzy na zegarek na desce rozdzielczej: jest za piętnaście piąta po południu. Spał co najwyżej czterdzieści pięć minut. Znów zapada zmrok. Przez dziesięć sekund klei się do niego koszmar senny, potem jego ciałem wstrząsa ostatnia doba niczym wyładowanie elektryczne.

Wspomnienie to wywołuje dramatyczny efekt. Oczywiście nic nie wyszło

z rezerwacji hotelowej, dlatego położył się tutaj, żeby zakończyć tę koszmarną noc, która ciągnęła się za nim nawet za dnia. W ciągu dnia sprawy często wydają się mniej straszne. Ale nie tym razem. Noc się pogłębiła.

Prostuje oparcie fotela i przeciska się nad skrzynią biegów, by usiąść za kierownicą. Mocno chwyta ją w dłonie. Podczas jazdy przyłapuje swój umysł na czymś bardzo podobnym: chwyta się praktycznych zmartwień i trosk, przejrzał strategię swojego mózgu. Gorączkowo odhacza punkty procedury bezpieczeństwa. Czy warsztat jest czysty? Czy na pieńku nie ma śladów krwi? Czy zaniósł worki na śmieci do letniej kuchni? Czy ktoś widział go w Charleroi? *Dlaczego odbierasz telefon w środku lasu?* Podejrzani o spowodowanie wybuchu sztucznych ogni zostali namierzeni dzięki telefonii komórkowej. Przez siedem lat był rektorem politechniki, a z pieśnią na ustach odbierasz telefon w lesie?

To wszystko tematy zastępcze. Z Charleroi do Lyonu jechał w gorączkowym amoku, gaz do dechy, cały odcinek z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, z głośników leciał na cały regulator *Mingus at Antibes* – bezwstydnym, bezprawny, dziki, maniackalny nastrój, z którego teraz nic nie zostało. Jakby nigdy nie istniał. Dopiero co otworzył oczy, ale czuje, że jego dusza pęka, wyziera z niej przerażająca pustka, która próbuje przesłonić jego ja, to, kim jest, i to, kim musi pozostać, i chce utrzymać wysokość. Jak w kominie powietrznym.

Asfalt dzielący go od normalności pożera jego samochód. Za godzinę mógłby być w Val-d'Isère, jeszcze godzinka i zacznie się skecz, w który zamieni się jego życie. Ale wytraca wysokość. Próbuje wszystkiego. Łokieć, skrawki mięsa – już je przepracował, są tym, czym są. Jeszcze raz myśli o tym, co chce robić w Binnenhofie, o liście do Joni. Czy może zadzwonić do Aarona? Isabelle Orthel – próbuje ją sobie przypomnieć, ale surowe, nocne obrazy górują nad przypadkowymi fantazjami. Koszmarne sen go wyczerpał, na obwodnicy Lyonu prawie wjeżdża w barierki, gdy wchodzi w łagodny zakręt.

Nawalił. Spartolił sprawę. Położył odpychający tułów plecami na pieńku, głowa wciąż była odchylna do tyłu w dziwnej pozycji, scyzorykiem przeciął szalik i odsłonił szyję na tyle, by dokończyć dzieła. Ale wypił przecież trochę rumu. Rum w połączeniu z tym, czego teraz od siebie wymagał. Spudłował pierwsze uderzenie. Miał dużo miejsca, żeby trafić w bladą, wyprostowaną szyję, ale źle spojrział albo się zawahał, w każdym razie zbyt wysoko wymierzył i ostrze siekiery z całą siłą trafiło w dolną część twarzy. Siekiera zrobiła głębokie rozcięcie w lewym kącie ust, w górnej wardze i części nosa

– twarz była rozplątana, słyszał pęknięcie górnych siekaczy, a może i zębów trzonowych. Przez chwilę wydawało mu się, że siekiera zaklinowała się głęboko w górnej szczęce. Próbował złapać oddech. Gdy wyciągnął w końcu ostrze, zaczął trząść się na całym ciele, drżały mu ramiona i dłonie.

Leci w dół. Musi znaleźć komin powietrzny. Matematyka. Jasność absolutna, jednoczesne współistnienie piękna i percepcji. Ekstaza, w którą zdarzało mu się wpadać. Żółtawa kość i mięso. Poprzeczne rozcięcie podbiegło zbierającym się płynem: krwią i czymś o szarawym zabarwieniu. Problemy Erdősa – dawniej sypał nimi jak z rękawa, na przyjęciach, gdy czuł się zagubiony, w kinie na kiepskim filmie. W bufecie YMCA, gdy obserwował lekcje pływania Janis i Joni, mieszkali wtedy przy Bonita Avenue. Ale teraz Erdős przelatywał mu między palcami jak sypki piasek. Lekcje całkowicie pochłaniały Joni. *Co się dzieje?* Ale Janis nie, co i rusz się odwracała, uśmiechała się i machała do niego. Widok zuchwy, odrąbanego języka, sajgonu na twarzy. Próbował podnieść siekiere, ale ważyła chyba ze sto kilo, musiał ją opuścić w połowie zamachu. Przez kilka chwil miał w głowie pustkę, aż znów usłyszał trzask pękających zębów, dziwny dźwięk dobiegający z rozmokłej rany od siekiery. Zęby. *Były wszędzie.* Patomorfologowi wystarczyłby pojedynczy fragment zęba. Jego pierwszą myślą było wrzucenie wszystkiego do kontenera na śmieci, już chciał iść po szpadel, ale nagle ogarnęła go panika. Upadł na kolana, zerwał rękawice i zaczął grzebać w śniegu na chybił trafił. Poczuł ból w przemarzniętych giczołach.

Grzebał w śniegu jak świnia w poszukiwaniu trufli, gdy nagle ktoś wszedł do ogrodu. W jego polu widzenia znalazła się dziewczyna od Teeuwena – od wielu godzin nie mógł sobie przypomnieć, jak ma na imię. Pociemniało mu w oczach.

Obwodnica jest zatłoczona, zbliża się do zjazdu na Val-d'Isère. Zna tę okolicę, od dawna tędy jeżdżą. Zna ją od urodzenia – córkę Teeuwena. Czy jest już tak późno? Zaprowadziła rower na tyły domu, na bagażniku leżał wypchany tornister. Postawiła rower na nóżce i sprawdziła, czy stoi stabilnie, a on wykorzystał te sekundy, żeby rozprostować nogi i położyć się płasko na śniegu. Leżał na ziemi, czekając na ostateczną kompromitację. Wytrzeszczonymi oczami spoglądał zza zakrwawionego torsu, obraz pulsował mu przed oczami. Trzydzieści metrów dalej grubo ubrana dziewczyna podeszła do drzwi prowadzących do letniej kuchni. Zobaczył, że cofnęła się przy samych drzwiach. Dłonią w rękawiczce dotknęła zaklejonej szyby. Jak jej na imię? Rozejrzała się wokół siebie, zacisnął powieki. Kiedy znów na nią

spojrzał, dziewczyna otworzyła drzwi. Jej głos brzmiał sucho w porannym powietrzu.

– Jest tam kto? – krzyknęła.

Błagał ją, *modlił się*, żeby weszła do środka. Żeby dojść do pojemników z karmą dla kotów, musi przejść przez salon i wejść do holu. Czy wszystko porządnie wysprzątał? Zniknęła we wnętrzu wiejskiego domu.

Musi zjechać. Zjazd na Chambéry. Podniósł się dzięki woli przeżycia, pierwotnemu popędowi, który teraz wycieka z niego jak wodorotlenek potasu z baterii alkalicznej. W jednej chwili się pozbierał i podniósł tułów z pieńka, na bezdechu zaniósł go do warsztatu i obszedł duży stół. Pijany adrenaliną położył koszmarek za prasą do fornirowania i zległ obok niego. Czekać. Nie ruszać się. Dziewczynka musi iść do szkoły, da zwierzakom jeść i wsiądzie na rower. Do cholery, jak jej na imię? Kiedyś opiekowała się nią Joni, kiedyś Joni zajmowała się dzieckiem Teeuwenów.

Za Chambéry to jeszcze piętnaście minut drogi. Ale robi to, o czym wie już od dawna: jedzie dalej. Razem opiekowali się dziewczynką. *Mija zjazd i jedzie dalej*. Joni chodziła do Teeuwenów z Wilbertem. Jego audi jest kroplą, która spada do Morza Śródziemnego.

¹ Willem (Wim) Ruska (1940–2015) – wybitny holenderski judoka, złoty mistrz olimpijski z Monachium (w dwóch kategoriach), dwukrotnie zdobył mistrzostwo świata i siedmiokrotnie mistrzostwo Europy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Sasha Grey, właśc. Marina Ann Hantzis (1988) – amerykańska aktorka, modelka, piosenkarka i pisarka, w wieku osiemnastu lat rozpoczęła karierę w branży pornograficznej.

³ Binnenhof – kompleks budynków w Hadze, stanowiących od wieków centrum polityczne Holandii.

⁴ Hagelslag – rodzaj posypki jadanej na kanapkach lub sucharkach posmarowanych masłem. To tradycyjny holenderski przysmak o różnych kształtach i smakach, a najpopularniejszy jest hagelslag czekoladowy.

⁵ *Spoorloos* – program telewizyjny, w którym uczestnicy próbują odnaleźć członków rodziny.

⁶ Kobold – złośliwy duch ogniska domowego lub krasnolud wywodzący się z mitologii niemieckiej.

⁷ Pieter Baan Centrum – będąca jednocześnie aresztem klinika w Utrechcie, do której trafiają na obserwację psychiatryczną osoby podejrzane o popełnienie najcięższych przestępstw.

⁸ Odwołanie do książki dla dzieci autorstwa Hansa Magnusa Enzensbergera o chłopcu odwiedzanym w snach przez diabła liczbowego, który przybliżył mu tajniki wiedzy matematycznej.

⁹ Lustrum (łac.) – pięciolecie, okres pięcioletni.

¹⁰ Artis (Zoölogisch Genootschap Natura Artis Magistra) – najstarszy ogród zoologiczny w Holandii, założony w 1838 roku w Amsterdamie.

¹¹ Randstad – konurbacja w zachodnich Niderlandach obejmująca cztery miasta: Amsterdam, Hagę, Utrecht i Rotterdam.

¹² Ontbijtkoek (dosł. ciasto śniadaniowe) – słodkie ciasto z mąki żytniej z dodatkiem przypraw korzennych, jedzone na śniadanie i lunch, także jako przekąska; w smaku przypomina piernik.

¹³ Krentebol – mała, okrągła bułeczka drożdżowa z dużą ilością rodzynek.

¹⁴ Speculaas – ciasteczko korzenne w formie figurki z wyciśniętym ornamentem wyrabiane w drewnianej foremce.

¹⁵ *Tricky business* (ang.) – ryzykowny interes.

¹⁶ *Stars and Stripes* (ang. gwiazdy i pasy) – potoczne określenie flagi amerykańskiej.

¹⁷ What's in a name? („Czymże jest nazwa?") – cytata z dramatu *Romeo i Julia* Williama Shakespeare'a.

¹⁸ W wyniku potężnej eksplozji w magazynach ze sztucznymi ogniami firmy S.E. Fireworks w Enschede 13 maja 2000 roku zginęły dwadzieścia trzy osoby, w tym czterech strażaków, około dziewięćset pięćdziesięciu osób zostało rannych, całkowitemu zniszczeniu uległo dwieście domów.

¹⁹ Roombeek – dzielnica Enschede, w której doszło do eksplozji sztucznych ogni.

²⁰ Odwołanie do reklamy tłuszczu do pieczenia marki Croma.

²¹ Odwołanie do wiersza M. Vasalis *De idioot in het bad* ze zbioru *Parken en woestijnen* (1940).

²² Ruud Lubbers, właśc. Rudolphus Franciscus Marie Lubbers (ur. 1939) – polityk chrześcijańsko-demokratyczny, najmłodszy i jednocześnie najdłużej urzędujący premier Holandii (1982–1994).

²³ Freek de Jonge, właśc. Frederik Jan Georg de Jonge (ur. 1944) – artysta kabaretowy, pisarz i prezenter telewizyjny.

²⁴ Albert Heijn – holenderska sieć supermarketów.

²⁵ Máxima Zorreguieta Cerruti, żona obecnego króla Niderlandów, Wilhelma Aleksandra, który zasiadł na tronie po abdykacji swojej matki, królowej Beatrycze, w kwietniu 2013 roku.

²⁶ Nagroda Spinozy (Spinozapremie) – najwyższe holenderskie odznaczenie naukowe, przyznawane od 1995 roku.

²⁷ D66 (skrót od Demokraten 66) – centrowa partia socjalliberalna, założona w październiku 1966 roku.

²⁸ Kapsalon – niderl., dosł. salon fryzjerski.

²⁹ *Cold turkey* (ang., dosł. zimny indyk) – potoczne określenie zerwania z nałogiem z dnia na dzień, bez stopniowego zmniejszania dawek.

³⁰ Pigułka Driona (niderl. de pil van Drion) – w 1991 roku holenderski prawnik, Huib Drion, rozpoczął ogólnokrajową debatę na temat legalizacji eutanazji, twierdząc, że osobom w podeszłym wieku, które nie chcą już żyć, należy udostępnić tabletkę umożliwiającą popełnienie samobójstwa w humanitarny sposób. Pigułka ta jednak nigdy nie powstała.

³¹ Dik Trom – otyły chłopiec, bohater książek dla dzieci holenderskiego pisarza Cornelisa Johanna Kievieta.

³² W Holandii istnieje zwyczaj wystawiania figurki bociana z okazji narodzin dziecka, czasem z lalką niemowlakiem w zawiniątku w odpowiedniej kolorystyce, zgodnej z płcią dziecka i imieniem noworodka na tabliczce.

³³ *Wijn* – (niderl.) dosł. wino.

³⁴ *Ter land, ter zee en in de lucht* – najdłużej, bo od 1971 roku, nadawany program rozrywkowy, w którym uczestnicy mają do pokonania odcinek w samodzielnie skonstruowanym pojeździe.

³⁵ W ramach decentralizacji budynków rządowych w Hadze, w 1985 roku ministerstwo edukacji przeniesiono do Zoetermeer, co miało również stymulować zatrudnienie. Ministerstwo „wróciło” do Hagi w 2003 roku.

³⁶ Het Torentje (niderl., dosł. wieżyczka) – część Binnenhofu, w której od 1982 roku rezyduje premier Holandii.

³⁷ Fundacja Wiardi Beckman (Wiardi Beckman Stichting) – instytut naukowy powiązany z socjaldemokracją holenderską (Partią Pracy).

³⁸ Teoria, według której w wyniku skroplenia pary wodnej doszło do reakcji chemicznej i spontanicznego wybuchu pożaru w fabryce sztucznych ogni w Enschede.

³⁹ Klaas Bruinsma (1953–1991) – holenderski baron narkotykowy nazywany ojcem holenderskiego narkobiznesu.

⁴⁰ Bitwa pod Nieupoort miała miejsce 2 lipca 1600 roku i doszło do niej w ramach wojny osiemdziesięcioletniej (1568–1648), w której Niderlandy walczyły o wyzwolenie spod panowania hiszpańskiego.

⁴¹ Willem Frederik (Wim) Duisenberg (1935–2005) – holenderski polityk i ekonomista, pierwszy prezes Europejskiego Banku Centralnego, nadzorował wprowadzenie waluty euro w dwunastu krajach członkowskich Unii w styczniu 2002 roku.

⁴² Kanninefat – Kanninefaci to jedno z plemion germańskich, które około 1000 lat p.n.e. osiedliły się

na terenie dzisiejszej Holandii.

⁴³ Białe Pióro (oryg. Witte Veder) – Indianin występujący w serii książek dla młodzieży o Dzikim Zachodzie autorstwa Johanessa i Paula (syn) Nowee'ów.

⁴⁴ Klukkluk – Indianin, jedna z postaci występujących w holenderskim serialu telewizyjnym *Pipo de clown*.

⁴⁵ Jan Wolkers (1925–2007) – wybitny pisarz holenderski, jako jeden z pierwszych otwarcie i bez ogródek pisał o seksie i seksualności.

⁴⁶ Kibbeling – tradycyjna holenderska przekąska: kawałki ryby obtaczane w cieście i smażone w głębokim oleju.

⁴⁷ Maj Sjöwall i Per Wahlöö – pisarka i pisarz szwedzcy, którzy wspólnie napisali cykl powieści kryminalnych.

⁴⁸ Hans Brinker – dzielny chłopiec, który zapobiegł przerwaniu tamy poprzez włożenie palca w otwór w grobli i umarł bohaterską śmiercią ratując miasteczko przed powodzią. Został stworzony przez amerykańską pisarkę Mary Elizabeth Mapes Dodge w książce dla dzieci pt. *Hans Brinker or The Silver Skates: A Story of Life in Holland* (1865). Jest to saga amerykańska, osadzona w holenderskim folklorze, ale Holendrzy się z nią nie utożsamiają. Oddziaływanie powieści jest tak silne, że po dziś dzień Hans Brinker uchodzi w Stanach Zjednoczonych za symbol walki Holendrów z morzem.

⁴⁹ Holendrzy obchodzą wigilię mikołajek, 5 grudnia, i z tej okazji podczas rozdawania pomysłowo zapakowanych prezentów deklamują samodzielnie napisane wierszyki, które w zabawny sposób przedstawiają naturę i charakter, a także przyzwyczajenia obdarowywanego.

⁵⁰ NWA (Niggaz Wit Attitudes) – założona w Compton czołowa formacja raperów wykonujących gangsta rap. W jej skład pierwotnie wchodził między innymi: Dr. Dre, Ice Cube i Eazy-E.

⁵¹ Catshuis – budynek, w którym od 1963 roku mieści się mieszkanie służbowe premiera holenderskiego rządu, jest także miejscem oficjalnych spotkań.

⁵² NSB (Nationaal-Socialistische Beweging der Nederlanden) – Narodowo-Socjalistyczny Ruch Holenderski, partia polityczna działająca od 1931 roku.

⁵³ Śledztwo parlamentarne przeprowadzone sześć lat po katastrofie samolotu transportowego, który czwartego października 1992 roku runął na budynki mieszkalne w dzielnicy Bijlmer w Amsterdamie. Łącznie zginęły czterdzieści trzy osoby, w tym trzech członków załogi i jedna pasażerka samolotu.

⁵⁴ Kuleczki anyżkowe (*beschuit met muisjes*) – tradycyjny poczęstunek holenderski z okazji narodzin dziecka, białe i różowe bądź białe i niebieskie kuleczki anyżkowe jedzone na okrągłych sucharkach posmarowanych masłem.

⁵⁵ Stampot (niderl., dosł. tłuczony garnek) – tradycyjna potrawa holenderska, na którą składają się utłoczone ziemniaki i inne warzywa. Danie wywodzi się z czasów, kiedy Holendrzy gotowali posiłki jednogarnkowe.

Przekład: Maja Porczyńska-Szarapa
Redakcja: Małgorzata Grygierowska-Augustynowicz
Korekta: Katarzyna Skwark, Zofia Sawicka

Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Nirrimi Firebrace

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2328-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo